

ROZDZIAŁ I

Staraliśmy się trzymać razem. Dotychczas nam się to udawało. Tym razem też. Tak jak siedzieliśmy w celi więziennej: Tadek Szwed, Dziunio Beker, Romek Trojanowski i ja. Usiedliśmy na jednej ławce, każdy ze swym zawiniątkiem, które wolno nam było zabrać z więzienia tarnowskiego. Miałem trochę za dużo tych maneli, a już najwięcej zawadzał rai zimowy płaszcz, nie wiem po co dosłany mi przez zapobiegliwych rodziców jeszcze przed wyjazdem z jarosławskiego więzienia. Przecież było lato! Cóż właściwie starszycy sobie wyobrażali! Może, że będę zimował w więzieniu lub na sezonowych robotach rolnych, dokąd – jak przypuszczaliśmy – wieziono nas. Teraz z tym płaszczem i w taki upał wyglądałem co najmniej jak maminsynek.

Konwojujący nas żandarmi nie byli najgorsi. Wolno nam było rozmawiać, a nawet pozwolono zapalić, z czego skwapliwie skorzystał Dziunio, jako jedyny palacz spośród nas. Zabroniono jedynie zbliżać się do okien wagonu. Kto by tam z nas chciał uciekać? Co prawda jechaliśmy w nieznane, ale nie sądziliśmy, by było nam tam gorzej niż w więzieniu. Konwojenci, parokrotnie przez nas zapytywani o cel naszej podróży, milczeli jak zakłęci. W końcu jeden z nich zmiękł i poinformował nas, że jedziemy „na roboty”. Dokąd, tego powiedzieć nie wolno. Zresztą nieba-wem sami się przekonamy... Zatem przypuszczenia nasze były słuszne. Pogoda była wspaniała. Nic dziwnego, połowa czerwca przecież. Za oknami wagonu migały łąny zielonych jeszcze zbóż cieniste zagajniki, wsie i miasteczka. Pracujący w wieśniacy pozdrawiali nas machając rękami. Nasz pociąg wyglądał niewinnie. Do Krakowa dojeżdżaliśmy w samo południe. Cały dworzec udekorowany swastykami. Wśród Niemców widać było wielkie poruszenie i nie ukry-

20.

waną radość. Z magnetofonów rozbrzmiewały marsze i krzykliwe przemówienia. – Paryż zajęty! Wiktoria!!... Jedziemy dalej. Nastrój wśród nas podły. Nic dziwnego po takiej wiadomości. Za to Niemcy aż tryskają humorem. Długo stoimy na jakimś przystanku. Okazuje się, że to punkt graniczny między Generalgouvernement a Rzeszą. Ruszamy dalej. Zatrzymujemy się na dużej stacji węzłowej, sądząc po ilości torów po obu stronach pociągu. Na budynku dworca duży napis – nazwa miejscowości: AUSCHWITZ. Ktoś tłumaczy, że to Oświęcim. Jakaś mała dziura. Nie zastanawiamy się nad tym dłużej, bo oto nasz pociąg powoli rusza dalej. Wjeżdżamy chyba na jakąś boczną linię, gdyż zataczamy wielki łuk, aż koła pociągu zgrzytają niemiłosiernie. Teraz nie wolno nam się nawet poruszyć. Nawet w stronę okien nie wolno spojrzeć. Siedzimy w bezruchu. Nasz pociąg dostał jakby czkawki. Co ujedzie parę metrów, zaraz staje. Zza okna słychać dzikie niemieckie wrzaski, bieganinę, tupot. Nagle drzwi naszego wagonu otwierają się z impetem. Ktoś z zewnątrz przeraźliwie wrzeszczy – Alle raus!... Loos, verflucht Banditen!1

Nasi konwojenci pomagają nam po swojemu wyjść z wagonu. Wala nas po plecach kolbami karabinów, aż dudni. Jak oszaleli pchamy się wszyscy naraz do jednego wyjścia. Jeden przez drugiego skaczemy z wysokiego wagonu, prosto na esesmanów tworzących szpaler ciągnący się w kierunku wysokiego parkanu otaczającego jakiś wielki budynek. Wśród niesamowitego wrzasku esesmanów, popychani i bici, wtłaczamy się w otwartą bramę jak stado ogłupiałych baranów. Na placu przed budynkiem utworzono znowu trudny do przebycia szpaler, składający się tym razem nie z esesmanów, ale z ponurych dryblasów dziwnie ubranych w coś przypominającego do złudzenia pasiaste piżamy. Każdy z nich trzyma w ręku spory kij i macha nim wytrwale w prawo i lewo. Oberwałem po ręce, na szczęście płaszcz, który trzymałem, złagodził nieco uderzenie. Uskoczyłem w bok, ale tu znowu dostałem kopniaka od jakiegoś wysokiego i tęgiego „pasiaka”. Na szczęście bicie nie trwało dłużej, gdyż zaczęto nas ustawiać szeregami. Jeden z „pa-

1. wszyscy wyjść!prędzej przekłęci bandyci!

21.

siaków", o ciemnej cerze i przenikliwych czarnych oczkach, biegł wzdłuż szeregów, wyrównywał, poszturchiwał, pokrzykiwał. Reszta „pasiaków” natomiast stanęła w jednym szeregu z nami. Zauważyliśmy, że mieli poprzyszywane na spodniach i bluzach czarne lub zielone trójkąty, a pod nimi numery od 1 do 30. Numer 1 miał ten barczysty i smagły, o twarzy zbója. Teraz właśnie przeliczał pośpiesznie szeregi, po czym, stanąwszy w pewnej odległości naprzeciw nas w postawie na baczność, zakomenderował ostrym, donośnym głosem: – Das Ganze stillgestanden! Miitzen ab! Augen rechts!1

Nie rozumieliśmy, o co chodzi, więc na wszelki wypadek staliśmy nieruchomo. W pewnej chwili komenderujący pasiak" skierował się sprężystym krokiem ku grupie esesmanów stojących opodal. Kiedy znalazł się w niewielkiej od nich odległości, stanął na baczność, stuknąwszy głośno obcasami, po czym zdjawszy błyskawicznym ruchem czapkę z głowy coś zaszwargotał po niemiecku, czego oczywiście nie rozumieliśmy. Jeden z esesmanów, nie wyjmując z ust fajki, cedząc przez zęby, coś mu odpowiedział, wskazując przy tym na budynek obok. Gdy tylko skończył, „pasiak” ponownie stuknął obcasami, nałożył swą granatową czapkę podobną do marynarskiej, zrobiwszy przepisowe w tył zwrot, wrócił na swoje poprzednie miejsce. Znowu padła jakaś komenda, po której reszta pasiaków" rozbiegła się, formując nas po chwili w rzędy w pobliżu wejścia do budynku.

Przez wąskie drzwi wpuszczano nas grupami do środka, skierowując na schody prowadzące do piwnic. Tam nas podzielono na jeszcze mniejsze grupki. Po przejściu kilku kondygnacji piwnicy zostaliśmy pozbawieni wszelkich osobistych rzeczy nie wyłączając owłosienia, które dokładnie usunięto z głowy i wszystkich możliwych miejsc przed kąpielą w lodowatej wodzie. W zamian za odebrane rzeczy każdy z nas otrzymał tekturkę z wypisanym na niej numerem, który miał od tej pory zastąpić nazwisko. Otrzymałem numer 290. Romek Trojanowski, znalazłszy się przypadkowo w innej grupie, miał numer 44, a będący w jeszcze innej grupie Edek Galiński otrzymał numer 537. Tak wprost sposób staliśmy się numerami. Po jakimś czasie

1 Całość baczność! Czapki zdjąć! Na prawo patrz!

22.

oddano nam ubrania i wypędzono na dziedziniec, gdzie ustawiono nas w szeregach, piątkami. Dwóch spośród nas, znających dobrze język niemiecki, zrobiono tłumaczami, tzw. dolmetscherami. Jeden z nich, tęgi i wysoki, to Balta-ziński, drugi, dla odmiany szczupły i w okularach – hrabia Baworowski. Pierwszym ich zadaniem było przekazanie do wiadomości – tłumacząc słowa cherlawego oficera SS – że jesteśmy od tej chwili tzw. schutzhaftlingami skazanymi na dożywotne przebywanie w Konzentrationslager Auschwitz1.

...A co to jest obóz koncentracyjny, mieliśmy się niebawem przekonać!

ROZDZIAŁ II

...Mutzen ab! Mutzen auf/2 – Już wiedzieliśmy, co to znaczy. Komendę należało wykonywać szybko, równo i sprawnie. Biada temu, kto się spóźnił. Ponieważ większość naszego transportu składała się z ludzi młodych, przeto łatwiej nam było znosić wszelkie trudy musztry, jak hiipfen, rollen, tanzeil i tym podobne szykany, zawsze połączone z biciem i maltretowaniem. Gorzej było z ludźmi w podeszłym wieku. Podpadali często, tym więc gorliwiej się nad nimi znęcano. „Dziadzio” Kowalski, stary zakopiańczyk, mimo podeszłego wieku dawał sobie jeszcze jakoś radę, ale wyniszczony więzieniem dr Pizło, pochodzący z Niska, gonił już resztkami sił. Dzięki nim właśnie my, młodzi, znajdowaliśmy chwilę oddechu w momentach, kiedy zajmowano się starymi. Wiedzieliśmy już, że ci w pasiakach są również więźniami i że przyjechali tu z obozu Sachsenhausen, gdzie siedzieli od 1933 roku. Tym trudniej nam było zrozumieć, dlaczego tak bardzo znęcali się nad nami, nawet wtedy, gdy nie było esesmanów w pobliżu. Częstokroć byli nawet gorsi od esesmanów. Niemal na każdym kroku mieliśmy ich na karku, a

ich ręce uzbrojone w kije pracownicy rozdzielały tęgie uderzenia, gdzie

1. Obozie koncentracyjnym Oświęcim
2. czapki zdjąć! Czapki włożyć!
3. skakać obracać się, tańczyć

23.

tylko popadło. Toteż niejeden z nas miał podbite oko czy rozbitą głowę. Pouczono nas, że do „pasiaków” mamy zwracać się przez Herr Kapo. Zwracając się do kapo należało stanąć na baczność, zrobić przepisowo Mutzen ab! – mimo że nakrycia głowy nikt z nas nie posiadał – po czym trzeba było wypowiedzieć stereotypową formułkę: –Nummer (tu należało podać swój numer obozowy) meldet sich gehor-sam². Jeśli udało się zameldować sprawnie i bezbłędnie, to obeszło się bez bicia. Najczęściej jednak każdy coś pokreślił, w rezultacie czego dostawał kijem lub w najlepszym razie solidnego kopniaka.

Tuż przed samym wieczorem nieco nam pofolgowano. Jeszcze tylko przy wejściu do budynku dostaliśmy porządny chrzest. Na rozkaz kapo nr 1 mieliśmy wszyscy – jak nas było przeszło siedmiuset – zmieścić się w wąskich drzwiach bloku, by udać się do pomieszczeń wewnątrz budynku przygotowanych na noclegowisko. Nauczeni smutnym doświadczeniem, wiedzieliśmy, że rozkaz należało wykonać natychmiast, toteż wszyscy naraz rzuciliśmy się ku drzwiom. Opieszających walili już kapowie, więc każdy chciał być jak najprędzej przy bramie mającej dać schronienie. Ale tam tłok był nie do opisania. Jeden przepychał drugiego, jeden drugiego wgniatał, dusił, miażdżył, deptał... A z tyłu z furją nacierali kapowie bijąc i kopiąc, młó-cąc dragami po plecach, po głowach, po rękach. Wrzask, rzężenie, przekleństwa. Wreszcie zbawcza brama. Jeszcze potworny korek w samej bramie, aż kości trzeszcza, a ze zgniecionych piersi wydobywa się głuchy jęk. Nagle, wystrzelony jak z procy, lecę w przestrzeń krótkiego korytarza, by zawadzić nogą o stopnie schodów, których nikt by się tu nie spodziewał. Jeden na drugiego wali się jak długi, a tu skądś znowu sypią się razy, więc czym prędzej się podrywamy i biegniemy po schodach do góry. Tchu już mi brak, ale robię jeszcze jeden skok i jestem na ostatnim stopniu. Olbrzymi kapo stoi na samym środku w poprzek korytarza, szeroko rozkraczony. Bije raz lewą, raz prawą ręką. Uderzenia wymierzone solidnie, aż w uszach szumi. W ustach czuję smak krwi i – co tu ukrywać – łez. Biegnę ostatkiem sił i wpadam do sali znajdującej się na końcu

- 1 Panie kapo
- 2 Numer (...) melduje się posłusznie,

24.

korytarza. Na wpół przytomny walę się na podłogę zasłaną słomą. Po chwili cała sala wypełnia się leżącymi pokotem więźniami, zmasakrowanymi, zaszczutymi, pobitymi i sponiewieranymi, wystraszonej i wyczerpanymi do granic ostateczności.

Roman leży obok mnie. Oddycha ciężko i nic nie mówi. Jedynie Dziunio syczy przez zęby: – Skurwysyny...! – Widać ulżyło mu trochę. Ale nam wiele to nie pomaga. Leżymy na słomie zaścielającej całą podłogę, starając się nie myśleć, co będzie dalej.

Odpoczynek nie trwa długo, bo oto słychać już liczne kroki podkutych butów dudniących w korytarzu. Idą od sali do sali, słychać głośną komendę: – Achtung!¹ – na którą więźniowie zrywają się na baczność. Po chwili i w naszych drzwiach ukazuje się znana nam już dobrze sylwetka kapo nr 1 i esesmana z nieodłączną fajeczką w zębach. Ktoś krzyknął: – Achtung! – Zrywamy się gwałtownie. Nie wszyscy jednak zdążyli powstać równocześnie.

– Verfluchte Bandę! Ihr Drecksacke!² – wrzeszczy kapo.

Spokojny „Fajeczka” wyjmuje powoli fajkę z ust. Białe zęby pobliskują w szparze grubych warg. Szeptem, niemalże łagodnie rozkazuje: – Hinlegen!³ – Kładziemy się

powoli, nierównomiernie. Nim ostatni zdążyli się położyć, ponowny rozkaz, ale już energiczniejszy: – Aut!1" – Zrywamy się. Ktoś znowu się spóźnia, ale „Fajeczka” zdaje się jakby tego nie dostrzegać. Spokojnie wytrzepuje popiół ze swej fajki, uderzając nią miarowo o futrynę drzwi. Nagle, jak nie wrześnie: – Hinlegen! – Padamy. – Auf! Hinlegen! Aut! Hinlegen! Auf! Hinlegen! Auf! – ...i tak w nieskończoność. Koszula lepi się do ciała, pot zalewa oczy. – Hinlegen! Auf!... – Już tchu brakuje w piersiach, nie mamy czym oddychać. Na podłodze słomy już dawno nie ma. Jest za to sieczka, dużo sieczki. Wszędzie! W nosie, w gardle, w oczach. Kapo i „Fajeczka” dosłownie rozplłynęli się w tej sieczce. W tumanach kurzu słycać tylko niezmordowany głos esesmana: –Hinlegen! Auf!... Hinle-

- 1 Uwaga!
- 2 Przeklęta zgraja! Worki gówna!
- 3 Padnij!
- 4 Powstań!

25.

' Auf! – Kiedy to się skończy?... Kolana jak z waty, a ciało coraz cięższe. Już nic nie widać, ale i na szczęście nie słycać więcej komendy. Odeszli! Padamy pokotem na podłogę, gdzie jeszcze przed chwilą leżała słoma. Ktoś rzuca się do okien chcąc je otwo-rzyć. Vis-a-vis okien stoi w niewielkiej odległości budka strażnika SS. – Fenster zu!!1 – wrzeszczy Niemiec. Ponieważ otwierający okna nie słycają go, wali serię z pisto-letu maszynowego, dla postrachu. To skutkuje. Do okien nikt już nie śmie więcej się zbliżyć. Robi się ciemno. Każdy lokuje się, gdzie może. My z tarnowskiej celi trzymamy się razem. Z kąta sali słycać głośny szept modlitwy. Inni ją podchwytują Z ciemnego korytarza dochodzi rozdzierający wrzask: – Ruhe da!2 – Zalega cisza. Tak zasypia-my. Tylko Dziunio Beker wierci się niespokojnie, wali bezsilnie pięścią w podłogę i dławiać się łzami, wydusza z siebie– Skurwysyny!...

Rozdział III

Już trzeci dzień w obozie. Trzy pajdki chleba, trzy mi-ski zupy „Avo”, trzy kwałeczki słoniny, kilka siniaków. dziesiątki kopniaków, tysiące upokorzeń. Ale jestem cały i żyję. I chcę żyć!

Właśnie dzisiaj widziałem po raz pierwszy w swym ży-ciu... konanie. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że można tak długo umierać. A może ten Żyd był wyjątkowo twardy. Chociaż nie wyglądał na to ten stary, chudy i krótkowzro-czny człowieczek. Leżał teraz oparty o ścianę bloku w Skwarze czerwcowego słońca. Gołą czaszkę miał roz-ciętą w kilku miejscach. Roje much oblepiały zakrzepłą, zmieszaną z piaskiem krew. Głęboko zapadnięte oczy w fioletowoczarnych obwódkach przykrywały ciężkie po-wieki. Czasami je podnosił, ale widocznie zbyt duży był to wysiłek, bo opuszczał je zaraz z powrotem. Czarne popę-kane wargi, spalone pragnieniem, poruszały się konwulsyjnie. Wody! Wasser!!-charczał. Kapowie otoczyli go

- 1 Zamknąć okna!
- 2 Spokój tam! :|
3. Wody...

26.

ciasnym kołem. Kiedy odeszli, stary Żyd nie dawał już znaku życia. Program dnia mieliśmy niezwykle urozmaicony. O to postarali się już nasi kapowie i esesmani. Toteż prześcigali się nawzajem w wynajdywaniu tortur. Zdawałoby się zresztą, że zupełnie niewinnych. Całymi dniami uprawialiśmy „sport”: Htipfen, Rollen, Tanzen, Kniebeugen. Jeśli hup-fen, to kilkadziesiąt metrów wzdłuż placu i z powrotem. Jeżeli rollen, to tam, gdzie był największy kurz, tanzen dla odprężenia i żeby było śmieszniej, Kniebeugen1 na tempo, eins, zwei, drei2, do

pełnego wyprostowania się, a następnie z powrotem, aż do przysiadu. Nogi drżały ze zmęczenia jak galareta. Opuchnięta od słońca ostrzyżona głowa ciążyła jak ołów. Pragnienie paliło wnętrzości. Ktoś zemdłał? Odnosiło się go pod budynek. Tam kapo przywracał go do przytomności. Zimna woda, dobre kopnięcie... i stało się znowu w szeregu.

„Fajeczka” asystował nam cały czas. Stał rozkraczony w cieniu jedyne drzewa i pykał swoją nieodłączną fajkę albo, jeśli ją odkładał, to gwizdał jakąś arię operową. Czasem przywołał kogoś palcem. Odbywał się wtedy występ solowy. Niezbyt długo, bo „Fajeczkę” męczył czerwcowy upał. Przywoływał więźnia do siebie.

– Komm!... Komm!... Na, genug!... Was bist du vom Beruf?3 – pytał niewinnie.

– O, Schiller?... Prima!* – chwalił.

Nagle walił z całej siły w zęby. – Hau ab! Du polni-scher Dreck!5

Teraz zdejmował zmęczonym ruchem czapkę z głowy, wycierał dokładnie chusteczką zwilgotniałą od potu podszewkę, delikatnie nakładał czapkę na głowę, po czym najspokojniej w świecie kończył przerwana przed chwilą melodię. „Lałuż” miewał więcej fantazji i, jak przystało na oficera SS, był wytworny, inteligentniejszy od podoficera. Na szczęście przychodził dość rzadko. Jego to pomysłem było wczoraj urządzenie czegoś w rodzaju religijnego wi-

1 Przysiad

1 Raz, dwa, trzy

3 Chodź! ...Chodź! ...No, dosyć!... Jaki masz zawód?

4 O, uczeń?... Świetnie!...

5 Wynoś się! Ty polskie gówno!

27.

dowiska. Bez trudu wyszukał jedyne Żyda, kazał mu wejść na olbrzymią kadź stojącą do góry dnem przy budynku, po czym kazał odprawiać modły. Żyd głośno zawo-dził, kiwając się przy tym rytualnie, co sprawiało niesamo-witą radość esesmanom i kapom. Dosłownie ryczeli ze śmiechu, my zaś mieliśmy chwilę wytchnienia. Na tym jed-nak widowisko się nie skończyło. Plagge – to ten z fajeczką – zapamiętał sobie, że jest wśród nas ksiądz. – Wo ist der Pfarrer?1 Ksiądz stanął na kadzi obok Żyda i zaczął modlitwę. Zrazu cicho, później coraz głośniejszym i pewniejszym głosem. Zabawa przestawała być śmieszna, toteż czym prędzej zabrano się do „sportu”.

Teraz ćwiczyliśmy bez wytchnienia. Żyd i ksiądz skakali w kierunku drzewa. Kapo nr 1, Bruno Brodniewicz, pomagał im, dzielając raz po raz któregoś drągiem. Lagerfuhrer Mayer („Lałuż”) kazał im wspinać się na drzewo w którego cieniu tak lubił przesiadywać Plagge. Leżli nań niezgrabnie: co któryś troszeczkę się wdrapał, ściągał go na dół pies „Lalusia”. Zabawa trwałaby pewnie długo, ale na szczęście psu szybko się znudziła. Żyda i księdza odciągnięto od drzewa.

Teraz nam kazano robić to samo. Nakłonieni kijami zaczęliśmy się wdrapywać. To dopiero była zabawa! Kilku-dziesięciu ludzi, bitych, kopanych przez kapów, szarpa-nych przez psa, usiłowało wdrapać się na nieszczęsne drzewko. Dorwałem się i ja w końcu do zbawczego drzew-wka depcząc po kimś leżącym pod drzewem, uczepiłem się jedną ręką mocno pnia, drugą chwyciłem wiszącą nade mną nogę. Wierzgająca noga poszukiwała oparcia, a znalazłszy je na mej głowie, dusiła w dół. Szarpnąłem mocno. Odpadł. Jednym susem byłem już ponad głowami innych. Byle wyżej. Ale z dołu już ktoś drze za nogę, wpija pazury w odsłoniętą łydkę. Masz!... Masz!... – Luźną nogą kopię po czyjejs gło-wie aż dudni. Mimo to nieustępliwe pazury wpijają mi się w ciało coraz głębiej. Czyjaś głowa pnie się coraz wyżej, już słyszę syk... – Ty skurw... – To Dziunio! Mocne szarpnięcie. Jeszcze ręce próbują się ucześcić kory drzewa i już jestem na dole. Dziesiątki nóg depcą mnie po plecach, po

1 Gdzie jest ksiądz?

28.

głowie, po rękach. Na oślep czołgam się na czworakach, byle dalej od „zbawczego” drzewa. Już wściekle nogi skończyły się, więc próbuję wstać, a przede mną stoi zwarty, nie do przebycia, mur pasiaków. Znowu sypią się uderzenia. Zawracam i z furją walę między tłoczących się koło drzewa, kopię, biję pięściami, gryzę, drapię, rozpycham, byle dalej od pałek. Ale już nie mam sił wepchnąć się między innych. Cofam się więc, zawracam powtórnie, kręcę się w kółko jak opętany, a tu zewsząd sypią się uderzenia.

Trzask...! Głowa pęka, szum w uszach... Z trudem otwieram oczy. Leżę oparty o mur budynku. Przede mną ktoś nachylony. Jakiś kapo, zielony winkiel na pasiaku, nr 2. Bez kija, łagodne spojrzenie, zadarty nosek, czapka na bakier. – Aha! To jest ten dobry kapo – arbeitsdienst...

– Komm! Komm!

Kiwa na mnie i innych leżących obok. Jest i Dziunio! Już i drugie oko ma podzelowane.

– Keine Angst! Dobra robota! Essen holcn! [– mówi łagodnie Otto.

Rozdział IV

Dzisiejszy dzień zapowiada się lepiej. Może dlatego, że część ludzi potrzebna jest do roboty. Kilku więźniów poszło z dwoma esesmanami i kapami do dawnych koszar. Podobno wszyscy mamy się tam wkrótce przenieść. Otto wynajduje ciągle jakieś roboty. To lepsze niż „sport” lub modne teraz Singen². Śpiew prowadził kapo Leo Wie-tschorek nr 30, jeden z najgorszych bandziorów, szeroko-bary olbrzym o rękach jak łopaty. Wielu nie znało niemieckiego, trudno więc było zapamiętać słowa, których znaczenia nie rozumiało się.

Toteż śpiew nie zawsze się kleił. Z dala wyglądało, że wszyscy śpiewają, każdy bowiem otwierał usta, a najszerszej ci, którzy słów nie znali. Połapał się na tym oszustwie Leo. Chodził więc między szeregami i z bliska nasłuchiwał, kto śpiewa, a kto udaje.

1 Nie bać się!... Przynieść jedzenie!

2 Śpiew.

29.

– Im Lager Auschwitz war ich zwar...¹ – darłem się głośno, bo tyle umiałem „Ojla rija, ojla rio” – tu chór potężniał, a Dziunio dawał sobie upust przekręcając refren na: „skur-wy-sy-ny, skur-wy-sy-ny”.

Gdy Leo się zbliżał, śpiewał znów poprawnie. Pokiereszowaną gębę rozdziawiał od ucha do ucha i strasznie fałszował, czym zwrócił uwagę na siebie. Leo stanął naprze-ciw w rozkroku, lekko skrzył się tułowiem ku Dziuniowi niby to nasłuchując, po czym rąbnął go z całej siły otwartym nadgarstkiem w podbródek. Dziunio zachwiał się na nogach, klapnął głośno zębami, ale stał. Normalnie, po takim uderzeniu, jeśli nawet nie straciło się przytomności, należało zwalić się na ziemię. Wszyscy o tym już wiedzieli. Wiadomo, że w takim wypadku Leo zostawiał swoją ofiarę dumny z potęgi swojego ciosu szedł dalej do następnej ofiary. Ale Dziunio był przekorny, Dziunio chciał „poka-zać”: Dziunio wytrzymał uderzenie. Leonowi krew nabie-gła do twarzy. Zaciął wąskie wargi i z precyzją ustawił się do nowego ciosu.

Trach! – Leo aż się zatoczył, a Dziunio stoi. Wysunął szczękę do przodu, z kącika szerokich ust spływa strużka krwi. Leo odrzucił kij na bok. Wali teraz raz z lewej, raz prawej. – Trach! Trach! – Dziunio zatacza się, ale stoi. Nowa seria. Już nogi mu się uginają, ale nie pada, tylko klęka. Butem w brzuch. Dziunio ryczy, zwija się, z ust to-czy się czerwona piana. Jeszcze jeden kopniak i Dziunio odrzucony pada na wznak.

Leo obciąga pasiak, wyciera ręce o spodnie i podniós-łszy odrzucony kij, idzie zadowolony dalej. Przechodzi koło mnie w momencie, kiedy śpiewam „ojla, rija, ojla, ra”, śpiewam pełną gębą z przejęciem. Już mnie minął. Udało się tym razem.

Szczęście mi sprzyja. Jestem teraz w komandzie sku-białym trawę wokół budynku. Otto wyznaczył jednego z Kolegów znającego język niemiecki na vorarbeitera. Stoi obok nas, rozgląda się dokoła i jak tylko zbliża się ktoś z kapów czy esesmanów, pogania nas do roboty. Gdy w pobliżu nie widać wroga, odpoczywamy. Trawy jest nie-wiele, resztki spalone w czerwcowym słońcu i zdeptane przez „hipfujących” więźniów.

1 Byłem więc w obozie Auschwitz...

30.

Za drutami w niewielkiej odległości stoi domek. Ktoś tam mieszka, bo widać stała krzątanińkę koło domu. Jakaś kobieta ciągle spogląda w naszą stronę i ostrożnie daje sygnały, że chciałaby nawiązać z nami kontakt. Boimy się jej jednak dać jakikolwiek znak. Ktoś odważniejszy wypowiedział słowo „Tarnów”. Kobieta chyba zrozumiała, bo nieznacznie skinęła głową, po czym zniknęła w drzwiach swego domu. Po chwili znów wyszła, skierowała się do ogródka, grzebiąc coś tam motyką.

– Uwaga! – ostrzega nas vorarbeiter. – Arbeiten! Los!1

Czym prędzej schylamy się, pełzając teraz na czworakach. Wyrrywamy pazurami rzadkie źdźbła trawy, aż się kurzy. Vorarbeiter stuka obcasami meldując „Fajeczce”:

– Kommando drei bei der Arbeit!2

Widzę tylko jego nogi. Zielone, mundurowe sukno ciasno opina wydatne uda. Brązowożółte saperki, elegancko wypućowane, rytmicznie wybijają takt gwizdanej melodii.

Nasze dobre miejsce w pobliżu domku, z którym łączyliśmy pewne nadzieje, już dokładnie oczyszczone. Posuwamy się dalej. Tu więcej trawy. Plagge ciągle /. nami. O...! Przestał gwizdać...! Woła vorarbeitera. Nowy rozkaz. Mamy teraz skubać trawę, ale... zębami!

W ustach cierpki smak trawy. W zębach zgrzyta piasek, w nosie pełno błota, w głowę pali słońce, krzyż boli, szyja drętwieje. Już lepszy „sport”. Z daleka słyhać śmiech. To grupa kapów opodal stojąca głośno wyraża swój podziw dla wspaniałego pomysłu esesmana. Zadowolony Plagge zapala fajkę. Śmiesznie musi wyglądać to stado ludzi pasących się u stóp dobrego pasterza. Przecież, nikogo nie tknął, nikogo nie kopnął, a tu już pada pierwszy zemdlony. Na szczęście gong przerywa zabawę. – Mittagessen3.

Kilku z nas ma już wszy. Dokuczają niemiłosiernie, ciało swędzi, trudno ustać na apelu, żeby się nie poskro-bać.

Dziunio, jak zawsze niecierpliw, drapie się na nic nie zważając. Oczywiście natychmiast zauważył to Bruno.

– Hast du Lause?4 – pyta złowieszczo.

1 Pracować! Dalej!

2 Trzecia drużyna robocza przy pracy

3 Obiad.

4 Masz wszy?

31.

1

– Jawohl, Herr Lageraltester! – szczerze, z trwoga w głosie odpowiada Dziunio.

No...! Teraz to już chyba go wykończy! Dziunio to wariat! Odstawił go na bok.

– Wer hat noch...?2

Cisza. Wszy widać lubią ciszę. Czuję, jak rozłaza się po całym ciele. Jedna łechcąc mnie pod pachą. Nie wytrzymam! Druga łązi mi teraz po karku i łaskocze nieznośnie. Nie wytrzymałem. Wbrew woli i rozsądkowi sięgam dłonią ku szyi. Mam ją już w palcach. Ale tłusta...! Bruno oczywiście zauważył.

– Und du auch! Du Drecksack!2

– Jawohl, Herr Lageraltester! – odpowiadam przerażony.

Drągiem, który trzyma w rękę, wysuwa mnie z szeregu i stawia koło Dziunia stojącego pod ścianą. Po chwili jest nas już kilku. Kapowie się naradzają. My stoimy jak ska-
zańcy, oczekując najgorszego.

W połowie korytarza pierwszego piętra jest mała, wąska sala. Tam nas zaprowadzili, zamknęli drzwi na klucz. Kolacji nie dostaliśmy, ale za to obeszło się bez bicia.

Rano wypędzono wszystkich na dziedziniec, jak zwykle na apel. Nas nie! Przez szybę w drzwiach zagląda Bruno i Plagge. Bruno liczy pomagając sobie palcem.

– Stimmt! Weiter machen!4

Siadamy. Tłuczemy wszy w naszej garderobie. Robimy to ostrożnie, żeby czasem wszystkich nie wybić.

Kochane weszki! Dzięki nim nasza cela omijana jest przez kapów i esesmanów. Mamy spokój i odpoczynek. Barcie dają regularnie i zdawałoby się nawet, że większe porcje niż dotychczas. Leniuchujemy całymi dniami, a za oknem – upał, sport, bicie. Życie jest piękne!

Zdzisiek Michalak z nudów rysuje. Już każdy z nas ma wierny portret. Nam jednak wydaje się, że to karykatury, tak jesteśmy zmienieni. Na naszych drzwiach wisi groźne ostrzeżenie: Achtung, Lause!5 A za szybą zazdrosne spoj-

1 Tak, panie lageraltesterze!

2' Kto ma jeszcze...?

3I ty też! Ty plugawy worze!

4 Zgadza się! Dalej pracować!

5 Uwaga, wszy!

32.

rzenia wymęczonych sportem i pracą kolegów. Błagają bodaj o jedną wesz. Przy okazji wyjścia do ubikacji udaje nam się odstąpić parę swym najbliższym kolegom. Niebawem nasza tarnowska cela jest znowu w komplecie. Dowiadujemy się, że już wielu zostało przeniesionych do drugiego obozu – do koszar. Podobno jest tam o wiele lepiej niż tutaj. Tam pracują, a tu jest tylko „sport”.

Dzisiaj było wyjątkowo dużo ochotników „chorych na wszy”. Ale już nie przyjmują. Kto teraz zgłasza, że ma wszy, dostaje „pięć na d...”

Przypuszczalnie wszyscy mają już wszy, ale też od tej pory nikt więcej nie przyznaje się.

Rozdział V

Przywieziono nowy transport więźniów z Wiśnicza i z Montelupich w Krakowie.

Przywitalo ich tak samo jak nas przed tygodniem. Następnego dnia zaś odprowadzono do obozu głównego, jak i większą część więźniów z naszego transportu.

Po dwóch dniach przyszedł następny transport, tym razem ze Śląska. Oni też przeszli do koszar.

Zapędzono nas, to jest „wszarzy”, do roboty. Robiliśmy porządki wokół budynku, tzw. stabsgebaude, w którym mieszkaliśmy. Jeszcze przed paru dniami były tu dwa czy trzy groby z krzyżami i podziurawionymi hełmami polskich żołnierzy. Krzyże pewnie posłużyły kapom za drągi do bicia, bo nie zostało z nich śladu. Hełmy walały się opodal do niczego nieprzydatne. Wszystkie śmieci i brudy wyrzucaliśmy do rozebranych czy też nie wykończonych bunkrów przeciwlotniczych, leżących za blokiem od strony południowej. Nie goniono nas, bo kapowie i esesmani byli zajęci więźniami będącymi już w głównym obozie.

Niebawem i my znaleźliśmy się tam. Po odwszeniu i kąpieli oraz zdaniu naszych cywilnych ubrań dostaliśmy pasiaste ubrania i bieliznę. Jako byłych „wszarzy” nie posłano nas do bloków, gdzie znalazła się większość więźniów, lecz umieszczono na tzw. kwarantannie. Kwarantannę stanowiły trzy bloki, oparkanione wokół kolczastym drutem. Ostatni z nich, jednopiętrowy, był zaczątkiem późniejszego szpitala obozowego. Naszym kapo był

33.

Leo Wietschorek, nr 30. To ten sam bandzior, który jednym uderzeniem w podbródek zwał z nóg każdego, kto mu się tylko nawinał pod rękę.

1 Apel. Stoimy w szeregach na obszernym placu za blokiem szpitalnym. Kapowie nie mogą się nas doliczyć. Esesmani też. Apel się nie zgadza. Czyżby ktoś uciekł?

Liczą i liczą, doliczyć się jednak nie mogą. Są wściekli. Swą wściekłość wyładowują na nas. Stoimy na baczność, jeden obok drugiego, w odstępach na długość ramienia. Ręce splecione z tyłu głowy. Łokcie jak najbardziej do tyłu. Stoimy tak przez godzinę, może dłużej, a może krócej, bo teraz czas jest niewymierny. Każda chwila wydaje się nieskończona. Ręce omdlewają. Łokcie mimo woli wysuwają się do przodu. Ale „ONI” wszystko widzą. Zaraz jest któryś przy tobie i wali cię w zęby. Za karę kniebeugen, ręce jednak mają pozostać w tyle głowy. Trudno długo wytrzymać w takiej pozycji.

Nadchodzi grupa esesmanów. Jest wśród nich rapport-fuhrer Palitzsch. Młody,

zgrabny, w pięknie skrojonym mundurze, o nieprzyjemnej, pryszczatej gębie.
– Dolmetscher! – skanduje ostrym, przenikliwym głosem
I Na jego głos podrywa się więzień, hrabia Baworowski. Niezgrabna, długa,
wychudzona postać wysłuchuje urywanych szczęknięć scharfiihrera.
Baworowski, blady ze strachu, drżącym głosem tłumaczy:
– Uciekł więzień... Wiejowski... Niech zgłosi się ten, kto pomógł mu w
ucieczce...

Cisza. Nikt się nie zgłasza.

– Będziecie stać tak długo, aż ktoś się zgłosi! – Ci-
sza – Verfluchte Bandę! Ich werde euch helfen!1

Baworowski znienacka kopnięty w tyłek potoczył się
w kierunku naszych szeregów, gubiąc po drodze okulary, Cofa się. Rozgląda
bezzadnie. Pełza na czworakach, rękami obmacuje wokoło. Są! Złamana oprawa nic
chce się trzymać na nosie.

Esesmani odeszli. Teraz ćwiczy nas Leo. Ściemnia się. Dzięki temu udaje nam się
„szwarcować”. Kapowie, wi-

1 Przeklęta zgraja! Ja wam pomogę!

34.

docznie też już zmęczeni, urywają się po jednym do bloku. Po jakimś czasie
wrócił Leo, głośno mlaskając. Jeszcze ma resztki jedzenia w ustach, a już się
drze:

– Kniebeugen!

Siedzę wygodnie na piętach. Inni robią tak samo. Wszyscy nie mogą oszukiwać.

– Aut!

Jak ciężko wstać. Tym, którzy nie mogą powstać, pomaga Leo kijem. Głód dokucza.
Teraz stoimy na baczność, trzymając ręce do góry. Jest już noc. Od rzeki napływa
lepka, zimna wilgoć. Rąk już się nie czuje, barki straszliwie boją. Leo znowu
gdzieś zniknął. Opuszczamy ręce. Napływająca krew sprawia dotkliwy ból, minuty
wloką się w nieskończoność. Jest coraz zimniej. Trzęsiemy się jak w ataku
malarii. I to ssanie w żołądku. Żeby choć łyk gorącej kawy. Ktoś prosi za
potrzebą. Nie wolno! Siusiamy w spodnie.

Brzask! Teraz chłód jest tak dokuczliwy, że wszyscy szczękamy głośno zębami.

Kiedy się to skończy! Może złapią uciekiniera? Raptem wychyliło się słońce z za
bloku. Zrobiło się ciepło. Dla odmiany każą założyć ręce w tył głowy. Upragnione
słońce coraz więcej dokucza. Dobrze, że splecione dłonie chronią teraz gołą
głowę przed gorącymi promieniami! Pić!!! Pada ktoś zemdlony. Dосkoczył Leo.
Okłada go kijem, ale to już niewiele pomaga. Za chwilę pada drugi, trzeci. Z
nieba leje się istny ogień. Ból w nogach i rękach. Niepodobna jest dłużej stać w
tym żarze. Wielu symuluje omdlenie. Nim doskoczy Leo, by przywrócić do
przytomności leżącego, można chwilę odpocząć. Postanawiam spróbować tej sztuki i
ja. Zwalam się twarzą do ziemi. Jaka ulga! Lecz za moment nadejdzie Leo. Słyszę
już szelest żwiru pod nogami nadchodzącego. Czyjaś ręka podsuwa mi coś pod nos.
To nie Leo! To kapo rewiru. Małe, świdrujące oczka mrugnęły porozumiewawczo. Nim
doszedł Leo, niosą mnie już na rewir. W sztubie leży kilkunastu na słomie. Jest
i kawa. Kapo rewiru Bock dał jakieś pigułki. Połknąłem je i natychmiast
zasnąłem. „Stójka” trwała do godziny czternastej. Udało mi się więc urwać cztery
godziny. Stalibyśmy dłużej, ale podobno ktoś się przyznał do pomocy w ucieczce.
Następnego dnia przeniesiono nas z kwarantanny do bloku nr 2. Blokowym był
Niemiec, przestępca kryminalny, oznaczony zielonym trójkątem z nr. 6. Nazywał
się Bo-nitz. Jego zastępcą był Ślżak, Jasiński.

35.

Rozdział VI

Staliśmy na prowizorycznych rusztowaniach jeden obok
drugiego. Każdy trzymał w dłoni żelazną klamrę, jaką spina
się belki. Całymi dniami kuliśmy ściany bloków odbijając z
nich tynk, aż do ukazania się czerwonej cegły. Wtedy przenosi-
liśmy się na inne miejsce, gdzie rozpoczynało się kuć od nowa.
Praca nie była ciężka, ale od nagranych słońcem murów bił
żar jak z pieca, na domiar było się stale na widoku, a co za

tym idzie, robić trzeba było rzetelnie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. W każdym razie lepsze to było niż sport i bicie.

Nie zawsze jednak udawało się wkraść do tego samego komanda. Raz nosiłem cegły do budującego się krematorium, innym razem woziłem taczkami gruz, którym zasypany był obszerne plac będący kiedyś ujeżdżalnią dla koni a obecnie przygotowywany pod plac apelowy. Tu pracowało się im Laufschrift. Tu też najwięcej otrzymywało się razów od kapów i esesmanów. Zazdrosnym okiem spoglądałem na więźniów zajętych przy budowie wartowni tuż przy wejściu do obozu. Postanowiłem dostać się do tego komanda, Nazajutrz rano bezpośrednio po apelu, kiedy padła komenda: Arbeitskommando formieren!2, w kilku rzuciliśmy się do grupy cieśli i stolarzy. Wysoki kapo znał już swoich ludzi, tak zresztą jak każdy prądzący swoją grupę roboczą. Krzykiem i szturchańcami przepędził nas szybko. Próbowaliśmy zatem dostać się do jakiegoś innego komanda biegnąc od jednej grupy do drugiej. Nic z tego nie wyszło. Komanda rozchodziły się do pracy, a lagerkapo wyławiał tych platających się bez przydziału. Byli to przeważnie najmniej zaradni, starzy, chorzy, pobici, jednym słowem zmuzułmanieni". „Muzułmanie" dostawali najgorszą robotę,

przeważnie przy taczkach, gdzie bito i goniono niemiłosiernie. Znaleźliśmy się wśród nich. Kapo Leo zagarniał już nas pod swoją „opiekę", kiedy w porę zjawił się kapo arbeitsdienst Otto. Otto wszedł między zbitą gromadę „bezrobotnych", wybrał kilku młodych i lepiej wyglądających, między którymi znalazłem się i ja.

1. w biegu

2. Ustawić się w drużyny robocze!

36.

Nieszczęsnego Dziunia zagarnął Leo. Wiecznie porozbijany, z pokiereszowaną gębą, stale zwracał na siebie uwagę. Dziunio miał pecha!...

My zaś poprowadzeni przez Otta szczęśliwie odmaszerowaliśmy w kierunku piętrowego bloku znajdującego się przy bramie wejściowej do obozu. Tam kręcił się kapo Balke dozorcą swoich ludzi, ciosających siekierami belki na budowę przyszłej wartowni. Otto zaprowadził nas do wielkiej sali na parterze bloku, gdzie znajdował się magazyn desek, które kazał nam sortować. Pokręcił się chwilę, trzepnął patyczkiem pieiwszego z brzegu więźnia, po czym drobnym kroczkiem skierował się ku wyjściu. Na odchodnym wypowiedział kilka sakramentalnych słów, starając się mówić po polsku:

— Dalii, dalii! Robota!

Zniknął. Swój chłop z tego Otta! Zabraliśmy się żwawo do pracy, tym bardziej że na dworze zaczął padać deszcz i tu w murach zrobiło się chłodno. Deski przesortowaliśmy szybko, o wiele za szybko, jak się okazało, bo już wkrótce nie było co robić. Żeby nie stać beczynnym, przenosiliśmy drzewo z kąta w kąt, w zwolnionym tempie oczywiście, ażeby roboty starczyło jak najdłużej. W końcu i to nas znużyło, posiadaliśmy więc sobie na deskach i dawaj gawędzić.

Tak właśnie zastał nas Palitzsch. Stał w drzwiach już od dłuższego czasu, nie zauważony przez nas. Za jego plecami czaiła się czarna sylwetka lageraltestera Bruna. Pierwszy dostrzegł ich Kazio Szumlakowski. Wprawdzie krzyknął przepisowe Achtung, ale było już za późno na ostrzeżenie. Wpadliśmy sromotnie, i to u najgorszych.

Było nas siedmiu. Staliśmy rzędem w jednym szeregu. Ja byłem pierwszy, więc posłusznie położyłem się na taborecie. Wypiąłem tyłek. Bruno, trzymając moją głowę między swoimi kolanami, mocno podciągnął mi spodnie, żeby były dobrze opięte. Palitzsch zamierzył się.

— Licz! — warknął. Bruno.

— Eins! — Uderzenie mocne, krótkie. Ból tępy, umiejscowiony wzdłuż pręgi, do której przyłgnał na moment drąg oprawcy.

— Zwei-i-i-i...! — Co za piekielny ból. Usiłowałem się wyrwać, ale Bruno, stary praktyk, trzymał dobrze.

— Drrreeei...! — Boże! Nie wytrzymam. Rwie, pali, pęcznieje, czuję, jak puchnie. Jeszcze raz: Viiiiii-er.. I jeszcze raz: Funf!!!

1 Raz... dwa... trzy... cztery... pięć!

37.

Zrywam się jak opętany. Bruno ustawia mnie na końcu kolejki obok Romka Trojanowskiego. – Następny!! Kładzie się Kazik Szumlakowski.

– Eins, zwei, drei, vier, fiinf! Gdy jedynie przygląda się biciu, to wydaje się, że trwa to nawet krótko. – Następny! Miecio Popkiewicz, potem Tadek Szwed, następnie Edek Galiński, po nim Bolek Szumlakowski. – Następny!

Jeszcze jeden pozostał. Nawet nie zauważyłem, że Romek Trojanowski przesunął się za mnie. Teraz ja stoję jako ostatni. Rozglądam się bezradnie. – Czego się oglądasz! Du bioder Hund! Komm!!

Bruno ciągnie mnie za kołnierz, ja wrzeszczę, że już przecież dostałem swoją porcję. Opieram się, tłumaczę, gestykuluję, czym tylko doprowadzam Niemców do większej wściekłości. Po trzech uderzeniach dopiero spostrzegłem, że zapomniałem głośno liczyć. Więc teraz drę się, ile wlezie.

– Vier!!! – Nic z tego. Bruno poprawia: – Eins! – Ja krzyczę: – Fiinf!!! – a Bruno: Zwei!

Szarpnąłem się mocno, bo dostałem wyżej jak normal-He, w krzyż, a to jeszcze boleśniejsze. Jakimś cudem wyrwałem głowę z uścisku kolan Bruna i żeby uniknąć cio-sów rozwścieczonego Palitzscha, obłapiłem rękami jego nogi obute w wyglansowane cholewy. Palitzsch młócił drągiem jak cepem zboże, trafiając raz w podłogę, raz we mnie. Uderzenia stopniowo malały i nie były już takie mocne, bo nie miał rozmachu. Kopać mnie nie mógł, gdyż trzymałem się jego butów kurczowo, oburącz. Okręcając się wkoło Palitzscha. starałem się uniknąć razów. Padło jeszcze jedno uderzenie, po czym drąg złamał się w połowie. Rozluźniłem ręce. Dostałem teraz potężnego kopniaka i na tym się skończyło. Zasapany Palitzsch zbierał się do wyjścia. Tymczasem Bruno zdążył przynieść nowy drąg, ale Palitzsch już był w drzwiach. Bruno jeszcze tylko pogroził nam kijem, i już ich nie było.

1 Ty głupkowaty psie! Chodź!

38.

Na południowy apel ledwie się dowlokłem. Deszcz przestał padać, zza chmur wychyliło się słońce. Naraz zrobiło się gorąco i duszno. Czułem, jak tracę przytomność. Mimo głodu obiadu zjeść nie mogłem. Po południu do pracy nie poszedłem. Blokowy Bonitz zezwolił mi wyjątkowo pozostać w bloku. Leżałem na brzuchu. Pośladki na-puchły i okropnie bolały. Zdawało mi się, że ciało odchodzi od kości. Na kolację wypilem tylko kawę, chleb schowałem sobie pod głowę. Zdrzemnąłem się, a kiedy się obudziłem, chleba już nie było.

Rano byłem całkiem rozbity. Dowlokłem się jednak na apel. Dostałem się znowu do obijania tynku. Romek, Mietek i Tadzik natomiast weszli w skład komanda stolarzy, jako młodociani. Dzień minął względnie spokojnie.

Nazajutrz rano czułem się już dużo lepiej. Otto przydzielił mnie do komanda cieśli. Była to po części zasługa Romka, za którego tak wczoraj oberwałem. Starał się jakoś wynagrodzić mi krzywdę, której bezwiednie stał się przyczyną.

Rozdział VII

Nazajutrz rano siedziałem okrakiem na belce i specjalnym nożem oczyszczałem ją z kory. Obok mnie pracował z zapałem jakiś więzień. Robota paliła mu się w rękach. Myślałem, że to zawodowy cieśla, tak składnie szła mu praca. Roześmiał się, kiedy go o to zapytałem. W tajemnicy powiedział mi, że jest zakonnikiem, kapucynem, tylko woli nie zdradzać się z tym. Teraz przypomniałem sobie, że w dniu naszego przyjazdu był wśród nas zakonnik z charakterystyczną długą brodą. Po ogoleniu nie można go było odróżnić od innych więźniów.

Wolak był młodym mężczyzną, nieco starszym ode mnie. Był w łaskach u kapo Balke, bo starał się dobrze pracować. Po przejściach z Palitzszchem byłem tak osłabiony, że widząc to, Wolak wykonywał pracę za siebie i za mnie. Toteż trzymałem się go jak swego opiekuna. Był nim zresztą, zawsze pełen pogody i optymizmu. Wieczorem

po apelu siedzieliśmy razem w licznej grupie więźniów, spoglądając zazdrośnie na szczęśliwców ze śląskiego transportu kupujących w kantynie – za marki przysłane im z domu – różne wiktuały. My z tarnowskiego transportu,

39.

a więc z Generalgouvernement, nie mieliśmy nawet żadnej

wiadomości z domów, a cóż dopiero mówić o pieniądzach. Wolak wpadł na pewien pomysł. – Słuchaj! Przecież my też możemy mieć pieniądze! Odciągnął mnie na bok, żeby nas nikt nie podsłuchiwał,

i przedstawił swój plan. Otóż spośród stolarzy dwóch czy trzech więźniów umiejących obchodzić się z maszynami wychodzi z postami do miasta. Tam, w warsztatach oo. salezjanów, heblują deski potrzebne do budowy blockfuh-
rerstuby. On sam porozmawia z kapo i przedstawi mnie jako dobrego fachowca, stolarza, obznajomionego z obróbką drewna. W ten sposób nawiązemy kontakt z salezjanami i będzie forsa. Było nas trzech „fachowców”. Otto zaprowadził nas pod bramę obozu, gdzie przydzielono nam dwóch konwojentów jako eskortę SS. Esesmani poprowadzili nas obok budującej się wartowni. Wolak stał w kolejce po narzędzia wydawane przez kapo z dużej drewnianej skrzyni. Widziałem, jak w pewnym momencie zrobił nieznaczny ruch ręką. i Ranek był piękny. Nad głowami szumiały lekko wielkie i rozłożyste topole, z srebrzystych liści spadały krople rosy. W pobliżu budującego się krematorium mijały nas pędzone i wystraszone grupy więźniów dźwigających cegły. Skręciliśmy w prawo, gdzie było wielu esesmanów. Co chwila zdejmowaliśmy przed nimi czapki. Jeszcze tylko jeden szlaban, gdzie jakiś scharfuhrer sprawdził przepustkę, i znaleźliśmy się poza obrębem obozu. Maszerowaliśmy wałem wzdłuż rzeki. Obok biegła droga, o tej porze prawie pusta. Przejeżdżające auto wzbilo tumany kurzu mijając nas i kilku rowerzystów jadących widocznie do pracy. Na łące w pobliżu mostu jakaś dziewczyna pasła krowy. Ze

zdziwieniem patrzyła w naszą stronę. Minawszy most, znaleźliśmy się w miasteczku. Tu ruch był większy. Esesmani kazali nam maszerować środkiem jezdni. Odprowadzani byliśmy spojrzzeniami wystraszonych przechodniów. Opuściwszy rynek, znaleźliśmy się w zabudowaniach kasztornych. Esesman pouczył nas, że w czasie pracy nie wolno nam z nikim rozmawiać ani oddalać się z warsztatu. Uwaga ta odnosiła się właściwie do mnie, jako że byłem pierwszy raz, dwaj pozostali chodzili tu już od paru dni, u więc wiedzieli dobrze, co im wolno było robić, a co było zabronione.

40.

W obszernym pomieszczeniu pracowało już kilku cywilów, którzy zdawali się nie zauważać naszego wejścia. Nasi konwojenci stanęli w otwartych drzwiach prowadzących na podwórze, oparli karabiny o futrynę drzwi i zaczęli zwijać papierosy. Zjawił się majster, przywitał się z nimi podniesieniem ręki, po czym kiwnął na mnie palcem. Zbliżyłem się do niego, zdejmując czapkę z głowy. Mówił coś do mnie po niemiecku, ale nie bardzo rozumiałem, czego ode mnie chce. Na dodatek maszyny huczały niemiłosiernie, toteż starając się przekrzyczeć hałas zapytał mnie po polsku:

– Tyś stolarz?

– Tak – odpowiedziałem niepewnie

– A na maszynach robić umiesz?

– Nie bardzo – odpowiedziałem już śmieiej, widząc, że majster zwraca się do mnie przyjaźnie.

– No to będziesz podawał deski tu na tę maszynę, która fuguje.

Zabrałem się do roboty. Podawałem deski już oheblo-wane, które młody robotnik podstawiał pod wirujące noże. Przytrzymując, podsuwałem je, by cała deska po desce przeszła na drugą stronę, już z odpowiednią fugą, wtedy obchodziłem robotnika, łapałem obrobioną deskę, po czym układałem jedną na drugiej w kacie stolarni. Robota szła mi coraz sprawniej, nikt mnie nie bił, nikt nie poganiał, czas leciał szybko. Nawet nie zauważyłem, gdy zrobiło się południe.

Przyjechało auto z obozu. Trzeba było teraz gotowe deski załadować, co zrobiliśmy migiem, bo już czekał nas obiad.

Obiad obozowy połknęliśmy w mgnieniu oka, nie nasyciwszy wcale żołądków. Majster wdał się w rozmowę z esesmanami, po czym wyszedł na podwórze. Teraz nadarzała

się okazja porozmawiać z cywilami.

Mój cywil dał mi kawał chleba ze słoniną, który przyjąłem z wdzięcznością, oglądając się ze strachem, czy aby esesmani tego nie zauważyli.

– Nie bój się, jedz spokojnie! – powiedział. – Majster oddalił się z nimi celowo. Ten gruby esesman to Ślązak, a ten drugi też nie jest zły. Gorzej, jeśli zamiast niego przyjdzie taki młody, przystojny blondynek. Na tego to trzeba bardzo uważać!

41.

Cywil wypytywał mnie o obóz. Coś niecoś już wiedział od mego poprzednika. Bicie, głód... – o tym słyszał. Żona zawsze pakuje mu podwójną porcję śniadania, którym do-tychczas dzielił się z moim poprzednikiem. Pokazał mi miejsce, w którym je tak podkładał, żeby nikt nie widział. Podziękowałem mu. W rozmowie jakby mimochodem wspomniałem, że jest w obozie ksiądz, zakonnik, który chciałby skontaktować się przeze mnie z salezjanami. Tłumaczyłem, że w obozie mamy kantynę, tylko nie wszyscy mogą z niej korzystać, bo nie posiadają marek. Chyba chwyciło, gdyż obiecał porozmawiać z majstrem i dać mi znać w następnym dniu o wyniku rozmowy.

Wrócił majster z postami. Koniec przerwy! Do roboty!

O trzeciej robotnicy odeszli, my zaś grzebaliśmy się do piątej, po czym esesmani nakazali powrót. Wracaliśmy tą samą drogą. Było jeszcze bardzo upalnie. Tuż za mostem skręciliśmy w lewo, zbiegliśmy ze skarpy, żeby znaleźć się na łące wiodącej do wału nad rzeką. Jeden z kolegów poprosił postów, żeby się na moment zatrzymali, bo musi się załatwić.

– Tylko prędko! – Odpowiedział po polsku ten tęż-szy, po czym zabrał się do zwijania papierosa.

Więzień podskoczył szybko pod opłótek znajdujący się obok, szukał tam czegoś chwilę, schylił się po jakieś zawiniątko i już był z powrotem.

Każdemu przypadła spora pajda chleba z tłustym bocz-kiem.

– Zjedz szybko! – mówił dobroczyńca – jeszcze przed znalezieniem się w pobliżu obozu! Do obozu nie masz co wnosić! Może być rewizja i wsypa gotowa!

Jedząc rozglądałem się za dziewczyną, którą widziałem tu rano pasącą krowy. Nie było jej nigdzie widać, ale byłem przekonany, że ten podrzucony chleb to jej sprawka.

Naprzeciw nas pedałowal na rowerze jakiś esesman. Nasi konwojenci pozdrowili mijającego podniesieniem ręki: – Heil Hitler!

Gdv tylko zdażył nas minąć, odezwał się znowu ten gruby:

– No jak? Zjedliście? Wszystko?... Żeby mi niczego nie wnosić do obozu i nikomu nic nie gadać!... A teraz los! Weiter! Links und links!1

1 Jazda! Dalej! Lewa i lewa!

42.

Rozdział VIII

Przez następnych parę dni nic właściwie się nie zmieniło. Chodziliśmy do pracy w tym samym składzie, mój cywil mnie systematycznie dokarmiał. W powrotnej drodze też zawsze znalazło się coś do zjedzenia. W dalszym ciągu jednak nie było pieniędzy. Wolak postanowił wreszcie napisać karteczkę z prośbą o marki. Może to odniesie lepszy skutek. Nazajutrz miałem tę kartkę doręczyć komukolwiek z oo. salezjanów przez znajomego robotnika, z którym pracowałem przy jednej maszynie. Wolak napisał gryps po łacinie. Karteczkę zwinąłem w rulonik i umieściłem ją w szwie u spodu pasiastej marynarki.

Nazajutrz przydzielono nam nowych postów. Pech!

Obaj esesmani byli młodzi, butni, pewni siebie i, co najgorsze, traktowali nas z całą bezwzględnością. W czasie drogi do zakładu oo. salezjanów zabronili nam nawet rozmawiać, a kiedy przechodząc koło ładu zboża zerwałem kłos odpokutowałem to robiąc hiipfen aż do łąki, gdzie zwykle pasły się krowy.

Żeby tylko ta dziewczyna nie podkładała dzisiaj chleba, bo oberwie, a i nam się znowu dostanie... – pomyślałem.

W zakładzie praca szła nerwowo, esesmani nie spuszczała z nas oka, ciągle nas

poganiali, wyzywając. Mimo to szukałem okazji, żeby niepostrzeżenie podać gryps swojemu cywilowi, czując ciągle wzrok Niemców na sobie. Postanowiłem jednak za wszelką cenę pozbyć się karteczki, obawiałem się bowiem, że w powrotnej drodze do obozu mogą nas ci gorliwcy rewidować.

Po południu, widząc, że cywile za chwilę skończą pracę, musiałem zaryzykować, aczkolwiek z duszą na ramieniu. W trakcie przesuwania deski na maszynie błyskawicznie wyłuskałem gryps z marynarki i będąc już w najmniejszej odległości od robotnika cywila, wysunąłem nieznacznie karteczkę w wióry fugowanej deski. Robotnik momentalnie się zorientował i w chwili kiedy oddaliłem się, żeby przynieść następną deskę, zgarnął niepotrzebne wióry z maszyny do jakiegoś pudła, odstawiając je w kąt stolarni. Po jakimś czasie pudło to przeniósł do innego pomieszczenia obok, po drodze dosypując doń jeszcze jakichś niepotrzebnych śmieci.

No, udało się...! – odetchnąłem z ulgą.

Rozochocony tym sukcesem, postanowiłem nie darować

43.

porcji chleba ze słoniną, którą zwykł mi pozostawiać ro-botnik. Leżała na półce zawinięta w papier wśród różnych narzędzi. Wystarczyło tylko po nią sięgnąć ręką. Normalnie, przy poprzednich postach, już bym ją dawno zjadł. Ale ci przekłeci, bacznie nas obserwowali. Zdawało mi się na-wet, że jeden z nich czeka tylko na okazję, żeby mnie zła-pać na czymś niedozwolonym. A może widział przygotowaną dla mnie porcję i tylko czekał, bym sięgnął po nią?... Jakkolwiek byłem głodny, wolałem więcej już nie ryzykować. Może jutro będzie lepiej? – Feierabend! Los! bewegt euch!1 Na odchodnym post zerknął jednak na półkę. Porcja le-żała nietknięta. Mimo to w drodze powrotnej zrewidowali nas. Właśnie na łące, koło tego opłotka, gdzie jak zwykle leżał podrzucony dla nas prowiant. Z daleka obserwowała nas dziewczyna. Maszerując cały czas myślałem o pajdce chleba pozostawionej w zakładzie. W obozie czekała mnie jedynie maleńka porcja chleba z kawałkiem margaryny. A w kantynie... lepiej nie myśleć o jedzeniu, bo kiszki jesz-cze bardziej się skręcają.

– Links, links und links! – weszliśmy do obozu.

Po apelu Wolak szybko mnie odszukał. No jak, masz?

Rozłożyłem ręce: – Jeszcze nie! Może jutro się uda...

Następny dzień zapowiadał się dobrze. Dwaj młodzi esesmani widocznie poszli z innymi więźniami, bo do nas dołączyli poprzedni. Ten tęgi i starszy wiekiem był w do-brym humorze. Poprzedniego dnia był w Chorzowie u ro-dziny. Poczęstował nas tytoniem. Koledzy skorzystali, ja nie, bo jeszcze w tym czasie nie paliłem. Na łące pasła krowy dziewczyna i jak zwykle obserwowała nas z dale-ka. W zakładzie robotnicy już byli przy swoich warsztatach.

– Heil Hitler! – pozdrowili ich esesmani. – Guten Morgen!2 – odpowiedzieli chórem.

1 Koniec pracy! Jazda! Ruszajcie się!

2 Dzień dobry!

44.

– Dzień dobry! – przywitałem swojego cywila.

– Dzień dobry! – odpowiedział, wskazując na półkę. gdzie leżały dwa zawiniątka.

– Dzisiaj czeka cię podwójna robota! – dorzucił wesoło.

Majster starym zwyczajem zagadywał postów, wyciągając ich na podwórko. Teraz mogłem swobodnie się nasycić.

Zagadnąłem o karteczkę. W porządku! Oddał majstrowi, a majster dyrektorowi oo. salezjanów. Godziny pracy mijały szybko. Przed południem jeden z postów zostawił swój karabin drugiemu i wyszedł na parę minut. Gdy wrócił, poszedł drugi. Czuć było od nich piwo. My dostaliśmy słodką kawę. Pić się chciało, bo to i gorąco, i człowiek najedzony.

Majster przede mną się przyglądał. Podszedł w końcu i wskazując na maszynę, która z przeraźliwym wyciem strugała brzeg deski, starając się przekrzyczeć ten zagłuszający jazgot, mówił:

– Dostaniesz marki dla tego księdza, tylko na miłość boską uważajcie!!! On ci poda! – tu wskazał robotnika pracującego przy maszynie. W czasie przerwy

obiadowej zobaczyłem dyrektora. Przechodził przez stolarnię, wysoki, poważny, zatrzymując się na małą rozmowę z majstrem. Na esesmanów zdawał się nie patrzeć. Jak niespodziewanie się pojawił, tak równie szybko zniknął.

Więc to od tego księdza będą upragnione marki? – o-lśniło mnie nagle. Mój cywil dał mi wyraźnie znak przed odejściem. We wiórach leżał zwitek banknotów.

Spojrzałem na drzwi. W porządku. Esesmani zdawali się być zajęci rozmową i nie zwracali uwagi na to, co dzieje się w stolarni. Zwinąłem banknoty i tak, żeby moi koledzy nie zauważyli, schowałem w zaszwękę pasiaka. Nikt niczego nie zauważył. Szczęście dosłownie mnie rozpierało. Dobry dzień miałem dzisiaj! Nie ma co!!!

W drodze powrotnej jak zwykle przystanęliśmy koło opłotka. Dziewczyna pasąca krowy przyglądała nam się z daleka. Zawiniątko leżało w tym samym miejscu co zawsze.

Zajadałem chleb dużymi kęsami, a pewna myśl nie dawała mi spokoju. Spodziewałem się jednego banknotu, a ich jest przecież kilka. Wolak wspomniał, że prosił

45.

o dziesięć, piętnaście marek. Tyle zresztą wolno było przy-słać do obozu mieszkańcom Rzeszy.

A może dali więcej?... Jeżeli tak, to nikomu przecież krzywda się nie stanie, jeśli zatrzymam dla siebie pięć marek! Za ryzyko coś mi się przecież należy!... Muszę tylko sprawdzić, ile tego jest, nim zobaczę się z Wolakiem. Tak rozmyślając nawet nie spostrzegłem, kiedy znaleźliśmy się w obozie. Słychać było już gong wzywający na apel.'

Chyba zdążę jeszcze podskoczyć do latryny znajdującej się między drugim a trzecim blokiem... Tam powinno być teraz pusto, bo wszyscy biegną na apel...

Rozdział IX

W latrynie było rzeczywiście pusto. To dobrze! Wydobyłem marki. Liczę. Są cztery pięciomarkówki. Świetnie! Odłożyłem jedną do kieszeni spodni, resztę zwinąłem z powrotem.

Nagle poczułem czyjąś ciężką łapę na swym karku. – Was machst du hier?1

Skuliłem się w sobie. Gdybym miał włosy na głowie, chyba stanęłyby mi dęba.

Wiadomo, na złodzieju czapka gore! – Wo hast du das Geld her? du Spitzbube!!2 – ryknął spoglądając na mój numer.

Domyślił się od razu, że będąc z pierwszego transportu nie mogłem otrzymać pieniędzy z domu. Zabrał mi pienia-dze, nawet te, które zdążyłem schować do kieszeni spodni. Kapo Grónke sam był starym złodziejem, myślałem więc, że zabierając mi pieniądze, da mi spokój. Tymczasem trzymając mnie za kołnierz, prowadził mnie na plac apelowy do szeregów, gdzie stał mój blok. Dostałem jeszcze solidnego kopniaka, a blokowy Bonitz mi dołożył.

1 Co tu robisz?

2 Skąd masz pieniądze? Ty łotrze!!

46.

Podczas apelu przysunął się do mnie Wolak.

– Co się stało?

– Kapo szewców zabrał mi 20 marek. Twierdzi, że radłem. Po apelu mam się zgłosić do blokowego...

Schreiber Jasiński poprowadził mnie do pokoju bloko-go. Czekali już. Pieniądze jako corpus delicti leżały na docznym miejscu, pośrodku stołu. Stanałem w progu, żący i pełen najgorszych przeczuć. Wstrętna gęba kapo e wróżyła nic dobrego.

Bonitz, uśmiechając się złowiesz-o, przywołał mnie skinieniem palca.

– Komm! Komm! Du alter Spitzbube! Keine Angst! mml1 – ryknął.

Zbliżyłem się nieśmiało i w tym momencie dostałem twarz od wysokiego kapo. Nim się otrząsałem, popra-ł z drugiej strony. Byłby mnie prał dalej, ale wstrzymał wspaniałomyślnie blokowy.

– Ruhe! Schreiber! – przywołał Jasińskiego. – Tłu-acz!

– Skąd masz pieniądze? – padło pierwsze pytanie.

– Znalazłem.

– Gdzie je znalazłeś?

– W latrynie.

- Kłamiesz! – uniósł się blokowy. Nikt w obozie tyłu ieniędzy nie mógł mieć. Najwyżej piętnaście marek.
- Das ist Quatsch! Du bioder Hund!... Fiinfundzwanzig Mark! – wskazał na stół. Rzeczywiście! Leżało tam pięć banknotów pięcio-arkowych. Więc było więcej, a ja w pośpiechu nie zważyłem nawet tego.
- Pokaż swoją marynarkę! Ten schówek na pieniądze był wcześniej przygotowany! – z triumfem pokazywał apok na długą szparę zrobioną w zagięciu mego pasiaka. Nowu wyrzynał mnie w twarz. Doskoczył Bonitz. Bili mnie eraz obaj.
- Powiedz prawdę, powiedz, jak było! – doradza) litując się Jasiński.
- Prędej!... Bo cię tu naprawdę zatłuka
- W którym komandzie pracujesz? – usłyszałem jesz-cze

W słu. Clahrondi? Chodź! Ty stary łobuzie! Nie bój się! Chodź!
 2. to bzdura! Ty głupawy psie! Dwadzieścia pięć marek!

47.

Posłano Jasińskiego po kapo Balke. Zjawił się Balke. Już wiedział, o co chodzi, od Jasińskiego. Naradzali się teraz wszyscy trzej. Niewiele z tego rozumiałem. Łudziłem się jeszcze, że podziela się łupem i koniec na tym. Ale nie! Teraz dopiero zaczęło się śledztwo. Byli już na tropie, gdyż kapo stolarzy oznajmił, że pracuję poza obozem, w mieście, w oświęcimskich zakłach oo. salezjanów. A więc kontakty z ludnością cywilną. Po niedawnej ucieczce Wiejowskiego, w którą zamieszani byli rzekomo robotnicy z zewnątrz obozu, Niemcy i specjalnie uczuleni na tym punkcie. Balke jednak stał się zlekceważyć całą sprawę i radził załatwić ją w ramach wewnątrzobozowych, ale kapo Grönke – jako główny bohater wykrycia nie wiadomo jakiej afery – zaproponował złożenie oficjalnego meldunku władzom obozowym. Wreszcie blokowy Bonitz, uderzywszy mnie jeszcze raz na zakończenie śledztwa w twarz, zapowiedział złożenie meldunku zaraz po rannym apelu.

Zupełnie załamany i obity, po tak dobrze zapowiadającym się dniu, relacjonowałem Wolakowi przebieg ostatnich wydarzeń. Przemilczałem jedynie sprawę uszczuple-kwoty o pięć marek, które chciałem zarobić. – Chytry dwa razy traci! – pomyślałem poniewczasie. – Gdybym nie usiłował owych pięciu marek przywłaszczyć sobie, nie doszłoby do tego, co już niestety stało się. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia. Wolak pocieszał, jak mógł, połowę winy zresztą przypisywał sobie.

Na myśl, że jutro rano muszę stawić się do karnego raportu, przed oblicze groźnego rapportfuhrera Palitzscha – cierpła mi skóra. Przez całą noc nie zmrzyłem oka. Wolak, leżący obok mnie, też nie spał. Słyszałem, jak się modlił. Ja modliłem się też.

Gong. Kawa. Apel. Stoję z uczuciem skazańca. Wolak chwyta mnie za rękę, ściska i mówi:

- Wszystko w rękę Boga!... Jeśli będą cię znowu bili, powiedz prawdę, że to dla mnie były przeznaczone te pieniądze

Apel ma się ku końcowi. 1

- Haftling zwei-hundert-neunzig! – krzyczy lager-lltrstcr Bruno.

1 Więzień dwieście dziewięćdziesiąt!

48.

Kto żyw podchwytuje okrzyk, utartym już zwyczajem obozowym.

- Zweihundertneunzig...! – rozlega się wołanie z ust do ust. Omdlałe nogi jakby wrosły w ziemię. Ktoś wypycha mnie z szeregu, doskakuje blokowy i ciągnie mnie za sobą. Staję przed obliczem rapportfuhrera. Zduszonym, jękającym się głosem melduję się. Palitzsch zerknął na mnie mimochodem, po czym donośnym głosem oznajmił:

- Arbeitskommando formieren!

' Stałem samotny obok głównej bramy. Przede mną maszerowały do pracy komanda.

- Links! Links! Ein Lied! „Im Lager Auschwitz war ich zwar..."

Ostatnie komanda zniknęły za budującą się wartownią.

– Czy moje komando wyszło do pracy? – zastanawiałem się. – Chyba tak!...
Przecież jeszcze o niczym nie wiedzą!
Lageraltester podzwaniał ostentacyjnie trzymanymi w rękę łańcuszkami. Takimi uwiązuje się bydło w oborze. Towarzyszył mu wysoki i chudy blockfiihrer o twarzy wymoczka, blady i jakby znudzony. Wyglądał na gruźlika.
– No chodź... – zwrócił się do mnie poprawną polszczyzną. – Podyndasz trochę!
Szliśmy główną ulicą obozową w kierunku bloku trzeciego.
– No to jak tam było z tymi markami? – indagował bezbarwnym głosem.
– Znalazłem pieniądze, panie blockfuhrerze...!
– E, głupi jesteś! Z kim się kontaktowałeś, co?... Najpierw pieniądze, potem inne kontakty z cywilami, a w końcu ucieczka! Politische wydobędzie z ciebie prawdę, jak powisisz na słupku... Du bist fluchtverdachtig!² – dodał po niemiecku, żeby Bruno zrozumiał.
Spojrzałem struchlały na obu. Bruno znowu zadzwijał łańcuszkami.
– Ja...! Ja...! Kerl...!³ – rzekł Bruno ze źle udawanym zmartwieniem.

1 Lewa! Lewa! Piosenka!

2 Jesteś opodejrzany o ucieczkę!

3 Tak...! Tak...! Chłopie...!

49.

Rozdział X

Weszliśmy na strych trzeciego bloku. Ustawiono mnie pod belką, których wiele było na strychu. Ta różniła się od innych jedynie wbitym wysoko hakiem, pod którym stał taboret. Lageraltester sprawnie oplótł mi łańcuszkiem wykręcone do tyłu rękę, po czym kazał wejść na taboret. Esesman spokojnie zapalał papierosa. Jedno mocne szarpnięcie wygiętych do tyłu rąk, podciągnięcie do góry i już byłem zaczepiony do haka. Krzyknąłem więcej ze strachu niż z bólu, bo nogi miałem oparte jeszcze na taborecie. Zgięty w pół widziałem, jak esesman wyciąga notes.

Bruno stał przygotowany, gotów w każdej chwili usunąć mi spod nóg taboret.

– No, mów teraz prawdę, jak to było z tymi pieniędzmi? – doszło do moich uszu pytanie blockfuhrera.

– I tak wyśpiewasz wszystko! Im wcześniej, tym lepiej dla ciebie! Jeszcze przeklniesz swoją matkę, że cię urodziła, jak powisisz trochę... No. gadaj...!

Namyślałem się chwilę, pot ściekał mi z czoła. Wiedziałem, że powiem. Swoje tchórzostwo próbowałem jakoś usprawiedliwić. Przecież Wolak powiedział, że jak zaczną bić, to mam mówić prawdę...

– Na, schnell...!¹ – kusił esesman nachylając się nade mną. Bruno sądząc widocznie, że esesman zwrócił się do

niego, jednym szarpnięciem usunął taboret. Potworny ból w wykręconych barkach wzmagął się z każdą chwilą. Pięć--ami próbowałem hamować opadanie ciała przyciskając je mocno do belki, ale był to daremny trud. Traciłem siły.

– Powiem...! Wszystko powiem...! – wydarło mi się gardła.

– No, szybko się zdecydowałeś!... Lageraltester! – rzekł esesman rozkazująco, podsuwając nogą taboret w moim kierunku. Bruno usłużnie podstawił mi taboret.

, Rozcierając bolące przeguby rąk, zacząłem mówić. Wolak... list... cywil...

– To wszystko? – Esesman zamknął notes. Zeszliśmy na parter. Blockfiihrer rozmawiał chwilę

Z lageraltesterem. Rozumiałem tylko niektóre słowa: –

1 No, szybko...!

50.

Politische Abteilung... Wolak... leichte Arbeit...¹ – Gdy skończyli rozmowę, esesman oddalił się w kierunku budującego się baraku blockfuhrerstuby. Bruno zaprowadził mnie pod kuchnię obok bloku drugiego. Nosiłem wiadrami wodę ze studni znajdującej się opodal bloku trzeciego. Praca nie była ciężka, jednak dźwiganie napełnionych wiader sprawiało mi trudności. Bolały mnie ramiona. Nikt

jednak nie poganiał ani nie bił, a to też miało swoje dobre strony. Myślałem o Wolaku. Myśl ta nie dawała mi spokoju. Pewnie teraz składa zeznania w oddziale politycznym. Wiadomość szybko rozeszła się po obozie. Jedni dziwili się, że wisiałem na słupku i mam jeszcze siły nosić pełne wiadra wody, inni napomykali złośliwie, iż jakoś szybko załatwiono się ze mną na strychu, po czym dostałem lżejszą pracę. Podszedł do mnie nawet jakiś więzień, starszy wiekiem, w okularach na nosie zalepionym liściami, i oburzony powiedział:

– Księża wydałeś, ty świnió!

Coś jeszcze tam mówił z uniesieniem, ale nadbiegł jego kapo, trzasnął go pałką przez plecy i pogonił do grupy więźniów przewożących taczkami gruz z pobliskiego bloku.

Z Wolakiem zobaczyłem się dopiero wieczorem po apelu. Jego przesłuchiwano na Politische. Powiedział tam prawdę o wysłanym liście i jego treści. Prosił tylko o pomoc pieniężną. Sugerowali, że może coś jeszcze innego było treścią listu, ale on konsekwentnie utrzymywał swoje. Zresztą mogą to z łatwością sprawdzić.

– Wiesiu! Głowa do góry! Wszystko będzie dobrze... Za głupie dwadzieścia marek przecież nas nie powieszają...!

Dwadzieścia marek? – pomyślałem – przecież było dwadzieścia pięć marek. Co to się dzieje z tymi pieniędzmi!...

Ten sam blockfiihrer zaprowadził mnie następnego dnia do piętrowego budynku poza obrębem drutów, gdzie mieściło się Politische Abteilung. Wolak pozostał w obozie. Na pewno teraz on nosi wodę do kuchni. Gdy przechodziłem długim korytarzem pierwszego piętra, zdawało mi się, że minałem tego grubego posta. W pokój, do którego mnie zaprowadzono, siedział za biurkiem przystojny ofi-

– —

1 Lekka praca...

51.

cer. Obok niego, przy maszynie do pisania, siedział młody więzień w schludnym pasiaku. Oficer z ciekawością mi się przez chwilę przyglądał, po czym padło pierwsze pytanie. Młody więzień był tłumaczem. Pierwsze pytanie, jak i następne nie miało o najmniejszego z w i a z k u z całą sprawą, w jakiej byłem wezwany. Wypytywał o dom, o rodzinę, zawód ojca, matki, skąd pochodzę itp. Na temat mojego nazwiska słuchałem dłuższego wywodu. Stwierdził, że niemieckie brzmienie nazwiska świadczy o moim germańskim pochodzeniu. Odpowiedziałem, że nazwisko moje jest szwedzkie, tak przynajmniej utrzymywano w domu.

– Ależ tak, to się zgadza! – mówił. – Szwedzi to przecież też Germanie...

Północni Germanie!

Z kolei przeszedł do rzeczy. Musiałem bardzo dokładnie opisać, w jaki sposób dostarczyłem kartkę od Wolaka cywilowi, w jaki sposób otrzymałem pieniądze, jak je przeniósłem do obozu i jak dałem się nakryć podczas przeliczania pieniędzy, chcąc odłożyć dla siebie pięć marek. Uśmiechnął się, kiedy i to opowiedziałem. Nie wydawał mi się groźny, a nawet raczej sympatyczny. Chciał tylko jeszcze wiedzieć, czy przeniósłem tylko ten jeden list pisany po ła-----, czy też było ich więcej. Zaprzeczyłem oczywiście. Na

koniec stwierdził, że to, co zeznałem, na ogół pokrywa się z tym, co powiedział Wolak i przesłuchani już robotnicy zakładu oo. salezjanów.

Za przemykanie do obozu pieniędzy i nawiązanie kontaktu z ludźmi spoza obozu spotka mnie zasłużona kara.

Tego samego dnia po skończonym apelu wywołano nu-mery Wolaka i mój.

Rapportfiihrer Palitzsch kazał lageral-testerowi odprowadzić nas na kwarantannę, mieszczącą się w jednym z bloków w obrębie rewiru. – Byłem zdziwiony, że obeszło się bez bicia.

Widzisz! – mówił Wolak. – Opatrzność czuwa nad nami. –

Rozdział XI

Przed odrutowaną furtką przy wejściu na kwarantannę stał młody chłopiec, może piętnastoletni. Trzasnął obcasami przed lageral-testerem.

52.

– Na, wie geht's Adam? – Bruno klepnął go przyjaźnie po plecach, ten usłużnie otworzył furtkę.

Na schodach przed blokiem rewirowym stało kilku dobrze wyglądających więźniów.

Była to pierwsza obsługa szpitala lagrowego mieszczącego się w tym bloku. Przez chwilę staliśmy obok parkanu, ukazał się bowiem kapo rewiru, z którym Bruno wdał się w rozmowę. Tymczasem mały Adam puścił się biegiem w kierunku placu za blokiem, by przywołać kapo Leo, mającego pod swoją „opieką” więźniów podejrzanych o pomoc w ucieczce Wiejow-skiego, tzw. karna jedenastkę.

— Za co wpadliście? — zapytał jeden z dobrze wyglądających więźniów. — Za Wiejowskiego? Nie? Za marki...? — Zrobił niedowierzającą minę. — Leo wam da!... Po takim wstępie z trwogą patrzyłem na zbliżającą się olbrzymią postać Leona. W rękę trzymał jak zwykle kawał drąga, małe, przymrużone, jakby śmiejące się oczka szacowały nasze mizerne postacie.

— Im Laufschrift maaarsch!2

Zerwaliśmy się z miejsca czym prędzej, bo już puszczony w ruch drąg Leona mignął mi przed oczyma.

Wbiegliśmy na plac, na którym jeszcze nie tak dawno odbywała się słynna „stójka” za ucieczkę Wiejowskiego. Jedenastu więźniów, ustawionych w jednym rzędzie na środku placu, siedziało w pozycji kniebeugen. Ale Leo nie zwracał teraz bynajmniej na nich uwagi. Zajął się tym gorliwiej nami.

Biegaliśmy wkoło placu tak długo, aż padł nowy rozkaz:

— Halt! Kniebeugen! Hande hoch!3 Hiipfen! Wzdłuż placu, tam i z powrotem. Kiedy nogi odmawiały już posłuszeństwa, zmienił rozkaz na:

— Rollen!

Tarzaliśmy się w kurzu podwórka, spocone ciało pokrywało się błotem. Ale po tych uciążliwych „knieboj-gach” można było chociaż rozluźnić mięśnie. Kiedy Leo już ochrypl od ciągłego wykrzykiwania coraz to nowych „ćwiczeń”, dołączył nas w końcu do jednostki pozosta

No, jak ci idzie, Adam?

* Biegiem marsz!

3 Stój! Przysiad! Ręce w górę

53.

jącej do tej pory w przysiadzie. Od tego momentu było trzynastu. Mieliśmy chwilę odpoczynku, bo Leo został odwołany przez kapo rewiru. Jeszcze wówczas nie zdawaliśmy sprawy z tego, że Bock robił to celowo, żeby dać w ten sposób okazję do odpoczynku. Teraz zasypywał pytaniami ci z jedenastki. '

— Wy też za Wiejowskiego? Nie? Za marki?

— Do której to potrwa? — pytaliśmy my z kolegą przecież już dawno po apelu...! Rozmowa się urwała, bo znowu pokazał się Leo.

— Im Laufschrift maarsch! I

Już dawno słońce zaszło, a my wciąż ćwiczyliśmy nie hiipfen, to tanzen, rollen lub kniebeugen.

— Ein Lied! Im Lager Auschwitz war ich zwär... — intonował Leo. Z pieśnią na ustach wracaliśmy do bloku

16, w którym od dzisiaj mieliśmy zamieszkać. Koniec s tu... na dzisiaj chociaż! Kolacja. Wolak i ja kolacji nie dostaliśmy. Zupełnie wykończeni legliśmy na słomie w izbie, gdzie mieściła dotychczas karna jedenastka. Z korytarza dolatywały dźwięki harmonijki ustnej. To Leo grał.

Po paru dniach sportu tak osłabłem, że nie nadażalem za innymi.

Leo nie lubił słabych, a może myślał, że symuluję

więc często dając wytchnienie pozostałym, mnie ćwiczył osobno.

Kiedy padałem już zupełnie wyczerpany

odciągał mnie pod studnię, oblewał wodą i paroma uderzen i a m i przywracał do sił. Po t a k i m zabiegu ćwiczyłem znowu,

by za niedługi czas historia się powtórzyła. Nie widziałem wyjścia z tej sytuacji, gorączkowo zastanawiałem się co uczynić, żeby zabrano mnie na rewir, gdzie widziałem jedyny ratunek. Podczas „hipfania” znalazłem parę dużych kawałków szkła . W żaden sposób nie mogłem jednak

tego szkła połknąć. A musiałem coś takiego zrobić, bo czułem, że do wieczora nie wytrzymam. Większym kawałkiem

szkła pociąłem sobie skórę na piersiach. Nie było to bolesne, ale krwawiłem. Leo zauważył w końcu pokrwawioną

koszulę. Zawołał jednego z pielęgniarzy wyglądającego

przez okno bloku. Ten domyślnie zjawił się z jodyną, posmarował zadrapane miejsca, po czym Leo natychmiast zaczął mnie ćwiczyć „solo” ze zdwojoną energią. Wreszcie coś postanowił, bo powiedział zdecydnie:

54.

– Komm mit!1

Powlokłem się za nim. Zaprowadził mnie do bloku 16 do umywalni. Na korytarzu napatoczył się jeden z pielęgniarzy. Kazał mu przynieść taboret. Mietek D. postawił t a -boret na środku betonowej podłogi i chciał odejść, ale Leo zatrzymał go ruchem ręki, mnie kazał się położyć na taborecie. Mietek trzymał moją głowę między swoimi kolanami, ale słabo, bo już przy pierwszym uderzeniu wyrwałem się. Wtedy Leo wpadł w szał. Grzmocił, gdzie popadło. Tarzałem się po mokrym betonie usiłując uniknąć razów, ale bezskutecznie. Przytomności nie straciłem, nie mogłem jednak już powstać ani bronić się. Leżałem na wznak, otwartymi ustami łapiąc powietrze. Leo przestał bić. Oblewał mnie teraz strumieniami zimnej wody. W pewnym momencie poczułem, że się duszę od wody, którą Leo wlewał mi do otwartych ust. Widziałem jego czerwoną twarz nachyloną nade mną. Na koniec wsadził mi w usta drąg, którym dotychczas bił, przekręcił go raz w jedną raz w drugą stronę, jeszcze raz nachylił się nade mną, chcąc widocznie sprawdzić, czy jeszcze żyję, po czym odszedł.

Nie miałem sił wstać, zdołałem się tylko przekręcić na wznak, potem na jeden bok, wtedy dostałem silnych torsji. Żadnego bólu już nie czułem, jedynie zrobiło mi się potwornie zimno. Dostałem dreszczy. Czyjeś ręce uniosły mnie do góry, przerzuciły przez ramię i po chwili leżałem już na swojej sztubie nakryty kocami. Kapo rewiru dał mi jakieś pastylki. Mietek D. podsunął miskę z gorącą kawą. Wkrótce poczułem się znacznie lepiej. Usnąłem.

Zbudziły mnie liczne głosy i stukot butów w korytarzu. To karna trzynastka wracała z ćwiczeń. Zapadał zmierzch.

– Tobie się dzisiaj upiekło...! – powiedział któryś z zazdrością w głosie. Nie wiedział jeszcze, że jedną nogą byłem już na tamtym świecie i gdyby nie zjawił się w porę kapo rewiru Bock, Leo byłby mnie wykończył w umywalni.

Leo siedział teraz jak zwykle na schodkach prowadzących do bloku i wygrywał z przejęciem smętne melodie na harmonijce. Obok mnie leżał zmęczony Wolak i modlił się. Wiara dodawała mu sił. Mimo przeciwności losu był zawsze pogodny i w pełni przekonany, że wszystko ułoży się pomyślnie. Zасыpiając myślałem z trwogą o następnym dniu

1 Chodź ze mną!

55.

Tej nocy, a właściwie nad ranem, przyszedł liczny transport z Pawiaka. Był to tzw. pierwszy transport warszawski. Dla większości z nich był to najgorszy, a zarazem ostatni etap ich życia. Dla półtora tysiąca więźniów obozu był ulgą, gdyż cała uwaga SS i obsługi skierowała się teraz na „nowych”, tzw. zugangów. Dla kapo Leo Wietschorka to awans, z tą chwilą bowiem został przeniesiony z kwarantnny na obóz w charakterze drugiego lageraltestera, do pomocy Bruno Brodniewiczowi. A dla mnie?...

Przyjazd tego transportu uratował mi po prostu życie. Z karnej t r z y n a s t k i miałem być pierwszą ofiarą Leona...! Odszedł w porę, nie zdążywszy mnie dobić!

Rozdział XII

Staliśmy w korytarzu bloku 16. Był to mój pierwszy apel bez bicia, sportu, wyzywania, strachu. Obok stała grupa pielęgniarzy. Mietka Dębowskiego już znałem, nie których pamiętałem jeszcze z izolatki jako „chorych n wszy”. Bock uważnie przyglądał się nam, jakby szacował

czy jeszcze nadajemy się do jakiejś roboty, czy też nie. Stał nawszy przede mną, zrobił pocieszny minę dotykając moich „muskulów”. Byłem chudy jak szczapa. Widząc moją szyję obandażowaną jakąś żółtą szmatką, spytał, co mi jest. Odpowiedziałem łamaną niemiecką:

– Ich habe Halsschmerzen...1

Bolało mnie gardło po wczorajszej kąpieli, a kij Leon też swoje zrobił.

– Du hast Gluck, mein lieber Kerl! Mietek! Bring m Wflalstabetten!2

Później Bock wyprowadził nas na dziedziniec i tu przydzielił każdemu z naszej trzynastki jakąś robotę. Naszym zadaniem było doprowadzić do porządku całe otoczenie rewiru. Dostałem względnie lekką robotę przy grabiach. Po prostu zbierałem różne śmiecie i nieczystości, jakie znajdowały się w obrębie bloków, i zgarniałem je na kupki.

1 Boli mnie gardło...

2 Masz szczęście, mój kochany chłopie! Mietek! Przynie mi tabletki na gardło!

56.

Wolak podjeżdżał taczkami, ładował szuflą i gdzieś wywoził. Praca była lekka i spokojna. Na obiad często dodatkowa zupa. Gdy brzuch pełny, to i samopoczucie lepsze. Szybko wracałem do sił. Z Wolakiem miałem wyznaczony odcinek pracy. Zostaliśmy reinigerami bloku 14. Roboty było dużo. Do nas należało utrzymanie czystości korytarza, umywalni, ubikacji i terenu wokół bloku, łącznie z oczyszczeniem kanału. Pracowaliśmy dobrze, rezultaty było widać. Toteż Bock był zadowolony. Szczególnie z Wolaka. Temu jak zwykle robota dosłownie paliła się w rękach. Był przy tym jak zawsze pogodny, nawet wesoły. Miał dobry głos, toteż koledzy prosili go wieczorami, by śpiewał. Dziwili się niektórzy, skąd ksiądz może znać tyle szlagierów, a zwłaszcza tang.

Udało mi się wyłudzić od kóregoś z więźniów harmonijkę ustną. Siadywałem wtedy na schodkach bloku, na dawnym miejscu Leona, i wygrywałem zapamiętane. Tak grającego zastał mnie pewnego razu Leo. Przypuszczalnie przyszedł odwiedzić Bocka, ale usłyszawszy głos harmonijki, niespostrzeżenie zbliżył się do miejsca, skąd dochodził go dźwięk muzyki. Zerwałem się wystraszony. Ale Leo był łagodny jak baranek. Leo lubił muzykę.

– Spiel weiter! Spiel doch...!1

Grałem, a Leo wybijał t a k t drągiem, nieodłącznym rekwizytem, z którym się nigdy nie rozstawał. Obok w umywalni szumiała woda, ściekając z nie domkniętego kranu.

– Wunderbar! – kiwnął głową z uznaniem. – Mach weiter...2

Kazał mi teraz grać jego ulubioną melodię, którą nas kiedyś podczas „ćwiczeń” zamęczał do upadłego, każąc śpiewać w kółko. Nienawidziłem tej melodii. Leo, zamieniony w słuch, miał łzy w oczach.

Wibrujący dźwięk harmonijki dziwnie rezonował obok w pustym waschraumie. Ja grałem z myślą o tym, co działo się tu parę tygodni temu, Leo zaś był całkowicie pochłonięty muzyką. Skąd mógł pamiętać taki drobiazg... Wieczorny gong przerwał ten dziwny koncert.

Któregoś dnia była inspekcja lagerarza Popierscha. Blok rewirowy świecił czystością. To oczywiście zasługa

1 Oraj dalej! Grajże...!

' Cudownie!... Ciągnij dalej...

57.

Wolaka i moja. Spotkała nas za to nagroda. W pierwszej chwili byłem przerażony, kiedy Mietek D. z tajemniczą miną poprowadził nas na strych, gdzie oczekiwał Bock w towarzystwie Czesia Sowula, jednego z pierwszych pielęgniarzy. Dostaliśmy po pół bochenka chleba, kawał kiełbasy i margarynę. To za dobrą robotę. Jeżeli będziemy tak dalej pracować, zostaniemy hilfspflegerami, to jest pomocnikami pielęgniarza. Dary musieliśmy zjeść na miejscu, żeby nikt nie dowiedział się, że otrzymaliśmy nadprogramowe jedzenie. Zjedliśmy czym prędzej i oczywiście przyrzekliśmy milczenie.

Podobna historia powtórzyła się jeszcze później parę razy.

– A widzisz! – mawiał wtedy Wolak. – Opatrzność czuwa nad nami...!

W rzeczywistości mieliśmy szczęście w nieszczęściu. O karnej trzynastce władze obozowe jakoś zapomniały. Po przyjeździe pierwszego t r a n s p o r t u warszawskiego odszedł Leo, skutkiem czego dostaliśmy się pod władzę Bocka. Bock był zupełnie innym człowiekiem, mimo że podobnie jak Leo czy Bruno nosił zielony

trójkąt, czyli że był zwykłym kryminalistą. Powierzono mu zorganizowanie szpitala. Na pewno nie było to łatwe zadanie w owym trudnym okresie. W nocy panował wielki ruch w obozie. Przyszedł drugi transport z Warszawy. Przy przyjmowaniu t r a n s p o r t u i obsłudze magazynu odzieżowego pomagali pielęgniarze. Rano sprzątałem prowizoryczny barak, tuż za blokiem rewirowym, zbudowany specjalnie na przyjęcie transportu. W stertach śmieci i różnych odpadków znalazłem sporo jedzenia. Kawałki chleba, ciasto, cebulę, czosnek, trochę rozsypanego cukru zmieszanego z piaskiem, słoik z niedojedzonym smalcem. Po prostu to, czego nie opłacało się odnosić do kuchni obozowej, słowem śmieci. Ale dla mnie była to uczta. Jadłem po kryjomu. Syci pielęgniarze mogliby mieć mi za złe, że zjadałem takie świństwa. Mój żołądek strawił wszystko. Już po godzinie byłem znowu głodny, do tego stopnia, że nie mogłem się doczekać obiadu i wieczornej porcji chleba. Zawsze w południe myłem kotły po zupie. Na ścianach kociołków pozostawało dużo zastygłej zupy. Wyskrobywałem ją skrupulatnie, tak że teraz zebrało się tego dwie pełne miski. Oblizywanie kotów stało się niebawem moją specjalnością i nieźle na tym wychodziłem.

58.

Szybko wracałem teraz do sił i nawet przybrałem na wadze. Wysyłając list do domu, tym razem nie musiałem kłamać pisząc: Ich bin gesund und fiihle mich gutl.

W obozie tymczasem działo się coraz gorzej. Zaczęły się jesienne szarugi. Zimno! Z okna naszej izby widziałem duży fragment obozu. Walcowano plac apelowy. Do olbrzymiego walca zaprzęzonych było kilkudziesięciu więźniów. Boso i w cienkich drelichach, grzęzli w rozmięklej ziemi, z trudem ciągnąc betonowy walec. Podobno byli to sami księża i Żydzi. Gruby kapo Krankenmann dyrygował tą grupą, stojąc na żelaznych uchwytach walca. Jeśli zeń zeskoczył, ubywało jednego z ciągnących. Dogorywał taki leżąc w błocie, a po apelu odnoszono go do szpitala, często nieżywego.

Apele trwały nieskończenie długo. My, personel szpitala, mieliśmy apele wewnątrz bloku, trwające zaledwie parę minut. Dziękowałem teraz losowi, że znalazłem się w karnej trzynastce.

Gdzieś w połowie października w czasie apelu wpadł zadyszany Leo, prosto na nasz blok. W rękę trzymał listę. Byliśmy już po apelu.

– Alle dreizehn antreten!² – zawołał gromkim głosem już od drzwi. Zerwaliśmy się jak oparzeni. Przy drzwiach sprawdzał numery. O dziwo, my dwaj dostaliśmy tylko po kopniaku, po czym Leo kazał nam pozostać w bloku. Pozostałych jedenastu popędził na plac apelowy.

Z okna naszej izby było widać egzekucję. Z bloku 11 przyniesiono kozioł. Stamtąd też wyprowadzono pięciu cywilów zamieszanych w aferę ucieczki Wiejowskiego. Kapo Bock, z wata i butelką jodyny, poszedł w ślad za nimi. Cały obóz miał przypatrywać się egzekucji.

Najmłodszy z jedenastki, Władzio Szczudlik, darł się okropnie. Za nim poszli inni na kozioł. Uderzenia padały na gołe pośladki. Bock jodynował zbite pośladki o krwawych pręgach. Po apelu zaprowadzono pobitych do bloku 11, skąd mieli wkrótce wyjechać do obozu we Flossen-biurgu na ciężkie roboty.

W sztubie zostaliśmy tylko my dwaj. Jeszcze tego sa mego dnia wezwał nas Bock i mianował hilfspflegernami

1 Jestem zdrowy i czuję się dobrze.

2 Wszyscy trzynastu wystąp!

59.

w obecności wszystkich pielęgniarzy. Czułem się tym uszczęśliwiony, jednak w głębi serca pozostał niepokój A jaki będzie miała finał nasza sprawa?...

I Rozdział XIII

W związku z przyjazdem do obozu coraz liczniejszym transportów oraz powiększeniem się szpitala nastąpiła reorganizacja rewiru. Kwarantanna przestała istnieć. Obecnie szpital zajmował już trzy bloki: 14, 15 i 16. Dotychczas I sowy kapo szpitala Hans Bock, nr 5, został mianowany la geraltesterem Krankenbau. Blokowym został Pete Welsch, też Niemiec, tylko w odróżnieniu od Bocka z czerwonym trójkątem, a więc polityczny. Po odejściu

karne jednostki prace pomocnicze na rewirze objęli chorzy n jaglicę, tzw. „Trachomę”. Wprawdzie wchodzili oni w skład chorych, niemniej ponieważ nie byli obłożnie chorzy a fizycznie przedstawiali się nieźle, zapędzono ich do pra cy. Niebawem przeniesiono ich na blok 15 i połączono chorymi na gruźlicę. Stanowili więc zaczątek bloku zakaż nego. Salowym został Staszek Hedorowicz, w późniejszym okresie doszedł jeszcze Janusz Młynarski, dzięki którym wielu zdrowych znalazło schronienie właśnie tu, na od dziale zakaźnym, wykorzystując specyficzną atmosfer bojaźni przed zarażeniem się, zwłaszcza u esesmanów. Hedorowicz przygarnął wkrótce paru jarosławiaków aresztowanych za przynależność do tajnej organizacji, skupiającej część młodzieży tego miasteczka. Organizacja ta, pod pokrywką lecznicy prowadzonej przez doktora R. i Hedorowicza, jego prawą rękę, rozwinęła swą działalność n przełomie lat 1939/40. Nieumiejętność konspiracji sprawiła, że została stosunkowo szybko rozszyfrowana przez jarosławskie gestapo. Część jej członków już w 1940 r. znalazła zła się w Oświęcimiu, między innymi Stanisław Hedorowicz i Kazimierz Szumlakowski. Hedorowicz, niezwykle koleżeński i uczynny, wykorzystując swoją dobrą pozycję na rewirze, jako jeden z pierwszych pielęgnierów zgromadził wokół siebie swoich podopiecznych, dając im na bloku zakaźnym opiekę i dobre schronienie przed przeciwnościami losu czekającymi każdego więźnia w obozie. Blok zakaźny nie uchronił ich jednak przed Politische-gestapo obozo-

60.

wym. Wzywano ich często na przesłuchania, zwłaszcza po zwolnieniu z obozu K. Szumlakowskiego i J. Tajchmana. Ponieważ sam nie należałem do tej – według mnie – pseudoorganizacji, a nawet byłem jej gorącym przeciwnikiem, instruowanym przez inną organizację, wojskową, w osobie jej przedstawiciela kpt. Wilczyńskiego – przez co nawet miałem poważne scysje z samym R. na krótko przed moim aresztowaniem – nic więc dziwnego, że Staszek nie wtajemniczał mnie w treść przesłuchiwań przez Politische. Niebawem zresztą miałem się dowiedzieć szczegółów całej tej tragicznej sprawy. Mimo wszystko Hedorowicz pozostawał zawsze moim dobrym kolegą, pomagając mi zwłaszcza w trudnych początkach mojej bytności na rewirze.

Z końcem listopada przeniesiono Wolaka i mnie na blok 14, na krótko zresztą, bo już po paru dniach przeszliśmy wraz z większością personelu szpitala na nowo utworzony blok rewirowy nr 20. Blokowym został Peter Welsch, a jego zastępcą młody jeszcze chłopiec, Zbigniew Blok, z transportu śląskiego. Zbyszek, aresztowany w Chorzowie, syn aptekarza w Lubaczowie, znany mi był jeszcze z gimnazjum w Jarosławiu, do którego dojeżdżał z Lubaczowa. Początkowo odnosił się do mnie poprawnie, czasem nawet serdecznie, zwykle w momentach rozpamiętywania uczniowskich eskapad z koleżankami z żeńskiego gimnazjum.

Z czasem okazało się, jak władza psuje niektórych ludzi, szczególnie młodych, niedoświadczonych, o dużych ambicjach, zwłaszcza ambicjach fałszywie pojętych. Nie ominęło to i Zbyszka. Po pewnym czasie stał się oficjalny, dając odczuć swoją wyższość, starał się zachować dystans, jaki nas dzielił w hierarchii obozowej. Stosunki między nami ostygły do tego stopnia, że stały się niemal wrogie.

Po przeniesieniu na blok 20 początkowo przydzielono mnie do ambulatorium, gdzie robiłem opatrunki chorym. Nie miałem z tym nigdy do czynienia, więc nie szło mi najlepiej. Peter szybko mnie rozszyfrował. Nie mogłem mu tego mieć za złe. Nie nadawałem się do tego rodzaju pracy. A ponieważ blokowy potrzebował kogoś, kto należycie utrzymałby blok w czystości, mianował mnie stubendien-stem sali pielęgnierów. Byłem nawet zadowolony z takiego obrotu sprawy. W ambulatorium praca była ciężka, nerwowa, odpowiedzialna. Jako sprzątac zdażyłem już zdobyć odpowiednie kwalifikacje dłuższą praktyką w poprzednich miesiącach. Prócz utrzymania w czystości izby pie-

61.

lęgniarzy musiałem dodatkowo sprzątać długi korytarz bloku, ubikacje i dbać o czystość na zewnątrz bloku. Pracy było sporo, ale radziłem sobie dobrze. Rano, gdy tylko pielęgniarze poszli do swoich zajęć, zabierałem się do sprzątania sali. Poprawiałem na ogół niedbale zaścielone łóżka – co było oczkiem w głowie blokowego – paliłem w piecu – to już z własnej inicjatywy, zrozumiałej

zresztą – szorowałem podłogę – jak nikt nie widział, to przecierałem ją jedynie moką szmatą – myłem korytarz i ubikacje... i w zasadzie byłem już po pracy. Jeszcze tylko przyniesienie z kuchni obozowej prowiantu. Ale to już miało swoje dobre strony.

Tymczasem w ambulatorium pielęgniarze mieli huk roboty. Przy opatrunkach uwijało się kilku więźniów: Czesiek Sowul, Felek Walentynowicz, Stanisław Wolak, Józef Hordyński, Fred Stessel, Nicet Włodarski, Józef Walczak i inni. Aptekę obsługiwał Franus Lechowicz i Marian To-liński z Krakowa. Za przepierzeniem mieściła się schreib-stuba, w której pisarzami byli: Roman Gabryszewski, Zbyszek Rybka, Staszek Mucha, a tuż obok stanowisko masażyistów z Ludwikiem Basem i Pepo Vackiem z Pragi. Przy okienku schreibstuby było stanowisko naczelnego lekarza dr. Władysława Dehringa, którego zadaniem było kwalifikowanie chorych według ich stanu zdrowia. W ambulatorium prócz dr. Dehringa pracowało jeszcze kilku lekarzy: Leon Wasilewski, Tadeusz Gąsiorowski, Marian Dupont, Władysław Tondos, Rudolf Diem i inni. W późniejszym okresie, w miarę powiększania się szpitala, lekarze ci przeszli na inne bloki według swoich specjalności, a ich miejsce zajęli nowi. Prawie codziennie przed południem w czasie przyjęć chorych był obecny lagerarzt SS, sturmbannfuhrer Po-piersch, później untersturmfuhrer Entress, zawsze w towarzystwie SDG Klehra lub Scherpe, oberscharfuhrerów. Chorzy przyjęci do szpitala musieli przejść odwzienie i kąpiel w waschraumie. Waschraum obsługiwali dwaj bracia M a r i a n i J a n Kieliszkwowie, A n t o n i K e m p a oraz Ryszard Kwoka. Ten ostatni stale kursował między ambulatorium a waschraumem, mieszczącym się mniej więcej pośrodku korytarza, przyprawdazając, a najczęściej dźwigając na swych plecach cięższe chorych. Po ostrzyżeniu – zabieg ten przeprowadzali dwaj fryzjerzy: Antoni Rulczyński i „Fra-nuś – i kąpiel w zimnej wodzie zgłaszali się po chorych

62.

pielęgniarze z poszczególnych bloków, a więc z zakaźnego, chirurgicznego, oraz salowi z naszego bloku przeznaczanego dla „wewnętrznych”. Najwięcej chorych w tym okresie było na durchfal, czyli krwawą biegunkę, i zapalenie płuc. Salowi Kencer, Gutowski, Sobkowiak, Kuryłowicz mieli pełne ręce roboty.

Na końcu korytarza, naprzeciw sali pielęgniarzy, mieściło się laboratorium analityczne ze swoją załogą, którą stanowili: prof. A. Jakubowski, dr Roman Zengteller oraz laboranci Witold Kosztowny, Zygmunt Turzański, Wiesław Piller i Georg Zemanek – Czech, zanim przeszedł do pracy w krematorium, po otrzymaniu tam specjalnego zadania w prosektorium. Tuż przy laboratorium było małe pomieszczenie, gdzie w niedługim czasie znalazł się rentgen obsługiwany przez dr. Gawareckiego i jego pomocnika Stanisława Zelle. Między waschraumem a rentgenem mieściła się początkowo sala durchfalowców, zamieniona wkrótce na diatkuche i magazyn żywnościowy. Pierwszymi kucharzami zostali Aleksander Giermański i Czesław Sowul przeniesiony tu z ambulatorium.

Na pierwszym piętrze była umywalnia z wanną i piecem. Z ciepłej kąpielni i wanny korzystali na ogół tylko promineneci obozowi. Tu było idealnie czysto, o co dbali Władysław Bielawski i Nabrdalik. W tym samym korytarzu na końcu po prawej stronie była sala dla prominentów obsługiwana przez dwu braci Andrzeja i Janusza Millaków.

W sali naprzeciwko leżeli chorzy na płuca, przeważnie z ropnymi wysiękami. Opiekował się nimi Sobkowiak, a później pełen poświęcenia Adam Kuryłowicz. Na ogół piętro zajmowali chorzy, co do których była nadzieja ratunku, parter należał do durchfalowców i zupełnie wycieńczonych, tzw. muzulmanów, w większości umierających w ciągu najbliższych godzin. Tymi zajmowało się specjalne komando, tzw. leichentragerzy, składające się z więźniów chorych na jaglicę. Ażeby nie zarażali chorych, kazano im opiekować się zmarłymi. Pierwszymi leichentragerami byli: Ali Szczeńniak i Gienek Obojski. Później doszedł Teofil Banasiuk, który po śmierci Alego został starszym komanda, znacznie powiększonego w miarę wzrostu śmiertelności w obozie. Pracowali tu jeszcze: Czesław Głowacki, Augustyn Ratajczak, Stanisław Buski, Malina i reszta „Trachome”. Często też zaganiano

63.

mnie do tej niewdzięcznej roboty, a z ambulatorium Józka Hordyńskiego, mającego krzepę górala.

Kostnica znajdowała się w piwnicy bloku 28 i miała do dyspozycji kilkanaście drewnianych pak, służących do przenoszenia trupów do krematorium, oraz parę noszy, którymi donosiło się nieboszczyków z bloków do leichen-hall. Z chwilą rozpoczęcia rozstrzeliwań drewniane tragi zastąpiono blaszanymi, z których z łatwością zmywało się ślady krwi.

Początkowo załadowane trupami tragi nosiło się do krematorium na własnych barkach, co z czasem okazało się władzom niewygodne, ponieważ taki kondukt musiał kilkakrotnie przemierzać cały obóz na oczach wszystkich więźniów, nim doszedł do miejsca przeznaczenia. Ze zrozumiałych więc względów SS postarało się ulżyć doli lei-chentragerów, rekwirując w mieście normalny karawan, który po małej przeróbce i pozbawieniu go ozdobnej góry długo potem służył więźniom, przemierzając nieskończoną ilość razy trasę między krematorium a rewirem.

Na strychu w początkowym okresie znajdował się skład różnych rupieci, desek i łóżek oraz małe pomieszczenie dla warsztatu naprawczego, gdzie królował „Dziadzio” Kowalski, zakopiańczyk, jeden z najstarszych więźniów z pierwszego transportu. Później strych stał się magazynem i sortownią leków zarekwirowanych ludziom przywożonym masowo do obozu. Po przesortowaniu większą część leków zawoziliśmy do SS-rewiru, reszta pozostawała do dyspozycji szpitala obozowego, co przez niedopatrzenie lekarzy SS było wielkim dobrodziejstwem dla chorych, jako że oficjalne przydziały medykamentów były znikome. Blokowy mieszkał na pierwszym piętrze, w małym pokoiku urządzonym bez smaku, ale bogato jak na ciężkie warunki obozowe.

Blok 16 był blokiem chirurgicznym. Posiadał salę operacyjną i pokój dentystyczny. Głównym chirurgiem był dr Turschmidt, a po jego rozstrzelaniu przyszedł dr Dehring. Pierwszym dentystą obozowym był Janusz Kuczbara, następnie Roman Szuszkiewicz, Janusz Krzywicki oraz pomocnik Zygmunt Pocięcha. W skład personelu bloku 16 wchodził: Adam i Mieczysław Dembowsy, Dybus, Bar-tys, Mikołajczyk, Kiwała, Krokowski, Marcinko, Mroczkowski, Wesołowski, Czubak, Superson, Ryndak, Kośmider, Knara, Tokarz i inni.

64.

W głównej schreibstubbie rewirowej zasiadali: Barcz, Jan Szary, Kazimierz Szczerbowski, w późniejszym okresie doszli: Adam Zacharski, Tadeusz Paczuła, Jan Duda, Janusz Burakiewicz, Tadeusz Hołuj i inni.

Na parterze też mieściły się sale chorych. Niedługo blok chirurgiczny powiększono przez dobudowanie pierwszego piętra. Między innymi znalazło się tam pomieszczenie dla obsługi bloku, a więc lekarzy, dentystów, pielęgniarzy. Osobny skromny pokój należał do lageraltestera rewiru.

Blok 15 był blokiem zakaźnym. Naczelnym lekarzem był dr Suliborski, blokowym Mieczysław Pańszczyk, po nim Fred Stessel, Martini. Górę zajmował tyfus płamisty, na dole była gruźlica, trachoma, tyfus brzuszny, meningitis. Tu pracowali lekarze: Tondos, Budziaszek, Szymański, Kłodziński. Fejkiel, Gałka, Mężyk, oraz pielęgniarze: He-dorowicz, Młynarski, Ciecielski, Rafalik, Głowa, Momont, Pierzchała i inni.

Blok 14 był tzw. schonungiem, który podlegał właściwie obozowi, a nie rewirowi, bowiem chorzy musieli pracować na równi ze zdrowymi, nie mając żadnej opieki lekarskiej. Tak mniej więcej wyglądał szpital obozowy w okresie mego w nim pobytu.

Rozdział XIV

Nastała jesień. Od rana siąpił przenikliwy deszcz. Nie mogłem się doczekać, kiedy rozlegnie się w korytarzu donośny głos lauffera z kuchni obozowej. Zbigniew Kukla codziennie biegał po wszystkich blokach, zawiadamiając w odpowiedniej porze, kiedy mamy zgłosić się po odbiór kotłów z obiadem.

— Essen holen! — wrzasnął Kukla i już biegł na inny blok.

Żał było opuszczać ciepłe miejsce koło pieca, ale jeść się chciało, a blokowy wyganiał już salowych, by biegli do kuchni po zupę.

Przed kuchnią czekał tłum stubendienstów z różnych bloków. Wydawanie kotłów z obiadem odbywało się z całą

1 Przynieść jedzenie!

65.

ceremonią. Najpierw przystojny kucharz Leon sprawdzał szeregi, czy wszyscy już są, potem dawał komendę: – Mtitzen ab! – następnie meldował kapo „Mateczce”, po c z y m komenderował: – Mtitzen auf! – i dopiero teraz, po odliczeniu, ile kotłów ma iść na dany blok, można je było zabierać. Trzeba było się dobrze uwijać, bo „Mateczka” – mimo że więźniowie go tak ładnie przezwali – tylko czekał okazji, żeby znęcać się nad opieszalymi.

W niesionych kotłach bulgotała ciepła strawa. Po zapachu czuć było, że to „Avo”. Obliczałem już w myśli, ile też tej zupy zostanie. Przecież w naszym bloku było tylu durch-falowców!

Na mojej sali był kociołek 50-litrowy, 50 litrów, 50 osób! Poza wyskrobaniem kotła nic nie pozostało. Pobiegłem pozbierać pozostałe kotły z innych sal. Do mnie należało ich wymyć przed odniesieniem do kuchni. Zeskrobałem pełną miskę. Będzie dla Edzia Ferenca, którego w miarę możliwości dokarmiłem. Edek popadł w złe komando, skutkiem czego mużułaniał, w dodatku miał głowę pełną wrzodów. Groziła mu śmierć. Na sali durchfa-lowców została aż połowa kotłów. Dostałem repetę, resztę kazał blokowy odnieść na blok chirurgiczny.

Po południu padał deszcz ze śniegiem. Było przenikliwe, mokre zimno. Nim doszliśmy do magazynu po prowiant, przemokliśmy i przemarzli. A co dopiero dzieje się na komandach pracujących w polu? – pomyślałem ze zgrozą.

Szefem magazynu był niegroźny esesman, niski, chudy koślawy, śmieszny. Przezywaliśmy go „Szwejkem”. Jego prawą ręką był więzień Adolf, mający do pomocy kilku dobrze wyglądających współtowarzyszy. Zналиśmy się już doskonale, toteż wspólnie popełnialiśmy drobne kradzieże które z czasem urosły do poważnych rozmiarów. Magazynierzy mieli swoich potrzebujących kolegów leżących u nas w szpitalu, którym za naszym pośrednictwem posyłałi żywność. Za te przysługi otrzymywaliśmy też coś niecoś. „Szwejk” pokrywał niedobory z głównych magazynów, dzięki czemu więźniowie nic na tym nie tracili „Szwejk” nie robił tego bynajmniej z dobrego serca. On też kradł. Kradł po to, by leczyć się u jednego z polskich lekarzy, wynagradzając jego poświęcenie wiktuałami z eses-mańskich magazynów. Ręka rękę myje! Nic więc w tym dziwnego, że nie patrzył nam specjalnie na nasze lepkie palce

66.

Tego popołudnia jednak tknęło go coś; sądząc widocznie, że za dużo pozwoliliśmy sobie, wziął się do przeliczania już załadowanych do trag bochenków chleba. Liczył cierpliwie parę razy, za każdym razem jednak wypadała mu inna cyfra, bo korzystając z jego nieuwagi odkładaliśmy kradziony chleb z powrotem na regały; machnął w końcu ręką zrezygnowawszy z liczenia, powiedział: – Stimmt – i kazał nam się wynieść, co skwapliwie uczyniliśmy, żeby się tymczasem nie rozmyślił. Już na dobre ściemniało się, kiedy wracaliśmy z magazynu. Padał deszcz ze śniegiem. Komanda powracały do obozu. Więźniowie przemoczeni i skostniałi z zimna, ubrani jedynie w cienkie drelichy, boso lub w ciężkich drewniakach, tzw. „holendrach”, na nogach – dreptali po błocie nie reagując już na wrzaski kapów: – Links, links und links!

Maszerowali podtrzymując się wzajemnie, mocniejsi dźwigali omdlałych, niektórych już zeszywniałych, zmarłych lub zamordowanych jeszcze podczas dnia. Na obszernym placu szykowano się do apelu. Pomykaliśmy szybko z pełnymi żywności tragami, odprowadzani setkami spojrzeń wygłodniałych więźniów. Szczęśliwie dobrnęliśmy do swojego bloku. Apel, jak zwykle w korytarzu, był krotki, po czym rozeszliśmy się do swoich pomieszczeń.

Na lagrze apel trwał jeszcze. Minęło już ze dwie, trzy godziny od jego rozpoczęcia. Tysiące więźniów stopniowo zamarzało w szalejącej wciąż śnieżycy. Zanosilo się na prawdziwe żniwo śmierci.

– Alle Pflieger antreten!1 Wszyscy na stanowiska! – rozkazał Bock. Szpital przygotowywał się na przyjęcie chorych, których spodziewano się setki. Mnie wyznaczył Peter do pomocy Tomkowi, fertnerowi pilnującemu drzwi wejściowych do bloku.

Apel skończony. Stukot drewniaków, krzyk, chlupot rozdeptywanego błota zmieszanego ze śniegiem, galop setek zmarzniętych na kość więźniów, szukających ratunku w małym obozowym szpitaliku. Już są! Pierwsi to ci najmocniejsi, którzy

zdażyli wyprzedzić tych naprawę potrzebujących natychmiastowej pomocy. Drzwi są zamknięte. Szturmują. Żeby ich nie wyważyli, przytrzymujemy

1 Wszyscy sanitariusze wystap!

67.

w kilku z całej siły. Pod wściekłym naporem szturmujących drzwi trzeszcza, lada moment ustąpią. Co będzie, ten tłum wpadnie do ambulatorium?... Mały blokowy energicznie odtrąca nas od drzwi, czym wrzeszcząc i bijąc wpada w kotłującą się masę. M za nim. Po chwili jest już jakiś taki porządek. Pierwsze stwo mają najsłabsi, ci którzy ledwo stoją na nogach, którzy leżą zdeptani w błocie, nie dający już niekiego znaku życia. Wnosimy ich do bloku, układamy w korytarzu jednego przy drugim, żeby się wszyscy pomieścili, tam ich jest. W pracy pomagają nam teraz chętnie ci, którzy pierwsi dobijali się do drzwi bloku. To był podstęp Wniósłszy chorych, porzucali ich gdziekolwiek, sami zaparkowali całkowicie ambulatorium, uniemożliwiając w ten sposób jakąkolwiek pracę lekarzom i pielęgniarkom. Bo wściekł się. Peter interweniował jeszcze raz. Siłą wprchnęliśmy wszystkich przed blok. Tam ustawiliśmy wreszcie w kolejkę. Dziesiątki nowych leżało pod blokiem. Zanim wnieśliśmy ich, połowa ze stojących padła omdlała w błoto. Trafiali się też markieranci. Ujawnili się dopiero pod tuszem. Ciepłej wody jeszcze nie było. Chorych było tylu, że lekarze nie mieli czasu na kładne oględziny. Po prostu zmarłych leichentragerzy wynosili przed blok drugimi drzwiami, żyjących jeszcze wnosiliśmy do waschraumu. Tu każdego trzebą było zebrać, co nie szło łatwo. Ciężko było zdejmować mołachy z tych bezwładnych, owrzodzonych, wysmarowanych kałem szkieletów. Kieliszek ołówkiem wypisywaliśmy następnie każdemu jego własny numer na piersiach, zjerzy strzygli owłosienie, Kempa dezynfekował tęmsca „cuprexem”, po czym układało się ich na kratownię pod tuszem, skrapiało zimną wodą zamiast kąpieli – było wbrew przepisom, ale oszczędzało cenny czas i datkowych cierpień chorym – i dopiero teraz mogli zabierać salowi do swoich izb. Część zanoszono na górę gdyż mieli zapalenie płuc, większość pozostawała dole, gdzie w sali durchfalowej kładło się ich pokotem siennikach leżących bezpośrednio na deskach podłogi. Tu dostawali węgiel lub „bolus alba”, popijali to zimą lub letnią kawą.. Tego wieczoru leichentragerzy mieli wyjątkowe zniżenie. Mieli też dodatkową trudność w odczytywaniu numeru pozacieranych lub zgoła błędnie wypisanych uprzednio

68.

piersiach nieżyjących, które wpisywano do totenbuch, to jest książki zmarłych. A rano apel musiał się zgadzać!

Powoli korytarz opustoszał. Wolno było wejść teraz tym, którzy cierpliwie oczekiwali swojej kolejki stojąc przed blokiem. Ustawili się posłusznie przed wejściem do ambulatorium, jeden przytrzymywał drugiego. Tym też już wiele nie brakowało. Jednak zaledwie część z nich dostała się tego dnia do szpitala. Rewir był przepełniony. Dostawszy jakiś opatrunek, węgiel lub pastylkę, musieli wracać na swoje bloki. Jeśli który z nich dożyje jutra, będzie mógł ponowić swe starania, aby dostać się do szpitala.

Cały obóz już spał. Na dworze śnieg wciąż padał, a na rewirze trwała jeszcze praca do późnych godzin nocnych.

Powoli ambulatorium opustoszało. Ostatni pacjenci opuszczali rewir, z trudem wlokąc się do swoich bloków. Prawie cały personel szpitala udał się na zasłużony odpoczynek. Tylko w ambulatorium jeszcze długo paliło się światło. To pisarze bloków sprawdzali kartoteki nowo przyjętych do szpitala. Na rano wszystko musi grać!

Umyłem korytarz, ambulatorium, ustępy, zrobiłem sobie kąpiel. Byłem piekielnie zmęczony. Naraz przypomniałem sobie, że nie widziałem dzisiaj Edka. Pewnie w tym tłumie chorych nie mógł się dostać na rewir... A może...? A, chyba nie... Przecież bym go zauważył...

Przed snem poczułem głód. Zjadłem tę miskę zimnej zupy, która była przeznaczona dla kolegi.

Rozdział XV

Wolak niespodziewanie wyjechał z transportem księży do Dachau. Obawiałem się, że

moga go w ostatniej chwili wycofać z transportu. Wyjechał bez przeszkód. Oznaczało to, że nasza sprawa poszła chyba w zapomnienie. Poczuję wielką ulgę. Zawsze obawiałem się, że może nas spotkać los tych jedenastu, wysłanych przed miesiącem karnym transportem do Flossenbiirga. Po wyjeździe Wolaka zostałem oficjalnie zaliczony w poczet pflegerów, niemniej czynności wykonywałem te same. Bądź co bądź, nie potrzebowałem się teraz obawiać, że każdej chwili mogę być wypisany na lager. Poczuję się pewniej.

69.

Z chłopcami z Jarosławia widywałem się rzadko. N ogół dawali sobie radę. Każdy zdołał się zadekować jes cze przed zimą w możliwie dobrym komandzie pracujący pod dachem. Jedynie Edzio Ferenc nie miał szczęścia. N dość że chory, wpadł do karnego komanda, tzw. erziehung kompanie, z którego nie wolno było przyjmować do szpi la.

Dziunio Beker już od paru dni nie żył. Ostatnio bard podupadł, wyniszczał go ciężki durchfal, zmużłman ostatecznie. A los takiego był z góry przypieczętowa. Zmarł zapewne owego pamiętnego wieczoru, wśród se jemu podobnych.

Dziewiątego grudnia były imieniny Wieśka Pill i moje. Wiesiek pracował wówczas u „gonokoków”. T przezywaliśmy pracowników laboratorium analityczne Witek K. i Zygmunt T. postanowili jakoś to uczcić. Zor nizowali skądś trochę cukru, pokombinowali coś z r kami i próbkami, w wyniku czego, w wielkiej tajem cy, wypiliśmy po łyku pierwszego w obozie alkoholu. B ber był wstrętny, ciepły, ale mocny. Dopiero jak go zak pił jakimiś kropelkami nasz aptekarz Marian T., zw „dziobakiem pospolitym”, dało się to wypić. Po tym jaństwie” szumiało przyjemnie w głowie, życie w ob nie wydawało się takie okropne.

Na pogaduszki często schodziłem do leichenhali. G nneicky Os tbaoljskkoi ksskiaąkd.ś Nkoam bblainszoewaplieksulirśomwye pklaarctkoiflkea. rWtoflp Siadaliśmy wtedy na „trumnach” wokół rozżarzonego cyka, placki skwierczały, ich przyjemny zapach mile d nił nozdrza, zabijając smród chlorku, którym przys wano magazynowane trupy. Z trupami byliśmy już tak lece oswojeni, że nie robiły na nas żadnego wrażenia. sto wygrywałem na harmonijce, a Ali śpiewał. Panow miła atmosfera, jak na harcerskim ognisku. Nie potrz waliśmy się obawiać, żeby nas tu ktoś nakrył. SDG an gerarzt nigdy tu nie wchodzili, nawet blokowy Pete lubił tu przychodzić. Wszyscy omijali piwnicę z daleka było wyłącznie nasze miejsce. Nic nam tutaj nie groził czuliśmy się najswobodniej. Gienek Obojski, warszawiak, jako 18-letni młodzi został arestowany przez Niemców podczas przekracz granicy węgierskiej; w rezultacie znalazł się w Oświęc już 14 czerwca 1940 roku. Atletycznej budowy ciała, o

70.

pospolitej sile, zwrócił na siebie uwagę Palitzscha, który zrobił zeń leichentragera. Temu, kto widział go przy „pracy”, trudno było uwierzyć, że ten chłopiec o różowych policzkach i niewinnym spojrzeniu niebieskich oczu był nadal uosobieniem łagodności, dobroci, naiwności nawet, słowem wszystkiego, co było przeciwieństwem tego wstrętnego zajęcia, jakie kazano mu wykonywać. Nie zdążył jeszcze poznać prawdziwego życia, a już przyszło mu zakosztować go tu, na dnie, od najgorszej jego strony. Mimo to pozostał sobą.

Teofil Banasiuk był jakby przeciwieństwem Obojskie-go. Małego wzrostu, niepozorny, acz o ukrytej sile wołu, małych rozbieganych oczkach, typowy przedstawiciel warszawskiego przedmieścia, znający życie od podszewki, pod pokrywką humoru był twardy, bezwzględny, mściwy. Niemców szczerze nienawidził i poprzysiągł im okrutną zemstę za Warszawę, za siebie, za wszystkich tych, których własnymi rękami musiał zanosić do leichenhali. Pragnął przeżyć obóz za wszelką cenę, żeby móc ziścić swój cel. Teofil i Obojski uzupełniali się doskonale.

Z Obojskim łączyła mnie przyjaźń. Poznałem go jeszcze bliżej podczas wspólnych wypraw po nieboszczyków, których liczba z dnia na dzień zwiększała się niepokojąco.

Zadaniem leichentragerów między innymi było usunięcie trupów na lagrze jeszcze przed porannym apelem. Ponieważ pracy mieli dużo, a ja niezbyt wiele, blokowy wyznaczył mnie im do pomocy. I Obojski, i Teofil odwzajemniali mi się w ciągu dnia, pomagając nosić kotły i prowiant z kuchni. Z czasem ułożyliśmy pracę w ten sposób, że tak z noszenia trupów, jak i prowiantu odnosiliśmy pewne osobiste korzyści. Blokowi byli obowiązani każdego rana podawać głównej schreibstubie aktualny stan ludzi swego bloku. Od tego, ilu blokowy podał, zależało też, ile porcji jedzenia zostanie dany blok w ciągu dnia. Nie było takiego bloku, gdzie by przez noc nie zmarło przynajmniej kilku więźniów. Jeżeli leichentragerzy zdążyli zawczasu, jeszcze przed apelem, zabrać trupy, blokowy był zmuszony podawać faktyczny stan bloku minus tych zmarłych, których liczone już w stanie leichenhali. Blokowi ze zrozumiałych więc względów woleli, żeby trupy zabierano dopiero po apelu, mogli bowiem wtedy podawać je w stan bloku jako żyjących, fasując całodzienne ich wyżywienie. Te kombinacje udawały się blokowym do czasu, nim Obojski i Teofi

71.

zorientowali się, że na niektórych blokach – a szczególnie u K r a n k e n m a n n a i Alojza zwanego później „krwawym” przybywa gwałtownie każdej nocy coraz więcej trupów. Po prostu blokowi ci mordowali więźniów, już nie tylko z chęci zabijania, sadyzmu czy zwyrodnialstwa, ale z chęć zysku. Po pewnym czasie doszło nawet do poważnego sta c i a między blokowymi a oburzonym ich postępowanie Obojskim. Ale do tego momentu samowola panowała n blokach i blokowi byli panami życia i śmierci każdego więźnia, na którym chcieli zarobić marną pajdę chleba, z milczącą zgodą władz obozowych.

Rozdział XVI

Na lagrze było jeszcze ciemno. Mróz musiał być tęgi, b śnieg skrzypiał głośno pod stopami. Obojski szedł pierw szy, ja za nim. Dzielili nas tragi, które trzymaliśmy obu rącz. Na tragach leżały zwinięte dwa brudne koce. Uli obozowe były jeszcze puste, jedynie od czasu do czasu kt przebiegł z bloku na blok, z głośnym skrzypieniem drewniaków na zamrożonym śniegu. Nad ciemną sylwetk theatergebäude mrugały zimnym blaskiem niezliczon gwiazdy. Gdzieś z oddali, za skutą lodem Sołą, poszczek wały psy. Na tle oświetlonych już i całkowicie zamrażni tych okien bloków poruszały się ludzkie cienie, rzuc jaące dziwne refleksy na zdeptany śnieg leżący pod blo kami.

Blok Mikiiego znajdował się najbliżej rewiru, tam więc skierowaliśmy się najpierw. Gienek mając zajęte ręce, jednym kopnięciem otworzył drzwi bloku. Ze skąpo oświetlonego korytarza buchnęły kłęby pary, owionął nas ciepły, wilgotny smród. Tupot setek drewniaków, jęki, przekleństwa nieopisany gwar, a nad Tym wszystkim donośny głos blokowego. Miki Galas, niemiecki więzień kryminalny nr. 11, jeden z trzydziestu bandziorów przywiezionych z Sachsenhausen przez Palitzscha, ubrany w granatową promińczką kurtkę dopasowaną do jego szczupłej postaci, wymierzał właśnie karę jakiemuś więźniowi. Więzień leżał na taborecie, przytrzymywany przez dwóch rosłych stubendienstów. Na wypięty chudy i goły tyłek spadały razy, regular-

72.

nie odmierzane wprawną ręką blokowego. Za każdym uderzeniem katowany więzień darł się coraz głośniej.

– To nie ja...! To nie ja ukradłem!

Miki zobaczywszy nas przerwał bicie. Skorzystał z tego delikwent i wyrwał się sztubowym. Ale Miki był szybszy. Złapał uciekającego za kołnierz, obrócił go twarzą do siebie i lewą ręką wymierzył potężny cios.

– A masz, ty złodzieju! Już ja cię oduczę kraść chleb kolegom! Już nigdy więcej nie będziesz kradł, nie będziesz też jadł...! – I żeby mocniej zadokumentować ostatnie słowa, kopnął leżącego w brzuch.

– No, łapiduchy! – zwrócił się wesoło do nas, już zupełnie uspokojony, swa kiepską polszczyzną, poklepując przy tym Obojskiego po szerokich barach.

– Zabierajcie tych durchfalowców! – wskazał na waschraum, gdzie stubendienści pospiesznie zdzierali z trupów zawszoną bieliznę. Gienek zauważywszy, że część zwłok jest już rozebrana, jednym skokiem był przy sztubowych.

– Numerów oczywiście im nie powypisywaliście! Zapomnieli... – dorzucił

zgrzyźliwie. Obojski znał metody niektórych sztubowych. Nieraz trafiło się i dobre odzienie, które potem przehandlowywali za jedzenie marnie ubranym więźniom.

– Schreiber ma numery zmarłych! – usprawiedliwiali się chórem sztubowi. Obojski wpadł na moment do pokoju blokowego, gdzie mieściła się schreibstuba bloku. Wrócił po chwili, trzymając w rękę karteczkę z numerami zmarłych więźniów. Teraz, wyczytując z listy numery, tak jak idzie, wziął się do wypisywania ich po kolei, chemicznym ołówkiem, na piersiach zmarłych. Na wysuszonej skórze ołówek nie chwycił. Nie namyślając się wiele – żeby nie tracić czasu – strzyknął ślinę, rozmasował ją palcem i ponownie jeszcze raz pociągnął ołówkiem. W porządku! Czterocyfrowe numery były teraz dobrze widoczne. To nic, że nieboszczyk za życia miał inny numer! Grunt, by nazwiska i numery zmarłych były wykreślone ze stanu żyjących i wpisane do toten-buch. Co będzie dalej, nikogo to nie obchodziło. W krematorium i tak wszystkie prochy się pomieszają. Chwytając za ręce i nogi załadowaliśmy tragi trupami, kładąc je „na waleta”, żeby ciężar był równomiernie rozłożony. Cztery ciała przykryliśmy kocami, zapięliśmy pasy

73.

umocowane do uchwytów noszy, zarzuciliśmy je sobie n ramiona, aby mocno i wygodnie oparły się na karku i – h rup! – jednocześnie podnieśliśmy ciężki ładunek. Obojski uczynił to bez najmniejszego wysiłku, ale ja nie byłem jes cze wprawiony do tej roboty. Kolana mi się uginały a w oczach zrobiło się ciemno. Najgorzej było na schodac wiodących na dwór. W drzwiach znowu owionęła nas par po omacku wyszukiwałem stopnie. Gienek przynaglił, wtrzymując cały ciężar na sobie, był bowiem z przodu.

– Nareszcie...!

Szliśmy teraz powoli, noga w nogę, tragi trzeszcza uginały się rytmicznie. Wracaliśmy najkrótszą drogą przez obszerny dziedziniec, między blokiem karnej kom panii a naszym, gdzie mieściła się leichenhala. Ciekaw posten oświetlał nam przez chwilę trasę, skierowując sno jasnego światła z reflektora umieszczonego na wieży stra niczej obok theatergebäude. W drzwiach prowadzących d piwnicy mijaliśmy się z Alim i Teofilem. Oni zdążyli ju raz obrócić.

– Macie co? – zapytał w przejściu Teoś.

– Tak, czterech aż! – nie każdy mógł tylu dźwigną. Dokonać można tego jedynie pracując z Gienkiem.

– Głupiś! – uciał krótko Teofil. – Ja z Gienkiem mogę nawet sześciu naraz zabrać... Pytam, czy dostaliście coś do żarcia.

– Dwie porcje! – odpowiedział Obojski pociągając mnie gwałtownie w dół schodów. Znalazłszy się w piwnicy, jednym przechyleniem tr zrzuciliśmy brzemię na betonową posadzkę. Ciała już zd żyły tak zesztynnieć na mrozie, że trudno było spod ni wyciągnąć koce. Gienek, uchyliwszy wieko jednej z „tr mien”, wyłuskał spod marynarki dwie porcje chleba i zł żył je na dnie, gdzie leżało już pół bochenka i kubek ma molady, przypuszczalnie zdobycz Alego i Teofila. Szyb wracaliśmy na blok Mikięgo. Do apelu zdążyliśmy uprzą nać wszystkich. Magazyn żywnościowy w trumnie był c raz obfitszy.

– Tak, bracie! – tłumaczył mi Teoś, zdążając na ap w korytarzu bloku – żywimy się padliną jak hieny... A nim pójdziemy z dymem... nażryjemy się chociaż! No n Gieniuchna? Sowieso Krematorium...!

1 Tak czy tak krematorium...!

74.

Rozdział XVII

Święta minęły bez echa. Wolny od pracy dzień wykorzystałem na widzenie się z kolegami z lagru. Na ogół trzymali się dobrze. Brak było jedynie Dziunia. Edzio Ferenc, chociaż zmużniał, nie poddawał się losowi. Było w tym trochę mojej zasługi, dzięki kradzieżom w magazynie i nieprzyjemnej pracy leichentragera. Bolek Szumlakowski martwił się o swego brata Kazika. W listach, jakie otrzymywał od rodziców, brak było jakiegokolwiek wzmianki o jego powrocie do domu. Co to mogło znaczyć?

Z początkiem stycznia przyszedł transport z tarnowskiego więzienia, a w nim

wielu jarosławiaków. Staszek Hedorowicz już widział się z nimi. Przeważnie młodzież, a wśród niej Kazio Szumlakowski przywieziony po raz wtóry, no i... doktor R.

Na wiadomość o tym aż podskoczyłem z wrażenia. Więc wsypa! Wsypa, bo R. przyjechał prawie z całym personelem lecznicy, pod której osłoną kryła się jego tajna organizacja. Nie pomogły dobre stosunki z gestapowcami, których – jak sam powiadał – kupił sobie za szumne przyjęcia urządzone w swoim domu. Miało to dać gwarancję nietykalności z ich strony dla pracowników zakładu. A jaki był siebie pewny! Kiedy kpt. Wilczyński, zaniepokojony zbyt głośną działalnością R., która mogła wydać się nawet prowokacją, wysłał mnie do niego z ostrzeżeniem, stawiającym jego aktywność i skupianie wokół siebie młodzieży pod zarzutem czerpania z tego osobistych korzyści – na co wskazać mogły chociażby spore dochody z intratnej w tym ustawieniu lecznicy – doktor R. nie stracił bynajmniej tupetu. Po dłuższej i nieprzyjemnej wymianie zdań, nacechowanej pogroźkami z jednej i drugiej strony, po prostu zagroził mi, że wykorzystując swoje dobre stosunki z gestapo, może spowodować, bym znalazł się w obozie koncentracyjnym, jeśli nie przestanę deptać mu po piętach i przeszkadzać w prowadzeniu dobrej konspiracyjnej roboty.

Ustąpiłem pod namową i presją jego gorących zwolenników. Kazik O. groził mi nawet rewolwerem. Zresztą zostałem osamotniony. Moim protektorem udało się wkrótce zbiec na Węgry. Zostałem aresztowany nie z jego powodu.

75.

Przeciwnie, nawet się starał mnie ostrzec. I oto sam, wszechwiedzący i ustosunkowany, znalazł się w Oświęcimiu, pociągając za sobą rzeszę młodych ludzi, którzy mu uwierzyli. To było tragiczne, ale mimo wszystko na wiadomość, że przywieziono R. do obozu, doznałem wstrętного uczucia satysfakcji. Widocznie nie umiałem tego ukryć, bo Staszek spojrział na mnie z wyrzutem, mówiąc szybko: – Skoro został aresztowany i tu przywieziony, należy mu pomóc, i ja będę pierwszy, który to uczyni...

To świetnie! – przerwałem mu. – Przynajmniej ja zostanę zwolniony z obowiązku pomagania doktorowi R. Chętnie natomiast, w miarę moich możliwości, będę służył pomocą wszystkim tym, którzy dzięki niemu siedzą tu teraz.

– Jesteś w błędzie! – odrzekł z irytacją. – Doktor R. miał jak najlepsze chęci i nikogo nie sypnął, mimo iż był dobrze obity w czasie przesłuchiwań na gestapo. Zresztą nie czas teraz na dyskusje... Trzeba działać!

Natychmiast po sprzątnięciu bloku pobiegłem na blok 7, gdzie zatrzymał się zugańg. W drodze układałem sobie „mowę powitalną” przeznaczoną dla doktora R. Pierwszym, którego spotkałem, był Julek Kiwała. Uściskaliśmy się serdecznie. Był bardzo wymizerowany, a w przykrótkim pasiaku dziwnie wyglądał. Ostatni raz widziałem go jeszcze w 1939 r. jako eleganckiego podchorążego. Kiedyś, jeszcze w czasach gimnazjalnych, łączyła nas serdeczna przyjaźń. Stał oto teraz przede mną, drobny, odziany w cienki drelich obozowy, trzęsący się z zimna, w olbrzymich holendrach na gołych nogach. Mimo wszystko nie tracił rezonu, a może nadrabiał.

– Pamiętasz? – powiedział siląc się na humor. – Profesor Tęczarowski zawsze nam przepowiadał, że będziemy tłuc kamienie...

Staszek Hedorowicz już był przy R., który stał w otoczeniu swojej gwardii. Z jego dawnej otyłości nie pozostało nic. Na twarzy pofałdowanej i wymizerowanej znać jeszcze było ślady niedawnych przesłuchiwań na gestapo.

Przywitał się ze mną bardzo serdecznie.

– Chłopcze, jak ty świetnie wyglądasz! Twój ojciec tak martwił się zawsze o ciebie... Często się z nim widywałem. Nawet robiliśmy wspólne starania o wydostanie ciebie z tego piekła... I sprawa jest na dobrej drodze! Jestem

76.

dobrze poinformowany... Wkrótce będziesz zwolniony, ja ci to mówię!

Mówił bez przerwy. Ja słuchałem i ... zaczynałem wierzyć w te wszystkie brednie. Tak miło było słyszeć takie pocieszające wiadomości. Zapomniałem już nawet o przygotowanej „mowie powitalnej”. A kiedy ze łzami w oczach mówił o swojej jedynej córce, również aresztowanej wraz z przyjaciółką, obecnie żoną stojącego obok mnie Kazia Supersona, byłem już zupełnie rozbrojony.

– Tak, mój drogi, pech chciał, że wpadliśmy... – ciągnął dalej widząc, jakie zrobił na mnie wrażenie. – Ale teraz jesteśmy razem i musimy sobie wspólnie pomagać, żeby przetrwać...! Tylko nie wiem, gdzie jest teraz moja biedna córeczka i... – objawszy ojcowskim ruchem Super-sona, kończył z emfazą – twoja żona, Kaziu...

Doktor R. był w tej chwili naprawdę wzruszony, nie mógł nawet opanować łez, które spływały mu po obwisłych policzkach.

Staszek Hedorowicz działał. Doktor R. został przyjęty do szpitala, najpierw jako chory – był nim zresztą – a w niedługim czasie po wyzdrowieniu na stałe jako lekarz. Zrazu pracował na bloku inwalidów, następnie jakiś czas ze Staszkiem na zakaźnym, później w ambulatorium na bloku 28.

Ponieważ ja nie miałem jeszcze tak rozległych znajomości i stosunków na rewirze, jakimi mógł wykazać się Staszek, zabiegi moje były siłą faktu mniej efektywne. Toteż moja pomoc, na przykład w stosunku do Julka, ograniczyła się jedynie do doraźnej przysługi w postaci zupy, pajdki chleba czy porządnych skórzanych butów, które, nawiasem mówiąc, ściągnąłem jakiemuś umarłakowi. Niedługo zresztą tak Julek, jak i Kazik Superson dostali się na rewir w charakterze sanitariuszy. Była to zasługa po większej części Staszka, jak również doktora R., który zdobywszy sobie szybko zaufanie blokowego Petra, z dnia na dzień umacniał swoją pozycję. Stosunki między mną a nim były poprawne, aczkolwiek z mojej strony starałem się utrzymać rezerwę. Staszek natomiast robił mu reklamę, ile tylko wlaźło, mimo że już tego nie potrzebował. W krótkim czasie bowiem doktor R. odzyskał swój dawny tupet, stając się jednym z najpopularniejszych lekarzy rewirowych. Niebawem też skupił wokół siebie młodzież, przeważnie jarosławska, tym razem na gruncie obozowym, jeszcze mniej bezpiecznym od poprzedniego.

77.

Blokowego Petra zawojował zupełnie. Nadspodziewanie szybko nawiązał kontakty z obozem, a w szczególności z więźniami pracującymi na Politische. Zawsze miał najświeższe wiadomości, częstokroć nawet prawdziwe. Na przykład zdołał dowiedzieć się, gdzie obecnie znajduje się jego córka – co nie było rzeczą łatwą – po czym nawiązał z nią kontakt listowny, pisząc z obozu oświęcimskiego do obozu w Ravensbriick, gdzie przebywała wraz z żoną Kazia Supersona.

Zatrzymywał mnie czasem w korytarzu naszego bloku i robiąc tajemniczą minę mówił, że wie z dobrze poinformowanego źródła, iż mam być wkrótce zwolniony. Mimo że starałem się nie wierzyć mu, zdołał zaszcześcić w moim sercu iskierkę nadziei, która tliła się tym żywiej, im więcej słyszałem tego rodzaju dobrych wiadomości. Od tego czasu każdy otrzymany z domu list czytałem kilkakrotnie, spodziewając się znaleźć w jego niewinnej i cenzurowanej treści jakieś potwierdzenie słów R.

Po uwolnieniu z obozu dwóch jarosławiaków, o czym już dzień wcześniej wiedział R., byłem święcie przekonany, że teraz kolej na mnie.

Któregoś dnia dostałem kolejny list z domu. Poprosiłem Mariana Tolińskiego, który zwykle odpisywał za mnie listy do domu, by zechciał mi dokładnie go przeczytać. W tym celu udaliśmy się na strych, gdzie usiedliśmy na belkach – Marian czytał, a ja jakoś dziwnie rozkleiwszy się, ukradkiem wycierałem zwilgotniałe oczy. Nadeszło jeszcze kilku kolegów, przysiedli się do nas, opowiadając różne plotki obozowe. W pewnym momencie ktoś nagle krzyknął: – Leo idzie...!

Jednym skokiem dopadłem sterty desek i belek zmagazynowanych na strychu i wcisnąwszy się między nie głęboko, nadśluchiwałem, starając się prawie nie oddychać. Cisza jak makiem siał... Po dłuższej chwili doszedł mnie chóralny śmiech kolegów. Wiedzieli o mojej przeprawie z Leonem, której omal nie przypłaciłem życiem, wiedzieli, jak panicznie boję się go. Zrobili mi paskudny kawał. Ze strachu wlażłem tak głęboko między deski, że nie było mowy, bym wy dostał się z powrotem o własnych siłach. Musieli dobrze się napracować, żeby mnie stamtąd wyciągnąć.

Do obozu przychodziły wciąż nowe transporty. Powiększał się też rewir, przybywali nowi pracownicy, w związku z czym nastąpiły przesunięcia personalne. Na

78.

naszym bloku ambulatorium objął dr Diem, powszechnie szanowany i lubiany. Dr Dehring zajął się chirurgią, dr Suliborski blokiem zakaźnym, gdzie powoli, acz systematycznie, wyłaniała się nowa gwiazda – Mieczysław Pańszczyk. Człowiek ten o nie zaspokojonych ambicjach osiągnął wkrótce to, czego tak bardzo pragnął – władzę. Chodził jak paw poważny, nadęty, zarozumiały. Przed wojną podobno zaczął studia w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych i jak sam mawiał, miał artystyczną duszę. Żeby to zadokumentować, urządził w swoim pokoju coś w rodzaju atelier ze sztalugami, blejtramami i innymi malarskimi akcesoriami, gdzie oddawał się z pasją sztuce, w wolnych od „pracy” chwilach. Ale to nie był jeszcze szczyt jego marzeń. Pragnął być panem życia i śmierci. To już było coś. Toteż wkrótce znalazł sobie odpowiednie „zajęcie”. Nie miało ono co prawda nic wspólnego z jego artystycznymi upodobaniami ani też z najkardynalniejszymi zasadami humanitaryzmu, ale za to mógł dysponować do woli śmiercią. Jego patologiczna megalomania dała upust najniższym sadystycznym skłonnościom, co też umiejętnie wykorzystali lekarze SS, wkładając mu do ręki strzykawkę z fenolem, by skracał żywot tym, którzy i tak umrzeć muszą.

Rozdział XVIII

Byliśmy już po apelu i właśnie zabieraliśmy się do kolacji, gdy z korytarza doszedł nas donośny głos Bocka:

– Obojski! Teofil!

Obaj leichentragerzy w pośpiechu łykali ostatnie kęsy chleba, biegnąc ku wyjściu z sali. Wszyscy wiedzieliśmy już dobrze, co to oznacza. Jeśli wywoływano tych dwóch w czasie trwania apelu na lagrze, oznaczało to rozwałkę. Od niedawna rozpoczęły się egzekucje, w których zawsze brali udział Obojski i Teofil. Tego dnia jednak zanosilo się na coś jeszcze poważniejszego. Bock kazał im dobrać sobie jeszcze kilku spośród nas. W tej grupie oczywiście ja też się znalazłem. Przed blokiem oczekiwał nas jakiś block-f'uhrrer. Kazał załadować „trumny” i blaszanymi tra-gami stojącą pod blokiem rolwagę i ruszyć w stronę placu, na którym trwał jeszcze apel. Uczepieni wozu biegnaliśmy ku

79.

bramie obozowej, poganiani przez esesmana, odprowadzani tysiącami zaciekawionych i zarazem wystraszonych spojrzeń więźniów. Podczas gdy przeliczano nas na wartowni, apel dobiegał końca. Wśród wrzasku, bicia i nawoływań wpędzono wszystkich do bloków. Zarządzono więc ścisłą lagersperre. Tuż za drutami ogrodzenia, na wprost wartowni, znajdowała się mała żwirownia, tzw. kiesgrube, z której czerpano piasek i żwir używany do budowy nowych bloków wznoszonych wewnątrz obozu. Na kawałku płaskiego terenu stało w dwuszeregu kilkudziesięciu esesmanów w hełmach, z karabinami u nóg. Nam kazano stanąć opodal, tuż nad samą skarżą. Po zdjęciu skrzyń z rolwagi rozkazano nam odwrócić się plecami do wykopu, gdzie miała za chwilę odbyć się egzekucja, czego nietrudno było się domyślić. Twarzami zwróceniu byliśmy do esesmańskich szeregów, spomiędzy których jakiś oficer wybrał trzech czy nawet czterech do plutonu egzekucyjnego. Twarzami obróceniu byliśmy teraz do miejsca egzekucji. Po stromej pochyłości wszedł pierwszy skazaniec ze skrępowanymi z tyłu rękami, popychany bezceremonialnie przez młodego esesmana. Skazaniec był boso, odziany w podarte cywilne spodnie i jakiś łachman, który zapewne był kiedyś koszulą. Esesman ustawił go twarzą do prostopadłej ściany żwirowni, po czym oddalił się. Naprzeciw zajął miejsce pluton egzekucyjny. Z lewej strony na wzgórkę stała grupa oficerów, z których jeden wziął się do wyczytywania wyroku, drugi zaś, w chwili gdy ten skończył, dał komendę: – Feu-er!1 – Rozległa się pierwsza salwa odbijając się głośnym echem w otaczających nas budynkach. Skazaniec runął w piasek jak podcięty. Kilka kamyczków oderwało się od skarpy i potoczyło do drgających konwulsyjnie nóg rozstrzelanego. Jakiś esesman wyjąwszy z kabury pistolet dobił leżącego. – Leichentrager! – Gienek pociągnął mnie gwałtownie. Runęliśmy w dół z tragami. Poganiani przez esesmanów ułożyliśmy ciało na blaszanych tragach i co tchu w piersiach gnaliśmy pod górę, mijając w drodze następnego skazańca prowadzonego na miejsce poprzedniego. Zanim opróżniliśmy swoje nosze, gruchnęła następna salwa. Teraz pobiegł Teofil z kimś drugim. W tym samym

1 Ognia!

80.

czasie sanitariusze, stojący dotychczas beczynn timer przy rolwadze, ładowali pierwszego trupa do jednej z pak ściągniętych z wozu. Natychmiast po następnej salwie zbiegliśmy w dół po nowy ładunek, nie czekając, aż będą nas wzywać. Temu wyszły wszystkie wnętrzości. Śpiesząc się zgarnialiśmy je rękami jeszcze ciepłe, dymiące. Gdy szliśmy pod górę, krew spływała strumieniem z przechylonych trag. Pracowaliśmy bez wytchnienia. W dół, w górę, w dół, w górę, trudno spamiętać, ile razy. Tylko pluton egzekucyjny zmieniał się co chwilę. Następny! Znowu salwa. Następny, następny, następny...! Łomot wystrzałów odbijał się jednostajnym echem o pobliskie mury budynków. – Feuer!... Następny!... Do trumien!... – Nie było już miejsca, ładowano więc po dwóch.

– Weg mit diesen Dreck!1 – poganiał jakiś esesman. – Los! Schneller! Ihr blöde Hunde!

W uszach szumiało, serce biło gwałtownie. Słodkomy zapach krwi dusił w gardle. Ręce i nogi odmawiały posłuszeństwa, ciało omdlewało ze zmęczenia. Ilu jeszcze?...

Wreszcie strzały ucichły. Przy akompaniamencie trzasku zamków karabinowych szorowaliśmy tragi piaskiem. Krwawe ślady na ziemi zasypywaliśmy szutrem. Tymczasem inni załadowali rolwagę. Krew cienkimi strumieniami ściekała z desek, wylewając się na platformę, skąd przelewała się na koła obryzgując nas, nim wsiąkła w piasek.

Teraz kazano nam ustawić się szeregiem i odwrócić plecami. Znowu szczęknęły zamki repetowanych karabinów. – Jezus Maria!... To już koniec! – Ktoś stojący obok mnie zaczął się głośno modlić. – Boże, ratuj! – modliłem się i ja. Ale zamiast spodziewanych strzałów spadły na nas uderzenia kolb i pięści esesmanów.

– Abfahrt! Los!2

Obojski i Teofil skoczyli do dyszla, my zaparliśmy się mocno po bokach rolwagi. Koła obciążonego wozu wrzynały się w żwir głęboko. Wśród bicia, wrzasków i rechotu esesmanów ruszyliśmy z miejsca niemal kłusem. Biegiem zajechaliśmy pod krematorium. Wyładunek nie potwał długo. Ściemniało się, kiedy wracaliśmy

–

1 Precz z tym gównem! 8 Odjazd! Już!

81.

do obozu. Z daleka, od strony miasta, dolatywały miarowe, dźwięczne uderzenia dzwonu kościelnego. Anioł Pański! Tego wieczoru za dobrą pracę dostaliśmy zulagę.

I Rozdział XIX

Wiosną wizytował obóz sam Himmler. Lager świecił czystością. Muzułmanów gdzieś pochowano. Po obozie . kręcili się wyłącznie dobrze odżywieni i schludnie ubrani I więźniowie. Nasz rewir nabrał wyglądu prawdziwego i szpitala. Przynajmniej zewnętrznie. Chorzy leżeli w łóż-f kach pojedynczo, na prześcieradłach, okryci czystymi kocami. Pod łózkami stały baseny, kaczki, nocniki. Diatkii-che wydawała mleczną zupę dla żołądkowców, bezsolną dla nerkowców, biały chleb dla dietetyków. Leichentrage-rzy musieli kryć się ze swoją pracą.

Wizyta Himmlera miała swoje dobre strony. Część z tych pokazowych dobrodziejstw pozostała. Nie zmieniła się jedynie śmiertelność wśród chorych, raczej nawet wzrosła. Śmierć nie oszczędzała nikogo, personelu szpitala również. Zaczęły się szerzyć epidemie. Rewir miał coraz gorszą markę u obozowiczów. Niestety, opinia ta była jak najbardziej słuszna. Większość pacjentów szpitala nie powracała do lagru. Z rewiru odstawiali ich całymi partiami, po kilka razy dziennie, do krematorium. Bo cóż mogła 'działać nawet najlepsza opieka lekarska, skoro nie było czym leczyć. Czarnej maści na kratze i „schmerztabletek" było pod dostatkiem, tak samo tanalbiny, węgla czy „bolus alba". Ale tym jeszcze nikogo nie wyleczono. Tylko nielicznych wypisywano ze szpitala jako ozdrowieńców, były to jednak wyjątki. Nic też dziwnego, że więźniowie, jak tylko mogli, unikali rewiru.

Zwykle po wieczornym apelu wychodziłem przed blok, gdzie chorzy ustawiali się w kolejce do ambulatorium. Zawsze znalazł się ktoś potrzebujący pomocy. Biegałem wtedy do Mariana po potrzebne leki, których mi nigdy nie odmawiał, chyba że nie

było takowych. E d k a F. jeszcze stale przemycałem do ambulatorium na zabiegi. Zdjęto mu wreszcie turban z głowy, z którym nie rozstawał się niemal całą zimę. Na głowie pozostało mnóstwo blizn po wrzodach, gojących się teraz na wiosnę szybko. Skoro przetrwał ciężką zimę, był uratowany.

82.

Nie wszystkich jednak udawało się wyrwać śmierci Tadek Dąbrowski od dłuższego już czasu cierpiał na durchfal. Żadne środki, którymi dysponowałem, nie mogły już powstrzymać krwawej biegunki. Stał się typowym muzułmanem, mimo to jego najbliżsi koledzy za żadne skarby nie chcieli dopuścić, by dostał się na „wykańczalnię” – jak nazywali szpital – co było ryzykowne, chociaż przy mojej pomocy mogło być jedynym ratunkiem. Lecz nie pomogły perswazje. Strach przed rewirem był mocniejszy. Staszek Pielech, krajan Tadeusza, razem z nim aresztowany w Strachocinie w powiecie sanockim, opiekował się chorym niemal do końca. Pracując w komandzie szewców dekował tam jakiś czas Tadka, póki ten miał siły jeszcze chodzić. Później nosił go na plecach. Ale jak długo można było nosić chorego więźnia do pracy. Miły kapo Gronke nie dopuścił do tego, by w jego komandzie dekował się muzułman. Przytargał go w końcu Staszek na własnych ramionach do szpitala, przed którym odczuwał taki lęk. Dr Diem, nie badając nawet Tadka, kazał go natychmiast wpisać na rewir. Po kąpieli i innych nieodzownych „kosmetycznych” zabiegach ze względu na zaniedbany stan, w jakim się Tadek znajdował, ulokowałem go na sali durchfalowej. Po dwóch dniach poczuł się lepiej, stał się nawet rozmowny. Przekonałem się, że miał wprost jakąś obsesję na tle swego aresztowania. Był przekonany, że aresztowania w Strachocinie i Pakoszówce były następstwem jego zeznań na gestapo, gdzie pod wpływem doznanych tortur przyznał się do kontaktów z tamtejszą tajną organizacją. Utrzymywał, że za wszystko ponosi winę i musi odpokutować. Sumienie tak go dręczy, że nie sposób żyć z tym dalej. Jedynym wyzwoleniem może być tylko śmierć. Trudno jest ratować człowieka, który nie chce żyć. W innym wypadku, mimo skrajnego wyczerpania, można go było utrzymać przy życiu. Zmarł jeszcze tej samej nocy.

Edek Ferenc był już prawie zdrów. Doczekał ciepłych wiosennych dni. Zwolniono go w końcu z karnego komanda. Szczęście się doń wreszcie uśmiechnęło. Znalazł sobie lekką pracę wewnątrz obozu.

Doktor R. siedział już mocno w siodle. Był stałym gościem blokowego Petra, będącego pod jego silnym wpływem. R. miał w sobie coś z szarlatana. W pokoju Petra odbywały się seanse spirytystyczne. Podobno stolik wskazywał rychły koniec wojny. W czerwcu Niemcy napadły na Rosję.

83.

gt aiernneykm ai uTt eemof.i lD dzoi aścł oc szięest taok ww ywjeżpdażdakl ui zpaosztar z oe lbeónzi as wa nięi--podczas ucieczki z aussenkommando. Jednego razu chciał, że Teofil gdzieś się zapodział, właśnie w momencie kiedy był potrzebny. Auto czekało, a Teofila nigdzie nie można było znaleźć. SDG denerwował się, ańcu Bock nie widząc innego wyjścia wyznaczył mnie istępstwie Teofila. Załadowawszy blaszane tragi, SDG knął nas wraz z nimi w budzie, a sam usiadł obok kie-:y, po czym ruszyliśmy. Jechaliśmy w kierunku miasta |, która znałem jeszcze sprzed roku, kiedy to jako stoI irz chodziłem do zakładu oo. salezjanów heblować deski. Hr rynku mieliśmy dłuższy postój. Przechodnie z zacieka-BYieniem spoglądali na sanitarkę, widząc w jej wnętrzu Mjrzez uchylone drzwi więźniów. Na mnie z kolei wielkie p r a ż e n i e zrobił ruch uliczny, swobodnie przechadzający Hę ludzie, otwarte sklepy pełne różności i jedzenia. Nic Bziwnego. Pierwszy raz od roku miałem możliwość ujrzeć kawałek wolnego świata.

Auto stało obok sklepu z pieczywem, skąd dolatywał nas miły zapach świeżego chleba. Ten nęcący zapach nie dawał nam spokoju, Gienek wynalazłszy jakiś pretekst poprosił SDG, by pozwolił nam wyjść z auta. SDG łaskawie zezwoli!, oddając nas w opiekę kierowcy, sam zaś oddalił się. Kierowca, przypuszczalnie Ślązak, wdał się z nami w rozmowę po polsku. Jakaś dziewczyna usłysawszy polską mowę, udając że kokietuje esesmana, w rozmowie z nim zapytała, czy może nam podać kawałek chleba. Kiero-ca ujęty miłą powierzchownością dziewczyny zgodził się, pod warunkiem że zrobi to tak, żeby nikt nie zauważył.

W rezultacie już po chwili mieliśmy bochen świeżego chleba, który ukryliśmy w kocu leżącym na tragach, a służącym do przykrywania trupów. Po powrocie SDG ruszyliśmy dalej, zjadając ze smakiem świeżuteńki chleb, błogosławiąc sprytną i bezinteresowną dziewczynę. Jechaliśmy teraz wzdłuż wielkich zakładów chemicznych budujących się od niedawna. Jak okiem sięgnąć, Wszędzie pracowali więźniowie, przeważnie przy robotach ziemnych. Wysoki scharführer stojący opodal budującej się szosy podniesieniem ręki zatrzymał sanitarkę. Zza jego pleców wychylił się bezręki Siegrud, oberkapo tego wiel-

84.

kiego komanda. Esesman wskazał na odległą o paręset metrów łąkę, gdzie zastrzelono więźnia. Zabrawszy z sobą tragi, poszliśmy wszyscy we wskazanym kierunku. Na podmokłej łące pracowało kilkunastu więźniów kopiąc rowy odwadniające. W otwartym terenie stało samotne drzewo, kryjące w swym cieniu ciało zastrzelonego. Listowie wierzby leciutko szumiało, w górze śpiewały skowronki, na ukwieconej łące hasały kolorowe motyle, wilgotna trawa przyjemnie pachniała.

Jakiż to inny świat niż ten, w którym nam przyszło żyć – pomyślałem – i jaki piękny...!

Gienek widocznie odczuwał w tej chwili to samo, co mnie tak urzekło, bo nie usłyszał nawet, jak zwrócił się doń SDG, każąc mu odwrócić trupa leżącego twarzą do ziemi. Zaczęły się oględziny. SDG coś notował, scharführer też, esesman zaś, który zastrzelił więźnia, podpisał podstawiony mu papierek. Na zakończenie tej urzędowej scenki scharführer poklepał esesmana w uznaniu za celne strzały, po czym kazał nam załadować zwłoki na nosze.

Wszystkie trzy strzały przeszły plecy więźnia. Krwi było niewiele. Koszula ledwie zaróżowiona i zakrzepła strużka krwi w otwartych ustach zmarłego. Gienek spojrzał znacząco na niedopięte spodnie zastrzelonego. Było jasne, że więzień został zastrzelony w czasie spełniania zwykłej fizjologicznej potrzeby. Wiadomo też było, co napisali w meldunku: „Auf der Flucht erschossen”} Wracaliśmy przez łąkę tą samą drogą. Nogi grzęzły w wilgotnym podłożu. Musieliśmy przystawać parę razy. A może Gienek robił to celowo?... Tu było tak pięknie

Wystające z tragi nogi nieboszczyka huśtały się miarowo w takt naszego kroku. Skowronki dźwięcznie zawodziły swoje trele. Byliśmy przy aucie.

– Aufladen!2 – rozkazał krótko SDG.

Drzwiczki sanitarki zamknęły się za nami z trzaskiem Auto ruszyło. Siedzieliśmy obok zwłok w milczeniu, każdy zajęty swoimi myślami. Oczywiście wyobraźni widziałem u- J kwieconą łąkę. Nic, tylko łąkę, motyle, skowronki, kwiaty.. Trupa więźnia na niej nie było.

1 „Zastrzelony w czasie ucieczki”.

2 Załadować!

85.

Dojeżdżaliśmy do obozu. Tuż przed samą wartownią Gienek nagle przypomniał sobie o nie dojeżdżonym chlebie. Jenym ruchem wsadził go pod leżące na tragach zwłoki, Przeworność ta okazała się zbyteczna. Rewizji nie było.

Gienek przyrzekł mi znowu zabrać przy najbliższej okazji. Na okazję nie trzeba było długo czekać. Któregoś dnia po ogromnym upale, zaraz po apelu wieczornym, pojechaliśmy nad Sołę wyłowić z rzeki trupa więźnia, który utonął parę dni temu, podobno w trakcie ucieczki. Opadająca woda górskiej rzeki wyrzuciła go na przybrzeżne krzaki, gdzie zaczepił się o jakiś wystający z brzegu konar. Ciało było już w kompletnym rozkładzie. Okropny smród rozkładającego się ciała i roje przeróżnych much doprowadzały nas do rozpaczki mimo dostatecznego tego rodzaju doświadczenia. Z trudem pozbieraliśmy te resztki ludzkie i załadowali do sanitarki. Cuchnęliśmy do tego stopnia, że SDG wyjątkowo zezwolił nam się wykapać. Po tej wstrętnej robocie kąpiel była rozkoszą. Ale cóż z tego! Po kąpeli musieliśmy znowu wdziąć nasze przesiąknięte fetorem ubrania i jechać w zamkniętej budzie wraz z trupem aż do

krematorium.

Ta wyprawa nam się nie powiodła. A poprzednia miała tyle uroku!

Rozdział XXI

W okresie letnim wzmogła się w obozie akcja rozstrzeliwania więźniów. Wykorzystywane w tym celu doły licznych zwirowni w sąsiedztwie obozu stały się z wiadomych powodów niewygodne dla władz obozowych. Salwy plutonu egzekucyjnego też robiły za wiele hałasu. Rapport-fuhrer Palitzsch, gorliwy wykonawca wszelkich najokrutniejszych zarządzeń SS, zawsze pełen „dobrych” pomyślnych słów, sprowadził z rzeźni katowickiej małokalibrowy karabin, który po małej przeróbce i zamontowaniu wylotu lufy tłumika sporządzonego w ślusarni obozowej na pawął się wyśmienicie do uśmiercania tysięcy więźniów systemem taśmowym i bezgłośnym. Wykonawcą wyroku sądu doraźnego” był oczywiście sam projektodawca Palitzsch, luzowany też niejednokrotnie przez równych do „pracy”, dobranych przez oddział polityczny kwatermistrzów, jak Stiewitz, Stark, Lachman czy Dylewsky.

86.

Palitzsch lubił wzbudzać strach u więźniów, często paradując po obozie z karabinkiem w ręku przed pójściem na dziedziniec bloku 11, gdzie dokonywano egzekucji. Przedtem wstępował na nasz blok po leichtenragerów. Obojski i Teofil asystować musieli przy każdej rozwałce. Reszta komanda oczekiwała w korytarzu bloku 11 na zakończenie egzekucji. My byliśmy jedynie potrzebni do załadowania rolwagi i zawiezienia rozstrzelanych do krematorium. Ponieważ rozwałki były coraz częstsze, komando leichtenragerów zostało powiększone, a Teofila mianowano starszym komando. Moja dorywcza pomoc stała się zbędna, przynajmniej podczas rozwałek. Jeszcze jeden raz tylko zastąpiłem Teofila pod jego nieobecność, pewnego pięknego lipcowego dnia.

Stałem w oknie mej sztuby obserwując pracę karnej kompanii. Miejsce pracy SK znajdowało się w kiesgrube, tej właśnie, w której jeszcze nie tak dawno masowo rozstrzeliwano więźniów. Moje okno było doskonałym punktem obserwacyjnym.

Udając, że myję szyby, dobrze widziałem, co się tam wyprawia.

Przed dwoma dniami zasilono karną kompanię kilkudziesięcioma zugangami przywiezionymi ze Słowacji. Byli to sami Żydzi. Na specjalny rozkaz lagerfuhrera wszyscy mieli być tu wykończeni. Esesmani i kapowie z SK zabrali się ochoczo do dzieła. Po dwóch dniach pozostały już tylko niedobitki.

^ ^

Jeden z Żydów, atletycznej budowy i potwornie gruby, trzymał się jeszcze, mimo że to on właśnie był głównym obiektem znęcania się kapów i esesmanów. Pracował zawzięcie, starając się nie dać powodu do bicia, jakby jeszcze wierzył w napis znajdujący się nad bramą obozu, o parę kroków od miejsca jego pracy: Arbeit macht frei.1

Popychał więc ciężkie taczki zawsze kopiato naładowane – dbali już o to kapowie – biegnąc przepychał się przez szpaler utworzony przez bandziorów tłukących go drągami gdzie popadło, wysypywał żwir we wskazanym miejscu, po czym już z pustymi taczkami odbywał tę samą drogę z powrotem, wciąż popychany, bity i kopany. Za wszelką cenę starał się jak najszybciej mijać pułapkę nań zastawioną. Była to deska przerzucona w poprzek głęboko-1 Praca czyni wolnym.

87.

Wiedziało się, że w tym miejscu wykończono większość jego rodaków. Kto nie utrzymał na desce rów nowagi, ten staczał się wraz z taczkami do jamy, skąd już nie było powrotu. Tam najokrutniejsi z kapów dobijali pałkami swe ofiary. Nawet jeśli znalazł się jeszcze ktoś mając dość sił wspinał się na usypujący się stok i już dawało się, wydostał z matni, stojący na górze esesman jednym dobrze wymierzonym kopnięciem odrzucał go w tył z powrotem.

Żyd atleta jeszcze się jakoś trzymał, ale coraz bardziej słabł i widać już było, że goni resztkami sił. Pewnie zdawał sobie sprawę z faktu, że jest osaczony i że stąd już nie wyjdzie. Jednak walczył o życie do końca. Usiłował jeszcze pracować, lecz ruchy jego stawały się powolne, nieskoordynowane. Jak ślepiec macał wkoło rękami, szukając tańców, które leżały wyrócone tuż pod jego nogami. Był może faktycznie niewiele widział. Kręcąc się bezradnie w kółko, zawadzał nogami o nierówności terenu, a kiedy padał, natychmiast doskakiwali doń

kapowie, rzucając s jak wygłodniałe wilki na swoją ofiarę.
W miejscu gdzie poprzednio stał jeden esesman, tera było już ich kilku. Znalazły się i wyższe szarże. Nie lad gratka była to dla nich. Trzy dni zabijać jednego więźnia Mogła to być nieudolność oprawców lub ten Żyd był wyją tkowym okazem! Warto było popatrzeć!
Żyd leżał już od dłuższego czasu w dole, utyłłany w ku rzu, zlany potem, okrwawiony. Widząc, że nie daje znak życia, jeden z esesmanów krzyknął donośnie w kierunku bramy: – Lageraltester!... Nach vorne!...1
Przybiegł Bruno, fachowym okiem ocenił sytuację, p czym szybko zawrócił do bramy. Gienek, stojący już o dłuższego czasu obok mnie, poruszył się niespokojnie.
– Pewnie zaraz mnie zawołają, jakby kto inny ni mógł tego załatwić! – rzekł rozgoryczony. – A Teoś jes do niczego! Znowu się schlał! –Teofil ostatnio mocno po pijał. Znalazł źródło, gdzie gasił pragnienie. Zastąpiłem go.
SDG wybrał się z nami. Gdy przybyliśmy na miejsce okazało się, że przywołano nas przedwcześnie. Zmasakro wany Żyd jakimś nadludzkiem wysiłkiem jeszcze nie pod 1W. FD DO O p przrozodduu ((ppoodd b rramęę obozu)!

88.

dał się śmierci. Usiłował teraz wyjść z dołu, wspinał się pod górę, ale piasek ciągle usuwał mu się spod nóg, więc staczał się ponownie na samo dno jamy, by po chwili w tym samym uporem i wytrwałością podejść pod górę, daremnie, bo znowu ześlizgiwał się w miejsce, skąd starał się wydostać. Nic tu po nas! To mogło jeszcze potrwać długo. Przecież esesmani mieli cudowne wprost widowisko! Chcieliśmy zawrócić, ale legerfiihrer Fritzsch takna nas huknął, że stanęliśmy jak wryci. Lagerarzt, który też się tu znalazł, obojętnie wycierał chusteczką spotniałe szkła okularów. Fritzsch, zwrócony teraz do gromadki widzów, mówił coś podniesionym głosem. Odnosiło się to widać do kapów, bo nie czekając, aż skończy, dwóch z nich skoczyło do dołu. Dały się słyszeć głucho uderzenia pałek i rozdzierający jęk katowanego. Żyd padł na kolana i zgią-wszy się wpoł starał się chronić głowę, nadstawiając mimo woli plecy, na które spadały teraz wszystkie uderzenia. Kapowie wiedzieli, gdzie należy bić. Tłukli po nerkach. Fachowo! Maltretowany podniósł się jeszcze raz, ryknął nieludzko, aż oprawiający go kapo znieruchomieli, po czym zwalił się na wznak. Koniec! Wtem jeden z kapów nachylił się nad nim.
– Der lebt noch!..} – stwierdził z nie ukrywanym zdziwieniem, zwracając się do przypatrujących, jakby z usprawiedliwieniem.
– Was?!2 – wrzasnął lagerfuhrer wprost pieniać się z wściekłości. To wystarczyło. Kapo położył drąg na potężnej szyi konającego, pohnął się na nim przez chwilę, aż coś chrupnęło. Tym razem nie ulegało wątpliwości, że to koniec. Kapowie pomogli nam się wydostać z dołu, skąd z trudem wyciągnęliśmy ciało. Ledwie mieścił się na tragach. SDG po porozumieniu się z lagerarzttem skierował nas wprost do krematorium. Idąc z nami tłumaczył: – Będzie sekcja tej grubej świni.
Ciało złożyliśmy w pomieszczeniu, gdzie od niedawna pracował Georg Zemanek. Georg preparował właśnie ludzką skórę z widocznym na niej tatuażem, na specjalne zamówienie kogoś z SS. Nasz SDG był nią zachwycony. Tę artystyczną kontemplację prze-1 Ten jeszcze żyje...! 2 Co?!
838 ganów. W jednym ze szkła-

89.

rwało wejście lekarza SS, który mu ostro nakazał natych miast nas odprowadzić do obozu.
W zwirowni karna kompania pracowała teraz na zwo nionych obrotach. Widocznie kapowie byli przemęczeni trzydniową batalią i nie było już przed kim się popisywa Widzowie rozeszli się syci wrażeń, a ostatniego Żyda z S wyprawili na łono Abrahama, wypełniając tym samym za danie, jakie zlecił im lagerfuhrer. „Grubą świnię” tymczasem krajano na stole sekcyjnym krematorium.
Rozdział XXII
Ostatnio zauważyłem, że ilekroć Teofil wracał z krema torium po odwiezieniu trupów, był dziwnie podniecony szczególnie rozmowny. Wygłaszał wówczas przeróżne pseu-dofilozoficzne teorie na temat życia, używając typowego żargonu

warszawskich przedmieść, których był przedstawicielem. Nie znalazłszy u niewdzięcznych słuchaczy większego zainteresowania, machnąwszy z rezygnacją ręką, kończył swą tyradę stereotypowym ulubionym powiedzonkiem: Sowieso Krematorium.

Z łatwością domyśliłem się, że jest pod wpływem alkoholu, na który też przyszła mi ochota, toteż nie owijając w bawełnę zapytałem go, czy mógłbym i ja kiedy skorzystać E jego źródła. Teoś mrugnął porozumiewawczo i sprawa była załatwiona. Miałem mu pomóc następnego dnia zawieźć napełnioną rolwą do krematorium.

Już nieraz byłem w krematorium, ale nigdy nie przy-ło mi na myśl, że właśnie tam będę miał okazję po raz pierwszy w życiu najzwyczajniej w świecie się upić. wejście do pracowni Zemanka mieli wyłącznie wtajemniczeni razem było n a s czterech, w t y m j a j e d e n b ł e m nowicjuszem Pomieszczenie, w którym Georg przeprowadzał sekcje

, znałem powierzchownie z poprzedniej wizy Zemanek przygotował miksturę, miałem możliwość przypatrzeć się bliżej otoczeniu. Mała izba o betonowej podłodze z dużym stołem pokrytym blachą, robiła wrażenie jatki rzeźniczej, z tą tylko różnicą, że zamiast wiszących na hakach połci mięsa widziało się różnej wielkości słoje napełnione formaliną z zanurzony

90.

nych naczyń znajdowała się właśnie wątroba ostatnio specjalnie spreparowana na zamówienie lekarza SS, wyjęta z ciała olbrzymiego Żyda, zamordowanego przed paru dniami. Wątroba była pokaźnych rozmiarów i zupełnie czarna. Żyd ów, jak utrzymywał Zemanek, był jednym z najbogatszych przemysłowców czeskich. Zamordowano go na samym końcu, bowiem lekarz SS zastrzegł sobie jego ciało do celów badawczych jeszcze za jego życia. Chciał zapewne widzieć, jak będzie wyglądała wątroba olbrzyma po trzech dniach ustawicznego bicia. Nie chodziło tu zresztą jedynie o wątrobę tego jednego człowieka. W innych słojach znajdowały się niemal wszystkie organy ludzkie, nie wyłączając całej głowy jakiegoś więźnia o ciekawej ponoć budowie czaszki pod względem antropologicznym. Na stole leżało kilka częściowo już spreparowanych przez Zemanka skór ludzkich, o „ciekawych”, kolorowych, misternie robionych tatuażach. Była tego cała kolekcja, przeznaczona dla kogoś z ważnych osobistości w SS. Georg demonstrował nam teraz jeden mały tatuaż, który nie wyróżniał się niczym szczególnym wśród pozostałych, był nawet zrobiony niedbale, ale za to dowcipny. Więzień wytatuował go sobie na organie, którego przez skromność na ogół nie pokazuje się codziennie. Był to hakenkreuz i obok trupia główka, taka jaką nosili esesmani na czapkach. Dowcip przypłacił życiem. Przypomniałem sobie właściciela tego złośliwego tatuażu. Przyszedł kiedyś do ambulatorium jako chory. Pech chciał, że przyjmował w tym czasie sam we własnej osobie untersturmfuhrer SS, dr Entress. W czasie dokładnego badania chorego stojącego przed nim nago widocznie zauważył mały tatuaż, nie dając jednak poznać po sobie, że odczytał jego treść, kazał przyjąć go na oddział zakaźny, gdzie pod samarytańską opieką sanitatsdiensta zmarł w jego „gabinecie zabiegowym ” na udar serca, w rezultacie czego mógł nam Zemanek zademonstrować utrwaloną w formalinie cząstkę ciała tego „dowcipnisia”, która stała się powodem jego śmierci. Zniecierpliwiony Teoś oglądając się nerwowo na drzwi – każdej chwili mógł wejść ktoś niepowołany – dopominał się czegoś konkretnego. Georg, odrzuciwszy w kąt tatuaż, nalał mu pełny kubek. Teofil wychylił go do dna bez zmrużenia oka. Gienek łyknął też, ale niewiele, pozostawiając resztę dla mnie. Najpierw powąchałem i aż mnie odrzuciło. Śmierdziało to formaliną, benzyną i czymś jeszcze, w każ-

91.

dym razie najmniej spirytusem. Teofil radził mi nos, jeśli nie umiem wypić tego inaczej. Aczkolw wstrętem, wypilem wszystko, bo było mi wstyd. Pr sam prosiłem, żeby tu przyjść popić. To świństwo gardło i wnętrzości niczym ogień. Domyślny Ze dał mi na zagrychę prasowanej kawy z cukrem, co dziło nieco nieznośne palenie, ale odbijało mi się za fta. Teofil, jako stary praktyk, radził czym prędzej w do obozu, nim jeszcze zacznie działać alkohol. Już o wałem dziwne omdlenie w nogach. Trzymając się rolwagi, zamiast ją pchać, zatrzymaliśmy się

przed w wnia, by wmeldować nasz powrót do obozu. Teo kapo leichentragerów miał obowiązek meldować. Ja kle przekręcał niemieckie wyrazy, co już uchodziło sucho, jako że znali go wszyscy esesmani, a zwłaszcza profesję. Śmiejąc się przepuścili nas do lagru. Ledwi chaliśmy pod nasz blok, widziałem wszystko podw w końcu złapały mnie nudności. Pijaństwo to odcho łem ciężko. „Tolińszczak” ratował mnie różnymi lek swej apteki. Z wdzięcznością zdradziłem mu „źródł chusa”. Za parę dni wybraliśmy się tam razem. Dzięki rianowi dało się teraz pić miksturę Zemanka. Gdy w liśmy z krematorium, zatrzymano nas na wartowni liśmy zabrać świeży kontyngent trupów, jakich dosta ostatnio w wielkiej ilości kiesgrube. Tym razem w czano tam pośpiesznie grupę jeńców radzieckich, pr zionych do obozu wprost z terenów walki na Wsch Niemcy zwyciężali na wszystkich frontach, nawet oświęcimskim obozie. Z „pokonanymi” wrogami R wróciliśmy do krematorium. Uczciliśmy to „bohater na swój sposób u Georga. Bo cóż nam pozostało go...., Sowieso Krema torium ”.

Rozdział XXIII

Któregoś letniego dnia wyszło zarządzenie, by w ułomni znajdujący się w obozie stawili się pod bl bcklclidungskammer. To samo uczyniono na rewirze, że lekarz SS wybrał jeszcze ze szpitala pewną ilość rych według swego uznania, po czym kazał ich dołączyć wybranej z lagru grupy inwalidów. Niebawem rozesz wieść, że pojedą oni do szpitala czy sanatorium w Dr

92.

gdzie zostaną otoczeni specjalną opieką. Wśród tych szczęśliwców znalazło się również kilku młodych jarosławia-ków, gruźlików, którymi opiekował się na swej sali Staszek Hedorowicz. Chłopcy byli nad wyraz uszczęśliwieni tymi sprzyjającymi okolicznościami umożliwiającymi im wyrwanie się z ciężkich warunków, jakie panowały w obozie.

Niemal w ostatniej chwili dołączono do transportu dwóch funkcyjnych Niemców, a to bezrękiego oberkapo Siegruda oraz – co było zastanawiające – blokowego Krankenmanna, wprawdzie chorobliwie wprost otyłego, ale cieszącego się najlepszym zdrowiem, czego dawał wyraz katując i mordując setki więźniów, najczęściej z własnej, nieprzymuszonej woli. Równocześnie okazało się, że Krankenmanna włączono do transportu karnie, ponieważ odkryto u niego w pokoju schowane w nodze od stołu wielkie ilości złota i kosztowności, nie wiadomo, jak zdobyte.

Wyglądało na to, że los tego „szczęśliwego” transportu zaczynał być niepewny. Staszek, domyśliwszy się słusznie niebezpieczeństwa, jakie grozi jego podopiecznym, zabiegał teraz wszelkimi siłami, by wydostać kolegów z opresji, lecz bezskutecznie. Z listy nie dało się już nikogo skreślić. Przed wieczorem załadowano około 500 więźniów do oczekującego ich pociągu, po czym transport odjechał w głąb Rzeszy.

W ciągu najbliższych dni potwierdziły się nasze najgorsze przypuszczenia. Wszyscy chorzy zostali zlikwidowani w Dreźnie, podobno otruci jakimś gazem. Na to, że zginęli, wskazywał fakt, że mienie tych nieszczęśliwców powróciło do obozowego bekleidungskammer, lagrowa zaś schreib-stube przez jakiś czas wykreślała ich systematycznie ze stanu żyjących. Dwaj Niemcy natomiast w ogóle nie dojechali do Dreżna. Siegrud, znając widocznie cel podróży, odebrał sobie życie wieszając się w wagonie, Kranken-manna zaś spotkał taki sam los, jakiego był wykonawcą za swego życia w obozie – zamordowano go.

Sam fakt, że Niemcy zdobyli się na tak bezceremonialny sposób zgładzenia za jednym zamachem pół tysiąca istnień ludzkich, podział na więźniów jak najbardziej deprymująco. Teraz można było się już spodziewać wszystkiego. Ale nawet najwięksi fantaści nie przewidywali, że nastąpi to tak szybko i przybierze takie rozmiary.

93.

Od ostatnich wypadków upłynęło parę tygodni. Któregoś dnia zapędzono na blok 11 kilkuset nowo przybyłych do obozu jeńców radzieckich. Tego samego popołudnia zjawił się niespodziewanie lagerarzt Entress i podobnie jak parę tygodni temu szczegółowo obchodził wszystkie trzy bloki rewiru, zaglądając do każdej z sal, gdzie leżeli chorzy.

Wyznaczonych przez siebie ciężej chorych kazał sprowadzić na plac przed blokiem 16, skąd pielęgniarze zaprowadzili ich do karnej kompanii, której mieszkańców już wcześniej usunięto na inny blok. Większą część chorych musieliśmy wynosić na noszach. Dalej opiekowali się już nimi wybrani w tym celu więźniowie z karnej kompanii. My powróciliśmy do swoich zajęć.

Po wieczornym apelu zarządzono lagersperre. W związku z tym w ambulatorium nie było żadnej roboty, toteż wszyscy pokładli się wcześniej do łóżek. Przed zaśnięciem głośno komentowano dzisiejsze wypadki, które nie wróżyły nic dobrego. Chorych podobno wpędzono do bunkrów wraz z jeńcami radzieckimi, gdzie niesamowicie stłoczonych szczelnie zamknięto. Zapanowało ogólne przygnębienie. Tego wieczoru nikt nie miał ochoty na opowiadanie swoich przeżyć przedwojennych, jak to było w zwyczaju w naszej izbie.

Następnego dnia nie było już żadnych złudzeń. Teofil i Gienek mieli pewne wiadomości. Wszyscy zostali zabici gazem. Palitzscha widziano chodzącego po obozie z maską gazową przewieszoną przez ramię. Podobno już nawet odbito uszczelnione okna i drzwi bunkrów. Musi się wywie---ć, nim leichentragerzy przystąpią do pracy. A roboty będzie dużo. Około tysiąca trupów. Tragedia drezdeń-była teraz niczym w porównaniu z tym, czego dokonali esesmani w naszym obozie i dosłownie na naszych oczach.

Nazajutrz wieczorem ponownie zarządzono lagersperre. Leżeliśmy w łózkach, ktoś opowiadał fragmenty ze swego życia. Nagle trzasnęły drzwi frontowe bloku, w korytarzu dały się słyszeć miarowe kroki podkutych wojskowych butów, na których odgłos zamarliśmy w oczekiwaniu.

- „Jarema” idzie...! - odezwał się ktoś z trwogą w głosie.

Alle Pflieger antreten! Looss! - donośne skando-

94.

wanie Palitzscha odbiło się głośnym echem w pustym korytarzu.

Zerwaliśmy się jak oparzeni. Ubierając się w pośpiechu, wpadliśmy na oświetlony korytarz. Peter już był na dole, teraz szybko ustawiał nas w dwuszeregu. Na siłę wepchnąłem się do drugiego rzędu, chcąc być jak najmniej widoczny. Ale Palitzsch nie miał zamiaru zajmować się kimkolwiek. Nurtowały go ważniejsze sprawy. Tym razem zresztą byliśmy mu potrzebni. Wydał krótko rozkazy stojącemu obok blokowemu, a ten z kolei zawołał leichentra-gerów.

- Obojski! Teofil! Dobierzcie sobie ludzi do dwóch platform. So fort zum SK!1 Palitzsch oczekiwał na zewnątrz bloku. Dostałem się do platformy Gienka. Po chwili pchaliśmy dwie puste rol-wagi w kierunku bloku 11. Ściemniało się.

Rozdział XXIV

Otarły się ciężkie drewniane drzwi podwórze karnej kompanii. Wtoczyliśmy wozy na dziedziniec, wykręcając je w kierunku bramy. Na podwórzu oczekiwała już cała świta SS z lagerfuhrerem Fritzschem i lagerarzttem En-tressem na czele.

Stanęliśmy w wyczekującej pozycji, podczas gdy esesmani naradzali się przez chwilę, po czym wywołali Gienka i Teofila. Wręczono im maski gazowe. Palitzsch i kilku blockfiihrerów również pozakładali maski. Eazem skierowali się ku wejściu do piwnic bloku. Nie wracali stamtąd dość długo. Czekaliśmy w milczeniu. Zapadła noc. Na dziedzińcu zrobiło się zupełnie ciemno. Jedyne nad wejściem do bunkra zapaliła się słaba żarówka, rzucająca jaśniejszy snop światła na grupę esesmanów czekających przy schodach wiodących do bloku.

Pierwszy ukazał się Palitzsch, za nim reszta esesmanów. Maski mieli już pozdejmowane. Zatem gaz ulotnił się z bunkrów. Po chwili zjawili się również Obojski z Teofilem.

Teraz podzielono nas na grupy, z których każdej przydzielono określone zadania do wykonania. Jedni mieli

1 Natychmiast do karnej kompanii!

95.

wejść do budynków, by wyciągnąć z cel zwłoki, drudzy - przenosić je po schodach w górę, gdzie znowu inna grupa pielęgniarzy zajmować się miała ich rozbieraniem. Reszcie polecono wywlekać trupy nieco dalej, na dziedziniec, gdzie stały wozy, po czym załadować je nagimi zwłokami.

Wepchnąłem się do pierwszej grupy mającej pracować w podziemiach, starając się w

ten sposób być najdalej od esesmanów i Palitzscha, którego szczególnie się bałem.

Na dole było duszno, gorąco i cuchnęło padliną. Wszystkie cele były pootwierane, a w nich zbite w jedną masę, w pozycji stojącej, ujrzelśmy ciała zagazowanych. Tam gdzie znajdowali się chorzy, było nieco luźniej. Kilka trupów leżało zwalonych tuż przy drzewiach. Od nich też zaczęliśmy. Popłatane ciała trudno było odrywać od siebie. Wyciągaliśmy je pojedynczo na korytarz, skąd inni wynosili je po schodkach do góry. Im głębiej sięgaliśmy do cel, tym trudniej było wydostać ciała przedstawiające wprost makabryczny widok. Stłoczeni w niewielkich celach, cho-ciż martwi, stali w tej samej pozycji, w jakiej przypuszczalnie znajdowali się przed dwoma dniami. Twarze ich zsiniały, prawie fioletowoczarne. Szeroko otwarte niemal wyłaziły z orbit, rozchylone wargi ukazywały wywalone na wierzch języki, wyszczerzone zęby nadawały im niesamowity wygląd. Początkowo nosiliśmy jednego trupa we dwóch, skutkiem czego na wąskich schodach robił się tłok i jeden zawadzał drugiemu. Robota szła powoli, przeto zaczęliśmy pracować w pojedynkę. Zamiast dźwigać, każdy z nas ciągnął trupa za rękę lub nogę. Teraz robota szła o wiele sprawniej. Celem dezynfekcji cały bunkier został przysypany chlorkiem, co jeszcze bardziej ułatwiało pracę. Ostra woń chlorku szczypała w nosie, ale przynajmniej łagodziła odór, jaki wydawały rozkładające się już ciała. Najciężej było na schodach. Ciężkie głowy z głuchym stukiem waliły o stopnie, zwiotczałe kończyny zaczepiały o wystające stopnie i progi, w znacznym stopniu utrudniając robotę. INa górze, w korytarzu obok umywalni, porzucaliśmy ciała tu inni więźniowie zdejmowali z nich ubrania, my zaś wracaliśmy po nowy ładunek. Stwierdziłem wkrótce, że tam na górze było o wiele więcej powietrza, a i p r a c a przy rozbieraniu wydawała się łatwiejsza, toteż wyciągnąwszy któregoś z r z ę d u t r u p a , zacząłem z niego z d e j m o w a ć ubranie, korzystając z f a k t u , że u z b i e r a ł się już spory stos

96.

ciał i pracujący przy ich rozbieraniu nie nadążali z robotą. Okazało się jednak, że zdejmowanie ubrań ze zwiotczających i napęczniałych kadłubów nie jest wcale łatwiejsze od transportowania ich, tyle tylko, że było tu trochę świeżego powietrza i nieco chłodniej.

Z kieszeni wysypywały się pieniądze, notatki, listy, fotografie, przeróżne drobiazgi, pamiątki, papierosy – słowem wszystko, co wolno było przy sobie zachować w jenieckim obozie. Walało się to teraz po podłodze, mieszało z ekskrementami i wilgotnym chlorkiem, tworząc istne śmietnisko. Od czasu do czasu któryś z esesmanów grzebał butem w tych rupieciach, stanowiących za życia jeńców cenne i bodaj jedyne pamiątki, a zobaczywszy coś wartościowego, podnosił niby to ze wstrętem, bawiąc się tym przez chwilę, i gdy wydawało mu się, że nikt go nie obserwuje, chował szybko do swej kieszeni. My zadowolaliśmy się paskami potrzebnymi w pracy, które zresztą oficjalnie pozwolono nam zabierać. Pierwsza naładowana platforma z grupy Teofila opuszczała dziedziniec. Teraz Gienek skompletował swoją drużynę, w której oczywiście i ja się znalazłem. Nagie już zwłoki, wywleczone po stopniach na podwórko, były poddawane specjalnemu zabiegowi. Dentyści pod okiem esesmanów zaglądali każdemu nieboszczykowi do ust, a znalazłszy złote korony, zęby lub szczęki, wydzierali je szczypcami.

Drewniana skrzynka szybko się napełniała, ku nie ukrywanemu zadowoleniu esesmanów. Z dumą podawali ją sobie z rąk do rąk, ważąc jej ciężar, nie mogąc się nadziwić, że ci „dzicy Azjaci” – jak nazywali pomordowanych jeńców – nosili za życia tyle złota w ustach. Pijani i rozochoceni, coraz częściej buszowali w stertach ubrań i śmieciach, szukając zegarków, pierścionków, złotych łańcuszków, a znalazłszy, po prostu kradli lub – rzadziej – demonstracyjnie wrzucali do skrzynki.

Jeden z blockfuhrerów mocował się z ręką olbrzymiego jeńca, usiłując zdjąć mu z palca grubą obrączkę. Niemiec był pijany i jakoś nie mógł z tym sobie poradzić. Przeklinając obrzydliwie, rozglądał się bezradnie wokoło. Zauważył w końcu opartą o ścianę bloku łopatę, widocznie pozostawioną podczas otwierania nią uszczelnionych ziemią okien bunkra. Teraz poradził sobie z łatwością. Jednym zamachem odrąbał wszystkie pięć palców od zsiniałej dło-

97.

ni. Uwolniona obrączka potoczyła się po ziemi. Dowcipku jąc podniósł ją, po czym włożył ostentacyjnie do skrzynki nie zapominając uprzednio kopnąć zamasyżycie odrąba nych kikutów w kierunku sterty trupów.

Te odrąbane palce, walające się po ziemi, zrobiły n mnie większe wrażenie niż dziesiątki trupów, które łądo waliśmy teraz na platformę.

Ładunek rósł. Coraz trudniej było podawać ciała d góry. Gienek układał je ciasno, jedne obok drugich, niczym snopki zboża w czasie żniw.

– Hej rup...! – Trzymany za ręce i nogi, dobrze roz huśtany trup wylatywał w górę, gdzie łapał go Gienek tonąc szeroko rozstawionymi nogami w płataninie tułów rąk, nóg i głów, pieczołowicie układał trupy warstwami by jak najwięcej zmieścić ich na wozie. W ten sposób o szczydzał nam czasu i pracy, którą każdy z nas pragnął ja najprędzej zakończyć.

Schowałem się z drugiej strony napełnionej platformy żeby trochę odpocząć i uniknąć wszędobylskich oczu pija nych esesmanów.

– Der Rollwagen ist schon fertig!1 – meldował Obo ski zeskoczywszy ciężko z wozu załadowanego wysok dziesiątkami trupów.

– Also weg mit dem Dreck!2 – ryknął ochoczo jede z pijanych scharfuhrerów.

– Hej rup...! – Woziliśmy do świtu. Później na blok otrzymaliśmy dodatkowe jedzenie. Nikt jednak nie był w stanie zjeść czegokolwiek. T e r a z p r z e s p a ć się, a w i e c z o r znowu do roboty.

Rozdział XXV

Wiedzieliśmy, że nas nie ominie. Wieczorem w tym s mym składzie pomaszrowaliśmy na blok 11. Nawet n

f.imusiano nas pouczać. Sami zaprzęgliśmy się do rolwa •.Podwórce karnej kompanii tonęło w mroku, który zap dziś wcześniej. Było pochmurno i siąpił przenikliwy k puśniaczek.Chlorek zmieszany z błotem tworzył pienistą ' Platforma już gotowa (załad A więc precz z tym gównem

1 riiiitforma już gotowa (załadowana)!

A więc pmreuczndi z tym gównem!

98.

ślizgawicę. Woń jego unosiła się w powietrzu wraz z okropnym odorem rozkładających się ciał.

Blockfiihrerzy po wczorajszym pijaństwie byli wyjątkowo w złych humorach. Ustawicznie poganiiali nas do pośpiechu, jakbyśmy się ociągali.

– Los! Tempo! Aber dalii! Los!

Staraliśmy się jak najprędzej zakończyć tę wstrętną robotę, lecz byliśmy zaledwie w połowie. Pracowaliśmy nerwowo, ale szybciej i o wiele sprawniej niż zeszłego wieczoru.

Ciała były już w rozkładzie. Ułatwialiśmy sobie pracę w ten sposób, że paskami obwiązywaliśmy ręce, nogi lub szyje zagazowanych, tak żeby o ile możliwości nie dotykać ich rękami, po czym ciągnęliśmy oślizgłe i obrzmiałe zwłoki po betonie i ziemi aż do samej platformy. Tu wypróbowanym sposobem, dobrze rozhuśtawszy, podrzucaliśmy je na platformę. Rolwaga była prawie że załadowana, a my ciągle dokładaliśmy, żeby zmieściło się na niej jak najwięcej ciał. Po co dwa razy jeździć! A więc jeszcze ze dwóch, jeszcze jeden trup więcej. W końcu było już stanowczo za wysoko. Niepodobnieństwem było dalej windować.

– Obojski! Ist schon fertig? – zapytał esesman. – Wieviel Stuck?1

– 80!

– Ho ho ho...! Das ist eine schöne Arbeit...2 – z zadowoleniem zanotował podaną przez Gienska ilość w notesie.

– Abfahrt!

Wparliśmy się ramionami w boki wozu. Inni, zapią-wszy pasy i łańcuchy przytwierdzone do platformy, też zaparli się z całych sił.

– Hej rrrrup...! – dowodził Gienek mocując się z dyszlem. Równocześnie jakiś esesman otwierał ciężką bramę dziedzińca. Zapomnieliśmy nakryć ładunek kocami.

– Halt! Halt! Die Decken mitnehmen!3 – upominał pieniać się ze złości scharfuhrer.

Gienek w mig zarzucił parę koców, bardzo pobieżnie, bo ledwie przykryły wystające tułowia zagazowanych.

– Hej rrrrup...! – Rolwaga zatrzeszczała, koła ze

1 Ile jest?

2 To jest piękna robota...

3 Stój! Stój! Zabrać koce!

99.

Zgrzytem ruszyły powoli z miejsca, głęboko wrzynając się w rozmokły od deszczu żwir dziedzińca. Nagle jedno z kół, natrafiwszy widocznie na miękkie podłoże, zaryło się głęboko w ziemię. Obojski, odrzucony gwałtownie skręconym dyszlem, potoczył się jak piłka aż pod sam mur sąsiedniego bloku. Przeładowany wóz przechylił się niebezpiecznie na jedną stronę. Widząc to, kilku pielęgniarzy zdążyło jeszcze w porę uskoknąć. Nagły trzask i... pieczołowicie załadowana platforma zwała się w jednej chwili, wśród wtóru przekleństw i jęków, grzebiąc tych, którzy nie zdążyli umknąć. Z pogniecionych i wzdętych jak bębny brzuchów Zagazowanych jęły się z głośnym sykiem wydobywać gazy, potęgując i tak już nie do wytrzymania odór.

Z gmatwaniny ciał, poplątanych rąk i nóg wydobywały się ciche jęki. Ktoś leżał na samym spodzie, przykryty grubą warstwą trupów. Zaczęliśmy pośpiesznie usuwać przeszkodę, chcąc dostać się jak najprędzej do przygniecionej, wołającego ratunku coraz słabszym głosem.

Najpierw ukazała się jego głowa o wystraszonej i wykrzywionej bólem twarzy.

– Malina...! żyjesz? – zapytał ktoś z głupia. Zbliżył się zaciekawiony esesman.

– Was ist los! Vielleicht ein mehr?!

– Ratunku...! – błagał przygnieciony Malina. Wtem esesman, podparłszy się pod boki, ryknął niesamowitym śmiechem. Naszym oczom przedstawił się makabryczny w swej grozie widok. Dziwnym zbiegiem okoliczności ciało olbrzymiego jeńca dosłownie wgniatało Malinę w płataninę trupów leżących pod spodem, muskularna zaś ręka wielkoluda obejmowała ciasnym uściskiem na wpół uduszonego, pozorując duszenie. Ktoś zaśmiał się historycznie, a my zamiast pomóc... gapiliśmy się. Właśnie ta niesamowita sceneria tak ubawiła esesmana. Pierwszy opamiętał się Obojski.

– Zwariowaliście...! Ratuście go! On się przecież dusi! Skoczył na stertę trupów, szarpnął wielkie nogi niebo-vka, rwał z pasją, aż pękała skóra, ukazując fioletowe, ladające się ciało. Oprzytomnieliśmy. Na wpół uduszonego, z połamanymi żebrami odniesiono Malinę do szpitala. Część trupów pozostawiliśmy na

1 Co się stało? Może jeden więcej?

100.

ziemi, nie ładując już ich na przepelnioną rolwagę, żeby historia znowu się nie powtórzyła.

– Obojski? Wieviel jetzt? 70? Also Abfahrt! – Esesman, sprawdzwszy ilość załadowanych, kazał nam ruszać. Wyjechaliśmy tym razem bez przeszkód.

Przyczepiony z boku, przerzuciwszy pas przez ramię, ciągnąłem wóz tuż za Marianem. Za bramą Gienek skręcił dyszel w prawo. Wjechaliśmy w ulicę obozową. Deszcz siąpił bez przerwy. Ze wznoszącej się w pobliżu SS wieży zaciekawiony strażnik skierował reflektor w naszym kierunku. Wściekły scharfuhrer doskoczył do drutów. – Licht aus! Du Bieder!

Poskutkowało. Reflektor zgasł natychmiast. Otoczyły nas ciemności. Ciągnęliśmy w milczeniu. Tylko koła wozu skrzypiały niepokojuco po żwirowanej ulicy uspięnego obozu.

Skręt w lewo. W ciemnych oknach bloków majaczyły przyklepione do szyb blade twarze, wpatrzone w ten dziwny, niemy pochód.

– Weiter! Weiter! – poganiał szeptem scharfuhrer. Przy blockfuhrerstubie ta sama co zwykle ceremonia. Pełniący służbę esesman przeliczał nas szybko, ale dokładnie. Scharfuhrer wymienił ilość wywożonych trupów i mogliśmy jechać dalej. U wejścia do krematorium woda lśniła na mokrym od deszczu betonie. – Halt! Posłusznie zatrzymaliśmy się przed otwartymi drzwiami. Gienek kilkoma energicznymi szarpnięciami zrzucił wilgotne koce z pieczołowicie poukładanych na rolwadze ciał, których tu nie było przed kim ukrywać. Wyuczonym sposobem

zaczynałem pętlę paska na jednej z wystających spod sterty trupów głów. Inni zrobili to samo. Teraz wspólnymi siłami pociągnęliśmy wszyscy równocześnie. Najpierw ześlizgnęło się paru leżących na samym wierzchu. Olbrzymie, dobrze zbudowane ciała Rosjan waliły z łoskotem o twardey beton, gołe czaszki zdawały się pękać od siły uderzenia. Jedyne wątki i wychudzone szkielety zagazowanych chorych więźniów nie sprawiały większego kłó-

1 Ilu teraz? 70? A więc odjazd!

2 Gasić światło! Ty głupcze!

101.

potu. Podobnie jak w bunkrze, zahaczaliśmy którąś z kończyn paskiem, po czym wciągaliśmy do krematorium. Esesman poganiał nas nerwowo.

– Schnell...! Prentko! Prentko! – Oglądał się przy tym trwożnie w kierunku budynku SS-rewiru, mieszczącego się w najbliższym sąsiedztwie krematorium.

Nie trzeba było nas poganiać. My i tak spieszyliśmy się

Był to przecież już ostatni transport. Biegiem ciągnęliśmy

za sobą ciała uwiązane na rzemykach, najpierw prze

Wielki hall, potem w prawo, obok pomieszczenia, gdzie od

bywały się sekcje zwłok. Jeszcze wnęka z walającymi si

po kątach urnami i w końcu duża, długa sala już do po

lowy wypełniona trupami, stanowiąca, jak widać, podre

czny magazyn. Drugie drzwi prowadziły do hali, gdz

znajdowały się piece. Rozebrani do pasa więźniowie uw

jali się pracowicie. Obsługa małego krematorium nie mo

gła nadażyć ze spalaniem. Ładowano więc do jedneg

pieca po dwóch zabitych. My zakończyliśmy już swoją r

botę. Ich czekała jeszcze wytężona praca przez parę nast

pnych dni.

Mietek, jeden z obsługi krematorium, młody chłopak

Krakowa, ale już stary więzień, robił wrażenie otępieła

Nawet niezrozumiale mówił. Zresztą o czym tu było gad

W tej chwili byliśmy na pewno podobni do niego. Tępi, b

uczucia, bezgranicznie zmęczeni i myślący jedynie o ch

li kiedy „to” się wreszcie skończy.

Padając ze znużenia, automatycznie pchaliśmy pu

rolwagę do obozu. Przesiąkliśmy zupełnie trupim, wst

nym odorem. Stojący na wartowni esesman ostentacyjn

z obrzydzeniem odwrócił się do nas. zatykając sobie

chusteczką

– Weg! Weg! Ihr stinkende Hunde! Loos!1 Blokowy czekał na nas z kolacją. –

Heute wieder Zulage!2

Na samą myśl o jedzeniu chciało mi się rzygać.

umywalni! Szybko! Wykąpać się! Jest gorąca woda!

szorować się i zatrzeć na zawsze ślady tych okrop

W gorącej wodzie brud zeszedł, ślad jednak pozost

1 Z drogi! Z drogi! Śmierzące psy! Już!

2 Dzisiaj znowu dodatek!

102.

Marian osiwiiał... Mimo zmęczenia nikt nie mógł zasnąć–Jeden Teoś zasnął szybko. Coś mu się pewnie śniło, bo rzucał się niespokojnie, mówiąc co chwila: Sowieso Krematorium.

Rozdział XXVI

Z nastaniem jesieni pogorszyły się znacznie warunki obozie, a wraz z nimi nastroje wśród więźniów. Coraz częstsze rozwałki, przedłużające się w nieskończonej apele, ciężka praca im Laufschnütt przy stałej rozbudowie obozu, bicie, szykany, brud, kratze, pchły i straszliwe wszy powodujące nagły wzrost epidemii, głód i durchfal dzie siątkujące pozostałych przy życiu oraz wprowadzenie nowej metody pozbywania się ciężko chorych przez wstrzykiwanie im benzyny czy fenolu – wszystko to razem stawało się przyczyną ogólnego

przygnębienia, beznadziejności, sytuacji bez wyjścia, gdzie jedyną drogą do wolności – jak powszechnie powtarzano słowa lagerfuhrera Fritzscha był komin krematorium.

Sowieso Krematorium, jedyne niemieckie zdanie, jakie znał Teoś, stało się dla obozowiczów synonimem wolność. W obozie żyło się z dnia na dzień, byle doczekać jutra. Ale żeby ten dzień przeżyć, ile trzeba było hartu, odwagi, szczęścia. Kto załamał się psychicznie, ten kończył nędzny żywot szybko lub był wykańczany w ciągu paru dni przez wprawionych w tym rzemiośle kapów, blokowych i esesmanów. Przy życiu pozostawali na ogół ludzie młodzi, ale starzy więźniowie, zaaklimatyzowani już w warunkach obozowych, mający dobre rozeznanie, czym jest życie w lagrze, toteż dawali sobie niezgorzej radę. Najtrudniej było nowo przybyłym zugangom, nie mającym najmniejszego pojęcia, czym jest obóz koncentracyjny. Szczęśliwsi byli ci którzy w tym obcym środowisku odnajdywali w porę znajomych, przyjaciół czy krewnych, mogących się nimi zaopiekować w tych najgorszych pierwszych dniach, aż do momentu „usamodzielnienia się” po poznaniu arkanów trudnej sztuki życia w obozie. A sztuka to była nielada, chyba że miało się wyjątkowe szczęście.

Najlepiej było tym nie mającym żadnych skrupułów. Tacy robili szybko karierę. Zdobywali władzę nie przebierając w środkach, kosztem ludzkich cierpień, a nawet ist-

103.

nień.. Byle przypodobać się władzom, umocnić w ten sposób swoją pozycję i zapełnić brzuch kradzionymi porcjami głodujących współwięźniów. Do gruntu zdemoralizowani przykładem niemieckich kryminalistów i bezwzględnych, wioźerczych instynktach, esesmanów, sami stawali się zbrodniarzami.

Na szczęście tych zdeprawowanych była nieliczna garstka. Zdarzali się też tacy, którzy zacząwszy ten nieczyny proceder, potrafili się w porę wycofać pod wpływem jakiegoś przebłysku sumienia, dotąd drzemającego gdzieś w głębi duszy.

Niektórzy zrozpaczeni beznadziejną sytuacją więźniowie sami skracali swe męki. Szli na naelektryzowane druty lub wieszali się na własnych paskach. Byli też tacy, którzy próbowali ucieczki, z góry skazanej na niepowodzenie. Ginęli śmiercią głodową w bunkrze, naraziwszy uprzednio kolegów ze swego komanda czy bloku na zdziesiątkowanie. Ale nawet w takim wypadku znalazł się więzień, który potrafił oddać swe pełne poświęcenie dla ludzkości, życie, by wybawić od śmierci towarzysza mającego liczną rodzinę i dzieci.

Jakże dziękowałem Bogu, że dane mi było znaleźć się wśród nielicznej garstki wybrańców losu pracujących pod dachem, nie odczuwających głodu ani chłodu, wolnych od pokus krzywdzenia drugiego, co było mimowolnym udziałem prawie każdego więźnia walczącego o swoje życie. Wysyłając kolejny list do domu, prócz stereotypowego „Ich bin gesund und fuhle mich gut” mogłem z satysfakcją dopisać: „und halte immer den Kopihoch”¹.

Rozdział XXVII

Jak na początek października, dzień był wyjątkowo zimny. W dodatku padało. Typowa jesienna plucha, dachy pokryte śniegiem. Było już szaro i nim doszliśmy do Industriehofu zrobiło się zupełnie ciemno. Byłem w grupie „dezyfekującej”, do której wyznaczył mnie lageraltester B. Tuż za ostatnimi budynkami na obszernej łące ogrodzonej parkanem ze sterczącymi po rogach w

1 I trzymam stale głowę do góry.

104.

żami strażniczymi, oświetlonej gęsto reflektorami i lampami, stali ciasno stłoczeni niedawno przygnani rosyjscy jeńcy wojenni. Liczni esesmani, kapowie oraz blokowi uwijali się wśród tego tłumu ustawionego piątkami przy pomocy kolb i tęgich kijów.

Rosjanie najpierw musieli się rozebrać. W milczeniu, posłusznie zdejmowali z

siebie przemoczone drelichy, rzucając je na rosnącą w oczach dużą stertę. Przy sobie zatrzymywali jedynie blaszane numerki wiszące na piersiach. Byli głodni, wychudzeni, zziębnięci i niesamowicie wprost brudni. Ostrzyżeni przez obozowych fryzjerów, kolejno podchodzili do wpuszczonej w ziemię beczki. W beczce znajdowała się woda z rozpuszczonym w niej środkiem dezynfekcyjnym. Rozebrani do naga jeńcy, trzęsący się z zimna, musieli przejść jeszcze tę przymusową kąpiel. Niektórzy wskakiwali do beczki bez namysłu, ale to nie zadowalało wymagających esesmanów. Każdy był obowiązany zanurzyć się wraz z głową w tym zimnym cuchnącym płynie, który w miarę zużycia stawał się gęsty niczym borowina. Kto wzdragał się, ten tylko więcej ucierpiał. Stojący obok SDG i jeszcze jakiś dodany mu do pomocy esesman pilnował uważnie, by „dezynfekcja” odbywała się prawidłowo. Butem przytrzymywał głowę jeńca tak długo, aż wewnątrz beczki zabulgotało, a na powierzchni płynu ukazały się bańki powietrza. Po takim zabiegu na wpeł uduszony i wystraszony jeńiec wyskakiwał z beczki, jeśli miał na to jeszcze siły, oczywiście. Niektórych trzeba było wyciągać, tak byli osłabieni. Po przebiegnięciu zaledwie paru kroków, prawie na ślepo, bo zalepione brudnym i piekącym środkiem dezynfekcyjnym oczy nie pozwalały wiele widzieć, byli zatrzymywani przy drugim stoisku celem dokonania nowego zabiegu, również dezynfekcyjnego, jakby nie dość było poprzedniej kąpieli w lizolu.

– Ruki w wierch!1

Zatrzymywali się osłupiali, posłusznie podnosząc ręce do góry. Machnąłem parę razy pompką, by rozpylony strumień „cuprexu” zwilżył świeżo ostrzyżone pachy.

– Nachyl się! – tego nie rozumieli.

1 Ręce do góry!

105.

Żopu dawaj!1 – mówił Antek chwając się znajomo – ścia rosyjskiego.

Jeńiec wypinał z satysfakcją chudy tyłek, a ja szpryco wałem go zawzięcie, aż do momentu gdy nadstawił się na stępnę.

Dokładne szprycowanie zabierało jednak za wiele czasu przez co tworzył się korek, a esesmani ponaglali do pospiechu. Zarzuciliśmy więc wytworne pompki i po prostu macając kawałek szmaty w „cuprexie”, smarowaliśmy krocza i pachwiny nadstawiane przez jeńców. Chlas chlast.. i następny. Teraz szło szybko, ale cały zabieg miał się z celem. Zamiast dezynfekować, rozprzestrzeniaaliśmy tylko w ten sposób insekty, które bynajmniej nie gęły od powierzchniowej kąpieli w lizolu czy pomoczeni w cuprexie”. Esesmani jednak byli zadowoleni. Szło szybko.

– So ist richtig!2 – mówił zadowolony SDG, bijąc przy tym kijem już „wydezynfekowanego” jeńca, pod pozorem zrobienia miejsca dla następnego. „Odwszawionych” ustawiano piątkami przy akompaniamencie wrzaw, pokrzykiwań, przekleństw i nieodłącznego zęcania od byle pozorem. Teraz esesmani już nie spieszyli się. Czekali, że zbierze się setka, i dopiero wtedy odprowadzali ich im Laufschrift do naszego obozu, oddalonego o parę minut drogi.

Jeńcy biegli nadzy, a ich białe stopy mieszały z chlupem błotniste kałuże, gdzieś przykryte już śniegiem. Bijącym bez przerwy. A do dezynfekcji podchodzili nowi. Godziny miały powoli. Zerwał się przenikliwy wiatr niosący tumany deszczu ze śniegiem. Przemkłem, lekko, wilgotne zimno przenikało do szpiku kości, trzęsła mną febra.

Rozebrani do naga jeńcy zbijali się w ciasne gromady chcąc bodaj w ten sposób ogrzać zmarznięte ciała. Drże wydające przy tym jakieś chóralne nieartykułowane głosy, coś jakby jeden głuchy jęk.

Ruhe da! Verfluchte Bolschewiken!3 Ruhe! – ucii-11 Niemcy, ale bezskutecznie. Wyczerpani i prz

- 1 Nadstaw tyłek!
- 2 Tak jest. prawidłowo!
- 3 Spokój tam! Przeklęci bolszewicy!

106.

marznięci Rosjanie nie reagowali już na nic. Nie pomagało bicie ani przekleństwa. Ten spontaniczny jęk wydobywał się im z krtani bez ich wiedzy. Była to skarga, ból, bezsilność.

Nad ranem ostatnia setka nagich jeńców opuszczała odrutowany plac; silniejsi nieśli na swych ramionach już zupełnie wyczerpanych towarzyszy. Na upstrzonej białymi plamami śniegu ziemi, namokłej i rozdeptanej tysiącami stóp, walały się stosy jenieckich ubrań, butów, menażek, pozostałość po przeszło dziesięciu tysiącach ludzi wpędzonych do obozu.

Kompletnie wyczerpani całonocną pracą meldowaliśmy nasz powrót na wartowni. Obawiałem się rewizji, znalazłem bowiem pachnące mydełko, które ukryłem przy sobie. Niepotrzebnie, bo nikt się nami nie interesował. Esesmani byli teraz zajęci jeńcami, częścią zwyciężonej armii, przed której niedobitkami popisywali się swą przewagą, znęcając się w wyrafinowany sposób, godny rycerzy spod znaku SS, dzielnie walczących na niebezpiecznym odcinku frontowym w nowo utworzonym tzw. Arbeits-kriegsgefangenenlager.

W ciągu najbliższych tygodni dzielni esesmani odnieśli tak wielkie sukcesy nad radzieckimi jeńcami, że nie nadszywszy spalać ich zwłok w krematorium, pogrzebano tysiące ciał w głębokich i długich rowach wykopanych pod lasem Brzezinki, której budowę niebawem rozpoczęto.

Rozdział XXVIII

Obóz jeniecki powstał w wydzielonej w tym celu części naszego lagru. Po prostu oddzielono kilka bloków drutem kolczastym, do których upchano na siłę tysiące jeńców, przydzielono im najgorliwszych blockfiihrerów i odpowiednich blokowych, którzy już starali się o to dobrze, by zaprowadzić tam „wzorowy” porządek. „Fachowcy” energicznie zabrali się do dzieła. Leichentragerzy nie mogli podołać z wynoszeniem zmarłych, toteż przed każdym z bloków wyrastały olbrzymie sterty trupów, świadczące o straszliwej śmiertelności wśród jeńców. Jakby na ironię władze obozowe przystąpiły do zorganizowania tam szpitala. Funkcję tę powierzono blokowemu Petrowi, mianowanemu od tej pory lageraltesterem Krankenbau Kriessge-

107.

langenenlager. Peter wydawał się zadowolony z tego awansu, paradując po bloku z nową bindą przewieszoną przez ramię. W tych dniach miał już na stałe przenieść się do jenieckiego obozu, wraz z wytypowanymi przez siebie pielęgniarzami.

Zapach smażonych placków kartoflanych zwabił mnie do kuchni dietetycznej, robiącej ten przysmak od czasu do czasu dla prominentów rewirowych. Zobaczywszy w kuchni blokowego, dla którego widać przeznaczone były placki, usiłowałem się wycofać.

– Warte ma! – wstrzymał mnie Peter władczym ruchem wolnej ręki. W drugiej trzymał ociekający tłuszczem, ładnie przyrumieniony placek. Wskazawszy na leżący na stole talerz pełen placków, rozkazał:

– Nimm das fiir Georg. Er ist krank, er liegt bei mir. Verstanden?

Cóż miałem robić? Nie chcąc narażać się Petrowi, posłusznie zabrałem talerz z tymi plackami, by zanieść je ulubieńcowi blokowego. Nie dla psa kiełbasa! – pomyślałem z zawiścią

Cholera mnie tu nadała! – zgrzytałem zębami, idąc na górę. – Przez swoje łakomstwo muszę usługiwać teraz temu. tej... „pannie A...skiej”, jak nazwał kiedyś Jurka trafnie, acz złośliwie, dr Dehring. Petrowi można było darować a ć tę słabość do Georga, w gruncie rzeczy nie był złym czło wiekiem, ale że Jurek...?

Na schodach, jeszcze przed wejściem do pokoju blokowego, zdążyłem połknąć w pośpiechu dwa chrupiące placki-Jureczek taki chory, to nie potrzebuje tyle jeść... Peter chyba nie policzył, ile ich było...? Zastałem drzwi zamknięte. Zapukałem. Cisza!

Peter przysyła ci coś do jedzenia! – krzyknąłem połykając ostatni kęs.

Zaskrzypiało łóżko, zaszurały pantofle zgrzytnął klucz przekręcany w zamku. Jureczek w narzuconym na gołe ciało kolorowym szlafroczku, spod którego widać było smukłe, nie owłosione nogi i jedwabne majteczki, zmykał drobnym kroczeniem do jedyne go w tym pokoju łóżka.

- Ach! Jak źle się czuję... - kaszlnął przy tym łapiąc

1 Poczekaj!

2 W e ż to dla Jerzego. Jest chory i leży u mnie. Zrozumiano?

strona 108

się za zapadłe piersi. Podobno miał gruźlicę, tak przynajmniej utrzymywał Peter. Wszystkim natomiast było wiadomo, że przeszedł ostatnio mały zabieg chirurgiczny, mający raczej związek z jego dziwnym stosunkiem do Petra, nie mający natomiast nic wspólnego z chorobą płuc.

Teraz, położywszy się, skubnął kawałek placka swymi cienkimi, delikatnymi palcami. Wydawał się być znudzony.

- Jedz, Wiesiu! - zapraszał podsuwając mi talerz. - Pewnie jesteś głodny... Ja nie mam jakoś apetytu... - uskarżał się.

Jego kształtna głowa, owinięta jakimś kolorowym materiałem tworzącym coś w rodzaju wschodniego turbanu, opadła ciężko na miękką poduszkę. Ładna, niemal dziewczęca twarz o dużych niebieskich oczach, okolonych gęstymi, długimi rzęsami, i policzkach o brzoskwińowej wprost cerze, wydętych w grymasie rozkapryszon ego dziecka.

- Wiesz, Peter chce, żebym został u niego blokowym na lagrze „Ruskich"... Słyszałem, że tam jest okropnie!... Ale chyba się zgodzę... mam już dość tych nietaktownych aluzji niektórych lekarzy... A ten zarozumiały konował Dehring za wiele sobie pozwala...

Z korytarza doleciały liczne głosy przerywając ten znamien ny monolog. Do pokoju wszedł Peter w towarzystwie R. i Romana Gabryszewskiego. R. żył ostatnio w wielkiej przyjaźni z Petrem, a jego pupilowi wprost rażąco nadskakiwał.

Zbliżywszy się do łóżka, wierzchem dłoni dotknął policzka Georga, po czym ujawszy fachowo przegub jego ręki, mierzył puls ze skupionym wyrazem twarzy.

- Lageraltester! Georg ist schon gesund! - stwierdził stanowczo. - Gott sei Dank! - mówiąc to przewrócił oczami do góry, udając niezwykle tym faktem uszczęśliwion ego. Tego nawet Georg miał za wiele. Rzuciwszy na R. piorunujące spojrzenie, wyszarpnął z wściekłością swą rękę, syknawszy przez zęby: - A gówn o ci do tego, doktoru...! - R. szczerwieni ał, Peter zaś nie wiedział, o co chodzi. Z tej konsternacji skorzystał przytomnie Gabry-szewski. Mrugnawszy do mnie porozumiewawczo, porwał z talerza placki, wpychając sobie do ust po dwa naraz. Ciszę przerwał nic nie rozumiejąc Peter.

1 Jerzy jest już zdrowy!... Dzięki Bogu!

109

- Was hat er gesagt?1 - spytał spoglądając po obec-nych.

- Hm... Georg fuhlt sich schon besser!2 - odpowie-dział dyplomatycznie Gabryszewski, krztusząc się placka-

mi, Dalej rozmowa potoczyła się w języku niemieckim. Stałem na boku nie zauważony, rozmyślając nad gwałto-wną odpowiedzi a Georga. Nie lubił R. i dał mu wyraźnie to odczuć. Może było w tym trochę i mojej intryganckiej •boty. Jeszcze ciągle nie mogłem mu wybaczyć jarosław-skich pogróżek.

Wziąwszy pusty talerz, zabrałem się do wyjścia. Nic tu po mnie w tym doborowym towarzystwie.

Idziesz już...? - z fałszywą nutką żalu w głosie żeg-nał mnie Georg.

Prominencja, psiakrew! Kurtyzana, cholera! -Wymy-ślałem im w duchu, nie zapominając jednak zamknąć za sobą delikatnie drzwi.

Z sali obok włókł się jakiś chory. W przykrótkiej kosz-uli upstrzonej rozlicznymi plamami po ukąszeniach pcheł i wszy, o owrzodzonych pajęczych nogach, szurał drewniakami po lśniących kaflach korytarza. Jedną ręką nocnik. Zdażał do ubikacji. Pod tym przynajmniej pretek-stem wymknął się z sali. Wybrał

czas odpowiedni, bo dzwoniły już metalowe kotły roznoszone przez salowych, a zapach gotowanej brukwi rozchodził się po całym bloku. Muzułman ruszał nozdrzami jak ogar węszący zdobycz. Wiedziałem już, że uwolni się teraz szybko od zawadzącego nocnika i pobiegnie co sił w nogach pomagać wnieść kocioł na salę. Będzie pierwszy przy kotle, pierwszy będzie jadł. A może i dolewkę dostanie?... Skąd ja to znałem..? Ależ tak...! Przecież kiedyś też podobnie zaczynałem ! Ten muzulman przy odrobinie szczęścia da sobie w obozie. Panie doktorze! Panie doktorze! – wołał mnie jakiś chory uchylone drzwi sali. Umykałem po scho-o, kryjąc wstydliwie talerz po plackach dla co on..... powiedział?

Jerzy czuje się już lepiej!

110

Rozdział XXIX

Rewir w obozie jeńców radzieckich już działał. Peter, skompletowawszy personel, porozdzielał im funkcje. Georg został blokowym, Gabryszewski głównym schreibe-rem, doktor R. naczelnym lekarzem, a jego prawą ręką był Staszek Hedorowicz. Pozbawieni lekarstw, niewiele mogli zdziałać. Tymczasem nadeszły nowe transporty jeńców, co pogorszyło jeszcze bardziej i tak już fatalne warunki w tym obozie. Bezprawie, mordy i głód, choroby i epidemie dziesiątkowały i tak już do ostateczności wyczerpanych jeńców. Tych, których uważano jeszcze za zdolnych do pracy, zapędzono do ciężkich robót przy budowie nowego obozu w Birkenau. Co tam się działo, miałem możliwość wkrótce się przekonać, pojechawszy tam wraz z Gienkiem po ciała zastrzelonych w ucieczce.

Tego dnia chwycił mróz, ale tu, na tym grzaskim i bagnistym terenie, ziemia nie zdążyła jeszcze zamarznąć. Na rozległym płaskim pustkowiu widać już było zarysy przyszłego obozu kolosa, ginące we mgle poranka, gdzieś daleko pod ciemniejącą linią lasu.

Żeby dostać się do miejsca, w którym leżały dwa ciała zastrzelonych w ucieczce jeńców, musieliśmy przejść spory kawał drogi, z trudem wydobywając nogi tonące w gliniastym podłożu.

Trupy leżały w pobliżu jakiegoś rozwalonego domostwa, tworzącego niejako wysepkę wśród zewsząd otaczających go bagien.

Jeńcy postrzeleni w plecy leżeli twarzami do ziemi. Gołe stopy sterczały żałośnie. Buty zdążył im już ktoś ściągnąć. Podkulone nogi i rozrzucone ręce zeszytywniały na mrozie. Obciążone tragi utrudniały marsz w pokrytym lekką skorupą błocie. Ledwie dobrnęliśmy do sanitarki. Jak okiem sięgnąć, wszędzie pracowali jeńcy, utyłtani w błocie, bici i katowani za byle co. Dziesiątki trupów i wpółumarłych znoszono w jedno miejsce, skąd po załadowaniu na wozy powrócą wraz z komandami do obozu na apel.

Leichentragerzy mieli pełne ręce roboty. Jak nie jeńcy, to rozwałka. Zdążyli tych uprzątnąć, już zbierali nowe żniwo w szpitalu i po blokach na obozie. Leichenhala przepełniona. Oczyszczili ją, bo szykował się już nowy kontyngent – dr Entress przeprowadzał w tym czasie selekcje,

111

wśród cięższej chorych. Biegli więc na blok 15, gdzie urzędował Pańszczyk wstrzykujący fenol wybranym przez lager-arzta chorym. Ledwie tam się skończyło, już wynosili podobnych z sali zabiegowej mieszczącej się naprzeciw ambulatorium w moim bloku. SDG Klehr w lekarskim kitlu uchylał nieznacznie drzwi zapraszając łagodnie do wejś-

- Der Nachste..Al

Było mi trudno w to uwierzyć... doktor R. nie żyje...!

- Właśnie przynieśliśmy go! – poważnie mówił Gienek. – Zejdź do piwnicy, to sam zobaczysz...!

Drżąc z wrażenia, udałem się z Obojskim i Teofilem. Na betonie, odsunięte od reszty trupów, leżało ciało, w którym trudno by było doszukać się podobieństwa do R.

- To on na pewno...? – spytałem, nie mogąc go po-

- Z całą pewnością! – wtrącił Teofil. – Zaraz wie-ziemy go do krematorium w

pierwszej kolejności. Peter

specjalnie o to prosił... – dodał z naciskiem.

– Dlaczego? – zdziwiłem się. – Co tam się stało?

– Chciał podobno kapować... został wykończony! Tyle wiem – uciał krótko Teoś. Na schodach dały się słyszeć czyjeś kroki. Wszedł Sta-

Iszek Hedorowicz. Nie widziałem go dawno, jeszcze od cza-su jak poszedł na rosyjski lager. Był blady, niemalże zielony. W milczeniu stanął nad ciałem doktora R. Płakał. – Jak to się stało? – zapytałem, gdy się trochę uspokoił. Nie odpowiedział, wskazał jedynie gestem na leżące u jego stóp zwłoki. Dopiero teraz zrozumiałem, dlaczego nie mogłem go poznać. Głowę, tę charakterystyczną dużą głowę miał porozbijaną, twarz miał podrapaną i posiniaczo-czoną ręce i ramiona nosiły ślady uderzeń.

Mówże, człowieku, jak to się stało – rzekł zniecierpliwiony Teofil – bo zaraz go zabieramy. Staszek nagle pochylił się, usiłując zdjąć zmarłemu obrączkę, ciasno opinającą pulchny palec u lewej dłoni. Obrączka nie chciała zejść. Teofil uporał się z tym szybko, 'po czym rzucił ją w wyciągnięte dłonie Staszka. Może oddam ją kiedyś jego córce... – odezwał się Staszek wreszcie.

1 Następny...

112

Czyżby to go tu sprowadziło? – pomyślałem. – Przecież mógł ją zdjąć jeszcze tam, na rewirze!... Widocznie nie wypadało mu tego robić tam, niełatwo zresztą było ją zdjąć... Gdyby nie to, zabrano by mu ją zaraz poprzyjeździe do obozu. Po prostu przyszedł go pożegnać...

– No, do roboty! Gienek, weź go za ręce... – rzekł Teofil, sam chwytając zmarłego za obie nogi. Ułożyli starannie ciało w pace, przykryli je innym zmarłym, po czym zabrali się do ładowania pozostałych. Staszek postać jeszcze przez chwilę, przeżegnał się odmówiwszy Wieczne odpoczywanie, rzucił jeszcze krótkie spojrzenie na pakę, w której spoczywały zwłoki doktora, i zawróciwszy nagle na pięcie, szybkim krokiem zmierzał ku wyjściu. Pobiegłem za nim.

Weszliśmy na salę pielęgniarzy, o tej porze pustą. Można było swobodnie porozmawiać.

– ...Dostał wezwanie... wiesz... karteczkę, że ma nazajutrz stawić się na Politische. Łatwo było domyślić się, że na rozwałkę. Nie mógł pogodzić się z myślą, że zostanie rozstrzelany. Płakał, lamentował, rozpaczał. Trudno się dziwić. Wszyscy bardzo mu współczuliśmy, Peter również. Ale jakie można znaleźć słowa pocieszenia w takiej chwili? Peter miał wódkę. Pili. Smutna biesiada przeciągała się długo w noc. Zaproponowano mu samobójstwo. Lepsze to niż dać się zastrzelić. Wstrzyknie sobie większą dawkę ewipanu i zaśnie. Łagodna śmierć. Najpierw wyraził zgodę, nawet prosił o papier. Nie był jednak w stanie nic napisać. A gdy zobaczył, jak Georg szykuje strzykawkę, przeraził się. Nie, on musi żyć!... Tak, zaraz, natychmiast zamelduje się na wartowni... Pójdzie na Politische i złoży zeznania... Już on im wytłumaczy, że jest niewinny... Przecież już rozstrzelali Kazika Szumlakowskiego... On jest niewinny!... Córka też! To jakaś pomyłka!... Robił wrażenie obłąkanego. Nagle wstał, szykując się do wyjścia. Ale w drzwiach natknął się na Petra, który zagroził mu drogę.

– Nigdzie nie pójdziesz, już nic nie pomogą dodatkowe zeznania... Musisz umrzeć, i to zaraz, nim zdołasz uczynić jakieś głupstwo! – Zaczęli się szamotać. Byłby może umknął, ale poszły w ruch taborety. Zwalił się ciężko na podłogę, usiłował się podnieść. Jeszcze jedno uderzenie i taboret się rozleciał...

– Nie bronilesz go? – spytałem.

– Nie! Nie mogłem. Przecież tu chodziło między innymi i o mnie...! Byłem jego najwierniejszym współpra-

113

cownikiem. Wierzyłem mu do ostatniej chwili, do momentu jego załamania się... I kiedy igła strzykawkę wbiła się w jego ciało, odczułem ulgę. Żal mi go bardzo, ale nie było innego wyjścia... Szkoda, że nie zginął z honorem, Gabaryszewski natychmiast wypisał totenmeldung. Zmarł na herzs Schlag!... Chyba już go zawieźli?... – spytał drżą-cym głosem, kończąc smutną relację.

- Na pewno! - odpowiedziałem patrząc gdzieś w okno. - Teoś wie, w czym rzecz. Już on przypilnuje, żeby pierwszy poszedł do pieca. Umarli milczą, śladu też nie będzie. Po południu natknąłem się na Petra. - Co on tu robi? zastanawiałem się. Dłoń miał owiniętą bandażem. Nic zapewne groźnego, bo klepnął mnie nią po plecach. - Na! Wie geht's Stubendienst, du alter Spitzbube...?! - przywitał mnie przyjaźnie. - Weist du, mein Freund, R., ist gestem gestorben?!... Herzs Schlag! Schade, hi wahr...?! Ir Ja, ja, ich habe schon gehört, Herr Lageraltester...Schadei Mały człowieczek oddalał się pewnym, długim krokiem. Można mu było darować tę słabość do Georga.

Rozdział XXX

Czesiek Sowul, grający w obozowej orkiestrze na czy-nelach i bębnie, otrzymał nowy instrument, ksylofon. Rozłożywszy go na stole, walił pałeczkami w drewniane kła-wisze ale głos, jaki wydawały, nie był najlepszy. Trzeba podłożyć słomy! - zawyrokował po wielu nieudanych próbach. Skąd mu tu wziąć słomy? Jest w siennikach! - powiedział. - Tylko musi być naruszona, nie pognieciona! Dalejże szukać tej nie zgniecionej. Powywracał mi wszystkie łóżka, naśmiecił, ale znalazł w końcu taką, ja-kiej potrzebował. A jak zagrał?!. Ho, ho!... Kto by to się spodziewał, że z Czesia taki muzyk!

..

No jak się wie, stubendienst, ty stary łobuzie..-?! Wiesz mój przyjaciel, doktor R., zmarł wczoraj?! Udar ser-ca szkoda, nieprawda...? Tak, tak już słyszałem, panie lageral testerze... Szkoda!

114

A w ogóle schodziło się to artystyczne bractwo na moją sztubę, gdzie każdy produkował się w swojej specjalności. Szykowali jakąś szopkę czy coś w tym rodzaju. Przychodzili zwykle po południu, kiedy można było się spodziewać, że nikt im nie będzie przeszkadzał. Lagerarza nigdy o tej porze nie było, SDG też gdzieś się ulatniał, władze zaś wewnątrzobozowe patrzyły na to z pobłażaniem. Wojszczyk zagrywał na trąbce, Stasiak na akordeonie, „Cygan” z ambulatorium grał na skrzypcach z temperamentem niczym urodzony Węgier, Adam Wysocki próbował swego głosu, czy aby nie zdarł się w obozie. Któregoś wieczoru przygotowałem salę na występ. Zebrał się niemal cały personel szpitala, byli nawet goście z obozu. Konferansjerem był „Lopek” Brodziński, ponoć były impresario Poli Negri. Zaczęło się bardzo poważnie. Bo też i obsada aktorska nie byle jaka! Leon Schiller, Stefan Jaracz, Zbyszek Sawan. Najpierw recytacje. Obecni na sali Niemcy wydawali się znudzeni. Na szczęście nie rozumieli tekstów. Dopiero występy muzyków spotkały się z ich uznaniem. Adam Wysocki zaczął śpiewać kuplety ułożone przez Tadzia Kańskiego. Dowcipne, frywolne, celne, złośliwe. Oberwało się kapom, blokowym, prominentom, muzułmanom, lekarzom, pielęgniarkom i... piplom. Niektórzy młodzi chłopcy siedzieli jak na cenzurowanym. Georg ostentacyjnie wyszedł, żegnany u-śmieszkami. Mała konsternacja, ale już Kański z Wysockim zaintonowali wesołe kuplety na melodię „Siekiera, motyka...”: - Stoi komin murowany, ale my go wykiwamy... - Jest wesoło. Wszyscy, nawet Niemcy, powtarzają refren: - Rano kawa, wieczór kawa, a na obiad trochę Ava... - Kiedy mowa o apelu, gdzie strofa kończy się rymem do „Stój!”, ryczą ze śmiechu wszyscy, a najgłośniej Niemcy, bowiem to jedno słowo dobrze znają. Na zakończenie kolęda Stille Nacht, żeby i coś dla Niemców. Występ aprobował lageraltester Bruno Brodniewitsch. Przyrzekł, że postara się, by artyści mogli występować na blokach w obozie już zupełnie oficjalnie! Ileż to wulgarne słowo, tak często używane w obozie, mogło zdziałać dobrego, gdy było odpowiednio podane. Właśnie ten rym do „stój” tak przypadł do gustu Brunowi, dzięki czemu szopka osiągnęła swój cel - podbudowała obóz, tchnęła jakiś ułamek nadziei. Nawet Teoś przestał mówić Sowieso Krematorium. Nucił teraz „Stoi komin murowany, ale my go wykiwamy!”

– Panie doktorze!... – spytał raz Wiesiek doktora D. jak to jest właściwie z tą pederastią...? Czy to jest taka sama przyjemność jak z kobietą?

– A dajże mi spokój z takimi pytaniami! – zirytował dr Rudek. – Skądże ja mogę wiedzieć! Spytaj o to tego.. tą... no wiesz!...

Wybuchnęliśmy gromkim śmiechem. Można było się śmiać swobodnie, gdyż na naszym bloku nie było piplów. Wiesiek jednak nie dał za wygraną. Ponowił pytania.

– Bez żartów, doktorze! Tyle się przecież słyszy ostatnio na ten temat... widzi nawet!... Mnie to interesuje z punktu widzenia naukowego – dodał, zobaczywszy dys-kretne uśmiešky na niektórych twarzach.

– Tak tak! – dorzucił ktoś z boku żartobliwie. – Je-den z blokowych robi do Wieśka oko...!

apanowała ogólna wesołość. – Żarty żartami, ale już starożytni Grecy... – zaczął naukowy wywód prof. Jakubski. Były więc nawet takie problemy do rozgryzienia. W obozie rozpleniły się niesamowicie wszy i pchły. Epi-demia tyfusu, dziesiątkująca dotychczas głównie obóz je-niecki, rozprzestrzeniła się teraz gwałtownie po całym lagrze. Jednym ze środków – jedynym zresztą w tym czasie j| jakim miało się zwalczać epidemię, był rozkaz lagerfuchrera Aumeiera, aby personel szpitala przeprowadzał kolejno we wszystkich blokach tzw. lausekontrolle. Była to jeszcze jedna z wymyślnych szykan, jakie stoso-sowały władze w stosunku do więźniów. Jeśli nie padało, lausekontrolle odbywała się zwykle na dworze, bez względu na porę roku.

Więźniowie porozbierani do pasa opuszczali spodnie, my zaś przeglądaliśmy ich bieliznę, w której roiło się od insektów. Pachwiny i krocza, siedlisko wszy, szprycowaliśmy cuprexem". Najbardziej brudnych i zawszonych więźniów spisywaliśmy na karteczkach, które następnie oddawaliśmy blokowym, ci zaś wysyłali ich do kąpieli, a bieliznę i ubrania odstawiali tymczasem do dezynfekcji. Na ogół więźniowie bronili się przed odwszeniem, bowiem blokowi znęcali się nad nimi, a kąpiel w zimnej wodzie i czekanie nago na świeżą bieliznę trwało niejednokrotnie całymi godzinami, co nie należało do przyjemności, zwłaszcza gdy działo się to zimą. W świeżo wypranej bieliznie co prawda wszy nie było, zostawały jednak całe

kolonie gnid, z których po upływie paru godzin wylęgały się roje spragnionych pokarmu wszy. Najwięcej zawszeni byli oczywiście muzułmani. Wszy zjadały ich dosłownie żywcem. A jeszcze gdy który miał wrzody lub rany owinięte papierowym bandażem, to śmiało można było rzec, że „nie on miał wszy, ale wszy miały jego". Raz zdarłem siłą jednemu z takich cuchnący, przepojony ropą bandaż. Pod warstwą papieru kłębiły się tysiące wszy, jedna zbita w szarą, ruchomą masę rana, wgrzyziona w ciało aż do kości, na grubość co najmniej palca. Któryś z lekarzy dał mu kartkę do stawienia się w ambulatorium. Byłem przekonany, że nie zgłosi się tam dobrowolnie, bo będzie się bał, że wykończą go zaraz po pierwszej selekcji przeprowadzonej przez lekarza SS.

Nic też dziwnego, że w takiej sytuacji więźniowie nie witali z entuzjazmem przymusowej lausekontrolle ani też nas pielęgniarzy, wykonawców tej mało skutecznej, a niebezpiecznej dla życia imprezy, nie darzyli sympatią. My również pracę tę wykonywaliśmy bez przekonania, z obrzydzeniem, tym bardziej że mieliśmy już wyrobione zdanie o jej skuteczności. W dodatku łapaliśmy przy sposobności wszy tyfusowe, których na ogół nie było jeszcze wśród nas. Te, które mieliśmy z własnej hodowli, nie były groźne, bo nie były jeszcze zarażone tyfusem. Niemniej, wracając z takiej lausekontrolle, natychmiast zmienialiśmy ubrania i bieliznę, po czym starannie „odwszawialiśmy się" i kapali pod gorącymi natryskami w naszym ba-deraumie. Dzięki tym zabiegom, na które nie każdy mógł sobie pozwolić, udawało mi się ustrzec, jak dotąd, zarażenia tyfusem plamistym. Spotkała mnie natomiast raz inna przygoda podczas brania kąpieli po jednym z

kolejnych entlausungów. Stojąc pod prysznicem w oparach szumiącej ciepłej wody, usłyszałem za sobą czyjs obcy basowy głos. Słów nie rozumiałem, bo źle było słyhać, ale domyśliłem się, że o mnie była mowa. Zaintrygowany, odwróciłem się w stronę drzwi, skąd dochodziły głosy. W drzwiach stał mały kapo, znany w obozie z okrucieństwa i swych skłonności do młodych chłopców. Przypatrując się kąpiącym, wskazał na mnie palcem, mówiąc głośno do stojącego obok Bocka:
– Mensch, aber das ist ein grosser Affe!1

1 Człowieku, przecież to jest wielka małpa!

117

Zaśmiali się obaj, po czym wyszli, trzymając się pod ramiona. Jeszcze przez chwilę dolatywał z korytarza tubalny głos Timma, zwyrodniałego kapo.

– Słyszałeś, co powiedział? – zapytał Antek Kempa obserwujący tę scenę. – Powiedział, że jesteś małpa, duża małpa! Nie podobałeś mu się!... A byłeś o krok od szczęścia..! – kontynuował, pokpiwając sobie. – On tu często zagląda żeby podglądać kąpiących się – dodał już poważnie. – Szuka dla siebie nowego obiektu, bo poprzedniego pipla ktoś mu odbił...

Przypomniałem teraz sobie zainteresowanie „tymi sprawami od strony naukowej” jednego z kolegów. Może miał już jakąś propozycję i szukał wyjścia.
Rozdział XXXI

Peter jaki był, taki był, ale przy nim przynajmniej mogłem się dekować, jeśli, oczywiście, zrobiłem, co do mnie należało. Od czasu jak blokowym został Fred Stessel, skończyły się moje dobre czasy. Stale wyszukiwał mi ja-kieś dodatkowe zajęcia, żebym przypadkiem się nie rozle-niwił jak mawiał złośliwie. Ponieważ jako Polak nie miał takiego autorytetu, jakim cieszył się poprzedni blokowy, często bagatelizowałem jego zarządzenia. Odegrał się na mnie ten sposób, że napuścił na moją skromną osobę – według Freda jednak nazbyt krnąbrną – samego SDG Klehra, którego z kolei bałem się. Od tej chwili nie miałem odpoczynku. Tylko zrobiłem swoje, już przeganiał mnie do miotły, bym sprzątał wokół bloku i odcinek ulicy obozowej na terenie szpitala. Niepotrzebnie, bo to był re-jon Jakubskiego. Ten dbał o swoją „posadę”, pracu-jąc powoli, oszczędnie, tak żeby mieć zajęcie przez cały dzień, co stwarzało pozory pracowitości. Przepracowywać się nie lubił, podobnie zresztą jak i ja, z tą tylko różnicą, że ja mając coś do zrobienia, odwalałem to szybko, w mig, by później móc poświęcić wolny czas błogiemu lenistwu. Wiesiu bój się Boga, co ty robisz...! – mówił profesor zobaczywszy, że solidnie zabrałem się do roboty. – Wylali mnie od „gonokoków”, teraz znowuż ty chcesz pozbawić mnie pracy? Cóż miałem robić! Lubiłem profesora, zostawiłem mu więc jego rejon, a sam poszedłem kawałek dalej na lager-

118

strasse pod bekleidungskammer. Ale tam było już czyściutko wysprzątane. Jakiś więzień, chudy i drobny, machał zapamiętane miotłą zgnarniając śnieg w kopce i, jak już śnieg wszędzie był zgnarnięty, rozwalał je z powrotem, bacząc, by tego ktoś nie zauważył, po czym zabierał się na nowo do syzyfowej pracy. Jego lisia twarz wydawała mi się skądś znajoma. Gdzie ja go widziałem?... Skłonny byłem już nawet wprost zapytać o to pracowitego więźnia, ale zobaczywszy z daleka zbliżającego się lageraltestera Wietschorka, czmychnąłem czym prędzej do bloku. – Przed Leonem wiejesz? Co...? – spostrzegł domyślnie Kazek Szelest, pełniący funkcję torwaczy w drzwiach naszego bloku. Silny potężny, nadawał się doskonale do roli wykidajły. Poprosił, bym zastąpił go na chwilkę, bo musi odejść. Zgodziłem się chętnie na zasadzie rewanżu, gdyż Kazik też szedł mi niejednokrotnie na rękę, wpuszczając do ambulatorium moich kolegów. Zresztą stojąc za drzwiami mogłem czuć się bezpiecznie, jako że Leon omijał rewir z daleka, nie ośmielając się wejść do bloku, w którym obawiał się zarazić tyfusem lub jakąś inną chorobą.

– Co ty tu robisz? – zapytał mnie złowieszczo Stessel, widząc, że sterczę w bramie beczynnje. – Marsz do roboty!

– Zastępuję Kazia, bo poszedł się wysrać! – odpowiedziałem szczerze, aczkolwiek

bezczelnie i zaczepnie, czując, że nic mi zrobić nie może, bo przecież „pracowałem”, zastępując Szelesta.

– Aha! – odrzekł blokowy po namyśle. – To świetnie! Od dzisiaj będziesz zawsze go luzował w wolnych chwilach, bo też nie może tu tak stać od rana do wieczora... Zrozumiano?!

– Jawohl, Herr Blockaltester! – odpowiedziałem służbiście po niemiecku, by dać mu do zrozumienia, co o nim myślę, a gdy się oddalił, dodałem jeszcze szeptem: – Szlag by cię trafił, ty złośliwcze!

Kazek wracał, zapinając po drodze spodnie.

– No, Wiesiu, spierdalał, jeśli nie chcesz zobaczyć się tym razem z Klehrem, twoim drugim przyjacielem...! Jazda! – Kazio lubił mocne określenia. Już mnie nie było. Po drodze uprzedziłem jeszcze kolegów z łaźni. A nuż tam coś pichcą, jak to mieli w zwyczaju, lepiej więc, żeby mieli się na baczości, sam zaś udałem się w bezpieczne miejsce, do leichenhali.

119

Po chwili Kazik wrzeszczał „Achtung” tak głośno, że nawet tu w piwnicy było go dobrze słychać.

– Klehr przyszedł...! – zauważyłem.

– No to co, że przyszedł – odparł lakonicznie Teoś. Codziennie przecież przychodzi...

– Dzisiaj mamy wolne... nie szprycują – wtrącił Gienek.

– „Na frasunek dobry trunek”! Chodźcie, pojedziemy do Zemanka...? – zaproponował ni stąd, ni zowąd Teofil.

Golniemy sobie! Co się martwić...!

– Stubendienst! Stubendienst! – darł się wściekły

Co on się tak drze? – zaciekawił się Gienek. – Zrobi ci chyba jakiś „miły” kawał! – skonstatował, sły-

sząc jak Fred nawołuje mnie nieprzerwanie.

Pobiegłem na górę do sali pielęgniarzy, skąd dochodził wrzask blokowego. SDG Klehr w wyczekującej postawie, nie wyróżniającej bynajmniej niczego dobrego, stał pośrodku sali rozkraczony, z marsowym obliczem. Meldując się, stanąwszy na wszelki wypadek w takiej odległości, by nie mógł mnie dosięgnąć ręką lub nogą, zauważyłem, że kilka pierwszych z brzegu łóżek jest porozrzucanych, co było niewątpliwie dziełem Stessla.

Gdzie byłeś? – zapytał ostro.

Im Abort!1 – wymyśliłem na poczekaniu.

Im Abort, im Abort! – przedrzeźniał zirytowany. – Tylko żrecie i stracie! Banda niezdiscyplinowana! a do roboty nie ma nikogo!... To są pościelone łóżka...? A ten kurz na parapetach...? Brudne okna, podłoga czarna jak w stajni-...? W wojsku to kazałbym ci wyszorować ją szczoteczka do zębów, aż byłaby jak śnieg biała! Za dobrze masz w panicyzka się bawisz! Marsz do roboty! Aber los!

Khler przysłuchiwał się w milczeniu. Nie ociągając się złapałem wiadro i miotłę, zrobiwszy jeszcze zgrabny unik przed pożegnaniem kopniakiem wymierzonym mi przez scharfuhrera, po czym zabrałem się energicznie do roboty, przeklinając gorliwego Stessla. W skrytości ducha przyznawałem mu jednak trochę rację, gdyż od czasu odejścia |Petera objąłem boki, co denerwowało ambitnego następcę. Nie musiał jednak popisywać się tak przed Klehrem,

1.w ustępie

120.

który wyraźnie nie darzył mnie sympatią. Prawdę mówiąc, to za takie przewinienie na lagrze oberwałbym solidnie od blokowego. Ten intrygował, krzyczał, ale nie bił.

Rozdział XXXII

W związku z dobudowaniem paru bloków na lagrze, zmieniono numerację wszystkich pozostałych. Bloki należące do rewiru, a więc bloki 14, 15, 16 i 20, otrzymały kolejną numerację 19, 20, 21 i 28. Poza tym wszystko pozostało nadal po dawnemu. „Szprycowanie” na bloku 20 i 28 nie było żadną tajemnicą. SDG Klehr był przepracowany, toteż odciążyli go w tej „humanitarnej” pracy „Miecio”, „Perełka” i „Feluś”. Ich pacjentów leichentragerzy zanosili wprost do trupiarni bloku 28. Wczesną wiosną zaczęły nadchodzić – zawsze nocą – transporty Żydów, skierowywane nie do obozu, lecz do wiejskiej zagrody ukrytej w lasku Brzezinki. Domek ten został przystosowany do uśmiercania każdorazowo większej ilości ludzi, zawożonych tam wprost z bocznicy kolejowej dworca oświęcimskiego. Po zagazowaniu transportu w komorze gazowej, w specjalnie do tego celu przystosowanym niewinnym wiejskim domku, pozostawiona przy życiu mała grupa najmłodszych i najsilniejszych Żydów, w liczbie około dwudziestu, trudniła się wywlekaniem zwłok swoich towarzyszy z komory i zakopywaniem ich w rowach na łące, w najbliższym sąsiedztwie chatki. Po zatarciu śladów zbrodni przywożono ich do nas na rewir, gdzie ustawiano ich w kolejce do ambulatorium. Działo się to zawsze późnym wieczorem, po gongu na bettruhe, kiedy lager był już uśpiony. W ambulatorium, mimo że nie było już nikogo z personelu, paliło się światło, co można było wytłumaczyć moją tam obecnością, zwykle bowiem o tej porze sprzątałem. Bock i Stessel zdawali się być zajęci rozmową. Żydzi zostali powiadomieni, że dostaną zastrzyki wzmacniające po wyczerpującej pracy. Znajdowali się w szpitalu, co nie mogło wzbudzać żadnych podejrzeń. Klehr, ubrany w biały lekarski kitel, przyjmował każdego z osobna w swoim gabinecie „zabiegowym”, zamykając starannie drzwi za pacjentem. Po każdym zabiegu, trwającym dziwnie krótko, wyglądał na korytarz zapraszając następnego. W tym samym czasie do pokoju wcho-

121.

dzili Obojski z Teofilem, układali na noszach „uśpionego” pacjenta i przykrywszy go kocem, unosili w głąb bloku. Nic nie podejrzewający pacjenci wchodzili do sali zabiegowej jeden po drugim aż do momentu, kiedy zniknął ostatni z czekających pod

ambulatorium. Po zakończonych zabiegach myłem w pokoju podłogę.

– Was macht hier der faule Hund?1 – zapytał Klehr Bocka, myjąc ręce.
– Er macht sauber, wie immer2 – odpowiedział zdziwiony blokowy.
– Loos, loos! Schneller! – poganiał mnie Bock, zrozumiawszy, że popełnił tu gafę dopuszczając w mojej osobie niepotrzebnego świadka likwidacji grupy Żydów, którym pozostawiono tych parę godzin życia po to jedy-nie, by pomogli zatrzeć ślady po zamordowanych w prowi-zorycznej komorze gazowej w małym domku na skraju lasu .

Dowiedziałem się od prof. Jakubskiego, że sprzątacze ulicy spod bekleidungskammer pochodzi z Jarosławia.

W rozmowach z Jakubskim utrzymywał, iż zna dobrze mojego ojca. Kto to mógł być?

Ponieważ nie pracowałem już na zewnątrz bloku, poprosiłem profesora, by przyprowadził kiedy swego towarzysza od miotły, a mojego krajana; byłem spragniony wiadomości o ojcu, którego rzekomo znał. Chętnie z nim porozmawiam, a i miskę zupy zorganizuję. Przyszedł.

zjadł, naopowiadał o Jarosławiu. Wiadomości miał świeże, bo aresztowano go zaledwie parę miesięcy temu. Tylko o ojcu mówił ogólnikami, z czego wywnioskowałem, że raczej go nie zna. Za to wypytywał o doktora R., z którym widział się już dawno. Prosił, żeby go pozdrowić, jak będę miał okazję widzieć się z nim. – Co? Nie żyje?! – wyraził prawdziwe zdumienie. – Jaka szkoda!... – To on

właśnie wystarał mu się o lekką pracę i nawet obiecywał wciągnąć go na rewir... Przychodził teraz często. Zapraszałem go do piwnicy, karmiłem, a on opowiadał. Był magistrackim urzędnikiem i jako takiego aresztował go Toffel z gestapo, pod zarzutem jakichś tam, bliżej nie określonych, niedociągnięć. Nic

1. co robi tutaj ten leniwy pies?
2. porządkuje, jak zwykle.

122.

poważnego. Przypuszczał, że go zwolnią z więzienia, tymczasem przywieziono go do Oświęcimia. Ot i cała historia!

– Gdzieś pana widziałem, tylko nie mogę sobie przypomnieć, w jakich to było okolicznościach...

– Możliwe... – odpowiedział zdawkowo, unikając mego wzroku. – Jarosław to przecież małe miasteczko...

Będąc któregoś wieczora w ambulatorium, rozmawiałem z Gienkiem i Józkiem W., gdy podszedł do nas Ludwik Kosiński. Gardło miał zawinięte, bo wracał właśnie z zabiegu od dr. Wasilewskiego, naszego laryngologa. Ucieszyłem się tym spotkaniem, gdyż lubiłem go i nie widziałem się z nim już dawno. Ludwik pracując w TWL, znanym jako dobre komando, miał się nieźle jak na stosunki obozowe. Opiekując się jarosławską młodzieżą, niezwykle koleżeński, jak tylko mógł, podtrzymywał na duchu chłopaków. Niepoprawny optymista wróżył rychły koniec wojny i hitleryzmu.

– Podobno opiekujesz się tym szpiclem, dzięki któremu tu kiblujemy? – rzekł z wymówką po krótkim wstępie. Zrobiłem zdziwioną minę, co miało oznaczać, że naprawdę nie wiedziałem, o co mu chodzi.

– No, ten z ortskomendantury! Nie pamiętasz? Gienek i Józek nadstawili uszu. To zaczynało być ciekawe.

– Jak przyszli Niemcy – kontynuował Ludwik dalej – podpisał volksliste i ze -zwykłego dozorczy parku miejskiego został z miejsca wysokim urzędnikiem ortskomendantury. W imię zasług za donosicielstwa i szpiclowanie... Wydawał Żydów obrabowując ich z mienia, a jak ich zabrakło, denuncjował Polaków. Drań spod ciemnej gwiazdy! Uważaj na niego – dodał ostrzegawczo – bo tu może też szpiclować...!

Dopiero teraz przypomniałem go sobie. Jak mogłem wtedy zapomnieć...! To przecież on właśnie ścigał mnie z jakimś żołnierzem podczas uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej na gmachu ortskomendantury, gdzie niepotrzebnie się napatoczyłem i nie zdjąłem czapki przed tablicą... a ta historia z radiem... to też jego robota!... O... już więcej nie będę mu pomagał! Niech sobie radzi sam! Przychodził pod blok, pytał o mnie. Wolałem go nie widzieć. Zachodząc do piwnicy wkradł się w łaski Teofila. Teraz Teoś go dokarmił, nawet obiecał mu przeniesienie na rewir. Zwariował Teoś, czy co...?

123.

Minęło parę dni. Tymczasem zlikwidowano obóz jenie-Niedobitki, które ocalały, przeniesiono do obozu V Birkenau, gdzie na jednym z odcinków postawiono już anaście murowanych parterowych barków. Mój „przy-jaciel Leo Wietschorek został tam legeraltesterem, zabrawszy ze sobą kilku doborowych bandziorów. Chwała Bogu.! Peter Welsch też już nie wrócił do nas. Zakładał szpital w Birkenau wspólnie z nieodłącznym Georgiem, Gabryszew- i dr. Zengtellerem, następcą doktora R. Staszek Hedorowicz powrócił do nas. Opowiedziałem mu o tym szpiclu. Wiedział o nim. R. rzeczywiście obiecywał mu funkcję na rewirze. Obawiał się go, więc pragnął u mieć blisko siebie. Przeniesienie na obóz „Ruskich" pozowało jego plany.

– A gdzie on się teraz podziewa? – zainteresował się

– Muszę zapytać profesora, on będzie wiedział! – odpowiedziałem Jakubski miał właśnie zamiar zapytać mnie o to sa-

Nie widziałem go ostatnio... Może poszedł do Birke-- głośno myślał profesor. – Może zachorował? Szkoda by była...! Porządne chłopisko... Pomagał mi zamiatać wiedział, że mi ciężko...! Postanowiłem zapytać Gienka lub Teosia. Staszek jednak dowiedział się pierwszy.

Nie żyje! Zmarł parę dni temu. Nie ma co żałować. Może nawet dobrze się stało...! – powiedział zde-cydowanie i bez żalu.

Teoś... – spytałem spotkawszy go z Gienkiem – ten zamiatacz zmarł?

Tak, wykończył się... – odpowiedział patrząc żałośnie

na Gienka. – Przestałeś mu nagle pomagać...! Przy-

chodził więc do nas... był załamany... Miał jakieś wyrzuty

sumienia. Dosłownie spowiadał się...! I serce nie wytrzymało.

Herzschlag...! – dodał Gienek patrząc tym razem na Teofila. Już więcej o nic nie pytałem.

Nie żyje, mówisz? – zdziwił się profesor. – Popatrz porządni ludzie kończą w obozie!...

124.

Rozdział XXXVIII

Prawie połowę ze stanu chorych leżących na Kranken-bau przeniesiono do Brzezinki na tzw. schonungsblock. Wybiórki chorych dokonywał sam Entress w towarzystwie Klehra. Po jakimś czasie lista wyznaczonych do transportu znalazła się w rękach pracowników rewirowej schreibstu-by. Ponieważ nigdy nie było wiadomo na pewno, czy chorzy rzeczywiście pójdą na ów schonungsblock, czy też wyślą ich do komory gazowej, podobnie jak to robiono z transportami Żydów, przeto pielęgniarze usiłowali ratować przynajmniej swoich najbliższych przyjaciół znajdujących się na liście. Jasio Szary, szef schreibstuby, pokręcił coś z listami, dzięki czemu udało się przemycić kilka osób z powrotem do szpitala. Staszek Hedorowicz, pomny zeszłorocznej wywózki chorych do Drezna, tym razem miał się na ostrożności. W porę wypisał na lager kilku chorych, ochraniając ich tym samym przed niepewnym transportem.

Chorzy przeniesieni do Birkenau nie zostali zagazowani. Ich los jednak był przypieczętowany. W ciągu najbliższych dni zmarli tam prawie wszyscy, pozostawieni bez nadzoru i opieki lekarskiej w okropnych warunkach dopiero co organizującego się obozu w Brzezince. Ciała ich spalono w naszym krematorium, ładując do jednego pieca cztery trupy naraz, by nadażyć z ich spalaniem. Proces spalania też skrócono, skutkiem czego ciała nie dopalały się całkowicie na popiół. Nie dopalone kości miażdżono drewnianym tłuczkiem i jeśli zachodziła potrzeba wysłania urny z prochami zmarłego na żądanie rodziny, to przesiewano je dodatkowo przez sito, gdzie mieszały się szczątki wszystkich zmarłych, zanim zgarnięto je do urn. Nie dosyć że rodzina nie otrzymywała autentycznych prochów swego najbliższego członka rodziny zamęczonego w obozie, ale musiała jeszcze uiszczać słone opłaty za przesyłkę urny. Hitlerowski cynizm i tępa bezdusznosc święciły swe tryumfy w myśl zasady: Pecunia non olet...

Po rozebraniu prowizorycznego baraku, oddzielającego obóz jeniecki od naszego, zaczęto wznosić wysoki betonowy mur wzdłuż jednego rzędu bloków, przegradzając w ten sposób jedną trzecią całego lagru. Rozeszły się po-

125.

głoski, że do tej wydzielonej części mają przywieźć więźniarki

Kobiety w męskim obozie. Wydawało się to wprost niewiarygodne. Wiadomość tę różnie komentowano, I czasem nawet oswojono się z nią, jako że w naszym obozie nic już nas nie mogło zdziwić. Nawet zaczęto dowcipkować, szczególnie na temat piplów, którzy zapewne pójdą teraz w niełaskę. Może wydawać się to dziwaczne, ale najwięcej zainteresowania kobietami wykazywali właśnie niemieccy kryminaliści, znani dotychczas jako obozowe pedały. Niemniej lagrowi prominenci, nie wyłączając młodszego personelu szpitala-z wyjątkiem większości wycieńczonych obozowiczów, których takie problemy raczej nie interesowały-byli spragnieni widoku kobiet, chociażby one były tylko współwięźniarkami.

Jak na marzec zrobiło się wyjątkowo ciepło, toteż wykorzystawszy przyjemną aurę zabrałem się do mycia okien w swej sztubie. W powietrzu czuło się już powiew wiosny, z którą zawsze łączyliśmy pewne nadzieje wolności. "Byłe do wiosny"-to było hasło każdego z więźniów. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że upragniona wiosna nadeszła. Słoneczko przygrzewało, ciepły wietrzyk poruszał lekko nabrzmiałymi od paków gałęziami pobliskich topól, nad którymi wisiał w powietrzu niewidoczny skowronek wesoło rozśpiewany, Wiosna.!

Z zamyślenia zbudził mnie zaferowany i podniecony głos Zygmunta-"gonokoka" Wiesiek chodź szybko! Kobiety! Koło bekleidungs !

Nim się obejrzałem ,już go nie było. Pobiegnęłam za nim. W drzwiach bloku stał jak zwykle Kazik, zagradzając swą zwalistą postacią przejście.

Gdzie tak pędzisz synku?-powiedział słodko wstrzymując mnie swą ciężką łapą, tak że przysiadłem.

-Do bab ci śpieszno?Chcesz tam oberwać?Nie widzisz,ilu esesmanów tam się kręci! Pod bekleidungskammer stała grupa ludzi w cywilnych ubraniach,mężczyźni i ..-co dopiero pierwszy raz zdarzyło się w naszym obozie-kobiety.A więc to prawda,że ma być utworzony obóz kobiecy!Teraz pewnie przebiorą je w podobne pasiaki do naszych,po czym zaprowadzą do wydzielonej części obozu. Przyglądaliśmy się z daleka,nie śmiać jednak podejść bliżej gdyż blockfuhreerzy odpędzali co odważniejszych.

126.

W drzwiach bloku 21 ukazał się Bock, przepędzając do roboty ciekawskich pielęgniarzy zgrupowanych na schodkach prowadzących do szpitala, a znajdujących się w najbliższym sąsiedztwie bekleidungskammer. Jeden z esesmanów zobaczywszy Bocka przywołał go skinieniem palca. Okazało się, że zasłabła któraś z kobiet, pozwolono więc podać coś do picia. Obojski i „gonokok” podskoczyli do szpitalnej kuchni, taszcząc po chwili mały kociołek pełen miętowych ziółek. Najpierw napoili kobiety. Młoda, ładna dziewczyna odbierała od Gienka napełniony kubek i podawała go dalej. Korzystając z nieuwagi esesmanów, zamieniła z nim parę zdań, darząc go przy tym miłym uśmiechem. Był pierwszym z więźniów, któremu udało się w obozie, w obecności esesmanów, nawiązać kontakt z kobietą. Rzucając od czasu do czasu w naszą stronę spojrzenia pełne dumy z odniesionego sukcesu, zdawał się mówić: – A widzicie, frajerzy...!

Wreszcie jeden z esesmanów, zobaczywszy, że Obojski za wiele sobie pozwala, prowadząc swobodną rozmowę z zugangiem, przepędził go.

– Obojski! Geh weg!... geh weg!1 – powtórzył już energiczniej, widząc że ociaga się, nie mogąc oderwać oczu od spłoszonej dziewczyny.

Już w bloku otoczyliśmy Gienka kołem. Promieniał wprost ze szczęścia. Policzki zaróżowiły mu się, łagodne niebieskie oczy błyszczały.

– Widzieliście! – rzekł z emfazą. – Rozmawiałem z nią! Śliczna, nie...?

Przywieźli ich autem z Mysłowic... z więzienia... Ona ma siedemnaście lat!

Najmłodsza ze wszystkich... Boją się czegoś...! Uspokajałem je... Ale widzieliście, jak uśmiechała się do mnie...?

Zugang długo jeszcze stał pod bekleidungskammer. Wróciłem do roboty. Lepiej wymyć te okna, bo Fred może znowu przyczepić się do mnie jak wesz do kożucha. Skończyłem właśnie sprzątanie, gdy na salę weszło paru pflegerów, a wśród nich Teoś. Żywo komentowali ostatnie wydarzenia.

Wbrew przewidywaniom zugang nie został przyjęty na bekleidungskammer, lecz popędzono go do bunkrów bloku 11. Widziano też idących tam lagerfuhreera Aumeiera, rap-

1 Obojski! Wynoś się!... Wynoś się!

127.

raportftihreera Palitzscha z Politische. Zanosilo się na roz-walkę.

Jeszcze nim zdążyli rozejść się z korytarza, rozległo się nawoływanie, potwierdzające niestety słuszne podejrzenia. Obojski! Teofil! – Nie było już wątpliwości. cholera! gdzież ten Gienek! – denerwował się Teoś

Tymczasem Gienek, zaszywszy się gdzieś w kąt, szykował małą paczuszkę z prowiantem, którą miał zamiar przerzucić do bunkra. Dla „ślicznej”... Oczekiwałem ich przy bocznym wejściu do piwnicy. Wrócili na jakąś godzinę przed rozpoczęciem apelu. W milczeniu nieśli puste blaszane tragi. Pierwszy kroczył Teofil, za nim blady jak papier z mocno zaciśniętymi szczękami Obojski. Otworzyłem im drzwi prowadzące do leichenhali.

Ty wiesz, co ten wariat chciał zrobić...? – zaczął

Teoś zmęczonym głosem, ciężko usiadłszy na pierwszej z brzegu skrzyni. – Dureń...! Wykończyliby nas tak jak tamtych. Zakochał się, czy kie licha...?Teofil chciał jeszcze coś powiedzieć, ale urwał w pół zdania zobaczywszy zmienioną twarz Obojskiego.

Milcz, ty... zwyrodniały chamie! – syknął Gienek

zaciskając pięści. Po raz pierwszy ujrzałem na jego łagodnym zazwyczaj obliczu gniew.

Przepraszam cię. Gienek! – zmitygował się w porę

– Mnie też już nerwy zaczynają odmawiać posłuszeństwa Gieniuchna...! – Teoś doskoczył do Obojskiego głsaszcząc go po szerokich barach, którymi wstrząsały łkania

Plakał, waląc bezsilnie pięściami w wilgotną ścianę kostnicy. Duże dziecko, które skrzywdzono.

Kazano im rozebrać się do naga... Pierwszy raz w życiu zobaczyłem naga kobietę... I to właśnie na nią musiałem patrzeć rzyć... w takich okolicznościach! Z tych starych naigrywali się, zanim wystrzelali... Ja wytrzymali do samego końca Lufą odsunął jej włosy... Jej długie włosy..Jej długie włosy. Już nie panował nad sobą. Szlochając darł pa-zurami ścianę spazmując dusił się niemal łzami spływają-cymi mu ciurkiem po policzkach. Wymówił w końcu sło-wa które ledwie przecisnęły mu się przez gardło. Jeśli ona mnie tam widziała... Przeżegnała się, nim strzelił, upadła na twarz... Butem odwrócił ją na wznak... wtedy chciałem... wtedy Teoś... Już ja im zapłacę! – za-kończył z pasją, łapiąc się nagle wpół. Dostał torsji.

128.

– Leć prędko po „Tolińszczaka”! – rzucił Teoś, starając się przytrzymać Gienka, gdyż ten zachwiał się i omal nie runął na betonową posadzkę.

Po odebraniu apelu lageraltester Bock wręczył Teofilowi bochenek chleba i kostkę margaryny. Zulage dla obu leichtentragerów za „dobrą robotę” od samego rapportfuh-rera Palitzscha.

– Wo ist der andere?¹ – zainteresował się Bock, nie widząc Obojskiego.

– Schlecht! Nich gut! Fraulein!² – odrzekł łamaną niemczyzną Teoś, machnawszy z rezygnacją ręką.– Bock przypuszczalnie zrozumiał go, bo pokiwał smutnie głową, odwrócił się nagle na pięcie, po czym odszedł bez słowa.

Od tej pory Gienek jakby się zmienił. W spojrzeniu nie było już naiwności, dziecinny uśmiech znikł z jego twarzy, teraz pełnej gorzkości. Stwardniał. Na pozór upodobił się do Teofila – znieczulił się.

Rozdział XXXIV

Do wydzielonej części naszego obozu przywieziono kobiety dopiero za parę dni. Po wieczornym apelu zarządzono ścisłą lagersperre. Chcąc coś zobaczyć, wspięliśmy się na strych, skąd przez małe okienko nieraz obserwowaliśmy rozwałki na bloku 11, a raczej na jego dziedzińcu. Kobiety szły zwartymi kolumnami, dziesiątki, setki. Za daleko było, żeby odróżnić bodaj jedną z ich twarzy. Zrobiło się zupełnie ciemno, kiedy wszystkie znalazły się za murem w swoim obozie. Pielęgniarki z bloków 29 i 21 byli w szczęśliwym położeniu, niektóre bowiem okna tych bloków wychodziły na stronę kobiecego obozu. Szybko też nawiązali kontakty, najpierw za pomocą rozmowy oczu, z kobietami znajdującymi się po drugiej stronie muru.

Wiadomo już było, że są to więźniarki z obozu koncentracyjnego z Ravensbriick, Niemki, przeważnie kryminali-stki i niewielki procent politycznych; przyjechało ich tu około tysiąca. Zapowiedziane były dalsze transporty. Nowy transport przyszedł jeszcze tej samej nocy. Tym ra-

1 Gdzie jest ten drugi?

2 Źle! Niedobrze! Panna!

129.

zem były to słowackie Żydówki. Dzień po dniu przychodziły nowe transporty, głównie Żydówek ze Słowacji, tak że po niespełna tygodniu wszystkie bloki kobiecego obozu wypełniły się więźniarkami. Były zupełnie odizolowane, do pracy na zewnątrz obozu też ich nie wyprowadzano, a żywności dostarczała im nasza „męska” kuchnia, odstawiając ją tylko do bramy w murze, skąd odbierały sobie same, nie zetknawszy się z mężczyznami. Takie były początki. Rygoru ściśle przestrzegano pod karą chłosty lub nawet bunkra. Stan taki nie mógł jednak potrwać Hugo. Pierwsze bliższe kontakty nawiązała główna schreibstuba, no i rewir, jako że po tamtej stronie muru szpital dopiero

organizował się. Stopniowo nawet mur przestał być większą przeszkodą. Kto mógł, nawiązywał niedozwolone kontakty przez okna swych bloków wychodzące na stronę kobiet, później leciały przez mur pierwsze listy, a w końcu nawet paczuszki z prowiantem czy innymi prezentami. Niejednokrotnie więźniowie odnajdywali po tamtej stronie muru swoje żony, matki, siostry, koleżanki, Kobiety z wdzięcznością przyjmowały męską pomoc wypływającą najczęściej ze szlachetnych pobudek: współczucia i zrozumienia ich niedoli. W miarę upływu czasu i stopniowej w pewnym sensie – stabilizacji warunków w obozie, w kontaktach z kobietami zaczął dominować inny pierwiastek, natury bardziej intymnej, a mianowicie płęć, co wynikało z niższych pobudek, ale jakże naturalnych. „Wybrańcy losu”, kilku lekarzy i pielęgniarzy z la-geratesterem Bockiem na czele, dzień w dzień wchodzili na teren kobiecego obozu zanosząc tam medykamenty, ro-biac opatrunki i lżejsze zabiegi. Z czasem kobiety poka-zały się w naszym obozie. Aufseherinki codziennie przy-prowadzały nową grupę do erkennungsdienst, gdzie je fo-tografowano w trzech pozach, podobnie jak i nas kiedyś. Stamtąd przychodziły zazwyczaj do nas na blok 28 do rent-gena na prześwietlenia. Dr Gawarecki i Stasio Zelle, ob-sługujący rentgen, mieli teraz dodatkowe kłopoty z kole-gami pragnącymi spotkać się z umówionymi więźniarkami W zacisznym, małym i ciemnym pomieszczeniu. Nie każdy z umówionych myślał jedynie o rozmowie. Nic też dziwne-go że na temat spotkań w rentgenraumie zaczęły krążyć różnego rodzaju ploteczki, nieraz bardzo pikantne i ubar-wione wybujała fantazją niektórych uczestników „sean-sów jak sam później się przekonałem.

130.

Sąsiedztwo rentgena, znajdującego się o krok od mojej sali, i nieobecność pilnującej kobiet aufseherin spowodowały, że udało mi się – przy życzliwości Stasia – uczestniczyć w „seansie”. Wślizgnąwszy się niepostrzeżenie do ciemnej kabiny – pouczony przedtem przez Stasia – miałem ustawiać pacjentki przed aparatem. Szukając na ślepo, ręką namacałem pierwszą z brzegu, następnie drugą i trzecią, kolejno podprowadzając je pod ekran rentgena. Przez cały czas nie odezwałem się słowem, one również. Nic z tych „atrakcyjności”, o których krążyły legen-dy.

– No, jak tam było?... – pytał mnie później jeden z kolegów, porozumiewawczo mrużąc przy tym oko. – Warto tam pójść?

– Phi...! – odpowiedziałem tajemniczo, dając mu wiele do myślenia. Teraz jego wyobraźnia będzie pracowała, do czasu aż sam się przekona, że nabrałem go, tak jak mnie poprzednicy. Chociaż...? Na przykład Wiesiek był częstym gościem w rentgenie. Znał już dobrze funkcyjną Niemkę przyprowadzającą codziennie nowe więźniarki do prześwietlenia. Wydawał się zadowolony. Dawno przestały go interesować sprawy czysto męskie z „naukowego punktu widzenia”. Mimo wszystko miało to też swoje dobre strony.

Rozdział XXXV

Z nastaniem wiosny zaczęły przychodzić do naszego obozu liczne transporty Żydów francuskich. Tym razem nie do gazu, jak poprzednie, ale do lagru. W związku z budową dużych zakładów chemicznych IG-Farbenindustrie, zatrudniających więźniów, siła robocza zaczynała się liczyć. Warunki pracy na BU-na-Werke były tak ciężkie, że już po kilku dniach Francuzi stanowili gros kolejki do ambulatorium, ustawiającej się pod naszym blokiem po wieczornym apelu. Chcąc poprobować swojej francuszczyzny, kręciłem się między nimi, usiłując nawiązać jakąś rozmowę. Sklepiłem jakieś zdanie ze słów, które pamiętałem, niestety, nic z tego nie rozumieli mimo moich najszczerzych chęci.

– Herr Doktor...! – zwrócił się do mnie nieśmiało jakiś młody Żyd.

131.

Ich bin kein Doktor!1 – odparłem opryskliwie, zły, że nie mogłem dogadać się z nimi po francusku. – Polo-gnes Polonais, comprenez vous?1 ...cholera,..!

– Nu, pan świetnie mówi po francusku! – rzekł uradowany, starając się mi przypochlebić. – Panie kolego! ten stary, co tu ledwo stoi na końcu... On taki chory... To mój znajomy z Paryża... – kontynuował już śmieiej, zobaczywszy, że nie jestem groźny. – Patrz pan, jak on wy-

gląda teraz... Zrób pan coś, żeby on dostał się do doktora...

Ico?

Rzeczywiście, stary ledwie że trzymał się na nogach. Jedno oko miał podzelowane, opuchniętą wargę rozciętą, ostrzyżona głowa nosiła liczne ślady uderzeń kijem. Jutro chyba go wykończą – pomyślałem.

Gdzie on pracuje? – zapytałem, by upewnić się co do swoich domysłów. Po wyglądzie sądząc, byłem przekonany, że pracuje na Bunie. Tam teraz najwięcej biją.

Na Bunie! Razem jesteśmy... Kolego, co tam się dzieje!... – potwierdził młody Żyd, starając się wyczytać z mojej twarzy, czy pomogę im, czy też nie.

Poczekaj, zapytam fertnera – zdecydowałem się pójść poprosić Kazka, od którego zależało wejście na rewir.

Coś ty! Wywiozą go zaraz na schonung! Wystarczy na niego spojrzeć...! Lepiej niech zostanie w komandzie! Ale on pracuje na Bunie! – usiłowałem przekonać Kazka.

To rzeczywiście żadna różnica... czy go tu zagazują, czy tam na Bunie zamordują... A zresztą!... Zapieprzajcie, Tylko musicie go wnieść, bo zaraz inni podniosą Krzyk

Starego tymczasem silniejsi zepchnęli na sam koniec kolejki. Młody Żyd, porozmawiawszy chwilę ze starym, pouczył go, co ma robić. Stary najwidoczniej szybko pojął sedno sprawy, gdyż w moment później osunął się z jękiem na kamienie. Wtedy, przytrzymując starego za ramiona, wnieśliśmy go do przepełnionego ambulatorium, w którym już bez przeszkód ustawili go w kolejce do lekarza

1.Nie' jestem doktorem!

2.Polska Polak, rozumie pan?

132.

Starego przyjęto do szpitala, młody natomiast musiał zadowolić się tanalbiną, środkiem, który przepisywano na ogół każdemu, komu poza początkującą biegunką nic właściwie nie było. Dziękując wylewnie za okazaną staremu pomoc, uściśnął mi mocno rękę.

– Merci beaucoup!1 Dziękuję!... Nazywam się Dawid. Może kiedyś ja będę potrzebował twojej pomocy, to pamiętaj o mnie...!

Jeszcze raz uściśnął moją rękę, po czym wybiegł. W mej dłoni poczułem chłodny krządek metalu. Korytarz był pełen ludzi, więc nie oglądając darowanego mi przedmiotu, wsunąłem zaciśniętą dłoń do kieszeni. Niezmiernie ciekawy, co też mi młody Żyd podarował, pobiegłem do swojej sali, spodziewając się, że będzie o tej porze pusta. Prócz Mariana K. nie było nikogo. Marian leżał na górnym łóżku i pojękiwał żałośnie, gdyż bolały go zęby, których nawiasem mówiąc niewiele mu pozostało. Leżał obrócony do mnie tyłem, z czego skorzystałem, by przyglądać się darowiźnie, zamierzając ją ukryć następnie w swoim łóżku. Zagadując Mariana dla niepoznaki, wsunąłem złoty zegarek pod koce, po czym wyszedłem znowu przed blok, zastanawiając się, co z tym fantem teraz zrobić. Tam nadziałem się na Stessla, który natychmiast znalazł mi robotę przy wydawaniu maści na kratze. Mając stale przed oczyma mój skarb, mechanicznie czerpałem z beczki czarną i gęstą jak smoła maść, nabierając na drewnianą kopy-stkę za duże porcje, z czego skwapliwie korzystali chorzy na świerzb, smarując się do woli. Niedługo beczka została wypróżniona. Teraz ci, którym brakło maści, cisnęli się koło drugiej beczki, z której czerpał Adaś Kuryłowicz, dozując porcje skrupulatnie, tak by starczyło bodaj po trosze dla każdego z potrzebujących. Przez swoją rozrzutność spowodowałem nieopisany bałagan.

– Chłopcze, coś ty zrobił najlepszego...! – powiedział z wyrzutem, broniąc swej beczki przed nacierającymi. Ale i jemu zabrakło wkrótce cennej czarnej maści przeciw świerzbowi, epidemii trudnej do opanowania w warunkach obozowych. Moi pacjenci, wysmarowawszy sobie ciało nadmiernie grubą warstwą czarnej maści, pozostawiając jedynie wolne białe miejsca wokół oczu, wyglądali

1 Bardzo dziękuję!

jak Murzyni piasający w jakimś egzotycznym tańcu. w końcu „biali” rzuciwszy się na „czarnych” zaczęli zdrapywać z nich ciemną, tłustą i kleistą powłokę. Stessel, sto-jąc na schodkach bloku, z wyżyn obserwował całą scenę, Obtarłszy ręce, z niewinną miną usiłowałem wyminąć go. ale w milczeniu zagroził mi drogę. Wymownym gestem podniesionej brody wskazał miejsce przy beczkach, gdzie jeszcze tłamsili się nadzy więźniowie zarażeni świerzmem.

– Przecież brakło maści...! Beczki już puste! – uspra-prawiedliwiałem swoje odejście z posterunku. – Zresztą, co im ta zas...a maść pomoże! – dodałem zły, widząc wycelowane w mój nos palec blokowego. Od dłoni Freda poczułem przyjemny zapach „mitigalu”, złocistego płynu, któ-rego lagrowa apteka posiadała minimalny zapas, jedynego radykalnego środka przeciw świerzbowi, dostępnego tylko nielicznej garstce prominentów. Ponieważ palec Stessla w dalszym ciągu z uporem tkwił przed moją twarzą, zmuszony byłem odwrócić się we wskazanym kierunku. Więźniowie wdziewali brudne i zawszone koszule na wysmarowane ciała, których nie będą teraz myli przez następnych parę dni, aż wszawica i kratze powodują wrzody i ogólne zakażenie całego organizmu. Nie wiedząc, o co mu chodzi, brnąłem dalej, nie omiesz-kając dopowiedzieć coś uszczypliwego pod jego kierun-kiem – „Mitigal” toby im pomógł...! – Przestań się mądrzyć, ty szczeniaku! – syknął, pu-ajac mnie palcem w czoło. – Beczki...! Beczki, durniu, abierz! Bo je całkiem porozbijają! Zepchnięty ze schodów, podskoczyłem do pierwszej z rzegu beczki, w której wewnątrz tkwił jeszcze jakiś spóź-iony nagus, wybierając resztki pozostające na ściankach maści. Druga beczka stała obok, wypucowana niczym ko-ioł po zupie. Wyciągnąwszy nagusa z beczki, potoczyłem bie ku bocznemu wyjściu do bloku. Spieszyłem teraz na salę, do swojego łóżka, gdzie spoczywał mój skarb. Zegarka nie było, Marian też zniknął. A niech go...! Wściekły wpadłem do waschraumu.

Marian! Co to za kawały..! Oddawaj!

Marian uśmiechnął się bezczelnie, szczerząc do mnie zepsute zęby, które nagle przestały mu dokuczać. Wziął mnie pod ramię i mitygując klarował.

– No powiedz, co byś z nim zrobił? Trzymałbyś zegarek w łóżku, aż przy pierwszej okazji znalazłby go... Klehr na przykład... Trafił w sedno. Klehra obawiałem się najbardziej. Ostatnio często robił rewizję na mej sali.

– A ja go cichaczem upłynnię... Wiem nawet gdzie! Będzie żarcie!... Kartofelki, margarynka, kiełbasa... Nie pożałujesz...!

Marian dotrzymał słowa. Przez parę dni czuć było w waschraumie inne zapachy niż dotychczasowy smród flegmon, brudu i durchfalu. Smażyły się kartofelki, placki ziemniaczane, kiełbaska. Dzielono się ze mną solidarnie Mając pełny żołądek, tym milej wspominałem Dawida, który dowiedziawszy się o wywiezieniu swego starego towarzysza do Birkenau, na schonung, unikał rewiru jak ognia. Przekonałem się, że przemycone do obozu złoto ma swoją wartość. Nie dziwiłem się teraz, widząc najzagorzalszych morderców Żydów w towarzystwie przynajmniej jednego „ulubieńca”, przedstawiciela tego wyniszczanego bezkompromisowo narodu. Życie za złoto. Tak długo, póki mógł płacić.

Rozdział XXXVI

Nagle i niespodziewanie zostałem wypisany na lager. Ja i jeszcze kilku innych pflegerów. Podobno w ramach re- dukcji personelu szpitala. Podświadomie przypisywałe winę Stesselowi, chociaż niekoniecznie musiała to być jego robota. Nie lubił mnie, to rzecz jasna. Trudno! Stało się! Skończyły się dobre czasy. Na szczęście wiosna była już w pełni i zrobiło się zupełnie ciepło.

Wypisano mnie na blok 18 A, który zamieszkiwali więźniowie pracujący wyłącznie na Bunie. Niemiła perspektywa po prawie dwuletnim pobycie w ciepłarnianych wprost warunkach rewirowych. Bałem się lagru, a co dopiero mówić o słynnym komandzie Buna. Blok zamieszkiwali prawie wyłącznie Żydzi francuscy. Blokowym był zwariowany niemiecki kryminalista, krzykliwy, złośliwy, o sadystycznych upodobaniach. Sztubowi, Polacy i Żydzi, prześcigali się nawzajem w spełnianiu wszelkich życzeń swego władcy. Tej nocy prawie wcale nie spałem. Gryzły i mnie pchły i oblażyły roje wszy. Tyfus murowany. Obóz

135.

jeszcze spał, gdy wygnano nas z bloku na dwór, gdzie formowały się kolumny do wymarszu na Bunę. Stałem w pierwszej lepszej grupie wśród Żydów z bloku 18. Mu-siałałem wyróżniać się wśród pozostałych, bo zaraz do-strzegł mnie oberkapo Pressen.

- Co ty tu robisz wśród tych muzułmanów? - zapytał niezmiernie zdziwiony, bo jeszcze wczoraj widział mnie na rewirze

- Co, wywalili cię ze szpitala? - rzekł ubawiony. - Nie martw się! U mnie nie zginiesz... Do łopaty też cię nie pošlę.. Na początek dam ci małe komando, będziesz vorar-beiterem!

Żadna perspektywa, pomyślałem. Bunę dobrze znałem z opowiadań. Kapowie, esesmani, nawet vorarbeiterzy wy-kańczają tam ludzi na potęgę.

Lepiej postaraj mi się o jakąś lekką pracę... może kommandopflegera...? - zaproponowałem nieśmiało. - Ja nie znam niemieckiego...! - dorzuciłem, dając mu do zro-zumienia, że nie chcę być żadnym vorarbeiterem.

,Dobra, dobra! - zbył mnie, bo spieszył się. - Póź-niej coś się znajdzie odpowiedniego... Tu nie jest tak źle, jeszcze jak się ma takich protektorów jak ja! - mówiąc to wskazał dumnie na siebie trzymanym w rękę kijem. - Jaki jest twój numer? - pognał zapisując w biegu, bo ko-mando już ruszyło. - Links, links und links... - podawał krok maszerującym kolumnom, idąc w takt tych pokrzyki-wań gdyż orkiestry jeszcze nie było, tak wcześniej wycho-dziliśmy do pracy.

Na bocznicę kolejowej w pobliżu dworca stał już przy-gotowany pociąg towarowy, do którego nas załadowano, a po kilku minutach jazdy wysiedliśmy na małym przysta-unku we wsi Dwory. Arhoitskommando formieren! - zarządził kom-mandofuhrer, wysoki, o długim haczykowatym nosie scharfuhrer, nazwany przez więźniów „Sową”. Na tę ko-mendę Jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki, dwatysiące' ludzi ustawiło się karnie w szeregach. Tylko ja nie wiedziałem, gdzie mam się podziać. Większe i mniejsze grupy więźniów z przydzielonymi postami opuszczały kolejno obszerną łąkę, skierowując się na ulicę biegnącą wzdłuż wsi w takt jednostajnych okrzyków kapów i vor-srbeiterów - Links, links und links!...

Na łące pozostało zaledwie kilkadziesiąciu najgorzej

136.

wyglądających więźniów, kilku postów i ja. Wtedy dopiero Pressen przypomniał sobie o mnie.

- Eee, ty, pfleger! Chodź no tu! - przywołał mnie do siebie władczo. Obok sterczał „Sowa” z nieprzyjemną twarzą Mefista. Oberkapo przydzielił mi dziesięciu ludzi, kommandofuhrer zaś dwóch esesmanów, poinformowawszy ich uprzednio, gdzie mamy się udać na nasze miejsce pracy. Zostałem więc vorarbeiterem już w pierwszym dniu mego pobytu na groźnym komandzie Buna-Werke. Idąc obok dwóch piątek francuskich Żydów, teraz ja podawałem krok „links und links”.

Maszerowaliśmy przez długą wieś w tumanach kurzu wzniesionych przez setki idących przed nami więźniów. Przed nami szła dziarsko jakaś niewielka kolumna śpiewając Liebe Lola. Przed jednym z domostw stała na werandzie może piętnastoletnia dziewczynka pozdrawiająca dyskretnie idących. Na końcu wsi zakurzona droga rozgałęziała się w dwu kierunkach. Większość kolumn poszła w górę na lewo, my udaliśmy się w prawo za esesmanami, którzy wskazali nam drogę. Jeden z postów zagadnął mnie o coś, ale nie zrozumiałem go. Z Francuzami też nie mogłem się dogadać. Niedobrze! - pomyślałem sobie. - Jak ja będę się z nimi porozumiewał?

Przeskakując przez rozkopane pola, doszliśmy do nowo wybudowanej szosy o dużym nasileniu ruchu. Auta, wozy, rowery, piesi. Wszystko to zdążyło na wielki plac

budowy, jakim była Buna. Zatrzymaliśmy się przed rozłożystą wierzbą, pod którą stała wielka skrzynia z narzędziami, o czym przekonaliśmy się zaraz po jej otwarciu przez jakiegoś cywila, prawdopodobnie majstra. Ten przyjrząwszy mi się bacznie, zapytał po polsku:

– A gdzie tamten vorarbeiter się podział? Ciągłe przy- prowadzają mi nowych... Jak tu pracować! – narzekał, wydając narzędzia pracy. Potem już spokojnie wytłuma czył mi, co mamy robić.

– Obok szosy buduje się specjalną drogę dla rowerzy-stów. Tam, gdzie zaznaczono prostą linię słupkami i roz piętymi między nimi sznurami, mamy niwelować teren usuwając zeń wszelkie nierówności, których jest sporo, a zwłaszcza wystających korzeni drzew rosnących wzdłuż szosy. Tu, do tego miejsca, ma być dzisiaj zrobione! Ver- standen?! Wymierzony odcinek drogi nie był zbyt odległy, rów-

137.

nież praca na nim nie była wyczerpująca, tym bardziej że przydzieleni do pilnowania nas esesmani zachowywali się przywoicie. Żydzi rozdzielwszy między siebie łopaty i ki- fy zabrali się ochoczo do pracy, z góry wiedząc, co który ma robić. Najwidoczniej pracowali tu już poprzednio, co ułatwiało całą sprawę. Majster, widąc upewniony, że ro- bota idzie składnie, wsiadł na rower i odjechał. Słońce za- czeło przygrzewać, toteż posteni stanęli sobie w cieniu drzewa, obojętnie przypatrując się pracującym więźniom. Zacząłem się po prostu nudzić. Z nudów, nie wiedząc, co z sobą począć, zabrałem się do karczowania wystają- cych z ziemi korzeni. Mijały godziny, robiło się coraz gorę- cej więźniowie pracowali teraz ospale, a ja oparłszy się na kilofie udawałem, że odpoczywam, obserwując uważnie szosę, która mnie nagle zainteresowała. Moją uwagę zwró- ła jakaś młoda kobieta, która już parę razy przejeżdżała szosą tam i z powrotem w krótkich odstępach czasu. Uje- chawszy za ostatnim razem może z pięćdziesiąt metrów, zsiadła z roweru, po czym zawróciła prowadząc go skra- jem jezdni. Zatrzymawszy się niedaleko od nas, udając, że coś reperuje przy rowerze, sprytnie podrzuciła zawiniątko, dotychczas ukryte w koszyku, pod pień drzewa. Teraz wsiadła znowu na rower, powoli, nie spiesząc się, minęła postów wesoło ją zaczepiających, a przejeżdżając koło mnie przypatrywała mi się wyzywająco. Skinąłem niezna- cznie głową na znak, że domyślam się jej intencji. Odpo- wiedziała skinieniem, po czym nacisnęła mocno pedały i tyle ją widziałem.

Zanawiałem się teraz, jak dojść do drzewa, nie zwróciwszy na siebie uwagi postów. Tymczasem właśnie oni sami wybawili mnie z kłopotu. Esesmani wszystko wi- dzieli i czekali tylko momentu, kiedy kobieta dostatecznie się oddali. Rozglądnąwszy się bacznie wokoło, natych- miast skierowli się ku drzewu, pod którym leżała pacz- ka. Rozwinąwszy ją, zbadali jej zawartość, po czym jeden z nich zawołałszy mnie, zwrócił się do mnie tymi słowa- mi:

iss das schnell, aberpass aufob der Kommandofuh-unl
na brak apetytu nie mogłem narzekać. Chleb przeło-

1.zjedz to szybko, ale uważaj, czy nie idzie kommandofuhrer!

138.

żony słoniną opchnąłem raz dwa, dziękując w myślach kobiecie, która nie bała się podłożyć paczki pod okiem esesmanów. Wnioskowałem z jej zachowania, że ten ryzykowny bądź co bądź proceder uprawiała nader często. Musiała widać znać dobrze mojego poprzednika i z myślą o nim podłożyła paczkę z jedzeniem,

zastanawiając się długo, czy warto poświęcić ją dla mnie. Esesmani, wyciągnawszy swoje śniadania, zajęci byli teraz jedzeniem i nie zwracali w ogóle uwagi na więźniów markujących jedynie pracę, a czekających z niecierpliwością na przerwę południową i upragniony obiad. Pałace promienie słońca wskazały w końcu, że jest już południe. Jeden z postów spojrzawszy na zegarek zarządził przerwę.

– Mittagessen!

Na obiad zaprowadzili nas do jakichś warsztatów i kotłowni, dziesięć minut drogi od naszego miejsca pracy. Kilka komand było już po obiedzie. Większość więźniów odpoczywała, inni szorowali piaskiem swoje miski. Obiad rozdzielał oberkapo Jupp, chudy wysoki i nad wyraz krzykliwy. Ze stojących w kolejce po obiad Żydów przynajmniej co drugi musiał oberwać od niego chochlą po głowie. Porcje wydzielał tak, by starczyło na dolewkę dla kilku wybrańców losu, a przede wszystkim dla funkcyjnych. Ja także dostałem „repetę”, chociaż mniejszą. Żydom pozostawiono do oblizania kotły po zupie. Zgłodniali, rzucili się na nie na wyścigi, wydzierając je sobie nawzajem, z czego oczywiście skorzystał Jupp, bijąc zwaśnionych ku ogólnej radości przypatrujących się tej scenie esesmanów. Przerwa obiadowa trwała krótko. Nasi konwojenci, tak spokojni przed południem, teraz, natychmiast po rozpo- i części roboty, zaczęli gwałtownie popędzać Żydów do wy- J tężonej pracy.

– Los, los! Arbeiten, ihr verfluchte Juden! Bewegt! euch!!

Z daleka zobaczyłem „Sowę” zbliżającego się na rowe-rze. Zatrzymał się na szosie, nie schodząc z roweru. Wysłał chawszy meldunku esesmanów, zapytał o vorarbeitera. W podskokach zbliżyłem się do niego, po czym, stuknąwszy obcasami, meldowałem:

1 Już! Już! Pracować, przekłęci Żydzi! Ruszajcie się!

139.

– Kommando Strassenbau mit zehn Haftlingen bei der Arbeit!!

Wyszło mi to dobrze, bo spojrzawszy na mnie życzliwie, powiedział:

– Ja... ist gut... Bist du der neue Vorarbeiter?2 – zapytał nagle i nie czekając odpowiedzi ruszył dalej, krzyknąwszy jeszcze na stojących w postawie na baczność Żydów.

– Weiter machen!

Nie jest tak źle na tych aussenkommandach – pomyślałem sobie Słońce chyliło się ku horyzontowi, gdy zarządzono ko-niec pracy. Zjawił się też w porę majster, by zamknąć w skrzyni oczyszczone narzędzia. Na odchodnym sprawdził jeszcze, ile zdążyliśmy zrobić. Z niezadowoleniem stwierdził, że to stanowczo za mało. Za tamtego vorarbeitera to samo komando robiło dwa razy tyle! Musisz pędzić do roboty tych leniwych Żydów, a jak nie, to zamelduj kommandofuhrerowi, że się tu objacie! Firma za waszą robotę płaci ciężkie pieniądze! verstanden?!

Wracaliśmy także przez wieś. Na skrzyżowaniu zrobił Hsie znowu tłok. Oberkapo Pressen dyrygował ruchem for-mując kolumny. Kapowie skandowali: – Links und links! Kapo Jupp skrzeczał: – Bin Lied! – Ktoś zaintonował ImLager Auschwitz war ich zwar... Kurz wznosił się okropny w gardle zasychało, chciało się pić. Niemal w każdym komandzie niesiono zmarłych, pobitych, wyczerpanych. Ludzie dyskretnie wyglądali zza chałup. Na werandzie dom-ku stała dziewczynka. Jedno z komand śpiewało wesoło libeWanda. Apel odbył się na łące. Trwał długo, bo czekaliśmy na jakieś spóźnione komando. Przybiegli wreszcie zziajani, wlokąc za sobą trupa. Teraz można było wchodzić kolejno, setkami, do podstawionych wagonów. Sowa" dał rozkaz odjazdu. Bramę obozu przekraczaliśmy przy światłach reflektorów. Natychmiast po kolacji blokowy zarządził lausekontrolle Trwało to do późnej nocy. Na mycie się nie było czasu Przez sen czułem, jak oblażą mnie wszy.

1. Komando Strassenbau z dziesięcioma więźniami przy pracy

2. Tak dobrze... Jesteś nowym vorarbeiterem?

140.

Rozdział XXXVII

Piekielna pobudka wyrwała mnie z głębokiego snu. Na dworze było jeszcze szaro.

Niebo zapalało się dopiero łuną wschodzącego słońca. Pobieżne mycie, kawa zamiast śniadania, wymarsz na dworzec, jazda pociągiem. Mimo że do Dworów było zaledwie parę kilometrów, dzisiejsza podróż trwała blisko półtorej godziny. Przepuszczaliśmy wielkie transporty wojsk i broni wszelkiego kalibru, udające się do odległych frontów. Do Dworów dojechaliśmy ze znacznym opóźnieniem, toteż arbeitskommando odbyło się w przyspieszonym tempie i dość chaotycznie. Może właśnie to było powodem, że dostaliśmy tego dnia innych konwojentów. Ucieszyłem się stwierdziwszy, że jeden z nich mówił po polsku. Ale on właśnie okazał się skończonym draniem. Dał tego dowody zaraz po rozpoczęciu pracy. Wystraszonych Żydów gonił zaciekle do roboty, wyzywał, bił i kopał, dobrał się nawet do mnie. – Jak nie umiesz być vorarbeiterem, to pracuj tak jak oni! – powiedział wściekły, widząc, że zamiast interesować się pracą, wpatrywałem się w szosę, spodziewając się ujrzeć kobietę, która wczoraj podłożyła jedzenie. Do pracy fizycznej przywykłem, umiałem zresztą pozorować robotę tak, że wydawało się, iż robię to rzetelnie, w przeciwieństwie do nowicjuszy dających z siebie wszystko, tracących ostatnie siły, by tylko uniknąć znęcania się nad nimi. W tym wypadku niewiele im to pomogło. Majster chciał nadgonić stracony czas, popędzał więc, a esesmani korzy-stali z każdej okazji, by komuś dołożyć. Tymczasem uka-zała się na rowerze oczekiwana kobieta. Podobnie jak po-przedniego dnia przejechała parę razy, bacznie przypatru-jąc się pracującym i rozwścieczonym esesmanom. Zorien-towawszy się, że jest tu coś nie w porządku, tym bardziej że i ja pracowałem, zdając się jej nie widzieć, odjechała, rezygnując z podrzucenia paczki. Esesmani szaleli, słońce nielitościwie grzało, głód dokuczał, czas jakby stanął, nie można było doczekać się przerwy obiadowej. Na obiad po-pędzali nas biegiem. Tak samo było w drodze powrotnej,! W wydrażonej dziupli wierzby, w miejscu gdzie złożyliśmy! narzędzia idąc na obiad, leżało zawiniątko. Podłożyła je jednak w czasie naszej nieobecności. Więźniowie zabrali narzędzia, ja zaś guzdrałem się dłużej, usiłując się dobrać

141.

do paczki. Esesman, ten właśnie znający polski, dostrzegłszy że coś tam manipuluję, w jednej chwili był już przy mnie

- Co ty tam robisz! Zeig mai das! Was...?! – wrzas-nął wyrwaszy mi z ręki chleb, bijąc mnie po twarzy. Żydzi zdziwieni, że esesman bije vorarbeitera, gapili się zapominając o pracy. Wtedy wkroczył do akcji drugi esesman. Bił po kolei wszystkich, nie przepuszczając nikomu. Upatrzył sobie w końcu jedną ofiarę, znęcając się nad nią, dopóki nie padła na ziemię. Jeden Żyd podbiegł do leżącego starając się go podnieść, ale to znowu doprowadziło do pasji esesmana, który mnie oprawiał. Pozostawiwszy mnie własnemu losowi, jednym skokiem znalazł się przy więźniu udzielającym pomocy swojemu koledze i kopnął go z całej siły w pośladek. Kopnięty zatoczył się i straciwszy równowagę, pociągnął za sobą tego, którego usiłował podnieść. Nagle esesmanom zrobiło się wesoło. Żydzi, gramoląc się niezgrabnie, podnieśli się z klęczek. Jeden z nich, będąc jeszcze na kolanach, rozglądał się za czapką, która spadła mu z głowy jeszcze w czasie bijatyki i potoczyła się pod nogi esesmana. Zobaczywszy ją w końcu u stóp posta, podczołgał się, by ją podnieść, na co esesman zdawał się tylko czekać. Gdy więzień wyciągnął już rękę, żeby ją zabrać złośliwy posten kopnął ją butem, tak że odleciała parę metrów dalej. Wtedy więzień powstał z klęczek, otrzepał się z ziemi i najspokojniej w świecie, jakby nic się nie stało, odszedł do swojej pracy, odszukawszy przedtem swoją łopatę. Tymczasem drugi esesman, zabawiając się czapką

jak piłką, wykopał ją daleko w żyto.

Wf/o ist deine Miitze? 2 – spytał teraz grzecznie drugi esesman, podchodząc do pracującego i szturchając go lekko kolbą karabina. Francuz nie rozumiał pytania lub udawał że nie wie, o co mu chodzi. Na wszelki wypadek odpowiedział coś w swoim języku, pokazując przy tym na migi to słońce, to na swoją głowę – co wyglądało komicznie że brak czapki wcale mu nie przeszkadza pracować, a słońca| się nie boi. Esesman jednak z uporem, aczkolwiek w dalszym ciągu grzecznie, namawiał Żyda, wskazując przy tym lufą karabina kierunek, w którym ma się udać.

1. Pokaż no to! Co...?!
2. Gdzie twoja czapka?

142.

– Geh und bring deine Mtitze...!1 – powtarzał z uporem i widać było, że ostatkiem hamuje wzbierającą w nim złość. Więzień przeczuwając coś złego ociągał się, ale zobaczywszy nagłą zmianę w usposobieniu esesmana i gotową do uderzenia kolbę jego karabinu, spełnił rozkaz idąc we wskazanym kierunku. – Weiter...! Weiter...! – nalegał gorączkowo esesman.

Znalazł. W momencie gdy już trzymał zgubę w ręce i miał zawrócić, rozległ się strzał. Jeden, potem drugi. Więzień zwałił się jak rażony piorunem. W miejscu gdzie upadł, trzepotały jeszcze przez chwilę konwulsyjnie ręce postrzelonego, ale w końcu zapadły w zieleń młodego żyta. Na odgłos wystrzałów oszołomieni więźniowie przestali pracować. Nawet ten drugi posten wydawał się zaskoczony – Hast du gesehen? – zwrócił się doń strzelający. – Der verfluchte Jude wolte weglaufen!2 – wyjaśnił zwięźle całą sprawę.

– Was guckst du! – wrzasnął na mnie. – Arbeiten!... Ich werde euch helfen! – zwrócił się teraz do wszystkich, waląc przy tym najbliższej stojącego więźnia. – Aber los! Ihr judische Bande!3

Od strony szosy rozległ się tętent kopyt. W naszą stronę galopował na koniu elegancki oficer SS, zwabiony najwi-doczniej strzałami. Pracowaliśmy teraz ze zdwojoną energią. Esesmani wyprężyli się jak struny.

– Heil Hitler! Was ist hier los?A – zapytał wstrzyma-wszy spienionego konia. Esesman, ten właśnie, który zastrzelił przed chwilą więźnia, zdawał mu relację o wypadku. Grabner, szef Politische – pamiętałem go dobrze – spokojnie wysłuchał opowiadania, po czym głośno zwrócił się w naszą stronę z zapytaniem:

– Wer ist Kapo?5 – Ponieważ nikt się nie ruszył, posten szybko skinął na mnie.

1 Idź przynieś swoją czapkę...!

2 Widziałeś? Przeklęty Żyd chciał uciec!

3 Co się patrzysz!... Pracować!... Ja wam pomogę!... Ale już Wy, żydowska zgrajo!

4 Co się tu dzieje?

5 Kto tu jest kapo?

143.

– Vorarbeiter! Komm hier!1

Stanąwszy na baczność recytowałem wyuczoną formułkę:

– Schutzhaftling zweihundertneunzig meldet gehor-un Strassenbaukommando mit neun Haftlingen bei der arbeit! Einer ist erschossen!2

Was? – wyraził Grabner wielkie zdziwienie. – Nicht erschossen, Vorarbeiter... – dodał wyrozumiale. – Er ist aber auf der Flucht erschossen! Verstanden?!3

– Jawohl – powtórzyłem za nim posłusznie – auf der flucht erschossen...

Grabner, skinąwszy z zadowoleniem głową, poprawił się w siodle i rzekłszy: – Weiter machen! – uważał całą sprawę za zakończoną. Wspiąwszy konia, trzepnął go pejcem

i pogalopował, żegnany przez postów hitlerowskim podniesieniem rąk i okrzykiem:–Heil Hitler!

W niespełna pięć minut potem nadjechał „Sowa” z dwoma jeszcze esesmanami. Odbyły się oględziny i spisanie raportu z przebiegu „ucieczki”. Dla formalności zapytano mnie też jako vorarbeitera o przebieg wydarzeń.

W odpowiedzi pomagał mi skwapliwie posten znajdujący się obok, ten mówiący po polsku, jakby obawiał się, że mogę znowu coś pokręcić. Próżne obawy! Po „nauce” Grabnera szefa Politische Abteilung, nic innego nie ośmieliłbym się powiedzieć na temat „ucieczki” zuchwałego więźnia Nicht erschossen, sondern auf der Flucht ersch-

Rozdział XXXVIII

Zmieniłem komando, oberkapo Pressen przydzielił mnie do dużego komanda kapo Z...skiego. Ponieważ po

1. Vorarbeiten! Chodź tu!

2. więzień dwieście dziewięćdziesiąt melduje posłusznie ko-mando S trassenbau, złożone z dziesięciu więźniów, przy pracy! jeden zastrzelony

3. Nie zastrzelony, vorarbeiter... On został przecież zastrzelony w czasie ucieczki! Zrozumiano?!

4. Nie zastrzelony, lecz zastrzelony w czasie ucieczki...!

144.

ostatnim doświadczeniu za żadną cenę nie chciałem być nadal vorarbeiterem, zostałem – na moje usilne prośby – kommandoschreiberem. Taka funkcja najbardziej mi odpowiadała. Jako „pisarz” nie byłem odpowiedzialny za pracę komanda – to należało do kapów i unterkapów, których w tym komandzie było dwóch, wdrożonych do tego rodzaju funkcji, sprawujących ją według starych i utartych zasad obozowych, kijem i pięścią – odpowiadałem jedynie za stan liczebny komanda, prowadząc ścisłą ewidencję zatrudnionych w nim ludzi.

Kapo nie był z tych najgorszych, niemniej miewał swoje humory, a wtedy stawał się dokuczliwy. Jako były podoficer wprowadził w komandzie dryl wojskowy. Biada temu, kto nie chciał się do tego dostosować.

Osiemdziesięciu Żydów francuskich wchodzących w skład komanda pracowało ciężko przy robotach ziemnych, kopiać głębokie, okrągłe doły pod fundamenty przyszłych chłodni czy zbiorników na wodę. Ponieważ praca schreibera była prawie żadna, przeto żeby coś robić, a nie iść do łopaty, przepisywałem tam i z powrotem listę zatrudnionych w komandzie. Gdy tylko zauważyłem zbliżającego się kommandofuhrera „Sowę”, stawałem się najbardziej zajęty. Przechodziłem od więźnia do więźnia sprawdzając dokładnie ich numery, skrupulatnie wpisywałem je w notesie – nie wiadomo już który raz z rzędu – robiąc to z taką manifestacją, jakbym spełniał jakąś nieodzowną funkcję. Zaintrygowany tym esesman zapytał raz mojego kapo, co też ja takiego robię.

– Das ist mein Kommandoschreiber! – odpowiedział poważnie kapo, po czym dodał chępliwie: – Bei mir mus alles in Ordnung sein!1

– Ach, so...!2 – odparł „Sowa” nieco zdziwiony, ale i nie mający nic do zakwestionowania w tej nowej roli jaką mi przyszło spełniać. W ten sposób moja funkcja eta -towego nieroba została niejako oficjalnie uznana zanieodzowną. Obiad jadaliśmy na sporej łące, opodal wznoszącego od niedawna obozu monowickiego z jednej strony, po przeciwnej zaś stronie rósł mały zagajnik akacjowy. W tym

1 To jest mój pisarz komanda!... U mnie musi być wszystko w porządku!

2 Ach, tak...!?

145.

własnie zagajniku został postrzelony podczas przerwy obiadowej jeden z więźniów z naszego komanda. Był nim bardzo tęgi Żyd z transportu francuskiego, przybyłego niedawno do Oświęcimia. Wnosiłem stąd, że nie bardzo orientował się jeszcze w stosunkach panujących w obozie, a w szczególności na komandzie Buna-Werke. Jak to się stało, że oddalił się nie zauważony przez nikogo z więźniów odpoczywających po obiedzie, trudno było teraz dociec. W każdym razie był już w tym zagajniku, kiedy dostrzegł go jeden z postów, oddając doń jedyny, ale celny strzał. Kula trafiła więźnia w brzuch, przechodząc jedynie przez grubą fałdę tłuszczu, nie wyrządziwszy mu większej szkody. Postrzelony zawrócił do komanda, jak gdyby nic się nie stało. Esesman sądząc widocznie, że spudłował, uspokoił swe swoje sumienie zamierzonym ewentualnym tłumaczeniem, jeśli doszłoby do tego, iż strzelił dla postrachu, po czym więzień wycofał się do swoich. Tak czy owak wszystko byłoby w porządku, i może cała przygoda na tym by

się skończyła, gdyby przypadkowo świadkiem tego zajścia nie był „Sowa”. Bez trudu wyszukał rannego, odznaczającego się otyłością Żyda, obejrzał nie bez zdziwienia jego postrzelony, bez śladu krwi brzuch, pogadał na uboczu z postami i oberkapo Juppem, po czym zarządził koniec przerwy i wymarsz do pracy, udając się wraz z nami. Żyd zaczął pracować normalnie, spostrzegłszy jednak, że jest obserwowany, nawet zdwoił tempo. Po pewnym czasie przywołał go do siebie „Sowa”, nie mogąc się jednak się z nim dogadać, krzyknął na dolmetschera. Tłumaczem był David, ten sam, którego poznałem parę miesięcy temu pod rewirem. Dzięki znajomości języka polskiego i niemieckiego sprytowi i odrobinie szczęścia uchwycił się na Bunie jako jeden z nielicznych Żydów będących w łaskach u kapów Dawidowi powierzono teraz ciężkie i nieprzyjemne zadanie do spełnienia. Ni mniej, ni więcej miał wytłumaczyć swemu rannemu ziomkowi, że skoro już raz próbował samobójstwa (bo wiadomo już było, że wcale nie usiłował ucieczki, tylko szukał śmierci – tak przynajmniej się tłumaczył), nie pozostaje mu nic innego do zrobienia, jak tylko powtórzyć to, co już raz uczynił. Teraz jednak, skoro uniknął śmierci, nie miał zamiaru dać się zastrzelić. Chciał żyć, co zadokumentował zdwojoną pracą, która widać nie znalazła uznania w oczach esesmanów,

146.

gdyż zaczęli go okładać kijami. W końcu zdeterminowany, nie widząc wyjścia, wybrał jeszcze raz śmierć. Zmasakrowany oddalał się chwiejnym krokiem, wtuliwszy głowę w potężne ramiona. Nie uszedł daleko. Tym razem strzał położył kres jego życiu. „Sowa”, badając nogą, czy aby jeszcze żyje, kazał spisać protokół, po czym spokojnie odjechał rowerem podstawionym mu przez Dawida.

Wracając wieczorem do obozu i będąc już w towarowym wagonie, kapo starym zwyczajem podsunął obute nogi pod nos Dawidowi, żeby je wyczyścić. Dawid dotychczas robił to posłusznie, ale po dzisiejszym wypadku zbuntował się. Spojrzał z taką nienawiścią w twarz kapo, że ten zdumiony zdołał zareagować jedynie wykrzyknikiem: – , Oooo...!?! – Gdy po chwili ochłonął z wrażenia, obojętnie podstawiał buty pierwszemu z brzegu więźniowi. Do czyszczenia zabrano się równocześnie kilku. Kopniakami odsunął natrętów, wybierając najgorliwszego, starającego się już od dawna zaskarbić łaski kapo i przejąć dobrą posadę Dawida. Nim dojechaliśmy do Oświęcimia, buty kapo lśniły jak nigdy dotychczas. Dawid musiał zmienić komando. Ja uczyniłem to samo, mimo że przecież nie miałem źle.

Rozdział XXXIX

Na Bunie utworzono nowe komando, pracujące we wsi Monowice. Składało się wyłącznie z samych Żydów, nie licząc dwóch Niemców, sprawujących tam funkcje unter-J kapo i vorarbeitiera. Ponieważ oberkapo Jupp spodziewał się pewnych osobistych korzyści z tego komanda, pracującego w pobliskiej wsi wśród ludności polskiej, współczującej więźniom i pomagającej im w miarę możliwości, przeto i uważał, że dobrze będzie mieć tu Polaka, starego więźnia, jako przynętę, a zarazem jedyne łącznika między miesz-kańcami wsi a więźniami obcego pochodzenia. Wybór padł na mnie, co zresztą było inspirowane przez oberkapo Pres-sna, bowiem i on liczył na ewentualną wdzięczność z mojej strony. Sprawę postawili jasno, bez owijania w bawełny Jako jedyny Polak, na pewno będę wspomagany przez okoliczną ludność, w zamian zaś za dobre komando będę im oddawał co lepsze kęsy z tego, co sam otrzymam. Będę „pisarzem”, więc nie muszę pracować, mam tylko starać

147.

się o żywność. Dwaj funkcyjni Niemcy zostaną uprzedzeni o mojej roli, jak i posteni, których już odpowiednio nastawi oberkapo Jupp. Im oczywiście też trzeba będzie starać się dogodzić.

Tak więc wszystko było z góry wyreżyserowane. Poszedłem do komanda na zasadzie „wabia”. Mój niski numer obozowy i czerwony trójkąt z literą „P” pośrodku miały skruszyć i tak już miękkie serca pobliskiej ludności wysiedlanej wsi Monowice.

Podczas arbeitskommando, kiedy „Sowa” wykrzyknął: Ahbruchkommando Monowitz, antreten! – stałem już w pierwszym szeregu obok unterkapo i vorarbeitera, przypatrując się z niemałym zdziwieniem, jak trzech esesmanów spośród całej kompanii rwało do nas na wyścigi, aby czasem nie ubiegł ich kto inny. Maszerując inną drogą niż wszyscy, Jupp wdał się z nimi w pogawędkę jak ze starymi przyjaciółmi. Musieli rozmawiać o mnie, bo czułem ich badawcze spojrzenia, które nie wydawały się wrogie.

Do Monowic był spory kawał. Część drogi prowadziła wzdłuż toru kolejowego trasy Oświęcim-Skawina, później wdarliśmy się na wysoką skarpe, by po przejściu kilkuset metrów polami pełnymi różnych rozkopów dojść do pierwszych zabudowań wsi.

Wieś rozciągała się po obu stronach wąwozu, pośrodku którego biegła droga donikąd, gdyż kończyła się pod zwałami ziemi, dowożonej aż tu wąskotorówką z placu budowy wielkich zakładów i tu wysypywanej. Kilka zabudowań znajdujących się po lewej stronie rozległej wsi było już rozebranych, został jedynie na samym skraju wsi murowany budynek, do którego zdążaliśmy.

Dom stał pusty, widać mieszkańcy musieli go już opuścić, bo przeznaczony był jak wszystkie do rozbiórki.

W jednym z pomieszczeń znajdował się skład narzędzi pracy naszego komanda: łomy, kilofy, łopaty, ciężkie młoty itp. Rozdawszy je ludziom, kapowie poprowadzili ich do dużej stodoły częściowo już rozebranej. Krzykliwy i złośliwy zazwyczaj Jupp był cichy i łagodny jak baranek.

Esesmani nie zainteresowani pracą więźniów udali się na swoje posterunki, oddając się błogiej drzemce. Wykorzystali to oczywiście więźniowie, markując pracę, rozglądając się co by zdobyć do jedzenia. Już od dłuższego czasu kręciłem się w pobliżu samotnie stojącego domu, zauważyłem tam bowiem młodą dziewcz-

148.

czynę, która już parokrotnie wstępowała do ogródka warzywnego po jarzyny. Ośmielony obojętnym zachowaniem się postów – ogródek znajdował się poza linią strzeżoną przez esesmanów – podszedłem do niej, witając ją zwykłym „dzień dobry”, na co odpowiedziała miłym uśmiechem, ukazując zdrowe, białe zęby... i tak w ten prosty sposób nawiązałem pierwszą znajomość po dwuletnim przeszło pobycie w obozie koncentracyjnym z osobą spoza kordonu.

Dziewczyna była młoda, miła, ładna i nieśmiała. Podobała mi się. Ja przypadłem jej chyba też do gustu, albo też litowała się nade mną, nie dając mi jednak tego odczuć, gdyż przychodziła od tej pory często, zawsze przynosząc w koszyczku coś do jedzenia. Koszyczek podkładała w piwnicy opuszczonego domu, kryjąc się z tym przed esesmanami i kapami. Po jakimś czasie zorientowała się, że darów nie zjadam sam, tylko dzielę się z Niemcami. Musiałem jej szczerze powiedzieć, na jakich warunkach zostałem przyjęty do komanda. Okazała chyba zrozumienie, bo od tej pory przynosiła jeszcze większe ilości jedzenia.

Esesmani na ogół dotrzymywali słowa. Wypełniali swój obowiązek pilnowania nas drzemiąc po krzakach lub stodołach, ożywiając się jedynie w momentach, gdy wizytował nas kommandofuhrer. Z czasem nauczyli się zdobywać jedzenie sami, na własną rękę. Mieszkańcy wsi płacili haracz dobrowolnie, widząc, że w stosunku do nas zachowują się przyzwoicie. Czasem jakiś nowicjusz, żeby wyłudzić jedzenie, uciekał się do szantażu, strasząc upatrzonego gospodarza natychmiastową rozbiórką jego domu. Jeśli taki wypadek zaistniał, donoszono o tym mnie, a ja z kolei powiadamiałem jednego z postów, rottenfuhrera chodzącego stale z naszym komandem, wyjątkowo przy zwoitego esesmana, który sprawę załatwiał krótko, dobie-rając następnym razem innego posta.

Od pewnego też czasu oberkapo Jupp opuścił nasze ko-mando, pilnując jednak, by należny mu haracz spłacać re-gularnie w obozie, dokąd przemycałem go przy pomocy więźniów przyuczonych do tego rodzaju sztuczek. Część tego szmuglu dostarczałem na rewir na ręce Gienka Oboj-skiego, część oddawałem kąpielowym z bloku 28,

rewan-żując się im za umożliwienie korzystania z ciepłej wody i czystej bielizny, zmienianej bardzo często ze względu na stałe spotkanie się z ludźmi spoza obozu, którym możni!

149.

było łatwo przynieść wszy obozowe zakażone tyfusem. Do dbałości o mój wygląd przyczyniła się też znajomość z młodą dziewczyną, z którą spędzałem nieraz długie chwile w ciemnej piwnicy, co stało się powodem niewybrednych docinków ze strony kapo i esesmanów, nie mających zresztą żadnych podstaw ku temu, bo dotychczas nawet jej nie tknąłem. Dziewczyna słysząc te aluzje pasowała i wstydliwie umykała. Pewnego dnia, gdy siedziałem z nią w piwnicy i miałem zamiar po raz pierwszy ją pocałować, zostałem wywołany umówionym sygnałem, co oznaczało, że nadjeżdża kommandofuhrer „Sowa”. Obejrawszy postępy prac rozbiórkowych, wyraził wielkie zdziwienie, że pozostawiliśmy nietknięty dom, który powinien być już dawno rozebrany, tym bardziej że zbliżało się doń wysypisko, grożące zasypaniem ziemią przywożoną z placu budowy fabryki. Kapo starał się fakt ten usprawiedliwić tłumacząc się mętnie, że dom służy nam za magazyn sprzętu. „Sowa” kazał sprzęt przenieść w głąb wsi, a budynek zacząć natychmiast rozbierać. Na szczęście nie zajrzał do piwnicy, bo znalazłby tam wystraszoną dziewczynę z koszykiem pełnym naczyń po obiedzie. Cegła po cegle rozbieraliśmy dom naszej młodej karmicielki dom, w którym się urodziła i wychowała, dom w którym po kryjomu spędziła wiele godzin z więźniem obozu koncentracyjnego na niewinnym flircie, może pierwszym w jej młodym życiu. Teraz oparta o parkan po-płakiwała cichutko, a ja z furją darłem kilofem cegły, usiłując pokryć wzruszenie.

Wieczorem domu już nie było. Za parę dni jego resztki przysypią zwały ziemi. Dziewczyna też znikła. Od tej pory więcej jej nie zobaczyłem.

Rozdział XL

Przenieśliśmy się do środka wsi. Tu poznałem nowych ludzi a w szczególności rodzinę Szczęśniaków. Stary Szczęśniak znany i ogólnie szanowany przed wojną gospodarz był wójtem. Miał dwie córki. Jedna szykowała się do zamażpójścia, druga, starsza, była nauczycielką. Mąż jej panZommer, również nauczyciel, ukrywał się przed niemiecką żandarmerią, która chciała go aresztować za działalność konspiracyjną na tym terenie.

150.

Ludzie ci, chociaż teraz sami wiele nie mieli, pomagali w miarę swoich możliwości, a po pewnym czasie zorganizowali nawet akcję pomocy dla więźniów wśród ludności zamieszkującej wieś Monowice.

Duszą wszelkich poczynań była pani Zommer. Ta przystojna kobieta, młoda, energiczna i pewna siebie, potrafiła zjednać sobie nawet esesmanów, patrzących na jej poczynania przez palce. Karmiła mnie wspaniale. Dla świętego spokoju dokarmiła też esesmanów, dzięki czemu więźniowie z naszego komanda nie byli szykanowani i zbytnio się nie przepracowywali. Doszło nawet do tego, że parę razy całe komando zostało nakarmione kwaśnym mlekiem i ziemniakami sownie okraszonymi słoniną. Nakarmienie czterdziestu wygłodniałych ludzi było nie lada wyczynem i poświęceniem ze strony wysiedlanej wsi.

Pani Zommer przekazywała mi najnowsze wiadomości ze świata, przez nią też wysłałem pierwszy swój gryps z obozu do domu.

Przy jej pomocy mogłem z łatwością uciec z obozu. Tylko odpowiedzialność zbiorowa powstrzymywała mnie od tego kroku, bo rodzinę mogłem uprzedzić, żeby zawczasu się ukryła. Nasi posteni doskonale zdawali sobie z tego sprawę, toteż

pozwalali mi swobodnie poruszać się w obrębie najbliższych domostw, nie obawiając się, że ucieknę. Po ślubie młodszej córki Szczęśniaków – byłem na jej weselu, co w historii tak ciężkiego obozu, jakim był nie-wątpliwie Oświęcim, było rzeczą wprost niewiarygodną najedzony i obładowany wiktuałami, wymykałem się z we-selnego domu ogrodami przez opłotki. Podochocony wypiti-tym piwem, usiłowałem zuchwale przeskoczyć pierwszą przeszkodę. Zawisłem na płocie, po czym zwałem się jak długi, wysypawszy na ziemię całą zawartość z obładowa-nej smakołykami koszuli. Obserwujący mnie biesiadnicy zdrowo się uśmieali, posteni zaś, pomógłszy mi pozbierać rozrzucone wiktuały, co smaczniejsze kęsy pochowali w swych kieszeniach. Mimo to wiele z tych rzeczy udało mi się przenieść do obozu. Jeden z trójki naszych postów zakochał się. Był to mało rozzębny chłop pochodzący gdzieś z Prus Wschodnich, mówiący mazursko-niemieckim dialektem, trudnym do zrozumienia. Rudy, okropnie piegowaty, niezgrabny, ale pocziwina. Był leniwy i wiecznie śpiący. Drzemkę ucinał

151.

sobie zwykle w stodole u swojej niebogi, która tolerowała go gdyż dzięki temu stodoła nie uległa rozebraniu, co w okresie rozpoczynających się żniw było rzeczą ważną. W chwilach gdy nie spał, dobierał się do dziewczyny. Widziałem raz, jak w trakcie tych zalotów dostał od niej po gębę tak mocno, że aż się wyrócił. Esesman jednak wziął to za dobrą monetę, a taka „krepka” dziewczyna podobała mu się jeszcze bardziej. Ale dziewczyna miała już dość tych zalotów, toteż zaczęła go unikać. Wtedy niepokieszony esesman uczeił się mnie. Skoro jestem schreiberem, to umiem też napisać list – rozumował. Sam napisać nie może, bo po prostu nie umie. Dziewczyna nie chce z nim gadać, wobec tego on podyktuje mi treść listu, a ja go napisze. Nic z tego jednak nie wyszło, gdyż z kolei ja nie mogłem, mimo najszczerzych chęci, zrozumieć jego mazurzenia. Napisałem więc miłosny list własnymi słowami, pa-rafrazując to, co mi dyktował. Dziewczyna przeczytawszy te miłosne wyznania wprost zapłakała się od śmiechu. Miała widać poczucie humoru, ale też i łaskawiej patrzyła na wiecznie zaspanego amanta. Flirt nie zaszedł jednak zbyt daleko, gdyż następnego dnia zamiast rudego zjawił się w komandzie nowy posten. Już sam jego wygląd nie wróżył nic dobrego. Wysoki, kościsty dryblas o końskiej twarzy, przypominał swoim wyglądem starą dorożkarską szkapę. Mimo pozorów mułowatości, temperament – jak się później okazało – miał iście diabelski, był przy tym zły dokuczliwy, złośliwy. Już w drodze do Manowic dał nam się dobrze we znaki. Normalnie trasę tę przebywaliśmy wzdłuż torów gęsiego lub luźno, jak komu było wygodniej. „Koński łeb”, żeby nam dokuczyć, kazał maszerować zwartą kolumną, piątkami, prosto przez progi kolejowe co było bardzo męczące. Już po niecałym kilometrze takiego intensywnego i wyczerpującego marszu miało się nogi jak z waty. Więźniowie potykali się co krok, niektórzy zostawali w tyle, z czego korzystał złośliwy esesman, by ich maltretować. Jeden ze starych postów, zbliżywszy się, ostrzegł mnie, bym miał się na bacności. Unterkapo i vor-arbeiter, bojąc się podpaść, zrobili się nagle bardzo gorliwi równając przy pomocy kijów szeregi, wrzeszcząc, a nawet bijąc. Gdy tylko progi kolejowe się skończyły, czekała nas ciężka wspinaczka na stromą i osypującą się skarpe. Przegonił nas tam i z powrotem kilka razy, a stwierdziwszy że jeszcze trzymamy się, wprowadził na czwora-

152.

kach, rozkazał wspinać się ponownie, mimo protestów dwóch pozostałych postów, starających się mu przypomnieć, że przecież idziemy do pracy. Ten ostatni argument musiał go nieco przekonać, bo zostawił nas w spokoju, nie chcąc jednak całkowicie zrezygnować z zabawy, znalazł sobie nową ofiarę, jednego z Żydów, który nieopatrznie zerwał źdźbło zboża z ładu, obok którego przechodziliśmy. I znowu, gdyby nie interwencja tego samego posta, byłby chyba Żyda zabił. Przybywszy na miejsce pracy, od razu narzucił ostre tempo. Na pierwszy ogień poszła stodoła, w której zwykł wysypiać się nieobecny dzisiaj rudy posten. Resztki chaotycznie i w pośpiechu rozbieranej stodoły runęły, zasypując jednego z więźniów. Na szczęście nic mu się nie stało, ale srogi esesman, uważając go

widać za sprawcę wypadku, kazał mu wlepić „pięć na d...”

O jakichś kontaktach z ludnością nie było nawet mowy, Obiad też przepadł. Ludzie ze wsi, widząc szalejącego esesmana, mieli się na baczności, trzymając się z daleka, jednocześnie bacznie obserwowali z ukrycia wyczyny dzielnego posta. Tak minęła połowa dnia pracy.

Po południu upał dał się więźniom we znaki do tego stopnia, że mdleli z pragnienia. W końcu kapo posłał jednego z więźniów do studni, by przyniósł wiadro wody, Studnia znajdowała się kilkadziesiąt kroków od miejsca naszej pracy. Żyd wzięwszy posłusznie wiadro oddalił się w kierunku domostw. „Koński łeb” jakby tylko czekał na ten moment. Widząc, że gotuje karabin do strzału, zawołałem na więźnia, by natychmiast zawrócił. Z całą pewnością cię ocaliłem mu życie, ale za to sam ściągnąłem na siebie gniew esesmana. Wyrwawszy Żydowi puste wiadro, rzucił nim w moim kierunku, warknąwszy wściekle:

– Also, du sollst selbst das Wasser holen!l

Podejmując z ziemi wiadro, obejrzałem się bezradnie za drugim postem, lecz ten był zbyt daleko, by móc interweniować. Rozkaz wypełnić musiałem, chociaż wiedziałem, czym to grozi. Żeby zyskać choć trochę na czasie ociągałem się, ale kopnięty przez esesmana, już raźniej kroczyłem w dół do studni. Uszedłszy parę kroków zwolniłem, starając się nie odwracać do tyłu, obłany zimnym potem i z duszą na ramieniu

szukałem wzrokiem ratunku

.....

l A więc masz sam przynieść wodę!

153.

u ludzi obserwujących zza węgłów domostw całą scenę.

Jak na zawołanie zaroilo się koło studni. Tego właśnie pragnąłem, liczyłem bowiem na to, że esesman nie odważy się teraz strzelać, obawiając się trafić kogoś ze wsi. Drżąc z wrażenia, nabrałem wody, prosząc ludzi, by w dalszym ciągu trzymali się blisko mnie, co zwariowanemu esesmanowi uniemożliwi strzelanie. Będąc już odwrócony twarzą do posta, widziałem jego karabin wciąż wycelowany we mnie, jak i biegnącego drugiego posta, który krzykiem i gestami starał się powstrzymać "swego kolegę przed zrobieniem głupstwa. Teraz najwyraźniej udawał, że tylko pozorował zamiar strzelania, ale gdy zbliżyłem się, nie był już w stanie pohamować swojej złości z powodu niespełnienia

swego zamiaru. Doscoczywszy do mnie, kolbą wytrącił mi wiadro z wodą, po czym zamachnął się jeszcze raz

by zdzielić nią mnie. Nie mając już w ręku ciężkiego balastu, sprytnie się mu wywinąłem, dopadł mnie jednak na skraju skarpy, skąd nie miałem się gdzie wycofać. Na jego wstrętnej twarzy odbijała się niepohamowana wściekłość. Chwyciwszy karabin za lufę, zamierzył się na mnie kolbą.

Zdażyłem przygotować się na ten cios i może dlatego zdołałem w porę zrobić unik. Kolba trafiła w próżnię, a esesman straciwszy równowagę runął do przodu jakby pchnięty jakąś niewidoczną siłą. Byłby zleciał na łeb ze stromego urwiska, gdybym – zupełnie machinalnie – nie złapał go w ostatniej chwili za pasek od karabina, który trzymał kurczowo oburącz, sam zaś chwyciłem wolną ręką gałąź rosnącego obok krzewu. Przytrzymywany przeze mnie dzięki karabinowemu paskowi, wdrapał się niezdarnie ku górze, a im bliżej był mnie, tym większa ogarniała go wściekłość. Kiedy wgramolił się wreszcie na górę, puściłem rzemień. „Koński łeb” znów stracił równowagę,

upadając tym razem do przodu na kolana, ale że trzymał się gałęzi, szybko wy dostał się na miejsce, w którym stał poprzednio, klnąc mnie przy tym na czym świat stoi.

Aih, du Schwein!... du Drecksack! Jetzt w er de ich

hel fen Il Poprawiając na sobie mundur, wygrażał mi w dalszym ciągu gdy

tymczasem ja zdołałem wycofać się na bezpieczną odległość. Niewiele mi to pomogło, bo zaraz dosko-

1. Ach ty świni... ty worku gówna! Teraz pomogę i tobie!

154.

czył do mnie i walił, ile wlaźło. Przestał mnie bić dopiero wtedy, gdy odciągnął go drugi esesman. Odciągnawszy go na bok, długo mu coś klarował z irytacją, puknąwszy się przy tym wymownie w czoło. Po jakimś czasie zawołali mnie obaj do siebie. „Koński łeb” wygrażał mi jeszcze, ale był już o wiele spokojniejszy. Z tego, co do mnie mówił, zrozumiałem, że nie robi na mnie meldunku, ale jak jeszcze raz powtórzy się coś podobnego, to nie ominie mnie kara. Teraz mogę odejść i przynieść wodę dla komanda. Ponieważ powiedział to ten drugi, bez obawy skierowałem się ku studni. Morowy chłop z tego posta – pomyślałem sobie – załagodził całą sprawę. Za chwilę miałem się przekonać, za jaką cenę. Będąc już u studni, skorzystałem z okazji, by wymyć się zimną, orzeźwiająca wodą i zmyć z twarzy ślady krwi, którą byłem umazany. Zamieniwszy, parę słów z jakąś starowinką litującą się nad moim wyglądem, napełniłem wiadra i już szykowałem się do powrotu, gdy usłyszałem dwa strzały dochodzące tam z góry, gdzie pracowało nasze komando. Babina krzyknawszy: – Jezus Maria! – zostawiła swe wiadro i w popłochu pobiegła ku domostwu. Ja też na odgłos niespodziewanych strzałów! omal nie upuściłem swoich wiader. Uświadomiłem sobie nagle, że to przecież nie do mnie strzelano, tylko stało się coś tam w komandzie, domyślałem się zresztą, co. Na pewno ten „Koński łeb” nie dał za wygraną. Polował od rana, aż swój cel osiągnął.

...Trzy dni urlopu za zastrzelenie więźnia w czasie ucieczki.

Puściłem się pędem ku górze, wychlapując z wiader wodę przygotowaną dla spragnionych.

Niedaleko rozebranej stodoły stało zwartym kołem trzech postów i obaj vorarbeiterzy. Między nimi na ścier-nisku leżały zwłoki zastrzelonego. Przerażeni Żydzi, zbici w ciasną gromadę, obserwowali z dala poczynania Niemców. Zbliżyłem się do trupa, żeby zanotować jego numer. Rozpoznałem w nim właśnie tego, którego posyłano przed| tem po wodę, a ja go później zawróciłem. Ten posten, który wstawiał się za mną, unikał mego wzroku. „Koński łeb natomiast demonstracyjnie trzaskał zamkiem karabina. Grożąc mi powiedział: – Na siehst du...! Schreiber... du hast GlilcA Mensch...! – i wskazawszy na leżącego u jego stóp za-

155.

strzelonego więźnia, dodał wyjaśniająco: Der judische Schweinehund ist aufder Flucht erschossen! Jakie to szczęście, że nie byłem Żydem. Chociaż niewiele brakowało, bym i ja leżał teraz martwy, gdyby nie interwencja drugiego Niemca unikającego mego wzroku.

Zbliżał się koniec pracy. Vorarbeiterzy krzyczeli do ciage jeszcze osłupiałych więźniów: – Feierabend! Feierabend!

RozdziałXLI

Koński łeb” na szczęście nie pokazywał się już więcej w naszym komandzie. Odetchnęliśmy. Na jego miejsce przyszedł nowy, ale już odpowiednio dobrany i pouczony przez rottenfiihrera, który był z nami od początku. Ten przynajmniej wiedział, na czym rzecz polega, toteż uświadomił swoich kolegów: muszą być pobłażliwi, inaczej nic z żarcia nie będzie. Co do mnie, mieli pełne zaufanie, że nie ucieknę. Wiadomo, odpowiedzialność zbiorowa!

Pani Zommer dawała mi wyraźnie do zrozumienia, że mógłbym uciec. Dostałbym cywilne ubranie, rower i pomoc w doprowadzeniu mnie do granic Gubernatorstwa.

Mimo że brała mnie nieraz chętna, nie mogłem skorzystać z tego nęcącego projektu.

Jak na ówczesne obozowe warunki, powodziło mi się dobrze. W obozie tymczasem szalała epidemia tyfusu; selekcje

szpryca i rozwałki były na porządku dziennym. W takiej sytuacji nawet byłem zadowolony, że pracowałem na Bunie, a zwłaszcza w komandzie monowickim. Już sama świadomość, iż ma się przyjaciół poza drutami – nie mówiąc o pomocy materialnej – znaczyła wiele. Pragnąłem utrzymać się w tym komandzie jak najdłużej. Ale niestety wszystko, co dobre, kończy się szybko. Wieczorem wróciłem z komanda z nieznośnym bólem głowy. Mimo gorąca trzęsły mnie dreszcze. Nawet kąpiel „u Kieliszków” niewiele mi pomagała. Antek Kempa, bademeister, lubiący stawiać diagnozy, zawyrokował, że niewątpliwie złapałem tyfus plamisty. W trakcie kąpieli miałem scysję z moim 1.No, widzisz! Pisarz... masz, człowieku, szczęście!... Ten żydowski Świński pies został zastrzelony w czasie ucieczki!

156.

blokowym Fredem Stesslem. Zobaczywszy mnie w wasch-raumie, zrobił mi piekielną awanturę. Przy sposobności oberwało się też kąpielowym za to, że pozwalają korzystać z rewirowej łaźni różnym wszarzom i przybłędom z obozu, roznoszącym wszy tyfusowe. Jakkolwiek miał trochę racji, byłem święcie oburzony, że traktował mnie, byłego bądź co bądź pfliegera, jak pierwszego lepszego muzułmana. Postanowiłem nie poddawać się rozbierającej mnie chorobie, nie zgłaszać się na rewir jako chory i starać się tyfus przechodzić. Słyszałem o takich wypadkach na lagrze. Poza tym łudziłem się jeszcze, że może to nie tyfus, lecz jakaś przejściowa choroba czy osłabienie. Ale następnego dnia czułem się jeszcze gorzej. Czułem, że mam wysoką gorączkę. Wieczorem, po powrocie z Buny, znowu poszedłem się wykapać i znowu złapał mnie tam Stessel. Tym razem o dziwo, nie awanturował się, a nawet sam zaproponował mi, bym dał się zbadać i ewentualnie pozostał na rewirze. Czując się jeszcze jako tako na siłach, nie skorzystałem z tej oferty. Chciałem pójść jeszcze raz bodaj na komando, by móc podziękować ludziom z Monowic za wszystko, co dla mnie uczynili, a w szczególności pani Zommer, Prosiłem Gienka – wiedziałem, że ma takie możliwości – aby skombinował mi jakąś pamiątkę, drobiazg, który bodaj w ten skromny sposób mógłbym się zrewanżować kobiecie, od której zaznałem tyle dobroci, a której części i jemu nieraz się dostała.

Następnego dnia, mocno już osłabiony, wyszedłem z komandem do pracy, mając przy sobie ukryty prezen' w postaci małej srebrnej puderniczki. Obiad jak zwykle miałem podłożony w stodole u Szczęśniaków w koszyczki z wikliny, przykryty czystą lnianą serwetką. Niestety nic już jeść nie mogłem. Zrobili to za mnie Niemcy. Puder-niczkę złożyłem na dnie pustego koszyczka, przykrywszy ją serwetką. Wyjmując naczynia, pani Zommer na pewno ją tam znajdzie. Znalazła. Była tym bardzo zażenowana i chciała mi ją zwrócić. Może domyślała się jej pochodzenia. Prosiłem bardzo, żeby ją wzięła jako pamiątkę od więźnia, który jej nigdy nie zapomni, jej odwagi i dobrego serca. Przyjęła domyślając się, że już mnie więcej nie zobaczy. (Panią Zommer odwiedziłem w jej szkole w okolicach Oświęcimia po dwudziestu przeszło latach. Puderniczka zdażyła już pokryć się patyną).

157.

Tego samego wieczora, czując się już bardzo źle, zgłosiłem się na rewir. Był to piąty dzień gorączki i niesamowitego bólu głowy. Tyfus z całą pewnością. „Tolińszczak” zaciągnął mnie do dr. Diema. – 38 i 2 kreski...! Plamy na brzuchu... musisz leżeć! – zawyrokował Rudek. Marian zaprowadził mnie do wasch-raumu z kartą przyjęcia do szpitala. Kąpiel, strzyżenie, czysta bielizna... Kąpielowi chcieli zanieść mnie na blok tyfusowy na noszach. Zaszedłem jakoś jeszcze o własnych siłach. Obojski i Toliński uparli się pójść ze mną. Dobrze się stało, bo na piętro nie dałem rady już sam wejść. A widzisz, i ciebie nie ominęło! – przywitał mnie znajomy lekarz. – Zaraz się tu tobą zajmujemy... Połóżcie go tam pod oknem... to dobre miejsce... – zatroszczył się doktor. Głos jego dochodził mnie jakby z daleka. Powoli traciłem świadomość.

Rozdział XLII

Leżałem z Romanem O., kolegą z mojego transportu, w jednym łóżku, „na waleta”.

Była noc. Gorąco, duszno, paliło mnie pragnienie. Nie mogłem usnąć. Mimo gorączki wróciła mi przytomność. Za to leżący obok Roman majaczył. W krótkich momentach, kiedy przytomniał, błagał słabym głosem: – Pić...! pić...! – Obudzony natchwache przyniósł mu w końcu kubek zimnej herbaty. Na sąsiednim łóżku jakiś chory rzeził. Nad ranem umilkł. Jeszcze przed południem położono na jego miejscu nowego chorego. Dzień nie wydawał się tak okropny jak noc, tym bardziej że ciągle mnie ktoś odwiedzał. Czułem jednak, że słabnę coraz bardziej. Serduszko nawala...! – orzekł lekarz robiąc mi zastrzyk. – Ale my je tu zaraz rozruszamy! – żartował. Jak to dobrze było mieć znajomych, szczególnie tu na rewirze. Nie każdy mógł dostawać zastrzyki. Większość chorych mogła jedynie liczyć na samoobronę własnego organizmu. Roman wodził wokoło nieprzytomnymi oczami nie rozumiejąc, co doń mówiono. Robił pod siebie. Ja miałem jeszcze na tyle sił, by wołać o kaczkę. Stan mój jednak pogarszał się z godziny na godzinę. Zbliżał się dzień kryzysu. Zasnęłam w końcu do tego stopnia, iż nie byłam w stanie

158.

nawet obrócić się na drugi bok ani też podciągnąć sobie koca, w chwilach kiedy trzęsły mną dreszcze. Majaczyłem, a w tych majakach miałem nawet wcale przyjemne sny. Mimo wszystko nie utraciłem całkowicie przytomności. Słyszałem nawet, jak ktoś stojący obok mojego łóżka powiedział:

– Jak na kryzys, nie jest jeszcze tak źle!... tylko 39,4... serce może wytrzyma...!

Musiało wytrzymać, bo już w nocy poczułem, że opuściła mnie gorączka. Chciało mi się teraz bardzo pić, ale nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Próbowiałem unieść się na łokciach, lecz zdołałem ledwie poruszyć palcami. Wtem poczułem, że ktoś z sąsiedniego łóżka – chcąc widocznie dostać się bliżej okna – wczołgał się na nasze łóżko, macając w ciemnościach rękami. Namacawszy mnie, wyszukał dłońmi moją szyję i zaczął mnie dusić. Jakimś nadludzkim wysiłkiem zdobyłem się na okrzyk. Przybiegł natchwache. Z trudem poradził sobie z chorym, który widocznie pod wpływem wysokiej gorączki dostał ataku szału. Musiał dać mu coś na uspokojenie, bo od tej pory leżał już spokojnie. Nad ranem jednak dyżurujący pielęgniarz zastał go wiszącego na parapecie okna. W ostatnie chwili przytrzymał go za koszulę, inaczej byłby wypadł. Jednak śmierć nie ominęła biedaka. Zmarł parę godzin później, nie przetrzymawszy kryzysu.

Roman, mój sąsiad, miał poważne powikłania potyfu sowe związane z zapaleniem ucha środkowego, skutkiem czego słabo słyszał. Trudno było rozmawiać z głuchym. Po południu odwiedził mnie Marian Toliński. Przy-pomniał mi o napisaniu listu do domu. Tak jak zwykle na-pisał go za mnie. Nie musiałem mu nawet dyktować jego treści, znał bowiem wszystkie moje ostatnie listy, jakie otrzymywałem z domu, tak że orientował się doskonale, co i jak ma pisać. Ja jedynie podpisywałem je. Wieczorem przyszedł Gienek i przyniósł mi parę jabłek. Przyjemne to uczucie stwierdzić na takich przykładach, że koledzy nie zapominają o mnie. Teraz po kryzysie apetyt dopisywał mi. Z każdą godziną czułem się lepiej i nabiera-łem sił. Następnego dnia chodziłem już po sali, a po połu-dniu usiadłszy sobie na oknie obserwowałem spacerujących' więźniów po odbyłym dopiero apel. W tym tłumie ująłem Edka Galińskiego dającego mi znaki, że przyniósł mi coś do zjedzenia. Okazało się, że był to olbrzymich rozmia-

159.

rów ogórek, który Edek wycygał od ogrodnika Hossa, Smakołyk ten postanowiłem zjeść w nocy, żeby się z nikim nie dzielić.

„Tolińszczak” zaproponował, by zejść z nim na dzie-dziniec szpitalny, zamiast siedzieć na sali w tym smrodzie i duchocie. Trzymając się poręczy zszedłem na dół o własnych siłach. Na ławce pod blokiem 21 siedziało kilku na-szych dobrych znajomych rozmawiając z ożywieniem. Przysiedliśmy się do nich. Było wesoło. Jedynie Czesiek S., zwykle pełen humoru, siedział milczący i ponury. – Co ci jest, Czesiu? Chory jesteś czy co?... – zapytał go ktoś w końcu. Wreszcie, westchnawszy głęboko, Czesiek wypowiedział słowa, które już od dłuższego czasu cisnęły

mu się na usta i wstrzymywał się jedynie dlatego, by nie psuć nam wesołego nastroju. - Wy tu sobie żarty stroicie, a na jutrzejszy dzień zapowiedziany jest wielki entlausung...! Wszystkich chorych bez żadnych wyjątków mają wywieźć do Birkenau, a wiadomo co to oznacza... Już dzisiaj nie wolno żadnego z chorych wypisać na lager...! - zakończył, spojrzawszy wymownie w moją stronę. Nastąpiło głucho milczenie. Czesiek zobaczywszy, jakie piorunujące wrażenie zrobiła na nas ta hiobowa wiadomość, starał się teraz pocieszać ale widać było, że mówi to bez przekonania: - Może da się jeszcze coś zrobić... Przynajmniej dla nielicznych. i

Zupełnie przybity okropną perspektywą jutrzejszej se-lekcji, zawlokłem się do swojego bloku. - A tak cieszyłem się, że udało mi się przetrzymać ten piekielny tyfus... Może to nieprawda? - łudziłem się jeszcze. Poszukałem lekarza opiekującego się mną przez cały okres mej choroby. Doktorze! - zapytałem go bez ogródek. - Czy wiesz coś na temat jutrzejszej wybiórki? Eee, no coś tam będzie... jak zawsze...! - zbył mnie. Codziennie przecież wybierają na szprycę tych cięższych chorych.. Ale ciebie przecież to nie dotyczy!... jesteś już po kryzysie!... Możesz spać spokojnie...! -Mimo wszystko wydawało mi się, że nie mówił tego z wielkim przekonaniem. Chce ukryć przede mną prawdę, by mnie nie martwić - pomyślałem. Jeżeli istotnie tak było, i tak na nic się to zdało. Całą noc przesiadziłem w oknie, nie mogąc zmrzyć oka. Ogórek po którym spodziewałem się wielkiej uczyty, zjadłem

160.

bez smaku, ot po prostu, żeby się nie zmarnował. Pełen niepokoju doczekałem świtu.

Rano pierwszym niepokojącym objawem było zarządzenie ścisłej lagersperre, utwierdzające moje najgorsze przewidywania. Niewątpliwie miało dokonać się to, czego przez całą nie przespaną noc z trwogą oczekiwałem... selekcja.

Rozdział XLVIII

Pierwszym zwiastunem selekcji było zgromadzenie wszystkich chorych na schodach prowadzących na po-dwórze. Tam stał już dr Entress i SDG Klehr w towarzysztwie blokowego Freda Stessla, trzymającego w ręku listę, z której zaczął wyczytywać kolejno numery chorych więźniów.

- Zweihundertneunzig! - zostałem wyczytany trzeci lub czwarty z kolei. Entress ledwie musnął mnie wzrokiem, blokowy zaś kazał mi stanąć razem z poprzednimi po prawej stronie dziedzińca. Po wyczytaniu kilkadziesiąt-ciu numerów zorientowałem się, że grupa, w której się znajdowałem, była najliczniejsza. Pod ścianą bloku 21 natomiast stała wydzielona stosunkowo nieliczna grupa więźniów, składająca się z personelu szpitala. Nie ulegało za-tem najmniejszej wątpliwości, iż znajdowałem się wśród tych właśnie, którzy mieli być wywiezieni na tzw. schol-nungsblock do Birkenau, a więc do gazu. Roman, stary i doświadczony haftling, aczkolwiek jeszcze głuchawy po przebytych tyfusie, również wyczuł pismo nosem. Trzyma-liśmy się więc razem, starając się przesunąć pod blok '21 licząc na to, że uda się zmieszać z grupą stojących tam pie-lęgnyarzy.

Nadjechały ciężarowe auta. Lageraltester Bock otwo-rzył bramę podwórza, w której natychmiast stanął Klehr a obok niego ktoś ze schreibstuby. Poczęto wywoływać nu-mery w tej samej kolejności, jak to poprzednio czynił blo-kowy. Roman i ja nie zgłosiliśmy się. Wywołano nas parę razy, a ponieważ nikt nie zgłaszał się, czytano dalej. Prze-suważając się stale w upragnionym kierunku, znaleźliśmy się w końcu pod oknami schreibstuby bloku 21, pod którym znajdował się wjazd do kanału, przykryty betonową płytą. Byliśmy u celu. Z wielkim wysiłkiem udało nam się usunąć

161.

ciężką płytę. Ciemna i śmierdząca czeluść kanału nie wy-głądała bynajmniej zachęcająco. Ale w niej właśnie wi-dzieliśmy jedyny ratunek.

Tymczasem załadowano chorymi pierwsze auto. Nie było co się namyślać. Zaraz mogą ponowić szukanie bra-kujących numerów. Roman opierając się łokciami o ścianę kanału wśliznął się w ciasny otwór i namacawszy wreszcie nogami oparcie, stanął twardo, nakłaniając mnie, bym poszedł w jego ślady. Ja jednak wahałem się teraz, mając skrytą nadzieję, że uda mi się w końcu uczynić manewr

przedostania się do grupy pielęgniarzy, w której Julek i Marian celowo robili zamieszanie, by ułatwić mi niepostrzeżone przemknięcie się do niej. Toteż ograniczyłem się jedynie do nasunięcia na swoje właściwe miejsce ciężkiej betonowej płyty, w czym pomogli mi wydatnie chorzy, zupełnie nieświadomi swego losu, jaki ich wkrótce czekał, Tymczasem załadowano drugie auto. Na dziedzińcu chorych jednak nie ubywało, gdyż dr Entress wciąż dosyłał nowy kontyngent. Przedostałem się wreszcie do grupy pielęgniarzy. Marian Kieliszek podrzucił mi pielęgniarskie spodnie, które natychmiast wdziałem. Teraz upodobiłem się do więźniów z personelu szpitala. Niebawem auto ruszyło wioząc wyselekcjonowanych do Brzezinki. Z tą chwilą niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Klehr z listą w rękę udał się do schreibstuby, pragnąc widocznie sprawdzić, co stało się z brakującymi numerami. Z odejściem SDG na podwórku zrobiło się zamieszanie. Skorzystałem z tego, by prosić Jasia Szarego – wówczas głównego schreibera rewiru – żeby postarał się skreślić mnie z listy, na której ciągle jeszcze niestety figurowałem. Na razie nic nie da się zrobić...! – odrzekł rozłożywszy bezradnie ręce. – Tak Entress, jak Klehr nie wypuszczają list ze swych rąk... Może później uda mi się coś zrobić – dodał obiecująco, widząc, że cały trzęsę się ze zdenerwowania. Na koniec, pragnąc mnie widać pocieszyć dał mi pouczającą radę: Jak będą wywoływać znowu twój numer, to nie zgłaszaj się w żadnym wypadku!... Może cię jakoś później przeszfarujemy! Słaba to była nadzieja i wątpliwa rada! Zwłaszcza że SDG Klehr znowu pojawił się na podwórzu, spędzając z powrotem chorych w jedno miejsce odizolowane od

162.

personelu szpitala, z którym usiłowali się zmieszać. Za-prowadziwszy jaki taki porządek, lustrował teraz pfergerów, czy aby wśród nich ktoś się nie ukrył. Poznał mnie od razu.

– Was fur Nummer hast du? – zapytał ostro, po czym powiedział jakby z namysłem, przypomniawszy sobie, że to przecież z jego polecenia zwolniono mnie: – Du bist kein Pfleger...!1 Was fur Nummer has du?! – zapytał mnie powtórnie, już dobrze rozszłoszczony. Ze strachu ledwie że wybełkotałem swój numer. Klehr hipnotyzował mnie swoim przenikliwym wzrokiem niczym wąż swoją ofiarę.

– Ich bin gesund, Herr Oberscharfuhrer! – nagle roz-B wiązał mi się język. – Ich kann arbeiten!... Ich wolte nicht gehen nach Schonungsblock!...2 – usiłowałem swą kiep-B ską niemczyzną ubłagać Klehra. Ten jednak, złorzecząc coś pod nosem, złapał mnie bezceremonialnie za kołnierz koszuli i pociągnawszy pod opustoszałą ścianę bloku, kazał mi stać tam samotnie aż do przyjazdu auta. Byłem zgubiony. Słyszałem już szum motorów aut powracających z Birkenau po nowych więźniów, wśród których miałem się teraz nieodwołalnie znaleźć jako jeden z pierwszych, Otwierano już bramę. Klehr nie spuszczał ze mnie oka.

– Doktorze!... Doktorze!... – krzyknąłem rozpaczliwie, na nic nie bacząc, ujrzawszy Dehringa idącego do opodal stojącego dr. Entressa. – Niech mnie pan ratuje!..,Ja chcę żyć!...

Dr Dehring rozłożył bezradnym gestem ręce. Usłyszawszy jednak, że Klehr już wywołuje mój numer, krzyknął zdecydowanie w moim kierunku, bym pozostał na miejscu mimo niecierpliwych zawołań Klehra.

– Nie idź! Spróbuję ostatniej szansy!... Lecę do dr Entressa...!

Tymczasem Klehr ciągnął mnie siłą do auta. Jeszcze w porę nadbiegł zasapany Dehring meldując się Klehrowi SDG był tak wściekły, iż myślałem, że go uderzy. Chcąc nie chcąc musiał mnie zostawić, bowiem dr Dehring meldował mu, że wzywa go Entress.

– Wiesiu! – rzekł szybko Dehring, aż czerwony z wra

1. Jaki masz numer?... Nie jesteś pflegerem...!

2. Jestem zdrowy, panie Oberscharfuhrerze!... Mogę pracować!... Ja nie chcę iść do bloku ozdrowieńców!

163.

żenia. – Biegnij, co tylko masz sił w nogach, zameldować się u dr. Entressa...! Kazał mi cię przyprowadzić!...

Iskierka nadziei dodała mi mocy. Entress stał pośrodku

podwórka, obok niego Fred Stessel z nic nie mówiącym wyrazem twarzy i Klehr wyprostowany jak struna w pozycji na baczność, wysłuchujący usłusznie, co mówił doń podniesionym głosem oficer. Gdy skończył, Klehr odmaszerował, nawet nie spojrzawszy na mą mizerną postać meldując się kolejno u Entressa. Staralem się robić jak najlepsze wrażenie. Wysiłki moje musiały śmiesznie wyglądać, bo spojrzawszy na mnie drwiąco, zapytał jakoś z niedowierzaniem:

– Bist du schon gesund?¹

– Jawohl, Herr Obersturmfuhrer! – usiłowałem nadać swjemu głosowi siłę.

– Also, du bist ein alter Pfleger? Was?² Skinąłem potwierdzająco głową, nie będąc teraz w sta-

nie wydobyć z siebie głosu, czując, że sprawa przybiera korzystny dla mnie obrót. Nawet Stessel, dotychczas za-chowujący się biernie, przytaknął skwapliwie, tłumacząc z przekonaniem coś Entressowi. Czekałem na wyrok. Entress zastanawiał się przez moment, po czym nagle rzekł ostro: – Du musst jetzt gut arbeiten!... Verstanden?! – zwróciwszy zaś się do Freda rozkazał: – Sofort nach Lager entlassen!... Zuerst zur Kartoffelschaleril – dodał już o wiele łagodniej. – Danke schon, Herr Doktor!...⁴ – wyrwało mi się, bo nie umiałem już zapanować nad sobą. Entress zniecierpliwionym gestem machnął ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy: – Weg!... Wegtreten!...⁵ Nigdy jeszcze nie byłem tak szczęśliwy w obozie jak w tej chwili. Z uczuciem niewysłowionej ulgi odszedłem w najdalszy kąt podwórza. Byle dalej od bramy, za którą wyżywał się wściekły Klehr ładując na auta chorych i re-

1 Już jesteś zdrowy?

2. A więc jesteś starym pflegerem?.. Co?

3. Musisz teraz dobrze pracować!... Zrozumiano?!... Natychmiast zwolnić na obóz!... Najpierw do obierania ziemniaków!

4 dziękuję pięknie, panie doktorze!...

5. dejsć... Odstąpić!...

164.

konwalescentów nie mających tyle co ja szczęścia. Upojony szczęśliwym losem zapomniałem o innych. Ocknąłem się dopiero po wywiezieniu wszystkich chorych. Podczas apelu, który coś się nie zgadzał, przypomniałem sobie nagle o Romanie. Przecież to pewnie jego brakuje!

– Roman siedzi tam ukryty w kanale... – zwierzyłem się swemu sąsiadowi. Po chwili jednak wyprowadzono Romana z bloku tyfusowego. Okazało się, że nie słyszał apelu i w najlepsze leżał sobie ukryty pod łóżkiem, zamelinowany tam przez jednego z pielęgniarzy bloku 20.

Bezpośrednio po apelu zostałem wypisany z rewiru na lager.

Rozdział XLIV

Nazajrzo rano Otto zaprowadził mnie do kartoflarni. Pracę miałem lekką przy obieraniu ziemniaków. Kucharki, znający mnie jeszcze jako pracownika szpitala, dokarmiali mnie, szczególnie Kazek Szelest, który powrócił do swego dawnego obozowego zawodu kucharza. Po kilku dniach poczułem się już na tyle dobrze, że myślałem o powrocie na Bunę. Jednak nigdy już tam nie wróciłem. Komando Buna zostało zlikwidowane w związku z epidemią tyfusu, która po słynnym „odwszeniu” wcale nie zmalowała. Mówiono, że wkrótce będzie tam utworzony osobny lager jako filia obozu oświęcimskiego. Żałowałem bardzo że nie zobaczę już pani Zommer ani ludzi z Monowic z którymi zdążyłem się żyć w okresie mej pracy na Bunie. Do szpitala nie miałem zamiaru wracać. Tam czyhała śmierć. Najlepiej było dostać się na jakieś aussenkommando i być z dala od rewiru, selekcji, lagru. Pod wpływem opowiadań jednego z kolegów głoszącego cuda o pracy w Harmężach nastawiłem się na to odległe od głównego obozu komando. Więźniowie pracowali tam przy hodowli ryb i drobiu. Oczyma wyobraźni widziałem siebie zajadającego tłuste kurczaki i wspaniałe karpie. Otto, którego już od paru dni zamęczałem, żeby załatwił mi przeniesienie do tej obiecującej komenderówki, przyniósł w końcu dobrą nowinę. Jutro zostanę przeniesiony do Harmęż. Wprost nie posiadałem

się z radości. Ach, ten Otto to fajny chłopak!... Taaakie komando!... Nie ma co, mam jeszcze jednak szczęście!... Teraz się zacznie życie!... Poleciałem na rewir podzielić się z kolegami dobrą

165.

wiadomością. Wszystkim obiecywałem taakie ryby, a drDehringowi wobec którego miałem nieskończony dług wdzięczności za ocalenie mi życia -zobowiązałem sięprzesłać taką kurę

Jakże byłem szczęśliwy!...

Zielony kapo przywitał mnie chłodno. Taki stary numer ,a taki muzulman? Kogóż mi ten Otto przysłał!?! Kapo zdawał się być wyraźnie niezadowolony. Obejrzawszy mnie ze wszystkich stron – mimo paru dni odpoczynku w kartoflarni i dokarmiania mnie przez życzliwych kucharzy nie wyglądałem szczególnie – rozczarowany kapo orzekł, że dostanę lekką pracę, do czasu aż wydobrzeję. No to nie jest tak źle! – pomyślałem sobie. Na podwórku, obok dużego murowanego budynku wy-gładającego na spichlerz, pracował jakiś więzień przy lasowaniu wapna. Tam właśnie zaprowadził mnie kapo. Na razie będziesz mu pomagał... a później zobaczymy – powiedział. Wydawszy instrukcje więźniowi, odda-lił w kierunku zabudowań folwarcznych. Zostaliśmy sami. No, coś, bracie, taki spłoszony? – rzekł więzień, widząc moją niewyraźną minę. – Zaraz ci pokażę, co masz robić. Nie szło mi jakoś, kroplisty pot wystąpił mi na czoło,po chwili byłem już bardzo zmęczony. Lasowanie wapna wcale było lekką pracą. Tymczasem mój towarzysz mieszał wapno bez najmniejszego wysiłku. Rozebrany do pasa ukazywał ogromny tors, na którym uwidaczniały się potężne muskuły. Taki to może pracować! – pomyślałem opierając się na drągu, by odpocząć. Nie stój, bracie, jak ten k.... na weselu! – powiedział dobitnie, zerknąwszy na mnie, nie przerywając pracy. Zacząłem znowu mieszać to przekłete gęste wapno. Oj, widzę, żeś słaby!. – wszczął znowu rozmowę z nutką politowania w głosie. – Mieszaj po wierzchu, to się nie zmęczysz! – poradził po chwili. – Już ja za ciebie odwalę tę robotę... Uważaj tylko na kapo, bo to kawał su- kinsyna Jakieśporządne chłopisko! –pomyślałem sobie, stosu-jąc się do jego cennych wskazówek. – Ale wygląda na zbója z tym rozpląszczonym nosem... – Był bardzo rozmowny. Indagował mnie o wszystko. Musiałem mu opowiedzieć skąd pochodzę, za co mnie gestapo aresztowało,

166.

gdzie pracowałem itd. Powiedziałem też, że jestem zaledwie parę dni po tyfusie, żeby mu wyjaśnić, dlaczego jestem taki osłabiony.

– Mnie, bracie, to żadna choroba się nie chwyta... nawet tyfus!... Jestem zdrow jak byk! – mówiąc to, klepnął się dłonią w szeroką pierś, aż zadudniło.

– Tylko, psiakrew, żarcia mi ciągle mało! – westchnął ciężko. – Były czasy, dobre czasy!... Teraz gówno! – zakończył ze złością, splunawszy siarczyście w dłonie, po czym zatarł je, aż zatrzęszczały mu palce w stawach, i zaczął znowu mieszać energicznie wapno.

Spytałem go, co oznacza nazwa naszego komanda Har- menze-Schule i gdzie pracuje reszta więźniów, bo prócz jego i kapo nie widziałem jeszcze nikogo. Gdzie jest ta hodowla drobiu i ryb, po której wiele sobie obiecy- wałem.

– Bracie, wybij sobie z głowy myśl, że będziesz tu jacy ryby czy kurczaki! Nasze komando niewiele ma z tym do czynienia. Przy stawach pracuje odrębne komando! Nawet im jest ciężko coś zorganizować!... Ale teraz na jesień przy odłowach można będzie coś ukręcić... Przy drobiu zaś pra-cują wyłącznie kobiety. My mężczyźni budujemy tylko kurniki... Praca murarska, bracie!... Wapna nie ugryziesz! – rzekł z żalem. – Bądź więc zadowolony, jeśli dostaniesz pełną michę obozowego żarcia. Ja dostaję zulage, bo kapo wie, że mój brat był sławnym bokserem. Zresztą ja też uprawiałem ten sport. On mnie lubi, bo kapowie w ogóle cenią wyłącznie ludzi zdrowych i silnych. No, wiesz teraz kto ja jestem? Kolka!... brat Kolczyńskiego!... Tak, bracie! I miesza się teraz to cholerne wapno!... – dorzucił zre-zygnowany.

Miałem szczęście do bokserów. Przed dwoma przeszła laty, kiedy ukradziono mi porcję chleba i jeszcze chciana obić, stanął w mojej obronie słynny „Teddy”, Tadek FiJ trzykowski. Teraz znów odwała za mnie ciężką robotę brał samego Kolczyńskiego.

– Ale nie jest jeszcze tak źle!... – kontynuował, zmru-żywszy znacząco jedno

oko. – Ze mną nie zginiesz! Zawsze się coś tam zorganizuje!... Głowa do góry! Nadjechało ciężarowe auto z przyczepą, wysoko załadowane workami. Zatrzymało się niedaleko nas, obok spichlerza. Kapo, zeskoczywszy ze stopni szoferki, krzyknął w naszym kierunku:

167.

Los! Abladen!1 Dreptałem za Kolczyńskim sunącym zamasyście i zacierającym rękę, jakby chciał zademonstrować przed kapo, że jest niezmiernie uradowany czekająca go teraz praca. Kapo klepnął go przyjacielsko po szerokich barach. Widać było, że imponuje mu ten płaskonosy atleta. Odszedłszy po chwili na bok, podpierając się kijem, kapo krzywiąc się i postępując masował sobie krzyż wolną ręką. – Verflucht noch einmal... – uzalał się na swój sposób – Heute habe ich wieder Lumbago!2 Tymczasem Kolczyński, narzuciwszy sobie fachowo na ramiona pierwszy z brzegu worek, czekał, aż uczynię to samo. Co znajduje się w workach i jaki mają one ciężar, nie wiedziałem. Myślałem raczej, że są bardzo lekkie, sądząc po swobodzie, z jaką operował workiem Kolczyński. Ja też chciałem zrobić dobre wrażenie na kapo. Idąc więc w ślad kolegi, jedną ręką uchwyciłem wiązanie worka, drugą zaś, przytrzymując worek od spodu, położyłem sobie na ramiona i kiedy poczułem, że jest już dobrze ułożony, odsunąłem od wozu. Wtem piekielny ciężar przydusił mnie do dołu, kolana ugięły się, a worek śmignął mi przez głowę, aż w szyi coś chrupnęło. Obserwujący mnie kapo zaklął i już chciał mnie dosięgnąć kijem, ale w porę powstrzymał go Kolczyński, starając się mówić po niemiecku:

/ lerr Kapo, er ist an Fleckfieber... Doktor wird noch gut arbeiten, aber jetzt ist er noch zu schwach! Jetzt ich werde ihm helfen – Kapo widać zrozumiał coś niecoś z tej gadaniny, a już sam fakt, że Kolczyński nazwał mnie doktorem, zrobił na nim wrażenie.

Wer ist doktor? – spytał zdziwiony. – Der Muselman Du?4 – zwrócił się do mnie z niedowierzaniem, ale już o wiele łagodniejszym tonem. Nie zdążyłem nawet zaprzeczyć, Kolczyński bowiem dawał mi rozpaczliwe znaki bym tego nie robił. Odpowiedziałem więc, jakając się:

1.Jazda! Wyładowywać! 2.Psiakrew!... Dzisiaj znowu mam lumbago! 3.Panie kapo, on jest po tyfusie plamistym... Doktor będzie jeszcze dobrze pracował, teraz jednak jest jeszcze za słaby! Teraz ja mu pomogę!

4. Kto jest doktorem?... Ten muzułman?... Ty?

168.

– Ja, ja, ich bin Pfleger!1

– Und was suchst du „Herr Doktor“ hier in meinem Kommando, was?2... – zapytał kapo podejrzliwie, mrużąc przy tym złośliwie swe wodniste oczka. I znowu przyszedł mi z pomocą Kolczyński.

– Fleckfieber... grosse Entlassung... er war entlassen vom Revier ins Lager3. Kapo namyślał się przez chwilę, w końcu wycedził wolno:

– Oh, mai sehen!...4

Skrzywił się, bo widocznie znowu zabolalo go w krzyżu, i nagle spojrzął bystro na mnie, jakby mnie dopiero pierwszy raz ujrzał, po czym przekręciwszy w bok swą rudą głowę powtórzył z zainteresowaniem:

– Pfleger...!?Mai sehen, mai sehen...

Z szoferki wychylił się zniecierpliwiony esesman.

– Du sprichst zu viel Kapo! Arbeiten!5 – ponaglał.

– Los! Abladen! Los, habe ich gesagt!6 – ryknął na nas z kolei kapo.

Kolczyński pomógł mi załadować worek na plecy, swój również zarzucił na ramiona, po czym ruszyliśmy do bramy spichlerza. Swój worek z ledwością doniosłem do krętych żelaznych schodów prowadzących na strych spichrza. Oparłszy worek o balustradę, niezmiernie zmęczony, ciężko oddychałem. Kolczyński tymczasem, zdążywszy zanieść swój worek na górę, powrócił, by zając się moim. Bez ciężaru z łatwością wszedłem na strych.

– Będziesz rozwiązywał worki, a ich zawartość masz tu wysypywać do drewnianych

skrzyń. Nie przemęczysz się chyba? Ja będę nosił worki!... Tylko żebyś nadażył! rzekł wesoło. – Ale go zażyłem z tym doktorem, co? Kapo ma cholerny reumatyzm, więc udawaj lekarza i cza-

1 Tak, tak, ja jestem pflegerem!

2 A czego ty szukasz, „panie doktorze”, tu, w moim koman-dzie, co?

3 Tyfus plamisty... wielkie odwszenie... on był zwolniony z re-wiru na obóz.

4 Zobaczmy!...

5 Mówisz zbyt wiele, kapo! Pracować!

9 Dalej! Wyładowywać! Jazda, powiedziałem!

169.

ruj go, ile się tylko da... Coś chyba podpatrzyłeś na tym re-wirze?... – dodał, śmiejąc się, w drodze po następny ładunek

A to cwaniak warszawski! – pomyślałem z wdzięczno-ścią i podziwem o Kolczyńskim. Gdy wysypywałem za-wartość pierwszego worka, aż zatkało mnie z wrażenia, Kasza! W drugim... pęczak!... Boże! Tyle żarcia!... Z emo-cji nabrałem sił.

Podsłuchałem pomoc Kolczyńskiemu, którego sapanie słychać już było na schodach.

– Zobacz, ile jedzenia! – wskazałem uradowany na górę pęczaku. Kolczyński aż gwizdnął z zachwytu.

– A ja myślałem, że ziarno dla kur! Dobra nasza! Z głodu nie zginiemy! – Splunawszy znowu zamasyście w dłonie, puścił się biegiem w dół po krętych schodach, skacząc po parę stopni naraz. Kolczyński niezmordowanie dźwigał ciężkie wory, a ja rozwiązywałem je i wysypywa-łem badając ich zawartość. Łubin i zboże.

– Koniec!... – rzekł Kolczyński z ulgą, zrzucając ostatni worek. – A teraz, bracie bierzemy wynagrodzenie za ciężką pracę! – i nie namyślając się wiele, załadował

swe przepastne kieszenie pęczakiem.

Uczyliłem to samo, z mniejszym umiarem, jako że by-łemchudy i po mnie nie było tak widać, iż jestem obłado-ny. Z pustymi workami zesliśmy na dół. Trochę bałem się że kapo może zauważyć nasze pełne kształty, co gor-sza byłem nawet pewny, że to spostrzeżę, ale o dziwo, nie rewidował nas. Jego wzrok obojętnie ześliznął się z na-

szych krągłych postaci, zameldował kierowcy, że robota wykonana, i po ruszeniu auta bez słowa pokuśtykał pod-pierając się kijem, zostawiając nas samych.

Skorzysta-

liśmy z . samotności, by zadekować naszą cenną zdobycz w znalezionym wiadrze, które ukryliśmy pod okapem dachu

spichlerza na gęsto rosnących tam pokrzywach. Zapasów

mieliśmy na parę dni. Udając, że pracujemy, czekaliśmy na przerwę obiadową.

Rozdział XLV

Obiad wydawano w folwarku, na dziedzińcu pałacowym od strony zabudowań gospodarczych. Zupy było pod dostatkiem. Mój opiekun i towarzysz od mieszkania wapna wrąbał jej dwie pełne miski, które kapo napełnił mu sowi-

170.

cie. Zauważyłem, że niektórzy więźniowie, zwłaszcza murarze budujący kurniki, nie zdradzali zbyt apetytów. Widocznie mieli tu swoje „chody” w organizowaniu lepszego jedzenia niż podłe obozowe. Kobietom wydawano obiad z drugiej strony placu, od frontu, pod pretensjonalnymi kolumnami podtrzymującymi obszerny balkon zdobiony secesyjnymi ornamentami. Wyżarte kapo i vorarbei-terki pokrzykiwały histerycznie, tłukąc przy lada okazji wynędziałe Żydówki. Odziane w poszarpane i brudne mundury pozostałe po zamordowanych jeńcach radzieckich, z gołymi głowami, z włosami ostrzyżonymi nierówno do samej skóry, cuchnące na odległość odorem nie mytych ciał i kurzym nawozem, budziły wstręt i litość równocześnie. Nasz kapo, rozdzieliwszy obiad, flirtował teraz zawzię-cie z krępą i cycatą, o wulgarnym wyglądzie Niemką z bindą kapo na rękawie, mizdrzącą się doń nachalnie. Nie przeszkodziło jej to rzucić się w pewnym momencie ku walczącym więźniarkom wyszarpującym sobie nawzajem! kociołek, na którego dnie pozostało trochę zupy.

Pędziła jak furia z podniesionym kijem gotowym do rozdzielania razów, klnąc przy tym swoistym językiem hamburskiej prostytutki. Żydówki w popłochu uciekły, a zaślepią złością kapo, zawadziwszy cholewą o niewidoczny drut rozpięty między palikami okalającymi zieleniec, rąbnęła na ziemię jak długa, nakrywszy się nogami, ukazując przy sposobności obfite pośladki.

Mężczyźni przypatrujący się tej scenie mieli uciechy co niemiara. Nawet kapo nie mógł powstrzymać się od śmiechu, zobaczywszy jednak, że Niemka nie może się podnieść, podbiegł do niej z rycerskim zamiarem udzielenia jej pomocy, zapominając o swym lumbago. Pomógłszy jej powstać, prowadził czule mocno kulejącą z rozciętym kol-aniem ku schodom pałacu, obmacując ją przy okazji, co znosiła ze stoickim spokojem.

I wtedy kapo przypomniał sobie o mnie.

– Pfleger! Pfleger!... Eeee! Dul... Komm hier!

Posłusznie poszedłem na zawołanie. Zdziwieni więźniowie rozstąpili się, robiąc mi przejście. Zdziwieni, bo ni stąd, ni zowąd komando otrzymało pielęgniarkę w mojej niepozornej osobie.

Kolano krwawiło. Wymyłem je zimną wodą i to właściwie był cały zabieg. Ani jodyny, ani bandaża. Kapo, pod-

171.

ciągnawszy kieczkę, uderła kawał koszuli, co miało zastąpić opatrunek. Wziąłem się więc do zawijania kolana w ten prowizoryczny bandaż. Kapo, żeby ułatwić mi pracę, rozkraczyła się szeroko, kieczkę podniosła jeszcze wyżej, aż do ukazania swych pełnych ud, co na moim kapo wywarło tak kolosalne wrażenie, że nie bacząc już na nic, gniótł jej piersi zapamiętale, udając, iż ją podtrzymuje.

Stwierdziwszy, że moje samarytańskie zabiegi sprawiają ulgę Niemce, a mojemu kapo przyjemność, jako że przy tej okazji mógł pozwolić sobie na podmacywanie swej cierpiącej koleżanki, opatrywałem nogę dłużej, niżby to należało. Czynem tym najwyraźniej zaskarbiłem sobie wdzięczność tak jednej, jak i drugiej strony, a o to przecież mi chodziło. Natychmiast ten fakt wykorzystałem, by podsunąć im myśl o założeniu wspólnej dla obu komand apteczki. Chwyciło łatwiej, niż się spodziewałem.

Natiirlich! – zapalił się do tego projektu kapo. – Das mus sein! Ale zaraz nasunęły mu się refleksje.

Aber von wo nimmst du Medikamente her? Von Auschwitz!... – podpowiedziałem. – Aus Revier

Ja, du hast recht! – odpowiedział z namysłem, po czym dodał rozkazująco: – Sofort schon morgen fahrst du Stnmlager mit meinem Unterkapo und hoist die Medikamente Vers tanden ?!4 jawohl! – przytaknałem z entuzjazmem, wszystko bowiem poszło tak, jak to sobie ukartowałem. . Undd fur Frauen auch! – upomniała się nagle zain-teresowana kapo, dodając wyjaśniająco: – Du bist Pfleger nicht wahr? Also du weisst, was ich meine?"

Nie rozumiałem, o co jej chodzi. Zauważyła to i abym w końcu pojał, co miała na myśli, objaśniła mnie niby to zażenowana zerknawszy niewinnie na kapo:

1.oczywiście!... To musi być! 2.ale skąd weźmiesz lekarstwa?

3.z oświęcimia!... Z rewiru!... 4.tak, masz rację!... Od razu jutro pojedziesz do macierzystego

obozu z moim unterkapo i przywieziesz lekarstwa! Zrozumiano?! 5.i dla kobiet też! Jesteś pflegerem, nieprawdaż? A więc wiesz o czym myślę?...

172.

Monatsbinden, du dummer Junge!..} Popołudnie zeszło szybko. Zorganizowany pęczak po-wędrował z wiadra znowu do naszych przepastnych kie-szeni i za koszule. Po skończonej pracy całe komando ze-brało się przed pałacem, gdzie sprawdzano obecność. Esesmani zeszli ze swych niewidocznych posterunków. Idąc gozłami między licznymi stawami, później przez opuszczoną wieś, eskortowani przez postów, zdążyliśmy na swoje noclegowisko.

Kapo był wyjątkowo spokojny, pewnie lumbago dawało mu się coraz więcej we znaki, bo utykał i cicho postękiwał. Po półgodzinie marszu zatrzymaliśmy się przed parterowym murowanym budynkiem. Domek ten, przypominający jacy wiejską szkołę, był ogrodzony parkanem z drutu kolczastego, a na czterech narożnikach stały wieżyczki wartownicze, świadczące dobitnie o obecnym przeznaczeniu byłej szkółki. Na wieżach tych usadowili się postępnicy po krótkiej odprawie przeprowadzonej przez kommandoführera. Za domkiem znajdował się mizerny sad z kilkoma drzewami owocowymi, na których nie było już śladu owoców. Na pewno więźniowie korzystający z wygódki położonej w ogrodzie oberwali je, jeszcze nim dojrzały. W domku było ciasno. Więźniowie dysponowali jedynie dwoma izbami tak małymi, że mieściły się tam zaledwie trzy piętrowe łóżka i żelazny piecyk. Na sztubie zajmowanej przez kapo i jego świtę prócz łóżek stał duży stół z kilkoma taboretami. Okna oczywiście były zakratowane. Wychodzić na zewnątrz budynku wolno było w oznaczonym czasie i w jednym wyłącznie wypadku... za potrzebą !'Po rozdaniu kolacji mieliśmy czas wolny dla siebie, ale cóż z tego, było już prawie ciemno, a jedyna w pomieszczeniu mizerna lampka skąpo oświetlała to duszne, ponure i ciasne locum. Przydzielono mi łóżko na „trzecim piętrze”, tuż pod samym sufitem.

Właśnie zaścieliłem je sobie, kiedy usłyszałem głos kapo z sąsiedniej izby wzywający mnie do siebie. Wołał mnie zbolonym głosem:

– Pfleger, komm zu mirt...1

Leżał rozebrany na swym wyrku, stękający, przeklinając lumbago.

1 Opaski menstruacyjne, głupi chłopcze!...

2 Pfleger, chodź do mnie!...

173.

Teraz należało mi wykazać swoje medyczne umiejętności. Nie wiedziałem, od czego mam zacząć. Żadnych lekarstw nie było. Żeby choć jakaś pigułka, a tu nic „jak na lekarstwo"! Z doświadczenia wiedziałem, sam mając niejednokrotnie lumbago, że pomagał mi na tę dokuczliwą dolegliwość masaże. Nigdy sam nie masowałem, ale widziałem na rewirze, jak to robili masażyści z prawdziwego zdarzenia. Nic nie dając poznać po sobie, zabrałem się do dzieła, starając się robić wrażenie fachowca. Obmacawszy miejsca najbardziej bolące, właśnie tam zacząłem masować, zrazu lekko, później mocniej.

Kapo początkowo leżał spokojnie, znosząc cierpliwie moje zabiegi. Ale kiedy dobrałem się do najbardziej bolących miejsc, nie wytrzymał. Ryczał, kwiczał, przeklinał, mimo to poddawał się dalej „zabiegowi". Przestałem na chwilę, by odpocząć, bo już solidnie się zmęczyłem, kapo zaś wykorzystał ten czas na gimnastykę, próbując, czy może się już lepiej poruszać. Stwierdziwszy poprawę, zachęcał do dalszego masażu.

Weiter, weiter, Pfleger, ist schon viel besser!...1 Be pozostawało mi nic innego, jak dalej masować tego typu. Improvizowałem, klepiąc, robiąc, siekając i szczypiąc aż spowodowałem, że kapo wreszcie wystękał: – Genug
Pierwsza próba mojego nowego zawodu „znachora" wypadła dobrze, czego dowodem były słowa wypowiedziane przez zadobrowolonego kapo:

Ab heute bist du der Kommandopfleger!... und fiir Frauen auch!* – dodał, przypominając sobie widocznie popołudniową scenkę z kapówką, bo nagle przeciągnął się lubieżnie, aż mu coś w stawach zatrzeszczało. Tak więc już

w pierwszy dzień mego pobytu na komando Harmenze-
schule poszczęściło mi się. Za dobrą robotę otrzymałem
od kapo dodatkową porcję chleba i obietnicę stałej dolewki
podczas obiadu. Z uczuciem ulgi położyłem się na swoim
niezbyt wygodnym łóżku, kładąc pod zagłówek dopiero co
otrzymaną porcję chleba. Będzie na śniadanie. Nim jednak
zasnąłem, zaczęło mnie coś potwornie gryźć. W pierwszej

1.dalej,dalej, pfleger, już jest o wiele lepiej!...

2.Dosyć!...

3od dzisiaj jesteś pflegerem komanda!... i dla kobiet też!

174.

chwili myślałem, że to pchły mnie oblażyły. Po omacku udało mi się złapać jedną.
W palcach wyczułem, że duża, zgmiotłem ją ze wstrętem i wtedy po zapachu
stwierdziłem ze zgrozą, że to pluskwa. Całe roje pluskiew garnących się do mnie,
świeżego krwiodawcy. Wszy, pchły, do tego byłem przyzwyczajony, ale pluskiew u
nas w obozie jeszcze nie spotkałem! Niech to diabli...!

Zasnąłem dopiero nad ranem, z mocnym postanowieniem wydania im bezpardonowej
walki. Do medykamentów, które miałem za parę godzin przywieźć, doliczyłem
jeszcze „cuprex”, środek przeciw insektom.

Rozdział XLVI

Do Oświęcimia jechałem furmanką w towarzystwie po-sta i woźnicy, którym był
vorarbeiter. Był wczesny pora-nek. Słońce ledwie przebijało się przez mleczną,
wilgotną mgłę. Po drodze mijały nas liczne kobiece komanda zdąża-jące z FKL do
pracy w Harmężach. Każda z kobiet niosła przynajmniej dwie cegły na budowę
kurników. Nasz po-sten wesoło pozdrawiał znajome aufseherin, którym towa-
rzyszyły tresowane psy. Kapówki krzykiem i biciem do-pingowały wynędzniałe
więźniarki, uginające się pod ciężarem niesionych kilometrami cegieł. Minawszy
wymarłą wieś, dostaliśmy się na otwartą przestrzeń. Tu mgła robiła się rzadsza i
widać teraz było z daleka sterczące liczne wieżycy oraz płaskie bloki obozu w
Birkenau. Zaraz za przejazdem kolejowym, kilkaset kroków w prawo, wid-
niały zabudowania Gartneri Rajsko. Minawszy je, znale-źliśmy się w najbliższym
sąsiedztwie głównego obozu w Oświęcimiu, o czym świadczyły tysięczne rzesze wię-
niów maszerujących do pracy „ze śpiewem na ustach W drewnianych zabudowaniach
Industriehof pozostawi-liśmy furmankę i już bez posta – jako że byliśmy w obrę-
bie dużego łańcucha straży – udaliśmy się na block full rerstube, gdzie po
zameldowaniu się weszliśmy do ohozu Umówiłem się z vorarbeiterem, by w południe
przyszedł po mnie na rewir pomóc zabrać medykamenty. Sam uda-łem się do
lageraltestera Bocka prosić o przydział lekarstw dla komanda. Bock kazał mi się
udać na blok 28, na strych gdzie obecnie znajdowała się wielka sortownia
wszelkich lekarstw pochodzących z dobytku ludzi przywożonych

175.

masowo do obozu. Życzliwi koledzy załadowali mi dwie pełne walizy wszelkich
medykamentów, równocześnie dając szczegółowe objaśnienia, co do czego ma służyć,
bo zdawali sobie sprawę z faktu, że przecież jestem jedynie komandoznachorem".
Nie zapomniałem o „cuprexie” i podpaskach higienicznych, co skłoniło
jednego z kolegów do zrobienia pouczającej uwagi, w jaki sposób mam je zakładać
swym pacjentkom. Z dietkuchni dostałem trochę prowiantu, jak biały chleb, kaszę
mannę i cukier, z przeznaczeniem dla „żołądkowców”, co – z góry przewidywa-
zarekwiruje mi kapo. Prócz tego „tolińszczak” zadbał o to, bym miał pod
dostatkiem różnych kropli pachną-cych alkoholem w rodzaju waleriany czy innych.
Zastrzy-ków nie brałem, bo nie umiałem się z tym obchodzić, zre-szta te były
cenione, gdyż nigdy nie było ich za wiele dla potrzeb rewiru. Ktoś dorzucił mi
jeszcze kilka butelek z płynem do płukania ust o mentolowym zapachu, robionym
ponoć na spirytusie. Smak tej „francówki” – jak nazywano w obozie tę wodę –
znałem jeszcze z okresu mego pobytu w szpitalu, kiedy to ktoś odkrył, że
przypomina wódkę ; skosztowałem jej, co później odchorowałem. Rzeczywistość
przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Byłem posiadaczem medykamentów, których
mogło star-czyć na długi okres dla potrzeb dużego komanda. Jak kapo zobaczy

zawartość dwu dużych walizek, na pewno urosnę w jego oczach, a co za tym idzie, utwierdzą go w przekonaniu że jako pielęgniarz jestem niezbędny w jego komandzie. W czasie gdy Bock załatwiał mi zezwolenie na wywiezienie lekarstw z obozu, czekając na swojego vorarbeitera, odwiedzałem kolegów, by sobie trochę poplotkować. Na rewirze działo się nie najlepiej. Entress robił często selekcje, skutkiem czego ciężej chorzy szli masowo na szprycę. SDG Klehr, mój „przyjaciel”, wyżywał się robiąc dziennie kilkadziesiąt zastrzyków z fenolu. Pańszczyk wprawił się w tym rzemiośle, dzielnie mu sekundując. Od pewnego czasu Politische zaczęło się interesować działalnością szpitala, zwłaszcza od momentu, kiedy spostrzeżono iż ostatnimi czasy zmarło w szpitalu kilku obozowych szpiclów nasłanych na rewir jako funkcyjni bądź chorzy. Ostatnio też zmarło nagle paru kapo odznaczających się nadmierną gorliwością w mordowaniu i dręczeniu więźniów, stąd ta napięta i nerwowa atmosfera. Nie dość że szpital był znienawidzony przez ogół więźniów – bo był,

176.

rzecz biorąc ogólnie, wykańczalnią – dodatkowo zyskał złą sławę w oczach prominencji obozowej, uważającej, iż z racji swych funkcji powinni być specjalnie traktowani. Oddział Polityczny po stracie poprzednich szpiclów nasłał na rewir nowych, którymi – nauczony poprzednim doświadczeniem – specjalnie się opiekował, czym w większości zagwarantował im życie, ale też zarazem pozwolił nam ich rozszyfrować. Pozycja Bocka jako lageraltestera Krankenbau została zachwiana tarciami wewnętrznymi wśród personelu szpitala, którego pewna część chciała się Bocka pozbyć, biorąc pod uwagę jego niefachowość i fa-woryzowanie grupy młodych ludzi bezużytecznych dla szpitala, aczęściowo przez niego zdeprawowanych. Politische natomiast widziało w nim opiekuna Polaków, stanowiących zdecydowaną większość pracowników szpitala.. Coś złego wisiało w powietrzu.

Gienek Obojski, powszechnie lubiany, dotychczas spokojny i zrównoważony, wdał się w awanturę z kilkoma blokowymi, staczając z nimi nierówną walkę, później głós –no komentowaną w obozie. Otóż w czasie wykonywania swej zwykłej pracy zbierania zmarłych po blokach nigdy ich nie brakowało – zwrócił uwagę blokowemu słynnemu z mordowania więźniów dla zdobycia ich porcji chleba, że ukrywał przed leichentragerami trupy, licząc je w stan żyjących, co umożliwiało mu wyfasowanie dla nich żywności, którą oczywiście zabierał dla siebie, natomiast leichentragerom utrudniał pracę, wprowadzając zamieszanie w prowadzonej przez nich „książce zmarłych”; musiała bowiem „grać” – inaczej apele nie zgadzałyby się Obojski dobrze wiedział o tych ciemnych machinacjach blokowych, znosił je długo, aż w końcu nie wytrzymał. Do-szło do sprzeczki, później do rękoczynów. Pierwszy ude-rzył blokowy, a Obojski wiele nie czekając oddał mu z od-powiednią dokładką. Blokowi powalany krwią wybiegł z krzykiem po posiłki. Zgrana banda morderców rzuciła się na Gienka, ale ten, jako że nie był ułomkiem, sam sta-wił czoło atakującym, niczym Sienkiewiczowski Longinus Podbipięta Tatarom. Chwyciwszy w swe ręce pierwszego z nacierających, wywinał nim wkoło, waląc pozostałych tym żywym taranem. Nie mogąc rozjuszonymu Obojskiemu dać rady, pobici pobiegli na blockfuhrerstube po esesmanów, meldując, że w obozie powstał „bunt” Polacków.

177.

Palitzsch biegł pierwszy z odsieczą uśmierzyć buntowników, czując, że będzie mógł się do woli wyżyć. Zobaczywszy jednak Obojskiego, samotnie broniącego się przed zgrają rosłych i wytrawnych bandziorów, który nie tylko bronił się dzielnie, ale nokautował po kolei każdego z następników, wpadł w szal i sam zaczął pracować blokowych za ich niedołożestwo. Finał był taki, że Obojski dostał zulage za to, że dobrze bije, blokowym zaś urządził Palitzsch męczący „sport”, żeby na przyszłość nabrali kondycji. Koledzy relacjonowali mi przebieg tego dramatycznego i znamienego incydentu w obecności Gienka, który śmiejąc się zarzucił im, że zbyt koloryzują, jednakowoż nie zaprzeczał, iż we własnej obronie dał solidną nauczkę blokowym, nie ponosząc przy tym sam większej szkody. |W południe zjawił się vorarbeiter. Pożegnałem się z chłopakami, każdemu obiecując kurczaka bądź rybkę, których notabene pracując na Harnmähren sam nie zdążyłem nawet zobaczyć. Zabrawszy walizki z medykamentami – tę cięższą

wręczyłem vorarbeiterowi, lżejszą prze-znaczając sobie – skierowaliśmy się ku wyjściu z obozu. Blockftihrer powiadomiony wcześniej przez SDG nie grzebał specjalnie w walizkach, znając z grubsza ich zawartość tak że po chwili byliśmy już na Industriebhof. Załadowawszy walizy na wóz, oczekiwaliśmy na naszego konwojenta.

Posten, niezmiernie ciekaw zawartości walizek, kazał popędzać konie, by jak najprędzej wydostać się z zasięgu obozu. Gdy tylko znaleźliśmy się w szczerym polu, otworzył grzebiąc niby to z ciekawości, zabrał parę drobiazgów.

Sam byłem ciekaw, co znajduje się w niektórych pudełeczkach, toteż otwierałem je kolejno, licząc na los szczęścia, wiedziałem bowiem, że część z tych lekarstw nie była jeszcze segregowana. Nasz posten zapewne też słyaszał- że podczas segregowania zarekwirowanych Zugangom

znajdowano wiele cennych przedmiotów, ukrytych- przemyślnie przez niepewnych swego losu właścicieli ludzających się w swej naiwności, że co jak co, ale lekarstw im przecież nie zabiorą. Nie miałem szczęścia znaleźć cokolwiek.

Na, was hast du organisiert, Pfleger? – przywitał

1.No coś tam zdobył, pfleger?

178.

nas kapo, skoro tylko zajechaliśmy przed pałacyk. Z satysfakcją pokazałem dwie duże walizki spoczywające w koszu furmanki. Kapo aż gwizdnał ze zdumienia. Zawołał swą kapo i natychmiast wzięli się do przeglądania i dzielenia medykamentów. Biały chleb oczywiście uznał za swoją własność, obdarowując nim szarmancko Niemkę. Jej też zaraz musiałem zmienić opatrunek, tym razem na właściwy, bo już było z czego.

Kapo kazał zrobić apteczkę, dla której przeznaczył część lekarstw. Będzie ona umieszczona w naszym domku jako podręczna apteka. Reszta lekarstw pozostanie w pa-łacu do dyspozycji tak kobiet, jak i naszej. „Francówka”, po rozpoznaniu oczywiście, była przeznaczona do wyłącznego użytku kapo, który zwąchał w niej spirytus. Przeglądając jeszcze raz lekarstwa, przypadkowo otworzyłem je-dno z pudełek zawierających watę. Ku mojemu zdziwieniu i rozpaczcy – kapo przez cały czas zaglądał mi przez plecy – wraz z watą wysunął się z pudełeczka złoty męski zegarek na rękę. Kapo natychmiast go zarekwirował.

Wieczorem musiałem znowu masować obolałego kapo. Masować było lżej, bo posmarowałem go maścią kamforową. O zegarku nawet nie wspomniał, poza tym był wsta-wiony. Zajeżdżało od niego alkoholem, kamforą, a przede-wszystkim mentolem. Kapo tłukł się po nocy szukając po ciemku kubła. Miał torsje. Dobrze mu tak! Teraz kiedy pluskwy uspięne „cu-prexem” pozwalały mi usnąć, znowu ten pijaczyna nie da-wał mi spokoju. Zaaplikowałem mu pierwsze lepsze kro-ple, po czym niespodziewanie zapadł w głęboki sen.

Rano wyglądał rzeczywiście na chorego. Jako „zna-chor” wiedziałem, że są to skutki zatrucia alkoholem skaż-żonym różnymi świństwami. Alkohol i kamfora zdażyły już z niego wywietrzeć, ale ciągle jeszcze zajeżdżał mento-lem. Poprzedniego dnia musiał się solidnie uraczyć wodą do płukania gardła. Patrząc na mnie złym okiem mruczał ze złością: – „Francówka”, „francówka”!...! Czy ja kazałem mu ją pić?...

Rozdział XLVII

Niebawem okazało się, że szumna funkcja komman-dopflegera była niestety fikcją. Kapo wcale nie dał mi lżej-

179.

szej pracy. W dalszym ciągu lasowałem wapno bądź robi-łem wykopy pod budowę kurników, które później przyszło mi stawiać. Po prostu byłem murarzem, a stanowisko pie-lęgniarza traktował kapo jako moje dodatkowe zajęcie, absorbując mój wolny czas głównie dla swoich potrzeb. W miarę zyskiwania sobie coraz większej popularności jako jedyny pielęgniarz – nie mogłem się już dekonspiro-

wać- na całe Harmęże, siłą faktu stałem się prawdziwym znachorem. Ludzie potrzebowali pomocy. Jeszcze pół biedy jeżeli chodziło o opatrunki. Gorzej, jak ktoś naprawdę był chory. Zmuszony byłem „czarować”, jak powiadał je-dyny wtajemniczony, Kolczyński. Dawałem wówczas jakąś pastylkę, najczęściej aspirynę, co zaszkodzić nie mogło a czasem nawet pomagało. W drastycznych wypadkach kierowałem do szpitala w głównym obozie, na co kapo wyrażał czasem zgodę. Czas leciał. Nastąpiła pełna jesień a wraz z nią beznadziejne szarugi i chłody. Poranki były bardzo zimne, rosa zamieniała się w szron. Coraz częściej wspominałem dobre rewirowe czasy, kiedy pracowało się pod dachem.

Pwne go jesiennego ranka, pracując przy oczyszczaniu cegieł pochodzących z rozbiórki, zobaczyłem nie kończące się kolumny kobiet ciągnących od strony Birkenau. Każda z tych kobiet niosła po dwie lub trzy cegły, które po dojściu do wyznaczonego miejsca z ulgą zrzucały, po czym zawracały, by za parę godzin powrócić z nowym ładunkiem. Kobiety były boso, w zniszczonych letnich sukienkach, przez które przeświecało gołe ciało. Wszystkie były młode, opalone, ze śladami jeszcze nie zatartej przez obóz urody. Były to Żydówki z transportu holenderskiego. Esesmanki szczuły je psami, a kapówki ze szczególną pasją znęcały się nad tymi nieprzytomnymi ze strachu dziewczętami. Smutny ten pochód przybywał do nas dwa lub trzy razy dziennie. Co dzień było ich mniej, a te, które pozostały przy życiu już po tygodniu upodabniały się do starych, zniszczonych kobiet, w których trudno byłoby się domyślić tych samych dziewcząt sprzed paru dni. Minęło jeszcze kilka dni po, czym nawet te przestały przychodzić. Na pewno zlikwidowano je jako nie nadające się do pracy. Nasz kommandofuhrer nie miał z tym większego zmartwienia, bo cegły było pod dostatkiem, a i kurniki były na ukończeniu.

Myśl o nadchodzącej zimie przerażała mnie. Jak ja wy-

180.

trzymam w tym nędznym komandzie, skoro już teraz jest mi zimno i czuję się nieszczególnie. Na domiar złego kapo zmienił w stosunku do mnie front, stając się dokuczliwy. W dalszym ciągu cierpiał na reumatyzm i lumbago, z którego nie umiałem go wyleczyć.

„Jaka praca, taka płaca”. W myśl tej mądrej dewizy za-rzuciłem męczące mnie i upokarzające w oczach kolegów masaże kapo. Pracowałem w komandzie na równi ze wszystkimi, mogłem być dodatkowo kommandopflegerem, ale nie miałem zamiaru dłużej spełniać funkcji „osobistego lekarza” jaśnie pana kapo. Pał go diabli!... Ma swoją apteczkę, niech więc zre pastylki, różne „schmerztabletki” i za-pija je „francówką”, do której znów powrócił po wyczer-paniu się zapasu wódki za sprzedany esesmanowi zegarek, Moje masaże nie wyleczyły go co prawda, ale przynosiły poprawę, zwrócił się przeto do mnie jednego wieczora, bym go wymasował.

– Tabletten nicht gut!... – powiedział krzywiąc się. – Du sollst mir die Massage machen!¹ – dodał rozkazująco,

Niech cię śmierć masuje!... – zmełłem w duchu prze-kleństwo, siląc się na grzeczną, acz wykrętną odpowiedź:

– Ich bin heute auch krank, Herr Kapo!... Ich habe Lumbago!² – I żeby to jakoś udokumentować, skrzywiłem się boleśnie, łapiąc się za biodro gestem zapożyczonym właśnie od kapo. Zdaje się, że przebrałem miarkę, bo wrzasnął z trudem hamując wzbierający gniew.

– Waaaaas?!...

Krew uderzyła mu go głowy, szczerwieniał, ale jeszcze opanował się. – Also, gut... gut!... – syknął. – Geh weg Zawołał swego pipla.

– Stubendienst!... Bring mir Kamforasalbe!³ Stubendienst, wyszukawszy tubę z maścią, podał ja

swemu panu. Kapo własnoręcznie rozmasował maść po obolałych miejscach, mówiąc niby to do siebie, a niby do pipla, ale tak, bym ja usłyszał.

– Ja!... Jetzt muss ich selbst das machen!... Unser

1 Tabletki niedobre!... Powinieneś mnie masować!

2 Jestem dzisiaj także chory, panie kapo'.... Cierpię na linn bago!

3 Coooo? A więc dobrze... dobrze! Wynoś się!

4 Stubendienst! Przynieś mi maść kamforową!

„Herr Pfleger" ist heute sehr krank! – i podnosząc głos dodał uszczypliwie: –Er hat Lumbago!... „Lumbago"!...1

Nie wróżyło to nic dobrego. Przeholowałem! Nazajutrz rano kapo wstał rześki, ale zły. Był pełen energii i musiał ją w jakiś sposób wyładować. Wypędzał nas na dwór przez wąskie drzwi, krzycząc i popychając, jakbyśmy mogli zmieścić się w nie wszyscy naraz. Ponieważ ja „miałem lumbago, udawałem w dalszym ciągu konsekwentnie, nie pchając się, wlokłem się na samym końcu. Gdy stanąłem w drzwiach, niespodziewanie dostałem z tyłu takiego ^kopa, że w jednej chwili znalazłem się na dworze, i to na czworakach. Podniosłem się natychmiast, ale poczułem, że chyba mam przetracony krzyż. Ból rozprzestrzenił się szybko i nie mogłem już się wyprostować. Kapo zmitygowawszy się nieco, próbował obrócić to niefortunne kopnięcie w żart. Klepiąc mnie przyjacielsko po plecach powiedział siląc się na dowcip:

– Weisst du, Pfleger, das ist die beste Massage gegen lumbago!2 – po czym jeszcze raz, tym razem kolaniem, zademonstrował lekkie kopnięcie w mój już porządnie obolały tyłek.

Podczas marszu do pracy, zobaczywszy, że idę pokrzywiony, przykleił się do mnie, usiłując być jak najbardziej przyjacielski:

Du musst einmal etwas Medikamenten organisieren und die „Francówką" auch!3 – zaśmiał się, mrużąc znacząco oko.

! ! .,:!|

Czekaj, dam ja ci francówki!... fenolu prędeż, ty psi ' synu – przeszło mi przez myśl, głośno jednak wyraziłem chęć przywiezienia z Oświęcimia dużo lekarstw i jeszcze więcej jego ulubionej francówki. Postanowiłem tym razem skorzystać z okazji i jak uda mi się zadekować na rewirze, nie wrócić już więcej do tego zwariowanego kapo i komanda, mając ich wystarczająco dosyć, tym bardziej że zbliżała się zima.

Nagła gorączka, której dostałem na skutek silnego przeziębienia, przyspieszyła moją decyzję. W każdym razie nie zdradzałem się przed kapo, że mam gorączkę i kwalifi-

1.Tak! Teraz sam muszę to robić!... Nasz „pan pfleger" jest dzisiaj bardzo chory!... On cierpi na lumbago!... „Lumbago"!...

2.Wiesz, pfleger, to jest najlepszy masaż przeciw lumbago!

3.Musisz znów zdobyć trochę lekarstw!... i „francówkę" też!

kuję się do szpitala. Mógłby wtedy coś podejrzewać i nie zezwolić na wyjazd po lekarstwa, mając pewne obawy, że nie powrócę już więcej do Harmęż.

Rozdział XLVIII

W pierwszych dniach października jechałem furmanką do Oświęcimia, wysłany tam przez kapo, z mocnym postanowieniem pozostania na rewirze. Wraz ze mną jechał więzień z komanda rybnego wezwany przez Politische. Można się było łatwo domyślić, że była to jego ostatnia podróż. Na pewno go rozwała. Więzień musiał zdawać sobie z tego sprawę, bo siedział smutny, z wyrazem skupienia na twarzy, nie odzywając się do nikogo. Zająłem miejsce obok niego, mając za plecami woźnicę, również więźnia, cmokającego i czule przemawiającego do konia człapiącego leniwie po wyboistej drodze. Naprzeciw nas rozsiadł się wygodnie esesman, nasz jedyny konwojent. Starszy już wiekiem, wyglądał na pocziwinę zadowolonego z tego, że siedzi tu sobie spokojnie, zamiast sterczeć godzinami na którymś ze stanowisk postenkiety z karabinem gotowym do strzału.

Minąwszy Harmężę znaleźliśmy się w szczerym polu z daleka od Birkenau i jeszcze

dalej od stammlagru. Wkoło było cicho i pusto, widocznie mgła spowijająca całą okolice gęstym welonem opóźniała wymarsz komand do codziennej pracy. Wymarzona okazja do ucieczki! Spojrzałem trwożnie na kolegę siedzącego obok. Co będzie, jeśli jemu przyjdzie nagle ochota do ucieczki? Właściwie jest to jedyna szansa, jaka mu pozostała. Czy odważy się?... A co potem będzie z nami?... Ze mną!... Na-wet nie mógłbym się ruszyć!... Z gorączką i odbitym tyłkiem daleko bym nie zaszedł!

Już od dłuższego czasu obserwowałem posta daremnie usiłującego zapalić papierosa. Jakoś mu to nie szło, zapalniczki ciągle gasły.

– Donnerwetter! – zaklął, oparłszy karabin o brzeg kosza furmanki podrygującej na wiejskiej drodze. Esesman był całkowicie pochłonięty zapalaniem papierosa. Za-

1 Do stu piorunów!

183.

zapalniczki jak na złość ustawicznie gasły. Tymczasem karabin centymetr po centymetrze zjeżdżał w kierunku kolegi, aż w końcu oparł mu się lufą na kolanach. Więzień jakby nagle obudzony ocknął się z zamyślenia, spojrzał na esesmana mordującego się z zapalniczkami, powoli ujął lufę w dłonie zgrabiały i czerwone od zimna. Błysnął płomień, zapalniczka wreszcie się zapaliła. Posten, zaciągnawszy się mocno pierwszym haustem, z ulgą dmuchnął kłębami dymu. W olną ręką macał miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą odłożył karabin, i w tym dopiero momencie spostrzegł, że trzyma go więzień, który zdążył już podciągnąć go na wysokość swego biodra. Esesman zeszytniał. Siedział teraz jak zahipnotyzowany. papieros przylepiony do jego rozchylonych warg dopalał się powoli. Więzień, trzymający broń w drżących rękach wydawał się niezdecydowany: ostrzelać, rąbnąć kolbą między oczy czy po prostu oddać ją Niemcowi. Zdawało się, że trwa to nieskończenie długo. Woźnica nie zdając sobie sprawy z tego, co dzieje się za jego plecami pogwizdywał sobie w najlepsze. Koła wozu z chrzętami łamały tafle lodu na zamrzniętych kałużach polnej drogi. Sekundy wydawały się wiecznością. Niechże wreszcie stanie się to, co i tak musi się dokonać!... Byłem cały mokry od potu, czułem, jak lepi się koszula do wilgotnego ciała. Ujechaliśmy tak, nieporuszeni, spory kawał drogi. We mgle poranka rysowały się już pierwsze wieże Birkenau. W wargach trupio bladego esesmana dopalał się ogarek papierosa. Woźnica odwrócił się. Może wyczuł drżenie moich pleców dotykających go. Ocenivszy w lot sytuację też znieruchomiał. Esesman niespodziewanie uśmiechnął się swobodnie, wyjął z ust niedopałek, ale bibułka przylepiła się mu do wargi, więc splunięciem usiłował się jej pozbyć, co w końcu mu się udało. Sięgnawszy do kieszeni wy dostał blaszane pudełko, po czym skierował wyciągniętą dłoń do więźnia z karabinem, częstując go papierosem, jakby nic się nie stało. Ten gest był dobrze obliczony. Posten zdawał już sobie sprawę z faktu, że na wszelki odruch ze strony więźnia było stanowczo za późno, a bliskość wież strażniczych dodała mu odwagi. Prostym, naturalnym gestem rozładował napiętą sytuację. Więzień sięgnawszy po papierosa jedną ręką, drugą podał karabin postowi, również naturalnie, jak ten mu papierosy. Z kolei esesman wręczył więźniowi zapalniczkę. Zapalniczki i tym razem nie chciały się zapalić. Wtedy podał mu swój niedopałek

184.

jeszcze żarzący się, by mógł sobie odpalić. Teraz więzień zaciągnął się głęboko, wydmuchując po chwili niebieskawy dymek, rozplywający się szybko we mgle poranku, Cała ta scena odbyła się w milczeniu. Chociaż zdawało się, że Niemiec wyszeptał:

– Danke!... – Być może, że przesłyszałem się.

Jeszcze tego samego dnia do Harmęż wracała furmanka tylko z dwoma osobami: konwojent esesman i więzień woźnica. Ja zostałem na rewirze. Więzień wezwany przez Po-litische pozostał na dziedzińcu bloku 11, rozstrzelany pod ścianą śmierci.

Rozdział XLIX

Zostałem przyjęty do szpitala w stan chorych. Miałem dosyć wysoką gorączkę i zanosilo się na dłuższą chorobę. Po trzech dniach jednak gorączka spadła i właściwie byłem już zdrowy. Koledzy umieścili mnie w sali na pierwszym piętrze

bloku 28, w luksusowych wprost warunkach gdzie były pojedyncze łóżka z poszewkami i prześcieradła mi. Była to sala przeznaczona wyłącznie dla prominentów w której leżało zaledwie kilkunastu chorych. Salowym był Andrzej M., dobry kolega. Pomimo że byłem już zdrowy przetrzymywał mnie jako chorego, fałszując moją kart gorączkową wiszącą nad łóżkiem. SDG Klehr zaglądał tu rzadko – nie było tu dla niego „pacjentów” – a dr Entress jeszcze rzadziej. Obawiając się być rozpoznany przez Klehra – uprzedzany każdorazowo o jego nadejściu przez Andrzeja lub jego brata opuszczałem cichaczem salę, kryjąc się najczęściej w ubi-kacji lub w waschraumie. Nastąpiła już pełna jesień z deszczem, ze śniegiem, wiatr gwizdał ponuro w gałęziach pobliskich topól, gdy tymczasem ja leżałem sobie wygodnie w ciepłym łóżku, chroniony i dokarmiany przez życzliwych kolegów. Z czasem doszło nawet do tego, że wymykałem się wieczorami na lager, by zobaczyć się z moimi przyjaciółmi. Jednego razu Edek Ga-liński zaprowadził mnie na blok 4, gdzie mieszkali więniowie Żydzi pracujący w aufräumungskommando, zwanym popularnie „Kanada”. Spotkałem tam Dawida. Powodziło mu się teraz doskonale. „Kanada” to nie Buna. Dawid był wyżarty, wyglądał

185.

świetnie, w doskonałym nastroju. Opowiadał, że spodziewają się jutro bogatego i dużego transportu z Holandii. To dopiero będzie „Kanada”!... Dostałem od niego pudełko sardynek i kawałek czekolady. Któregoś popołudnia leżąc w łóżku drzemałem sobie w najlepsze, kiedy do sali wpadł zaaferowany Obojski.
- Wiesiek, złaż zaraz na dół... coś ci pokażę!... Ucie-szysz się!... – Gienek zaprowadził mnie do piwnicy, gdzie mieściła się trupiarnia. Na betonie jak zwykle leżała sterta trupów. Obok jakiegoś wielkiego ciała olbrzyma przykryte kocem. Zdarłszy koc jednym pociągnięciem, Gienek uklonił się szarmancko, zwracając się do mnie tymi słowami:
- Oto u stóp twoich twój serdeczny przyjaciel!
- Leo!... – krzyknąłem niezmiernie zdziwiony. Śmierć należy uszanować, chociażby spotkała największego wroga. Ale ja wprost pałałem szczęściem. Z uciechy odtąńczyłem jakiś zwariowany taniec, skakałem przez olbrzymie cielsko, teraz niegroźne, dotykałem muskularnych ramion, obecnie zwiotczających, od których kiedyś tyle wycierpiałem, przedrzeźniałem i naigrawałem się z tego kolesa przed którym drżał cały obóz, a ja chyba najbardziej. Przeżyłem cię, bandyto!... Nie wykończyłeś mnie...! to ciebie wszy zjadły...! – triumfowałem.
Od Gienka znałem już szczegóły jego śmierci. Zmarł na tyfus plamisty. Podobno starano się go utrzymać przy życiu za wszelką cenę. Jako lageraltester Birkenau miał udo-stępnione wszystkie środki, by zabezpieczyć się przed ty-fusem, jak i jego następstwami. Pakowano weń lekarstwa i zastrzyki. Pielęgniarki nie opuszczali go nawet na sekundę. Niezwykle silny i zdrowy organizm mimo wszystko nie wytrzymał. Chociaż...? – Mówiono potem w tajemnicy, że jednak ktoś pomógł mu umrzeć. Został więc zgładzony. Podobno nawet wiadano, kto to uczynił. Tak czy owak obóz pozbył się jeszcze jednego bandziora, a ja miałem o jednego wroga mniej. Zawsze to lżej człowiekowi. Tego wieczora modliłem się żarliwie, dziękując Bogu, że zabrał jednego z największych katów obozu oświęcimskiego. Oby tak dalej! Nadzieja wstąpiła w moje serce. Może przeżyję ten obóz?- pomyślałem pierwszy raz w ten sposób, jak o rzeczy zupełnie możliwej. Niestety, w obozie pozostali jeszcze inni godni miana nawet większych zbrodniarzy niż Leon Wietschorek. Chociażby Klehr. Unikałem go, jak tylko mogłem, ale złapał mnie w końcu. Wychodziłem wła-

186.

śnie z sali pielęgniarki, gdzie dodatkowo się dokarmiałem, i wlałem wprost w objęcia Klehra. Oczywiście natychmiast mnie poznał.
- Was machst du hier?!1 – zapytał, przypatrując mi się badawczo.
- Ich bin krank!2 – szybko odpowiedziałem, ale bez przekonania. Wyglądałem dobrze i zdrowo, w niczym nie przypominając chorego.
- Krank bist du?Ha, ha!... Von welchem Saal bist du, was?!3... Blockaltester!

Lageraltester! – rozdarł się wściekły, aż zacharczał. Wpadłem sromotnie. Kazał mnie natychmiast wypisać na lager. Meldunek zrobi osobiście. Blokowemu groził bunkrem, Bocka zwy-myślał okropnie, a mnie to chyba uważał już za „załatwio-nego”. Raz mi się udało, ale teraz to już koniec. Koło połu-dnia wezwał mnie Bock do swego pokoju na blok 21. Sze-dłem jak na ścięcie. Bock mrużąc swe małe oczka przypatrywał mi się w milczeniu. Kąciki ust mu drżały, przez chudą, pofałdo-waną bruzdami twarz przebiegały śmieszne grymasy! które zwykł robić w chwilach wielkiego zdenerwowania lub gdy miał dobry humor. Wreszcie odezwał się.

– Du hast Gltick, mein lieber... alter Spitzbube!⁴ Jest w humorze, stwierdziłem z zadowoleniem i ulgi

To dobry znak!

– SDG Klehr macht mit dir... Schluss! – mówiąc to ostatnie słowo, pokazał wymownym gestem, w jaki sposób to uczyni. – Aber ich werde ihm einen „Spas” machen! Verstehest du?⁵ – starał się mówić jak najprostszym języ-kiem, bym go zrozumiał, wiedząc, że niemieckiego prawie nie znam. Otóż Bock, chcąc mnie ratować przed Klehrem postanowił usunąć mnie z pola widzenia. Korzystając te-raz z tego, że jest zajęty robieniem zastrzyków na sali za-biegowej bloku 20, a do Brzezinki jedzie za chwilę sanita-ka, wypisał mnie nie tylko z rewiru, ale w ogóle z głów-

1 Co tu robisz?!

2 Jestem chory!

3 Tyś chory? Cha, cha!... Z jakiej sali, co?!

4 Masz szczęście, mój kochany... stary szelmo!

5 SDG Klehr wykończy cię!... Ale zrobię mu kawał!... rozu-miesz?

187.

nego obozu, przenosząc mnie do obozu w Birkenau. Nawet jeśliby Klehr zapytał go o mnie, pokaże mu moją kartę werlegungową do Brzezinki, gdzie, jak wiadomo, mieściła się karna kompania, do której Klehr miał zamiar mnie po-słać. Klehr będzie usatysfakcjonowany, a ja zamiast do SK pójde do grupy pflegerów pracujących czasowo na rewirze kobiecego obozu podlegającego innemu lekarzowi SS, jak też i innemu SDG, gdzie Klehr nie ma nic do szukania. Po chwili siedziałem w sanitarce wiozącej mnie do Birkenau. Tam miał się zacząć nowy etap mojego życia obozowego.

Rozdział L

Po kilku minutach jazdy auto ze znakiem Czerwonego Krzyża zatrzymało się przed bramą kobiecego obozu. Ciekawe aufseherki zaglądały do auta jedna przez drugą, wreszcie jakiś młody blockfuhrer zezwolił wjechać do obozu. Wjechalismy w obręb szpitala, sanitarka zatrzymała się przed niewielkim drewnianym baraczką. SDG Scherpe, otworzywszy drzwi wozu, kazał mi wysiąść i wnieść przywiezione pudła medykamentów do środka baraku.

Nagle znalazłem się w innym świecie. W jednej chwili otoczył mnie rój rozszczebiotanych młodych kobiet. Jakże bardzo różniły się one od tych, które widywałem ostatnio na Harmężach. Przede wszystkim miały na głowie włosy, normalne, długie kobiece włosy, starannie uczesane, przykryte czystymi chustkami. Ubrane w schludne pasiaki, pończochy i trzewiki, niczym nie przypominały obdartych, brudnych, bitych, głodnych i zaszczutych więźniarek z aussenkommando. Widać było, że jakkolwiek są też więźniarkami pozbawionymi wszelkiej godności jak wszyscy koledzy, traktowano je łagodniej niż pozostałe. SDG znał je nawet po imieniu, odnosił się do nich przyjaźnie, a one do niego z pewną dozą poufałości. Z chwilą ukazania siękapo rewiru, przystojnej, o miłej powierzchowności, politycznej", bo z czerwonym winkiem, Niemki oraz towa-

rzyszago jej oficera SS dr. Rhode dziewczęta rozpierzchły się w popłochu, zasiadając do swoich prac biurowych. Zaczęto przeglądać przywiezione medykamenty, w trakcie czego wszedł do schreibstuby dr Zbozień. Wszyscy zdawali się być bardzo zadowoleni z dostarczonych leków,

188.

co nawet udzieliło się wysokiemu i tęgiemu lekarzowi SS o burszowskiej fizjonomii – ale widać człowiekowi o ludzkich uczuciach.

Stałem samotnie na bloku w pobliżu żelaznego, roz-grzanego do czerwoności piecyka, rozglądając się ciekawie po otoczeniu. Dopiero po chwili dostrzegł mnie dr Rhode, Widząc obcą twarz, ze zdumieniem zapytał:

– Was macht der hier?¹ – Stanąwszy na baczność,² zacząłem recytować wyuczoną formułę meldunku. Nie do-kończyłem, bo przerwał w połowie zdania, zwracając się pytającym gestem do SDG. Scherpe jednym tchem wytłumaczył moją obecność.

– Lageraltester Bock hat noch einen Tischler ge schickt, Herr Obersturmbannfu.hrer!²

Zbozień spojrział na mnie przelotnie kątem oka, najwi-doczniej zdziwiony moim nowym zawodem – z rewiru znał mnie jako stubendiensta i leichentragera, obecnie wróciłem do swego pierwszego zajęcia, jakie miałem w obozie. Dr Rhode oceniwszy krytycznie moją postać ocena wypadła chyba pomyślnie, bo wyglądałem sobie nie-źle – powiedział jakby do siebie:

– Sehr gut, sehr gut!... Wir haben hier viel Arbeit! po czym wdał się w rozmowę z kapo rewiru.

Dr Zbozień objaśnił mi, na czym miała polegać moja praca. Skoro Bock przysłał mi tu w charakterze stolarza, będę pomagał zatrudnionemu już w komandzie pfle-gerów stolarzowi z prawdziwego zdarzenia, Staszкови Pa duchowi.

– Staszek jest teraz na którymś z bloków szpitala, po-szukaj go. Ja muszę pójść zaraz do chorych.

Poszukując Staszka znalazłem się na bloku 24, gdzie natknąłem się na Julka K., opiekuna tego bloku z ramienia dr. Zbozienia, czuwającego nad całością kobiecego rewiru Julek przedstawił mi blokowej.

– Mutti, das ist der neue Pfleger!⁴ – Prezentował mi otyłej, starszej już wiekiem Niemce, ubranej w biały

1 Co ten tu robi?

2 Lageraltester Bock przysłał jeszcze jednego stolarza, panie obersturmbannfuhrer.

3 Bardzo dobrze, bardzo dobrze!... Mamy tu dużo roboty

4 Mateczko, to jest nowy pfleger!

189.

kitel zopaską blokowej na rękawie. Zerknąłem na jej win-kiel czarny! Mutti podając mi do uściśnięcia swą pulchną dłoń, zaszwargotała ochrypłym głosem do stojącej obok ^zażywnej blondyny, przyglądającej się mi ciekawie.

Hast du gehórt Anni? – po czym zwracając się do mnie wyjaśniła: – Anni ist meine Vertreterin!¹

Uścisnąłem tym razem miękką i delikatną dłoń zastępczyni blokowej. Anni uśmiechnęła się wcale sympatycznie, nie puszczając ze mnie wzroku. Biała, czysta bluzka opinała ciasno jej duże piersi. Czarny trójkąt odcinał się wyraźnie na tle tej falującej bieli. Stałem zakłopotany, nie wiedząc, o czym mam z nimi rozmawiać. Na szczęście w otwartych drzwiach szuby ukazała się nowa postać. Była to młoda, ładna dziewczyna, Polka, którą widziałem przed chwilą w schreibstuby. Julek natychmiast się ożywił.

Halino, poznaj mojego przyjaciela... On zostaje w naszym komandzie i będzie pomagał Staszкови w sto-larce.

Zaczęliśmy rozmawiać, zapominając o obecności Niemek-
które po chwili zresztą wyszły, wywołane przez jakąś
więźniarkę. W toku rozmowy nietrudno było się zorientować się
że Julka łączyły zażyłe stosunki z Haliną, pełniącą funkcję schreiberki tego
bloku. Robili wrażenie zakochanej w sobie pary, co dziwnie kontrstowało z
otoczeniem. Wycofałem się – widząc, że pragną zostać sami – pod pretekstem
szukania Staszka, Zastałem go na bloku 23 reperującego duże wejściowe drzwi
baraku. No, jesteś wreszcie... „stolarzu”! – przywitał mnie wesoło – Już mi
doniesiono, że mam pomocnika – mówił nie przerwyając pracy, – Trzeba kobietom
drzwi uszczelnić bo wieje tu jak cholera! Przemarznię nam biedaczki... Patrz ile
ich tu leży – mówił wprowadzając mnie do wnętrza
baraku. Na trzypiętrowych łóżkach „ rozstawionych ciasno po obu stronach
długiego baraku leżały setki wynędzniałych postaci niewiele różniących się od
kościotrupów. Kilka kobiet siedziało w kucki na swych pryczach iskając się, Pare
innych zawzięcie biło wszy w kocach przypominających łaachmany, jeszcze inne
snuły się nago między łóżkami.

|1.Słyszałaś Anni?... Anni jest moją zastępczynią!

190.

mi, starając się być jak najbliżej oryginalnego pieca, zajmującego całą swą
długością środkową część baraku, łudzając się, że bodaj trochę się ogrzeją. Pod
ich bosymi stopami chlupało błoto przypominające gnojówkę. Żywe szkielety, o
zwisających piersiach, zapadłych łonach, brudnych, owrzodzonych ciałach. Już
lepiej przedstawiała się trupiarnia bloku 28 w męskim obozie! Widywałem tysiące
trupów, niezliczone rzesze muzułmanów, do których wi-doku zdążyłem się
przyzwyczaić nawet, ale te schorowane wygłodzone, zaniedbane i dogorywające
istoty zrobiły na mnie okropne wrażenie. Nawet patrzenie na nie było żenujące
Staszek zauważywszy, że unikam patrzenia w głąb baraku, wzięwszy mnie pod rękę,
poprowadził ku wyjściu.

– Przyzwyczaisz się wkrótce do tego widoku...ale może niedługo zmieni się coś na
korzyść. Po to właśnie tu nas sprowadzono... staramy się robić, co tylko jest w
naszych możliwościach. A teraz chodź, zaprowadzę cię do mego warsztatu!
Drobny śnieg padający od rana pokrył cienką warstwą zamrożone błoto. Pod
blokiem leżała sterta trupów, utworzona z kilkunastu nagich ciał kobiet
ułożonych niedbale jedno na drugim, między którymi uprawiały harce okazałe
szczury. Umknęły dopiero na widok zbliżających się dwóch więźniarek z obsługi
rewiru, wlokących za sobą zwłoki starej kobiety, niedawno widać zmarłej, bo jej
chude ciało było jeszcze wiotkie.

– Świeży pokarm dla szczurów... – powiedział Staszek, popychając mnie ku
blokowi 24, gdzie mieściła się prowizoryczna stolarnia.

– Zaraz będzie obiad – zauważył, widząc dziewczęta uginające się pod ciężarem
niesionych kotłów z zupa. Zobaczysz, jak tu dbają o nas!...

– Warsztat mieścił się w przedsionku baraku, za przepierzeniem z desek, vis-a-
vis pokoju blokowej. Właściwie była to sztaba pielęgniarek, bardzo ciasna,
mieszcząca trzy czy cztery trzypiętrowe łóżka, żelazny piecyk i stół stolarski
usytuowany tuż przy jedynym oknie wychodzącym do sieni. W piecyku buzował
ogień. Jakaś skulona postać o czerwonych niemal włosach dorzucała doń drewna
Staszek z rozmachem klepnął ją w wypięty tyłek. Wyprostowała się wściekła.
Zamierzając się trzymanym w rękę kawałkiem drewna, zasyczała:

191.

Mach keinen Spass, du... – długo szukała w myśli odpowiedniego wyrazu, wreszcie
znalazłszy go, dokończyła ..du „Patafian”! Staszek objął ją mocno ramieniem,
aż krzyknęła z bólu, wypuszczając z ręki polano, którym chciała go uderzyć.
Staszek rozluźnił uścisk, trzymając ją nadal w ramionach, co Fani poczytała za
pieszczotę, bo wściekłość jej stopniowo ustępowała, a na jej ordynarnej i mocno
piegotwarzy wykwitł powoli uśmiech, w którym pokazała rzadkie i spróchniałe
zęby, mrużąc rozkosznie swe małe, chytne oczka. Staszek, mrugnawszy do mnie
porozumiewawczo, przedstawił mi Fani. Fani, królowa piękności hamburskiego

portu!... chciał z kolei mnie przedstawić Fani, ale ta przerwała mu ze zniecierpliwieniem: Ich weiss, Anni hat mir schon gesagt!² Mizdrząc się do Staszka wskazywała palcem to na niego to na siebie, wyjaśniając te gesty jednym słowem: –libe – Staszek omal nie parsknął śmiechem, a ja zdębiałem słysząc jej dalsze wynurzenia odnoszące się tym razem do mnie i zastępczyni blokowej Anni. Anni und du Schwarze... auch Liebe! Ist das schon, nichtwahr?...³ – Staszek korzystając z zamieszania, jakie powstało na korytarzu po wniesieniu kotłów z obiadem, wypchnął rozmowną i romantyczną Fani za drzwi.

Uf...! – odsapnął. – Muszę zgrywać się przed tą wstrętną babą... dla chleba! Ty też powinienes być pobłażliwy dla Anni. Lepiej żyć z nimi w zgodzie! Cały prawie personel w tym bloku składa się z podobnych niemieckich prostytutek portowych, w dodatku zarażonych. Blokowa Mutti to ich opiekunka. Prawdziwa „Puff-Mutti” cholera!... Cholera! Cholera!... – odezwał się kobiecy głos gdzieś z górnego łóżka przedrzeźniający Staszka, po czym ukazała się pod samym sufitem kształtna główka o owalnej twarzy okolonej kruczoczarnymi włosami, przysłaniającymi duże niebieskie oczy. Brwi miała ostro zarysowane ołówkiem tak samo wargi podkreślone szminką, a cerę pokrywała gruba warstwa pudru. Z miną rozkapryszonego dziecka prosiła infantylnym głosem:

1.Nie dowcipkuj, ty... ty „patafianie”.

2.wiem, Anni mi już powiedziała!

3.Anni i ty, czarny... także miłość! To piękne, nieprawda?

192.

– Staszek, mein Lieber, bring mir etwas essen, ich bin I so krank!..

– Gut, gut, aber jetzt habe ich keine Zeit, Lisa!² – zbył ją Staszek, zabierając się do heblowania desek, a ja do prostowania gwoździ, żeby coś zrobić. Liza powiedziała-wszy: – Cholera! – usunęła się z powrotem na swoje łóż-ko, tymczasem Staszek zaczął opowiadać o stosunkach pa-nujących na kobiecym rewirze.

– Ta Liza to też prostytutka... Ale czysta i spokojna. Całymi dniami tylko leży i śpi lub spogląda w lustro malując się. Nic ją poza tym nie obchodzi. Znalazła tu schronienie, jak i pozostałe Niemki, szczególnie faworyzowane przez Mutti. Na pozostałych blokach jest podobnie. Rządzą się tutaj, nie dbają o chore, okradają je. Ale powoli zaprowadza się tutaj ład. Nasze komando jest bardzo cenione przez więźniarki, a nawet przez niektóre czynniki władz obozowych, z lagerarzem Rhode na czele. Dr Rhode popiera naszą działalność, a w szczególności dr. Zbozienia cieszącego się u niego dobrą opinią zdolnego lekarza. Częściowe opanowanie epidemii tyfusu, polepszenie warunków higienicznych, stopniowa zmiana personelu na właściwy, w ogóle leczenie dzięki zorganizowanej dostawie lekarstw i zastrzyków z męskiego obozu – to zasługa dr Zbozienia i kilkunastu pielęgniarzy odkomenderowanych z Oświęcimia, szczerze oddanych swemu samarytańskiemu posłannictwu, w końcu tych wszystkich, którzy mają możliwość pod różnymi pretekstami dostać się na FKL, a więc instalatorów, dacharzy, kanalarzy, kominiarzy, elektryków itp., przemycających tu jedzenie, lekarstwa, grypsy bieliznę, opaski higieniczne, papierosy, słowem wszystko co mogą zdobyć, a czego kobietom brak. W zamian więźniarki darzą nas zaufaniem, wdzięcznością, a niektóre nawet... miłością. Prawie każdy z mężczyzn tu przychodzących ma swoją sympatię, kogoś z rodziny lub nawet żonę. Każda z kobiet pragnęłaby mieć swego opiekuna świadomość tego dodaje im siłę, by przetrwać w warunkach w jakich nawet zwierzęta nie wytrzymałyby... prócz

szczurów oczywiście, tysiocy przeklętych szczurów obja-

1 Staszku, mój kochany, przynies mi coś do jedzenia, jestem taka chora!...

2 Dobrze, dobrze, ale teraz nie mam czasu, Lizo!

193.

trupy, a nawet nieraz rzucających się na ciężej chore nie mają dość sił, aby je odpędzić... Patrz, jak grucha z Haliną tam za oknem!... Oni zobaczywszy, że przypatrujemy się im, odsunęli się od siebie Kochają się!... – kontynuował Staszek. – Coś im się należy z tego podłego życia!... Julek urobił się na tym bloku po uszy, ale też i widać rezultaty! Jego blok uchodzi teraz za jeden z najlepszych, mimo tego kurewskiego per-

sonelu. Kurwa, kurwa! – znowu podchwyciła Liza, która widać łatwo przyswajała sobie tego rodzaju słówka bądź umiała je z okresu uprawiania swego niecnego zawodu. Staszek, ich habe Hunger!...1 – skarżyła się. Do szuby weszła Fani z miską pełną dymiącej strawy

.postawiwszy ją przed Staszkiem na blacie warsztatu, po-wiedziała: Guten Appetit!2 – wpatrując się mu w oczy jak wierny sługa oczekujący pochwały od swego pana. Staszek wytarł ręce o spodnie, zanurzył łyżkę w gęstej zupie, ale jeść nie zaczął. A dla niego Essen?!... – spytał ostro, wskazując na mnie Anni bringt ihm!3 – odpowiedziała urażona, wruszając ramionami, dając w ten sposób do zrozumienia, że co jaobchodzi moja osoba. To należy do Anni! Iss, iss mein Lieber!4 – rzekła przymilnie. Po chwili weszła Anni i postawiła pełną miskę przede mną. Guten Appetit Junge!" – zachęcała do jedzenia słodkim głosem. Obaj byliśmy głodni, toteż i bez tej zachęty zabraliśmy się do jedzenia. One stanęły sobie z boku, przypatrując się, jak zajadamy, nieczułe na prośby Lizy. Anni!... Fani!... – błagała monotonnym głosem raz jedną raz drugą. Bez skutku, obie były jak głuche. W końcu Liza zdenerwowała się.

1. Staszku, jestem głodna!...

2. smacznego! Anni mu przyniesie!

3. Jedz, jedz, mój kochany!

4. smacznego, młodzieńcze!

194.

– Ihr faule Hunde! Ihr alte Huren!1 – Kurwa, kur-wa!... – wyzywała je niewybrednie, decydując się w końcu zejść z łóżka w samej koszuli. Schodząc pokazała długie kształtne nogi. Obrzuciła nienawistnym spojrzeniem obie nieżyczliwe koleżanki, po czym z rozmachem trzasnęła drzwiami, aż cała ściana się zatrzęsała. Anni i Fani wybuchnęły śmiechem. Staszek, odsunawszy puste miski, oczyścił heblowinami zabrudzony stół i w milczeniu zabrał się do pracy. Zrobiłem tak samo. Anni, nie doczekawszy się podziękowania, zabrała miski i wyszła. W sieni kilka wy-nędzniałych kobiet wyrwało sobie kocioł po zupie. Fani jak furia wybiegła do skłóconych muzułmanek. Kobiety uciekły pozostawiając nie dojedzone resztki. Ilez też por-cji mniej otrzymały dzisiaj chore? – pomyślałem, przypominając sobie suty obiad, jaki przed chwilą zjedliśmy. We-szła Liza z papierosem w ustach. Zaciągnawszy się łąko-mie, wspięła się na swoje wyrko. Nogi miała naprawdę łą-dne. W żelaznym piecyku buzował ogień. W sztubie pano-wało przyjemne ciepło. Na dworze śnieg jeszcze padał gdyż kobiety, które przyszły zabierać kociołki po zupie przysypane były warstwą mokrych, szybko topniejących płatków.

Lizie było gorąco. Położyła się teraz na wznak. Odrzuciwszy koc leżała w bezruchu, patrząc w sufit puszczając kłęby papierosowego dymu. Pracowaliśmy do późnego wieczora. Niemki nie zaglądały już do nas tego dnia. ()d-wiedział nas jedynie dr Zbozień, długo rozmawiał z Jul-kiem, po czym ze Staszkiem szkicował jakieś regały, które chciałby mieć w ambulatorium.

Do męskiego obozu – o identycznym rozkładzie jak kobiecy, stanowiącym niejako jego przedłużenie; odgro-dzony był tylko podwójnym płotem z bramą wychodził na ulicę „średnicową", oddzielającą oba odcinki obozu

A i B, przy której mieściła się wartownia – wracaliśmy po skończonej pracy późną porą, odprowadzeni przez SDG do wartowni. Dyżurny blockfiihrer, przeliczywszy nas i sprawdzwszy mój numer zuganga, wpuścił nas do męskiego obozu. Przeszedłszy pustymi o tej porze ulicami uśpionego lagru, weszliśmy do drewnianego baraku nr 12, gdzie mieścił się szpital. Z tą chwilą minął pierwszy dzień mojej

1 Wy leniwe psy! Wy stare kurwy!

195.

pracy w Birkenau,, w obozie cieszącym się najgorszą opinią wśród więźniów Oświęcimia.

Rozdział L I

Część baraku zajmowało ambulatorium, za którym mieściła się niewielka salka zamieszkiwana przez obsługę HKB Abschnitt II B. Przy ściankach było ustawionych kilka piętrowych łóżek, z których parę było już zajętych. Środek pokoju zajmował żelazny piecyk, skwierczący odsażanymi nań ziemniakami przez rosłego, o tępych wyrazie twarzy więźnia. Spotkałem tu starych znajomych najbliższych współpracowników Petra Welscha, będącego lagraltesterem rewiru. Z rozmów, jakie prowadzono w czasie kolacji, wynio-skowałem że bliskość obozu kobiecego wywarła niemały wpływ na psychikę Petra, jak i Georga, sprawującego nie-oficjalnie funkcję zastępcy lageraltestera HKB. Georg był częstym gościem kobiecego obozu i ponoć miał tam swoją dziewczynę. Tak samo Peter. Gdy się pamiętało ich skłonnościach jeszcze z Oświęcimia, wydawało się to nawet dziwne, Zatem tamto" było tylko namiastką, było środkiem zastępczym z braku kobiet. Zmienili upodobania, stając się normalnymi mężczyznami w całym tego słowa znaczeniu. Tylko blokowy Roman G. nie zmienił się. Pozostał taki, jaki był zawsze. Traktował wszystkich z góry, wyniosły, zarozumiały, złośliwy, inteligentny. Był szarą eminencją, Siedziała teraz na łóżku w ubraniu i zajadał smażone kartofelki podane mu przez stubendiensta. Skończywszy jeść mocował się z długimi butami, na próżno usiłując je zdjąć. Widać za ciężka to dla niego praca, więc skinał władczo na stubendiensta. Chodź no tu, chamie, nie widzisz, że pan się męczy. No ciągnijże, złodzieju! Morda ci tu urosła jak Tabalowi dupa, a sił nie masz! Teraz drugi!... Wreszcie, cymbale A zapamiętaj, żeby mi na jutro były wyglansowane! Wdziwając jedwabną piżamę mamrotał jeszcze: Wacuś, zapamiętaj sobie, że nigdzie nie będzie ci tak dobrze jak u mnie, ty kretynie!... Wacuś słuchał, uśmiechając się głupawo, i nawet przytakiwał z aprobatą, ale odniosłem wrażenie, że więcej robił z siebie głupiego, niż nim był w istocie.

196.

Ach ty durny pańszczyźniany chłopie! – zaczął na nowo Roman.

– Panowie, śpijmy! – przerwał mu grzecznie, ale stanowczo dr Zbozień. – Jutro znowu czeka nas robota. Dobranoc!

Mimo iż od paru już dni mieszkałem w męskim obozie nie znałem go prawie. Do pracy wychodziliśmy wcześniej! kiedy było jeszcze ciemno, wracaliśmy, gdy była już noc. Za to w szpitalu kobiecym czułem się jak u siebie w domu. Roboty wprawdzie było dużo, ale ja się nie przepracowy-wałem. Po prostu Staszek nie wierzył zbyt w moje umiejętności stolarskie. Wszystko wykonywał sam, mnie dając jedynie do naprawy takie rzeczy, których nie mogłem zepsuć. Reperowałem więc po blokach stoły, tabore-ty, łóżka, uszczelniałem okna i drzwi, czasem nawet wyko-nywałem drobne roboty ślusarskie. Przy sposobności-wszędzie sobie pogadałem, posiedziałem, nieraz nawet zjadłem.

Dano nam znać, że na bloku 23 rozleciało się jakieś łóż-ko. Poszedłem naprawić. Grzebałem się z tym długo, bo obok na jednym z łóżek leżały „na waleta" dwie młode dziewczyny, z którymi nawiązałem rozmowę. Halina K i Jadzia P. przeszły szczęśliwie tyfus plamisty i powracały już do zdrowia. Poznawszy je bliżej,

często do nich zaglą dałem. Niebawem przekonałem się, że nie tylko ja je od-wiedzam. Miały więc już swoich opiekunów. Może właśnie dzięki temu przychodziły do siebie.

Halina była wesoła, dowcipna. Podobała mi się. Wie-działem, że pali ukradkiem. Żeby jej się przypodobać organizowałem dla niej papierosy.

Któregoś dnia, zagadany i wpatrzony w Halinki;, nie zauważyłem, że do bloku weszła oberaufseherin Mandel Za późno było, żeby się niepostrzeżenie wycofać. Dostam szpicrutą po głowie od przystojnej esesmanki, a co gorsza w obecności dziewczyny, o której względy zabiegałem .Dla mężczyzny bardzo to upokarzające oberwać od kobiety Od tej pory z daleka unikałem tej złośliwej baby. Halina wkrótce wyzdrowiała, a znając niemiecki, znalazła dobrą pracę w rewirowej schreibstubie, dokąd zaglądałem rzadko.

Blok 28, jakkolwiek znajdował się poza obrębem szpi-tala, należał do rewiru. Był to jeden z pierwszych murowa-nych baraków zaadaptowanych na tzw. schonungsblock

197.

w najbliższym sąsiedztwie tego bloku znajdował się blok 25 składnica trupów i dogorywających muzułmanek, po-zostawionych bez żadnej opieki, mających przed sobą je-dyną wyjścia z obozu – przez komorę gazową. Nicet Włodarski zwany „Prontosiem”, pod którego opieką znaajdował się schonungsblock, wszelkimi siłami starał się stworzyć w tym bloku bodaj najprymitywniejsze warunki leczenia. Skromny i pracowity, oddał się całkowi-cie swej samarytańskiej pracy, w czym pomagała mu dziel-nie energiczna i zaradna blokowa Berta Ungar, słowacka Żydówką Preszowa. Wbrew ponurej sławie ówczesnych blokowych jak i swojej aparycji – Berta bowiem była kobietą o męskiej raczej postawie, niskim, donośnym głosem, krepka i sprytna – miała miękkie serce o uczuciach macieżyńskich, oddana szczerze blokowi i nieszczęsnym jego mieszkankom. Nic więc dziwnego, iż przy stałej współpracy z Nicetem, z którym wspólnie nieśli pomoc tym najbar-dziej potrzebującym, z czasem owo współdziałanie przero-dziło się przyjaźń, a może nawet w coś głębszego. Od pewnego czasu byłem stałym gościem na bloku Berty. Niespożyta blokowa wynajdywała ciągle nowe roboty. Wykonywałem je sam, Staszek bowiem zajęty był teraz urządzaniem ambulatorium. Moja praca nie była precyzyjna a jednak przydatna. Na bloku Berty nie miałem takich wygód jak na 24, gdzie było ciepło i Niemki dogadzały ale mimo to czułem się tu lepiej, nawet dobrze, po prostu byłem wśród swoich. Być może, iż przyczyniła się do tego obecność Sylwii, młodziutkiej, bo zaledwie 17-letniej dziewczyny o nieodpartym uroku. Sylwia była ładna – mało – była piękna, pełna wdzięku i niewinności, nieświadoma losu, jaki miał ją wkrótce spotkać. Niemal każdą wolną chwilę spędzałem z nią na rozmowach, rozmowach może naiwnych, za naiwnych jak na więźniów obozu koncentracyjnego: różowe dzieciństwo, dom, wycieczki, sport, kino, pierwsze randki... Słowem, rozmawialiśmy o wszystkim, z czego składały się nasze szczę-śliwe lata nastolatków. Trzymając się za ręce i patrząc so-bie w oczy zapominaliśmy o świecie otaczającym nas, o nę-dzy, głodzie i chłodzie, o brudzie i robactwie, gwałcie, przemocy, szpilowaniu i gazowaniu, selekcjach i masowych mordach, o... naszej zagładzie. Pochłonięci sobą, byliśmy-upojeni szczęściem, jakie dawała nam ta czysta, pla-

198.

toniczna miłość, platoniczna, innej bowiem, tej cielesnej nie znaliśmy jeszcze. Berta nieraz podglądała nas z ukrycia, czy aby nie dzieje się coś zdrożnego. Niepotrzebnie! Sylwia mimo ko-biecych już kształtów była dzieckiem jeszcze, a ja byłem zbyt nieśmiały i zbyt mało doświadczony w tej dziedzinie.

Jednego zimowego dnia zastałem Bertę zapłakaną. W krótkich słowach przerywanych łkaniem opowiedziała mi, co zaszło poprzedniego dnia. Sylwię, jak i wiele mło-dych, ładnych i zdrowych dziewcząt, zavezowano do am-bulatorium. Pijani esesmani urządzili tam orgię. Dziewice nie były potrzebne na bloku 10! Rano odesłano je do Oświęcimia na blok eksperymentalny do dyspozycji prof. Clauberga.

Sylwii już więcej nie zobaczyłem. Dowiedziałem się jednak później, że żyje i wchodzi w skład personelu obsłu-gującego ten nieszczęsny blok.

Rozdział LII

Rapportfiihrer męskiego obozu Schillinger, krępy, bar-czysty, o długich rękach i

małpiej twarzy, zwyrodnialec postrach więźniów, często, zbyt często zaglądał w obręb szpitala kobiecego. Mówiono, że ma tu kochankę. Miała nią być blokowa bloku 23, Niemka z czarnym trójkątem. Niewielkiego wzrostu, Anni była nawet niebrzydka chociaż szczerbata, dosyć zgrabna, ale strasznie ordynarna i złośliwa, równie zwyrodniała jak jej protektor-adorator Schillinger. Oberscharfuhrer Schillinger, wiecznie pjany znęcał się przy byle okazji nad więźniami, zwłaszcza tymi którzy pod różnymi pretekstami dostawali się na FKI Naszego komanda nie mógł ścierpieć. Najbardziej drażniły go nasze kontakty z kobietami i swoboda, z jaką porusza-liśmy się na kobiecym rewirze, pracując tam za zgodą wyższych władz obozowych, gdy tymczasem on, esesman rapportfiihrer, zmuszony był przemykać się chyłkiem na blok 23, by poromansować z Anni, z czym musiał się nukry-wać, by nie doniosło się to do jego zwierzchników Dr Rhode nastawiony odpowiednio przez dr. Zbożenia po którymś z kolejnych wyczynów Schillingera, który znowu pobił jednego z pfliegerów – zakazał mu, jak i innym esesmanom, nie zatrudnionym w szpitalu, wstępu

199.

w obręb rewiru, motywując to obawą przed możliwością zawleczenia tyfusu do koszar SS. Zarządzenie to było oczywiście nam bardzo na rękę, wzmogło jednak nienawiść Schillingera, który pod różnymi pretekstami znęcał się nad nami w męskim obozie, dokąd powracaliśmy na wieczór.

Bez Anni trudno było mu jednak się obyć. Toteż niejednokrotnie wykorzystywał momenty nieobecności Rhodego na FKL i cichaczem przemykał się na blok 23, tak by nikt go nie widział. Sterroryzowani, milczeliśmy. Po nagłym i tragicznym przeniesieniu Sylwii na blok 10 w Oświęcimiu postarałem się szybko ukończyć roboty na bloku Berty po czym powróciłem do warsztatu Staszka. Dobroduszna Anni przywitała mnie jak marnotrawnego syna, serdecznie, ale z umiarem, Fani natomiast ze złośliwym uśmiechem. Dobrze wiedziały, z jakich to powodów nie pokazywałem się na ich bloku przez tak długi okres. W swej wypaczonej mentalności i wyuzdanej wyobraźni posądzały mnie o więcej, niż było między mną a Sylwią, szczególnie Fani co dała mi odczuć na swój niewybredny sposób. Korzystając z okazji znalezienia się ze mną sam na sam w szubie, wymieniła imię Sylwii ciągnąc mnie w kierunku łóżka dając niedwuznacznie do zrozumienia, że ma ochotę na to samo, co rzekomo miałem robić z Sylwią. Nie wytrzymałem i trzepnąłem ją w twarz, aż głośno klasnęło. Wybiegła natychmiast, a ja oprzytomniawszy, przeraziłem się zemsty tej jędzy. Uspokoił mnie chichot dobywający się z górnego łóżka, na którym jak zwykle leżała Liza. Zaśmiewała się, aż dygotało całe trzypiętrowe łóżko. Mein Gott!... Aber hast du schön gemacht!... ha, ha, ha! Schon!

O dziwo, Fani nie mściła się, a nawet od tej pory zaczęła mnie unikać. Liza po chwilowej uciechu zapomniała o incydencie, pochłonięta całkowicie wpatrywaniem się w odbicie w lusterku, co czyniła całymi godzinami. W pokoju Mutti, gdzie pracowała Halina, zepsuło się światło. Gdy majsterkowałem śrubokrętem przy nadrdze-wiałym gniazdku, złapał mnie prąd. Posypały się iskry, przez moment nie mogłem oderwać ręki, wreszcie trzepnęło mną tak, że zleciałem z drabiny, na szczęście wprost

1. Mój Boże!... Aleś pięknie zrobił! Cha, cha, cha! Pięknie!

200.

na łóżko blokowej. Nim się ocknąłem, byłem już w objęciach przerażonej Anni,

przyciskającej moją wystrzyżoną głowę do swojej wybujałej piersi.

– Liebling...! Lebst du mein Kind?!¹

A jakże! Żyłem! Jedyne palce lewej dłoni miałem nieco poparzone. Nawet przyjemnie mi było tak leżeć z głową opartą na jej pełnym biuście pachnącym goździka-mi. Bo Anni perfumowała się! Głaskała mnie teraz po twa-rzy swą kocia, miękką dłonią.

– Mein Kind!... – rozpierała ją matczyna miłość pierś jej falowała. Halina dusząc się ze śmiechu odwróciła się. Do pokoju weszła Mutti i zobaczywszy tę idylliczną scenę, zgorziona, zaczęła strofować rozanieloną Anni.

– Anni, du bist verriickt! Lagerarzt kommt gleich Und du Junge – weg!...² Naprawiłem jednak światło, nim przyszli. Mutti wpro-wadziła lekarzy do bloku. Anni sunęła z tyłu za nimi. Od-wracając się posłała mi skromny, niewinny, pełen czułości uśmiezek.

Mimo wszystko miła jest ta Anni! – pomyślałem sobie wynosząc drabinę. – Szkoda, że prostytutka!... A może i wśród nich są kobiety delikatne i wrażliwe, o dobrym sercu... bo Anni chyba nie jest złą dziewczyną!...

Któregoś dnia przybiegła lauferka z bloku 23 z wiadomością że blokowa Anni wzywa stolarza, by przyszedł z narzędziami coś tam naprawić. Staszek, mając poważną robotę w ambulatorium, jak zwykle w takich wypadkach wysłał tam mnie. Od czasu przygody z Mandelką nie lubi-łem chodzić na blok 23, tym bardziej że mogłem tam spo-kać rapportfiihrera Schillingera, który mimo zakazu Rhe-dego odwiedzał ten blok od czasu do czasu. Lauferka wprowadziła mnie do pokoju blokowej, prosząc bym chwilę poczekał, blokowa zaraz nadejdzie. Jej zdarty ordynarny głos słychać było gdzieś na końcu bloku. Robiła w bloku porządki, wyzywając wyszukanyimi przekleństwami swój personel, chore i cały świat.

Oczekując Anni rozglądałem się po jej pokoju. W prze-ciwienństwie do bałaganu, brudu i niechlujstwa wewnątrz

1 Ukochany!... Żyjesz, moje dziecko?!

2 Anni, zwariowałaś! Lagerarzt zaraz przyjdzie!... A ty, mło-dzieńcze – uciekaj!...

201.

baraku gdzie leżały chore, u Anni panował wprost idealny porządek. Dwupiętrowe łóżko było ładnie zasłane, na ścia-nach wisiały jakieś kolorowe makatki, regały zasłonięte perkalem stół przykryty czystym prześcieradłem, w oknie wisiały azurowe firanki zrobione z gazy, której brak tak dawał się odczuć na rewirze. W kącie pokoju stała dREW-niana umywalnia z lustrem i najpotrzebniejszymi akceso-riami niezbędnymi do utrzymania ciała w czystości. Słowem komfort! Weszła Anni cała wzburzona i nie zwracając na mnie żadnej uwagi, skierowała się do umywalni, po czym zdjawszy z głowy chustkę zaczęła się czesać. Chcąc jej przypomnieć o mojej obecności, przywitałem ją.: Guten Tag, Anni!¹ Morg en!...² – odpowiedziała przeciągle, nawet nie odwróciwszy się do mnie. Wo ist dein Chef?³ – zapytała po chwili, nie przerywając szcztokowania krótkich blond włosów. Pomyślałem, że jest niezadowolona z mojego przyjscia, spodziewając się raczej szefa", dobrego fachowca, wyjaśniłem więc, że Staszek jest bardzo zajęty w tej chwili. Ja, ja, ich weiss! – rzekła z przekonaniem. – Aber du 'bist auch ein guter Tischler, nicht wahr?...⁴ – zapytała jakby z powątpiewaniem. Wskazawszy na łóżko, Anni wytłumaczyła, co mam robić. Po prostu miałem je przeciąć wpół, by oddzielić górne łóżko od dolnego. W ten sposób powstaną dwa oddzielne łóżka. Dziecinna robota! Po upływie paru minut robota była ukończona. Anni pomogła mi je rozstawić, ja zaś pomogłem jej nieco przemeblować pokój. Kiedy i to już było zrobione Anni usiadłszy na jednym z łóżek spróbowała, które jest wygodniejsze. Usiadłem na drugim i huśtając się na nim zademonstrowałem jego zalety, myśląc równocześnie o Schilingerrze, jaką to będzie miał teraz wygodę. Anni zapewne pomyślała o tym samym, bo wybuchnęła nagle śmiechem Schillinger widać rąbnął kiedyś głową o kant górnego łóżka.

1. dzień dobry, Anni!

2. dzień dobry!

3. gdzie jest twój szef?

4. Tak, .tak, wiem!... Ale ty jesteś także dobrym stolarzem

202.

Vielen Dank! – rzekła wesoło. – Aber jetzt muss ich bezahlen! Wieviel kostet das?...1 – zażartowała, wskazując na moje dzieło.

Zbierając narzędzia, wzruszyłem ramionami, szykując się do wyjścia.

– Nein, nein!... So geht es nicht!2 – Mówiąc to Anni podskoczyła do drzwi i przekręciła klucz w zamku. Scho-wawszy go sobie za plecy zaczęła się przekomarzać, potwarzając w kółko:

– Ich muss das bezahlen!... Ich muss bezahlen!..

uśmiechała się przy tym obiecująco.

Szelma zwinna była jak kot. Klucz ciągle wymykał mi się z rąk. Chowala go w przemyślny sposób, przy czym dłonie moje mimo woli błądziły po fałdach jej sukienki w poszukiwaniu klucza, co jej sprawiało widoczną przyje-mność, a mnie wbrew mej woli zaczęło podniecać. Zabawa w chowanego przedłużała się, rozochocona Anni stawała się coraz agresywniejsza, wiadomo było, do czego zdaża. Przypomniały mi się Sylwia i Fani równocześnie. To mnie ostudziło. Klucz mogłem odebrać siłą, ale bałem się narazić blokowej, mającej tak potężnego i niebezpiecznego protektora, jakim był Schillinger. To nie Fani, za którą nie miał się kto ująć! Anni mogła napuścić na mnie rapport-fuhrera pod byle jakim pretekstem! Znalazłem się w trud-nej sytuacji, tym bardziej że Anni już nie panowała nad sobą, widać dawno nie gościła nikogo. Sądząc w końcu, że jestem już w podobnym jak i ona stanie podniecenia, nie broniła mi dostępu do klucza, znajdującego się obecnie głęboko za stanikiem, Poczawszy w palcach klucz, jednym susem byłem u drzwi. Ze zdenerwowania i pośpiechu nie mogłem ich otworzyć. Anni, zaskoczona moją ucieczką zdażyła tymczasem ochłonać. Wściekła, szukała gorączkowo czegoś ciężkiego. Nie znalazłszy niczego odpowied-niego, porwała kubek pełen wody stojący pod umywa lnią Drzwi nagle ustąpiły. Zdażywszy jeszcze chwycić skrzynkę z narzędziami, dałem nura, ale zimny prysznic dosięgnął mnie w otwartych drzwiach. Woda rozprysła się fontanna na moich plecach, oblewając jednocześnie esesmana

1 Dziękuję bardzo!... Teraz jednak muszę zapłacić! Ile kosztuje?...

2 Nie, nie!... Tak to nie będzie!

203.

zmierzającego ku drzwiom pokoju Anni. Wyleciałem z bloku jak szalony. Zdażyłem jeszcze usłyszeć okrzyk

przeżalenia w głosie blokowej i przekleństwa Niemca. Wpadłem do warsztatu zdyszany, przemoczony, wystra-szony oczekując każdej chwili wizyty poszkodowanego esesmana. Ledwie zdażyłem się przyprowadzić do porządku nadszedł Staszek, donosząc mi, że widział Schillingera w obrębie rewiru. Z wrażenia ugięły się pode mną nogi. A więc to z nim minąłem się w drzwiach pokoju Anni! Ża-dnych następstw jednak nie było, Esesman, mając zalane oczy wodą, widocznie nie zdażył mnie rozpoznać, a Anni znała sposoby, żeby go udobruchać, mając teraz wygodne łóżko doczego ja się przyczyniłem. Uznała w pełni mojezalety stolarza, chociaż jako amant okazałem się do niczego. Ilekroć później mnie spotkała, nie okazywała złości, przeciwnie, zaśmiewała się do rozpuku, czym dowiodła, że ma bodaj jedną zaletę – poczucie humoru.

Rozdział LIII

Staszek dał mi wreszcie poważną, samodzielną robotę stolarską|. Miałem wykonać szafę apteczną z mnóstwem przegródek i różnorakich półek. Ponieważ do wykonania tej pracy warsztat nasz był stanowczo za mały, przeniosłem się na blok 22, gdzie chwilowo mieścił się skład łóżek, z których elementy – jako jedyny dostępny nam materiał – służyły do wykonywania wszystkich użytecznych sprzętów pozostawionych przez szpital kobiecy. Kończyłem właśnie ową szafę, pogwizdując sobie jakąś zasłyszaną melodię, kiedy poczułem, że ktoś stoi za moimi plecami. Był to Roman G., częsty w owym czasie gość bloku 22. Wysztafirowany, wygolony,

pachnący, w pięknie wyglansowanych oficerkach na nogach odzianych w dopasowane bryczesy, stał z przekrzywioną w bok głową, przyglądając się uważnie szafie, niczym znawca na wystawie obrazów podziwiający jakieś dzieło mistrza. Nieźle!... całkiem nieźle, Wiesiu! – pochwalił mnie, co mu się raczej rzadko zdarzało. – Sam to zrobiłeś?... – zapytał z niedowierzaniem. Skinąłem głową potwierdzająco nie przerywając gwizdania strając się w ten sposób dać mu odczuć, że zupełnie

204.

nie lekceważę jego uwagi. To go oczywiście rozdrażniło toteż uważał za stosowne odpowiednio na to zareagować.

– Kto by to pomyślał!... To jest wprost nie do wiary Zawsze sądziłem, że ty niczego nie potrafisz zrobić własnymi – to słowo specjalnie zaakcentował – rękami, ty leniu.

Gwizdałem dalej, nic sobie nie robiąc z jego pogaduszek. Jak długo go znałem, starał się zawsze robić mi różne złośliwe uwagi.

– Ale melodii to nie znasz dobrze!... Jak można fałszować tak piękną melodię! Słuchaj, synu, uważnie.. to ma brzmieć tak...

Roman chrząkał przez chwilę, wreszcie zdecydował się zanucić urywek, ten właśnie, który gwizdając fałszowałem. Nie wyszło mu to najlepiej, zaczął się więc usprawiedliwiać.

– Bronchit, cholera!... – Chwyciwszy się palcami za szyję, delikatnie ją obmacywał, po czym zatoczywszy krąg ręką powiedział: – Głos tracę w tym gównie zasranym w tym gnojowisku!...

Odchrząknął ponownie, zaśpiewał jeszcze raz, tym razem zupełnie nieźle.

– A wiesz chociaż, z czego to jest? – zapytał, umiejętnie przerwawszy w miejscu, w którym nie mógł wyciągnąć, bo wysokie „c” zadławiła chryпка. – To jest wyjątek z Bolera Ravela... Ravela, durniu!

Uśmiechnąłem się, gdyż przypomniałem sobie scenkę jeszcze z początków naszego pobytu w obozie, kiedy to wyłowiono Romana z szeregu, wiedząc o jego śpiewaczym zawodzie, czym zawsze starał się imponować, i kazano mu uczyć nas siedzących w przysiadzie „Im Lager Auschwitz war ich zwar”.

Był to jego oświecimski debiut, który pomógł mu w karierze obozowej. Roman tymczasem zaczął wspominać swą dawną sławę.

– Były kiedyś czasy!... Italia... La Scala!...

Nagle przerwał zobaczywszy, że uśmiecham się ironicznie. Machnął zrezygnowany ręką, przytaczając powiedzonko odnoszące się do ludzi nie umiejących ocenić Sztuki, której przedstawicielem był tu w obozie on, Roman G.

– Eee, co tu rzucać perły przed wieprze!... Obciągnął marynarkę, poprawił czapkę, która w czasie

205.

śpiewu zsunęła mu się na tył głowy, po czym wyciągnąwszy z kieszeni spodni mały pakiecik, zapytał mnie już naturalnym głosem, wskazawszy na przepierzenie oddzielające nas od dużej sztuby przeznaczonej dla chorych na gruźlicę: Można wejść, nie ma tam któregoś z tych naszych konowałów? Może pan śmiało wejść. Rhodego nie ma, a dr Zbozień zajęty w ambulatorium. – Spojrzawszy jednak na pakiecik, nie wytrzymałem, żeby nie powiedzieć czegoś złośliwego, dodałem więc: – Bella czeka z utęsknieniem!... Ręka Romana trzymająca pakiecik drgnęła nerwowo, W milczeniu przełknął aluzję, którą musiał przecieć zrozumieć. Zlustrowawszy jeszcze raz dokładnie swój wygląd i przybrawszy dostojną minę, wszedł do sali chorych w takt gwizdanej przeze mnie melodii „Im Lager Auschwitz”, Bella była młodziutką, piękną, o południowej urodzie dziewczyną. Wyłowiona z Hamburga wraz z innymi pro-stytutkami, wylądowała w Oświęcimiu, gdzie otrzymała numer, czarny trójkąt, funkcję i adnotację w kartotece w postaci trzech krzyżyków. Wszystko w niej było „naj”. Nawet Wasserman wyrażał się o niej pozytywnie, jak mawiał Roman, złośliwy i nie pozbawiony dowcipu. Sam fakt, że Bella była zarażona syfilisem, nie przeszkadzał mu, by ją odwiedzać. Obdarowywał Bellę smakołykami, o których nawet nie śniło się zwykłemu więźniowi. Miał przecieć władzę, stosunki i stubendiensta umiającego wszystko zdobyć czego jego „pan i władca” zapragnął. Za złote zęby zmarłych, co prawda, ale kto by tam zastanawiał się nad takimi drobiazgami. Bella, jak tylko mogła, starała

się odwdzięczać swemu hojnemu opiekunowi za troskę, pamięć i upominki. Ale cóż mu mogła w zamian ofiarować... Przykłuta do łóżka, mogła mu oddać jedynie swe własne ciało, bo nic poza tym nie posiadała. Roman wiedział o jej chorobie toteż nie kwapił się do jakiegoś cielesnego zbliżenia z Bellą. Jemu wystarczyło popatrzeć, czasem może dotknąć jej rozgorączkowanego ciała, rozgorączkowanego, gdyż prócz syfilisu miała otwartą gruźlicę. Roman, jako artysta, człowiek bądź co bądź o dużej wyobraźni, napawał swe oczy widokiem jej pięknych kształtów, smakiem delikatnej skóry, nie skażonej jeszcze toczącą ją chorobą. Końcami rozdygotanych palców opukiwał drobne dziewczęce piersi, niby to badając stan jej zdrowia. Prze-

206.

cież chorzy tytułowali go „doktorem"! Udana mistyfikacja! Obok na sąsiednich łóżkach dogorywały wygłodzone, brudne i śmierdzące szkielety, powleczone owrzodzoną skórą, młode i stare, wszystkie o jednakowo odrażającym wyglądem, godnym politowania – kobiety chore na gruźlicę. W zestawieniu z nimi Bella wydawała się jeszcze piękniejsza. Wątpliwe zresztą, czy Roman widział coś więcej poza Bellą rozłożoną na czystym prześcieradle, tak odbijającym od zgnojonych łóżek, na których konały inne więźniarki. Po cóż miałyby psuć sobie estetyczne doznania rozglądaniem się po obrzydliwej sali, pełnej męki, udręczenia i śmierci.

Oderwałem oczy od szpary w drzwiach, przez którą ich podglądałem. Zawsze łapałem się na tym, że ja też wolałem patrzeć na obnażoną Bellę, niż widzieć wynędzniałe opuszczone i bezradne chore więźniarki, oczekujące śmierci.

Bella usnęła. Roman opuszczał salę na palcach. Po-twornie chude, szerniałe od brudu ręce chorych wyciągały się doń błagalnie. Roman zdawał się ich nie widzieć. Delikatnie zamknął za sobą drzwi sali.

– Biedna dziewczyna!... – rzekł z nie udawanym wzruszeniem w głosie. – Czy wiesz, że ona ma otwartą gruźlicę?... – Milczałem. – No, ale za wiele to nie zrobiłeś przez ten czas, jak byłem u Belli! – zauważył Roman Ach, ty leniu śmierdzący!... – dodał, bo roześmiałem się

– Robota nie zając!... robi się... robi się'.... – odpowiedziałem z flegmą. – A pan ile chorych przebadał przez ten czas? – zapytałem go zaczepnie.

– Aha, wyszło szydło z worka! Podglądasz, gówniarzu, zamiast pracować!

W odpowiedzi wbiłem parę gwoździ w deski szafy, nie-potrzebne zresztą. Żeby jednak lepiej pokryć zmieszanie zacząłem pogwizdywać Bolero, tym razem już poprawnie bez fałszowania.

– Słuch to masz niezły! Żebyś jeszcze tak pracował jak gwizdasz... – zauważył Roman złośliwie, opuszczając wreszcie barak.

Rozdział LIV

Moje pierwsze dzieło, szafa, było w końcu zrobione. Według oceny Staszka wykonałem ją nawet niezłe. Zanie-

207.

śliśmy ją do ambulatorium. Niemal równocześnie przed barak zajechała rolwaga z Oświęcimia. Chłopcy z Oświęcimia przywieźli pełne kartony medykamentów i trochę narzędzi chirurgicznych. Pielęgniarki podawały je sobie z rąk do rąk, po czym Ena, przystojna słowacka Żydówka, naczeIna lekarka kobiecego szpitala, decydowała, gdzie je składać w obszernej szafie przeze mnie wykonanej. Dr Zbozień zdawał się zadowolony. Lekarstw przywieziono grubo więcej, niż zezwalały na to oficjalne przydziały. Za-jęty rozmową z Bockiem i kapo rewiru Orli na temat rozwoju kobiecego szpitala, nie widział tęsknych i pełnych uwielbienia spojrzeń rzucanych ukradkiem w jego stronę przez Basię S., po uszy zakochaną w młodym, pełnym energii lekarzu. SDG Scherpe, siedząc okrakiem na stole, nie brał udziału w rozmowie i nie reagował też na widok o wiele za dużych zapasów lekarstw, wyciąganych przez Tolińszczaka" z przepastnych kartonów. Wydawało się, że jest mu obojętne, czy są to lekarstwa służące do leczenia chorych, czy fenol, którym zabijał, szpilując noworodki i ciężko chore. Zresztą, tego też nie robił z entuzjazmem i gorliwością, jaka cechowała jego koleżkę po fachu SDG Shlera. Lageraltester Bock przywitał mnie przyjaźnie, podżartowując: Wie geht's

Tischler?!... Wieviel Weiber hast du schon gehabt?...1 Zaczerwieniłem się po uszy, gdyż usłyszały to koleżanki Haliny, w której ostatnio się podkochiwałem. Bock udawał wesołego, ale jak przed chwilą dowiedziałem się, wpadł w poważne kłopoty. Politische w dalszym ciągu weszło w męskim rewirze jakąś zorganizowaną akcję. Zaczęły się przesłuchania niektórych członków personelu szpitala. Wkrótce zamknięto w bunkrach wielu lekarzy i pielęgniarzy. Bockowi ponownie zarzucono, że za jego przyczyną rewir stał się siedliskiem polskiej inteligencji. Po pewnym czasie część więźniów zwolniono z bunkra, kilku jednak zatrzymano, między innymi Gienka Obojskiego, Georga Zemanka i Freda Stessla. Tym ostatnim zarzucano utrzymywanie kontaktów z kobiecym obozem i cywilną ludnością z poza obozu, głównie w celu przekazywania im wiado-

1. Jak ci się powodzi, stolarzu? Wiele kobiet już miałeś?

208.

mości z lagru i przygotowywania ucieczki. Los ich był nie-pewny. W każdej chwili mogli być rozstrzelani. Nie były to pocieszające wieści. Tu w Birkenau przynajmniej pod tym względem było spokojniej. Politische – przynajmniej na razie – nie przejawiało większej aktywności. Niestety była to cisza przed burzą. W pierwszych dniach stycznia 1943 roku wezwano do Oddziału Politycznego jedną z młodych kobiet, u której znaleziono grypsy pisane ręką Gienka Obojskiego. Afera zataczała coraz szersze kręgi. Wiadomo było, czym może się to skończyć. W styczniu chwyciły silne mrozy. Ponieważ nie posia-dałem płaszcza, w drodze na FKL zawsze porządnie zma-rzłem. Miałem wprowadzić wełniany sweter przysłany mi z domu, ale to było stanowczo za mało. Jakaś litościwawięźniarka pracując w effektenkammer podarowała mi ciepły, gruby sweter. Nie cieszyłem się nim długo. Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, wracając z pracy zostaliśmy zatrzymani przez dwóch blockfiihrerów i odprowadzeni pod wartownię, gdzie już oczekiwał nas rapportfurher Schillinger. Kto miał coś podejrzanego, starał się tego nie-postrzeżenie pozbyć, nim zacznie się rewizja. Nie wszystkim się to udało. Przy Julku znaleziono zapalniczkę, Nicet miał przy sobie ampułkę z lekarstwem, ja miałem na sobie dwa swetry, co też było zabronione. Nie pomogły żadne tłumaczenia. Schillinger wreszcie dobrał się do nas na swoim terenie, na którą to okazję długo czekał. Na kobie-cym obozie, gdzie naszym bezpośrednim zwierzchnikiem był przychylnie do nas usposobiony lagerarzt Rhode, nic by nam nie zrobił, ale tu, w męskim obozie, Schillinger był panem życia i śmierci. Zapisawszy nasze numery i rozdawszy każdemu po parę kopniaków, wpędził nas do obozu bie-giem, każąc po drodze ćwiczyć „sport”. Po rannym ape-lu mieliśmy zgłosić się do karnego raportu u I rapport-fuhrera Palitzscha, będącego teraz w Birkenau, i u lager-fuhrera Schwarzhubera, którego jeszcze prawie nie znaliś-my. Przygnębieni układaliśmy się do snu, nie odzywając się do siebie. Każdy z nas zajęty był swoimi myślami, które w tej sytuacji nie mogły być wesołe. Milczenie przewał

cierpki głos Romana.

– Już dawno przewidywałem, że to wasze łożenie na FKL tak się skończy! – powiedział wcale tym faktem nie zmartwiony. –Trzeba będzie uzupełnić wakujące miejsca nie, Georg?... bo nie wiadomo, jak długo posiedzą w SK !

209.

Georg tylko wzruszył ramionami. Co jego to mogło obchodzić! Należeliśmy przecież do Bocka. Niech on się martwi! Dr Zbozień zrobił nam słabą nadzieję. Porozmawia jutro z Rhodem, może da się coś zrobić. Nazajutrz stanęliśmy do karnego raportu. Tak jak przewidywał Roman, skazano nas na pobyt w karnej kom-pani. Jednak na skutek natychmiastowej interwencji dr.Rhodego stwierdzającego, że jesteśmy niezastąpieni w naszej pracy na FKL, zamieniono nam pobyt w SK na stehbunkier, abyśmy mogli odbywać karę w nocy, podczas dnia zaś mieliśmy normalnie pracować, jak było dotychczas. Ponieważ ja otrzymałem najwyższy wymiar kary, bo aż trzy tygodnie stehbunkra, co równało się raczej powolnej śmierci, znowuż na interwencję lagerarza rozłożono mi tę karę na okres sześciu tygodni, z tym że do pracy będę chodził normalnie, do bunkra zaś co drugą noc. Jeśli chodzi o mnie, Schillinger mógł mieć pełną satysfakcję. O godzinie siódmej wieczorem jeszcze tego samego dnia miałem się zgłosić na blok 2

w głównej schreibstuby, skąd dyżurny blockfuhrer miał zaprowadzić mnie do jednego z murowanych bloków, w którym mieściły się cele steh-bunkra.

Rozdział LV

Punktualnie o godzinie dziewiętnastej czekałem w sieni schreibstuby na esesmana. Byłem sam. Koledzy odbywali karę w innym niż ja okresie. Po chwili zjawił się esesman, wysoki, ponury, jeden z tych, którzy wczoraj nas rewidowali z Schillingerem. Dzwoniąc pękiem kluczy zaprowadził mnie na blok znajdujący się w najbliższym sąsiedztwie karnej kompanii. Przekręciwszy klucz w kłódce grubych, okutych drewnianych drzwi, zdjął skobel, odsunął żelazną kratę, po czym wpuścił mnie do wąziutkiego korytarza, skąpo oświetlonego jedną żarówką wiszącą z sufitu, pokrytego warstwą szronu mieniającego się tysiącem iskier odbitego światła. W wewnętrznej ścianie bunkra, tuż nad betonową podłogą, mieściły się cztery drzwiczki w jednakowych, może metrowych odstępach, pozamykane na ciężkie skoble z przymocowanymi doń kłódkami.

210.

Esesman, kopnąwszy ciężkim buciorem pierwsze drzwiczki z brzegu, zapytał ostrym, donośnym głosem:

– Ist niemand da?1

Zza betonowej ściany odezwał się słaby, zduszony głos–

Hier, Herr Blockfuhrer!...

– Wieviel?– zapytał krótko esesman.

– Drei!... – dała się słyszeć słaba odpowiedź.

– Also, rein! – zwrócił się do mnie esesman, otworzywszy drzwiczki, zza których dobywał się głos więźnia. Los, du Schweinehund!2

Na czworakach – bo inaczej nie zmieściłbym się Wpychałem się na siłę w czarny otwór stehzeli. Blockfuhrer pomagał mi w niezdarnym gramoleniu się do ciasnej i śmierdzącej kałem celi, kopiąc z całej siły w wypięty tyłek

– Schneller, schneller, du Hund! – ponaglał mnie niecierpliwie.

Niełatwo było wsunąć się między trzech ludzi ściśniętych w tak małej przestrzeni. Wreszcie! Esesman zatrzasnął za mną drzwiczki, usłyszałem, jak przekręca klucz w kłódce. Przez lufcik u góry celi zobaczyłem, jak mignęło gaszone światło w korytarzu. Zapanowała kompletna ciemność i cisza, przerywana jedynie trzaskiem zamykania głównego wejścia do bunkra. Ucichły też ciężkie kroki oddalającego się esesmana. Dopiero teraz bunkier się ożywił. W nieprzeniknionych ciemnościach na wysokości swojej twarzy czułem nieświeże oddechy trzech pozostałych towarzyszy niedoli. Jeden z nich oddychał szczególnie ciężko, pojękując od czasu do czasu słabym głosem Wody!... jeść!... wody!... – Całym ciężarem swegociała zwił na mnie szukając oparcia i ciepła. Czułem, jak jego chude ciało drży z zimna i wycieńczenia, śmierdziało od niego okropnie. Fetor najgorszych flegmon i durchwali w porównaniu z tą wonią mógł wydawać się zapachem najlepszych perfum.

Dwaj pozostali trzymali się jeszcze jako tako. Od nich dowiedziałem się, że stali w tej celi już dwie doby, picia i jedzenia. Skazano ich na karę stehbunkra ponoć za zamiar ucieczki z obozu. Gdy wepchnięto ich do celi

1 Nie ma tam nikogo?

2 A więc do środka!... Jazda, ty świński psie!

211.

zajęta jeszcze była przez dwóch więźniów. Jeden z nich wkrótce zmarł. Z niewysłowioną ulgą pozbyli się wczoraj trupa. We trzech stać jest lepiej. Że też ja musiałem wejść do ich celi!... – narzekali. Ale jest jeszcze nadzieja, że ten trzeci do rana będzie gotów. Zrobi się znowu luźniej. Można będzie zmienić pozycję ciała, poruszać nogami, rozprostować ręce. A teraz wlaź jeszcze ten nowy i nie dość, że jest tu tak ciasno, rozpycha się! – No, nie pchaj, ty...! Wcale się nie rozpychałem, usiłowałem jedynie zmienić nieco pozycję, gdyż ten jęczący dosłownie uwiesił się na mnie. Tamci myśląc, iż staram się zrobić koło siebie jak najwięcej miejsca, nacisnęli wspólnymi siłami, w rezultacie zrobiło się luźniej, gdyż ja miałem jeszcze dość energii, by odeprzeć ich atak, natomiast najslabszy został dosłownie wgnieciony w ścianę bunkra. Na nic się to nie zdało, bowiem już po chwili odczułem znowu cały ciężar omdlejącego

sąsiada. Dałem za wygraną, dzięki czemu na jakiś czas zapanował spokój. Od betonowej posadzki pełzało wilgotne zimno. Plecami dotykałem mroźnej ściany bunkra. Pod łopatką odczuwałem wzmagające się kłucie. Ból w nogach potęgował się z każdą chwilą. Jak ja tu wytrzymam do rana!... A tamci trzej?... Przecież oni w ogóle nie wyjdą stąd żywi! Sąsiedzi jakby usłyszeli moje myśli, zaczęli bowiem naraz lamentować. Boże kochany!... Już dłużej nie mogę!... Przyjdzie nam tu skonać chyba!... – Jakiś obcy dźwięk wdarł się w te skargi i użalania. To gong! Czyżby już noc minęła?... Poruszyłem się niespokojnie. Nachtruhe!... – westchnął z żalem mój sąsiad z prawej. A ja myślałem, że to już rano! ...Jak ten czas mija powoli. Zatem przede mną jeszcze dziesięć pełnych godzin... Mój sąsiad z lewej zsuwał się coraz niżej i coraz słabiej po-jękiwał. Więzień stojący przy przeciwległej ścianie oparł swą głowę na moim ramieniu. Uczyniłem to samo. Tak było nawet cieplej. Chyba zdrzemnąłem się przez chwilę, bo ocknąłem się nagle na krzyk jednego z więźniów. Znow rzniesz, ty zasańcze!... Odnosiło się to do mego sąsiada z prawej trzymającego się na nogach ostatkiem sił, mamrotającego coś niezrozumiale i robiącego w spodnie. Nowy powiew i tak już prze-

212.

rażliwego smrodu napełnił ciasną celę. Osuwał się coraz niżej, ugniatając mi swym ciężarem obie nogi. Mając wolne obie ręce podniosłem go znowu do pozycji stojącej. Teraz z kolei oparł się bezwładnie na mym korpusie, kładąc głowę na moim ramieniu. Zmęczenie coraz bardziej dawało mi się we znaki. A tam w obozie – myślałem – leżą sobie wygodnie w łózkach!... Żeby chociaż te przeklęte ściany miały jakieś załamania, jakieś występy!... a tu nic, tylko gładka, mroźna i śliska płaszczyzna, pokryta szronem... Zasnąłem. Obudziło mnie okropne zimno, zdawało się, że przeszło mnie do szpiku kości. Czułem się cały odrętwiały, jedynie w plecach kłuło, jakby mi kto wbił ostry nóż między łopatki. Sąsiad z prawej stał jak poprzednio opierając się na mnie całym ciężarem. Zmieniłem niewygodną pozycję i w tym momencie ciało jego osunęło się całkiem bezwładnie. Próbowałem go podnieść, ale bezskutecznie. Przypadkowo dotknęłem ręką jego zarośniętej twarzy. Była zimna jak lód. Zmarł w czasie mej drzemki. – Nie żyje?... – spytał trwożnie ten, który nazwał go niedawno zasańcem. – Biedaczysko!... Wymordują nas tu wszystkich! Boże, zlituj się nad nami!... – wstrząsnęły nim łkania. Drugi zaczął się głośno modlić. Głos drżał mu, cały trząsał się jak w febrze. I tak mijał czas, powolutku, sekunda po sekundzie w oczekiwaniu nieubłaganej śmierci głodowej dla obu po-zostałych jeszcze przy życiu więźniów. Bo ja byłem w lepszej niż oni sytuacji. Oczekiwałem porannego gongu i eses-mana, który mnie stąd wypuści, bym zdażył do pracy. Serce zabiło mi mocniej na odgłos gongu ledwie słyszalnego w tej ciemnej i małej celi, odizolowanej od obozu grubymi murami. Przed drzwiami bunkra zaskrzypiał zmrożony śnieg pod stopniami esesmana pogrążającego kluczkami. W ko-rytarzu zaklął siarczyście, mówiąc ze wstrętem: – Was stinkt hier so? Brrrr!... Lebt noch jemand W odpowiedzi odezwały się skomlące głosy zamkniętych w celach więźniów. – Ruhe da! – wrzasnął gromko, natychmiast uciszając wszystkich.

1 Co tu tak śmierdzi? Brrrr!... Żyje tu jeszcze kto?

213.

Otwierając drzwiczki naszej celi zwrócił się rozkazująco wyraźnie do mnie: – Na Pfleger, komm raus, du Hund!1 Niezdarnie, na czworakach wycofałem się przez ciasny otwór, ciągnąc za sobą ciało zmarłego, które zdażyło już zeszywnieć. Nur einer?2 – zapytał zdziwiony blockfuhrer. – Die zweie leben noch!^ – wyjaśniłem, podnosząc się ciężko z klęczek. Wyciągnąłem trupa na śnieg przed

blok, esesman tym-czasem zamykał bunkier na wszystkie skoble i kłódki przy wtórce rozpaczliwych jęków uwięzionych. Na dworze było jeszcze ciemno, jedynie oświetlone okna obozowej kuchni rzucały jasne refleksy na pokrytą śniegiem ziemię. Tęgi mróz, szczypał w policzki. Esesman, trzepnawszy mnie przez plecy pękiem kluczy, zezwolił odejść. - Hau ab, du stinkendes Schwein!... Weg!4 Zesztywniałe nogi ledwie mnie niosły, mimo to biegłem do swego bloku, jakbym odzyskał co najmniej wolność. Pflegerzy wstawali wyspani i wypoczęci. W piecyku palił się ogień. Roman ziewając zapytał mnie troskliwie: Co ci się śniło, chłopcze? Nie wyglądasz na wyspanego. Jakoś nikt nie śmiał się z tego miernego dowcipu. Może nawet zrobiło mu się głupio, bo zaraz przestawił się, usiłując być dla mnie serdeczny, co skupiło się na stubendienrze Wacek... gdzie jesteś, ty chamie! Nie widzisz, że tu człowiek na kość przemarznięty? Daj mu zaraz gorącej kawy. A. z cukrem, złodzieju!... Wkładając ciepły wełniany podkoszulek mruczał do siebie wzburzony: A to go urządził ten sukinsyn Schillinger... to bestia Długo jednak nie wytrzymał w tej pozycji litującego się kolegi dorzucił więc uszczypliwą uwagę:

- 1.no, pfleger, wychodź, ty psie!
- 2.tylko jeden?
- 3.dwóch jeszcze żyje!
- 4.ucikaj , ty śmierdząca świnio!... Precz!

214.

To za Anni, co?

Kawa była gorąca i słodka. Darowałem Romanowi te głupie przytyki. Gdy przybyłem na FKL do naszego warsztatu, Staszek kazał mi się natychmiast położyć spać. Wspiąłem się na górne łóżko obok Liz. Myślała, że idę do niej. - Mach keinen Spass, Weszek!...1 - chichotała po-prawiając sobie włosy. Położyłem się na sąsiednim łóżku, przykrywając pa-roma kocami. Natychmiast zasnąłem. Obudziło mnie szar-pnięcie za rękę. To była Liz. - Stehe auf!2 - mówiła patrząc w dół. - Mittag essen!... Na dole stała Anni z dymiącą miską zupy. Następnego nocy poszedłem znowu do bunkra, żeby „od-stać” jedną z dwudziestu czekających mnie stójek w steh-zeli.

Rozdział LVI

Postanowiłem posłuchać rady doświadczonych kole-gów. Przede wszystkim miałem dowiedzieć się, który z blockfuhrerów będzie miał służbę w dniu „odstawiania” mojej kary w bunkrze. Od tego, jaki on będzie, dobry czy zły, miało wiele zależeć. W górnej schreibstubbie dowie-działem się, że służbę w tym dniu będzie miał blockfuhrer Schneider. Wynikało z tego, że będzie można sobie pozwolić na częściowe ominięcie srogich przepisów, bowiem Schneider nie odznaczał się nadmierną surowością ni gor-liwością w wypełnianiu swych obowiązków. Włożyłem ciepłą bieliznę „kanadyjską”, plecy zabezpieczyłem papierowym workiem po cemencie, na to wdziałem dwie koszule, nogi owinałem papierowymi bandażami. Stopy odziane w wełniane skarpety owinałem dodatkowo onucami i dopiero włożyłem pasiak, nie zapominając wciągnąć dwóch swetrów i szalika. Zamiast skórzanych butów nałożyłem na nogi o wiele za duże drewniaki .Tak ubrany wyglądałem potężnie. Odpowiednio do wyglądu

- 1 Nie rób kawałów, Wiesiek!...
- 2 Wstawaj!

215.

poruszałem się niezgrabnie, wzbudzając tym ogólną wesołość wśród kolegów obserwujących moje przygotowania. Sprawdziłem jeszcze zawartość swoich kieszeni: papierosy i zapalki, kawałek chleba z margaryną, świeczka. Tak wyekwipowany przeciskałem się przez zatłoczony o tej porze ambulans. Muzułmanie z trwogą ustępowali mi miejsca. Moja potężna postać wzbudzała w nich respekt, w przeciwieństwie do Romana, który na mój widok aż złapał się za głowę. Zwariował, całkiem zwariował!... Idioto, jak cię Shillinger teraz przyłapie, to nie wyjdiesz żywy z jego rąk. Eaa, panie Romanie... Schillinger na ten mróz nie wystawi nawet nosa z wartowni... a służbę ma Schneider... Upewniłem się! -

powiedziałem, wymijając Petra stojącego w milczeniu w drzwiach wyjściowych ambulatorium. Poczekaj! – zatrzymał mnie Roman. – Mówisz, Schneider?... Roman sięgnawszy do kieszeni wyciągnął paczkę luk-susowych papierosów. Daj je Schneiderowi i powiedz, że to od blokowego z rewiru. Będzie cię lepiej traktował!... I powiedz mu jeszcze żeby przyszedł później do nas. Nicht wahr, Peter? Peter kiwnął potakująco głową. Wyoś się już i zamykaj za sobą bramę, bo ciągnie jak cholera.. Mróz. musiał być srogi, bo w nosie zamarzało, a uszy kostniały. Do schreibstuby nie miałem daleko. W kilkanaście sekund otwierałem bramę bloku 2. Zegar w korytarzu wskazywał punkt dziewiętnastą. W sieni nie było nikogo. Po paru minutach usłyszałem z zewnątrz rozmowę i zbliżające się kroki. Najpierw wszedł Schneider, za nim gramolili się lageraltester Siwy i arbeitsdienst Wiktor, wy-machujący rękami. Zameldowałem się Schneiderowi, po czym nie krępując się obecnością dwu funkcyjnych, wręczyłem mu papierosy i powtórzyłem, co kazał mi Roman. lagerfuhrer przez chwilę przyglądał się darowiźnie, gwizdając z uznaniem i schował ją do kieszeni płaszcza. Tymczasem Wiktor otworzywszy swój pokój przynaglał Siwka, by wprowadził tam Schneidera. Schneider musiał wpierw odprowadzić mnie do bunkra. Taki mróz!... – rzekł Siwy zacierając ręce. – Za-marzniesz tam, pieruna!...

216.

– Komm, komm! – ponaglał esesman, popychając mnie lekko ku wyjściu, pragnąc jak najprędzej pozbyć się przykrego obowiązku. Czekala go przecież podwójna sje-sta, u arbeitsdiensta i na rewirze. Będąc już na dworze w drodze do bunkra zapytał mnie łamaną polszczyzną:

– Za co masz strafe, co?... Cóżes przeszkrobał, he?...

– A nic!... – odpowiedziałem. – Miałem dwa swetry na sobie i rapportfuhr... Schneider przerwał mi śmiejąc się:

– A teraz to ile masz na sobie?... chyba z pięć! Taki jesteś gruby!...

W bunkrze panowała cisza. Był pusty. Widocznie moi towarzysze z poprzedniej nocy zmarli i ciała ich uprzą-nięto jeszcze za dnia.

Wybrałem sobie ostatnią celę, żeby być jak najdalej od drzwi, skąd wiało.

– Panie blockfutierze... – zebrałem się na śmiałość Czy mogę wziąć nocnik z wolnej celi?

– A bierz, ile chcesz!... Byle szybko!...

Po chwili miałem cztery nocniki w swojej celi. Zdzi-wiony, a zarazem ubawiony, stwierdził:

– Ale durchfal to masz fest!...

. Schneider zamknawszy za mną drzwiczki celi zgasił światło, a w chwilę potem przekręcił klucze w głównych drzwiach bunkra. Zostałem sam wśród nieprzeniknionej ciemności i zupełnej ciszy. Słyszałem, jak bije mi serce na-wet szelest papieru na moich plecach, którym byłem obło-żony.

W rogu celi ustawiłem cztery nocniki, jeden na drugim Teraz mogłem na nich wygodnie usiąść. Właśnie po je zabrałem z innych cel. Schneider myślał, że mam durchfal .. – pomyślałem nie bez satysfakcji.

Siedząc oczekiwałem wieczornego gongu. Tego wie-czora słychać było wyjątkowo dobrze. Odczekawszy jesz-cze sporą chwilę, nasłuchiwałem, czy aby nie kręci się w pobliżu ktoś niepowołany. Cisza! Mogłem zapalić świe-czkę. Od razu zrobiło się cieplej i jakby przyjemniej Grubo oszronione ściany celi mieniły się tysiącami lodo-wych iskierek. Zapaliłem papierosa. Zaczynało mi to na-wet smakować.

Jak to dobrze, że jestem w celi sam... – myślałem głoś-no. Słyszac swój głos nie czułem się taki osamotniony cisza stawała się denerwująca... Gdy ścierpną nogi, można

217.

sobie wstać, poskakać, pośpiewać nawet... Darłem się, tu-pałem drewniakami, słowem, zacząłem hałasować, by tylko nie dopuścić do tej przeklętej ciszy napawającej mnie, nie wiem czemu, strachem. Drewniaki świetnie izo-lowwały nogi od zimna ciągnącego od betonu. Marzłem wprawdzie w palce u rąk, ale od czego była świeczka. Na przyszły raz postanowiłem wziąć ich parę. Będzie można

sięogrzać, nawet coś poczytać! Na rewirze kursowała jakaś podniszczona książka, zdaje się, że Trędowata. A niech będzie jaka chce, byle tylko szybko czas leciał w tym stehbunkrze.

Świeczka zaczęła się dopalać, więc zgasiłem ją. Mimo ciepłego ubioru od razu zrobiło się zimniej. Żeby się rozgrzać zacząłem tańczyć jakiegoś wymyślnego trepaka w takt gwizdanych melodii. Ale jak długo można pogwizdywać, tłuc drewniakami w podłogę? Znużyło mnie to w końcu. Chciało mi się spać. Usiadłszy na swym tronie z nocników, wkrótce zasnąłem.

Nie wiem, jak długo drzemałem, w każdym razie zbudził mnie nagle okropny łomot i brzęk rozlatujących się nocników. Zaspany, nie zdawałem sobie sprawy z tego, gdzie się znajduję i co się stało. Zerwawszy się gwałtownie rąbnąłem głową i ścianę bunkra i to mnie otrzeźwiło. Ustawiłem nocniki z powrotem, zjadłem kawałek chleba i żeby oszczędzić świecy, paliłem po kawałku papierowe bandaże, których miałem spory zapas na sobie. Paliły się świetnie, bez dymu, i popiołu, dając przez moment olbrzymi ogień i sporo ciepła, tak że po chwili topniejący szron począł kawałkami odlatywać ze ścian bunkra Usiadłem i momentalnie usnąłem. Obudziłem się na odgłos otwieranych drzwi bunkra. Eee, ty tam!... Nie zamarłeś?... Gdzie jesteś?... Wychoź.

Shneider widać zapomniał, w której celi zamknął mnie wieczorem. Musiał solidnie popić, bo nietęgo wyglądał.

Przyzwyczaiłem się w końcu do tych nocy spędzanych w stehbunkrze.

Przywykli do mnie i esesmani, nie traktując mnie źle starego klienta. Nie rewidowali mnie ani nie bili, co

niejednokrotnie czynili z nowicjuszami, zwłaszcza block-furherPerschel czy „Koński łeb”, kommandofuhrer karnej kompani. Zauważyłem, że mój niski numer obozowy

218.

budził w nich trochę respektu, jak i długość odstawiania kary, którą dzielnie znosiłem, mając doskonale zaplecze do odpoczynku na FKL, o czym oczywiście nie wiedzieli. Bez większych tarapatów dobrnąłem do ostatniego dnia, a raczej nocy, po której miała zakończyć się moja kara.

Był koniec lutego i mimo że śniegu już nie było, wieczór był wyjątkowo zimny. Czekając jak zwykle w sieni schreib stuby na blockfuhrera, zamarzęłem okropnie. Pragnąłem jak najprędzej znaleźć się w bunkrze, gdzie umiałem sobie już radzić.

Blockfuhrer Baretzki nadjechał rowerem. Nie zważając na moje zameldowanie się, odpiął z ramy wypełnioną tecz-kę, po czym wszedł do pokoju lageraltestera. Po upływie jakiejś godziny Baretzki wybiegł ze sztuby, krzyknął na mnie, bym podał mu rower, i pojechał nie dopuściwszy mnie nawet do słowa. Wrócił po paru minutach z wypchaną tecz-ką, w której tajemniczo brzęczało szkło. Koło godziny dziesiątej wyszli. Wiktor prowadził rower ze zwi-sajacą na ramie pustą tecz-ką. Baretzki wyglądał na wsta-wionego. Zastąpiłem im drogę, chcąc w ten sposób zamafifestować swoje istnienie, ale Baretzki odtrącił mnie, beł-koczając zdenerwowany:

– Was machst du hier?... geh weg!1

– Pieronie, zmykaj, bo się jeszcze rozmyśli!... – szep-nał Siwy, wypychając mnie za bramę bloku. Z dala dosły-szałem jeszcze głos blockfuhrera ginący w wietrznej nocy

– Alles Scheisse!...2

Rozdział LVII

Od pewnego czasu zaznaczyła się lekka poprawa wa-runków leczenia w kobiecym rewirze. W dużej mierze była to zasługa dr. Zbozienia i jego grupy pflegerów dających z siebie wszystko, by ulżyć doli nieszczęsnych więźnia-rek.

„Zaopatrzeniowcy” z obozu oświęcimskiego działali sprawnie mimo zaostření kursu zapoczątkowanego póź-ną jesienią przez Politische i rozstrzelania pod koniec sty-cznia 1943 r. kilku członków personelu szpitala w głów-

1 Co tutaj robisz?... Idź w diabły!

2 Wszystko gówno!...

nym obozie. Między innymi zginął Gienek Obojski, zastrzelony osobiście przez swego pracodawcę Palitzscha. Los Gienka podzielił również Teofil Banasiuk, zaszprycowany przez Klehra na polecenie Politische. W ten sposób pozbyto się naocznych świadków wszystkich mordów dokonywanych głównie na dziedzińcu bloku 11. Georg Ze- manek i Fred Stessel też nigdy już nie wyszli z bunkra. Zo- stali rozstrzelani. Śmierć tego ostatniego zrehabilitowała go w oczach niejednego z więźniów, którym się naraził swoją nadmierną gorliwością i służalczością wobec władz obozowych. Maskował się, nie zmylił jednak czujności Politische Abteilung" i jego szpiclów. Bocka usunięto z funkcji lageraltestera HKB. Poszedł gdzieś na „kome- derówkę, daleko od głównego obozu. Część jego podopie- cznych nie mając teraz oparcia, szukała szczęścia gdzie indziej.

Jeśli na kobiecym rewirze panował już jaki taki porzą- dek to na lagrze warunki były nadal okropne. Brud i głód zdziesiątowały i tak już wyniszczone obozem kobiety. Brak wody przyczyniał się do rozszerzenia epidemii tyfu- su które w tych warunkach niepodobna było opanować. Władze obozowe zastosowały radykalny środek zlikwido- wania epidemii, taki sam, jakim posługiwano się ubiegłego roku w męskim obozie. Zastosowano selekcje. W jednym dniu zagazowano parę tysięcy kobiet. Lagerarzt Rhode za jednym zamachem przekreślił swój dotychczasowy doro- bek biorąc jak najbardziej czynny udział w selekcji. Wi- docznie skapitulował. Grupa dr. Zbozienia została rozwią- zana. Część lekarzy i pielęgniarzy powróciła do Oświęci- mia, część pozostała na stałe w Birkenau, między innymi i ja.

Zostałem pisarzem rewirowym na bloku 12. Schreib-stuba mieściła się w małym pokoiku po prawej stronie ko-rytarza prowadzącego do ambulatorium. Pracowało nas tu trzech Karol, jako najstarszy wiekiem., był szefem, jego zastępcą był Zygmunt, mój krajan i rówieśnik z tego samego co i ja transportu tarnowskiego. Praca moja polegała na wypisywaniu totenmeldunków. Opis choroby, na którą zapadł więzień, dotyczył również tych wszystkich, którzy zostali w obozie zamordowani. Rozstrzelani, zaszprycowani i zagazowani. Każdy zmarły musiał mieć swoją historię choroby- fikcyjną oczywiście. Tego żądały władze obo- we i to kazano robić mnie. Początkowo nawet więźniom,

o których wiedziałem, że zostali rozstrzelani, wpisywałem „herzschlag", później jednak doszedłem do wniosku, że za wiele byłoby tych „ataków serca", co mogłoby się dla mnie źle skończyć, gdyby Politische zwróciło na to uwagę. Wpi- sywałem więc totenmeldunki tak, jak sobie tego życzone zastrzelonemu wpisywałem np. „durchfall", zmarłemu na durchfal napisałem „herzschlag", zaszpilowanemu „nieren-entzündung" itp. Krótko mówiąc, było to perfidne fałszo- wanie świadectw zgonów, zacieranie masowych mor- derstw popełnianych na bezbronnych więźniach. W pierwszej połowie marca zaczęły odchodzić z Oświę- cimia i Brzezinki duże transporty więźniów do innych obozów. Wywożono głównie Polaków. Na jednej z list transportowych znalazła się większość personelu naszego szpitala, a wśród nich i ja. Nazajutrz rano mieliśmy wyru- szyć do Oświęcimia, skąd podobno miano nas wywieźć do obozu w Neuengamme.

Ostatni wieczór w Birkenau. Wyszedłem przed blok za- czerpnąć trochę świeżego powietrza. Cały obóz pogrążony był już w głębokim śnie.

Stałem za uchyloną bramą baraku, w miejscu gdzie nie docierało światło żarówki umieszczonej nad drzwiami i już miałem zamiar zapalić papierosa, gdy zaintrygowała mnie jakaś skradająca się postać, której pochylona syl- wetka wyłoniła się zza węgła bloku. Był to Wacek, stubes- dienst Romana. Stanąwszy parę kroków ode mnie rozglą- dał się bacznie wokoło i upewniwszy się widać, że nikt go

nie podgląda, zabrał się do pracy. Wygrzebawszy jakimś narzędziem spory dołek, wyciągnął z za pazuchy małe za-winiątko, po czym rozejrzawszy się uważnie, starannie za-grzebał je. Wracając do bloku dosłownie otarł się o mnie nie zauważwszy mnie jednak. Wacek, chytry i zapobiegliwy, zabezpieczał się na przyszłość. A może wykonał tylko polecenie swego „pana” – Romana, który również szedł w transport? Może kiedyś wróca, wygrzebia, będą bogaci. Złoto w ziemi nie zdarzewieje!...

Domyślałem się pochodzenia tego „skarbu”. W naszej schreibstube stała pod stołem drewniana skrzynka. Do skrzynki tej dentysta wkładał dzień w dzień złote zęby i koronki wrywane zmarłym. Co jakiś czas SDG opróżniał ją, zawożąc złoto do SS-rewiru, po czym pracowity denty-sta znowu napełniał skrzynkę, która ponieważ była pod naszymi nogami, zawadzała nam i śmierdziała resztkami

221.

gnijącego ciała zmarłych. Brzydziliśmy się tej skrzynki, nie wolno nam jednak było jej stamtąd usunąć, gdyż SDG uznał, że jest to dla niej najodpowiedniejsze miejsce i naj-bezpieczniejsze. Nikomu z nas nawet nie przyszło na myśl, że te zęby mogą tu w obozie przedstawiać jakąkolwiek wartość. Chociaż nieraz zastanawiał nas fakt, że mimo iż dentysta codziennie dorzucał coś do skrzynki, nigdy nie napełniła się do pełna. Zatem to Wacek albo Roman po-znali się na wartości tych zębów i dzielili się nimi z SS... Oparty o deski baraku zaciągnąłem się dymem papie-rosa. Smakowały mi coraz bardziej. Powoli stawałem się nałogowym palaczem. Żeby choć tam w tym nowym obozie było co palić!... Gdzieś w dali zaszczeły psy. Z wieżyczki stojącej obok wartowni dochodził głos meldującego esesmana: – Posten drei nichts neues! – Widocznie jakaś szarża obchodziła posterunki kontrolując, czy aby wartownicy nie śpią, Od strony lasku nadciągnął ciężki, słodkawy dym, przesłaniając powoli nie kończący się sznur żarówek na-elektryzowanego płotu. Wzdrygnąłem się, bo przeszło mnie nagle zimno. Trzeba iść spać... A nie ma co żałować tego Birkenau! Może w innym obozie będzie lepiej!... Tu zaczęto już budowę olbrzymich krematoriów, co nie wró-żyło niczego dobrego!... W tym transporcie jednak nie pojechałem. Wraz z kil-konastoma pielęgniarkami zostałem reklamowany i jako nieodzowny fachowiec – „stolarz” miałem wejść w skład personelu szpitala na bloku 8. Wacek i jego „pan” mimo różnych starań pojechali w transporcie. Skarb ich pozostawał w Birkenau.

Rozdział LVIII

Sprawa dziwnego reklamowania z transportu kilkunastu pielęgniarzy wkrótce się wyjaśniła. Otóż blokowy ósem-ki „Tata” Biernacik, tymczasowy zastępca Petra, który dostał się do karnej kompanii „za kobiety”, umiejętnie wykorzystywał antagonizmy powstałe między lekarzami SS i administracją obozu, nakłaniając naszego lagerarza, by

1. posterunek trzeci nic nowego!

222.

interweniował w Komendanturze w sprawie zamierzonego pozbawienia rewiru najlepszych sił do pracy. Dr Kitt zdołał wyreklamować część pielęgniarzy, na których najwięcej Biernacikowi zależało. W ten sposób dobrał sobie personel, na jakim mógł polegać, pozbył się przede wszystkim prominentów w rodzaju Romana – „szarej eminencji” czy Georga, zmuszonego poszukać sobie innej „posady” po utraceniu oparcia, jakie dawała mu pozycja Petra. Z Oświęcimia przysłano nowego lageraltestera HKB, nie-mieckiego komunistę, człowieka o łagodnym usposobieniu ale mało zaradnego. „Tata”, energiczny, sprytny, pracowity, zapobiegliwy, grał na rewirze pierwsze skrzypce. Lageraltester godził się na wszystko, czego zażądał „Tata”.

Blok 7 i 8, rozdzielone obszernym dziedzińcem otoczonym wysokim murem, stanowiły dalszą część szpitala, aczkolwiek oddalone od bloku 12 o sporą przestrzeń. Blok 1 był tzw. schonungsblockiem, innymi słowy – był przed-sionkiem krematorium. Co kilka dni odbywały się tu se-lekcje, przeprowadzane przez lagerarza dr. Kitta. Jeśli z jakichś powodów nie było selekcji przez kilka dni, sterty trupów układane pod murem podwórza sięgały wysokiego dachu bloku, gdyż leichtenragerzy nie mogli nadażyć z ich noszeniem do leichenhali znajdującej się w drugim końcu rozległego obozu. Śmiertelność była tak zastraszająca, że selekcje

jedynie przyspieszały to, co i tak nieodwołalnie miało się stać za parę godzin. Czasem zdarzało się, że jako chory przeznaczony już do gazu uratował się. Było to za-sługą blokowego Wiktora M., przykrego w obejściu i nie-równego, ale umiającego się niekiedy zdobyć na naprawdzi-wie ludzki czyn.

„Tata” Biernacik postawił sobie za punkt honoru uczy-nić z bloku 8, niewiele różniącego się od siódemki, praw-dziwy szpital. Będąc ogólnie lubiany i mając szerokie znajo-mości wśród kapów różnych użytecznych komand, organi-zował” na potęgę cegły, wapno, cement, drewno, rury wodo-ciągowe itp. – wszystko, co tylko nadawało się do re-montu rozlatującego się baraku szpitala. W niedługim cza-sie ażurowy dach został pokryty od wewnątrz matami nie przeciekał już ani nie wiało tak jak dotychczas, bo blok został otynkowany od środka i wybielony, co także już stwarzało pozory czystości. Błotniste klepisko między buksami wybetonowano, a wstrętne i cuchnące becзки

223.

z odchodami zastąpiono skanalizowaną ubikacją, a nawet urządzono umywalnię z natryskami.

Umywalnię doprowadzili do stanu używalności „insta-latorzy” dochodzący do pracy w Birkenau z obozu oświe-cimskiego. Zakładali oni właściwie instalacje wodocia-gowe w kobiecym obozie, z czego „Tata” skorzystał, anga-żując ich częściowo u siebie na zasadzie tzw. „fuchy”. Przy tej spobności miałem możliwość spotkać się z Edkiem Ga-lińskim, który kursował jako instalator między FKL a blo-kiem 8. W kobiecym obozie pracował już od dłuższego czasu i miał tam jakąś sympatię, o której mi mgliście wspominał. Skorzystałem z okazji, by przesłać przez Edka Halinie gryps i trochę papierosów.

Na naszym bloku pracowało kilku lekarzy, przeważnie Żydów, zadowolonych z losu, który pozwolił im pracować z dala od bloku 12, zatem w bezpiecznej odległości od twardej ręki naczelnego lekarza, dr. Zengtellera. We-wnątrz baraku uwijało się kilku pielęgniarzy oraz rekon-walescentów spełniających rolę pomocników. Być może, że było ich za wielu, ale „Tata” nie wypisywał ich na lager wiedząc że są to moi protegowani bądź Waldka N., jego zastępcy.

Stolarzem był mały i wymizerowany Żydek z Wileń-skiego ceniony przez „Tatę” jako pracowity i doskonały fachowiec. Ponieważ ja po stażu FKL-owskim u Staszka uważałem się za równie dobrego stolarza, zabra-łem się do samodzielnej roboty, którą zarzucał nas „Tata”. Prawdziwy majster szybko poznał się na moich kwalifi-kacjach nie chcąc mnie jednak urazić, dawał mi od czasu do czasu wykonać jakiś mniej ważny drobiazg, zachwala-jąc go potem, czym – wydawało mu się – robił mi wielką przyjemność, gdyż widział, że starałem się dorównać pochwałam.

Stolarnię mieliśmy w podwórzu. Była to drewniana szopa której jedną ścianę stanowił mur oddzielający dzie-dziniec od ulicy obozowej, drugi zaś bok przytykał do na-szego bloku, w miejscu urządzonego przez „Tatę” ambula-torium wykorzystywanego później przez SDG do robienia zastrzykóe z fenolu.

W tej stolarni urządziłem się wcale nieźle. Żelazny pie-cyk służący do roztapiania kleju stolarskiego był naszą kuchnią, na której smażyliśmy kartofle organizowane z kuchni obozowej. Takie rarytasy, jak smalec, boczek

224.

cebula, przysyłane mi z domu (już wolno było otrzymywać niewielkie paczki), urozmaicały nasze skromne menu Obozowa zupa z przegniłej lub zmarzniętej brukwi coraz mniej nam smakowała.

Mój towarzysz od hebla przyjaźnił się z dwoma „tata-torami”, z których jeden

pochodził z tej samej, co on, mniej-scowości. Drugi był młodym Żydem słowackim. Tatuato-rzy z racji swego stanowiska mieli do czynienia z zuga-n-gami – opływali we wszystko, co można było w tym czasie zdobyć od nowo przybyłych transportów. Rewanżując się za placki kartoflane, którymi ich gościnnie częstowaliśmy przynosili nam figi, rodzynki, daktyle, placki kukury-dziane przywożone przez Żydów greckich, ostatnio ma-sowo likwidowanych w komorach gazowych. Tylko zni-koma ich część dostawała się do obozu po uprzednim wy-tatuowaniu im numerów na przedramieniu lewej ręki Nieprzywykli do ciężkiej pracy i ciężkich warunków "obo-zowych, szybko muzułmanieli. Oni to właśnie stanowili gros pacjentów na bloku 7 i 8.

Rozdział LIX

Nadeszła wiosna, typowa birkenauowska wiosna. Śnieg stajał, gliniasta ziemia nie przepuszczająca wodę tworzyła wielkie rozlewiska. Błoto było tak potworne, że z trudnością można było oderwać nogi od tej gęstej bryi. „Tata”, ukończywszy remont bloku, zaprowadzał teraz porządki na dziedzińcu między barakami. Zaprzągnął do ro-boty Greków wałęsających się luzem po obozie, kryjących się przed lagerkapo, który upodobawszy ich sobie szczegól-nie, znęcał się nad nimi niesamowicie. Woleli już pracować pod okiem „Taty”, wymagającego, co prawda, ale nigdy nie robiącego użytku z kija, z którym się nie rozstawał. Wkrótce można było przejść podwórze suchą nogą pod murem zaś powstało coś, co mogło być w przyszłości ogródkiem. Pozasadzał w nim jakieś krzewy i posiał trawę, nie wiadomo skąd zdobytym nasieniem. Zleciało się skądś ptactwo dotychczas unikające obozu i wybierało z ziemi dopiero co posiane ziarenka. Rozzłoszczony bezczelnością wróble, „Tata” uwijał się z patykiem w ręce między grządkami strasząc zgłodniałe ptactwo niczym wiejska gospo-sia kury, które wlażyły jej w szkodę.

225.

A sio, a sio!... Poszły precz, złodzieje!... Ja wam dam skurczybyki!... – Wróble jak to wróble. Odganiane, odlatywały w popłochu, ale nie za daleko. Jedne przycup-nęły sobie na dachu, inne na murze i jak tylko „Tata” zni-nął w drzwiach bloku, zleciały się hurmem z powrotem. „Tata” użył więc fortelu. Kuchnia dostarczała szpitalowi pewnej ilości nadpleśniałego chleba i placków, minimalną część tego, co odbierano przywiezionym do obozu, i póź-niej palonym w krematoriach Grekom. Właściwie nie na-dawało się to już do jedzenia i być może dlatego szef kuchni odstąpił te resztki rewirowi jako nadprogramowe wyżywienie dla chorych. „Tata” nie zezwolił wyda-wać tego chorem, do kuchni jednak nie zwracał, żeby nie narazić się szefowi. Niemniej wyschnięte placki znikają gdzieś bezpowrotnie. Wysypawszy garść tych okruszków w kącie podwórza, „Tata” starał się zwabić łakome wróble, byle tylko pozostawiły jego ogró-dek w spokoju. Jednak na darmo wołał: – Tiu, tiu, Ptactwo wolało wyszukiwać sobie żer samo, na grząd-kach, okruskami zaś zajęły się tłuste szczury, przechadza-jące się w biały dzień z kąta w kat podwórza. Mięsa miały dosyć, okruszki stanowiły dla nich nie lada przysmak, Wiktor zabawiał się w łowy, szczury były jednak czujne, szybsze od niego. Wtedy sporządził sobie procę i korzy-stając z nieobecności „Taty”, strzelał z niej do wszystkie-go co się tylko ruszało, tak długo, aż trafił... w szybę okna bloku 8. Waldek, obserwujący z dezaprobatą już od dłuż-szego czasu wyczyny Wiktora, nie wytrzymał. Od słowa do słowa doszło do rękoczynów. Nagłe „Achtung!” stojącego w bramie torwaczy przerwało incydent. Spłoszone okrzy-kiem wróble uleciały z furkotem, a w bramie ukazała się szczupła sylwetka dr. Kitta w towarzystwie SDG i dr Zen-gerla. Weszli do bloku Wiktora, co oznaczało selekcję na siódemce. Tymczasem powrócił „Tata” ze swoimi Grekami dźwi-

gającymi zieloną darń wykopaną gdzieś na krańcach obozu, zadowolony ze zdobyczy i zwycięstwa nad wróblami, bo przecież trawy to mu nie zjedzą.

Tata", dr Kitt na siódemce!... – zawiadomił go Waldek- Już długo tam siedzą!... Znosi się na większą selekcję.

Dobra, dobra!... już tam idę!... – odpowiedział spo-

226.

kojnie „Tata”. – Tylko jeszcze wytłumaczę tym Grekom, co mają robić! Wyszli wreszcie. Stanęli przed blokiem, naradzając się przez chwilę. Wiktor trzymał w ręku gruby plik kart cho-robotowych, drugi plik kart był w posiadaniu SDG. Wiad-domo było, że są to karty tych, którzy zostali wybrani do gazu. Dr Kitt długo klarował coś Wiktorowi, ten zaś co chwila stukał obcasami, przytakując ze zrozumieniem i wykrzykując energicznie:

– Jawohl, jawohl, Herr Obersturmführer!... Jawohl!

Na rozkaz Wiktora obsługa bloku zaczęła wyprowadzać chorych przed blok.

Tymczasem dr Kitt i Zengteller a przed nim „Tata”, skierowali się do naszego bloku Czyżby i u nas miała być selekcja?... To zdarzało się rzadziej!...

Podwórze powoli zapełniało się chorymi. Ci, którzy mogli jeszcze stać, skupili się w ciasną gromadkę, za pełniając kąć dziedzińca. Wielu posiadało lub wprost po-kładło się na wilgotnej ziemi, zobojętniali na wszystko co działo się wokół nich. A z bloku wyprowadzano wciąż no-wych.

W naszym bloku selekcji jednak nie było. Dr Kitt, wy-dawszy jakieś polecenia swemu SDG, szybkim krokiem skierował się ku bramie, za nim biegł w podskokach dr Zengteller, ledwie nadażając na swych krótkich, krzy-wawych nogach. „Tata” przypomniawszy sobie o swoich Grekach, korzystających z chwilowego braku nadzoru to poleniuchować, starał się nagonić ich do pracy. Grecy kłó-cili się między sobą zapamiętale, nie zważając na nawoły-wania „Taty”, dwóch szamotało się w kącie podwórza w miejscu gdzie były rozsypane okruchy chleba dla wróbli nie dojedzone przez szczury, a będące teraz kością nie-zgody walczących o nie zgłodniałych ludzi.

Już kilkaset chorych wyprowadzono z bloku 7, a nie widać było jeszcze końca. SDG, przeliczywszy dokładnie ilość kart trzymanyh w ręku, udał się z powrotem do bloku 8, skąd długo nie wracał, co kazało się domyślać, że szpry-cuje tych najciężej chorych, wyznaczonych przed chwilą przez dr Kittę.

Stolarz, poruszony czymś bardzo – sama selekcja jako taka nie robiła już na nas specjalnego wrażenia: była na porządku dziennym, była czymś, co musiało być, niezależnie od tego, czy byliśmy nią wstrząśnięci, czy nie od dłuższego czasu wykazywał wielkie zdenerwowanie. Usły-

227.

szawszy huk motorów zajeżdżających pod bramę ciężarowych aut, wybiegł jak oszalały na dziedziniec, szukając kogoś wśród chorych, ale zobaczywszy powracającego z ósemki SDG, natychmiast się wycofał. Zamknęliśmy się w budzie i przyłożywszy twarze do szpar w deskach stolarni obserwowaliśmy, co dzieje się na podwórzu. Pierwsz szereg chorych podprowadzanych przez obsługę szpitala zniknęły za bramą. Słyszać było, jak ładują ich do podstawionych tam aut. Stolarz, nie odrywając oczu od szpary w deskach, trząsł się cały, mówiąc coś do siebie po żydowsku, co robiło wrażenie, jakby się modlił. W pewnym momencie, niezwykle podniecony, zwrócił się do mnie po polsku, mówiąc urywanymi ze wzruszenia zdaniem:

Jeszcze jest!... Jeszcze go nie zabrali!... Stoi tam... tam pod ścianą, widzisz go?... On jest całkiem zdrow i pójdzie teraz do gazu!... Mój Boże!... A.tam scharfiihrer ciągle się kręci i ja nie mogę mu pomóc!... Jak ja się pokażę, to on mnie jeszcze weźmie!...

Jaki jest jego numer?"- zapytałem, domyślając się, czego ode mnie żąda. Gdyby to był SDG Klehr, na pewno nie odważyłbym się wyjść, ale tego nie obawiałem się zbytnio. Znałem go jeszcze FKL. Był znośny. Zabrawszy jakieś narzędzia i kawałek listwy, wyszedłem na zatłoczony dziedziniec. Złapałem Waldka i powiedziałem, o co mi chodzi. Właśnie wybierał się do „Taty” prosić go, by ratował dwóch chorych o których błagali go tatuatorzy. Dwóch czy trzech, co za różnica!...

Tata” nagabywany przez nas machnął w końcu ręką zrezygnowany.

Już dobrze już, dobrze!... Ja też mam kilku, o których prosili mnie lekarze! Każdy tam kogoś dekuje, a teraz jak mam ich wydostać w ostatniej chwili... SDG ma wszystkie karty w garści!... – narzekał „Tata”, pisząc patykiem po ziemi podwórza jakieś zagadkowe esy-floresy, co oznaczało że myśli nad czymś intensywnie. Raptem zwrócił się do Waldka

Gruby!... Skocz no do bloku i przynieś karty tych zaszprycowanych! A ruszaj się, skurczybyku!... Może da siWaldek poleciał na blok, a „Tata” wdał się w ożywioną rozmowę z SDG, by odwrócić jego uwagę od tego, co teraz za jego plecami.

228.

Korzystając z nieuwagi SDG, obsługa siódemki upro-wadzała z placu swoich znajomych i przyjaciół, wprowadzając ich na powrót do bloku, podawszy uprzednio Wik-torowi ich numery. Wiktor, grzebiąc najbezczelniej w świecie w kartach trzymanyh przez esesmana zajetego rozmową z „Tatą”, gorączkowo wymieniał karty chorych wprowadzonych już do bloku, zastępując je kartami pod-suwanymi przez Waldka. W ten sposób wymieniał skaza-nych na zagazowowanie za już nieżyjących, to jest za tych których SDG może przed niespełną godziną zgładził za-strzykami fenolu.

Wiktorowi udawało się dość długo, ale do czasu.

– Was machst du, Wiktor!... Bist du verruckt gevor den!?! – zirytował się w końcu SDG.

Zaskoczony Wiktor w pierwszej chwili znieruchomiał ale już w następnej zdołał się opanować. Wyrwawszy z rąk oniemiałemu ze zdziwienia esesmanowi cały plik kart cho-robowych, podskoczył do swoich pfliegerów i potrzęsając im przed nosem wyrwanymi dopiero co kartami, jał na nich gromko pokrzykiwać:

– Bajzel mi tu robiecie skurwysyny!... Jak pilnujecie chorych w bloku, Żydy przekłete!... Zabrać mi tych mu-zulmanów z oczu i żeby mi się tu nie szwendali!... Verstan-den, ihr judische Bandę!... – Wiktor pieklił się, wściekał -wzywał od najgorszych, nawet uderzył kóregoś, ale osią-gnął to, na czym mu najwięcej zależało: miał karty choro-bowe, a bez nich na nic by się zdało chronienie w bloku chorych wyznaczonych do gazu. Każda karta trzymana w ręku SDG to wyrok śmierci!

Tymczasem „Tata”, odciągnawszy Niemca aż pod na-szą budę, rzekł doń uspokajająco:

– Jemand muss hier Ordnungmachen!... Blockaltltester Wiktor wird das schon sehr gut machen, keine Angst

– Ja, ja an, ich glube!... – odpowiedział esesman I nieco załagodzony. – Aber alles muss stimmen!3

Wiktor rzeczywiście dopilnował wszystkiego. Siedmiuset chorych, a więc tylu, ilu wyznaczył lagerarzt, zostało

1 Co robisz, Wiktorze! Czyś zwariował!?

2 Ktoś musi tutaj robić porządek!... Blokowy Wiktor robi to bardzo dobrze, nie ma obawy!

3 Tak, tak, wierzę!... Ale wszystko musi grać!

229.

załadowanych do aut i wywiezionych do komór gazowych. Ilościowo musiało się zgadzać, bo tego już dobrze pilnował SDG. Tu nie dało się nic zrobić. Alles muss stimmen! Można było jedynie pozamieniać chorych za zmarłych, a le w pełni „Tacie” i Wiktorowi się udało; uspili czujność SDG zainscenizowaną gorliwością i zagadywaniem. W obecności Kitta nie mogliby sobie pozwolić na coś po-dobnego. Uratowano garstkę chorych, ale na jak długo?... Za dwa, trzy dni będzie znowu selekcja!... SDG może nawet nie był taki głupi i zdawał sobie sprawę z tego, że za jego plecami przeprowadzano jakieś kombinacje z chorymi. Niech sobie kombinują!... Prędzej czy później i tak nikt stąd nie wyjdzie. Rzuciwszy okiem na podwórze zasłane trupami, wśród których krzatali się leichentragerzy, szedł wolnym krokiem ku bramie, za którą oczekiwała go sanitarka ze znakami Czerwonego Krzyża.

Rozdział LX

Blok Wiktora uzupełniał się szybko. W Birkenau chorych nigdy nie brakowało. Obsługa szpitala miała znowu pełne ręce roboty. Wiktor tymczasem biegał po podwórzu z procą, zabawiając się jak wyrostek strzelaniem do szczerów. „Tata” stał w bramie i rozmawiał z Siwym. Rozmowa musiała być interesująca, bo nie zwracał uwagi na wróble robiące mu szkodę w ogródku. Waldek siedział w bloku i zajadał placki kartoflane podsuwane mu przez Franka Harasiewicza, jednego z rekonwalescentów, którego Waldek przetrzymywał na bloku, litując się nad jego niepełnosprawnością i ze względu na fakt, że był on z tego samego, co on pierwszego warszawskiego transportu.

| Mój wyostrzony węch przywiódł mnie na tę ucztę. Małe sprytne oczy Franka latały rozbiegane, starał się dogadzać jak tylko mógł, żeby jak najdłużej utrzymać się na dobrej posadzie sztubowego. Pomagał swemu choremu koledze Mietkowi Katarzyńskiemu, leżącemu na jego sztubie i można było mieć złudzenia, że jest to nawet niezły chłopak. Skąd można było przewidzieć, że tak jeden, jak i drugi staną się niebawem mordercami, a Mietek zasłuży na przydomek „Krwawy”.

To ja was wszędzie szukam, a wy. skurczybyki, tu

230.

się zadekowaliście?... – niespodziewanie usłyszeliśmy podniesiony głos „Taty”.

– Czy ja zawsze mam za wszystkich robić?... Waldek Tę zupę, co została (kuchnia wydała obiad na cały stan bloku, nawet dla zaszprycowanych), wydasz do dyspozycji lageraltestera Siwego... on zaraz wyśle sztubowych! A i do paczkami trzeba pójść po paczki żywnościowe!

– Panie blokowy, może placuszka?... Pan spróbuje doskonale!... – wtrącił bezczelnie Franek, krygując się przed „Tatą”. „Tata” machinalnie ujął placek w swe grube, zrogowaciałe od ciągłej pracy palce, po czym obrzuciwszy krytycznym spojrzeniem Franka, zapytał ostro Waldeka:

– A ten co za jeden?...

– Pomaga tu!... – odrzekł Waldek jakby mimochodem Franek zaś, wcale nie zdetonowany pytaniem blokowego, skwapliwie podsuwał mu drugi placek.

– Stanowczo za dużo tu pomagierów, a do roboty nie ma nikogo!... – stwierdził „Tata” już nieco udobruchany Z kolei zwrócił się do mnie:

– Ty niby stolarz, ale nie widzę, żebyś się przepraco-wywał! Tamten Żydek to ma robić za siebie i za ciebie co?... Jazda do roboty, skurczybyku! A powiedz mu, że tego jego kolegę, jak wydobrzeje, przeniesiemy na nasz blok! To dobry krawiec podobno!...

„Tata” zawsze cenił rzemieślników i lubił się nimi ota-czać.

– „Tata” będzie szył sobie garnitur? – zażartował Waldek.

– Nie śmieję się, gruby, bo jak ci portki trzasną na du-pie, to kto ci je zeszyje? Co?... – odpalił „Tata”, śmiejąc się. – No, do roboty!... A ty, Waldek, przyślij mi jeszcze Ganszera, bo i w schreibstubie pewnie bałagan po dzisiejszej selekcji.

Powiedziałem stolarzowi, iż blokowy postanowił prze-nieść krawca z siódemki na

blok 8. Stolarz wyraził wielkie zdziwienie.

– Jakiego krawca?... Ja nie znam żadnego krawca.

– Nie strugaj wariata! Chodzi o twego kolegę, który miał pójść dzisiaj do gazu!... Prosiłeś przecież!...

– Ach tak, tak!... – rzekł zmieszany, widać zapomniał, że przedstawił go „Tacie” jako krawca, wiedząc o jego słabości do rękodzielników. Szybko więc dodał

231.

Ten Biernacik to dobry człowiek!... A blokowy Wik-tor chociaż taki zwariowany, też niezły!... – stolarzowi trudno było ukryć zadowolenie.

Tata” chyba będzie mniej zadowolony z tego „krawca” – pomyślałem sobie. – Taki on krawiec, jak ze mnie

stolarz.

Stolarz zabrał się do heblowania, po chwili jednak przerwał robotę.

Podszedł do drzwi, wyjrzał, czy nie ma w pobliżu nikogo, a stwierdziwszy, że wszystko w porządku zamknął je na haczyk i zbliżywszy się do mnie, powiedział szeptem:

Był tu Eisenbach, ten od tatuatorów. Mówił, że jutro ma być kontrola numerów na rękach... On chce ci go wytatuować!... bo on dobrze wie, że robicie to sobie chemicznym ołówkiem!... Zapalisz? – dodał przyjaźnie, zobaczywszy że speszyłem się tym odkryciem. Poczęstował mnie greckim papierosem.

Ooo, widzę, żeś niezły organizator... – powiedziałem udając zdziwienie. Stolarz nic nie odpowiedział, ale widać było, że połechtałem go tym powiedzeniem. Z tajemniczym wyrazem twarzy sięgnął ręką między usztaplowane w kącie stolarni deski, skąd wyciągnął banknot złożony w kostkę.

Dostałem go od tego „krawca”!... – rzekł, rozłożywszy na warsztacie banknot 500-dolarowy. – Fura pieniędzy tylko nie tutaj!... Nic mi po tym... Ty jesteś stary wieź- zień masz znajomości, może uda ci się to przehandlować...

Ostatnio w Birkenau zaczęła kwitnąć „czarna giełda”. Im liczniejsze szły transporty do gazu, tym więcej przedstawiało się do obozu wartościowych przedmiotów. Więźniowie mający kontakty z cywilami, a niektórzy nawet z esesmanami, mieli możliwość je wymieniać na wiktuały i coraz częściej na wódkę, przedmiot pragnień prominentów którym głód bynajmniej nie groził. Nie orientowałem się jeszcze, jaką wartość może przedstawiać owe 500 dolarów niemniej widziałem już ich odbiorcę w osobie pracownika obozowej kantyny, o którym krążyły pogłoski, że wymienia” wartościowe przedmioty na papierosy.

Sięgałem już ręką po banknot, by schować go w zaszywce marynarki, gdy nagle uświadomiłem sobie, że niepełna trzy lata temu wpadłem za podobne sprawy. Miałem wówczas kontakty!... Tu na rewirze leży ksiądz Kusak dyrektor zakładu selezjanów, aresztowany zeszłego

232.

roku i osadzony w obozie. Wprawdzie aresztowanie jego nie miało nic wspólnego z tamtą sprawą, miał jednak z tego powodu nieprzyjemności. Wtedy chodziło zaledwie o 20 marek. Tu w grę wchodziło aż 500 dolarów. Lepiej dać sobie z tym spokój!... Cofnąłem rękę.

– Wiesz, lepiej zatrzymaj je w ukryciu... – powiedziałem. – Wolę nie mieć tego przy sobie!... Wpierw znajdę nabywcę! – pocieszyłem stolarza, zobaczywszy, że jest rozczarowany.

Wieczorem Waldek wytatuował mi na przedramieniu numer maleńkimi, zgrabnymi cyferkami. Sobie też. Lepiej nie ryzykować! Małe cyfry można będzie usunąć w

razie potrzeby, a malowanie ich ołówkiem mogłoby nas kiedyś narazić o posadzenie organizowania ucieczki.

Otrzymałem z domu paczkę, skromniutką, widać ciężko było rodzicom. Ilekroć dostawałem z domu list czy przesyłkę, wprowadzało mnie to w wisielczy nastrój Odżywały wspomnienia, tym jaskrawiej widziałem bezna-dziejność nędznego żywota za drutami obozu. Wyjątkowo wcześniej położyłem się spać. Zwykle zasypiałem prawie natychmiast po zmówieniu w myśli codziennego pacierza jakiego nauczono mnie jeszcze w dzieciństwie: Ojcze nasz Zdrowaś Mario. Ale tego wieczoru jakoś długo nie mogłem zasnąć. Myślałem o domu, o wojnie, obozie, o komorach gazowych i fenolu, o selekcjach, rozwałkach i kolegach którzy już poginęli, o swoim podłym losie, w którym mimo wszystko miałem sporo szczęścia; o tym w końcu, co przy-niesie jutrzejszy dzień i następne i czy doczekam się kiedyś wolności, której nie umiałem już sobie konkretnie wyobra-zić.

Waldek potężnie chrapał. Z bloku dochodziło ustawiczne szuranie drewniaków chorych zdążających do ubika-cji, pojękiwania, kasłania i rżenia konających. Boże kiedy się skończy ta makabra!... Za czyje grzechy cierpią ci ludzie!... i ja... Boże, jeśli los mój jest w Twoich rękach pozwól mi przeżyć ten piekielny obóz! – Po gorącej mo-dlitwie niespodziewanie pojawiły się refleksje. Czy modli-twy tu coś pomogą?... Wrogowie przecież też się modlą do tego samego Boga! Z tymi wątpliwościami usnąłem

Rano obudził nas podniesiony głos „Taty”.

– Wstawajcie, skurczybyki, gongu nie słyszeliście, czy co?

233.

Podczas dnia, nie było czasu na filozofowanie. Wystar-czyło myśleć, żeby jakoś przebrnąć do następnego dnia, nie podpaść, najeść się i nie przepracować. „Byle do jutra!”, w myśl utartej obozowej dewizy.

Udało mi się „sprzedać” ów banknot 500-dolarowy. Od kantyniarza otrzymałem 15 paczek papierosów „Zorka”. W przyszłości obiecał-wyrównać do 50 paczek, ale nie wie-rzyłem zbyt w te mgliste obietnice. Dobrze i to! Urado-wany stolarz podarował mi połowę utargu. Część tych pa-pierosów posłałem przez Edka na FKL wraz z grypsem do Haliny, w którym umówiłem się z nią na „spotkanie przy drutach” w najbliższą niedzielę.

Edek obiecał mi, że zabierze mnie któregoś dnia na ko-biecy obóz w przebraniu instalatora. Nawet nie było w tym wielkiego ryzyka. Instalatorzy często przechodzili z obozu do obozu bez specjalnych przepustek. Na warto-wni wystarczyło tylko meldować swoje wyjście i przyjście, na co władze zezwalały, gdyż instalatorzy prowadzili ro-boty tak na męskim, jak i żeńskim obozie.

Edek miał na FKL jakąś dziewczynę, odwzajemniającą jego uczucia. Ostatnio przebywał tam całymi dniami, czego mu nawet zazdrościłem. Od czasu do czasu wpadał do mnie na rewir, by podrzucić jakiś gryps lub przywieźć wiadomości od kolegów z Oświęcimia.

Jednego dnia Edek przyniósł wódkę. Ostatni raz piłem alkohol jeszcze w Oświęcimiu w krematorium u Zemanka, w towarzystwie Gienka i Teofila. Żaden z nich już nie żył. Alkohol podziałał na nas szybko.

Gdzieś ty ją zorganizował? – zapytałem Edka, nie posiadając się ze zdumienia, przeczytawszy etykietkę na opróżnionej już do połowy butelce. Oryginalna krakowska! Człowieku! – roześmiał się na to Edek lekceważą-co co to jest!... Mogę mieć tego, ile tylko dusza zaprag-nie.Trzeba mieć tylko złoto albo dolary!... no i kontakty z cywilami, których tu pełno pracuje. Forsa, bracie, tylko forsa. Wszystko za to można mieć!... Tylko wolności nie kupisz, cholera!... – dorzucił posępnie, po czym kontynu-ował dalej: – Dopiero co wczoraj rozwalili dwudziestu

chłopaków podejrzanych lub złapanych na ucieczce z obozie. Drogo zapłacili za samą chęć ucieczki!
Uwas w Oświęcimiu rozwałki, a u nas w Birkenau dla odmiany komory gazowe i krematoria. Jedyne wyjście jest przez, komin, jak mawiał nieboszczyk Teoś...

234.

Sowieso Krematorium... – powtórzył Edek wskazując palcem do góry. – Pij, bracie!... I tak, co ma wisieć nie utonie!...
Edek łyknął z butelki, obtarł usta dłonią, po czym po-dał mnie. Zalewaliśmy – jak się to mówi – robaka.

– A wiesz co?... – odezwał się Edek po dłuższym na-myśle. – Może by tak spróbować, co?... Trzeba tylko to mądrze przemyśleć!... No, pociągnij sobie, teraz na ciebie kolej! Stąd, z Birkenau, jest łatwiej wiać!... Nasze ko-mando ma być tu wkrótce przeniesione na stałe. To by uła-twiło... Warto o tym pomyśleć, nie uważasz?

– A odpowiedzialność zbiorowa? – zapytałem. – Ja o tym już dawno myślałem, jeszcze jak byłem na Bunie Brykniesz, a do obozu sprowadzą ci rodzinę!...

– Masz rację!... cholera! – przyznał Edek trzeźwie-jąc. – Trzeba jeszcze czekać... Może na Zachodzie się coś ruszy?... Podobno Sikorski... – przerwał, bo w drzwiach ukazał się stolarz. Mały, chudy, nie ogolony, wyglądał jak półtora nieszczęścia. W milczeniu usiadł ciężko na tabore-cie. Edek, zerknąwszy nań z politowaniem, mrugnął do mnie znacząco.

– Coś ten twój majster dzisiaj nie w sosie!... Muzuł-manieje, czy co?...

– Nie mam z czego się cieszyć! – mruknął stolarz po-nuro. – Wiesz... – zwrócił się do mnie – tego „krawca wzięli dziś na szprycę..."

– Eee! Też mi zmartwienie! – Edek machnął ręką lekceważąco. – Za każdym nie będziesz płakał!... Dzień-nie giną setki! O, nawet w tej chwili idzie do gazu cały transport z Grecji! Lepiej łyknij sobie, to ci przejdzie. „jak nam! Bądź zadowolony, że ciebie nie wzięli!... Żyj i pij to mówiac to podał mu butelkę. – No, ciągnij do dna o, widzisz!...

Stolarz krztusząc się odstawił pustą butelkę, po czym wyszeptał złamanym głosem:

– Ten „krawiec" to mój rodzony brat!...

– Cholera!... Skąd mogłem wiedzieć... – powiedział zmieszany Edek zeskakując z warsztatu. Zabrawszy skrzynkę z narzędziami i poklepawszy przyjaźnie stolarza po zgarbionych plecach, skierował się ku wyjściu.

– Trzymajcie się! Jutro znowu do was wpadnę. jeśli nie „wpadnę"!... – dorzucił sentencjonalnie, znikając za drzwiami stolarni.

235.

Rozdział LXI

W niedzielę po południu miałem wyznaczone „spotkanie z Haliną. Mając jeszcze trochę czasu postanowiłem odwiedzić Edka S. w jego bloku. Okazało się, że on też szykuje się na spotkanie ze swoją sympatią pracującą w „bab-skiej" kuchni. Czyścił się, pucował i golił – zarost ledwie mu się sypał – jak na prawdziwą randkę.

W jego bloku mieszkali przeważnie Żydzi greccy. Wolne od pracy popołudnia spędzali w baraku, mimo iż na dworze była piękna pogoda. Większość z nich to już byli muzulmanie. Jeszcze możliwie wyglądali „śpiewacy" i piple blokowego, przeważnie bardzo młodzi chłopcy o smagłej oliwkowej cerze, regularnych rysach twarzy i olbrzymich czarnych oczach. Blokowy miał gości, na których złożyło się kilku jemu podobnych zbiorów, teraz łagodnych i wsłuchanych w piękną, melodyjną piosenkę Mama wykonywaną z talentem przez „śpiewaków".

Noch einmal!1 – ryczał pijany blokowy z za uchylonych drzwi swego pokoju, za każdym razem gdy pieśń się kończyła

Singen, singen! – wtórowali mu goście, równie jak on wstawieni.

Grecy śpiewali pięknie i z uczuciem, ale widać było, że

mają już tego dosyć i woleliby położyć się na buksach i odpoczywać przed jutrzejszym dniem. Śpiewali, bo czekała ich za to nagroda w postaci zulagi. Blokowy obdaruje ich chlebem tych, którym go zabierze po dokonaniu lausekon-
ande np. karząc ich za to, że mają wszy lub kratze. I tak postąpi łagodnie. Jeszcze parę miesięcy temu po prostu zastrzeliliby paru by mieć tych kilka porcji nadprogramowo. Edek wreszcie był gotów. Na lagerstrasse było tłoczno jak na deptaku w dużym mieście. Wszyscy zdążali na koncert pod kuchnią obozową mieszczącą się w pobliżu drutów oddzielających obóz męski od kobiecego, między którymi była spora przestrzeń przecięta ulicą, zamknięta z jednej strony magazynem chlebowym, z drugiej zaś wartownią odległą o kilkadziesiąt metrów. Kobięcy obóz usytuowany był podobnie jak nasz: po lewej kuchnia, z prawej strony sauna, której jedno skrzydło zasłaniało war-

1. jeszcze raz

236.

townię. Właśnie w tym osłoniętym miejscu zgromadzili się umówieni na „spotkanie”. Orkiestra obozowa wygrywała skoczne walczyki. Szukałem wzrokiem Haliny, znajdującej się gdzieś w tłumie gestykulujących i pokazujących coś na migi, gdyż o jakiegokolwiek rozmowie nie mogło być nawet mowy. Za duża odległość, poza tym orkiestra zagłuszała wszystko. Jest! Wysoka, zgrabna, długie blond włosy powiewają lekko na wietrze. Chyba mnie też widzi, bo pokazuje coś na migi, co wygląda, jakby dziękowała za przyślane przez Edka Galińskiego papierosy. Gesty i ruchy rąk Taka to i rozmowa! Ale miło chociaż popatrzeć. Wszyscy kiwają rękami, coś pokazują dla siebie tylko zrozumiałymi gestami. Są tam matki, żony, córki, sympatie, znajome.

Edek ożywił się i szturchnął mnie w bok.

– Patrz, jest i moja! O tam, stoi przed kuchnią!... Udamę zainteresowanie, ale ciągle nie mogę oderwać

oczu od wdzięcznej sylwetki Haliny.

– No, nie widzisz?... – denerwuje się kolega. – To ta co wyszła teraz do przodu!... – objaśnia Edek podekscytowany.

Musiałem w końcu tam spojrzeć. Od razu rzucała w oczy.

– Przecież to Niemka?!... – rzekłem zdziwiony, Kapo!... Ma bindę na ramieniu!...

– To co z tego, frajerze! – odpowiedział oburzony, – Z naszymi tylko kłopot! Z taką ta przystępujesz od razu do rzeczy...: bez wielkich słów i wstępów! Jeszcze ci kostkę margaryny sprezentuje, żebyś z sił nie opadł! – zaśmiał się Edek filuternie. – Raz się żyje! Jutro możesz pójść pod ścianę i nawet nie spróbujesz, frajerze!...

Nagle jakieś poruszenie wśród kobiet. Uciekają na wszystkie strony, ile tylko sił w nogach. Daję Halinie gwałtowne znaki, żeby uciekała. Lecz ona, zajęta rozszyfrowaniem mojej niezrozumiałej gestykulacji, nie widzi rapportfuhrerin Drechsler, pędzącej na rowerze wzdłuż lagerstrasse prosto w jej kierunku.

– Uciekaj!... Uciekaj, Halino! – na próżno staram się przekrzyknąć orkiestrę. Za późno! Wstrętna, zębata Drechsler jest już przy Halinie. Rzuciła rower na ziemię i okłada ją kościstymi rękami po głowie, po plecach, piersiach. Halina, zaskoczona zniechęta, nawet nie broni się przed ciosami ani też nie może się wyrwać, bo Drescher

237.

trzyma ją teraz za włosy i z furją bije po twarzy. Patrzymy na tę scenę bezsilni. Zamykam oczy, bo już dłużej nie mogę znieść tego widoku.

Już ją zostawiła ta stara kurwa! – słyszę czyjś stłumiony nienawiścią głos. Otworzyłem oczy. Halina, sponiewierana i ślaniająca się na nogach, umykała za budynek sauny. Triumfująca Drechsler dosiadała roweru w momencie gdy od wartowni biegnący laufer wołał coraz to potwarzając:

Lageralteste nach vorne! Lageralteste nach vorsa
Po chwili zarządzono lagersperre. Podobno przywie-
ziono duży transport. Nas wpędzono do bloków. Jedynie
^sonderkommando wymaszerowało do swej codziennej
pracy w krematoriach. — Links, links und links! — poda-
wał im krok kapo. — Ein Lied! — Za nami sunęła „Kana-
da w towarzystwie kilku podnieconych blockfuhrerów.
Będą przyjmować transport. Bogaty transport. To nie bie-
dnych Greków tym razem przywieziono. Przyjechał trans-
port z Francji. — Los, schneller, schneller! — poganiali
nerwowo esesmani.
Będzie „Kanada"! Wieczorem zachód czerwienił się łuną. Ciężki, słodkawy dym
spalanych ciał nadciągał z lasku. Znak, że son-
derkommando nie próżnowało. Tej nocy mimo wszystko spałem dobrze.

Rozdział LXII

Mijały tygodnie niczym nie różniące się od poprzed-nich przychodziły
transporty w większości likwidowane w krematoriach, robiono selekcje, tyfus,
malaria i durchfal nadal dziesiątkowały więźniów, Politische szalało, bunkry
były przepełnione, a w Oświęcimiu rozstrzeliwania były na porządku dziennym.
Czasem ktoś usiłował uciekać, co na ogół kończyło się tragicznie. Tymczasem obóz
rozrastał się powstawały coraz to nowe odcinki, tzw. abschnitty, wybudowane po
drugiej stronie rampy, na której wyłado-wywano liczne transporty przywożone
niemal z całej

238.

Jeden z abschnittów, odcinek E, zajęty już był przez Cyganów. Na odcinek D
przenosili się już więźniowie z na-szego obozu, część C była jeszcze nie
wykończona, podob-nie jak i B, w której miał być wkrótce utworzony familien-
lager, zaś odcinek A stanowił kwarantannę. Szpital otrzy-mał osobny odcinek F
usytuowany w najbliższym sąsiedz-twie krematorium III i IV, będącego już na
ukończeniu Przenosiny poprzedziło wielkie odswszawienie i selekcja Odcinek,
który dotychczas zajmowali mężczyźni, przejęły kobiety.
Odcinek F, tzw. Krankenbau, był dopiero w studium budowy i organizacji.
Kilkanaście baraków już stało w tym cztery typowe dla Brzezinki, tzw.
pferdestall, duże drewniane stajnie, mogące pomieścić do tysiąca chorych oraz
jedenaście małych baraków z oknami, mieszczących po 120 pacjentów. W budowie był
też osobny barak kąpie-Iowy, oczko w głowie „Taty”, sprawującego teraz odpo-
wiedzialną funkcję lagerkapo szpitala.
Lageraltesterem był nadal Hans, teraz kompletnie za-wojowany przez żadnego
władzy dr. Zengtellera.
Ulokowałem się na bloku Bocka, przeniesionego tu zdaje się, z podobozu w
Jaworznie. Bock kończył się Gruźlica zżerała mu płuca. Morfina, którą potajemnie
so-bie wstrzykiwał, ożywiała go chwilowo, ale gdy tylko przestawała działać,
ukazywała człowieka u kresu sił, bez-wolnego i bezsilnego, istną ruinę. Żał mi
go było bardzo ale nie byłem mu w stanie nic pomóc. Nałóg opanował go zupełnie. W
niedługim czasie przeniesiono go znowu na „komenderówkę”, gdzie zmarł,
wstrzyknąwszy sobie większą dawkę morfiny.
Byłem jednym z najstarszych więźniów na rewirze. Uważałem to za wystarczający
powód, żeby nic nie robię albo prawie nic. Dekowałem się, jak tylko umiałem a
sztukę tę opanowałem dobrze podczas trzyletniego pobytu w obozie, nawet do tego
stopnia, że lageraltester Hans był święcie przekonany, iż spełniam jakąś ważną
funkcję w szpitalu, dzięki czemu odnosił się do mnie przy-jaźnie. Mogłem zwieść
starego Hansa, ale nie dr. Zengtel-lera, który był teraz u szczytu władzy jako
naczelný lekarz całego rewiru. Ten znał mnie dobrze i wiedział, że nie lu-bię
się pracować. Toteż w jego obecności zawsze udawałem, że coś robię.
Wyraźnie polował, żeby złapać mnie na bezczynności.

239.

Spotkał mnie raz idącego spacerkiem między blokami. Zmyśliłem naprędce, że idę
do schreibstuby, gdzie posłał mnie blokowy. Wiedziałem, iż zaraz pójdzie

sprawdzić do blokowego, a ten będzie mnie krył, choćby dlatego, że nie lubił Zengtellera. Innym razem znowu przydybał mnie w waschraumie na pogawędce ze Staszkiem P., sprawują-1 tam funkcję kąpielowego. Staszek, nie w ciemną bitę, w mig się zorientował, władował mi na plecy pierwszego z brzegu muzułmana i wręczyszy jego kartę kazał mi od-nieść na blok durchfalowy, gdzie ten miał skierowanie. Zengteller był wściekły, ale bezsilny. Wszyscy łatwiej znosili moje lenistwo, w zasadzie nie szkodzące nikomu, niżeli jego nadgorliwość, będąca nieraz powodem śmierci niejednego chorego. Czasem pomagałem „Tacie” w jego pracach porządkowych, których było moc w nowo założonym szpitalu. Zwykle wtedy, gdy na rewirze był obecny lagerarzt Helmer-son „Tata” wkrótce połapał się w tej sztuczce. Czekał, czekał, ja cię jeszcze urządzę, skurczybyku! odgrażał się widząc, jak zmykam, skoro tylko Helmer-shon opuszczał obóz. Potem machnął ręką z rezygnacją, mrużąc pod nosem: – Do dupy z takim robotnikiem!... Czekał, napuszczę ja na ciebie Zengtellera!... Oczywiście nigdy tej groźby nie spełnił. „Tata” też go nie lubił, chociaż cenił w nim niespożyta energię i pracowitość.

Edek Galiński odwiedzał mnie coraz częściej, co mogło być wytłumaczone pracami, jakie instalatorzy spełniali na rewirze, zakładając w bloku kąpielowym instalacje wodne. Przynosił wódkę, w której coraz więcej smakowaliśmy, bo wyzwalała w naszych młodzieńczych umysłach myśli, których na trzeźwo nie odważylibyśmy się wypowiadać, tak bowiem były fantastyczne i nierealne: planowaliśmy ucieczkę z obozu. Z biegiem czasu myśl ta zawładnęła naszymi zmysłami do tego stopnia, że nie potrzeba już było podniety w postaci alkoholu, żeby ją opracowywać w przeróżnych wersjach na razie teoretycznie, zanim Edek będzie miał możliwość przeniesienia się na stałe do Birkenau, o co miał zacząć robić starania w najbliższym czasie. Według naszych planów realizacja ucieczki miała nastąpić w przyszłym roku na wiosnę, o ile nie nastąpiłoby coś, co zmusiłoby nas do przyspieszenia tego odległego terminu. Pierwszym krokiem do realizacji naszego zamierzenia

240.

miało być nawiązanie kontaktów z kimś spoza obozu z kimś pewnym, kto nas nie zadenukuje, lecz pomoże Wkrótce nadarzyła się ku temu sposobność. Ale jeszcze przedtem zostałem niespodziewanie blokowym. Nie pomogły prośby i tłumaczenia, że bynajmniej nie zależy mi na tej funkcji. „Tata” odpowiadał krótko i wżłowato: Masz być i koniec! Dostyc się napróznowałeś! A jak nie to fora ze dwora i na lager!...

Teraz, gdy zaczynała się już jesień, nie bardzo uśmiechało mi się pójść na lager, gdzie nie miałbym takich wygód jak na rewirze. Z drugiej strony funkcja blokowego od pewnego czasu była tendencją, żeby ważniejsze stanowiska w obozie obejmowali Polacy – mimo wszystko była funkcją kłopotliwą, nie tylko ze względu na odpowiedzialność, ale ciążyły na niej niezbyt pochlebne tradycje z okresu, kiedy blokowy był panem życia i śmierci. „Tata” miał swoją politykę, którą konsekwentnie przeprowadzał. W krótkim też czasie prawie wszystkie ważniejsze stanowiska na rewirze poobsadzał Polakami. Niemcy nie mieli tu wiele do powiedzenia. Do głosu doszli Żydzi, stanowiący większość personelu lekarskiego. Przyszedł też nowy lagerarzt w osobie młodego lekarza dr. Helmersohna, przeniesionego tu podobno prosto z linii wschodniego frontu dzięki wstawiennictwu swego ojca, generała policji czy żandarmerii w Berlinie, chroniącego w ten sposób swego synka przed niebezpieczeństwami wojny. Dr Helmersohn szybko zorientował się, na czym ma polegać jego praca. Jeśli w początkach swego „panowania” zdobył się nawet na wstrzymanie selekcji, to w krótkim czasie, po odpowiednim pouczeniu go przez władze, co należy do jego obowiązków i jak je ma wykonywać, rozpoczęło się istne szaleństwo. Biegając niemal codziennie po blokach, zabierał chorych na „zastrzyk” lub typował ich do likwidacji w komorach gazowych. Najczęściej bywał w blokach za-każnych, gdzie robił największe spustoszenia.

Właśnie te dwa bloki, przeznaczone głównie dla tyfus-ników i malaryków, przekazano mnie jako nowemu blokowemu.

Żeby nie być natychmiast zwolnionym na lager, funkcję blokowego zmuszony byłem przyjąć, opaski blokowego natomiast na wszelki wypadek nie założyłem. Korzystając z tego, że dr Helmersohn jeszcze mnie nie zna, wyręczałem się całkowicie swoim zastępcą, sympatycznym krakow-

241.

wskim żydem, znającym doskonale język niemiecki. Po kilku wizytach „na zakaźnym” dr Helmersohn nabrał przekonania, że to właśnie Gang jest blokowym; a ja tym-czasem sprytnie ułatwiałem się pod jakimkolwiek pretekstem Dr Zengteller, chociaż wściekły na mnie, lojalnie milczał, nie wyprowadzając go z błędu, podobnie jak lager-alister Hans, bojąc się teraz, poniewczasie, ujawnić prawdziwego blokowego, którego nigdy na bloku nie było w czasie wizyty lagerarza, co mogło mu wydać się lekceważeniem jego osoby.

Hans później mnie strofował, Zengteller pieklił się i od-grażał ja zasłaniałem się wciąż jedną i tą samą wymówką, że nie znam niemieckiego, „Tata” zaś zawsze mnie wybra-niał starając się za wszelką cenę utrzymać mnie na stano-wisku blokowego wbrew moim chęciom i mojej woli. Zeng-elher pozostał bezsilny wobec stanowczego stanowiska Taty”. Byłem nadal blokowym, funkcję moją zaś przed Halmersohnem odgrywał Gang. Tego rodzaju status quo nie mógł być trwały, niemniej utrzymywał się jeszcze przez jakiś czas.

Rozdział LXIII

Uzgodniłem z Edkiem, że postaram się w najkrótszym czasie porozmawiać z Szymlakiem i wybadać, czy nadawałby się ewentualnie do udzielenia nam pomocy w razie ucieczki z obozu. Miałem to przeprowadzić ostrożnie nie spiesząc się i nie ujawniając naszych zamiarów, dopóki nie przekonam się, że można na niego liczyć. Szymlak był to jeden z nielicznych cywilów pracują-cych wewnątrz obozu, i to bez specjalnego nadzoru. Wła-dze obdarzyły go zaufaniem, czego najlepszym dowodem był fakt że pracował na terenie obozu od czasu jego założenia, to jest od lata 1940 r., i nigdy nie miał z nimi żadnych zatargów Świadczyłoby to o jego sprycie i ostrożności, gdyż wiadomo było powszechnie, wśród więźniów oczywiście, że niejednokrotnie wyświadczał im drobne przysługi, nie dając się na tym nigdy przychwycić. Stary Szymlak był cenionym majstrem kaflarskim i jako taki zatrudniony został między innymi w naszym szpitalu przy urządzeniu rewirowej łaźni. Starego poznałem jeszcze przed trzema laty w Oświęcimiu, gdzie wykonywał podobne roboty w SS-re-

242.

wirze, Komendanturze i w szpitalu obozowym. To w zna-cznej mierze ułatwiło mi nawiązanie rozmowy.

Szymlak poznał mnie natychmiast i przywitał się ze mną serdecznie. Wyciągnąwszy pudełko z tytoniem, skrę-cił sobie papierosa, poczęstował mnie, po czym usiedliśmy sobie na murku i dalejże gawędzić. Można było rozmawiać bez obawy, gdyż blokowy, Staszek P., zobaczywszy, jak zajęci jesteśmy sobą, postawił na wszelki wypadek „na cynku” młodego chłopaka, który w razie niebezpieczeńs-twa miał nas w porę ostrzec.

– Dobrze się pan trzyma! – zauważył stary. – To już trzy lata minęło, jak widzieliśmy się! Nawet pan teraz lepiej wygląda...

– Kombinuje się jakoś! – odpowiedziałem szczerze – Z domu dostaję paczki żywnościowe, a i z „Kanady” czasem się coś zorganizuje – wyjaśniłem wskazując w kie-runku krematorium, chcąc w ten sposób naprowadzić rozmowę na właściwe tory.

– Ginie tu narodu! – Stary pokiwał głową z ubolewaniem.. – Ludzie wszystko wiedzą, co tu się wyprawia Dymy widać z daleka! Ale Bóg da, wreszcie się to skończy c!... – Szymlak rozgadał się. – Bija ich teraz na Wschodzie, a i Zachód zaczyna się ruszać. Bombardują ile wlezie.

Stary nagle zmienił temat. Widocznie uznał, że i tak za wiele już powiedział.

– Wszystko w rękę Boga... Jakoś to będzie!.Byle przetrwać!

Taka rozmowa do niczego nie prowadziła. Przecież wcale nie potrzebowałem uświadamiać Szymlaka o tym co działo się w obozie. Znał lager na wylot, od lat! Wszys-tko widział, o wszystkim wiedział. Trzeba było zacząć z innej beczki. Kręciliśmy się wokół właściwego tematu, ale żaden z nas nie odważył się

wypowiedzieć otwarcie. Wyglądało na to, że mimo wszystko nie mamy jeszcze do siebie zbyt wielkiego zaufania. Ja byłem teraz blokowym, a z funkcyjnymi różnie bywało. On zaś wprawdzie sprzyjał więźniom, ale z esesmanami był w doskonałej komitywie i nawet pozdrawiał ich podniesieniem ręki.

Jak tu zacząć? – poskrobałem się po głowie, jak miało mi to coś pomóc.

– Coś pana gnębi! – zauważył stary. – Może będę mógł temu zaradzić?... – Szymlak wyraźnie dawał do zrozumienia

243.

że skłonny jest do udzielenia mi pomocy. Jeśli nie zacznę teraz – pomyślałem – to chyba już nigdy się nie dogadamy. Na początek poproszę go o jakąś drobną przysługę, a potem zobaczymy.

– Panie Józefie!... Chciałbym do domu wysłać gryps zaproponowałem jednym tchem, obserwując z ukosa, jakie na starym zrobi wrażenie. Szymlak, podkręciwszy sumiastego wasa, zastanawiał się przez chwilę, po czym spojrzawszy mi prosto w oczy, powiedział z wyraźną ulgą:

Trza było gadać tak od razu! Dla ciebie to zrobię!...

Treść listu napisz na małej karteczce, żebym nie miał kłopotu ze schowaniem.

Córka przepisze i wyśle na adres, który mi teraz ustnie podasz i... załatwione! Od tej pory stary mnie „tykał”. Gryps zabrał ze sobą. Tylko nikomu ani słowa! – nakazał. – A pojutrze, w poniedziałek rano, zagładnij do tego pieca... – powiedział na odchodnym zagadkowo.

Pierwsze lody zostały przełamane. Teraz pozostało tylko systematycznie i ostrożnie wciągać starego do coraz poważniejszej współpracy.

Rozdział LXIV

Edek przychodził teraz codziennie. Był w grupie instalatorów zakładających urządzenia wodociągowe na bloku. Przychodziło ich trzech: Edek, Jurek Sadczykow i Zbyszek B. najstarszy z nich, olbrzym o imponującej postawie spryciarz nie lada. Komando ich prowadziło roboty w małym Birkenau. Podzieleni na mniejsze grupy, zakładali instalacje na wszystkich odcinkach obozowych. Jako fachowcy byli cenieni przez władze. Mając możliwość poruszania się w obrębie dużej postenkiety, odwiedzali każdy z odcinków, najczęściej jednak zatrzymywali się w kobiecym obozie, bo tam było najwięcej roboty, rzecz jasna, najatrakcyjniejszej. Oni to byli łącznikami między głównym obozem w Oświęcimiu a Birkenau. Czasem w miarę nawiązywania znajomości z licznymi cywilami pracującymi na tym olbrzymim terenie, uzyskiwali kontakty ze światem spoza drutów. Z Szymlakiem instalatorzy znali się doskonale. Nic też dziwnego że stary. zawsze tak bardzo ostrożny, tvm razem

244.

nawet wypił z nami. Butelka została wypróżniona w jednej chwili. Edek, podochocony, dopominał się następnej – Panie Józefie, ma pan chyba jeszcze, zapłacimy. – Szymlak nie miał, bo rano podłożył mi półlitrowkę do pieca, umówionego schowka, i właśnie przed chwilą ją wypróżni-liśmy. Wszedł „Tata”. Szymlak zabrał się do swoich ka-felków. „Tata” rozglądał się po bloku, medytował i zajrzał w końcu do przyszłej umywalni, pokręcił nosem, że mało zrobiono, mówiąc z przekąsem: – Wojna się skończy, nim założycie tu tę instalację, skurczybyki! – Trzepnął przy tym Edka nieodłącznym patyczkiem. Edek, nie zrażony tym, wesoło odpowiedział:

– Z pustego i „Tata” nie należy. Nie ma rur! musimy pójść na FKL zorganizować, nie ma innej rady! – A do mnie po cichu: – Chodź z nami, mam tam połówkę!

„Tata” jednak usłyszał.

– Ja ci dam FKL! Bloku pilnować! Do dupy z takim blokowym!

„Tata” nigdy nie lubił się unosić, ale teraz to był chyba zły. Edek usiłował go rozkrochmalić. Stał przed nim na baczność, zdjął z głowy zamasyście czapkę, stuknął obca-sami i zaczął recytować:

– Herr Lagerkapo! Bitte um Entschuldigung.1 Zbyszek nie wytrzymał i parsknął na

cały głos co

„Tata” miał robić, też się roześmiał:

– Z wami nie poradzi, skurczybyki jedne! A róbcie co chcecie! – machnął z rezygnacją kijkiem. – Ale rury żeby mi tu były!

Rury owszem były, tylko „Tata” nic o tym nie wiedział. Leżały w rowie przy drutach od strony rampy, jeszcze wczoraj tam przerzucone z FKL-u. Edek wymyślił tę bajeczkę z rurami na poczekaniu, chcąc się urwać ze mną na kobiecego obóz. Poszliśmy we trzech. Jurek Sadczykow po-został, dając mi swój kombinezon i skrzynkę z narzędzia-mi, do której władowałem trochę papierosów dla Haliny. W granatowym kombinezonie, ze skrzynką na ramieniu, u niczym nie różniłem się od instalatorów. Maszerując ku blockfuhrerstubie rozglądałem się tylko bacznie, aby nie zauważył mnie lageraltester Hans lub, co gorsza, dr Zen-teller. Będąc już na wartowni, Zbyszek meldował siedzącemu

1.panie lagerkapo!proszę mi darować

245.

w oknie blockfuhrerowi nasze wyjście z rewiru. Esesman poszukał chwilę wzrokiem na liście leżącej przed nim po czym znalazłszy nasze numery, skreślił je zamazyście.

Wohin?1 – zapytał.

Zur Arbeit ins Frauenlager, Herr Oberscharfuhrer!2 Był tylko rottenfuhrerem, ale Zbyszek awansował go o parę szczebli wyżej. Esesman wychylił głowę z okna, rozglądając się na wszystkie strony.

Haben Sie was zu rauchen?3 – zapytał jakby od niechcienia.

Ich rauche nicht4 – odpowiedział z głupia frant Zbyszek

! Ja się nie pytam, czy ty palisz... Co tam szmuglujecie

w tych skrzynkach?! Papierosy macie? Edek sięgnął do mojej skrzynki.

!Więcej nie ma? – znowu z polska pytał Schneider,

rozpoznałem go teraz, kiedy prawie cały wychylił się z okna

żeby zaglądnąć nam do skrzynek. Niemieckie to Scheiss. „Kanadyjskich” nie macie?

Gauloise"! No to dawaj ta druga paczka też. Bei der Arbeit ist Rauchen verboten, verstanden?! Macie szczęście, że ja tu dziś mam służbę. Inny toby was dobrze przefilcował!

Hau ab

Co ja teraz dam Halinie? – żaliłem się do Edka, będąc już w bezpiecznej odległości od drugiej wartowni od-

bloku D

Skręcaliśmy właśnie na średnicową, prowadzącą prosto ku rampie i FKL.

Nie martw się. Mam zapas w naszej budzie. Dam ci trochę właśnie „gauloise'ow".

A temu Rumunowi gówno! Za chytry jest – złościł się Edek. Zbyszek uspoka-

jał.Nie masz się co denerwować. Dobrze, że na wartowni był Schneider. Co tam parę papierosów. Inny toby fil-

1.Dokąd?

2.do pracy na obozie kobiecym, panie Oberscharfuhrerze!

3.macie co do palenia?

4. ja nie palę.

5.przy pracy palenie jest zabronione, zrozumiano?!... Wynosić się

246.

cował, a ja cały jestem wytapetowany grypsami do babek. Byłoby gorzej. Tuż przed samą rampą skręciliśmy w prawo. O parę kroków dalej zatrzymaliśmy się przed budą instalatorów W drewnianej szopie był skład narzędzi i materiałów. Budka, położona centralnie między wszystkimi odcinkami obozu, stanowiła doskonały punkt obserwacyjny. Dzięki swojemu niewinnemu wyglądowi i bliskiemu sąsiedztwie wartowni położonej po drugiej stronie rampy przy wejściu do kobiecego obozu na odcinek B I b nie wzbudzała żadnych podejrzeń ze strony SS. Toteż więźniowie umiejętnie potrafili to wykorzystać. Było tu centrum szmuglu

wszelkiego rodzaju, baza wypadowa, punkt zbiorczy dla wszystkich instalatorów, ślusarzy, elektryków, szklarzy, kominiarzy, dachdeckerów przychodzących z obozu głównego w Oświęcimiu do prac w Birkenau. W budzie zawsze miał ktoś dyżur. Zaczekałem na dworze, rozglądając się ciekawie po rampie, na której uwijali się Żydzi z „Kan dy”, uprzatający resztki dobytku pozostającego po nocnym transporcie.

– Nic już tu nie zorganizujesz – usłyszałem głos Edka wychodzącego z budy. – Zostały same śmieci. Co było po-rządne, już dawno wywieźli! Idziemy! Józek powiedział że na wartowni spokój. Zbyszek! No chodźże!

Bez przeszkód weszliśmy w bramę FKL. Dwie młodziutkie Żydóweczki, pełniące przy bramie służbę gońcie podniosły szlaban.

– Dajcie znać Mali, że jestem – rzucił im Edek pół głosem.

– Ano, ano! – odpowiedziały ze zrozumieniem ładne Słowaczki.

Odcinek Bib był o tej porze wyludniony. Mieszkały tu kobiety pracujące „aussem”. Nic też dziwnego, że widziało się tylko funkcyjne i trochę obijających się, tych, którym udało się uniknąć wymarszu z komandami. Chroniły się przed blokowymi i lagerkapo, przesiadując bądź to w murowanych „nowoczesnych” ubikacjach, bądź na obszer-nym placu za barakami, udając, że coś robią.

Weszliśmy do budującego się waschraumu, gdzie zostaliśmy owacyjnie przywitani przez grupę oświęcimiaków, spodziewających się snadź po nas czegoś dobrego, jako że przyszliśmy z zewnątrz. Nie omylili się. Edek już wybijał korek z butelki, w którą zaopatrzył się widocznie w budce. Lykneli-

247.

my po hańsach, porozmawiali chwilę i pełni wigoru udaliśmy się na odcinek B I a, gdzie mieścił się rewir. Mała miała czekać na Edka „w rentgenie”, gdzie zwykle spotykali się. Małą znałem jedynie z opowiadań Edka. Była Żydówką pochodzenia polskiego. Przyjechała jednym z pierwszych transportów belgijskich czy holenderskich. Przypuszczalnie ocalała dzięki urodzie i dobrej znajomości języków. Jako tłumaczka, a później laufferka, była do dyspozycji rapportfiihrera Drechsler i rapportfuhrera Taube-go. Ujmująca powierzchowność zjednała jej u Niemców dobre traktowanie, nawet mimo że była Żydówką, a jej ofiarność i uczynność wobec koleżanek cieszyła się po-wszechnym uznaniem. Rozstałem się z Edkiem przed rentgenem. Spotkawszy Halinę, której już dawno nie widziałem wstąpiłem na jej blok, gdzie nadal była schreiberką. Życzliwa Halina natychmiast posłała kogoś do schreibstu-by by zawiadomić „moją” Halinkę, że ktoś jej oczekuje w bloku 24. Ja tymczasem rozsiadłem się w pokoju blokowej niecierpliwie oczekiwałem spotkania; jako że byłem lekko podniecony alkoholem – co dodawało mi odwagi – wiele sobie po nim obiecywałem. Normalnie kobiety mnie onieśmielały, zwłaszcza Halinka, zawsze wesoła, żywa i dowcipna. Przywitała mnie serdecznie, zasypując potokiem słów. Wpatrzony w nią jak w jakie nieziemskie zjawisko, zapomniałem o całej uprzednio zaplanowanej strategii”. Czemuż ona mnie tak onieśmiela – myślałem zły na siebie – przecież jest taka bezpośrednia. Och, jakież on poważny! – załamała ręce zwracając się tym gestem do Haliny, która, chcąc widocznie zostawić nas samych, skierowała się do wyjścia. Wtem dziewczyna stojąca w drzwiach bloku krzyknęła piskliwie: – Achtung! – Wcale się nie namyślając, skoczyłem w najciemniejszy kąt pokoju, gdzie stały jakieś regały, i schowałem się za białą zasłoną, zrobioną z prześcieradła, zasłaniającego półki. Byłem przekonany, że wejdzie teraz SDG albo co najmniej lagerarzt. Tymczasem usłyszałem kobiece słowa mówiące coś po niemiecku. Przytknąłem oko do zasłony i przez materiał ujrzałem rewirkapo Orli, wysoką lagerkapo i Enę Weiss – przystojną Żydówkę słowacką, będącą naczelną lekarką na rewirze. Ena zresztą zaraz opuściła pokój, udając się pewnie do chorych na blok. Tamte jednak wcale nie miały zamiaru się ruszyć i wesoło szwargotały z obiema Halinami. Powinienem był się ujawnić, ale

248.

wstyd mi było wyłazić teraz spod tego przeklętego prześcieradła. Chciałem przeczekać, aż wyjdą. Ale gdzie tam Rozgościły się na dobre i, co gorsza, wydawało mi się, że o mnie była mowa. Czyżby mnie widziały? Zaśmiewały się niemalże pękały ze śmiechu i uciechy. Stałem w niewygodnej pozycji, wciśnięty jak najgłębiej w sam kąt regałów. Pot zalewał mi oczy, kombinezon wdziany na

pasiak wprost parzył. Dusilem się, starając się prawie nie oddychać, żeby uniknąć falowania zasłony. Za chwilę przeko- nałem się, jak daremny był mój trud. Lagerkapo, widocznie nie mogąc się doczekać mojego dobrowolnego ukaza- nia się, jednym szybkim ruchem odsłoniła zasłonę. Obraz jaki się ukazał, musiał być nad wyraz komiczny, bo nawet zwykle poważna Orli zaśmiewała się do łez, a Halina, choć jej może najmniej wypadało się śmiać, ukryła twarz w dło- niach, starając się zamaskować wesołość. Stałem jak na cenzurowanym. Robiąc głupią minę, ocierałem pot z czoła Ale się urządziłem! Niech to wszyscy diabli wezmą. Don żuan, psiakrew! Potem, gdy Niemki wyszły, Halina usiło- wała mnie jakoś pocieszyć.

– Nie przejmuj się! Pamiętasz, jak mnie Drechsler|ka złapała przy drutach? Przyszłam taka wyfiokowana, a co ona ze mnie zrobiła na oczach całego męskiego obozu...

Postanowiłem jej jakoś dokuczyć. Już miałem na końcu języka: – A co? Marian już cię nie odwiedza? Słyszałem że widuje się teraz z tą piękną wiedenką, Sonią z Zahnsta- tion. Mówiono mi, że szybko się pocieszyłaś. Kto to jest ten czarny elektryk, który stale się tu kręci? – W porę ugryzłem się w język. Zrobiłem z siebie balona, mam jeszcze zostać świnią? Przecież te kobiety zawsze z utęsknieniem oczekiwały naszego przyjscia. Widziały w nas mężczyzn - opiekunów przede wszystkim, odważnych, sprytnych, rycerskich, kiwających obozową władzę wyszukany mi- sionerami, żeby tylko ulżyć im, słabym kobietom...

Halinka obserwowała mnie przez chwilę z napięciem po czym wyczarowała swój piękny, szczery uśmiech! tak dla niej charakterystyczny. Musnęła mnie w policzek swym blond łokiem i... już byłem rozbrojony.

– Oj, Wiesiu, Wiesiu, ależ z ciebie jeszcze dzieciakAleż to ze mnie fajtłapa, fujara! – myślałem przez drogę, wracając z tej nieudanej randki – tak się ośmie- szyć! Nie mogłem sobie tego darować. W bramie rewiru minąłem kilkadziesiąt kobiet muzułmanek, odprowadza-

249.

nych ze szpitala widocznie na blok 25, gdzie w najprym- itywniejszych warunkach miały za parę dni umrzeć, chyba że wcześniej przeprowadzona selekcja wygarnie je wszystkie do komór gazowych. Zapachniało durchfalem i potem.

Jakaś kobieta zatoczyła się i szukając oparcia uczepliła się ramienia jednej z funkcyjnych, tworzących szpaler, przez który chore przechodziły. Tęga Niemka ze wstrętem strze- pneła ją jak muchę. Przeklinając, wepchnęła ją drągiem w środek kolumny.

Ach du Drecksack, du alter Mist!1 – wymyślała w dalszym ciągu, uśmiechając się przy tym do mnie przyjacielsko , jakby szukała aprobaty swojego czynu. Och! Warum bist du so stolz Jungę..} Przyśpieszyłem kroku, zauważywszy jadącego rowerem od strony wartowni blockfuhrera. Rozpoznałem w nim Perschela. jednego z najmłodszych, najgłupszych i najnie-bezpieczniejszych blockfiihrerów kobiecego obozu. Minał mnie pędem, straciwszy mi ręką czapkę z głowy. Zahamo- wał nagle i zagroziwszy mi drogę rowerem, ustawiając go w poprzek lagerstrasse, powiedział: Bist du taub, du? – zamachnął się na mnie. Stałem jednak w bezpiecznej odległości, a rower, z którego zszedł krępował mu ruchy.

Weisst du nicht, dass Sprechen mit den Weibern tmist!*

ich habe nichts gesprochen, Herr Blockfiihrer5 – usprawiedliwałem się. Przecież widział z daleka, że to ta kapówka mnie zaczepiła. Wyciągnął z kieszeni notes, żeby zrobić meldunek: Was fur Nummer hast du?6 Struchlałem. Na kombinezonie miałem przyszyty oczy- więcie numer Jurka. Na szczęście Jurek miał też trzycyfrowy numer, więc bardzo niski, i to może nieco zmiętygowało Perschela. Hast Gluck, du alter Verbrecher1 – zamknął notes,

1.ach ty worku gówna, ty stary gnoju!

2.ochI dlaczego jesteś tak dumny, młodzieńcze...

3.czyś ty głuchy?

4.czy nie wiesz, że rozmowa z kobietami jest zabroniona!

5.ja nic nie mówiłem, panie blockfiihrerze

6.jaki masz numer?

7.masz szczęście, stary złoczyńco

250.

nie robiąc zeń użytku. Odetchnąłem z ulgą, bo Jurek nic nie winien mógł pójść jutro za mnie do karnego raportu. Zbyt wyraźnie jednak szczęście malowało się na mojej twarzy, a tego złośliwy Perschel już nie mógł mi darować Wrzasnął: – Hinlegen! – Padłem na ziemię. – Auf ab Wstałem. – Hinlegen! Aut! Hinlegen! Auf! – Mój grana-towy kombinezon był już popielaty od kurzu. Z tyłu recho-tała kapówka, którą przed chwilą zignorowałem: – cha, cha, cha! – Miała satysfakcję, jęcza. Na jej głos Perschel znieruchomiał. – Du alte Hure, was lachst du – pogroził w jej kierunku. – Und du auch hast mit ihm gesprochen – przypomniał sobie nagle. Wsiadł na rower i podskoczył do Niemki, pedałując, ile sił miał w nogach. Otrzeptałem się pobieżnie, zarzuciłem skrzynkę na plecy i już nie oglądając się za siebie umykałem na drugi odcinek FKL, gdzie chyba będzie bezpieczniej.

To jeszcze nie był koniec pechowej wyprawy na kobiecy obóz, jak się wkrótce okazało.

– Gdzie Edek? – zapytał wzburzony Zbyszek. Naj-wyższy czas już wracać, a Edka nigdzie nie można było znaleźć. Jakaś kobieta widziała go na bloku Mali. To była ta jego Mala, laufferka. Tę, Słowaczkę, jedną z pierw-szych przywiezionych tu Żydówek, znałem. Ta była bloko-wą. Znaleźliśmy go na jednej z buks bloku Mali. Był kom-pletnie zalany. Do nieprzytomności. Nie było mowy, aby mógł z nami pójść.

– Gówniarze! Dorwali się do wódki – wyklinał wściekły Zbyszek.

– Gdzie blokowa?! – Zbyszek pchnął drzwi do jej po-koju. Zerwała się spłoszona, na wpół przytomna. – Coś z nim zrobiła, idiotko...

– Ja nie wiem. Ja nic nie wiem – wymamrotała, czkając

– Cuć go teraz, jak go spiłaś. Za godzinę musimy wra-cać do Oświęcimia. Jak przejdzie przez bramę w tym sta-nie?! – Ja nie wiem. Ja nie wiem – przedrzeźniał wystra-szoną Małą. Ale Zbyszek wiedział, co robić. Zamiast Edka poszedł z nami ktoś inny. Edka miano tymczasem dopro-wadzić do przytomności. Wyszliśmy tą samą bramą, którą weszliśmy na FKL. „Średnicową” przebyliśmy jednym skokiem, tak samo odcinek drogi do naszej blockfurher

1 Ty stara kurwo, czemu się śmiejesz... I ty też z nim rozmawiałaś.

251.

stuby. Nie wiem, czemu Zbyszek bardziej był zły na mnie niż na Edka. Schneider nawet nas nie zatrzymał. Skreślił tylko numer i kazał iść do rewiru. Oddając Jurkowi kombinezon, nawet nie wspominałem o przygodzie z Perschelem. Zbyszek ponaglał do pośpiechu. Musieli przebyć trasę do FKL jeszcze raz. A tam czekał ich jeszcze kłopot z Edkiem. Nazajutrz rano przyszli w komplecie. Zbyszek opowiadał ile to miał trudności z przetransportowaniem Edka przez jedną i drugą blockfuhrerstubę. Przez wartownię FKL

•przetransportowano Edka w rolwadze. Głupi Perschel dał się jakoś wykołować. Gorzej było w głównymobozie ale i tam udało się. Na przyszłość będzie to dobra nauczka. . We wszystkim trzeba mieć umiar.

Rozdział LXV

Dostałem dużą paczkę żywnościową. Zdziwiłem się, bo z domu otrzymałem dopiero przedwczoraj. Nazwisko na-dawcy wyjaśniło wszystko. Szymlak Antonina, wieś Kozy Bielska nr 560. A więc paczkę wysłała Tosia, córka starego. Co za miła niespodzianka! W paczce pełno owo-

ców jarzyn, chleba, masło, słonina i kruche ciasteczka do-mowego wypieku. Kosztowny prezent. Jak tu się im zre-wanżować? Z kłopotu wybawił mnie Gang. Dwaj tatuato-torzy od dłuższego czasu mieszkający w naszym bloku, dzięki bezpośrednim kontaktom z zugangami, których ta-tuowali mieli możliwość organizowania od nich kosztowności.

Część z nich udawało się im czasem przenieść do obozu.

Czego nie mogli przemycić, niszczyli na miejscu, w „sau-nie wrzucając po prostu do kanału, byle tylko nie dostały się w ręce niemieckie. Ponieważ tatuatorzy często opusz-

li obóz idąc do zugangu, a fama głosiła, że są posiadaczami skarbów, z tej racji pod ich nieobecność łóżka oraz ich osobiste rzeczy były filcowane przez chętnych do podziału więźniów. Na bloku zakaźnym mieli względny spokój bo wejście obcym na blok było wzbronione. Gang, za przyjaźniony z nimi, był stróżem ich skarbów, o ile w ogóle go posiadali. Niewątpliwie coś niecoś mieli, czego dowodem była złota 20-dolarówka wręczona mi przez Ganga. To od tatuatorów, w podzięcie za witaminy.

252.

Przysyłanych wiktuałów sam nie zjadałem, dzieliłem się z nimi, a oni w zamian częstowali mnie sardynkami cz innymi konserwami. Jabłko, cebula lub ogórek były dla nich rarytasem, jak zresztą dla mnie pudełko sardynek Wspomniałem Gangowi, że dobrze by było zrobić jakiś prezent córce Szymłaka. Jakieś kolczyki, pierścionek.

– Zrobi się – odpowiedział krótko.

Szymłak był zażenowany, odkrywszy w piecu podarek

– Ja tego nie mogę przyjąć. To od tych ludzi, co tam giną – wskazał na krematorium. – My z dobrego serca Córka stale o was dopytuje. Sama piekła ciastka.

– Panie Józefie! Te drobiazgi tutaj nie mają żadnej wartości. Tu liczy się tylko życie. A żeby żyć, trzeba jeść Wam też nie jest łatwo i w dodatku ryzykujecie. Nie mam okazji inaczej się zrewanżować. A córeczce pięknie podziękujcie, zwłaszcza za ciasteczka w kształcie serduszek Stary się rozkrochmalił. Podkręcił wasa, uścisną mi rękę.

– Wojna się skończy, przyjedziesz do nas... mam ładną córkę. Jak łania, panie...

Następnego dnia znalazłem w piecu papierosy i butelkę wódki. I tak było dość często. Czasem ja coś podłożyłem A o to było coraz łatwiej. Transporty przychodziły teraz masowo. Już nie tylko z getta sosnowieckiego i będzińskiego-go. Likwidowano getta we wszystkich większych miastach okupowanej Polski. Na okrasę przywieziono transporty z Francji. W obozie odbywały się równocześnie coraz częstsze masowe selekcje. Już nie tylko chorych likwidowano. Z męskiego obozu D, jak i z kwarantanny (odcinek A) pod-czas selekcji wybrano parę tysięcy Żydów uznanych za nie-nadających się do ciężkiej pracy. Zostali zagazowani, a na ich miejsce przyszli nowi ze świeżych transportów, wyselekcjonowani jako nadający się do pracy. Krematoria dy-miły całą parą. Wstrętny, ciężki i słodkawy dym snuł się nisko między barakami, wciskał się wszędzie, nie było czym dosłownie oddychać. Na domiar nastały wilgotne słotne dni jesienne, ponure i beznadziejne. Nawet naj-większy optymista wierzący w rychłe zakończenie wojny te-raz stracili wszelką nadzieję. Musimy tu wszyscy zgi-nać. Wykańczają Żydów, niewiele ich zapewne już pozo-stało, wkrótce zabiorą się do nas. Pocieszaliśmy się tylko myślą, że nie damy się bez oporu wpędzić do komór gazo-wych. Tymczasem obserwowaliśmy, jak tysiące ludzi od-

253.

bywało swoją ostatnią drogę do lasku, skąd nie było już powrotu. Jedyne ślad po nich, jaki pozostał, to ten wstręt-ny słodkawy, duszący dym, okrywający jakby żałobnym welonem setki niskich baraków, zamieszkałych przez dziesiątki tysięcy więźniów, oczekujących swojej kolei, zniewolonych przez garstkę uzbrojonych i bezwzględnych nadludzi" – „Übermenschen".

SS wykonywało tylko „czystą" robotę. Oni jedynie zatajali. Resztę, tę „brudną" robotę, wykonywało sonder-ikommando, złożone z kilkuset młodych i silnych Żydów, którym pozwolono jeszcze żyć za cenę palenia swoich córek, żon, dzieci, rodziców. Byli świadkami, ba! zmuszeni, nawet brać czynny udział w najpotworniejszych zbrodniach jakie wymyśliła ludzkość. W rozbieralni krematorium wręczali nowo przybyłym ręczniki i mydło, mówiąc im, że idą do kąpieli, następnie wprowadzali do komór ga-

zowych skąd po chwili słychać było już tylko jęki krzyki zgrozy konających. Sonderowcy to już nie ludzie. Odarci ze wszelkich ludzkich uczuć, które spłonęły równocześnie z ich najdroższymi i najbliższymi sercu istotami – zostali znieczuleni na ludzką niedolę. Śmierć innych nie robiła już na nich żadnego wrażenia. Wiedzieli, że tłuści palili się lepiej niż chudzi, że z transportami przychodzącymi z Zachodu jest mniej kłopotu niż z miejscowymi. Po prostu wierzyli w te ręczniki i mydło. Sonderowcy doskonale zdawali sobie sprawę z faktu, iż póki mieli co palić, to oni będą żyć, gdyż są jeszcze potrzebni. Z uczuć, jakie jeszcze znali, został im strach przed własną śmiercią, tym większy im bardziej zapoznawali się z całą tą bestialską maszyną zabijania. Dobrze znali cenę życia, toteż każdy z nich łudził się, że ocaleje, pracując rzetelnie, bez uchybień wykonując to, co im nakazano. Gdzieś w głębi duszy, na samym dnie tlił się jednak płomień nienawiści, na razie przytłumiony strachem o własne życie. Zaczajeni, wykonywali gorliwie wszelkie rozkazy, byle nie podpaść, byle przeżyć, bo może to im właśnie przypadnie los mścicieli. Przezorni Niemcy likwidowali ich po cichutku, co pewien czas. Ginęli zniemacka, w momentach kiedy ich czujność była uszpioną dobrym traktowaniem. Na ich miejsce dobierano nowych... i historia się powtarzała. W obozie stko sonderkommando uchodziło za jedno z lepszych. Byli wyżarci. dobrze ubrani, prezentowali się

254.

okazale, a z racji szmuglowania kosztowności po zagazowanych, którymi wszyscy handlowali, liczone się z nimi Podobnie było z „Kanadą”, komandem pracującym w magazynach rzeczy po zagazowanych, z tą tylko różnicą, że nie mieli oni do czynienia z trupami, więc nie potrzebowano ich likwidować. Effektenlager, czyli „Kanada”, był to ostatni odcinek obozu, tuż za naszym rewirem, wciśnięty między krematoria III i IV, od których dzieliły go tylko pojedyncze druty naelektryzowanego parkanu. Tak więc z „Kanady”, jak i rewiru było widać jak na dłoni wszystko co dzieje się w krematorium IV, jak i w okalającym go rzadkim lasu sosnowym. Wprawdzie postawiono coś w rodzaju parawanu wysokiego na jakieś trzy metry, osłaniającego wejście do komory gazowej i doły spaleniskowe niemniej ażurowy pseudożyłwot, z którego opadły zwiędł dłe liście, pozwalał właśnie widzieć to, co miał zakrywać Najlepiej było widać z bloku 15, jeszcze nie zamieszkanego a znajdującego się naprzeciw krematorium IV, w odległości około 70 metrów. Uchyliwszy nieco świetlik na wysokości okapu pokrytego papą dachu, stojąc wygodnie na pustym łóżku, widziało się całą akcję gazowania juW dłoni. Dla sonderowców, przywykłych do codziennego oglądania tego rodzaju scenek, było to rzeczą zwykłą ale dla nas, chociaż już wiele przeżyliśmy i widzieliśmy w obozie przez te przeszło trzy lata, za każdym razem był to wstrząs tak ogromny, że tracił człowiek wiarę we wszystko, nawet w Boga. Jeżeli istniał – a w tej wierze byłem od dziecka wychowany – jak mógł dopuścić do tych mordów bezbronnych ludzi, wykonywanych przez ludzi noszących w dodatku na kłamrach swych wojskowych pasów godło „Gott mit wis”¹. Oblany zimnym potem, patrząc na te dantejskie sceny, ścisnąłem kurczowo wilgotną rękę Edka czy Waldka, myśląc w tej chwili pewnie to samo co ja, że nie ma Boga. Przynajmniej tu, na tym małym skrawku ziemi, który widać umknął spod jego kontroli. Stała się rzecz niebywała. W nocy w czasie likwidowania jednego z licznych transportów został zastrzelony oberscharführer Schillinger, rapportführer męskiego

¹ „Bóg z nami” (napis na kłamrach pasów mundurów Wehrmachtu, natomiast w SS był inny: „Unsere Ehre /i Treue” – „Naszemu hasłem wierność”)

255.

obożu w Birkenau, jeden z najbardziej znienawidzonych i okrutnych esesmanów. Wieść rozeszła się lotem błyskawicy po całym obozie, wywołując ogólny radosny nastrój.

Ręka Boska – mówili jedni. – Los pokarał zbrodniarza – twierdzili inni. W ciągu paru godzin były już znane wszystkie szczegóły wypadku, mniej lub więcej wiarygodne. Faktem było, że zginął z ręki kobiety; do kobiet miał zawsze przeciwieństwo słabość – to go zgubiło.

A miało to być tak: Schillinger, jak zwykle gorliwy, asystował przy przyjmowaniu nocnego transportu Żydów na rampie w towarzystwie swego koleżki, hauptscharführera Emmericha. Obaj, podchmieleni, konwojowali transport aż do krematorium. Weszli nawet do rozbieralni, powodowani bądź perspektywą łatwej grabieży, bądź sadystrycznym upodobaniem napawania oczu widokiem wystraszonych, bezbronych, obdartych z szat kobiet, mających za chwilę skonać w męczarniach w komorze gazowej. Wersja ta wydawała mi się prawdopodobna, biorąc pod uwagę upodobania Schillingera, tym bardziej że był pijany. Jego uwagę zwróciła jedna z młodych i podobno pięknych kobiet, która w obecności esesmanów nie chciała rozebrać się do naga. Rozjuszony tym Schillinger zbliżył się do kobiety, usiłując zerwać jej stanik. W czasie szamotaniny udało się jej wyrwać mu pistolet, z którego postrzeliła śmiertelnie Schillingera oraz zraniła w nogę idącego z odsieczką Emmericha.

W tym czasie inni Żydzi usiłowali zamknąć od wewnątrz drzwi. Na odgłos strzałów wpadli do rozbieralni esesmani, będący dotychczas na zewnątrz, i zorientowawszy się, co się stało, zaczęli masakrować wszystkich po kolei. Z tej grupy Żydów żaden nie zginął w komorze. Wściekli esesmani wystrzelali wszystkich.

Wypadek ten, podawany z ust do ust, różnie komentowany urastał do legendy. Niewątpliwie bohaterstwo słabej kobiety, i to w obliczu nieuniknionej śmierci, podniósł na duchu wszystkich więźniów. Zdaliśmy sobie nagle sprawę że gdy ośmielimy się podnieść na nich rękę, ręka ta może zabić. Że oni też są śmiertelni. Esesmani, bojąc się następstw tego doniosłego czynu, próbowali sterroryzować obóz. W tym dniu niesłychanie kurs się zaostrzył, a kule świsnęły po obozowych ulicach. Faktu to jednak nie zmieniło. Rapportführer Schillinger zginął w krematorium, tam, gdzie posyłał tysiące ludzi w imię ideologii hitlerow-

256.

skiej. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Więźniowie otrząsnęli się, wzrosła nadzieja. Rodził się spontaniczny aczkolwiek jeszcze słaby, odruch samoobrony.

Po południu tego samego dnia część ludzi czekających swojej kolejki w lasku obok czwartego krematorium stała czynny opór. Na odgłos mocnej kanonady pobiegłem z Waldkiem na nasze stanowisko w bloku 15. Właściwie było już po wszystkim. Jeszcze gdzieś słychać było pojedyncze strzały. Lasek zasłany był trupami. Przeważnie mężczyznami. Jeszcze poubierani. Zwykle gdy był duży transport, nie wszyscy naraz mogli pomieścić się w rozbieralni, przeto kazano rozbierać się w lasku. Tym razem było podobnie. Kobiety i dzieci widocznie rozebrały się pierwsze i stanęły w długiej kolejce tuż za „parawanem”, stopniowo znikające w drzwiach rozbieralni. Teraz jeszcze wystraszone kanonadą, oszalałe z przerażenia, kurczowo trzymając swoje tobołki z ubraniami, cisnęły się, tratując nawzajem, do „zbawczej” rozbieralni. Pisk pogubionych dzieci, rozdzierające krzyki kobiet, jęki tratowanych a nad tym wszystkim głucho uderzenia kolb esesmańskich po głowach, plecach, ramionach na wpół rozebranych mężczyzn, których część jeszcze ostała i dołączyła się tłumowi cisnącego się do krematorium. Na tych szkoda było kul. Wystarczyły groźby, pokrzykiwania i

bicie. Z chwila gdy ostatni zostali wtłoczeni do rozbieralni i drzwi sie za nimi zamknęły, nastala głucha cisza. Po paru minutach z bocznych drzwi krematorium wyszła grupa sonderow-ców. Ponaglani przez esesmana jedni rozbierali zastrzelonych, inni składali trupy w jedno miejsce na dziedziniec krematoryjnym. Głuchy, stłumiony okrzyk setek ludzi mimo szczelnych i grubych murów wydostawał się na ze-wnątrz krematorium. To działał już cyklon.

Rozdział LXVI

Nasz szpital, prócz tego że miał w swym najbliższym sąsiedztwie krematorium i „Kanadę”, graniczył jeszcze z obozem cygańskim, od którego oddzielał go jedynie rów i jedna para drutów kolczastych, w ciągu dnia bez prądu. Szpital cygański obsługiwali lekarze i pflegerzy przeważnie z obozu oświęcimskiego i kilka kobiet z rewiru FKL Łatwo się było z nimi porozumieć, wystarczyło jedynie po

257.

prosić któreś z dzieci stale kręcących się kolo drutów, by przyprowadziły, kogo było trzeba. Dzieci chętnie usługiwały wiedząc z góry, że będą nagrodzone. Były głodne, opuszczone, niesamowicie brudne i obdarte, jak zreszta ich rodzice wysiadujący całymi godzinami pod barakami, zajęci wyszukiwaniem wszy w swoich zdartych już ubraniach i sukniach. Ale widziało się też i dobrze odzianych Cyganów i Cyganki, szczególnie te młode i urodziwe. One nie potrzebowały przychodzić pod druty naszego obozu i prosić o kawałek chleba czy papierosa. Siedziały w pokojach blokowych – buduarach, gdzie grała muzyka, dziewczęta tańczyły, wódka się lała, kwitła wolna miłość. Zacie-rały się różnice rasowe w trakcie orgii i pijaństw, w których uczestniczyła cała śmietanka, a więc funkcyjni obozu cygańskiego, ba, nawet esesmani na czele z rapportfuhrem Plaggio – „Fajeczka” – starym znajomym, odmienionym obecnie prawie nie do poznania, łagodnym, prawie przyjacielskim. On też miał tu kochankę, pił na potęgę i nabijał kabzę łatwo zdobywanymi kosztownościami. Będąc tak bliskim sąsiadem, wiedziałem o wszystkim, co się dzieje u Cyganów. Czasem udało mi się wejść do cygańskiego obozu pod pretekstem odprowadzenia zwillingów lub jakiś innych chorych na specjalny blok szpitalny, służący do wyłącznej dyspozycji antropologa dr. Mengele lagerarza na odcinku E, nadzwyczaj eleganckiego i przystojnego oficera SS, który dzięki swej miłej powierzchowności i dobrym manierom robił wrażenie człowieka łagodnego i kulturalnego, nie mającego nic wspólnego z selekcjami, fenolem i cyklonem. Jaki był w istocie – mieliśmy się wkrótce przekonać. Urozmaicone życie, tak różne od naszego, pociągało nas. W cichości ducha zazdrościliśmy nawet niektórym. Nic też dziwnego, że wystawaliśmy po wieczornym apelu przy drutach cygańskiego obozu przyglądając się „wolnemu” życiu Cyganów. Młode cyganki te z drugiej sorty, które nie zostały dostrzeżone przez wpływowych prominentów i zaangażowane do ich domów produkowały się przed nami płasając i tańcząc za cenę kilku papierosów, przerzucanych im przez druty w dowód uznania za ich talent i, co tu ukrywać, za przypadkowe cy też umyślne odsłanianie w tańcu wdzięków kobiecych względnej czystości. Była tam taka jedna dziewczyna, która robiła to w pewnego rodzaju podniecający sposób, za co w nagrodę

258.

zbierała najwięcej papierosów od hojnych i podnieconych widzów. Występy „temperamentnej” Cyganeczki skończyły się tragicznie. Jeden z przerzuconych

papierosów odbił się od drutów i upadł między nie, ale po stronie cygańskiej Dziewczyna wiele się nie namyślając jednym susem przeskoczyła strefę zakazaną i kucnąwszy usiłowała wy-dostać papierosa. Dotknęła jednak ramieniem drutów przez które o tej porze już przebiegał prąd. Było sucho i może dlatego nie została natychmiast śmiertelnie porażona. Zasycało przypalane ciało w miejscach styku z drutami. Druty coraz głębiej wrzynały się w rękę i piersi ofiary drgającej konwulsyjnie. Wszyscy zastygli z przerażeniem. Znalazł się jednak przytomny młody Cygan, ten który za-chęcał dziewczynę do tańca i odbierał później jej „zarobio-ne” papierosy. Zarzuciwszy swoją marynarkę na ręce uchwycił rąbek sukni dziewczyny, ciągnąc z całej siły Druty nie puszczały. Dostkoczył ktoś drugi i drągiem odha-czył zaczepioną rękę. Posten z daleka wymachiwał ze swej wieżyczki, ale nie strzelał na szczęście. Nieprzytomną i poparzoną dziewczynę zanieśli Cyganie na rewir. Nie umar-ła. Zobaczyłem ją po upływie paru dni, obandażowana je-szcze, ale już dobrze ubrana i jakby zadbaną. Widocznie tam na rewirze ktoś „wpływowy” dostrzegł urodę i ukryte zalety młodej Cyganki. Odwiedzała jednak blok, obok któ-rego omal nie utraciła życia. Przypuszczalnie tu mieszkała jej rodzina. Na jej widok sypały się znowu papierosy. Mimo że padały daleko od drutów, nie schyliła się już nig-dy, żeby je podnieść. Czasem koło drutów przeszedł się w otoczeniu najpiękniejszych kobiet Jurek Z. Jeszcze w początkach obozu był pfliegerem. Pracował w ambulato-rium na bloku 28 przy opatrunkach. Później został verfe-terem na bloku 5, młodocianych, u blokowego Baltaziel-skiego, następnie po utworzeniu obozu cygańskiego dostał się tam jako kantyniarz wraz z przyjacielem pochodzących z tego samego, co on, miasta. Kantyna, dość dobrze zaopa-trzona jak na stosunki obozowe, była doskonałym intere-sem na cygańskim obozie. Cyganom w zasadzie wolno było mieć swoje prywatne mniej lub więcej wartościowe mie-nie. Na to władze zezwoliły, dając pozory normalnego ży-cia, tyle że skoszarowanego. Kantyna prosperowała niezłe Można było kupić w niej różnego rodzaju specjały, |począ-wszy od ślimaków czy kiszonych buraków do nadpsutej sałatki, skończywszy na grzebieniach, papierze toale-

259.

wym czy Matoni wasser"Można byłokupić, ale trzeba było mieć marki.Cyganie co mieli już zdążyli wydać. Wiadomo było że niektórzy posiadali złoto, biżuterię. W kantyniewolno było co prawda za to nic kupić,ale kantyniarz miał marki,można więc było jakos dojść z nim do porozumienia. Cóż warte były kosztowności kiedy dzieciom chciało się jeść bodaj skwaśniałą sałatkę skoro porcje lagrowe były niewystarczające. Poza cygańskim obozem marek było sporo,gdyż więźniowie otrzymywali je oficjalnie z domu. Również „Kanada dostarczała większych ilości marek, niezbyt chodliwych poza cygańskim obozem. Mając więc „głowę na karku możnabyło zrobić dobry interes. Jurek, jak się okazała się mieć głowę nie od parady. Kantyna prosperowała, interes szedł Ze zgromadzonymi błyskotkami jednak trzeba było coś zrobić, żeby przedstawiały znowu jakąś wartość.Przez druty więc szedł handel wymienny. Sąsiadujący z cygańskim obóz męski, jak i nasz rewir, co prawda cygańskiego złotanie potrzebował, bo miał swoje z „Kanady",Potrzebne były natomiast papierosy, których nie mogli nastarczyć w dostatecznej ilości handlujący z więźniami niektórzy cywile, jako że towar był stosunkowo tani, więc niezbyt o-płacalny. O wódkę było łatwiej, bo była w cenie.Toteż z cygańskiej kantyny wędrowały przez druty całe kartony papierosów na odcinku DiF, w zamian z tychże obozów przelewała się wódka czy spirytus na ręce obrotnych kan-tyniarzy. Potrzeby cygańskiego obozu były jednak olbrzymie . Żarcia dostarczała kuchnia. Nie brukiew, czy zupę z pokrzyw! Ta była dla zwykłych śmiertelników!W magazynach kuchni były prowianty odebrane transportom idącym do gazu: sardynki, czekolada, pomarańcze, konserwy

– dodatkowe zaopatrzenie dla SS. Nie dla zwykłych śmiertelników Dłazarzy i ich rodzin. Obrotni szefowie kuchni część z tego przehandlowywali za złoto i dolary wypróbowanym więźniom, mającym „głowę na karku”. W libacjach zresztą też uczestniczyli. W ten sposób mieli podwójną korzyść. Co sprzedali to zjedli. A że wódki było wciąż było mało – więc jej dostarczali nie za darmo oczywiście. Raportfuhrer coś zważał. Trzeba go było zatem urobić. Ostatecznie cygański obóz to nie obóz koncentracyjny Famililager. Co prawda są tutaj też i więźniowie na Ba! Ale bez nich nie byłoby tu tych wielu przy-

260.

jemności. Oni mieli „głowy na karku” i, co najważniejsze byli dyskretni. Nie doniosą, bo sami by wpadli. Jak się już zabrnęło, trzeba brnąć dalej. Ryzyko popłaca. Plagge jeszcze trzy lata temu z zimną krwią pastwiłby się nad takim marnym więźniem jak Jurek. Teraz siedział z nim przy jedynym stole, pił wódkę i podmacywał dziewczynę, z którą ten już dawno się był przespał. Jurek miał ich w rękę. Dogadzał im, miał za to wolną rękę. Handel szedł całą parą. Trochę obawiał się Bogdana Komarnickiego. Ten węszył stale na cygańskim obozie wiadomo, że nasłany przez Politische, bo był przecież I szpiclem. Cóż innego mogło tu sprowadzić czarnookiego Bogdana? Może chce zadenuncjować jakąś tajną organizację? Na cygańskim? Wykluczone! Nikt tu o takich rzeczach nie myśli. Więc co? Wiadomo! Już się robi!... Najpierw wódeczka. Bogdan pije, ale to twardy łeb. Może Cyganeczka? Młody, przystojny. A jakże, czemu nie! Ale dziewczyna też chce coś mieć z tego. No to jakiś pierścioneczek, brylant. Tak! Ale to wszystko za mało dla Bogdana. W razie jakiejś wpadki... można by sprawę zatuszować. Więc lekki szantaż. Jak stary się dowie... rozwali jak nic! Szefowa żona Bogera, łasa na błyskotki. Jak każda kobieta. Może się przydać. Ma wpływ na męża, a to ważne mieć taką protektorkę u samego szefa Politische. „Potrzeby” rosły. Bogdan narobił trochę kłopotu, ale jakoś wybrnie się z tego. Trzeba handel rozwiązać. Szef kantyny musi dawać więcej papierosów. Szef kuchni musi dawać więcej żarcia. Chcą zapychać kieszenie, niech dają, nic ich to przecież nie kosztuje. Bogdan w dodatku rna ja-kieś onszachty z samym rapportfuhrerem Palitzszem. Oby się to źle nie skończyło! Ale o dziwo, nawet ten okrutny Palitzsch złagodniał. Może po stracie żony? A może jako wdowiec?... Na tę Katię to on patrzy nawet wcale po ludzku... Tak czy owak trzeba będzie zbić majdanik, bo może będzie się musiało zwinąć interes i zwinąć. Obroty duże, ale wszystko idzie na „potrzeby”. Dną ze wszystkich stron. Nawet Cyganeczki zmadrzały. Albo ich ojcowie sami podsuwali je, prawie że nieletnie. Co tam cnota, lepiej ją stracić, niż głodować. Młode dziewczęta utrzymywały całe rodziny, mało tego, odyskiwały z powrotem złoto i kosztowności, obdarowywane przez swoich patro-nów, a sprzedawane kiedyś przez ojców za marną cenę kilku misek sałatki buraczanej. Nie wiadomo zresztą czy

261.

to cygańskie złoto. Nie miało to większego znaczenia. Grunt, że było i będzie. Wskazywały na to wszelkie znaki na niebie i ziemi. Z kominów krematoryjnych buchał wysoki płomień, dym ten charakterystyczny słodkawy dym pełzał znowu od strony lasku i zatrówał powietrze. Póki palą nie zabraknie złota i kosztowności. Trzeba tylko nimi odpowiednio obracać a można jakoś nieźle się urządzać. Należy jedynie .. mieć „głowę na karku”. A Jurek ją miał niewątpliwie. Nie na darmo nazwano go „Królem Cyganów”.

Rozdział LXVII

Edeknie przychodził już od paru dni. Tak przyzwyczaiłem się do jego obecności, że nie widząc go dłuższy czas, odczuwałem pustkę. Dużo ostatnio rozmawialiśmy i doszliśmy do pewnych konkretnych wniosków: musimy uciec z obozu. Nie wiedzieliśmy jeszcze jak i kiedy. W każdym razie będziemy powoli przygotowywać się do tego. Na chybicka nie warto nic robić. Już zbyt wielu przypłaciło pośpiech własną głową. I nie tylko własną. Musimy to tak obmyślic żeby nie narazić nikogo na represje ze strony SS. Znajomość z Szymbakiem

może być wielce przydatna. Komando Edka ma być wkrótce przeniesione do Birkenau na stałe. Z Brzezinki łatwiej uciec. Dobrze się więc składa. Jak tylko ich przeniosą postaram się dostać do jego komanda żeby być razem.

Komando wygodne, bo ma możliwość poruszania się po całym terenie objętym dużą postentytą. A to nie jest bez znaczenia. Coś w końcu się wymyśli. Przysięgliśmy sobie milczenie. Nikomu ani słowa. Nadarzyła się okazja pójść z „Tatą” i dr. Zengtellerem na kwarantannę do ambulatorium. Trzeba było tam zanieść też kartony medykamentów, więc zgłosiłem się z Waldkiem na ochotnika „Tata”, widząc, że chcemy się przejść, nie oponował Zengteller, acz niechętnie – bo nas nie lubił, musiał się zgodzić nie chcąc zadzierać z „Tatą”. Na oddział A gdzie mieściła się kwarantanna, był spory kawał drogi, wzdłuż której co jakieś 100 m rozlokowane były blockfuhrerstuby, strzegące wejścia wyjścia z każdego odcinka obozu. Minęliśmy wartownię obozu cygańskiego, brzydkiego i nie wykończonego jeszcze odcinka C, za którym był niedawno utworzony familienlager, a za nim dopiero

262.

kwarantanna. Po drugiej stronie drogi prowadzono roboty przy budowie nowego obozu, wielkiego jak wszystkie razem wzięte odcinki od A do F. Pracowało tu dużo cywiliów i niezliczona liczba więźniów. Obok wartowni stał rapportfiihrer Kurpanik, otoczony swoją gwardią. Nawet Perschel się tu przybłąkał z FKL. Dobrze, że mnie nie poznał, mógłby się znowu przyczepić. Tuż za bramą ustawieni w szeregu blokowi. Wszyscy w bryczesach i w butach z cholewami. W rękach potężne drągi. Jedynie Siwy stojący na samym przodzie, był bez kija. Przeważnie Niemcy. Ale są wśród nich i Polacy. Nasi dawni pacjenci – Mietek Katarzyński i Franek Karasiewicz... Dochrapali się tu funkcji blokowych. Fama głosiła, że sprawowali je w myśl wszelkich zasad zapożyczonych od starych kryminalistów, utrzymujących tradycje sprzed kilku lat. Mietek miał już nawet chlubny przydomek „Krwawy”. Franek podobno nie był lepszy. Temu Mietkowi to nigdy z oczu dobrze nie patrzyło. Ale że Franek, taki, zdawało się szczeniakiem jeszcze, miał już staż mordercy? Trudno było w to uwierzyć.

– E! Łapiduchy! Wpadnijcie do mnie na blok. jak się ta odprawa skończy! – krzyknął za nami Mietek.

Na razie musieliśmy pójść do laboratorium zanieść medykamenty. Okazało się, że połowę zawartości kartonów przez nas przyniesionych stanowiły kostki margaryny i biały chleb. Tym zaopiekował się „Tata”, resztą zaś to znaczący medykamentami, dr Kleinberg – będący tu kierownikiem ambulatorium. Szykanowany i ledwie tolerowany przez Zengtellera, był przy nim cichy i maleńki mimo wysokiego wzrostu. Prawdziwy Kleinberg. Ponieważ zjawiał się dr Thilo, tutejszy lagerarzt, i lekarze udali się z nim do ambulansu, aby przyjmować i selekcjonować chorych nie pozostało nam nic innego do roboty jak udać się na blok 12 do Mietka Katarzyńskiego. Było nie było, zobaczymy, jaki rzeczywiście jest ten „Krwawy Mietek”. Odprawa skończyła się niewątpliwie, bo funkcyjni tłukli pałkami wystraszonych nowicjuszy dźwigających ciężkie kamienie, którymi brukowano główną ulicę obozu. Mietek był wewnątrz bloku. Kilku więźniów siedziało w kucki w przysiadzie, trzymając na wysokości głowy taborety, „!Jaki znany widoczek!

– Skurwysyny zadekowali się, a ich koledzy ciężko tam pracują – rzekł usprawiedliwiająco, wskazując brodą

263.

gdzieś tam za drzwiami bloku, za którymi słychać było ciężkie szuranie drewniaków po błotnistej drodze i ponaglające okrzyki kapów: – Loosl Bewegung!1

Do pieca i po pięć na dupę każdemu – rozkazał stambendienstom Mietek. Proszę, wejdźcie – zwrócił się do nas grzecznie.

pipel!młody chłopiec grecki, otworzył usłużnie drzwi pokoju blokowego. Pojedyncze łóżko zasłane wojłokowym kocem. Rozpalony piecyk. Na dworze było już dosyć zimno. W kącie umywalka, szafka, regały zasłonięte kotarą. Na ścianie wyrysowany ołówkiem portret blokowego z miłym słodkim, niewinnym uśmiechem na ustach. Słowem komfort. Znalazła się butelka, kiełbasa esesmańska, sardynki. Z paczki, którą przysłała mu matka, wyciągnął cebule i suche ciastka, takie jakie i ja otrzymałem z domu. Jedzcie – zachęcał – tylko zębów nie połamcie na tych sucharach. Głupia stara przysyła mi takie rzeczy. Jakby była mądrzejsza, mógłbym jej wysłać przez Kurpanika choćby worek złota... a ona pisze, że na mszę dała na moja intencję... A jak ten ksiądz Kozak czy Kuzak, co to leżał obok mnie na buksie? Obija się jeszcze u was? Wypowiadajcie się u niego, boście ze mną wódkę pili... „Krwawym Mietkiem

Nagle wyskoczył z pokoju, łapiąc po drodze kij stojący w kącie.

Ja wam dam markierować, skurwysyny! Przez otwarte drzwi było widać, jak okłada z wściekłością swoich stubendienstów, niezbyt dobrze wypełniających polecenie blokowego.

Ja was nauczę, jak się bije! Głowa do pieca, ale już! Zebraliśmy się do wyjścia. Mietek przerwał bicie. Poczekajcie, ma przyjść Franek. Ten dureń pewnie lerzy drutach „Teresina” i grucha, zamiast wypić z kolegami.

Z Z pasją trzepnął drągiem w drgający tyłek wystający z pieca.

Co tłuczesz tych ludzi, zamiast zagnać ich do roboty usłyszeliśmy głos „Taty” stojącego przed blokiem. Do dupy z takim blokowym. Chodźcie no, skurczybyki! zwrócił się „Tata” do nas.

1. Jazda! Ruszać się!

264.

Zengteller zostaje. Wracamy! – a po cichu dodał – Znów będzie selekcja... Na wartowni dostałem kopniaka. Perschel wsiadłszy na rower wjechał prosto na nas. Nim zdążyłem uskoczyć kopnął mnie w przelocie w tyłek.

– Mach Platz, du Sklawiner'1 – usłyszałem jeszcze nim odjechał pędem.

– Noście bindy, skurczybyki, to was nie będzie kopać taki Perschel – robił nam po drodze „Tata” wyrzuty. Wra-caliśmy w milczeniu. Przedwcześnie katzenjammer odebrał nam chęć do rozmowy. Po kiego czorta zaniósł nas na tę kwarantannę. W dodatku to picie u tego „Krwawego 'Miet-ka"... „Koledzy, pijcie! ” – dźwięczał mi w uszach zaprasza-jący głos Mietka... Waldek sapał, mełł przekleństwa w zaciś-niętych ustach. Pewnie też robił sobie wyrzuty. „Tata” szedł przodem i kijkiem spychał do rowu niepotrzebne kamienie zaśmiecające bitą drogę. Miał zamiłowanie do porządku.

Rozdział LXVIII

Zjawił się w końcu Edek. Był trochę wymizerowany parodniowym pobytem w bunkrze. Miał szczęście. Nie po-szedł na rozwałkę ani do karnej kompanii. Natomiast znalazł się w grupie fachowców i jako instalator został prze-niesiony do Birkenau na odcinek D męskiego obozu. Na-bloku 4 zamieszkali więc sami wytrawni kombinatorzy spośród instalatorów, szklarzy, dekarzy, ślusarzy, elektry-ków itp., dotychczas dochodzący z głównego obozu. Jego kommandofuhrerem był nadal rottenfuhrer Lubusch, za-razem szef ślusarni w Oświęcimiu. Lubuscha znałem jeszcze jako blockfiihrera z 1940 roku. Był zbyt łagodny, toteż długo się nie utrzymał na tym stanowisku. Popadł nawet w kolizję z władzami, skutkiem czego dostał się na parę miesięcy do Breslau czy Stutthofu. W specjalnym obozie karnym dla SS miano go nauczyć odpowiedniego trakto-wania więźniów obozów koncentracyjnych. Skutek jak się okazało – był wprost przeciwny. Nie tylko że się nie zmienił w stosunku do więźniów, ale szedł im jeszcze bar-dziej na rękę. Był jednak teraz ostrożniejszy i lepiej się maskował.

1 Zrób miejsce, ty niewolniku!

265.

W naszych planach uwzględniliśmy go jako człowieka, na którego można by liczyć. Zwłaszcza Edek, bo ja spodziewałem się raczej pomocy Szymbaka, który wydawał mi się pewniejszy, chociażby dlatego, że nie nosił munduru. Będąc jak zwykle rano, w waschraumie – bo tam przeważnie się kryłem, kiedy Helmersohn wizytował moje bloki- zostałem nagle wezwany przez Zengtellera i postawiony po raz pierwszy przed marsowe oblicze lagerwesta robiącego własnoręcznie rewizję w moim łóżku. Byłem przekonany, że była to robota Zengtellera. Za starym więźniem już byłem, żebym miał coś trzymać w swoim łóżku. Byłem więc spokojny, że niczego nie znajdzie. Stałem przed majestatem meldując: Blockaltester von 7 und 8 sweldet1 – Nie dokończyłem, bo przerwał mi energicznie Blockaltester9 Sind Sie Blockaltester?2 – Mówił ironicznie z tłumioną wściekłością, spojrzawszy przy tym z wyraźną naganą na zakłopotanego lageraltestera Hansa, grzebiącego niemiłosiernie w moim sienniku, żeby pokryć zmieszanie, a nie, by coś w nim znaleźć. Może rewizja na tym by się skończyła, gdyby nie wyciągnięto spod łóżka dwóch tekturowych o sporych rozmiarach paczek żywnościowych, Jedna z nich była od rodziców, drugą otrzymałem dopiero wczoraj od córki Szymbaka. Hans wyciągnął wszystko po kolei, kładąc na stole. Helmersohn aż zzieleniał z oburzenia: – To nasi żołnierze przymierają z głodu na froncie a tu „tacy” opływają we wszystko? To jeszcze nic. Paczki żywnościowe przecież wolno było otrzymywać. Zaczęło się dopiero po otwarciu szafki z której wysypała się jedwabna bielizna „kanadyjska”. Używałem bielizny jedwabnej, gdyż w niej nie trzymały się tak wszy, jak w bawełnianej. Nietrudno było ją zdobyć, mając pod bokiem „Kanadę”. Zresztą już od dawna w Birkenau fasowało się oficjalnie bielizną, ubrania cywilne pochodzące z effektenlagru. Tłumaczyłem się więc perfidnie: Das die Wasche von Juden... vom Transport... – mówiłem dalej – ...von Bekleidungskammer...

1.blokowy 7 i 8 bloku melduje...

2.blokowy? Jest pan blokowym?

3. to jest bielizna od Żydów... z transportu... z magazynu odzieżowego

266.

Może bym jakoś z tego się wykaraskał, ale na półce leżało ze dwadzieścia kawałków mydła obozowego „RIF Leżało w szafie, bo cóż miałem z nim robić. Wyfasowałem je dla chorych, to prawda, ale chorzy, ciężko chorzy leżący na zakaźnym bloku, w ogóle się nie myli, bo w bloku na-wet nie było waschraumu. Chorzy myli się tylko po przyjęciu na rewir i wtedy, gdy go opuszczali, i to w baderaumie u Staszka Paducha. Lecz tego wytłumaczyć nie byłem w stanie ze swoją znajomością niemieckiego, a Zengteller nie usiłował mi wcale pomóc, bo chciał mnie pograżyć. Chciał, bym wyszedł na złodzieja. Wiedział przecież dobrze, że tego „mydła, tej gliny, nie potrzebowałem, bo wszyscy organizowali dobre, pachnące mydło „kanadyjskie”, o które nie było trudno. – Lageraltester – rzekł surowo Helmersohn, wskazując na mnie – sofort entlassen nach Lager! Zur Strafas-beit!1 Wyszli w końcu. Nie zdążyłem jeszcze odsapnąć po nie-spodziewanej wizycie, a już wzywano mnie z powrotem. Przyszedł po mnie zadyszany i wystraszony Gang. .Zdażył mi jedynie powiedzieć, że Helmersohn nakrył małego Władzia. Na czym znowu mógł

nakryć Władzia? – zastana-wiałem się, idąc za Gangiem, pełen niepokoju. Władzio był młodym, może piętnastoletnim chłopcem, który jakimś cudem wraz z jeszcze kilkoma rówieśnikami ocalał z transportu z Zamojszczyzny. Był sierotą. Rodziców jego zagazowali natychmiast po przywiezieniu do Oświęcimia w ramach akcji pacyfikacyjnej Zamojszczyzny. Zamelinowałem go u siebie na bloku w stanie chorych, co było rzeczą niedozwoloną, ale ogólnie praktykowaną, w wypadku kiedy chciało się komuś konkretnie pomóc. Władzio poma-gał pflegerom, sprzątał, zajmował się moją garderobą i paczkami żywnościowymi, których nie miał już od kogo otrzymywać. Teraz właśnie prał mi przed blokiem koszulę i na tym przestępstwie go złapano. Wyszło na jaw, że nie jest chorym, ale i nie jest pflegerem, że pierze moja koszu-lę, jedwabną, oczywiście, używając na szczęście mydła „kanadyjskiego”. Lageraltester Hans, usiłując wytłumaczyć Władzia, nazwał go moim „piplem”, co Helmerhson

1 Natychmiast zwolnić na obóz! Do karnej pracy!

267.

przetłumaczył sobie prawdopodobnie, że jest moim służącym bo na słowo „pipel” spojrzął na mnie jadownicie i aż rozłożył ręce gestem rozpaczony. Zengteller coś tam gęsto tłumaczył, wskazując raz na mnie, raz na nic nie rozumieją-cego Władzia, z czego wywnioskowałem, iż stara się go ratować – bo i on w końcu musiał kogoś polubić – mnie zaś pogrąży z premedytacją. Sprawa wzięła tak zły dla mnie obrót, że począłem się obawiać, iż może się skończyć bunkrem lub co najmniej karną kompanią. Na moje szczęście dr.Helmersohn zlecił jedynie lageraltesterowi Hansowi by natychmiast po wieczornym apelu wypisał mnie z rewiru na męski obóz z poleceniem zatrudnienia przy ciężkich robotach na Koenigsgraben, gdzie oczywiście pracowała karna kompania. Ponieważ polecenie było ustne więc obyło się bez stawania do karnego raportu. Zostałem normalnie przeniesiony na odcinek D i oddany tym samym do dyspozycji arbeitseinsatzu. Rozdział LXIX

Arbesitsdienstem był stary więzień, Polak ze Śląska, Jó-zek Mikusz, znany z jak najprzychylniejszego stosunku do współwięźniów. Piorunie, a coś tam narobił, że cię tak nagle verlego-wali zapytał Józek wesoło. Opowiedziałem pokrótce, co zaszło. Dobrze, że ci meldunku nie zrobił. Gdzie by cię tu wsadzić- zastanawiał się. – Do łopaty przecież nie pójdiesz.

Do nas niech przyjdzie – podsunął mu myśl Edek, uradowany, że teraz będziemy razem, co zgodne było z na-szymi planami.

Może i dałoby się to załatwić, nadszedł jednak isstubienst Wiktor Tkocz i pokrzyżował nasze zamierzenia.

Byłeś tam schreiberem i blokowym nawet, to możesz być też schreiberem. Jaki tam z ciebie fachowiec. Pójdiesz na blok 8. Tam jest wprawdzie schreiber, ale nie może sobie rady, to mu pomożesz... Pomyślałem sobie, że tego rodzaju funkcja nie jest zła. Zima się zbliża, lepiej być pod dachem, niż pałętać się po komandach tym bardziej że FKL. na który zamierzałem

268.

się udać, był teraz zamknięty dla wszystkich przychodzą-cych tam z innych obozów, podobno z powodu epidemii.

Gdy tylko zadomowiłem się na bloku 8, od razu zorien-towałem się, dlaczego Wiktor tak nalegał, bym został tu jako hilfschreiber. Blokowym był Niemiec, polityczny, bu-chenwaldczyk, dopiero niedawno przeniesiony stamtąd do Birkenau. Był to inteligent, zrównoważony, łagodny miękki, mało energiczny, krańcowo inny niż zdecydowanie większość funkcyjnych Niemców, chociaż teraz już nie tak krwawych jak dawniej, ze względu na złagodzenie kursu w obozie. Nie miał za grosz prestiżu u „ruskich wojenno-plennych”, stanowiących grosz stanu bloku. Jego kulturę uznali za słabość, toteż lekceważyli go sobie zupełnie w ogóle z nim się nie licząc.

Inaczej rzecz się miała ze schreiberem. Wesoły, bez-pośredni, stary oświęcimiak z pierwszego transportu! 573, „Góral”, jak powszechnie nazywano Józka Waśka pochodzącego ze Starego Sącza – umiał znaleźć drogę do zjednania sobie sympatii,

a nawet prestiżu u – zdawało by się – mało zdyscyplinowanej grupy jeńców radzieckich. Kumoterstwo Józka z „Ruskimi” nie znalazło jednak uznania u lageraltestera Danisza. Nie lubił on „Ruskich bo byli butni, a „Góral” też był twardy, zbyt pewny siebie lekceważący „pana i władcę” i jego zarządzenia. Toteż nisz szykanował Józka. Nie mógł jednak pozbyć się go gdyż na bloku zapanowałyby zupełna anarchia. Zrozumiałem więc, dlaczego Wiktor, serdeczny przyjaciel Danisza tak chętnie umieścił mnie na bloku 8 jako pomoc schreiba-ra. Miałem po prostu zluzować Józka prędzej czy później jak tylko nadarzy się okazja do usunięcia go. Liczono pewnie na to, że ja potrafię należycie docenić „łaskę”, jaka mi wyrządzono nie posyłając mnie do łopaty, a jako były bądź co bądź blokowy, będę umiał utrzymać w ryzach tych „bolszewików”. Zostawszy pomocnikiem schreibera nie miałem nic do roboty. Józek po uzgodnieniu stanu bloku obijał boki, toteż cały czas spędzaliśmy razem na rozmowach. Bo „Góral” miał niewyczerpany temat folklorystyczny, przy tym był doskonałym gawędziarzem. W trakcie jednej z tych gawęd nakrył nas Danisz, otoczonych kłębamii dymu papierosowego. Zobaczywszy zbliżającego się Danisza, zgasiłem szybko niedopałek. Józek zaś zaciągnął się głębiej niż normalnie, prowokując i tak już wściekłego nań lageraltestera.

269.

W tym okresie żaden z funkcyjnych nie odważył się już bić starego więźnia. Danisz jednak wpadł w szal. Gdyby Józek w końcu nie uciekł, zabiłby go chyba. Blokowy przecznie nie wychylał się ze swojej sztuby. Ja stałem jak sparaliżowany, czekając, kiedy dobiegnie do mnie. Zamiast tego usłyszałem: Ty będziesz teraz schreiberem...Verstanden? Blockstlester – Zza drzwi wysunął się wystraszony blokowy. Das ist dein Schreiber!1 A do mnie powiedział:

Jak ci jeszcze raz złapia kurzyć, to zobacysz, ty skur-wysynuili Tak zostałem następcą Józka. Na moje szczęście przyszedł nowy blokowy. Został nim tym razem Polak, Adam przywieziony do obozu niespełna rok temu. Ten wyglądał okazale. Wysoki, solidnie zbudowany, elegancki, zawsze poważny. Chodził stale w bryczesach i oficerkach. robiąc wrażenie typowego przedwojennego oficera. Może ten marsowy wygląd skłonił Danisza do uczynienia zeń blokowego właśnie na tym „ciężkim” bloku. Jak to pozory czasem mylą. Okazało się, że Adam był człowiekiem na poziomie, uczciwym, dość energicznym, ale sprawiedliwym. Był w miarę sprytny, aby krzykiem i służbiastą postawą udawać się przed blockführerem i Daniszem. W gruncie rzeczy był sentymentalny, miękki, nawet uczuciowy, co szczególnie uwidaczniało się w momentach, gdy otrzymy-mywał listy od swojej żony z Krakowa, którą uwielbiał i za którą bardzo tęsknił. Nie zapomnę momentu, kiedy jeden z blockführerów kazał mu wymierzyć karę chłosty więźniowi odkrytemu pod buksą po wymarszu komand do pracy. Ruskiej” lekko wytrzymał tych pięć kijów, ale Adam, bijąc go, cierpiał męki. Widać to było po jego zaczerwienionej i złanej potem twarzy. Odpowiadał za bloki i rozkaz musiał wykonać. Inaczej oberwałby sam. Funkcja blokowego zobowiązuje. Nie chciałbym być w jego sytuacji. Na jego szczęście, a ku rozpaczy kilkudziesięciu Żydów z Kanady” i bekleidungskammer, zamieszkujących również nasz blok, Danisz ulokował swojego przyjaciela lager-Juppa w pokoju, gdzie dotychczas mieściła się schreibstuba Ten chętnie wyręczał blokowego w tego rodzaju

1.to jest twój pisarz

270.

obowiązkach. Lagerkapo Jupp był starym kryminalistą. Mały i chuderlawy, fizyczne zero, o gębie sadysty i alkohol-ka. Nieprzeciętne bydło, morderca Żydów i muzułmanów wszystkich tych, którzy okazywali słabość. Jedynie przed „Ruskimi” miał respekt. O ile więc byli w gromadzie, nie atakował ich, bo się bał. Na mnie patrzył z ukosa, lecz nie zaczepiał, podobnie jak i Danisz, który traktował mnie ła-skawie. Jeszcze mnie nie rozgryźli. Z blokowym szybko doszedłem do porozumienia. Do mnie należało jedynie prowadzenie kartoteki zugangu i abgangu, zaprowadzanie ewentualnie chorych do ambulatorium i przypilnowanie stubendienstów.

Było ich trzech. Sami Żydzi. Najstarszy z nich, Jankiel dobroduszny i bardzo religijny, rzeźnik z Radomia czy z Kielc, spokojny i opanowany, uczciwy. Natychmiast po-czułem do niego sympatię i zaufanie. Fryzjer- bo między innymi i taką funkcję spełniał - szybki, nerwowy, bardzo gadatliwy, sprytny i nie za bardzo uczciwy, pozostający jed-nak pod wpływem i kuratelą Jankiela. Trzecim był Ici Me-yer, potężnie zbudowany rudzielec, leniwy, opryskliwy o małych, rozbieganych i fałszywych oczkach, z których źle mu patrzyło. Miał już swoją ciemną przeszłość-z Maj-danka, o czym mnie na wszelki wypadek uprzedzono, Po-dobno niejednego Żyda miał na sumieniu. Zresztą widać było, że to szpicel, tchórz, bandyta i lizus. Danisz i Jupe odnosili się do niego bardzo dobrze. Byłem przekonany ze sownie opłacał te względy, mając szerokie znajomości w sonderkommando. Obaj stubendienści nienawidzili go całą duszą, życząc mu nagłej śmierci. Miałem się zatem przed tym typem na baczności, starając się równocześnie znaleźć sposób na pozbycie się go z bloku. Mógł być niebezpieczny. Edek spędzał teraz u mnie całe wieczory, a rozmawia-liśmy prawie wyłącznie o naszych planach ucieczki. Mógł więc nas kiedyś podsłuchać. Ici wiedział dobrze, że go cierpię, niewiele jednak sobie z tego robił. Miał plecy u Danisza i Juppa, nie musiał się więc specjalnie ze mną liczyć. Nawet blokowy za nim obstawał, obawiając się wi-docznie narazić lageraltesterowi. Moje legowisko znajdowało się na pierwszej buksie, po prawej stronie bloku, licząc od drzwi, na górnej pryczy. Najbliższymi moimi sąsiadami byli: Józek Waśko, ks. Ko-zak, Wacek - polski kryminalista, Dino Schab - kapo z „Meksyku”, ni to Polak, ni Niemiec, troche Włoch

271.

prawdopodobnie Ślżak z domieszką krwi żydowskiej, hochsztapler, ale mimo to sympatyczny, bardzo muzykany-i mający niezły głos, w końcu „Garbus”, również ze Śląska pełniący funkcję unterkapo w komandzie Dina, straszliwy, chytry i przebiegły kombinator, po którym mo-żna było spodziewać wszystkiego co najgorsze. Przy-padkowy zestaw .ludzi różnego autoramentu. Na niższej pryczy rozlokowali się stubendienści z wiecznie nastawiającym uszu Ici Mayerem i jeszcze trzech więźniów należących do komanda cieśłów. Na samym dole buksy, jak i na sąsiadujących z nami pryczach znalazło się kilku Żydów zteklidungskammer. Po przeciwnej stronie mieszkali Żydzi z „Kanady” w li-czbie około dwudziestu, ze swymi kapo na czele i vorarbei-strami. Jednym z vorarbeiterow był Dawid, stary mój znajomy jeszcze z Buni. Resztę buks ustawionych rzędem po obu stronach przewodu kominowego - „pieca” , prze-biegającego przez środek bloku, zajmowali „Ruscy”, około czterystu chłopca. Hans, kapo „Kanady”, o czerwonej jakby obdartej ze skóry twarzy i dużym haczykowa-tym nosie, porywczy, gwałtowny, władczy, był jedną z naj-popularniejszych postaci w obozie z racji swego intratnego stanowiska. Był królem czarnej giełdy. Z tego powodu li-czyli się z nim wszyscy bez wyjątku funkcyjni, nie wyłącza-czając Danisza. Nawet niektórzy esesmani mieli z nim różne kontakty, natury często handlowej oczywiście. Hans opłacał dolarami i kosztownościami po zagazowanych ziomkach soją nietykalność i bezgraniczną władzę wśród ludzi podległego mu komanda, z których każdy musiał oddać mu swoją dolę”. Kto się wyłamywał, dostawał największe cięgi, a jeśli był niepoprawny, tracił dobrą posadę. Galiński żył z nim w niezłej komitywie, wykorzystując fakt rzekomego powinowactwa Hansa z Małą Zimetbaum, do którego się przyznawał, a co nie było prawdą; Edek wiedział o tym dobrze od samej Mali, bynajmniej nie przyznającej się do tego pokrewieństwa. Nie wyprowadzał go jednak z błędu, dla dobra swej sympatii, obdarowywanej przez hojnego „kuzyna” różnymi drobiazgami. Część tej łaski promieniowała i na mnie, jako przyjaciela Edka, w postaci darowywanych od czasu do czasu konserw, sardynek, czy papierosów. Czterystu „Ruskich” zamieszkujących blok tworzyło

wprawdzie zwartą masę, ale, zdawałoby się, niezbyt zdy-

272.

scyplinowaną. Później, poznawszy ich bliżej, stwierdziłem ku swemu zdziwieniu, że istniała wśród nich żelazna dys-cyplina, za której łamanie karano samosądem. .Jeśli stwierdzili u siebie „kapusia”, wykańczali go natychmiast Stanowili odrębną kastę w obozie haftlingów. Byli „wo-jennoplennymi” i chociaż początkowo traktowani na ró-wni z innymi więźniami, zdołali z czasem wywalczyć dla siebie, częściowo przynajmniej, prawa jenieckie. Być może pomógł im w tym Stalingrad, chociaż już i przedtem lagre-fiihrer Schwarzhuber okazywał im niejednokrotnie dzi-wną słabość, traktując ich nieco lepiej niż resztę więźniów, dzięki czemu pozostałe niedobitki z pierwszych transpor-tów ..Ruskich” miały niezłe funkcje, zwłaszcza w kuchni magazynach i na niektórych blokach. Większość jednak pracowała na Zerlegerbetriebe i „Meksyku”, dwóch ol-brzymich komandach, zatrudniających setki więźniów Zerlegerbetriebe to wyładunek, rozbiórka i sortowaniem gruchotanych samolotów, tak alianckich, jak i niemiec-kich, zwożonych masowo na bocznice kolejową, wzdłuż li-nii kolejowej Oświęcim-Dziedzice, w połowie drogi mię-dzy głównym obozem w Oświęcimiu a Birkenau, w miej-cu, gdzie kiedyś przywożono transporty Żydów, jeszcze przed wybudowaniem bocznic prowadzącej wprost przed krematoria II i III. Praca była tam ciężka. Mimo to „Rus-cy” garnęli się do tego komanda z powodów sobie jedynie znanych. Później i ja poznałem ów „magnes” przyciąga-jący ich do Zerlegerbetriebe. Na pozór jednak wydawało się, że głównym motorem ściągającym ich tam był alkohol znajdujący w różnych częściach samolotów i szrmuglo-wany w wielkich ilościach do obozu w wojskowych ma-nierkach, z którymi nigdy się nie rozstawali. Znaleziony spirytus był dwójakiego rodzaju: etylowy, i metylowy, niejednokrotnie trujący. Oni znali się już na tym doskonale. Handlowali jednym i drugim. Sami też lu-bili pociągnąć, nigdy im zresztą nie zaszkodził. Nie byli gorszymi handlarzami od niektórych Żydów z sondeer-mando czy „Kanady”. Powiedziałbym nawet, że przebie-gali ich sprytem. „Towar” był im potrzebny do dalszego obrotu, tym razem z cywilami pracującymi na „Zelreger Za wytargowane złoto czy kosztowności otrzymywali cenny tytoń, machorkę, a przede wszystkim spirytus wy-mieniany w obozie na chleb, słoninę, kiełbasę, tak po-trzebne wiktuały do utrzymania jakiej takiej kondycji

273.

podczas ciężkiej pracy, jaką wykonywali pod kierunkiem dwóch oberkapów. Jednym z nich był atletycznej budowy więźniem polityczny narodowości holenderskiej, flegmatyczny i zrównoważony, nie obciążony taką „hipoteką”, jaką miał drugi oberkapo, również polityczny, Alojz Stahler, O sławie bodajże największego sadysty i zwyrodnialca, długoletni więzień Sachsenhausen. W Alojzie nagle obudził się człowiek gnębiony od lat przez reżim hitlerowski. Niemalże przyjaciel „Ruskich”. Klepał ich przyjacielsko po ramionach. nigdy nie bił, a jeśli jeszcze wpadł kiedy w furję to wyładowywał się przeważnie na więźniach innej narodowości , szczególnie na Żydach, a i to starał się robić dyskretnie. . Był na tyle inteligentny, że zdawał sobie sprawę z tego, czym był Stalingrad. Kokietował „Ruskich mówił nieraz: – „Ruski” gutt. „Ruski” nicht viel robota”. „Ruski” – Kamerad, Ruski schnaps...1 – Za-bezpieczał się na wszelką ewentualność. Chciał zostawić po sobie dobre imię, spodziewał się bowiem niedługo zwolnienia , gdyż zgłosił się ochotniczo wraz z wieloma innymi kapo jemu podobnymi do specjalnych oddziałów złożonych z przestępców, którzy mieli być użyci na najbardziej zagrożonych odcinkach łamiącego się frontu wschodniego. Więźniowie, zwłaszcza starzy, pamiętali dobrze jego wy-czyny i nie dali się zwieść jego łagodnością. Korzystając z coraz dłuższych wieczorów, spuszczone mu dobre manto w najciemniejszym kącie obozu. Zdołał jednak umknąć żywy

choć poturbowany. Wiedział dobrze, kto mógł pamiętać jego dawne grzechy, toteż z kolei kokietował starych więźniów. Szczęście to nie ominęło i nas, to jest Edka Rozdział LXX Początkowo trudno mi było porozumieć się z „Ruskimi Nie znałem ich języka, nie darzyłem też ich sympatią, a oni odwzajemniali, odnosząc się do mnie z rezerwą i nie skrywaną nieufnością, jako do zastępcy ogólnie lubianego

Ruski" dobry. „Ruski" niedużo „robota". „Ruski" – kolega ruska wódka...

274.

„Górala". Ignorowali mnie zupełnie, kwitując jakiegokolwiek moje zarządzenia krótkim, a treściwym powiedzeniem: – A idi ty na ch...!

Najgorzej było w niedzielę, w dzień wolny od pracy

Po południu odbywała się obowiązkowa lausekontrola

a potem godzinna bettruhe. To prawda, że lausekontrola

nie poprawiała radykalnie warunków higienicznych

w obozie, ale przynajmniej zmuszała niektórych brudasów

do mycia się raz w tygodniu, w zimnej wodzie co prawda,

i zmiany bielizny na czystsza, chociaż też z gnidami

Również przymusowe godzinne „leżenie" w niedzielne po-

łudnie po tygodniu dwunastogodzinnej pracy nie było

niczym innym, jak tylko pewnego rodzaju szykaną, skrę-

powaniem przez pewien określony czas ruchów i porozu-

miewania się między więźniami poszczególnych bloków.

Niemniej było to zarządzenie przestrzegane bardzo przez

lageraltestera Danisza i blockfiihrerów. Niestosowanie się

do tego dawało im powód do nowych szykan i bicia". Mo-

głem sobie zedrzczyć gardło. Nie rozumieli mnie albo nie

chcieli zrozumieć. Przyszedł mi w sukurs „Góral".

– Nie umiesz z nimi postępować! Nie denerwuj się nie drzyj się, bo i tak sobie nic z tego nie robią.

Józek wyskoczył na piec, przybrał napoleońską postawę, gestem ręki uciszył

wrzawę, po czym zaczął „mowę donośnym głosem, starając się mówić po rosyjsku:

– Towarzystwo! Rebiata! Krasnoarmiejcy! „Ruscy" znali ten jego poważny wstęp.

Niektórzy śmie-

jąc się zaczęli zdejmować koszule.

– No jazda, rozbierajcie się, co się gapicie, chcecie żeby was wszy żywcem

zjadły? – zwrócił się do grupy jeńców nie zdradzających ochoty do przeglądania

swojej bielizny. – E! Wania! Trzymajże swoją koszulę, bo ci odejdzie sama! –

zażartował z jednego szczególnie zawszonego, kładącego na piecu swoją koszulę.

Tak żartując, łokpi-wając, śmiejąc się, straszac, perswadując, osiągał w końcu

swój cel. Ja zapisywałem numery tych wyjątkowo brudnych i zawszonych, którzy

mieli być później odprowadzeni przez stubendiensta do odwszawienia – zabiegu,

którego więźniowie szczególnie nie lubili.

Tego samego wieczoru zarządzono w obozie blokszpa-

1 Towarzystwo! Dzieci! Czerwonoarmiści!

275.

rę. Blokowy postawił mnie przy drzwiach, żebym pilnował, by nikt z bloku nie wychodził, a sam udał się do swej

sztuby. Kola, jeden z ocalałych pierwszych jeńców wojennych, więc stary

obozowicz, pracujący w kuchni, nic sobie nie robiąc z zarządzenia, odsunął mnie

bezceremonialnie, usiłując wyjść na zewnątrz. Tłumaczyłem mu, żeby nie

wychodził z bloku, bo jak go złapie Danisz albo który z blockfiihrerów

kręcących się teraz po obozie, dostanie cięgi a i mnie się oberwie. Zastawiłem

więc sobą wyjście z bloku. Kola jednak napierał z uporem, tak że zaczęliśmy się

sza motać. W pewnej chwili wyrwał się, zdążyłem go jednak złapać za kołnierz i

usiłowałem wciągnąć do bloku. Nagle otrzymałem taką serię, że aż mnie

zamroczyło. Wściekły doskoczyłem do niego i nie pozostałem mu dłużny. Tłukliśmy

się tak przez dłuższą chwilę. Sczepieni jak dwa koguty, masowaliśmy sobie

nawzajem pięściami twarze otoczeni zwartym półkolem widzów, którzy zbiegli się z

całego bloku. „Ruscy” oczywiście dopingowali Kole, a mnie zagrzewał do walki Edek z paroma jeszcze więźniami. Wszyscy mieli świetną zabawę, a my tymczasem biliśmy się naprawdę. Lagerkapo rechotał z uciechy, ubawiony widokiem krwi, którą już obaj byliśmy umazani blokowy usiłował nas rozdzielić, widząc jednak nasze za-trzewienie i że żadne tu perswazje nie pomogą, uciekł się do jedyne go w takich wypadkach sposobu. Wiadro wody wylane na nasze głowy z miejsca poskutkowało. Ruscy odprowadzili swojego zawodnika z rozwalonym uchem i okiem sinym jak atrament w głąb bloku, ja zaś pozostałem na placu boju z rozoraną na wylot wargą, już mocno spuchniętą. Jankiel robił mi kompres. Fryzjer przemywał zadrapania. Edek narzekał, iż za mało Koli wsunąłem. Ksiądz Kuzak mówił ze zgorzeniem: Bój się Boga, chłopcze, nie dość wam obozu? Ici Mayer gdzieś znikł, pewnie składał już relację Daniszowi Dino, ubawiony, zanosił się od śmiechu. „Garbus” mruzczał złowrogo: – Ja bym go wykończył... – Żydzi z Kanady i bekleidungs byli jacyś skonsternowani, przypuszczalnie obawiali się następstw tej bójki. Kapo Hans, widać zbudowany widowiskiem, przysłał przez swego piplą pudełko sardynek i butelkę wódki... A ja, przychodząc powoli do równowagi, zacząłem odczuwać niesmak tego incydentu. Po chwili przyszedł Misza z „profesorem”,

276.

jako „parlamentariusze”. Obaj cieszyli się dużym poważaniem u pozostałych „Ruskich”. Nieraz tak blokowy, jak i ja uciekaliśmy się do ich pomocy i interwencji w sy-tuacjach, kiedy zachodziła potrzeba. Nie było wypadku aby któryś z „Ruskich” odważył się im przeciwstawić. Było zresztą sprawiedliwi, co też każdy potrafił docenić. Można było się domyślać jakiejś dobrze ukrytej organizacji mocno zdyscyplinowanej, której motorem i duszą byli ci dwaj ludzie, przewyższający intelektem większość jeńców wojennych zgromadzonych na bloku nr 8. Toteż nie byłem specjalnie zdziwiony, widząc ich teraz przed sobą robią-cych mi wymówki z powodu mojego zachowania się i wda-nia w głupią bójkę z dość prymitywnym Kolą; dałem w ten sposób niezbyt pochlebne świadectwo o sobie i zły przy-kład dla wszystkich bez wyjątku mieszkańców tego bloku więźniów politycznych, ciemieżonych przez wspólnego wroga – Niemców. Mniej więcej w tym tonie był utrzy-many cały wywód „profesora”. Miałem już dość tych mo-rałów, mimo że w duchu przyznawałem mu częściowo ra-cję. To było niepotrzebne! Na pewno w ten sposób nie zdo-byłem sobie popularności wśród „Ruskich”, z którymi mu-siałem przecież jakoś żyć, mieszkając razem w jednym blo-ku. W dodatku Misza zaproponował, żebym przeprosił Kolę. Tego miałem już za wiele, a Edek aż podskoczył na taborecie. Misza, jak się okazało, miał inną intencję i do-piero „profesor” przy pomocy Jankiela jako tłumacza zd0-łał dokładnie wyklarować sprawę. Chodziło o to mianowi-cie, bym pogodził się z Kolą na oczach całego bloku. Zgo-dziłem się na to, aczkolwiek niezbyt chętnie, bałem się bo-wiem pułapki. „Ruscy” są wzburzeni. Gdy wejdem do środka bloku – rozmowę prowadziliśmy w brotkamerze – to mogę już stamtąd nie wyjść. Z drugiej strony należało wierzyć dobrym intencjom Miszy i „profesorowi”. gdyby byli mi życzliwi. Łączyły nas już pewne sprawy, drobiazg wprowadzie, ale stanowiące pierwszy krok w dążeniu do wspólnego celu – wolności.

Z duszą na ramieniu udałem się do Koli. Edek na wszelki wypadek został przy drzwiach baraku, jako ubez-pieczenie, w razie gdyby potrzeba było wzywać pomocy Kola miał swoją buksę gdzieś pośrodku baraku. Misza i „profesor”, oddaliwszy się w głąb bloku, zostawili mnie samego przed jego buksą. Kola siedział na górnej pryczy sam i przykładał sobie jakąś szmatkę na bolące oko. Na

277.

bloku uciszyło się. Wszyscy obserwowali nas w skupieniu. Usiedliśmy obok siebie w milczeniu, potem on spojrzał na mnie ja na niego i zaczęliśmy się śmiać. Pierwszy odezwał się Kola: – Oj durak ty... durak ja... dawaj, wypijemy za zgodę schreiber... – Uścisnąwszy mnie, wyciągnął spod koca zawczasu przygotowaną butelkę. Zgrabnym ruchem wybił korek, palcem zaznaczył miejsce, dokąd mam wypić,

i wręczając mi ją, rzekł:

Pij, schreiber, na zgodę. Zakrztusiłem się, bo nie wiedziałem, że to będzie spirytus.

Pij, Pij-

Oczy wylażyły mi na wierzch, pałacy płyn rozlewał się po wargach, rana paliła jak ogień. Ledwie dociągnąłem do wyznaczonego miejsca, inaczej picie „na zgodę” nie byłoby ważne. Kola swoją dolę łyknął jednym haustem, aż ukało się, puste dno butelki. Uścisnęliśmy sobie ponownie ręce i dopiero wtedy przysiedli się inni. Zaczęła się pijatyka. Ciągle ktoś donosił wódkę.

Uspokojony o mój los Edek też przyniósł butelkę, tę, którą dostałem od Hansa w nagrodę za bojową postawę w bójce. Spirytus zrobił swoje. W głowie mi szumiało, wszystko wirowało i widziałem podwójnie. Przytępiony alkoholem słuch ledwie że pozwalał słyszeć śpiew „Ruskich Zawtra wojna. Obudziłem się rano na swojej buksie z okropnym bólem głowy i pragnieniem. Obok siedział Edek i Kola. Dali mi się czegoś napić, po czym zrobiło mi się lepiej. Później dowiedziałem się, że to była wódka. Przechorowałem jednak tę wczorajszą bijatykę i pijatykę. Ale za był to koniec wszelkich nieporozumień między Ruskimi” i mną. Od tej pory nabrali do mnie zaufania.

Rozdział LXXI

Edek prawie wszystkie wieczory spędzał razem ze mną. Na moim bloku wybudowałem brotkamerę, wygodne miejsce na nasze spotkania i rozmowy. Często też przychodził Misza z profesorem”. Ten ostatni czytywał regularnie niemieckie gazety dostarczane mu przez Edka. „Profesor” umiał, jak twierdził czytać między wierszami. Po przeczytaniu jakiejś wiadomości o zwycięstwach Niemców przecierał okulary i z zadowoleniem, poklepywał się po udach i mawiał:

278

.- Choroszo! Choroszo! Alles geht planmassig! Choro-szo!1

On już wiedział, jaki będzie koniec wojny. Niemcy będą rozbici, hitlerowcy wywieszani co do jednego, wszystkie narody słowiańskie połączone w jedną wielką komunę itd. Co do zwycięstwa w tej wojnie byliśmy zgodni z „profesorem”, natomiast z dalszymi jego horoskopami nie bardzo się zgadzaliśmy. Mieliśmy na te sprawy zupełnie inny po-gląd. Toteż kiedy Misza i „profesor” znajdowali się w naj-większym ferworze dyskusji, ulatnialiśmy się dyskretnie zostawiając ich z Jankielem, z którym łatwiej było im się dogadać. My mieliśmy swoje plany. Co tam polityka .Za-mierzenia nasze z każdym dniem przybierały coraz rea-niejsze kształty. Blockfiihrer Pestek był częstym gościem mojego blokowego. Pestek mógł mieć około trzydziestki. Był chudy i niepozorny. Na pierwszy rzut oka sprawiać wrażenie raczej niemiłe, a zajęcza wargą nie dodawała mu uroku. Z kadrami SS musiało być już nie najlepiej, skoro taką łajzę przyjęto w swoje szeregi, w dodatku jako block-fuhrera, w randze rottenfiihrera, mającego za zadanie od-powiednio postępować z więźniami. Nigdy nie widziałem żeby kogoś uderzył. Nie podnosił nawet głosu, by chociaż w ten sposób zamarkować przed surowymi zwierzchni-kami swój wrogi stosunek do więźniów. Pochodził gdzieś znad granicy polsko-rumuńskiej, podobno z Czerniowic Tak przynajmniej utrzymywał blockfiihrer Schneider ró-wnież pochodzący z tamtych stron, mówiący dość dobrze po polsku i nie odznaczający się okrucieństwem. Obaj też mieli wspólne zamiłowanie do handlu. Różnili się jcdynie tym, że Schneider lubił się targować, Pestek zaś brał wszy-stko, co mu dano. Przyjmował nawet zwykłe zegarki, naj-niżej notowane na giełdzie obozowej.

Interes szedł, nie potrzebowałem się w ogóle narażać Nie wychodząc z obozu miałem wódkę, kielbasę esesmań-ską, papierosy, czasem nawet angielską czekoladę. Po pro-stu Pestek zajeżdżał przed blok rowerem, zostawiał mi wy-ładowaną teczkę, którą opróżniałem z towaru, wkładając doń „zapłatę”. Tymczasem Pestek obchodził inne bloki niby to służbowo, a wróciwszy zabierał swoją teczkę przy-pinał do roweru i pogwizdując spokojnie odjeżdżał.

1 Dobrze, dobrze! Wszystko przebiega planowo! Dobrze

279.

Czasem przyjeżdżał niespodziewanie. Nie miałem mu wtedy czym zapłacić. Czekał cierpliwie do następnej okazji.

Z blokowym miał jakieś konszachty, przypuszczalnie innej natury niżeli handlowe, bo te przecież załatwiał ze mną. Podejrzywałem Adama, że kontaktuje się za jego pośrednictwem ze swoją żoną mieszkającą w Krakowie. Po-myślałem sobie, że skoro Pestek, prócz uprawiania nielegalnego handlu, jest być może łącznikiem między obozem i wolnością – na co wskazywały ciągle szeptaki w pokoju blokowego – mógłby się przydać w jakiś sposób w realizacji naszych planów związanych z zamierzoną ucieczką z obozu.

Należało go wypróbować. Edek zapalił się do tego, ustaliliśmy bowiem, że najlepiej będzie nawiązać kontakt z jakimś pewnym esesmanem, który by odsprzedał dwa mundury, bo w tym przebraniu zamierzaliśmy uciec. W dniu, w którym wiadomo nam było, że Pestek będzie miał służbę w naszym obozie, Edek nie poszedł do pracy, dekując się u mnie na bloku. Korzystając z nieobecności blokowego, usiedliśmy sobie w jego sztubie, oczekując z niecierpliwością ukazania się blockfuhrera. W korytarzu przy drzwiach stał Jankiel. Miał tam stać przez cały czas podczas rozmowy z Pestkiem, który właśnie nadjechał. Achtung! – darł się Jankiel, równocześnie przy-trzymując mu rower. Ist niemand da?!1 – zapytał Pestek, patrząc na pokój po przeciwnej stronie korytarza, gdzie mieszkał lager-Jupp. Wyskoczyłem z pokoju, żeby mu zameldować: Block acht belegt mit..2 Przerwał mi, odpinając z ramy roweru teczkę, po czym skierował się do pokoju blokowego. Edek stanął na baczność. Zapytał zdziwiony: Wo ist der Blockaltester?3 Tteczkę położył na stole obok kartoteki, Blokowy poszedł do głównej schreibstuby, zaraz przyjdzie – odpowiedziałem swobodnie po pol-

1.czy nie ma tu nikogo?!

2.blok ósmy liczy...

3.gdzie Jest blokowy?

280.

– Co to za jeden? – zapytał teraz również po polsku usiadłszy, bacznie przypatrując się Edkowi.

– To mój przyjaciel, stary organizator, Herr Blockfuhrer. To on mi dostarcza tych różnych drobiazgów – doda-łem.

– Pewny on? – zapytał, sięgając po teczkę.

– Pewniejszy ode mnie!

Edek bawił się monetą 20-dolarową, przerzucając sobie z ręki do ręki. Pestek musiał to w końcu zauważyć

– Co tam masz takiego?

– Może pan to sobie wziąć – powiedział Edek nicdbale, wręczając mu „twardą” dwudziestkę. Pestek poszperał jeszcze w swojej teczce i wydobyl tabliczkę czekolady. Miała być dla blokowego, ale jak go nie ma... Zatarł ręce zbliżając się do piecyka, w którym palił się ogień.

– Zima idzie – zauważył. Edek wybił korek z butelki.

– Was machst du Verruckter?!...1 – Ja na służbie dodał już łagodniej.

– Jednego, panie blockfuhrer, nie zaszkodzi. Nikt nie poczuje, bo wszyscy pija – powiedział Edek bezczelnie nalewając mu do kubka. Pił z nami, rozmawiał o wszystkim, ale jakoś nie mogliśmy nawiązać rozmowy na intere-sujący nas temat.

– Mógłby pan przynieść jeszcze kiedy tej angielskiej czekolady – szukał znowu Edek jakiegoś punktu zaczepienia. Trafił chyba dobrze, bo Pestek zaczął mówić o jeń-cach angielskich, a nawet konkretnie o jednym oficerze któremu umożliwił nawiązanie kontaktu z jakąś rodziną żydowską z familienlagru Theresienstadt. Edek mrugnął do mnie triumfująco. Był na tropie. Jeżeli Pestek już mówi o takich sprawkach, można będzie mu coś zaproponować.

– Mam już dość tego obozu – rzekł nagle. – Jakbym miał tak mundur esesmański, tobym poszedł... – Edek powiedział delikatnie: „poszedł”. Pestek jednak dobrze zrozumiał.
– Poszedł, poszedł – śmiał się. – Gdzie byś poszedł. Zima idzie. Nic wam tu nie grozi, a do wiosny może wiele się zmienić.

1 Co robisz, wariacie?!...

281.

Nie wyszło! Pestek był mądrzejszy, niż nam się wyda- wało. Po co miał tak poważnie ryzykować, wdając się z nami w takie historie. Co innego handlować. Zdaje się, że przepłoszyliśmy go. Przychodził teraz rzadziej i wyraźnie unikał ze mną rozmów, ograniczając się jedynie do wymiany towarowej. Nie traciłem jednak nadziei, że kiedyś zmięknie.

Była zima. O ucieczce teraz nie myśleliśmy. Pestek zresztą prawie nie pokazywał się. Został blockfuhrerem na familienlagrze. Wiedziałem to od Schneidera, częstego bywalca naszego bloku. Schneider też handlował wódką, ale do niego nie miałem większego zaufania.

Zbyt dobrze żył z blockfuhrerem Grapatinem, a tego należało się strzec.

Rozdział LXXII

Mimo licznych transportów do gazu i selekcji wśród starych, a nawet zdrowych, ogólnie rzecz biorąc, poprawiły się znacznie stosunki w obozie. Różnie to komentowano. Oświęcimiaczy przypisywali to nowemu komendantowi Lunbenschlowi, następcy Hossa. „Ruscy”, a zwłaszcza profesor”. twierdzili, że jest to następstwem niepowodzeń armii niemieckiej na froncie wschodnim. Jeszcze inni utrzymywali, mając wiadomości ze „źródeł poinformowanych, że zmianę kursu spowodowały doniesienia radia Londyńskiego, które rzekomo wie o wszystkim, co się tu dzieje.

Byli tacy, przeważnie starzy więźniowie, którzy uważali obecny okres za przejściowy, będący wynikiem rozluźnienia dyscypliny wśród esesmanów zajętych likwidacją Żydów, a przy tym kradnących ich kosztowności, skutkiem czego nie mieli zbyt wiele czasu dla spraw obozowych. Liczyli na dobrze wyszkoloną kadre funkcyjnych, starych niemieckich kryminalistów i kilku zdeprawowanych i żądnych władzy więźniów innych narodowości, na których mogli polegać wierząc, że ich godnie zastąpią, żeby ich sobie jeszcze bardziej zjednać, SS dało im na miastkę wolności, pozwalając nosić długie włosy w na-grodę za dobre sprawowanie. Niektórym obiecano nawet zwolnienie, pod warunkiem że wstąpią do służby w wojskowej. Bojowość tych jednak też osłabła. To już nie były te

282.

czasy, kiedy dla zdobycia paru porcji margaryny czy ka-wałków chleba taki blokowy czy kapo zabijał bez pardonu.

Obecnie Polacy otrzymywali paczki żywnościowe Żydzi mieli złoto i kosztowności. „Ruscy” przynosili spirytus.

Początkowo próbowali starej metody, wkrótce jednak ją zarzucili. Spostrzegli się, że stosując ją w obecnych warunkach, będą musieli jeść chleb z margaryną. Wszystkich przecież wymordować nie są w stanie, tym bardziej że władze coraz wyraźniej traktowały więźniów jako siłę roboczą. Znikoma część jednak pozostała dalej przy swoim „rzemiośle”, chociażby z przyzwyczajenia, wyładowując swoją złość na muzułmanach, a czyniąc to niezbyt oficjalnie, żeby nie drażnić „wpływowych więźniów”. Zdarzało się ostatnio, że zbyt gorliwy kapo czy blokowy dostawał porządne manto w jakimś ciemnym kącie obozu, gdzie za-pędził się za swoją ofiarą. „Wpływowi” tymczasem mieli coraz więcej do powiedzenia i trzeba było się z nimi liczyć. Korzystając ze sprzyjającej koniunktury, głównie Polacy poobsadzali wszystkie ważniejsze stanowiska lagrowe. Verbrecherzy

pozostali wprawdzie na szczytach, lecz mieli już ręce skrępowane. Nie pozostało im teraz nic innego jak udawać przyjaciół, gdyż wrogością nic nie zyskiwali. Próbowali więc swoim względnie dobrym postępowaniem zmasakrować stare grzechy, wybite na skórze każdego z nas, „wpływowych”. Szczególnie liczyli się z główną schreibstuba, mającą wprost nieograniczone możliwości wpisywania ludzi, których chciano się pozbyć z tutejszego lagru, do transportów coraz częściej odchodzących do innych obozów.

Z Birkenau nikt nie chciał jechać na niepewne do innego obozu, a w szczególności starzy kryminaliści i ci za-służeni, bojąc się zemsty tych, co pamiętali. Były wypadki, o czym już wiedzieli, że niejednego zginał w tajemniczych okolicznościach, transportowany i zamknięty w jednym wagonie z szarą masą więźniarską.

Postanowiłem pozbyć się Ici Mayera. Ciągłe coś węszył, szpiclował, nadśluchował. W tym celu porozumiałem się z Józkiem Mikuszem z arbeitseinsatzu. W ostatniej chwili żeby go zaskoczyć i żeby nie miał czasu już interweniować Ici został wpisany do transportu. Zdołał jednak się wyreklamować. Pewnie dobrze opłacił się Daniszowi, bo ten nie

283.

dość, że wyciągnął go niemal w ostatniej chwili z szeregu ustawionych do transportu więźniów, ale nawet przyjął go na blok, gdzie mieszkał, jako swojego kalefaktora. Ici Mayer może nawet domyślał się, że jest to moja robota. Zbyt wyraźnie okazywałem mu niechęć. Na wszelki wypadek trzymał się ode mnie z daleka, podbechtując lageraltestera Danisza, u którego wyraźnie traciłem łaski. Tolerował mnie jeszcze, czułem jednak, że szuka okazji, żeby mnie na czymś złapać. Na imieniny dostałem piękną laurkę z życzeniami od Haliny. Adam też pamiętał. Utwierdziło mnie to w przekonaniu że lubi mnie, ale też i dało powód do domysłów. Uściskawszy mnie, wręczył mi mały kartonik z wymalowanym nań pędzelkiem przez jakiegoś obozowego malarza widoczkiem z powracającym na pierwszym planie pielgrzymem. Obok napis: „Wiesiowi – wolności – Blockalteger. Któż z nas nie marzył o wolności. Zastanawiałem się jednak czy Pestek, z którym miał jakieś konszachty, nie wspominał coś o naszej rozmowie. Edek przyniósł wódkę, córka Szymłaka przysłała paczkę żywnościową. Paczkę też otrzymałem z domu od rodziców i list od siostry. Do listu dołączyła swoje zdjęcie – tak wynikało z treści listu – za-trzymane oczywiście przez cenzurę. Tak bardzo chciałem po tylu latach zobaczyć kogoś bliskiego, przynajmniej na zdjęciu, Niestety, nawet to było zabronione. Michał Sumiński pracujący w głównej schreibstubie na postzensurzelne zrobił mi wielką niespodziankę i przyjemność. Wykradł zdjęcie, a na jego miejsce podłożył jakieś inne, skądś skombinowane. Ukryłem te wszystkie pamiątki w schowku-zrobionym w stole, gdzie trzymałem zapas papierosów jedyne skarby, jakie posiadałem, Pewnego dnia ni stąd, ni zowąd stałem się właścicielem skórzanego woreczka wypełnionego prawdziwymi skarba-mi. Przyniósł mi to Mietek D., pracujący obecnie w „Kana-nadzie z prośbą, bym za to urządził święta Bożego Narodzenia W woreczku było ze trzydzieści obrączek, kilka pierścionków, złote monety, trochę dolarów i plik jakichś weksli czy papierów wartościowych. Jak się później okazało były to funty szterlingi, na których się nie poznałem, a które wycygnął ode mnie Dino Schab, będący głównym zaopatrzeniowcem. Nie miałem obecnie żadnego kontaktu z Szymłakiem, musiałem zdać się na Dina, będącego w dobrych stosunkach z majstrami – cywilami budującymi

284.

„Meksyk”. Dino zorganizował z rozmachem prawdziwą kampanię przemytniczą. Żeby niczego nie przynieść przez bramę obok wartowni, cały szmugiel szedł przez druty.

Święta wypadły okazale. Było mięso, drób, szynka, wę-dliny, wódka. Atmosfera taka, jakbyśmy byli na wolności. Pełny żołądek i alkohol sprzyjały optymizmowi. Zresztą wiadomości z zewnątrz były pocieszające. Niezwyciężona armia hitlerowska cofała się na „z góry wyznaczone pozycje”, naloty alianckich samolotów dezorganizowały tyły. Słynne powiedzonko obozowe: „byle do wiosny”, docze-kało się wreszcie realniejszych podstaw. Chyba w tych dniach „obfitości” straciliśmy

poczucie rzeczywistości. Bo krematoria nie przestawały dymić, stosy płonęły i ginęli dziennie „normalną śmiercią” dziesiątki ludzi, nie mówiąc już o rozstrzelanych, zaszprycowanych, wyselekcjonowanych.

Szczytem wszystkiego był „sylwester”. Na pożegnanie starego roku zostało nam jeszcze nieco wódki. Siedząc w pokoju blokowego popijaliśmy sobie z Edkiem. Byliśmy już nieco wstawieni, toteż zapomnieliśmy o ostrożności zwykłej w takich wypadkach. Wiedziony jakimś pijackim instynktem, oberkapo Alojz, widocznie w poszukiwaniu alkoholu, zajrzał do sztuby. Za nim wtarabanił się ol-brzymi Holender. Czerwona twarz opoja z wystającym z niej jak marchewka szpiczastym nosem wyrażała niemy zachwyt, gdy zobaczył na stole butelkę.

– Ja! Ich habe gute Nase! – wycharczał. Bez naszego zaproszenia rozsiadł się w najlepsze przy stole. Podstawił taboret swemu kumplowi Holendrowi i oczywiście zabrał się do butelki. Strach paraliżował nasze nieśmiałe sprzeciwy. Baliśmy się go jeszcze. Ale Alojz był nastawiony jak najbardziej przyjacielsko.

– Prosit! prosit! Trinkt mai, Kameraden!² – zapraszał, kiedy wzdragaliśmy się pić więcej.

Piliśmy więc, bo każdy sprzeciw mógł źle się dla skończyć. Alojz był nieobliczalny. Mimo że starał się robić przyjemne gesty, mógł nagle roztrzaskać butelkę o głowę któregoś z nas, jeśli mu przyszyła na to ochota. Chcąc szybciej zakończyć to pijaństwo, Edek postanowił upić

1 Tak! Ja mam dobry nos

2 Na zdrowie! Na zdrowie! Wypijcie, towarzysze!

285.

Alojza. Jak się zaleje, będziemy mogli uwolnić się od niego. Wobec tego wyciągnąłem ostatnią butelkę, jaka mi jeszcze pozostała.

Niech się schleje, może go prędzej szlag trafi – powiedział Edek, nalewając Alojzowi pełny kubek. Was was, was hat er gesagt?¹ – pytał nic nie rozumiejący Holender. Prosit! – stuknął Edek swoim kubkiem w kubek Alojza który, wściekły już, podnosił się ze swojego taboretu widać coś niecoś przejrząwszy intencje Edka. Stał groźnie naprzeciw Edka, trzymając w jednym ręku pełny kubek wódki, drugą zaś szukał oparcia stołu, gdyż chwiały się na nogach.

Was hast du gesagt? – zapytał powtórnie. – Was?... Edek wytrzymał spojrzenie bandziora spokojnie, uśmiechając się niewinnie. ^Trinken Sie, Herr Oberkapo!, szlag by cię trafił! Teraz Alojz był wyraźnie zdetonowany. W polskich słowach wyczuwał coś nieprzyjemnego, tymczasem słodki uśmieszek Edka przeczył temu. Poza tym żał mu było pewnie wódki, chlupiącej w nalany kubek. Wodził pijanymi oczami po wszystkich i teraz zerkał ku mnie, strwożonemu bezczelnością i zimną krwią Edka. Starałem się teraz uśmiechać podobnie jak Edek, a Holender spojrzawszy na zegarek ponaglił Alojza:

Trink, Alois, gleich ist schon zwolf, das neue Jahr

Nagle Alojz uderzył w inny ton:

Ich bin kein Oberkapo... Das ist Quatsch... Ich bin gickg, politischer Haftling, wie du, du, und er...⁴ Tu wskazał na Holendra, z zaciekawieniem spoglądając na winkiel Alojza, jakby dopiero teraz dostrzegł, że jest czerwony

! alle sind Kameraden, du, du, und du³ – rzekł,

1.co on powiedział?

2.niech pan pije, panie oberkapo

3.napij się, Alojz, zaraz będzie dwunasta, nadchodzi Nowy Rok

4.ja nie jestem oberkapo... To brednia... Ja też jestem więźniem politycznym, jak ty, ty i on...

5.wszyscy jesteśmy kolegami, ty, ty i ty

286.

wskazując na każdego z nas po kolei ręką, którą niejednego więźnia zabił w swojej bogatej karierze obozowej.

– Also Kameraden, wir trinken im neuen Jahr aut du Freiheit!x

Wychylił jednym haustem zawartość całego kubka po czym roztrzaskał go, rabiąc nim o podłogę. Obawiałem się że zacznie teraz tłuc wszystko po kolei, spojrzałem więc nań przerażony.

– Keine Angst, Schreiber, ich bin nicht besoffen powiedział uspokajająco, zataczając się solidnie, co prze-czyło jego zapewnieniom. Zbliżył się do Edka i zaczął go ścisnąć w przystępie serdeczności.

– Wie heisst du Jungē? Edward! Also wir trinken Bru-derschaft...3

W ten oto sposób wypiliśmy „braterstwo” z obcrkapo Alojzem Stahlerem, jednym z największych bandytów obozu oświęcimskiego.

Pierwsze życzenia noworoczne, życzenia wolności usłyszeliśmy z ust słynnego z sadyzmu „Krwawego Aloj-za”. Dobrze, że nikt prócz Holendra nie był świadkiem tej niezbyt honorowej dla nas sceny.

Rozdział LXXVIII

Pestek, na którego liczyłem, nawalił. Nie pokazywał się na moim bloku, chociaż widziałem go czasem kręcącego się w pobliżu blockfuhrerstuby. Zjawił się pewnego dnia niespodziewanie, pokonferował krótko z blokowym i rów-nie szybko zniknął. Od tego czasu nie widziałem go już więcej.

Aż pękła bomba. Blockfuhrer Pestek uciekł, wyprowa-dzając podobno jakiegoś Żyda z Theresienstadt. Chociaz pogłoska, że był w kontakcie z wywiadem angielskim. Tak przynajmniej utrzymywał Schneider, zwykle rozmowny po wypiciu alkoholu. Ile było w tym prawdy, nie wiadomo faktem natomiast było, że Pestek zniknął. Edek nie prze-jmował się zbytnio tym urwanym kontaktem. Mówił, ze

1 A więc, towarzysze, pijemy z Nowym Rokiem za wolność

2 Bez obawy, schreiber, ja nie jestem pijany

3 Jak ty się, młodzieńcze, nazywasz? Edward! A więc wypijmy „bruderschaft”...

287.

urabia kogoś i trzeba tylko zorganizować dolary, bo te będą potrzebne. Zacząłem więc oszczędzać. Zarabiałem po prostu na pośrednictwie. Dotychczas „oszczędności” zwy-przepijaliśmy i przejadali. Od czasu haniebnego sylwestra przestaliśmy w ogóle pić. Mieliśmy teraz cel. Mgliste dotychczas projekty ucieczki z wolna przybierały coraz re-alniejsze kształty. Uciekać będziemy w lecie. W tym sa-mym czasie Jarosław powinien być już w rękach sowiec-kich o ile Rosjanie będą posuwać się w tym samym tempie jak dotychczas. Rodzinie nie będą już grozić żadne konsekwencje. W obozie odpowiedzialność zbiorowa też została zniesiona. Nie narażaliśmy więc nikogo. Czasu mamy spo-ro należy tylko dobrze się przygotować. W połowie lutego Edek doszedł do porozumienia ze swoim byłym kommandofuhrerem Lubuschem. Powiedział mu całą prawdę. Nie było co ukrywać, skoro miał nam po-móc. Obiecał dostarczyć dwa mundury w najbliższym cza-sie. Wspomniał, że ma kłopoty natury finansowej. Byliśmy na to przygotowani. Nie żądał zbyt wiele. Jednak minął ty-dzień dwa, a mundurów nie było. Jednego wieczoru Edek powiedział mi, bym wystarał się o 200 dolarów, i to już na następny dzień. Lubusch ko-niecznie potrzebuje tych pieniędzy. Udałem się do Karola, Żyda z jugosłowiańskiego z „Kanady”. On też nie miał w tej chwili zakręcił się jednak wśród swoich i zdobył je. Karol niczego nie żądał w zamian. Wódki nie pił, a jedzenia miał pod dostatkiem. Ofiarowałem mu jedną z cygarniczek, wy-konaną przez jednego jeńca, zrobioną z części samolotu. Ucieszył się tym drobiazgiem co najmniej tak, jak ja 200 dolarami. Karol należał do tych nielicznych stosunkowo więźniów pracujących w „Kanadzie” nie zdemoralizowa-nych łatwością zdobycia fortuny. Pewnie, że i on czasem przyniósł coś do obozu. Jeśli to uczynił, to raczej z przeko-naniem żeby jak najmniej wpadło w ręce morderców jego całej rodziny. Czego nie mógł przenieść, topił w ustępie. Coś zawsze schował, licząc na to, że dogada się z kimś planują-cym ucieczkę z obozu. Jako człowiek starszy już wiekiem i niezbyt dobrej kondycji, nie był odpowiednim partnerem do tego rodzaju eskapady. Dał się już raz nabrać jednemu z dobrze mu znanych „czarnogiełdziarzy”, który zwodził go i doił przez dłuższy okres, obiecując uciekać z nim i jego starszym przyjacielem przez fikcyjny bunkier rzekomo znajdujący się na „Meksyku”.

288.

Andrzej, przypadkowo znajdujący się wśród „wojenno-plennych” i ledwie że przez

nich tolerowany, złodziej, pi-jak, lekkoduch, nigdy w życiu nie miał tak dobrze jak tu w obozie. Po cóż więc miałyby stąd uciekać? Naciągał naiwnych nych Żydów. To było bez ryzyka. Udawało mu się ale czasu, dopóki nie otworzyłem Karolowi oczu. Może dla-tego tak bezinteresownie i szybko załatwił mi tę sumę o którą go prosiłem.

Ponieważ nie był ustalony dzień dostarczenia mundu-ru, mogło to jednak nastąpić w każdej chwili, przeto dyżu-rowałem dzień w dzień przy drutach od strony rampy gdzie znajdowała się budka instalatorów, w której ULa-busch miał zostawić paczkę z tym cennym ładunkiem. Ju-tro miało to nastąpić na pewno. Dzień był piękny i jak na koniec lutego, bardzo ciepły. Śniegu ani śladu. Stałem w ostatnim z szeregu drewnianych baraków, oparty o deski bloku lekko nagrzane od słońca. Przede mną w odległości paru metrów był głęboki rów. Tuż za nim druty, dalej ram-pa, wyjątkowo pusta, z boku budka instalatorów. Po dru-giej stronie rampy, vis-a-vis budki instalatorów, znajdo-wała się blockfuhrerstuba, spokojna o tej porze. Aufseherki siedziały widać wewnątrz – dalej obóz ko-biecy pełen kręcących się więźniarek, a za nim, hen na ho-ryzoncie, połyskujące bielą śniegu dalekie góry, zlewając się z błękitem nieba. Tam była wolność. Spojrzałem na ze-garek. Dochodziła dwunasta. Według umowy Lubusch miał o tej porze nadjechać rowerem i zostawić mundur w budce, gdzie oczekiwał go Edek. Zobaczyłem go z dale-ka. Nadjeżdżał od strony głównej wartowni, ścieżką obok torów kolejowych. Do ramy roweru miał przytroczoną wy-pchaną teczkę. Podjechawszy przed budkę od strony na-szego obozu, tak żeby nie być widocznym z blockfurcher by, odpiął teczkę i oparłszy niedbale rower o deski, wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi, zbyt energicznie, skut-kiem czego cała budka się zatrzęsała, aż oparty o nią rower przewrócił się. Po chwili Lubusch wyszedł. Nawet nie obejrzawszy się, wskoczył na rower i odjechał. Był zdener-wowany, a może zdawało mi się. Z budki wyglądał Edek trzymając pod pachą zawinięty w papier tobołek. Rozgląd-nawszy się wokoło, czy aby nie ma nikogo, doskoczył do drutów, do których i ja tymczasem zdążyłem poedejść. La-' gerkapo Jupp pokrzykiwał gdzieś daleko, ale był jeszcze niewidoczny. Odbierając sporą paczkę i spiesząc się ner-

289.

wowo zahaczyłem o druty drapiąc sobie dłonie. Edek uśmiechał się kpiąco. Spokojnie! To tylko szmatki. Broń i pas przywiezie następnym razem. Dobrze to zadekuj! Zdarty baryton Juppa słychać było coraz bliżej. Prze-skoczyłem rów, skierowując się dla pewności wzdłuż dru-tów cygańskiego obozu. Nie napotkawszy nikogo wszedłem tylnymi drzwiami do swojego baraku. Odetchnąłem. Jednak się bałem. Nagle uprzytomniłem sobie, że przecież nie nawet, gdzie mam ukryć teraz ten pakunek. Pomyślałem o magazynie chlebowym, ale tam byli teraz stu-tendeści. Wiele się nie namyślając, wskoczyłem na swoją buksę i wpakowałem mundur w słomę siennika. Nie do swojego oczywiście. Wsadziłem bluzę i spodnie do siennika Garbusa". W razie czego on będzie się tłumaczył, nie ja. Nie lubiłem go. Miałem zresztą zamiar w najbliższym czasie przenieść mundur do schowka pod podłogą w magazynie, Wieczorem poszedłem z Edkiem przejść się po obozie, Od pewnego czasu, chcąc sobie swobodnie porozmawiać, wychodziliśmy z bloku.

/

Pierdla miałeś, nie wypieraj się – śmiał się Edek. Nie wypierałem się. A ty nie bałeś się? – zapytałem. Nie! – odpowiedział zupełnie naturalnie. – Po co się bać przecież będziemy jeszcze więcej ryzykować. Go-rzej że Lu busch nie bardzo robi nadzieję na drugi mun-dur. Dobrze to zadekowałeś? Spokojna głowa – odpowiedziałem pewnie. W dwa czy trzy dni po tamtej rozmowie, zaproszeni przez Górala" na wódkę, siedzieliśmy na górnej buksie słuchając śpiewającego Dina. „Garbus" leżący obok, chcąc wkupić się, sięgnął do swego siennika, szukając butelki, którą widać tam zadekował. Ku zdziwieniu wszystkich, a memu przerażeniu, razem z butelką wyciągnął spodnie esesmańskie. Edek omal nie zabił mnie spojrzeniem. „Garbus" na szczęście nie szukał dalej w sienniku, był bowiem przekonany, że spodnie znalazły się tam przypadkowo przy zmianie sienników w czasie niedawnego entlausungu. Zresztą nikomu nie przyszło na myśl, że mogą to być spodnie esesmańskie. . Sprytny „Garbus" doszukał się jednak nieco podobieństwa, na co wskazywał zielony kolor spodni Będąc już nieco wstawiony, przechwalał

290.

się głośno, że sprzeda te spodnie jakiemuś esesmanowi i wróci mu się wódka, którą nam postawił. Trzeba było więc czekać, aż „Garbus” wyniesie spodnie z obozu. Rów-nież należało dowiedzieć się, komu je zaoferuje. W tej chwili jednak nie mogliśmy pod żadnym pozorem okazać wac zainteresowania tymi spodniami, żeby czasem nie dać się zdekonspirować domyślnemu „Garbusowi”. Ponieważ Józek „Góral” był schreiberem w komandzie „Garbusa” należało umiejętnie przeprowadzić z nim rozmowę, nie wtajemniczając go jednak w nasze plany ucieczkowe. „Góral” mimo to rozszyfrował nas szybko. Już od dawna nas obserwował i domyślał się, że coś knujemy. Obiecał milczeć, a „Garbusa” przypilnować.

Następnego dnia już wiedzieliśmy, komu „Garbus” upłynął spodnie. Szczęśliwcem był esesman, palacz z kot-łowni w koszarach przylegających do „Meksyku”. Z tym faktem skojarzyłem sobie nagle opowiadanie Edka Kier-manowskiego, postrzelonego w czasie nieudanej ucieczki ubiegłego roku. Edek został skierowany do szpitala. Dwaj pozostali, Józef Szajna i Edek Salwa, po pobycie w bun-krze zostali wywiezieni do ciężkich kamieniołomów we Flossenbiurgu czy Gusen. Odwiedzając często rannego Edka, dowiedziałem się, kto był im pomocny w ucieczce. Otóż esesman, palacz SS, ukrył ich u siebie w kotłowni. Po prostu przykrył koksem dużą paczkę, w której byli ukryci, aż do nastania nocy. Na przesłuchaniach w Politische nie zdradzili esesmana. Przypuszczalnie jest to ten sam, który odkupił spodnie od „Garbusa”. Edek, ciągle jeszcze zły na mnie, przyjął tę wiadomość jednym uchem. Jednakże już następnego dnia odzyskał te same spodnie. Zapytany jak to zrobił, zbył mnie krótkim i lakonicznym: – Spokojna głowa! – Edek miał rację i słusznie był na mnie oburzony. Zlekceważyłem sprawę. Na przyszłość postanowiłem być ostrożniejszy. Teraz mundur zadekowałem solidnie pod podwójną podłogą magazynu chlebowego. Dla pewności nasunąłem jeszcze w to miejsce szafę.

Rozdział LXXIV

Minęły już dwa tygodnie, a Lubusch jakoś nie dostarczał reszty.

Zagazowano tymczasem cały lager Therestien- stadt. Rozeszła się też potem pogłoska, że Londyn podał tę

291.

wiadomość świata przez radio. Ile było w tym prawdy, trudno dowieść, bo w obozie najdrobniejsza plotka ura-stała wprost do legendy, jak np. wieści o poczynaniach ge-

nerała Sikorskiego, który był dla nas synonimem wolności. Utarło się nawet takie powiedzonko: „Im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej”. Pierwsze poddmuchy wiosny i dobre wiadomości z zewnątrz mimo nieustannych selekcji, roz-wałek i gazowania sprzyjały lepszym nastrojom, podbudo-wywały wiarę w możliwość przeżycia obozu, w lepsze jutro. Ilość ucieczek gwałtownie wzrosła. Wiele z nich jednak było nieudanych. My tymczasem oczekiwaliśmy z niecier-pliwością na „resztę” od Lubuscha. Trwało to zbyt długo, przestałem więc dyżurować przy drutach. Aż jednego dnia przybiegł do bloku młody Żydek, powiadamiając mnie, że wzywa mnie ktoś do drutów – od strony rampy. Mógł to być tylko Edek. Zatem Lubusch do-trzymał słowa. Dzień był niezbyt odpowiedni jak na tego rodzaju szmugiel. Lagerkapo Jupp szalał po obozie, a naj-więcej kręcił się w pobliżu drutów, gdzie wylapywał przesyłki. Na wszelki wypadek wsadziłem sobie za pasek butelkę z wódką. Znałem słabość Juppa do alkoholu. Pobiegłem do drutów, gdzie oczekiwał mnie Edek. Z prawej strony w narożniku, tuż przy średnicowej, Jupp rekwirował jakiemuś więźniowi dopiero co przeschmuglowany towar. Tak był zajęty obrabianiem pechowego więźnia, że na nas nie zwracał uwagi. Chciałem przeczekać, aż Jupp wy-niesie się z tej okolicy, Edek jednak, chcąc widocznie pozbyć się jak najprędzej broni – gdyż na rampie w każdej chwili narażony był na rewizję – skierował się w przeciwny narożnik, obok obozu cygańskiego. W mgnieniu rozpiął marynarkę i nie spuszczając z oczu Juppa, odpiął pas i podał mi go przez druty. Rozpiawszy się błyskawicznie, opasałem się, przekręcając kaburę na plecy. Teraz przez chwilę rozmawialiśmy, żeby uspić czujność już obserwującego nas Juppa. Nie spiesząc się, oddaliłem się od drutów, przeskoczywszy głęboki rów, znalazłem się na wprost Juppa. Stałozkraczony, zadowolony z siebie, trzymając w jednym ręku zdobyte przed chwilą trofea, w drugiej dzierżył kij. Uśmiechając się chytrze, lustrował mnie przymrużonymi oczami, zwłaszcza miejsce na brzuchu, gdzie miałem skrytą butelkę na przynętę. Uniósłszy kij, lekko mnie poszturchiwał właśnie w tym miejscu. Wyczuwszy coś twardego łatwo domyślił się, co tam

ukryłem.

292.

Na, Schreiber, was hast du organisiert?1- Udając cwaniaka lekko rozchyliłem marynarkę, tak żeby dostrzegł szyjkę butelki. Jupp cmoknął z zadowoleniem: – Schnaps, oder Spirt?– zapytał z nutką nadziei w głosie. – Also jetzt gehe zum Block, ich komme sp^M Heute habe ich viel Arbeit. – Zaśmiał się, wręczając mi jeszcze paczkę odebraną przed chwilą więźniowi. – Nimer das auch, mein lieber Schreiber– zatarł ręce z zadowoleniem . – Heute wird der Lagerkapo viel Schnaps trinken.

Zerwał się nagle z krzykiem, zobaczywszy znowu kogoś przemykającego się do drutów. Śmiejąc się w duchu bez przeszkód już dotarłem do bloku. Mnie też w końcu udał się jakiś fortel.

Może Edek rozkrochmali się wreszcie. Pas i broń ukryłem natychmiast w schowku – gdzie leżał mundur. Zatem jeden esesmański komplet mieliśmy już w całości. Edek był zadowolony. Ja też. A Jupp również. Miał dobry dzień Obłowił się sownie. Wieczorem upił się do nieprzytomności, my zaś udaliśmy się do ambulatorium na blok Mordar-skiego, do dentysty, u którego Edek leczył i plombował zęby, a ja rwałem. Braki kazał sobie uzupełniać złotem Dentysta – polski Żyd – pokpiwał czasem z Edka. Po co ci tyle złota w gębie? Nim pójdziesz przez komin, wyrwę ci je obcęgami.

Baranek stale krakał, że wszystkich nas wykończą tu w obozie. Wiedziałem jednak, że jego prorocтва były tylko prowokacją. Pragnął bowiem słyszeć zawsze nasze gorące zaprzeczenia, gdyż był optymistą.

Dłubał wytrwale w naszych zębach, poświęcając swój wolny czas od pracy za cenę usłyszenia paru pocieszających plotek, jakich pełno krążyło po obozie. Poza tym wyraźnie nas lubił, zwłaszcza Edka, wiedząc, iż ma sympatię na FKL, Żydówkę w dodatku.

1 No, schreiber, coś tam zdobył?

2 Wódkę czy spirytus?... A więc teraz idę na blok, przyjdź później. Dzisiaj mam dużo pracy... Weź to też, mój kochany schreiber... Dzisiaj lagerkapo będzie pił dużo wódki.

293.

Rozdział LXXV

Gdzieś w drugiej połowie marca zostałem znowu przywołany do drutów. Było spokojnie, toteż Edek, nie kryjąc się specjalnie, podał spory pakunek. W pierwszej chwili byłem przekonany, że wystarczy o drugi mundur. Poczujęm jednak w ręku spory ciężar. Spojrzałem zdziwiony na Edka.

To mięso! Świeże mięso. Niech Jankiel je jakoś przyrządzi.

Świeże mięso w obozie to gratka nie lada. Jankiel stwierdził, że to dziczyzna, pewno sarnina. Nowy blokowy, Jasiński, odstąpił nam swój piecyk. Jankiel zabrał się ochoczo do pracy. Cudowne zapachy zalatywały z pokoju blokowego. Zwabiły one Juppa, który zaglądał wciąż do garnka głośno mlaskając. Mięso smażyło się już parę godzin, wciąż było twarde. Wieczorem Edek zdradził mi w tajemnicy pochodzenie mięsiwa. Drechslerka miała pięknego psa, postrach więźniarek. Ku ogólnej ucieście i nie-utulonemu żalowi Drechsler znalazł rano jej psa wiszącego na drutach w pobliżu wartowni, w najbliższym sąsiedztwie budki instalatorów. Po wyjściu komand do pracy prąd został wyłączony, kazała wtedy instalatorom zdjąć psa z drutów i pochować w ziemi złanej obficie jej łzami. Pies był okazały i młody, przeto jak tylko Drechsler sobie poszła, szybko odgrzebali go, wykroili co lepsze mięso resztę zaś zakopali z powrotem. Skosztowaliśmy to ścierwo. W smaku było wcale dobre, lecz ciągle jeszcze twarde. Umówiliśmy się, że nie będziemy rozpowiadali, co to za mięso, tym bardziej że Jupp pilnował garnka, będąc przekonany, że to sarnina. Mięsa było sporo. Byliśmy więc głodni wiedząc, że Jupp zaprosił już do siebie swoich najbliższych kolegów Danisza i Bednarka. Niech jedzą psinę! Na drugi dzień były imieniny Edka. Obchodziliśmy je wspólnie z Józkiem na bloku czwartym. Wódki było

więcej niż jedzenia. toteż za zagrychę służyła nam psina, do tej pory już skruszała. Na ogół wszyscy biesiadnicy wiedzieli, skąd pochodzi mięso, nie zrażało to jednak nikogo. Dosiadł się jeszcze Józek M., powszechnie lubiany, a za nim przywłókł się arbeitsdienst Wiktor, niezbyt popularny wśród więźniów. Rzucił się na mięso, nie mogąc wyjść z podziwu, skąd tyle mamy, bo jadł już tę sarninę u Juppa. Zjadł, wypił wyniósł się w końcu. Niestety zjawił się po chwili,

294.

przyprawiając jeszcze dwóch blockführerów, Bare-tzkiego i Schneidera, usposobionych jak najbardziej poko-jowo, przyjacielsko niemal, wiedzieli bowiem, że będzie wyżerka. Nastrój był nie najlepszy, bo towarzystwo dwóch Niemców i Wiktora krępowało nas dostatecznie, tym bardziej że działo się to na oczach całego bloku. Byliśmy już na tyle wstawieni, by dać im to odczuć, nie obawiając się konsekwencji. Oni jednak tego nie zauważyli. Jedli, pili żartowali, jakby byli naszymi kolegami.

Wtem jeden z instalatorów zaczął nagle szczekać, war-czeć, bawić się kością, naśladować psa. Po chwili zaczęliśmy wszyscy udawać szczekające psy. Esesmani początkowo byli ubawieni tą dziką zabawą. Zнали jednak na tyle polski język, by wśród tej szczekanki i śmiechu zrozumieć słowa mówiące o tragedii psa Drechslerki. Udawali że nie wierzą w tę historię. Na pewno ukradliśmy mięso gdzieś z kuchni czy rzeźni. Jednak wkrótce opuścili blok żegnani wesołym psim haukaniem. Na wszelki wypadek rozeszliśmy się szybko, obawiając się zemsty pijanych blockführerów.

Obóz wkrótce dowiedział się o psiej uczcie. Danisz Jupp, Bednarek i Wiktor przez parę dni prześladowani byli ukrytym szczekaniem. Byli wściekli, nie dawali jednak poznać tego po sobie. Drechsler też nigdy nie dowiedziała się, że jej ulubionego psa zjedli esesmani wspólnie z więźniami, popijając wódką. Musieli milczeć. Mścić się nie mogli, bo wstyd było przyznać się do czegoś podobnego. Nie wszyscy blockführerzy byli jednakowi. Niektórzy byli nieprzejednani. Do takich należał Grapatin. Bałem się go panicznie. Wysoki, chudy, kościsty, o długiej końskiej twarzy z przewiercającymi na wylot oczami. Zawsze znalazł powód, żeby mnie maltretować. Stawałem przed nim na baczność, a on częstował mnie kopniakiem lub walił po twarzy. Patrząc na Grapatina, miałem przed oczyma postać z Buny usiłującego mnie wówczas zastrzelić, tak był doń podobny. Czasami zdawało mi się, że to ten sam. Nie miałem jednak pewności, choć zachowanie się jego, szczególnie złośliwe w stosunku do mnie, potwierdzałoby to przypuszczenie.

Miał właśnie służbę, toteż specjalnie miałem się na baczności. Chodził od bloku do bloku, robiąc rewizję. Wiedziałem, że na moim bloku zatrzyma się dłużej, że prze-

295.

wróci go do góry nogami, szukając pod siennikami, tam gdzie spali Żydzi – skarbów, a tam gdzie „Ruscy” – wódka. W pośpiechu przefilmowałem wraz z stubendienstami łóżka, w których podejrzewaliśmy coś ukrytego.

Znaleźliśmy dwie butelki spirytusu i kilka pudełek sardynek.

Ukryliśmy to w beczce służącej w nocy za klozet.

Beczka, mimo że była chlorowana, śmierdziała potwornie.

Na pewno w niej szukać nie będzie. Grapatin wpadł na

blok towarzystwie Danisza i Juppa. Nim blokowy zdążył wykoczyć ze swego pokoju, już meldowałem stan bloku. Ze strachu pomyliłem się, dostałem więc na początek kościstą łapą po twarzy. Jasiński meldował jak się patrzy. Miał już wprawę. Weszli między prycze i zaczęli je przewracać. Blokowi, chcąc zamaskować swoje zaspanie, był teraz bardzo gorliwy i z przejęciem przewracał sienniki. Ruscy mieli paskudny zwyczaj trzymania w swych łózkach starych szmat, służących im za onuce. Danisz przywołał stubendienstów demonstrując im brudne szmaty; kazał sztubowym ćwiczyć „żabki” przez całą długość pieca, tam i z powrotem, aż do upadłego. Fryzjer, jako młodszy i szczuplejszy, radził sobie jako tako, ale dla Jankiela sport był o wiele uciążliwszy. Ciężki i tęgi, tracił co chwila równowagę i staczał się z pieca. Dostawał kopniaka po czym zaczynał sport od nowa. Podczas trwającej dalej rewizji znaleziono zaledwie jedną butelkę

spirytusu i parę puszek sardynek. Spod ostatniej buksy Jupp wyciągnął dwóch „Ruskich”. Ukrywali się tam przypuszczalnie od rana, by uniknąć w ten sposób wymarszu do pracy ze swoim komandem. Sabotaż! – darł się Grapatin zapisując ich numery, i lagertpo wymierzył im po „pięć na d... Jasińskiemu groził meldunkiem za niedopilnowanie porządku w bloku. dostałem znowu po gębie, tym razem za podanie nie-właściwego stanu bloku. Do kibla oczywiście nie zagląda-dali omijając go z daleka. W magazynie chlebowym panował idealny porządek, więc nie mieli się do czego przyczepić. Przed wyjściem z bloku Danisz prawil morały bloko-wemu. Jupp tymczasem w porozumieniu z Grapatinem po-stawił na stole u siebie w pokoju znalezioną butelkę i sardynki. Po chwili udali się wszyscy na blok 10, zabiera-rajac ze sobą Jasińskiego. Odetchnęliśmy z ulgą Jankiel, zmęczony sportem, ciężko oddychał, ja rozcierałem czerwone od uderzeń policzki. Każda wizyta Grapatina na na-

296.

szym bloku kończyła się podobnie. Teraz zrewidują blok 10, obskoczą jeszcze kilka innych baraków, po czym zare-kwirowane rzeczy pozanoszą do pokoju Juppa. Zacznie się pijaństwo. Ale na razie w pokoju lagerkapo'stała na stole tylko jedna butelka/ i sardynki. Strzeliło mi coś do głowy. Posłałem fryzjera na blok Mordarskiego po strzykawkę. Taką długą z dużą igłą. Fry-zjer, domyśliwszy się, w czym rzecz, pognał jak uskrzydło-ny. Po chwili był już z powrotem ze strzykawką. Postawiłem go teraz „na cynku”, a sami z Jankielem weszliśmy do pokoju Juppa. Wypompowaliśmy z butelki spirytus, wpuściliśmy na jego miejsce czystą wodę. Była to jedyna zemsta, na jaką nas było stać. Tak jak przewidywałem, po ukończeniu rewizji na jeszcze kilku blokach wrócili obładowani, zaszywając się w pokoju Juppa. Grono uczestników powiększyło się o blockfiihrera Schneidera, mającego zawsze dobry węch, gdy chodzi o wódkę, oraz nadskakującego Niemcom ohy-dnego blokowego SK, Bednarka. Po skończonej libacji blokowy, będący już w dobrym humorze, radził mi poufnie, bym czasem nie kupował od „Ruskich” alkoholu, bo zamiast spirytusu sprzedają cholery czystą wodę. Pomyślałem sobie, że zamiast wody można było wpompować do butelki spirytus metylowy. Blokowemu jednak podziękowałem za koleżeńską przestrogę, mówiąc z przejęciem:

– A to dpiero! Będę teraz uważał, żeby nie dać się „nabić w butelkę”.

Rozdział LXXVI

Wiosna Wyraźnie zwyciężyła. Na dworze było coraz cieplej. Błoto przeschło. Główna ulica obozowa, Iager-strasse, zaroiła się od spacerujących po wieczornym apelu. W nocy wyła syrena alarmowa inaczej niż zazwyczaj. Gdzieś w daleka słychać było głucho dudnienie artylerii przeciwlotniczej. Mimo surowego zakazu wybiegliśmy przed blok. Panowały zupełne ciemności i nie było nic widać poza słabym niebieskim błyskiem latarki elektrycznej migającej jw okolicy blockfiihrerstuby.

Dochodził czasem krótki gwizd lokomotywy z dworca w Oświęcimiu i coś jakby lekkie, ledwie słyszalne buszczenie

297.

silników samolotowych. Błyski esesmańskich latarek były już już, więc szybko wycofaliśmy się do baraku. Porusze-nie było wielkie. Długo nikt nie mógł zasnąć tej nocy. Ko-mentarzom nie było końca. „Ruscy” utrzymywali, że na pewno ruszyła ich ofensywa i słychać było ciężką artylerię, że samoloty też były rosyjskie, bo poznali po dźwięku. My natomiast byliśmy przekonani, że to eskadry angielskie i amerykańskie, bombardujące po drodze większe miasta śląskie. Sporom nie było końca. Dopiero gdy nas sen zmorzył ustały podniecone szepty. Następnego dnia uciekło trzech „Ruskich” z Zerleger-teribe. Okazało się, że byli z mojego bloku. Syrena wyła przeciągle. Blockfiihrerzy z ponurymi minami przeliczali ludzi, każdy po kolei, niezliczoną ilość razy. Apel się prze-dłużał. Blockfiihrerzy i wyżsi funkcyjni poszli szukać zbiegów w obrębie dużej postenkiety. Przed nastaniem ciemności powrócili. Poszukiwania nie dały rezultatów. Lager-fuhrer Schwarzhuber zarządził koniec apelu i równocześ-nie lagersperę. Nasz blok za karę stał nadal. Trwaliśmy nieruchomo w postawie na bacność, ustawieni w kilku szeregach

między naszym blokiem a blokiem szóstym. Blockführerzy przechadzali się wśród milczących rzędów, bijąc co chwila któregoś z „Ruskich”. W ciemnościach słychać było jedynie głuchoe uderzenia i przekleństwa esesmanów. Zimno dokuczało coraz bardziej. Na rozgrzewkę zaczęli nas ćwiczyć. „Sport” jednak szybko im się znudził. Pewnie też byli głodni, bo urywali się po jednym na wartownię. Ostatni też nie wytrzymał i poszedł przekazując władzę w ręce Danisza i lagerkapo. Po upływie może godziny nadszedł rapportführer Wolf kazał wejść do bloku. Kolacji nie było. Cały blok został ukarany. Chociaż kara była dotkliwa, zwłaszcza dla „Ruskich”, którzy nie otrzymywali paczek, starali się nie dać tego poznać po sobie. Kilku głośno pomstowało, ale tych szybko swoich uciszyli. Byli głodni. Widać było jednak, że usiłowali za-demonstrować solidarność z tymi, co uciekli. Szybko położyli się spać. Na bloku zapanowała kompletna cisza. Za dwa dni znowu zawyła syrena głosząca o ucieczce. I tym razem uciekło trzech „Ruskich” z naszego bloku, Szwarzowali na Zerlegerbetriebe. Apel trwał krótko. Tylko nasz blok miał „stójkę” trwającą tak długo, jak poprzednio. Bicie i sport. Kolację jednak pozwolono wydać tym razem.

298.

Od tej pory ucieczki powtarzały się coraz częściej. Uciekali przeważnie Rosjanie i Polacy. Władze powoli przyzwyczyły się do tego stanu. Z czasem zaniechano nawet stójek.

Nasz plan ucieczki był już definitywnie ustalony. Po-nieważ nie było mowy o zdobyciu drugiego kompletu esesmańskiego, postanowiliśmy, że Edek, jako znający lepiej ode mnie język niemiecki, będzie esesmanem konwojującym więźnia – to znaczy mnie – na jakieś aussenkommando, np. Rajska, Harmęże czy Budy. Datę ucieczki wyznaczyliśmy na czerwiec, gdyż wtedy zboża będą już wysokie, co ułatwi przebycie dalszej trasy prowadzącej ku zalesionym górcom w okolicy Bielska. Mundur i broń były do-brze ukryte. Czasu mieliśmy jeszcze sporo. W maju postaram się o przeniesienie do jakiegoś komanda pracującego na zewnątrz obozu, najlepiej do bau-leitungu, w którym był Edek. Na razie ze zgromadzonych oszczędności zapłaciłem obozowemu szewcowi za dwie pary butów z cholewami, zrobione trochę na wzór niemieckich, a trochę jak polskie oficerki. Sprawilem sobie też cywilne ubranie i dwie pary bryczesów, z tego jedno dla Edka, który ich jednak nie nosił. Będą mu potrzebne dopiero w dniu ucieczki, toteż leżały w magazynie.

Obowiązkowe sztrajfy wymalowałem czerwoną farbą łatwą do usunięcia.

Nastaly ładne dni, toteż przypomniałem Edkowi że obiecał mi zabrać kiedyś na FKL. Dawno już tam nie byłem. Pragnąłem zobaczyć się z Halinką. Po drodze chciałem ujrzeć słynny „Meksyk”, o którym tyle słyszałem z ust Dina, chełpiącego się erotycznymi sukcesami wśród przebywających tam Żydówek greckich.

Którego dnia Edek uprzedził „szklarza” Tadka, kapo bauleitungu, że jutro zabiera mnie ze sobą. Ja ze swej strony powiadomiłem Jasińskiego, żeby nie było czasem jakichś niespodzianek. Blokowi szedł mi na rękę. Ja też nieraz go kryłem, kiedy wychodził z obozu z kommandem dachdeckerów, by zobaczyć się ze swoją żoną, specjalnie w tym celu przyjeżdżającą w pobliże Oświęcimia ze Śląska

Następnego ranka, ubrany w roboczy kombinozon ze skrzynką z narzędziami, po arbeitskommando, wychodziłem z obozu w dużej grupie instalatorów, około 250 ludzi z komanda Tadzia.

– Tylko nie zróbcie jakiegoś kawału – ostrzegał zar-

299.

liwie Tadek, bojąc się, żebyśmy czasem nie nawiali, co ostatnio było w modzie. Nie obawiaj się – uspokajał go Edek – jeśli kiedyś zrobimy to, nie narazimy ciebie. Są inne komanda.

Rozdział LXXVII

Orkiestra wygrywała skoczne marsze, w których takt mijaliśmy ze zdjętymi czapkami wartownię, skrupulatnie przeliczani przez esesmanów. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, odłączyliśmy się od komanda, kierując się ku „Meksykowi”. Edek w roli przewodnika pragnął mi jak najwięcej pokazać. Skręciliśmy w lewo, w stronę budującego się wciąż „Meksyku”. Po-przedniego dnia jeszcze umówiliśmy się

z Dinem, że go od-wiedzimy. Mieliśmy tam u niego coś zahandlować, żeby nie wchodzić na FKL z pustymi rękoma. Trudno było go znaleźć wśród dziesiątków stawianych tu baraków. Kręwszy się pomiędzy nimi, wypytując o kapo Dina, mijaliśmy domy wynędzniałych kobiet o wystrzyżonych głowach, odzianych w potargane, brudne łachmany. Były boso, niektóre tylko miały na wychudzonych nogach holendry. Przy jednym z bloków siedziało, a raczej leżało na gołej ziemi kilkadziesiąt prawie nagich Greczynek. Wszystkie były młode, ale potwornie zniszczone, brudne, wynędznia-niałe. W milczeniu obracały powolnymi ruchami swe resztki sukni wyszukując i bijąc wszy. Bił od nich zapach, jakim nawet FKL nie mógł się poszczycić. Na „Meksyku” wody wogóle nie było. Studnie dopiero kopano. Silniejsze jeszcze nie tak wyniszczone, prawdopodobnie z ostatnich transportów pracowały. W prowizorycznych tragach, zrobionych naprędce z paru desek, dźwigały ziemię, inne ładowały cegły, deski lub z trudem popychały ciężkie taczki ustawicznie grzęznące w piachu lub w kałużach błota. Krępe i opasłe Niemki, kapo z czarnymi winklami na ramionach krzykiem i biciem ponaglały do roboty te ledwie mogące chodzić zmaltretowane Żydówki. Na niektórych znać było jeszcze ślady południowej urody. Spośród nich dwie wyróżniały się szczególnie. Le-piej ubrane i odżywione, o ponętnych dziewczęcych kształ-tach były faworyzowane. Tam też kręcił się un-derkapo Garbus”. Zobaczywszy nas, zbliżył się w podsko-

300.

kach, trzepnawszy od niechcienia jakąś mużułmankę za-gradzającą mu drogę. – Co, schreiber, przyszedłeś sobie pofikać! cha cha cha! – zaśmiał się rubasznie. – Już się robi!... – mrugnął filuternie wąskimi jak szparki oczkami. Nic mu nie odpo-wiedziałem. Chętnie palnąłbym go w ten wystający garb. Nie cierpiałem tego bydlaka. Nic sobie nie robiąc z faktu że go zignorowałem, dalej się popisywał. Opodal stały dwie kapówki. Podszedłszy do nich, zaczął z nimi dowcip-kować, przekomarzać się, targować, patrząc stale w kierunku młodych i ładnych dziewczyn, najwyraźniej udających że pracują. „Garbus” dał w końcu jednej z Niemek paczkę papierosów. Wtedy i druga wyciągnęła wolną od kija rękę, upominając się o swoją dolę. Miał gest. Jej też dał paczkę. Warto było. Teraz już mógł zabrać jedną z Greczynek.

Odwrócił się jeszcze raz ku nam, kiwając zapraszająco głową.

– No? Namyśl się – rzekł zduszonym hamowaną namiętnością głosem. – No! – powtórzył jeszcze raz. nie do-czekawszy się odpowiedzi.

– Komtn! – skinął władczo na dziewczynę, która ze zwieszoną głową posłusznie udała się za nim do pierw-szego z brzegu baraku.

Od jednego z vorarbeiterów dowiedziałem się gdzie znajduje się Dino.

Wskazał nam barak, w którego drzwiach stał rosły, dobrze zbudowany Żyd grecki. Zoba-czywszy nas zbliżających się, zniknął natychmiast w baraku by pojawić się po chwili już w towarzystwie Dina.

Weszliśmy do środka. Grek pozostał na swoim poste-runku.

Mimo że wewnątrz bloku było jeszcze w budowie Dino miał tu wygodne pomieszczenie. Oparty o stół, siedział na taborecie jakiś cywil, starszy już wiekiem, w okularach na nosie, z żółtą przepaską na rękawie.

Dino przedstawił go jako majstra budowy, mnie zaś jako schreibera sonderkommando. Co mu strzeliło do gło-wy? – dziwiłem się, nie dekonspirując się jednak, bo Dino dawał mi rozpaczliwe znaki, stojąc za plecami majstra. Majster mówił po polsku, chętnie przeplatając rozmowę niemiecką. Do mnie zwracał się ze specjalnym szacun-kiem, częstując papierosami i mówiąc mi per „pan”. Pipel młody chłopiec grecki, krzątał się koło rozpalonego pieca

301.

pitrasząc jakieś mięsiwo. Dino wyciągnął wódkę, cywil częstował co chwila niemieckimi papierosami. Dobiliśmy targu. Za dwadzieścia „miękkich” kupiliśmy pół litra wódki, za zegarek kilka paczek papierosów. Później Dino odprowadził majstra na stronę. Mocno gestykułując coś mu tam klarował. Po chwili majster za-brawszy swą teczkę skierował się ku wyjściu, zegnając nas podniesieniem ręki: – Heil Hitler! A więc reichsdeutsch. Musi być dobry typek z tego majstra. Dino przedstawił mi swój plan. Dopiero teraz pojęliśmy jego niezrozumiałe postępowanie. Majster, łasy na pieniądze, chce za wszelką cenę zbić tu majątek

przez wykupywanie za bezcen kosztowności po zagazowanych Żydach których jako Niemiec nienawidzi. W tych dniach wydaje w Katowicach swoją córkę za jakiegoś hitlerowca, na ślubny prezent pragnie jej podarować piękny pierścień z dużym brylantem. Za ładny kamień zapłaci dobrze wik-tuałami wszelkiego rodzaju i alkoholem. Fakt, że Dino przedstawił mnie jako schreibera sonder-kommando, ma swój wyraz, bowiem majster doskonale wie kto może w obozie posiadać najwięcej kosztowności: Żydzi z Kanady" albo z obsługi krematorium. Liczy poza tym na to", że jako Żyd nie będę śmiał się z nim, Niemcem, wiele targować. Nie przyjdzie mi na myśl oszukać go, jak się już nieraz się zdarzyło przy handlu z Polakami lub Rosjanami. Dino był w posiadaniu prawdziwego pierścienia z czterokaratowym brylantem i – dodatkowo – identycznej imitacji, ładząco podobnego kamienia. Pozostaje tylko do zrobienia umiejętna wymiana kamieni, a to on już przemysłał. Zdobyty w ten sposób łupem solidarnie się podzielimy. Zgodziłem się. Niech się chytry szkop wykosztuje na ten hitlerowski ślub. Poza tym będę miał wkrótce znowu okazję wyjść z obozu, tym razem z komandem. Edkowi również oszukańczy plan Dina przypadł do gustu.

Ulicą średnicową pomiędzy odcinkami D i C, nie zatrzymywani przez nikogo, doszliśmy do budki instalatorów ostatniego etapu przed wejściem na FKL. Wódkę po-

zostawiliśmy u Jurka Sadczykova. W południe pada ją przez druty Jankielowi lub fryzjerowi, mającemu w tym dniu dyżurować w pobliżu. Papierosy zabraliśmy ze sobą. Z budki dobrze było widać, iż na wartowni służbę pełnią jedynie aufseherki. Wobec mężczyzn były na ogół

302.

łagodne. Edek ładnie się zameldował, oznajmiając wejście dwóch instalatorów zur Arbeit.

Aufseherka z przyjemnością przyglądała się przystojnemu więźniowi.

– Ja! Komm mai rein – rzekła, nie spuszczać oczu z pewnego siebie Edka. Raptem, jakby mimochodem, za-pytała przymilnie: – Haben Sie Zigaretten vielleicht?

Uniosła lekko, acz wymownie pulpit stolika służącego do notowania ruchu więźniów, przy którym stała. Zna-liśmy przyzwyczajenia tych łagodnych Niemek. Równocześnie niemal sięgnęliśmy za pazuchy, wygrzebując ukryte tam papierosy. Do uchylonej szufladki wpadły dwie paczki papierosów. Z wdzięczności uprzedziła nas byśmy się mieli na baczności, bo w obozie jest obcraufer-herin Mandel i nowy lagerkomendant Birkenau, Kramer

Istotnie, dopiero teraz dostrzeżliśmy stojący obok głównej wartowni kabriolet Kramera. Szofer komendanta zwykle bardzo gorliwy, ćwiczył „sport” z jakimś więźniem. Na szczęście odległość była zbyt duża, by mógł być dla nas groźny. W bramie przy szlabanie stały jak zawsze małe Słowaczki.

– Na zdarł – przywitały nas wesoło.

– Na zdarł – odpowiedział Edek, prosząc, by dać znać Mali, że przyjdzie na umówione spotkanie, jak tylko oberka z Kramerem się wyniesie z obozu. Ze względu na bezpieczeństwo woleliśmy wizyty odłożyć na później, a te-raz udaliśmy się na odcinek B, do waschraumu, gdzie pracowało komando instalatorów.

Dla zabicia czasu wzięliśmy się do roboty. Piłowałem jakąś rurę, gdy zjawił się Zbyszek z wiadomością, że Mandelka i Kramer odjechali. Teraz już nie zwlekając udaliśmy się na rewir. Edek poszedł jak zwykle „do rentgena ja wpadłem do rewirowej schreibstuby. Haliny nie było. Od Wandy M. dowiedziałem się, że leży w pokoju pfleregerek mieszczącym się w tym samym baraku co i rentgen. Halina ucieszyła się moją niespodziewaną wizytą. Dobre samoopoczucie nie opuszczało jej nawet podczas choroby. Była miła i wesoła. Pokazywała mi swoje „wolnościowe zdjęcie przesłane do obozu jako pocztówka przez jej rodziców z Płocka. Cenzura przepuściła ją przypuszczalnie ze

1 Tak! Chodź do środka... Ma pan może papierosy?

303.

na niewinną treść na odwrocie. Minęło zaledwie parę minut, a już Stasio Ślęzak dał mi „cynk”, że zbliża się SDG. Nie miałem gdzie uciec, zresztą nie było już na to czasu, Słyszałem już szuranie jego butów w korytarzu. Nie namyślając się

wiele, wsunąłem się z trudem pod łóżko Haliny. Ledwie się tam wgrzebałem, wszedł SDG. Na, wie gent's Halina! Bist du wieder krank? Halina dość często chorowała. Tym razem miała coś z oczami, nosiła nawet ciemne okulary. Było to pewnie coś poważnego, bo jak słyszałem, zainteresował się tą sprawą sam Rhode – co było rzeczą w obozie niespotykaną – woził ją podobno nawet na klinikę okulistyczną do Katowic, do jakiegoś specjalisty. Trzeba przyznać, że dr Rhode nieraz dawał dowód ludzkiego podejścia w stosunku do poszczególnych więźniów, co nie przeszkadzało mu wcale organizować masowych selekcji do gazu w ramach walki z epidemią tyfusu w obozie kobiecym. SDG, rozsiadłszy się w najlepsze, przysunął sobie taboret do łóżka Haliny, wdając się z nią w pogawędkę. Rozmowa przedłużała się w nieskończoność. Leżąc nieruchomo w niewygodnej podłodze dusiłem się, usiłując jak najmniej oddychać, by nie zdradzić mej obecności. Skóra zaczęła mnie nieznośnie swędzić, prawdopodobnie oblażył mnie pchły, których tu nie brakowało. Cierpiałem więc przeklinając w duchu swego pecha. Już drugi raz znalazłem się w podobnej sytuacji. Esesman tymczasem dowcipkował, Halina śmiała się. Za każdym jej poruszeniem sypała się na mnie sproszkowana słoma. Przed swoim nosem miałem olbrzymi bucior Niemca, tak blisko, że czułem zapach pasty do obuwia. Niech to diabli wezmą, kiedy on sobie pójdzie...! ej ty, wyłaź! – usłyszałem gromkie wołanie. – Pre-ndka los los Czyżby mnie zauważył? Ale wpadłem! Leżałem dalej bez ruchu. Teraz odezwała się Halina: Możesz wyjść, on ci nic nie zrobi. Zobaczył cię już, gdy tu wchodził. Łatwo było powiedzieć „wyjdz”. Dobrze się namordo-wałem nim wylazłem spod tego nieszczęsnego łóżka. Mu-siałem śmiesznie wyglądać, bo SDG pokładał się z uciechy.

1.no jak się czujesz, Halino! Znowu jesteś chora?

304.

Niech się śmieje. Pocieszałem się myślą, że jakby to był Klehr, byłby koniec ze mną, a i Halince też by się oberwa-ło. Tak tylko się znowu ośmieszyłem.

Za oknami dał się słyszeć powtarzany z ust do ust przez więźniarki chóralny okrzyk: – SDG! SDG! – Pewnie przyszedł lagerarzt.

SDG poprawił pas i wybiegł, zostawiając nas samych. Byłem w podłym nastroju po tej głupiej przygodzie. Hali-na, żeby mnie udobruchać, podarowała mi swoje zdjęcie przypięte pinezkami nad jej łóżkiem. Jakby przeczuwała, że już więcej jej nie zobaczę.

Wstąpiłem do rentgena po Edka. Mali już nie było. Edek spał w najlepsze, rozłożony na ginekologicznym stole, służącym tu do sterylizacji więźniów. Staszek radził nam wynieść się jak najprędzej, bo ma przyjść dr Schamann. W istocie ledwie zdążyliśmy opuścić rentgen, na-tnęliśmy się na dr. Mengele żywo coś tłumaczącego dr. Schumannowi. Z tyłu za nim człapał SDG. Mijając ich zdjeliśmy przepisowo nakrycia głowy. Schumann ubrany po cywilnemu, widać bardzo rozstargniony, pozdrowił nas podniesieniem ręki. Przystojny dr Mengele nawet nie spoj-rzał w naszym kierunku. SDG zatrzymał nas. Oстрыm i pod-niesionym głosem spytał, czy naprawiliśmy kran w umy-walni.

– Jawohl, herr Oberscharfiihrer – odpowiedzieliśmy jednocześnie. Był tylko szturmanem, ale po tym sprytnym kłamstwie awansował w naszych oczach.

Wracając spotkaliśmy Wieśka P. Ostatnio był blo-wym na jednym z bloków odcinka D. Dość często wymykał się pod różnymi pozorami na FKL i, jak sam twierdził głównie w celach erotycznych.

Obóz trochę go zepsuł. Młody, przystojny, wyżarty, pewny siebie stary obozowicz, miał tylko tę jedną na szczęście – obsesję: kobiety. Całą swoją energię wyładowy-wywał w tym kierunku. Poza tym był nawet dobrym i uczynnym kolegą. Robił się na cynika, bo zdawało mu się że dodaje mu to męskości. Łgał, bo lubił się przechwalać zwłaszcza sukcesami na polu miłosnym. W jego pozie czuło się szkołę „Pingwina”, który mu imponował.

– Ale miałem teraz przygodę. Leżę sobie na buksie nie sam oczywiście – no i wiecie... nagle słyszę nad sobą głos: – Was machst du hier? – Odwracam głowę a nade-mną stoi sam Hóssler. Koniec ze mną – myślę. A on przyjął

305.

mi się po czym się roześmiał. – Oh, das bist du? Also macher! – Co! nie wierzycie?... Poznał mnie. On lubi starych więźniów. A jeszcze bardziej lubią

nas aufse-erki. Edek! Ty znasz Irmę Grese? Ładna, co? Kobiety mówią że ona jest lesbijką. Taka ona lesbijka, jak ja pederasta. Mówię wam – jaka ona namiętna... Widzę, że nie wierzycie. Jak Boga kocham, że ją... No co? Pozwalają sobie esesmani na bliskie kontakty z więźniarkami – taki Effin-ge na przykład – czemu nie miałbym ja, stary więzień, poromansować sobie z esesmanką, jeśli w dodatku sama sobie tego życzy. Raz się żyje! Jutro może przez komin wyjde. No idę, muszę jeszcze wpaść do jednej... Cześć! Po południu Edek spotkał się jeszcze raz z Małą. Ja po-zostałem z instalatorami. Miałem już dość tych romansowych przygód. Czas było zabierać się do odwrotu. Wymel-dowawszy się z Frauenlagru pomaszzerowaliśmy na miejsce zbiórki komanda bauleitung. Czekano już na nas i Tadek niecierpliwił się. Być może obawiał się, czy aby nie zrobi-my mu kawału. Zobaczywszy nas, odetchnął z ulgą. Skompletowani weszliśmy w takt marszu do obozu, poszczególne bloki ustawiały się już do apelu. Jasiński za mnie wszystko załatwił. Oddał też stan bloku do głównej schreibstuby na ręce Kazka Goska – rapportschreibera. Gosk widział mnie rano wychodzącego z obozu wraz z instolaorami, za późno jednak już było, by mógł mi w tym przeszkodzić, nie narażając mnie na przykre konsekwencje, a tego nie chciał robić. Zwrócił jednak uwagę Jasińskiemu na fakt iż zbyt pobłażając mi, naraża tak siebie, jak i jego na nieprzyjemności. Blocktuhreerzy mnie znają i mogliby mnie rozpoznać. i Danisz tylko szuka okazji, by mnie na czymś złapać, Jasiński lojalnie wszystko mi powtórzył. Za parę dni mam wyjść na „Meksyk” z komandem Edka postanowiłem więc blokowemu coś sprezentować, jakis drobiazg dla żony, żeby nie robił mi wstrętów po przestroгах rapportschreibera.

Rozdział LXXVIII

Znowu uciekło trzech „Ruskich”, mieszkańców mojego bloku. Żadnych restrykcji nie było i apel odbył się normalnie. Następnego dnia rano, bezpośrednio po wymarszu

306.

komand do pracy, miała miejsce wielka rewizja na blokach 4 i 6. Wśród rewidujących esesmanów był sam Boger, szef Politische na Birkenau. Znaczyło to, że Oddział Polityczny węszy coś na obozie. Przewrócili do góry nogami tylko te dwa bloki, nie dochodząc do mojego, na szczęście. Byłem w okropnym strachu. Trudno mi było opanować się, aż zauważyli moi stubendienści. Jankiel bacznie mnie obser-wował i gdy tylko esesmani opuścili obóz, powiedział mi bez ogródek, że podejrzewa mnie i Edka o ukrywanie cze-goś w magazynie chlebowym. Mało tego, domyśla się co to może być, i radzi ukryć to gdzieś indziej. „Ruscy” często teraz uciekają. Może być kiedyś dokładna rewizja na blo-ku, wpadniemy wtedy wszyscy. Miał rację! Muszę gdzieś to dobrze ulokować na tych parę tygodni jeszcze. Nie wie-działem tylko, gdzie. Gorzej, że coraz więcej kolegów domyśla się naszych zamiarów ucieczki z obozu. Józek Waśko wie na pewno. Jankiel i fryzjer odkryli schowek więc znają jego niebezpieczną zawartość. Edek znów będzie miał do mnie pretensje, że coraz więcej osób jest wta-jemniczonych, a to stwarza dodatkowe niebezpieczeństwo nawet przypadkowego zdemaskowania nas. Bo co do ich dyskrecji nie miałem żadnych wątpliwości.

Chcąc zadekować gdzieś poza naszym blokiem ten uciążliwy ładunek, byłem zmuszony dodatkowo wtajemni-czyć jeszcze jedną osobę, która by zdecydowała się ukryć broń i mundur u siebie na bloku.

W całym obozie tylko jeden barak nadawał się do tego celu. Był to tzw. blok zugangowy, gdzie nie było blokowego, jako że blok przeważnie stał pusty. Schreiberem stale tam zamieszkującym, był dobry kolega Jurek, nr 227. Jerzy zgodził się bez wahania. On też myślał o ucieczce i chętnie by się dołączył do nas. Obiecałem mu, że poroz-mawiam z Edkiem, chociaż z góry wiedziałem, iż nawet nie wspomnę mu o tym. Przynajmniej nie teraz jeszcze. Muszę go najpierw urobić, bo wścieknie się, jak tylko się dowie o wtajemniczeniu jeszcze jednej osoby w nasze pla-ny.

Gdy tak medytowałem, Jurek wskazał miejsce, gdzie miał być ukryty nasz niebezpieczny ładunek. Schowek wy-dawał się doskonały. Jeszcze tego samego dnia przenie-śliśmy broń i mundur z mojego bloku na blok Jurka. Teraz ładunek leżał bezpiecznie w sieni pod dachem, wciśnięty pomiędzy podwójne deski tworzące niejako sufit korytarza.

307.

Po prostu wykorzystaliśmy jeden z wielu oryginalnych elementów, z jakich składał się cały barak, bez jakichkolwiek przeróbek czy doróbek, które mogłyby zdradzić schowek. Nikomu nie przyjdzie nawet na myśl, że tu, w tym jak najbardziej widocznym miejscu, może być coś skrytego. Chyba że rozbiorą barak, a tego jeszcze nie praktykowano, nawet przy najszczegółowszej rewizji. Edek wydawał się do tego stopnia zadowolony, że nie zrobił mi wymówek z powodu wtajemniczenia Jurka. Znał go zresztą bardzo dobrze. To był pewniak. Od momentu ukrycia broni i munduru na bloku Jerzego byliśmy częstymi jego gośćmi, szczególnie w godzinach wieczornych, kiedy tu było spokojniej niż na naszych blokach. Wprawdzie czasem blok się napełniał, zwłaszcza młodocianymi Żydami wybranymi z ostatnich transportów ale nigdy nie zabawiali tu długo, bowiem stąd rozdzielano ich na poszczególne obozy albo odsyłano na kwarantanne, skąd wysyłano ich dalej lub oddawano do dyspozycji dr. Mengele, jeśli to byli bliźniacy, których w pewnym okresie było tu kilkudziesięciu, zebranych specjalnie na żądanie lekarza SS. Był co prawda przez pewien okres blokowy, lecz tego nic nie interesowało, co dzieje się na jego bloku, poza jednym faktem. Przypuszczalnie, w zмовie z lageraltesterem Poleischem i innymi zainteresowanymi władzami obozowymi kazał podawać pełny stan bloku nawet w okazjach, kiedy na bloku poza kilkoma osobami nikogo nie było. Wygospodarowywali w ten sposób około 400 racji żywnościowych na jedną dobę. Gdzie ta żywność później się podziwiała, tego nikt dobrze nie wiedział, prócz oczywiście zainteresowanych władz. Nas też wiele te sprawy nie obchodziły, głodu w tym okresie nie cierpieliśmy i mieliśmy teraz inne problemy do rozwiązania.

Rozdział LXXIX Któregoś dnia wybrałem się z komandem Dina na Meksyk, by zrealizować tę transakcję brylantową. Było wcześniej, więc w melinie nie zastaliśmy jeszcze majstra, Skorzystał z tego Dino, pouczając mnie jeszcze raz, jak mam się zachować w czasie transakcji. Wręczył mi złotą papierošnicę, plik banknotów zrecznie spreparowanych,

308.

tak że na wierzchu było kilka dolarówek, pod spodem zaś niewidoczne banknoty niemieckie, tu bez większej wartości. Całość jednak robiła wrażenie, jakby były to same dolary.

Pierścionek z oryginalnym kamieniem włożyłem na mały palec, a ten fałszywy miał Dino przy sobie w kieszeni. Tak przygotowany, miałem olśnić bogactwem łapczywego na błyskotki majstra. Ponieważ było trochę czasu, wyszedłem z bloku, by spotkać się z Edkiem, kręcącym się jeszcze przy „Meksyku” przed pójściem na FKL. Po jakimś czasie odszukał mnie młody Grek, posłany przez Dina. Majster oczekiwał mnie z niecierpliwością i przywitał mnie wy-lewnie jak jaką osobistość.

Niedbałym ruchem wyciągnęłam z kieszeni złotą papierošnicę częstując go gauloisem. Widziałem, że zrobiło to na nim wrażenie. Grubymi i drżą-cymi palcami obmacywał „to cacko”, ważył w dłoni.

– Jaka ciężka!... Macie wy tego złota tam w obozie co? – wykrztusił, zwracając mi ją jednak. – Tylko żyć nie ma!... wypić ni ma!... co? – zapytał z nutką nadziei w głosie.

– E, tak źle to nie jest – odpowiedziałem pewnie gra-jąc swoją rolę. – Za to jest wszystko! – błysnął brt-lantem przed oczyma majstra. – Nawet sami esesmani przynoszą co trzeba...

Niech sobie nie myśli, że mi tak strasznie zależy na do-biciu targu z nim.

– Ma pan co wypić, majster? – włączył się w odpowie-dniej chwili Dino, czuwający, by nie przeciągnąć struny.

Majster pogrzebał w swej ceratowej obszernej teczce. Postawił na zaimprovizowanym stole butelkę i kawałek chleba ze słoniną. Wyglądało na to, że on stawia. Znowu sięgnąłem niedbale, tym razem za koszulę, wyciągając plik przygotowanych banknotów. Odłożyłem pierwszą z brzegu dwudziestkę, która po chwili zniknęła w przepastnej kieszeni cywila, nie mogącego się oprzeć pokusie. Reich-deutsch był wyraźnie urzeczony moim bogactwem. Był już urobiony. Można było teraz zacząć właściwą transakcję.

Majster długo obracał piękny pierścień z iskrzącym ka-mieniem w swoich brudnych i chciwych paluchach. Za-proponował, że weźmie brylant do Katowic, aby zbadał

jego wartość. Ma tam znajomego jubilera. O, co to nie Na to ja zgodzić się nie mogę. Przyniesie towar, dostanie pierścien. Inaczej szkoda gadać! W końcu targ dobity.

309.

Jutro dostarczy na „Meksyk” dwie szynki, gęś, połącz słoniny, parę wieprzowych kiełbas i 4 litry spirytusu. Brylant-dostanie od kapo Dina, któremu go pozostawiam. Aby to udokumentować, wręczyłem Dinowi pierścienek. Na tym moja rola była zakończona. Zagrałem ją chyba dobrze i ani przez chwilę nie miałem żadnych wyrzutów sumienia, że nabijając w butelkę jestem zwykłym oszustem. Chytry majster nie dotrzymał słowa. Wprawdzie następnego dnia przywiózł obiecany towar, ale tylko połowę tego, co zadeklarował się dać za upragniony pierścienek. Drugą część obiecywał później. Wykazał i tak wiele zręczności dostarczając takie ilości towaru na teren przyobozowy, pilnie strzeżony przez SS. Jak on tego dokonał, pozostanie jego tajemnicą. Dino mimo wszystko był zadowolony, wręczając reichsdeutschowi pierścien, oczywiście ten fałszywy. Że transakcja jest już dokonana, domyśliłem się około godziny dziesiątej, kiedy to zawołano mnie do drutów przy średnicowej. Wziąłem sobie do pomocy Jankiela i fryzjera. Dino ze swoimi ludźmi już czekał. Z trag załadowanych ceglami wyładowywano w pośpiechu towar. Przeładunek odbył się szybko i sprawnie tuż za blokiem lagerstera Danisza. Żeby *on wiedział, jakie to smakołyki przeszfarcowano do lagru tuż za jego plecami!... Chociaż? Wieczorem... po powrocie z komanda Dino połowę tego wszystkiego wyniósł gdzieś wyniósł z bloku. Może właśnie do Danisza? Nikt nam przecież nie przeszkadzał w momencie przemycania takiej ilości towaru... Pal go diabli! Ja swoją dole też dostałem. A majster, jak się spostrzeże, że został wydutkany przez kapo i tego czarnego Żyda z sonderkomando, dostanie chyba ataku apopleksji. Ataku apopleksji nie dostał. Dinowi nic zrobić nie mógł, ten zresztą udawał, że też padł ofiarą mego oszustwa.

Rozdział LXXX

W obozie życie toczyło się normalnie. Normalnie to znaczy jak zwykle, większość ciężko pracowała, stale na-razona na szykany, bicie, selekcje, gazowanie, rozstrzelani-wnie, przesłuchiwanie na Politische, zdana na miskę zupy z brukwi czy pokrzyw i humory esesmanów, panów życia i śmierci tysiacy bezbronych więźniów. Nikt nie był

310.

pewien następnego dnia. Nawet prominenci, do których i ja po niemal czteroletnim pobycie w obozie się zaliczałem. Głód mi wprawdzie nie groził. Dostawałem spore paczki żywnościowe z domu i od córki starego Szymbaka Poza tym umiałem sobie już poradzić, gdyby nawet ich nie było. Politische ciągle coś węszyło w obozie. Trzeba było się strzec szpiclów i zbyt gorliwych funkcyjnych. I transportów które coraz częściej wysyłano ponoć w głąb Rzeszy. Nigdy nie było wiadomo, czy transport taki nie wyla-duje gdzieś w komorze gazowej, a nawet gdyby nie, to i tak wyjazd z Oświęcimia pokrzyżowałyby nasze daleko już za-awansowane sprawy związane z ucieczką, której termin zbliżał się z dnia na dzień.

Nadeszły duże transporty Żydów węgierskich. Takiego nasilenia nigdy jeszcze dotychczas nie było. Pociąg za po-ciągami zajeżdżał na rampę. Z wagonów wysypywało się mrowie ludzkie. Mężczyźni, kobiety, starzy i młodzi, dzieci. Przywieźli ze sobą wszystko, co posiadali. Olbrzymie sterty mienia wyładowywano z wagonów i składali w wielkie kopce, zakrywające szpalery ustawionych rzędami ludzi, którzy powoli przechodzili przed grupą esesmanów. Tu, gdzie odbywała się selekcja, od skinienia ręki oficera SS w lewo lub prawo zależało życie ludzkie.

Tylko znikoma mniejszość została odprowadzona do obozu. Przeważnie młode kobiety i młodzi, zdrowo wyglądający mężczyźni. Reszta, zabrawszy swój podręczny bagaż, szła dwoma strumieniami: jedni wzdłuż rampy w kierunku ukrytych w zagajniku krematoriów II i III, drudzy zapełniali ulicę średnicową, którą obszedłszy męski i cygański obóz dostawali się w obręb lasu z dwoma pozostałymi krematoriami IV i V. Tam był koniec ich wędrówki. Słodkawy dym spalonych ciał zasnuwał mgłą całą okolicę.

Tymczasem na rampie pracowała w pocie czoła „Kana-da”. Oni to przeprowadzali na

rampie drugą selekcję selekcję mienia zagazowanych, pod nadzorem kilku esesmanów. Załadowane kuframi, walizami i tobołami auta odjeżdżały jedno po drugim do magazynów mieszczących się w efektenlagrze, gdzie cały ten majątek podlegał dalszej tym razem już skrupulatnej selekcji. Spora część tych rzeczy, a zwłaszcza jedzenie i kosztowności, przenikała różnymi drogami do obozu. Znowu zaczął się okres obfitości w obozie. Kuchnia gotowała zupę chlebową na gęsim smalcu. Były konserwy

311.

onuce, buty, ubrania, piękna bielizna, puchowe kołdry, śliwowica, no i... kosztowności. ..Kanada"! To nic, że krematoria dymiły, że doły pełne zagazowanych skwierczały w ogniu ludzkim tłuszczem. Obóz miał co jeść! Obóz odetchnął, gdyż esesmani zajęci transportami, pijani, nie interesowali się teraz zbyt żyjącymi w lagrze. Wypatrywali złota i napychali sobie nim kieszenie. Zabezpieczali się na przyszłość. Pracownicy „Kanady” robili podobnie. Tym potrzebne były kosztowności, żeby ułatwić sobie życie w obozie. Sonderowcy na rozkaz SS przesiewali nawet prochy spalonych, szukając tam nie dopalonych brylantów. |Złoto wyjęte z zębów przetapiano w sztaby i wysyłano w głąb Rzeszy, by zasilić skarb walczącego państwa. Prochy rozsypywano po polach i stawach. Ludzki tłuszcz tylko się marnował. W Oświęcimiu mydła nie robiono. Obozowa giełda przeżywała wielkie wstrząsy. Hans, kapo z Kanady”, był teraz najpopularniejszą osobą w obozie.

Danisz uśmiechał się doń przymilnie, a lagerkapo Jupp był teraz jego serdecznym przyjacielem ścisłał go nawet pod rękę. Hans promieniał szczęściem i obsypywał wszystkich prezentami. Stan taki trwał przez parę tygodni, póki przychodziły transporty. Mijały dni i tygodnie. Ilu już zagazowano tych Węgrów?... 100, 200, 300, 500 tysięcy co najmniej! W końcu brakło chyba Żydów na Węgrzech, bo transporty zmalały i stały się coraz rzadsze. Rampa opustoszała. Esesmani przypomnieli sobie o obozie do którego zaglądali teraz coraz częściej. Blockfurherzy szaleli, robiąc rewizje po blokach. Teraz tu szukali złota. Kapowie i blokowi już nie kokietowali tak Hansa, a Jupp nawet zapomniał już, że jeszcze niedawno prowadzali się pod rękę z Hansem jak najlepsi przyjaciele. Ba! Posunął się nawet tak dalece w swej przyjaźni dla Hansa, że zrewidował go pewnego pięknego dnia. Nic jednak nie znalazłszy, rozgoryczony, zbił go po mordzie. Masz, ty parszywy Żydzie! Verfluchter Jude! Kanada” się skończyła, a z nią pół miliona istnień ludzkich.

Rozdział LXXXI

Na kogo teraz kolej?... Nasilenie ucieczek gwałtownie wzrosło z nastaniem lata. Nie było prawie dnia,

312.

żeby ktoś nie usiłował uciec. „Ruskich” uciekało najwięcej. Zbliżający się front wschodni dodawał im odwagi. Po nich uciekali Polacy. Jednego dnia uciekło trzech schrei-berów blokowych. Same stare numery. Wymknęli się z obozu z jakimś komandem pracującym „ausen” i zniknęli. Lagerfiihrer wydał surowy zakaz oddalania się z obozu schreiberom pod jakimkolwiek pretekstem. Był to i tak stosunkowo bardzo łagodny wymiar kary. Mogło się przecież skończyć dla nas przynajmniej karną kompanią. Z mojego bloku najwięcej było uciekających. Nic dziwne-go. Prawie sami „Ruscy” z „Zerleger”. Obawiałem się, że jestem pod obserwacją obozowych kacyków, jak zresztą i inni pisarze blokowi. Tymczasem termin ucieczki zbliżał się.

Za wszelką cenę muszę coś zrobić, żeby w jakiś niezbyt rażący sposób pozbyć się tej, wygodnej bądź co bądź funkcji. Muszę pójść na komando! Inaczej nie ma mowy o ucieczce.

Misza, ten nieodłączny satelita „profesora”, wyznał, że jutro ucieka. Potrzebuje dwóch cywilnych ubrań. Jednego dla siebie, drugiego dla Griszy, przystojnego smągłego Gruzina, z którym był ostatnio w przyjaźni. Musiałem się wystarać się o

te ubrania. Lubilem go. Dostał prócz tego kompas i mapkę, którą własnoręcznie z Edkiem wyrysowaliśmy. Nie była zbyt dokładna, bo rysowana z pamięci, ale zawsze mogła być pomocna człowiekowi nie znającemu w ogóle terenu. Wyuczyłem go też na pamięć adresu mojej ciotki mieszkającej w górach w okolicy Sanoka. Czasem może znaleźć się w tamtych okolicach, może więc być mu pomocna. Uciekli nazajutrz z Zerlegerbetriebe. Znowu na wiecznym apelu meldowałem: – Zwei fehlen 1. – Ucieczka przypuszczalnie się udała, bo przez następne dwa dni nie przyprawiono ich z powrotem do obozu, co czasem zdarzało się pechowcom. Jeśli teraz przejdą linię frontu będą uratowani. Edek zaczynał się niecierpliwić. Nadchodziło lato i najwyższy już czas, żebym wy dostał się na kommando. Jak to zrobić? – głowiłem się. Jeśli poproszę o zwolnienie mnie z funkcji schreibera i zechcę pójść na komando, od razu będą mnie podejrzewać o zamiar

1 Dwóch brakuje.

313.

ucieczki. Trzeba więc coś uczynić, żeby usunięto mnie karnie z tej funkcji, ale żeby nie dostać się przypadkiem do karnej kompanii. Za radą Edka zacząłem zawałać apele. Kazek Gosk, ra-portschreiber, przejrzał jednak moją grę.* Każdorazowo, już przed apelem, sprawdzał dokładnie mój raport, czy aby wszystko się zgadza. Ostatnio coś z rachunkami u ciebie kiepsko! – po-wiedział złośliwie, po czym dodał domyślnie: – Należałoby cie zwolnić w takim wypadku, ale ja tego nie zrobię. Nie chcę potem siedzieć w bunkrze, jakby ci przyszła ochota uciec... a to ostatnio coś modne u was, schreiberów! Chcąc nie chcąc byłem więc nadal pisarzem, nie mogąc wy dostać się do komanda, Na domiar złego rozeszła się po obozie pogłoska, że SS ma zamiar w najbliższym czasie zlikwidować w lagrze wszystkich żyjących dotychczas Żydów, a po nich ma przyjść kolej na inne narodowości. Trzeba było się liczyć z taką ewentualnością. Zналиśmy ich aż nadto dobrze. Tu w Birkeanu wszystko było możliwe. Ucieczka z obozu mogła stać się jedynym ratunkiem. Ponieważ wiadomo już było, że drugiego munduru nie dostaniemy, ustaliliśmy nieco inny sposób ucieczki. Edek, jako znający dość dobrze niemiecki będzie esesmanem es-kortującym więźnia, to znaczy mnie, na jakieś aussenkom-ando, np.. Budy, odległe o parę kilometrów od obozu. Wiadomo było, że takie rzeczy praktykowano dość często, nie rzucałoby się więc to specjalnie w argusowe oczy SS. Plan był prosty, należało jedynie zdobyć tzw. passiersche-ra. W tym celu próbowałem nawiązać kontakt z gońcem głównej schreibstuby, często kręcącym się w celach służbowych na blockfuhrerstubie. Stosunkowo łatwo mógł taki papierek podkraść. Po kilku wstępnych rozpoznawczych rozmowach dałem sobie spokój. Ten młody chłopiec nie nadawał się do tego rodzaju roboty. Edek chodził zamyślony i małowówny. Któregoś wieczoru po wizycie u dentysty zdecydował się na rozmowę. Wyszliśmy na blok rewirowy, gdzie można było o tej porze swobodnie porozmawiać. Ostatnio staliśmy się ostrożniejsi i na bloku nie prowadziliśmy żadnych poufnych rozmów. Zaczął mówić szeroko o swym stosunku do Mali. Zdziwiło mnie to, bo dotychczas był na tyle dyskretny, że raczej unikał tego tematu, a w każdym razie nie wynurzał

314.

się do tego stopnia, jak to czynił w tej chwili. Zna ją tak długo, jest do niej przywiązany bardzo, żyją ze sobą, a to tak bardzo łączy... trudno mu będzie rozstać się z nią, tym bardziej że jest przecież chora na malarię... Gdy pomyślę, że prędzej czy później będzie musiała podzielić los wszystkich Żydów... Teraz jest jej dobrze. Jest nawet pupilką Drechslerki. Wszyscy ją lubią, nawet esesmani. Ale przyjdzie moment, że pierwsza Drechsler pośle ją do gnzau. Tak, co do tego i ja nie miałem najmniejszych nawet wątpliwości. Ale do czego Edek dążył, mówiąc mi to wszystko. Domyślałem się, że wymawiając słowo „przywiązanie przyznawał się do miłości. Kochał ją, to było jasne. Znałem go. Nie chciał tylko tego powiedzieć wprost. Zawsze krył się z uczuciami, chcąc robić wrażenie cynika. Kochał ją i trudno będzie mu się z nią rozstać. Wiedziałem już, do czego dąży, co go tak nurtuje. Cze-kałem tylko momentu, w którym zaproponuje udział Mali w ucieczce. Odsuwałem tę myśl od siebie, niemniej byłem przekonany, że już to postanowił.

– Edek, czy Mała wie o naszych zamiarach? – za pyta-łem, z góry przewidując, jaka będzie odpowiedź.

– Nie! Nie wie jeszcze nic! I to mnie trapi. Nie mogę tak dalej utrzymywać jej w nieświadomości. Nie mogę jej zostawić!... – powiedział prawie szeptem. – To byłoby nieuczciwe z mojej strony. Mała pójdzie z nami!

– To będzie bardzo romantyczne – próbowałem kpić. – Jeszcze jak ja zaproponuję Halinie...

– Nie bądź śmieszny – przerwał mi. – Z Haliną poza flirtem nic cię nie łączy. Wyśmiałyby cię. Zresztą jej nic nie grozi. Jest na kwarantannie, może być zwolniona nie jest poza tym Żydówką. Zrozum, że ja wobec Mali mam zobowiązania. Mam pomysł, który łatwy jest do zrealizowania. A do tego właśnie potrzebna jest Mała. Plan ucieczki pozostaje nie zmieniony. Dojdzie tylko Mała przebrana za więźnia...!

– A przepustka?

– Przepustka! Przepustkę właśnie bez większych trudności zdobędzie Mała. Ona ma w każdej chwili wstęp na blockfuhrerstubę, a będąc tam dobrze znana esesmanowi wykradnie przepustkę nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

Tą przepustką to dał mi prztyczka. Wszystko organizował Edek. Ja nawet tej przepustki zdobyć nie potrafiłem I na komando wydostać się dotychczas nie zdołałem.

315.

Edziu czyś ty czasem nie zwątpił we mnie? Może już nie liczysz na mnie, dlatego proponujesz takie rozwiązanie? – zapytałem z goryczą w głosie. Nic podobnego! Ale na komando to mógłbyś się już wydostać. Najwyższy czas! Pójdziemy we trójkę. A to ci będzie numer...! – Edek odzyskał już swój dawny wigor, ja tymczasem miałem coraz większe wątpliwości. Wiesz, plan w zasadzie jest dobry... ale z kobietą? – próbowałem jeszcze go przekonać. – Z kobietą w dodatku taką watałą jak Mała, z nawrotami malarii, nie zajdziemy daleko. A przejść trzeba ostrym marszem co najmniej 30 kilometrów. Nie podoła! Albo czy można będzie liczyć na ewentualną pomoc ze strony ludzi, którzy rozpoznają w niej żydówkę? Może też być rozpoznana jako kobieta je-szcze na terenie wielkiej postenkiety! Edek machnął lekceważąco ręką. Ryzyko jest wszędzie, a jak się bardzo czegoś chce, wszystkiemu można zaradzić. No, to postanowione! – rzekł widząc, że już wyczerpałem wszystkie kontrargumenty. Daj grabę! Uścisnęliśmy sobie mocno dłonie. Wracając do swego bloku ciemną lagerstrasse Edek chichotał, coraz to powtarzając w kółko: – A to ci będzie numer! /

Rozdział LXXXII Porządkowałem właśnie ogródek przed swoim blokiem, gdy nagle zawyła syrena. Inaczej niż zwykle. Zapowiadała nalot. Od strony Zerlegerbetriebe wzniosły się wysoko ba-szty zaporowe. Po chwili sztuczna mgła napłynęła od wschodu i spowiła cały obóz. Słychać warkot silników samolotowych. Rozszedły się działka przeciwlotnicze. Odłamki pocisków padały na obóz. Trzeba było schronić się pod okap dachu, wątpliwą zresztą zasłonę przed padającymi odłamkami szrapneli. Przelot samolotów trwał już parę minut, gdy w pewnej chwili powietrze zatrzęsło się od huku nisko lecących bombowców. Dał się słyszeć świst lecących nad nami bomb, po czym seria bliskich detonacji. Wybuchy bomb wydawały się tak bliskie, iż sądziłem, że połowa obozu co najmniej już nie istnieje, a z krematoriów nie ma śladu. Nagle ucichło wszystko i alarm został odwołany. Gdy mgły się rozeszły, ujrzeliśmy na wschodzie cięż-

316.

kie czarne dymy. Okazało się, że zbombardowano Bunę. W obozie pojawili się blockfuhrerzy. Na ich mundurach było znać ślady ziemi z rowów, w których leżeli w czasie nalotu. Przyjemny był to widok. Nieustraszeni to oni byli ale tylko wobec nas, bezbronych. Teraz energicznie zaś brali się „do pracy”, wrzeszcząc i bijąc tych, którzy nie zdążyli im umknąć spod ręki.

Na jednym z komand ktoś skorzystał z popłochu i uciekł.

Oby tak częściej były te naloty!

Edek przyniósł mi do schowania portret Mali, rysowany kredką przez jakąś obozową malarzkę.

– No popatrz! Czy ona podobna jest do Żydówki? Portret dość wiernie odtwarzał ładną i miłą buzię Mali. Rzeczywiście trudno było dopatrzeć się semickich ry-

sów. Podejrzywałem Edka, że portret przyniósł specjalnie by mnie lepiej przekonać i rozwiać moje co do niej wątpliwości. Sylwetki Mali mogłem dobrze nie pamiętać, bo widywałem ją raczej rzadko. Teraz mam czarno na białym. Schowałem portret pod blat stołu, gdzie trzymałem więk szą ilość papierosów i swoje pamiątki: zdjęcie Haliny, siostry, grypsy oraz laurki świąteczne i imieninowe od dziewcząt z FKL.

– A teraz przypatrz się temu dobrze! – mówiąc to Edek wręczył mi duży, ciężki platynowy pierścień wysadzany brylantami. Cacko! 23 kamienie co najmniej po pół karata każdy, a ten w samym środku jeszcze większy. Już w myśli przeliczyłem, ile to może być za to żarcia i wody.

– Zadekuj to gdzieś. Przyda się nam w czasie ucieczki. Kupiłem to za trzy esesmańskie kiełbasy od jednej elfe-gerki – wyjaśnił.

– Kiełbasy to już ty zorganizujesz! – Nie wierzyłem tej bajce. Byłem przekonany, że ten dar pochodzi od Mali. Zresztą, co za różnica. Ma iść z nami, więc niech się stara

Zawinałem „markizę” w chusteczkę i stale ją nosiłem przy sobie. To pewniejsze niż skrytka.

Wysłałem gryps do Zakopanego na adres mojej siostry Władzy. Bałem się otwarcie pisać, dawałem jej jednak do zrozumienia, żeby na swoje imieniny, przypadające na koniec czerwca, spodziewała się jakiejś wielkiej i miłej niespodzianki. Powinna domyślać się, o co chodzi. Po ucieczce z obozu mieliśmy zamiar ulokować się w okolicach Zakopanego, gdzie umieszcilibyśmy Małą. Byłaby pod

317.

opieką siostry i jej męża Jurka, z zawodu lekarza. Sami zaś mieliśmy zamiar krótko odpocząć, po czym nawiązać jakiś kontakt z partyzantką, z którą niewątpliwie Jurek miał powiązania. Ponieważ z obozu na razie jeszcze wyjść nie mogłem, oddałem gryps „Góralowi”, a ten przekazał go staremu Szymbakowi. On już będzie wiedział, co dalej robić. W stosunku do Szymbaka miałem pewne plany, którymi podzieliłem się z Edkiem. Otóż Szymbak mieszka we wsi Kozy, leżącej u samych stóp Beskidów. Z opowiadań starego znam już dość dobrze okolicę. Do lasu dosłownie

parę kroków. Wymarzone miejsce dla złapania oddechu po codziennym „spacerze” z obozu. Szymbak nie będzie robił wstrętów, znamy się już przecież tak dobrze. Muszę tylko z nim to obgadać, jak tylko wyjdę na komando. No! widzę, że zaczynasz rozsądnie działać! – pochwalił mnie zadowolony Edek. – A już zaczynałem się obawiać, że skrewisz – niby to żartował. Coś nieuchwytnego, jakiś niedostrzegalny prawie cień maćił jednak od pewnego czasu naszą dotychczas nieskazitelną szczerą i przyjaźń. Edek intuicyjnie wyczuwał jakieś niedomówienia. Swoją drogą jego wątpliwości nie były zupełnie bezpodstawne. Nurtowała mnie już od dłuższego czasu pewna myśl, ale na razie nie zdradzałem się z nią. Przestaliśmy strzyc sobie włosy. Nie rzucało się to specjalnie nikomu w oczy, tym bardziej że już wielu starszych więźniów miało zezwolenie na noszenie długich włosów. Jedynie Kazek Gosek podejrzliwie patrzył na nasze odrastające języki, ale nic nie mówił. 14 czerwca, czwartą rocznicę przyjazdu pierwszego transportu do Oświęcimia, postanowiliśmy uczcić jak nigdy dotąd. Zdaje się, że motorem całej tej uroczystości był Zdzisiek M W okresie obejmowania przez Polaków ważniejszych funkcji w obozie został on oberkapo łagodny, powszechnie lubiany. Na uroczystość oddał do dyspozycji jeden z bloków, gdzie mieścił się magazyn funterkunftu. Było to o tyle wygodne, że blok był wogóle nie zamieszkały, a „zastawa stołowa” znajdowała się na miejscu.. Przygotowania trwały parę dni. Każdy z zaproszonych miał zorganizować coś do jedzenia i picia. Wieczorem 13 czerwca, tuż po gongu na spanie, prawie z każdego bloku wymykali się cichaczem starzy więźniowie, kierując się do magazynu. Przyjęcie było już przygo-

318.

towane. Stoły ustawione w podkowę, przykryte obrusami, talerze, noże i widelce nawet. Zapomnieliśmy już, jak się używa tych narzędzi. Obok stołów kilka kotłów. W jednym dymiący gulasz, w drugim obrane ziemniaki a w trzecim – wódka. Na

stole sterty pokrajanego w kromki chleba, ser, kiełbasa esesmańska, konserwy, sanrdynki. Jak istniał obóz, czegoś podobnego jeszcze nie było. 1
Przepych! Otóż już pierwszy toast. Idą w górę kubki pełne palącego płynu, te same, z których przez cztery lata piło się wstrętne ziółka. Wszyscy piją do dna, wódka ścieka po brodach. Toast był za wolność, tego nie trzeba było nawet głośno mówić.

– Cicho! Cisza! „Góral” chce mówić! – Język mu się płacze. Już przed toastem kropnął sobie. Ilu nas wtedy przyjechało... 728 chłopca, a ilu nas jest tutaj? 30, 35?ktoś mu przerywa:

– Ciszej! Są przecież goście! Papuga, Rysiek Kordek, Stefan, Józek Mikusz... – zaczyna wyliczać, ale już zagłu-szyli go inni.

– Dość! Dostyc tego wyliczania! Za parę dni będzie nas jeszcze mniej!

Wszyscy się śmieją, bo wiadomo, o co chodzi, Kazik myśli o ucieczce. Temperatura podnosi się w miarę jedze-nia i picia.

– Niech żyje Kukła! Jak ty się wyliczysz z tego wszys-tkiego w kuchni?

– Zjadamy chyba cały prowiant esesmański. Pal ich li-cho! – drze się rozochocony Edek. – Niedługo już przejdziemy na własny wikt i opierunek! – Znowu śmieją się wszyscy i spoglądają porozumiewawczo po sobie,

– Kiedy? – pyta Zdzisiek.

– Za dwa tygodnie! – odpowiada serio Edek.

– My też! – odkrzykuje Zdzisiek, mrugając do Papugi i Ryśka.

– Tylko nie wszyscy naraz! Ustalmy daty żartuje ktoś.

W kociołku widać już dno. Podniecenie, rwetes, śmiech, płacz, wyznania, uściski.

Ktoś zaintonował: „Leją kapo, leją zupę, po apelu leją w dupę...” – stara obozową pio-senkę, ułożoną przez Tadzia Kańskiego.

Jedni podchwytyują refren, inni tymczasem zaczynają śpiewać: Im Lager

Auschwitz war ich zwar...Siedzą w przysiadzie, nad głową trzymają taborety.

319.

Tak było kiedyś! Te czasy już nie wróca! – dener-wuje się Edzio Ferenz. – Teraz możemy śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła...” – Jest głośno, o wiele za głośno. Milkniemy naraz, bo ukazał się torwacha – więzień sto-jący w drzwiach baraku – i rozpaczliwie daje znaki, żeby się uciszyć.

Od strony wartowni zbliża się ktoś. Cisza! Okazuje się, że to blockfuhrer Schneider i arbeitsdienst Tkocz. Coś zwąchali i szukają wódki. Pogaszono światła. Stoimy wszyscy' w milczeniu, zaczajeni. Lepiej się przed takimi nie ujawniać.Wypiją, a potem mogą zakapować. Tego by jeszcze brakowało! Ugrzęźli na bloku po przeciwnej stronie.

M. poszedł na zwiady. Wrócił po chwili. Piją u blo-

kowego. Pytali, gdzie odbywa się jakieś pijaństwo, bo z daleka było słycać śpiewy. Na szczęście znaleźli u blo-kowego sporo wódki, toteż tam się dłużej zatrzymają. Do-brze że służbę ma dzisiaj Schneider, a nie Grapatin na przykład. Ten nie dałby tak szybko za wygraną. Ci uwie-rzyli w bajkę, którą na poczekaniu wymyślił Jurek. Skłamał

że spotkał paru pijanych, którzy zobaczywszy go, szybko ulotnili się w ciemnościach. Rozhoodziliśmy się małymi grupkami. Edek i ja wyszliśmy razem. Pozostali żegnali nas porozumiewawczymi spojrze-niami. Rozszyfrowali nas. A my ich. Nikt zresztą nie krył się specjalnie. Każdy przygotowywał ucieczkę. Wszyscy myśleli tylko o jednym. O wolności. Ten ostatni nalot umocnił w nas wiarę, że zła passa mija. Z oświęcimia zaś doszły nas wiadomości, że zlikwi-dowano ścianę śmierci.

Rozdział LXXXVIII

Mala dzielna dziewczyna. Zdobyła przepustkę. Wprawdzie była zapisana, ale wzięła to już na siebie. Mala niezmiernie sięcieszy, że ją zabieramy. Edek też wydawał się zadowolony. Ja trochę mniej. Uważałem, że kobieta będzie kulą u nogi, że przyniesie nam pecha, tym bardziej że mie-liśmy przecież w planie partyzantkę i powrót w okolice Oświęcimia.Edek przyniósł ausweis jakiegoś posta
Znalazł go na rampie. | Esesman widocznie zgubił go w czasie wyładowy-wania

któregoś transportu, plądrując rzeczy przywiezio-

320.

nych Żydów. Może się przydać. Tymczasem powędrował pod blat mojego stolika. Tym razem udało się. Zawaliłem tak klasycznie apel, że cały obóz stał przeszło godzinę, nim znaleziono błąd. Rap-portfuhrer Wolf nie tknął mnie nawet. Kombinowałem z nim kiedyś, jeszcze nie tak dawno, kiedy był zwykłym blockftihrerem. Grapatin jednak nie omieszkał skorzystać z nadarzającej się okazji, żeby mnie sprać po gębie. Już niedługo będę miał okazję odegrać się. Być może, że nawet nie usunęliby mnie z tej funkcji, gdy nie wtracił się blokowy SK Bednarek. Wystąpił w obronie więźniów zmuszonych stać tak długo na apelu przez moje niedbalstwo.

– Jak można trzymać takiego schreibera, który liczyć nie umie! Żeby cały obóz narażać na stójkę przez takiego durnia! – skarżył się do rapportschreibera. Ot! Znalazł się obrońca uciśnionych! Bandzior spod ciemnej gwiazdy, obozowy karierowicz. Żeby przypodobać się esesmanom, popisywał się w ich obecności. Mało to się napatrzyłem, co wyrabiał z więźniami w karnej kompanii! Wściekły, zwróciłem się do niego, by zamknął jadaczkę. Obrońca! Jeszcze coś tam gderał, więc zaproponowałem mu, żeby mnie pocałował w dupę. Pobiegnął na skargę do Danisza. Natychmiast po apelu Danisz zarządził zbiórkę pisarzy blokowych. Obecny był też kapo Jupp i Bednarek. W pewnym oddaleniu stała spora grupa więźniów, zacie-kawionych, co też się stało. Danisz w dość spokojnych słowach powiedział, że zwalnia mnie z funkcji schreibera do której, jak widać, nie nadaję się.

– Na komando! Do łopaty! Tam twoje miejsce! do-kończył energicznie.

– Co!! – oburzył się Bednarek. – Trzeba go surowo ukarać! Daj go mnie. Już ja go nauczę rozumu i subordynacji! Do mnie! Do karnej kompanii go! – zaperzył się jak za dobrych dawnych czasów. Dostoczył do mnie wy-grażając mi przed nosem pięścią. Podniósł rękę, jakby chciał mnie uderzyć.

– No, spróbuj mnie tknąć, ty bydlaku! Mało się na-mordowałeś?! No! Uderz mnie! – nadstawiłem się śmiało widząc, jak grupa przypatrujących się więźniów postąpiła nieco bliżej, tworząc teraz zwarte koło. Nie wiem, jak to się to skończyło, gdyby nie nagła interwencja Danisza

321.

który odsunął Bednarka, a mnie pchnął do szeregu usta-wionych rzędem schreiberów. Abtreten! Los! – krzyknął, po czym ujął zaperzonego Bednarka pod rękę, odprowadzając go na bok. Na odchodnym odwrócił się jeszcze do mnie i grożąc mi palcem powiedział po polsku: A ty schreiber, nie być taki mondry!... Morgen zurshbeit dorzucił po niemiecku. – Do łopaty! Jeszcze raz mi pogroził, ale widać było, że zbagatelizo-wał całą sprawę. Czasy wyraźnie się zmieniły... Edek nie posiadał się z radości z tego obrotu rzeczy. Wreszcie mogę się wydostać z obozu do komanda, a o to przecież chodziło. Arbeitsdienst Tkocz przydzielił mnie do planierungu, gdzie pracował Józek Waśko. Nie bardzo mi to odpowiadało, chciałem bowiem być jak naj-bliżej Edka. Toteż Edek załatwił sprawę z Chamkiem. Chamek żyd z Mławy, o nieco nadszarpniętej reputacji, zwłaszcza wśród Żydów, był kapem komanda strassenbau, pracującego na obozie kobiecym. Właśnie to mi najbardziej odpowiadało. Józek jako kapo arbeitseinsatzu wypisał mi przydział do tego komanda w funkcji schreibera. Schreiber tam był akurat potrzebny jak umarłemu kadzidło, ale przecież nie o to chodziło. Już następnego dnia „budowałem” drogi na FKL Komando Chamka liczyło czterdziestu ludzi, Żydów, Słowian Polaków. Prace prowadzono na terenie szpitala kobiecego który od moich tu czasów znacznie się powiększył. Obecnie budowano drogę pomiędzy drewnianymi barakami, nie zamieszkanymi jeszcze. Dopiero przy-stosowywano je do potrzeb rewiru. Niemniej personel bloku był już w komplecie, łącznie z blokową, jak zdąży-łem zauważyć. Komando strassenbau jak każde przyzwo-ite komando miało swojego opiekuna, kommandofuhrera. Był nim oberscharfuhrer, ponoć z Kłajpedy. Cichy i spo-kojny. Chamek przedstawił mnie scharfiihrerowi, ten kiwnął głową aprobując, postać jeszcze chwilę w milczeniu, po czym gdzieś się oddalił. Fajny chłop! – powiedział Chamek. – Robię z nim, co zechcę. Robić! Robić! Arbeiten! – pokrzykiwał trochę dla

1jutro do pracy!

322.

fasonu, widząc w oddali jadącego na rowerze jakiegoś esesmana. W pobliżu kręcił się jakiś wysoki i chudy więzień o twarzy inteligenta. Chamek przywołał go do siebie. Stary człowiek stanął na baczność. Trzasnąwszy przepi-sowo butami, aż omal nie spadły mu okulary, wyprężywszy chudą pierś, czekał na rozkazy. Był widocznie vorat-beiterem.

– Pułkowniku! – rzekł z patosem Chamek. – Żeby mi tu wszystko grało! Zrozumiane?

– Tak jest, panie oberkapo! – usłyszałem gromką wojskową odpowiedź.

– Będę tu na tym bloku – Chamek wskazał za siebie – jakby coś... tego... rozumiesz, pułkowniku?... No to od-maszerować! Ty wiesz, kto to jest? – zwrócił się do mnie z emfazą, gdy tylko rzekomy pułkownik odszedł, to była figura...! W sztabie!

Za carskiej Rosji – pomyślałem.

– Zrobiłem go vorarbeiterem, bo już stary i przecież nie nadaje się do ciężkiej pracy. Jak przeżyje obóz, to na pewno będzie w rządzie...

A więc i Chamek zabezpieczał się na przyszłość. Tyle o nim słyszałem, że taki krwiożerczy, a tu łagodny jak baranek, choć pajacowaty i egzaltowany, jak się okazało.

– Chodź, schreiber – kiwnął na mnie, widząc, że za-bieram się do spisywania numerów więźniów z naszego ko-manda. – Zostaw to! Masz czas! Chodź! – rzekł tajemni-czo. – Pokażę ci moją narzeczoną. Cudo!! Najpiękniejsza kobieta świata. Poznasz ją, to sam się przekonasz! A co za temperament!

Idąc za nim w głąb bloku, myślałem, jaki to dobro-czynny wpływ mają kobiety, nawet na takie typy jakim był niewątpliwie kapo Chamek. Pajac! Ale przecież nie-szkodliwy. Teraz tu na FKL przynajmniej robił takie wra-żenie.

„Narzeczoną” zastaliśmy w pokoju blokowej. Na piersi miała czerwony trójkąt. Jugosłowianka. Młoda i ładna. Chamek z galanterią przedstawił mnie:

– Mój schreiber. Polak. Jeden z najstarszych numerów w obozie.

Przywitała się obojętnie. Zdawało mi się nawet, że na Chamka spojrzała z nie ukrywaną nienawiścią. Nawiązałem rozmowę. Parę zdawkowych zdań. Tymczasem Chamek układał na stole podarki: czekoladę, sardynki i jeszcze

323.

jakieś drobiazgi. Wera zdawała się tego nie widzieć. Nie zrażony tym Chamek odezwał się przymilnie: A teraz podziękuj, kochanie...! Dziewczyna poczerwieniała. Obłąpił ją wpół i zaczął całować. Wywinęła się sprytnie i jak nie trzaśnie go w pysk, aż klasnęło. Nie ma co! Ma temperament dziewczyna. Więc to tak wyglądał ten romans... Wstąpiłem na blok do Dzidki S. Dowiedziałem się, że Halina jest faktycznie na kwarantannie. Coś gorzej u niej z oczami. Więc nie zobaczę się z Haliną ani dzisiaj, ani już nigdy tu w obozie.

Rozdział LXXXIV

Poznałem Elżunię. A było to tak: zjawił się nasz kom-mandofuhrer w towarzystwie kapo rewiru Orli oraz bloko-wej narzeczonej" Chamka. Długo chodzili po pustym bloku będącym w remoncie. Coś wymierzali, gestykulowa-wali ,obliczali. Jak się później okazało, wynikiem tych oglę-dzin była tzw. „fucha". Scharfuhrer zobowiązał się wobec Orli która mu się podobała, że położy w bloku betonową podłogę. Chamek był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy bo będzie miał okazję jeszcze raz pokazać swój gest w stosunku do Jugosłowianki, o której

względem mimo totalnej porażki zabiegał różnymi, jak widać, sposobami. Ja z kolei byłem rad, bo mogłem teraz swobodnie się meli-nować wewnątrz bloku, zamiast sterczeć na dworze w upalnym słońcu, udając, że coś mam tam do roboty. Zauważyłem kilka dziewcząt z personelu szpitala roz-bierających i usuwających z bloku trzypiętrowe łóżka, podszedłem więc do nich, aby im pomóc. Robota szła rażno. Było nawet wesoło. Wpadła mi w oko jedna mała i żywa dziewczyna, różniąca się od innych szczególną cechą. Jak tylko przestawała mówić, natychmiast zaczynała śpiweać. Pamiętam, że nuciła stale jedną i tę samą pio-senkę o św.Tomaszu.

Jakoś tak się stale układało, że byłem obok niej. Koleżanki widać ją lubiły, bo zwracały się niej zdrabiając jej imię: Elżunia. Poznałem ją bliżej w ciągu następnych dni. Edek biegł do rentgena na spotkanie z Małą. Mała już tam na niego czekała. Ja stałem po przeciwnej stronie rent-gena już od dłuższego czasu. Postawił mnie tu kommando-

324.

fuhrer, bym pilnował, czy aby ktoś niepowołany nie nad-chodzi. W razie niebezpieczeństwa miałem zapukać w drewniane okiennice pokoju Orli, z którą miał – jak mniemam – coś do omówienia. Z nudów i ciekawości próbowałem ich podglądać, ale okiennice okazały się zbyt szczelne, bym cokolwiek mógł dostrzec lub usłyszeć. Ciekaw byłem, co też mogło łączyć Niemkę – więźnia politycznego, przystojną, inteligentną i młodą jeszcze, ze starszym się esesmanem, nie robiącym bynajmniej wrażenie donżuana. W następnym oknie mignęły mi przed oczyma dwie przytulone postacie. Edek z Małą. Nawet mnie nie zauważyli, tak byli sobą zajęci. Dyskretnie się wycofałem. W przerwach między uściskami na pewno omawiali szczegóły i trasę zamierzonej ucieczki. W innym oknie ujrzałem Stasia pucującego zawzięcie niklowane przyrządy do sterylizacji. Obszedłem cały barak wkoło. Pfliegeria była pu-sta. Nic dziwnego. Mieszkanek tego pokoju są teraz w pracy. Trzasnęły otwierane okiennice pokoju Orli. Podszedłem do okna. Scharfiihrer leżał na łóżku i spał, czy też udawał, że śpi. Nikogo więcej w pokoju nie było. Dziwne. Okiennice otworzyły się same? Ciekawy to blok, ten rent-genraum!... Termin ucieczki postanowiony! Sobota w samo południe. Nie tylko zresztą ustalony jest termin. Skład osobowy też. Ta rozmowa nie należała do przyjemnych. Czuło się ciągle jakieś niedomówienia. Raczej z mojej strony. Wyjawiłem w końcu swój punkt widzenia. Edek wcale nie był zaskoczony. Spodziewał się tego widocznie. Pokierowałem sprawą tak, że w sobotę idzie Edek z Małą, a w poniedziałek, jeśli oczywiście ucieczka będzie miała pomyślny przebieg, pójdę ja z Józkiem. Edek z Małą zatrzymają się w Kozach, tam oddadzą Szymłakowi mundur i przepustkę ten zaś w poniedziałek wniesie to na teren przyobozowy gdzie pracuje Józek. Reszta wiadomo! Wyjdziemy z obozu w ten sam sposób i tą samą trasą. Plan wydawał się prosty należało tylko porozmawiać z Szymłakiem, co też uczyniłem nazajutrz. Szymłak wyraził zgodę, aczkolwiek bez większego entuzjazmu. Miał zastrzeżenia. Przekonałem go w końcu. Przecież jeśli Edek z Małą dojdą do Kóz, będzie to oznaczało, że ucieczka się powiodła. SS nie będzie wiedziało, w jaki sposób wydostali się z obozu, zatem to samo

325.

będzie można powtórzyć. Takie rozwiązanie sprawy było bardzo wygodne... dla mnie oczywiście. Doświadczalnymi królikami będą Edek i Mała. Oni ryzykowali przede wszystkim ja zaś wygodnie kryłem się za ich plecami. Tchórzyłem to było jasne! A to, że nie chciałem pójść razem z nimi ze względu na uczestnictwo w ucieczce kobiety, było raczej wykrętem. Tak! Wolałem, żeby oni szli pierwsi. Edek jednak nie dał mi odczuć tego, że skrewiłem. Edek miał już dorobiony klucz do kartofelbunkra stojącego na trasie ucieczki i będącego w naszych planach bazą wypadową, położonego tuż za odcinkiem A kobiecego obozu po prawej stronie drogi do Bud. Umówiliśmy się, że następnego dnia nie pójdę do pracy, ale zostanę w obozie celem przerwania munduru i broni. Edek będzie oczekiwał w budce instalatorów.

Rozdział LXXXV

Jeszcze tego samego dnia wieczorem udaliśmy się na blok Jurka. Blok był nie zamieszkały, mimo to w pokoju Jerzego zastaliśmy większe zgromadzenie. Mało znaleźliśmy tych ludzi. Niektórych widzieliśmy tu po raz pierwszy. Numery przeważnie powyżej 100 000. A więc milionowcy. Wyczuliśmy, że jesteśmy niepożądanymi gośćmi. Jurek starał się rozładować sytuację: Możecie być swobodni – powiedział – to są swoi ludzie. Swobodni to oni już teraz nie byli, niemniej rozmowa przerwana naszym wejściem potoczyła się dalej. Rej wodził niepozorny człowieczek, jak zauważyłem, utykający na jedną nogę. Jak wynikało z tego, co opowiadał, przy-

wiezieono go niedawno z Warszawy. Dużo mówił o Armii Krajowej, o kontaktach z Londynem, o zbrojnej walce z okupantem na terenie stolicy. Tak Edek, jak i ja przyjmowaliśmy te opowiadania z dużą dozą sceptycyzmu. Spoglądając porozumiewawczo ku sobie, pobłażliwie uśmiechaliśmy się. Byliśmy święcie przekonani, że facet robi się na bohatera i buja, ile wlezie. Siedzieliśmy już cztery lata w obozie i trudno nam było sobie wyobrazić, jak naprawdę wygląda teraz okupacja, a co dopiero jakaś zbrojna i zorga-nizowana akcja przeciwstawiająca się potężnej machi-

326.

nie hitlerowskiej. A już kiedy włączy człowieczek, świeżo upieczony więzień, zaczął mówić o zorganizowaniu w obozie, tu w Birkenau, w najbliższym sąsiedztwie czterech olbrzymich komór gazowych – jakiejś zorganizowanej akcji oporu w oparciu o już ponoć działającą komórkę w obozie macierzystym – mieliśmy duże wątpliwości co do jego poczytalności. Ot, milionowiec nie zdający sobie sprawy z tego, czym jest obóz koncentracyjny w Birkenau tzw. Vernichtungslager. Na przestrzeni tych czterech lat życia obozowego już niejednokrotnie zdarzały się próby zorganizowania ruchu oporu. Zawsze kończyły się tragicznie. Przesłuchaniem na Politische, torturami, „ścianą śmierci” lub szubienicą. Albo ktoś zadenuncjował albo znalazł się szpicel w szeregach organizacji... Właśnie doszły mi słowa mówiącego na ten temat: – Warszawa wie dobrze, co dzieje się tu w Oświęcimiu! Wie nawet, że najwięcej szpicłów rekrutuje się ze starych więźniów. Z funkcyjnych i prominentów... Edek wstał, wzruszył ramionami, po czym wyszedł, zanim wybiegł Jurek. No, trochę racji to on ma – pomyślałem. Inaczej przecież nie byłoby tych wysp. Z drugiej strony ci milionowcy generalizują wszystko – posądzając każdego starego więźnia o wysługiwanie się esesmanom. Już przecież kiedyś słyszałem podobne zdanie z ust zdenerwowanego, świeżo przywiezionego zuganga. Ale jak mu miałem wytłumaczyć że zawsze i wszędzie znajdzie się jakaś parszywa owca. Nie wytrzymałem i dałem mu w zęby. To go jeszcze bardziej upewniło w jego przekonaniu. Później poznałem go bliżej. Jego siostra, znana w Polsce aktorka, zadawała się z gestapowcami, on zaś dostał się do obozu. Ze względu na prowadzenie się siostry podejrzewano go, że jest szpiclem Politische. Nie miał łatwego życia w obozie. A być może był najporządniejszym człowiekiem pod słońcem. Czy i w naszym wypadku nie było podobnie? Przez kilku zdeprawowanych spośród nas posądzeni byliśmy wszyscy. Ale na takich był sposób. Szli w transport lub na rewir, skąd nie wracali już żywi. Kto wydawał rozkazy, żeby takiego czy innego szpicla zlikwidować? Chyba nie odbywało się to na takim zebraniu, jakie miało miejsce tu, w tej właśnie chwili. Taka szumna organizacja prowadziła wprost pod ściankę... Miałem dość już tego gadania. Wstałem, mając zamiar wyjść, gdy w tym momencie otwarły się nagle

327.

ukazując Jurka wrzeszczącego: – Achtung! – Za nim rysowała się rosła sylwetka esesmana. Wszyscy zerwali się przerażeni, stanawszy automatycznie na baczność. Wyobrażałem sobie, co działo się w tej chwili w umysłach uczestników tego tajnego zebrania, bo sam czułem się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Oto właśnie tajna organizacja!! Was ist los hier?! – odezwał się groźnie esesman, rozglądając się bacznie wokoło. W ciemnym pokoju – gdyż zaledwie trochę światła wlewało się przez małe okno wychodzące na korytarz – zapanowało grobowe milczenie. Nim ktokolwiek zdołał ochłonąć z wrażenia i coś wykrztusić usprawiedliwiającego, esesman rzekł: – Weiter machen! – i jak nagle się ukazał, tak się wycofał, a za nim Jurek, Dopiero teraz poznałem po głosie Edka. A to wariat! Ale dobrze im tak! Nawet torwaczy nie postawili, a bawią się w tajną organizację... Wszyscy byli zaskoczeni dziwnym zachowaniem się esesmana, nikt jednak nie podejrzewał, że to mógł być Edek. Szczęśliwi, że tylko na tym się skończyło, w ciągu paru sekund opróżnili pokój. Zostałem sam. Sprawdziłem broń, gdyż dotychczas nie mieliśmy okazji., W magazynku były dwa naboje. Jeden znajdował się w lufie. Ja nie umiałem nawet z tym się dobrze obchodzić. Jurek za to znał się na tym dobrze. Jak to mundur zmienia człowieka. Edkowi było doskonale w mundurze SS. Może rękawy były trochę przydługie. Labusch był nieco wyższy. Przymierzyłem i ja. Czapka była atanowczo za obszerna. Trzeba będzie

włożyć paski papieru. Gorzej z moją niemczyzną. Ale ostatecznie wystarczy., Obecnie wielu z załogi SS nie zna dobrze tego języka. Najlepiej nie natknąć się po drodze na żaden pa-trol, gdyż wtedy i znajomość języka nie pomoże... Mundur i broń zawinęliśmy w paczkę. Jutro prze-rzucę ją Edkowi. Tej nocy nie mogłem zasnąć. A może nie odkładać i pójść jutro razem z nimi... Szymblik może nawalić i co wtedy? A co będzie, jak wpadną?...

1.co się tu dzieje?!

328.

Kto im pomagał w ucieczce?... Może lepiej odwalić to za jednym zamachem?... Co będzie, jak Mala dostanie ataku malarii w drodze?... Edek lekko pochrapywał. Spał jak suseł. On nie potrzebował łamać sobie głowy... bo był zdecydowany.

Rozdział LXXXVI

Mundur i broń są już w kartofelbunkrze. Edek wtaje-mniczył w nasze plany ucieczkowe jednego ze swoich ko-legów instalatorów, Jurka Sadczykova, który będzie po-mocny przy przebraniu Mali. Ubikacja na wartowni też jest już przyszykowana. A więc wszystko zapięte na ostatni guzik! Jutro sobota. Dzień uciezki! Noc miałem taką samą jak poprzednią. Edek spał świetnie.

Rano wyszliśmy jak zwykle każdy na swoje komando. Pogoda była piękna. Kręciłem się po rewirze wypatrując pojawienia się Edka. W miarę zbliżania się południa upał stawał się nie do zniesienia. To dobrze! Tego wlaś-nie oczekiwaliśmy. W taki gorąc esesmani zwykli byli dekować się gdzieś po kątach, żeby pospać trochę. Nie było już takiej dyscypliny jak dawniej. Zjawił się wresz-cie Edek. Spokojny i uśmiechnięty jak zawsze –Mala jest przygotowana! Wszystko gotowe! Wyjdę jeszcze raz boczną blockfuhrerstubą, żeby oswoić aufseherinki. Po co mu to było? Po cóż tyle się kręcił teraz? – zastanawiałem się. – A może nie wiedział jeszcze, kto ma służbę na głównej wartowni? Ale to mogła łatwo sprawdzić Mala. Pilnowałem robót przy budowie podłogi w bloku Elżunia o której obecności zupełnie zapomniałem. Myślami byłem z nim. Przyszedł w końcu już prawie w samo południe. Na głównej wartowni miał służbę blockfuhrer Perschel i jakaś mniej ważna aufseherin. Perschel, ten postrzelony esesman może być niebezpieczny! Nigdy nie wiadomo, co mu strzeli do głowy. Ale jest nadzieja, że nie będzie się nam dużo krę-cił, bo po wypadku motocyklowym okulał. Zresztą o tej porze powinien pojechać na obiad.

Przeszliśmy na odcinek B kobiecego obozu, gdzie mie-szkała Mala. Oczekiwała nas w swym bloku, wciśnięta między łóżka a stół wraz z dwiema lauferkami, podobno jej kuzynkami. Więc i one wiedziały o wszystkim. Mala była blada i wyraźnie zdenerwowana. Rudawe włosy

329.

miała krótko przycięte. Na stole leżała rozłożona mapa, jak w jakimś sztabie. Teraz szybko ją składały. – Edziu, schowaj jeszcze to... – rzekła Mala kiepską polszczyzną, podając mu jakieś złote drobiazgi. – Przyniosły mi to dziewczynki. Przyda się w drodze – dodała widząc, iż Edek się skrzywił. Przez ściany baraku dolatywał głos więźniarek: – Lauferin! Lauferin! –wołały chórem. To wzywano młode dziewczęta na boczną wartownię. Słowaczki

rzuciły się Mali na szyję... Obcałowując ją i płacząc życzyły powodzenia. Trwało to stanowczo za długo, tak, że zniecierpliwiony Edek wziawszy dziewczęta pod ręce wypchnął je siłą w kierunku wyjścia z bloku. No! Czas już na nas! – rzekł, widząc, że Mala roz-beczała się na dobre. Pożegnałem się z Malą. Podała mi swoją drobną dłoń. Była drżąca, chłodna i wilgotna. – Wszystko w ręku Boga-mówiła przez łzy. Wszystko będzie dobrze...! – wyrwało mi się i wy-padło to jakoś sztucznie. Żał mi jej było bardzo w tej chwili, współczułem Edkowi, a na siebie byłem wprost wściekły. Jak on sobie da radę z tą słabą dziewczyną. Przecież ona nie przejdzie nawet paru kilometrów! W tej chwili byłem gotów pójść z nimi. Nie odważyłem się jednak teraz tego proponować. Idziemy...! A ty, Mala, bądź za 15 minut na głównej wartowni! Jurek będzie tam czekał... Rzuciłem

ostatnie spojrzenie na Male. Stała zapłakana, bezradna jak mała dziewczynka. W bramie baraku Edek zatrzymał się. – Daj mi twój pasek od spodni, bo mój jest za ciasny – mówiąc to, rozpiął kombinezon, pod którym ujrzałem zielony mundur esesmański i dopiero pod nim bryczesy. To już było szaleń-stwo. Niepotrzebne ryzykanctwo, ale w jego stylu. Był pewny siebie i zawsze liczył na szczęśliwy los. Teraz już wiedziałem, po co ponownie wychodził z obozu. Oddałem mu swój pasek z kutą złotą klamrą. Mój był dłuższy. Między odcinkami A i B kobiecego obozu, na wprost ulicy wiodącej ku małej wartowni, gdzie przy szlabanie stały już na swym posterunku małe Słowaczki, rozstaliśmy się. Normalnie, jak gdyby nigdy nic. Nie podaliśmy sobie nawet rąk. Tylko parę słów. – Do zobaczenia!... W Kozach poczekamy na was! Chyba że zmieniliby się coś, wtedy damy znać przez starego... Serwus!... – Poprawił

330.

na sobie kombinezon, przerzucił z ręki do ręki skrzynkę z narzędziami, po czym skierował się prosto ku małej wartowni. Ja zaś udałem się na odcinek A.

Minawszy kuchnię i saunę oglądałem się za Edkiem. Już minął wartownię bez przeszkód, wymeldowawszy się i szedł pewnym krokiem ulicą wzdłuż rampy, równoległe do mojej trasy. Komando Chamka pracowało bez pośpiechu. Pułkownik stał na swoim posterunku i nie zobaczył mnie jakoś. Całe szczęście, bo nie miałem ochoty na roz-mowy teraz, nie chcąc stracić Edka z oczu. Wziąłem tylko od pułkownika metrówkę, którą zawsze miał przy sobie dodając tym sobie „fachowości”.

Na parę metrów przed główną wartownią skręciłem w prawo, przeskoczyłem rów, po czym postąpiłem ku leżą-cym opodal rurom kanalizacyjnym, zmagazynowanym na wolnej przestrzeni w samym kącie obozu. Wyciągnawszy metrówkę udawałem, że robię pomiary rur. Z tego narożnika był świetny punkt obserwacyjny. Po lewej miałem rewir, za nim druty i drogę wzdłuż rampy, na której mignęła mi sylwetka Edka, nim zniknął w obszernej bramie stojące-go w poprzek drogi dużego budynku. Po chwili ujrzałem go znowu, ale już w towarzystwie drugiego więźnia, zapewne Jurka. Obaj w kombinezonach, ze skrzynkami w rę-kach szli teraz ulicą w moim kierunku ku wartowni FKL. Gdy weszli w jej obręb, straciłem ich ponownie z oczu. Ju-rek widocznie zatrzymał się na wartowni, bo zza budynku wyłoniła się po chwili samotna sylwetka Edka idącego te-raz szybkim krokiem do kartofelbunkra. Rozglądawszy się bacznie, zobaczył mnie, zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką, następnie sięgnął do skrzynki, pewnie po wytrych. Jednym zgrabnym ruchem przekręcił zamek i już był wew-nątrz. Działo się to tak błyskawicznie, iż nikt chyba nic nie zauważył. Zresztą pora była jak najodpowiedniejsza, samo południe, upał, nikogo w pobliżu, kto mógłby zwrócić uwagę na więźnia manipulującego coś przy drzwiach kar-toflarni.

Główną ulicą obozu szła szybkimi krokami Mala. Gdy mijała rewir, zawołała ją jakaś więźniarka biegnąca wzdłuż drutów ogrodzenia szpitala. Mala gestem zniecier-pliwienia zbyła ją, dając do zrozumienia, że bardzo się spieszy. Z drzwi wartowni wyszedł właśnie utykający Perschel. Coś zagadał do Mali, ta usłużnie podstawiła mu

331.

rower jeden z dwu opartych na stojaku obok. Perschel przełożył sztywną nogę przez ramę, drugą, zdrową, nacis-nął pedał – odjechał. Jak dotąd wszystko układało się pomyślnie i według przewidywań. Tymczasem mijały długie minuty. Spojrzałem na zegarek. Dwadzieścia po dwuna-stej. Co się stało? Cemu tak długo jej nie widać? Za szybą stałego okna bunkra widziałem niewyraźną, ledwie widoczną sylwetkę Edka. Gestem wskazywał, że się niepokoi, ze swojego okna niewiele mógł widzieć, zdany był jedy-nie na mój znak. Wreszcie! Idą! Przysadzisty Jurek obok drobnej postaci, też w kombinezonie, dźwigającej ciężką muszlę na głowie. Dobry pomysł z tą muszlą, zakrywającą niemal całkowicie małą główkę Mali. Ale Mala aż ugięła się od tego ciężaru. Dałem znak Edkowi. Tylko na to cze-kał, bo już w następnej chwili był na zewnątrz bunkra. Strzepując jakieś niewidoczne pyłki z munduru rottenfuh-rera doszedł do skraju szosy, czekając, aż tamci dojdą do niego. Jurek zatrzymał się w przepisowej odległości od esesmana. stuknął przepisowe kehrt um 1 i odmaszerował z powrotem, zostawiając Malę z Edkiem. Edek

puścił Małą przodem. sam zaś szedł parę kroków za nią, normalnie, jak nieraz. widziało się esesmana konwojującego więźnia. Sto-pniowo oddalali się od obozu. Prowadziłem ich wzrokiem jeszcze dobrych trzysta metrów, dopóki nie straciłem z oczu, gdyż szosa lekko skręcała w prawo, chowając się za budynkiem kartofelbunkra. A więc najgorsze poszło gładko. Teraz jeszcze pozostało im przejść dużą postenkietę, gdzie był szlaban, a za nim czekała ich już wolność. Byłem cały mokry. Kolana mia-łem jak z waty. W gardle coś ścisnęło. Trzeba było jednak mieć sporo odwagi. Teraz mijają pewnie ostatnią przesz-kodę szlaban, na którym zawsze miał służbę jakiś esesman. Jeśli go przejdą nie zatrzymani – są wolni. Odczekałem jeszcze parę minut, Perschel zdołał już wrócić. Syrena milczała. Najgorsze mają już za sobą. Droga wiodąca do Bud nie prowadzona z powrotem niko-go sa już wolni! Co się ze mną dzieje? Serce waliło jak młotem. W gardle dalej dławiło. Wzruszenie odebrało mi mowę. Widziałem, że Chamek coś do mnie mówi, ale nie słyszałem jego głosu. Myślami byłem daleko, tam za dru-

1. W tył zwrot

332.

tami z nimi. Za dwa dni będziemy razem. Jak długo trzeba czekać... Trzeba było pójść z nimi. Ach, te głupie przecucia. Dla nich obóz jest już tylko wspomnieniem.

Syrena milczała. Komanda zaczęły zbierać się dopo-wrotu. Fajrant! Syrena milczy. Prócz kilku osób nikt jesz-cze nie wie, że brak dwojga ludzi w obozie. Przed wartownią męskiego obozu zrobił się zator. Tak było zawsze. Wszyscy naraz nie wejda. Esesmani przeliczają wchodzą-cych, paru rewidują. Orkiestra gra skoczego marsza. Ko-mando za komandem maszeruje do obozu. Teraz kolej na nas.

Zbliżamy się do wartowni, starając się złapać krok w takt marszu. Chamek głośno odlicza piątki: –einc zwei, drei! Links und links! – Komenderuje, kiedy już jesteśmy blisko wartowni. Obok po prawej stronie drogi for-muje się jeszcze duże komando bauleitung, do którego na-leżało między innymi komando instalatorów. Komando bauleitung dzieliło się na poszczególne małe grupki, zależnie od specjalizacji pracujące na różnych od-cinkach rozległego obozu, toteż zbierali się zwykle dosyć długo, aż wszyscy znaleźli się w komplecie. Teraz jednak nie mogli doliczyć się kompletu.

Stwierdzono widocznie już, że brak Edka. Tadek F „szklarz”, odpowiedzialny za całe komando, zobaczywszy mnie maszerującego, dopytywał się, co jest z Edkiem. Wzruszyłem ramionami. – Nie wiem! Widziałem go na FKL jeszcze przed południem... – Tadek od dawna domy-ślał się, że mamy zamiar uciec. Ujrzawszy mnie powraca-jącego z komandem do obozu, jakby trochę się uspokoił. Nie mieściło mu się bowiem w głowie, żeby Edek uciekł beze mnie. Toteż czekał jeszcze, nie meldując władzom, że einer fehltl.

Wszyscy już byli przed swoimi blokami ustawionych w szeregach do apelu, a komando Tadzia stało jeszcze, jak w końcu Tadek zdecydował się zameldować że brak jednego. Jakiś esesman, trudno było dojrzeć z tej odległości, prał go po twarzy.

Apel! Blokowi meldują stan bloku blockfuhrerom. Ci oddają meldunki rapportfiihrerowi Wolfowi. Pada głośnakomenda:

1 Jednego brakuje?.

333.

Das Ganze stillgestanden!1 – Teraz Wolf składa raport lagerfuhrerowi Schwarzhuberowi. Po chwili jakiś esesman puścił się biegiem w stronę blockfuhrerstubu. Zawyla syrena. Długo, przeciągle, aż świdruje w uszach. Einer fehlt!... Stoimy w postawie na baczność. Widzę jak „Ruscy” zerkają ku mnie. Jankiel tuż obok mnie nieporuszony, patrzy prosto przed siebie, ale czuję jak, ścisną moją rękę. Skąd oni mogą wiedzieć, kogo brakuje. Blockfuhrer Schneider z powagą lustruje stojących, wzrok jego zatrzymuje się długo na mojej osobie. A może tak

się tylko tak wydaje!

Patrzę gdzieś w głąb, nie mrugnawszy nawet powiekakami. Syena żałośnie kończy swoje wycie. Stoimy. Cały obóz stoi. Igerfuehrer ze swoją świtą opuszcza obóz, udając się na wartonię... Jest teraz swobodnie, napięcie mija częściowo mogę oglądać się w stronę FKL. Za daleko, żebym stąd coś ujrzał. Tam apel też trwa i pewnie nie mogą się doliczyć. Drgnąłem, bo oto znowu odzywa się głos syreny alarmowej. Ogólne poruszenie. Dziwią się wszyscy, bo brak przecież jednego, a syrena daje znak, że jeszcze kogoś brakuje, że jeszcze ktoś uciekł. – Lageraltester! Lageraltester nach vorne! – wołają od strony wartowni. Danisz biegnie czym prędzej w stronę blockfuehrerstuby. Po chwili wraca. Otaczają go funkcyjni. Lagerkapo drze się: –

– Koniec apelu?! Więc nie ma nawet stójki!

Funkcyjni też się rozchodzą. Tym razem nawet nie idą szukać zbiega w obrębie dużej postenkiety, co w takich wypadkach zwykle praktykowano.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Wieść rozeszła się po obozie lotem błyskawicy. Z FKL uciekła Żydówka, "lauferka Mala Zimetbaum, numer 19 880, z naszego zaś obozu instalator" Edward Galiński, nr 531. Schwarzhuber miał powiedzieć, że skoro uciekł taki stary więzień, to nie ma nawet co szukać.

Po kolacji pobiegłem do Jurka. Ledwie tam dobrnąłem. Co krok zatrzymywał mnie ktoś ze znajomych, indagując, ściskając ręce i mrugając porozumiewawczo, że niby to wiele wiedzą. Pytaniom nie było końca. – Jak to się stało, żeś ty został?... Kiedy ty znikniesz?! Czy też z dziewczyną?

1. całość baczność!

2. wszyscy rozejść się!

334.

.. – Najbardziej cieszyli się Żydzi. Wciągnęli mnie na blok, radości nie było końca, częstowali, czym tylko mogli.

Chamek zaciągnął mnie na wódkę do Hansa, kapo Ka-nady", uszczęśliwiony, że nie uciekłem, dzięki czemu nie miał takich kłopotów jak Tadek. Hans, pragnąc, by część sławy przypadła i jemu, znowu głośno utrzymywał, że Mala jest jego kuzynką. Zacząłem obawiać się tej nagłej popularności. Niektórzy pytali mnie wprost, kiedy na mnie kolej? Mogłem łatwo zawędrować na Politische. Na samą myśl o tym cierpła mi skóra.

U Jurka zastałem „Górala". Jurek, nie wiedząc, że pla-nowaliśmy ucieczkę z Józkiem, radził teraz jakiś czas od-czekać, aż się uspokoi. „Góral" był zwolennikiem ucieczki przez bunkier, o którego istnieniu i usytuowaniu właśnie dopiero co się dowiedział. – To najpewniejsza droga twierdził. – Tamten sposób może drugi raz się nie udać.

– Tak czy owak, postanowiłem wiać, i to jak najprędzej. Wracając, słyszałem urywki rozmów. Temat był dzisiaj

jeden: Edek i Mala – ich imiona stały się synonimem wol-ności.

Było już ciemno, gdy dobrnąłem do bloku 4, dzięki wie-czorowi już mniej zaczepiany przez ciekawskich i podnie-conych znajomych.

Wywołałem Jurka Sadczykova. Byłem bardzo ciekaw jak poradził sobie z Małą. Wydawała się taka roztrlepna-na...! Znaleźliśmy od strony cygańskiego obozu ciehy ką-cik, gdzie można było względnie swobodnie porozmawiać. Jurek był bardzo ostrożny. Lepiej, żeby nas razem nie wi-dziano. Licho nie śpi. Opowiedział, co działo się w block-fiihrerstubie, od momentu kiedy zjawiła się Mala, Edek zas poszedł rzucić kombinezon do kartofelbunkra. Otóż z chwilą gdy Perschel wsiadł na rower – co było szczęśli-wym zbiegiem okoliczności, jednakowoż brany pod uwagę – Mala weszła do wartowni, gdzie była obecna tylko jedna aufseherin. Jurek tymczasem udawał, że repe-ruje uprzednio oderwany przez Edka zamek w ustępie. Muszla, a raczej umywalka – też wcześniej przyniesiona

– leżała przygotowana obok. Po chwili ukazała się Mala. Zamknął ją w ustępie, gdzie stała skrzynka z narzędziami, a w niej przygotowany dla niej kombinezon. Trzeba było bardzo się spieszyć, bo w każdej chwili mógł ktoś nadejść. Co prawda Jurek łatwo mógłby się wytłumaczyć, pracował przecież, ale gorzej byłoby z Malą. Jurek, udając w dalszym

335.

ciągu, że reperuje zamek, z niecierpliwością czekał, kiedy Mala będzie gotowa. Mijały sekundy wydające się nieskończenie długie, a Mala nie wychodziła. Zaczął ją szeptem ponaglać, ale bez rezultatu. Zaniepokojony długą ciszą wewnątrz ustępu, uchylił drzwi i zobaczył stojącą bezradnie dziewczynę bladą ze strachu i roztrzęsioną. Sprawiała wrażenie nieprzytomnej. Niewiele się namyślając zamknął się razem z Malą, ubrał ją w kombinezon, założył na głowę umywalkę, po czym dosłownie wypchnął ją na zewnątrz i poprowadził w kierunku kartofelbunkra. Mala szła posłusznie, głośno szczękając zębami. Mógł to być atak malarii, na którą cierpiała. Resztę widziałem ze swojego punktu obserwacyjnego na FKL.

Rozdział LXXXVII

Niedziela – dzień wolny od pracy – dłużyła się okropnie. Nie wychodziłem z bloku, chcąc w ten sposób uniknąć spotkań z ciekawskimi. Niewiele to pomogło. Wciąż ktoś przychodził i nudził, a lagerkapo Jupp, na którego natknąłem się w sieni bloku, powiedział kąśliwie:

Na, Schreiber! wie geht's jetzt? Dein Kamerad ist sreg- zrobił przy tym nieokreślony ruch ręką, co miało wyrażać, że Edek jest daleko. Bałem się coraz bardziej, że mogę być podejrzany o współudział w ucieczce i nagle wezwany na Politische. Z niecierpliwością oczekiwałem następnego dnia. W nocy przewracałem się niespokojnie, nie mogąc usnąć. Ostatnia noc w obozie... albo? Starłem się nie myśleć o tej drugiej ewentualności, jednak obraz tego najgorszego ciągle wracał, nękał i przejmował strasno. Rano wstałem wcześniej, jeszcze przed gongiem na pobudkę. Ze schowka wyciągnąłem papierosy, zdjęcie siostry i portret Mali. Sam nie wiem, po co zabierałem to ze sobą. Gryps od Haliny, powinowactwa imienninowe z widocznymi ręcznie malowanymi przez obozowych malarzy pozostałem w skrytce stołu. Na arbeitskommando stanąłem jak zwykły pierwszym szeregu, tuż obok Chamka.

1.No schreiber! jak ci się teraz powodzi? Twój przyjaciel uciekł

336.

Szliśmy w milczeniu. Kiedy minęliśmy bramę FKL, Chamek zdecydował się na uwagę: – Tylko ty mi nie zrób ka-wału, jak Edek „szklarzowi”. Jemu się upiekło, ale ja jestem Żydem... Pamiętaj!... – A po chwili widząc, że nic nie odpowiadam, dodał: – Daj słowo, że jak ci przyjdzie ochota wiać, to nie ode mnie! – Dałem mu słowo, nic mając zamiaru go wcale dotrzymywać.

Rozgrzeszała mnie świadomość tego, że Chamek nie był człowiekiem czystych rąk, chociaż w stosunku do mnie był jak najbardziej w porządku. Nie zaszkodzi, jak mu trochę przetrzepią skórę, nic poza tym mu nie grozi. Odpowiedzialność zbiorowa została już przecież zniesiona.

Z dużej skrzyni stojącej obok bloku pułkownik wydał ludziom narzędzia do pracy. Scharfuhrer pogadał chwilę z Chamkiem, po czym swoim zwyczajem ulotnił się. Chamek uczynił to samo, wydając uprzednio pułkownikowi rozkazy dotyczące pracy komanda. Zniknął w bloku Jugosłowianki. Ale wytrwały...!

Ukryty za uchylonymi drzwiami bloku, pałac papiero-sy, wdałem się w pogawędkę z pułkownikiem. Tymczasem zbliżyła się jedna z małych Słowaczek, dając mi znak, że chce ze mną rozmawiać.

Pułkownik, zgasiwszy papierosa, dyskretnie się oddalił. Rozpromieniona dziewczyna, nie mogąc ukryć radości opowiadała mi wypadki sobotnie. Dopiero podczas trwającego apelu zorientowano się, że nie ma Mali. Rapport-fuhrerin Drechsler, sądząc, że Mala gdzieś zasłabła albo zemdląła, kazała jej szukać po całym obozie. Wiedząc o chorobie Mali cierpiącej na ataki malaryczne, nie przypuszczała, aby nieobecność jej mogła być spowodowana czymkolwiek innym. Toteż szukano Mali wszędzie i apel mimo że zaczął się wcześniej nieco niż na męskim obozie przeciągał się. Musiano jednak w końcu zarządzić alarm stwierdziwszy, że oprócz Mali brak też jednego z więź-niów z komanda instalatorów pracujących w obrębie ko-biecego obozu. Domyślano się słusznie, że uciec musieli razem. Skarcona przez Mandel w obecności całego obozu Drechsler posiniała ze złości. Za to tysiące kobiet nie po-siadało się wprost z radości. – Ja jestem też taka szczęśli-wa...! – tymi słowami skończyła relację Słowaczka. Teraz kolej na mnie – postanowiłem. Pułkownikowi powiedziałem, że jakby pytał o mnie Chamek, to jestem

337.

na odcinku B „w pompie”. Nie zdziwiło go to, bo często tam chodziłem. Domyślnie pstryknął się palcem w gardło, wiedząc, iż czasem tam sobie wypikłem. W pompie” zastałem Zbyszka B. i Lubuscha. Czyżby Zbyszek urabiał teraz Lubuscha? – pomyślałem. Zbyszek, wcale nie wiedząc o współudziale Lubuscha w ucieczce, przedstawił mnie jako przyjaciela Edka. Lubusch siętro-chę zmieszał, po czym spojrzał na mnie z zaciekawieniem. Wzrok jego zdawał się wyrażać niema prośbę: – Milcz! – Zbyszek, jakby czegoś domyślając się, nie zmieniał tematu. Wyszedłem „z pompy” czym prędzej. Musiałem teraz wyjść z obozu kobiecego, by zobaczyć się z Szymlakiem, wyczekującym mnie pewnie na planierungu, gdzie pracował Góral”. Byłem teraz zupełnie spokojny. Nocne zmyry zni-kły bezpowrotnie. Postanowiłem zachowywać się podonie jak Edek. Przy małej wartowni stała lauferka, ta sama z którą przed godziną niespełna rozmawiałem. Sze-pnęła- Cicho, spokojnie, są tylko aufseherin. – To do-brze. Z esesmanami zawsze gorzej! – Jedna siedziała na parapecie otwartego okna wartowni, druga stała na zewnątrz. Wydawały się bardzo znudzone. Meldując swoje wyjście z obozu poplątałem coś – zawsze miałem kłopoty z niemieckim – jąkałem się, usiłując mówić zrozumiale, mnąc ze zdenerwowania czapkę w rękę, czym rozśmiesz-łem obie. Śmiały się rubasznie, dogadując coś po niemie-cku czego oczywiście nie rozumiałem. Ta z okna zapytała w końcu po polsku, gdzie idę i po co. Na to byłem przygo-gotowany. Już opanowany, opowiedziałem z góry ułożoną bajeczkę: mój kommandofuhrer, oberscharfuhrer, posłał mnie do kapo komanda pracującego tu na rampie, by przysłał trochę żwiru i kamieni potrzebnych do budowy drogi na rewirze. Historyjka była dosyć prawdopodobna, nie-mniej aufseherin powtórzyła ją tej drugiej już po niemiecku, a ta skinęła przyzwalająco głową. Kosztowało mnie to jed-nak dwie paczki papierosów, bo ta mówiąca po polsku odchylając pulpity zapytała, czy palę. Aber jetzt gehe weg, obi- powiedziała pospiesznie. Dalej już nie słyszałem, gdyż prysnąłem jak strzała w stronę rampy, usłyszawszy warkot nadjeżdżającego z tyłu auta. Byłem już przy lorach, gdy do mych uszu doszedł zgrzyt wozu hamującego przed

1.a teraz uciekaj, ty...

338.

wartownią. Elegancki szofer, wyskoczywszy z samochodu usłużnie otwierał drzwiczki, przez które przeciskał się gruby lagerkomendant Kramer, podając rękę swej towa-rzyszce, Mandel. Aufseherinki wyprężone na baczność z podniesionymi w górę rękami pozdrowiały szarżę: Heil Hitler! Uczepiłem się pusteł lory ciągniętej przez więźniów w kierunku głównej wartowni. Minawszy ją, przebyłem rozległą przestrzeń między obozem a torami kolejowymi trasy Oświęcim-Dziedzice. W połowie drogi mniej więcej był planierung – cel mojej eskapady. Za torami rysowały się budynki Union i DAW oraz dalej

zabudowania gospo-darcze Auschwitzu I. Wzdłuż torów sterczały wieżycy dużej postenkiety, a dalej w prawo olbrzymie cementarzystwo pogruchoowanych samolotów, zerlegerbetriebe, gdzie pracowali Rosjanie i stąd też uciekali. Lory zjeżdżały w obszerny dół do wykopów między uwijającymi się licznymi tu więźniów wydobywających ziemię i żwir, którymi następnie były ładowane. W drewnianym domku skleconym naprędce mieściły się magazyny i biuro. Majstrem był Niemiec, mający do pomocy paru robotników cywilnych. W miejscu, gdzie więźniowie kopali podłużne szerokie rowy, miały powstać jakieś magazyny. Cały ten teren był bardzo dogodny dla nawiązywania kontaktów z cywilami, a nawet z wehrmacht-owcami pełniącymi opodal służbę przeciwlotniczą. Stary Szymlak pracował obecnie w koszarach SS, miał więc nie daleko, toteż tu właśnie spotykaliśmy się od czasu do czasu. „Góral”, będący schreiberem komanda planierung jest niejako naszym łącznikiem. Znalazłem go w drewnianej budzie opowiadającego widać coś bardzo interesującego bo skupiło się wokół niego kilkoro ludzi.

– Gdzie Szymlak? – zapytałem go. Józek rozłożył ręce: – Nie ma go! Na to poderwał się jeden z cywilów, którego nie znałem dotychczas. Spojrzał na mój numer, potem na mnie po czym wolno skierował się do wyjścia. Poszedłem za nim.

– Szymlak dzisiaj nie przyjdzie! – powiedział. Prosił mnie, żeby ci coś doręczyć – teraz rozglądał się ba-cznie, czy aby nas ktoś nie obserwuje, uspokojony zdjął czapkę, z której wyłuskał małą karteczkę. Byłem zaskoczony, nie tego bowiem się spodziewałem.

339.

Był to gryps od Edka. „Bez przeszkód dotarliśmy na miejsce – czytałem. – Mała niosła muszlę parę kilometrów- dzielna! Za Budami porzuciliśmy ją wraz z kombinezonem w zbożu. Polami doszliśmy do Kóz pod wieczór. Nocowaliśmy w kopie siana na skraju wsi. Mała czuje się dobrze, bolą ją tylko ramiona. Wieczorem idziemy dalej. Serwus!” – To wszystko! Byłem zawiedziony. Czułem się w tej chwili oszukany. – To twoja wina! – mówił jakiś wewnętrzny głos – trzeba było się zdecydować! Stchórzyłeś a teraz szukasz winnych... Co robić? Byłem zdecydowany teraz uciekać nawet przez bunkier, chociażby sam, byle jak najprędzej. Cywil obserwował mnie i widział moją rozterkę.

Jestem sąsiadem starego – doszedł mnie jego spokojny głos. – Mieszkam na skraju wsi. Oni, nie mogąc odnaleźć domu Szymlaka, zapytywali ludzi ze wsi, gdzie stary mieszka. We wsi szybko rozeszła się wieść, że jakiś esesman – bo Edek był w mundurze SS – pytał o Szymlaka. Ten bojąc się widocznie wyspy nie przenocował ich u siebie, ale odesłał do mnie. Ja też bałem się ich przenocować u siebie. Wskazałem im więc na swym polu kopy siana tu w pobliżu lasu... Rozumiałem teraz, dlaczego Edek nie odesłał munduru, broni i przepustki. Za wiele wymagaliśmy od Szymlaka. Edek, widząc niechęć do udzielenia im schronienia u mieszkańców wsi, zrezygnował z dalszej pomocy Szymlaka i nie namawiał go już do takiego ryzyka, jakim niewątpliwie byłoby odesłanie munduru z powrotem.

Drąc gryps na drobne kawałeczki, rozglądałem się bezradnie. Cywil, widząc moją konsternację, klepnął mnie przyjaźnie po ramieniu: – Nie martw się pan! Wojna wnet się skończy! Wszyscy będziemy wolni! – Dobrze mu było tak mówić.

Chmiek podenerwowany wrzeszczał na swoich ludzi, bił i gonił do pracy. Pewnie znowu dostał po głbie od „na-rzeczzonej”. Zobaczywszy mnie, natychmiast się uspokoił. A więc to ja byłem powodem tego zdenerwowania. Zbyt długo mnie nie było, obawiał się więc najgorszego. No, teraz już mu nic nie grozi – pomyślałem z goryczą. – Zostałem sam.-! Czy ja bez Edka potrafię zdobyć się na coś?... Zapytywałem się w myślach. Czułem się bardzo osamotniony. Już nawet nie cieszyła mnie udana ucieczka Mali i Edka. Zbliżył się do mnie pułkownik: –

Elżunia pytała

340.

o ciebie. – Nie miałem ochoty na rozmowy. Mimo to po-szedłem ją odszukać. Na bloku jej nie było. Poszła pewno do swojej przyjaciółki. Ogarnęła mnie dziwna apatia A niech się dzieje, co chce...

Rozdział LXXXVIII

Obóz nie zdążył jeszcze ochłonać po romantycznej ucieczce Edka i Mali, gdy już nazajutrz znowu wyła syre-na. Uciekło dwóch „starych” więźniów, i to także z ko-manda bauleitung: dachdeckerzy Tomek Sobański i jego przyjaciel Kostek Jagiełło. Władze obozowe były bezsilne wobec tej epidemii ucieczek do tego stopnia, że zaniechały nawet wszelkich represji. Jedynie Politische, czując jakąś zorganizowaną akcję, wzmogło swoją aktywność. Zaglą-dając coraz częściej do obozu, robili niespodziewane rewizje. Nasłali też kapusiów. Szpicel znalazł się nawet wśród „Ruskich” pracujących na „Meksyku”. Był z naszego blo-ku. Wkrótce spotkał go nieszczęśliwy wypadek w pracy. „Ruscy” go sami zlikwidowali. Oni uciekali jak zwykle grupami, po trzech, czterech, prawie co dzień. Tymczasem ja na próżno oczekiwałem jakiejś wiadomości od Edka. Szymlak nie dawał znać o sobie, a i młody cywil gdzieś się zapodział. Od siostry dostałem paczkę i list z Zakopanego, ale nie było w nim nawet najmniejszej wzmianki o grypsie wysłanym przed miesiącem – a co dopiero o Edku .Przy-puszczałem, że nie doszli jeszcze do Zakopanego. Z Jurkiem i „Góralem” prawie nie widywałem się ostatnio. Za-jęci byli gadaniem na zebraniach w bloku Jerzego . Draż-niło mnie to i może dlatego unikałem ich. Coś niecoś do-wiadywałem się od pułkownika. Nawiazywali ponoć jakieś kontakty z partyzantką kręcącą się gdzieś koło Bielska ile w tym było prawdy, a ile fantazji, trudno było rozgrani-czyć. Częściej spotykałem się teraz z Karolem z „Kanady. Marzył wciąż o ucieczce. Andrzej wciąż zawracał mu głowę bunkrem. Sam byłem już skłonny uwierzyć mu w końcu. Czekałem jednak znaku od Edka.

Przed schreibstuba szpitala kobiecego stała mała rol-waga. Widocznie więźniowie z Oświęcimia przywieźli le-karstwa. Zawsze ci sami. Toliński, Kosztowny. Podskoczyłem, żeby pomóc wnosić paczki do ambulatorium Marian rozmawiał z Orli, podając jej jakąś „paczkę”. „Gonokok

341.

pieczołowicie układał stosy ampułek. Zawsze tego było więcej, niż zalecały władze obozowe. Oświęcim pamiętał o FKL.

Tolińszczak” wzięwszy mnie na bok wyrecytował jed-nym tchem: – Edek i Mala złapani!!!!... – Zrazu nie chciałem w to uwierzyć. Jak to możliwe? Teraz?! Po tylu dniach...? Niestety, była to okropna prawda. Jeszcze wczoraj po południu przyprawdzono ich na blok 11 i zamknięto w w bunkrze. Zaczną się teraz przesłuchania na Politishie. Oblediał mnie okropny strach. Co będzie, jak nie wytrzymają badań?... Zaraz po wieczornym apelu spotka-łem się z Jurkiem Sadczykowem. Był tak samo zdruzgo-tany tą hiobową wiadomością jak i ja.

Nie ma się co teraz zastanawiać...! Trzeba wiać, i to jak najprędzej! – mówił zdenerwowany Jurek.

Niepowodzenie ucieczki Edka i Mali nie odwiódło od dawna zaplanowanej ucieczki Zdziśka Michalaka, Papugi, RyśkaKordka. Starannie przygotowywane od dłuższego już czasu, przedsięwzięcie to powiodło się.

Represji nie było. Chociaż?... Ni stąd, ni zowąd powieszono blokowego. Dawny kalefaktora bunkra w Oświęcimia skazany na SK, później przywrócony do łask w Birkenau jako blokowy, zadenuncjowany przez więźniarkę

niemkę z. którą go coś wiązało kiedyś; został stracony za słuchanie radia i kolportowanie zasłyszanych wiadomości

BBC. Czyżby zaczynał się znowu terror? W takich okolicznościach sytuacja Edka i Mali wydawała się przesadzona. Ale jeszcze przedtem Politische będzie się

staralo wyciag-gnac od nich prawde: przede wszystkim, skad Edek wziął mundur esesmański i broń. Dostałem od Edka gryps. Właściwie to dostał go Jurek z poleceniem zaznajomienia mnie z jego treścią. Edek opisywał wyprawę. W obozie krążyły różne fantastyczne na ten temat wersje; a to że chodził w Bielsku po sklepach, był nawet w lokalu, zwracając na siebie uwagę szastaniem pieniędzmi itd. Inna wersja głosiła, że udał się z Małą do dentysty, płacąc za usługi złotem, dentysta oczywiście był Niemcem itd... Edek widocznie wiedział już o krążących plotkach, dlatego krótko opisał wypadek. Złapano ich w górach żywieckich, gdzie natknęli się na patrol granicz-ny. Odesłano ich do więzienia w Bielsku, nie rozpoznanych jeszcze. Edek bowiem był nadal w mundurze SS. Obecnie

342.

są codziennie przesłuchiwani. Politische obchodzi się z nimi niespodziewanie łagodnie. Małą nawet częstowano kawą i ciastkami. Pragną się dowiedzieć, w jaki sposób uciekli, a przede wszystkim, skąd dostali mundur i broń. Tego oczywiście nie dowiedzą się nigdy!

Gryps ten uspokoił mnie do tego stopnia, iż zacząłem się łudzić, że dadzą im w końcu spokój i cała historia za-kończy się chłostą i najwyżej „dauernd SK”. Jurek nie po-dzielał jednak mojego entuzjazmu. Twierdził, że jeśli ge-stapo niczego się od nich nie dowie, zastosują inne metody, które pptrafią nawet najtwardszym rozwiązać języki. – Uciekać! Uciekać! I to jak najprędzej, póki nie będzie za późno! – mówił rozgorączkowany. – Radzę ci zdecydować się w końcu, bo ja już to postanowiłem nieodwo-łalnie!

Po paru dniach Jurek mający kontakty z Oświęcimiem przyniósł mi znowu gryps od Edka. Był bardzo lakoniczny i utrzymany w gorszym nastroju. Politische przestało się z nimi bawić. Zbyszek, też blisko związany z Edkiem, miał nawet dość szczegółowe wiadomości. Edek był bity meta-lowym prętem w gołe pięty, a z Małą też już się nie cacka-no. Śledztwo prowadził Boger!

Jurek już nerwowo nie wytrzymał. Wieczorem wez-wał mnie na decydującą rozmowę. Uciekają jutro przez bunkier na „Meksyku”. Idzie ich czterech. Mogę jeszcze do nich się dołączyć. Wszystko przygotowane! Ja jednak nie zdecydowałem się. Następnego dnia uciekło dwóch więźniów, Jurek i „Rudy” z paczkarni. W tym samym dniu z Oświęcimia uciekły dwie osoby. Siedzą teraz w ziemiance na „ Meksy-ku” i czekają dogodnej chwili, by przemknąć się przez dużą postenkietę – rozmyślałem leżąc na buksie, znowu robiąc sobie wyrzuty, że nie skorzystałem z okazji.

Rano, jak co dzień po arbeitskommando, wychodzi-łem z komandem Chamka do roboty. Przed wyjściową bra-mą, po prawej stronie naprzeciw orkiestry esesmani przy-gotowywali więźniom swoistą scenerię.

Podparte łopatami, jak strachy na wróble, stały, a raczej zwisały, zmasakrowane, oblepione gliną i zakrzepłą krwią zwłoki zastrzelonych w ucieczce więźniów. W pierwszym z brzegu rozpoznałem Jurka. Środkowego nie znałem. Trzecim był „Rudy”, pracownik pacz-karni.

343.

Orkiestra grała marsza. Esesman komenderował: – Augen rechts! – Grupka blockfiihrerów stojąca opodal z zadowoleniem obserwowała reakcję na twarzach więź-niów. Tylko szklane oczy zabitych niczego już nie wyraża-ły. Byłem tak wstrząśnięty tym makabrycznym wido-kiem, że ocknąłem się dopiero daleko za bramą na głos Chamka: – Widzisz! tak kończą się ucieczki! – Chamek ciągle obawiał się, żebym kiedyś nie zrobił mu kawału, jak zwykł mawiać dawał mi profilaktyczny zastrzyk ostrze-gawczy. Opatrzność czuwa nade mną – przeszło mi przez myśl. Mogłem być teraz albo w bunkrze, albo wśród tych trzech! Dlaczego trzech?... Przecież uciekło ich czterech! A gdzie czwarty? Zdołał jednak uciec albo ich wyspał myślałem gorączkowo. Wkrótce po przybyciu na FKL Chamek zasięgnął języka u kommandofuhnera, z którym żył w dobrych stosunkach. Zagadka była rozwią-zana. Otóż natychmiast po stwierdzeniu ucieczki wzmoc-niono posterunki SS w obrębie dużej postenkiety. Noc była wyjątkowo ciemna. Jeden z wartowników zobaczywszy czołgających się, sam nie zauważony, podpuścił ucie-kinierów na najmniejszą odległość, po czym dopiero otwo-rzył ogień. Trzech położył trupem, czwarty zdołał umknąć, Po tragicznej śmierci Jurka od dłuższego czasu nie mia-łem żadnej wiadomości od Edka. Zbyszek B. miał pewne przesłanki że sprawa ich

nie wygląda tragicznie. Dawał to do zrozumienia, iż robi pewne starania, które mogą być uwieńczone dobrym skutkiem. W tym celu zbiera kosztowności, a ma dobre źródło u jednej z efingerek na kobiecym obozie. Chce wykorzystać słabość do błyskotek żony Boga-ra z którą miał okazję rozmawiać, prowadząc od pewnego czasu roboty w jej domu przy zakładaniu instalacji. Był dobrej myśli, jeśli chodzi o Edka, natomiast co do Mali sprawa wyglądała gorzej. Była przecież Żydówką. Jednego dnia przłączyłem się do komanda prowadzącego jakieś roboty na budowie Neubau w Oświęcimiu. Stąd z łatwością dostałem się do ślusarni, gdzie miałem sporo znajomych. Chciałem zobaczyć Lubuscha. Może od niego dowiem się czegoś. Nie było go. Bez większych trudności wmeldowałem się na teren obozu. Udałem się na swój dawny blok 28 do dietkuchni, gdzie spodziewałem się zastać

1. w prawo patrz!

344.

Julka K. i Mariana M. – Poszli na jedenastkę – oznajmił Felek W. Złapałem ich na placu obok bloku 21. Właśnie wracali z bunkra, który zaopatrywali w dodatkowe jedzenie. Umożliwił im to kapo bunkra Jakub, mimo złej sławy opiekujący się szczególnie Malą i Edkiem, którzy zaimponowali mu swą niezłomną postawą. Nie wydali nikogo. Politische niczego nie dowiedziało się od nich. Teraz dali im już spokój.

Marian i Julek dokarmiali ich, a Jakub umożliwiał im nawet widywanie się. Podobno Politische odesłało ich sprawę do rozstrzygnięcia do Breslau, skąd miała przyjąć ostateczną decyzję. Czekali więc na wyrok. Sądząc po ostatnich karach za usiłowanie ucieczki, mogło to skończyć się skazaniem ich na SK z czerwonym punktem. Po-twierdzałoby się zatem to, co mówił Zbyszek.

Wróciłem do Birkenau znacznie uspokojony. Karna kompania jest w Brzezince, będę mógł działać. Bednarek nie ośmielił się chyba szykanować Edka.

Dwa czy trzy dni później otrzymałem znowu gryps od Edka. Utrzymany był w jeszcze bardziej minorowym nastroju niż poprzedni. Donosił, że czekają na wyrok, że nikogo nie wydali, że Mała trzyma się dzielnie. Spodziewają się najgorszego, ale żywi nie oddadzą się w ręce kata. O śmierci Jurka wiedział, prosił, żeby uspokoić Lubuscha, by niczego się nie obawiał. Gryps ten otrzymałem od mało mi znanego więźnia z bloku 4. Bałem się, że może to być pro-wokacja, przeto po przeczytaniu list natychmiast zniszczyłem. To samo uczyniłem z poprzednimi grypsami, które nie wiem, dlaczego – dotychczas ukrywałem w schowku razem z innymi szpargałami.

Zbudziłem się zły zimnym potem. Miałem makabryczny sen. Śniło mi się, że przyszedł wyrok i Edek został powieszony. Sen był długi, męczący, z najdrobniejszymi szczegółami. Rano opowiedziałem go Jankielowi.

– To dobry znak! Na pewno wszystko ułoży się pomyślnie – zawyrokował pocziwy Jankiel.

Rozdział LXXXIX

Dzień zaczął się dla mnie pechowo. Rozmawiając z Elżunią, ukryty między trzypiętrowymi łózkami na jej bloku – podłoga była już ukończona – nie zauważyłem

345.

że na blok wszedł niepostrzeżenie młody blockfuhrer i obserwuje nas już od dłuższego czasu. Może gdybym znał tego esesmana, nic by nie było, ale to był jakiś nowy. Stałem na baczność, a on tłukł mnie po twarzy. To nie było właściwie bicie, tylko policzkowanie. Mignął mi Chamek, który momentalnie skądś przypro-wadził naszego kommandofuhrera. Czerwony z hamowanej wściekłości, doskoczył do blockfuhrera. Teraz ten stał przed scharfuhrerem wyprężony jak struna i słuchał wściekłej tyrady szefa, przerywając jedynie pokornym: – jawohl, Herr Oberscharfuhrer! – Wyszedł z bloku jak zmyty. Czegoś podobnego nie spodziewałem się po spokojnym i opanowanym dotychczas scharfuhrerze. Tamten jednak odegrał się na mnie. Polował cały dzień, aż przydybał mnie na lagerstrasse na terenie „neutralnym” i pod nieobecność szefa. Nie bił mnie jednak, tylko kazał ćwiczyć sport. Zapisał też mój numer. Dalej dzień pracy już

minął spokojnie. Gdy jak zwykle wracaliśmy z pracy do obozu przy dźwiękach orkiestry, zauważyłem z daleka na placu obok kuchni, tuż przy dużym zbiorniku na wodę, pojedynczą szubienicę. Zwykle były dwie lub trzy, teraz stała jedna. Wiedziałem już, dla kogo była przygotowana. Makabryczny |sen się sprawdzał. Miałem więc przeżyć egzekucję przyjaciela tym razem na jawie. Po powrocie do bloku natknąłem się na lagerkapo Juppa który zobaczywszy mnie, zbliżył się gestykulując i coś mówiąc dużo o Edku. Zrozumiałem tylko, że Edka przeprowadzono jeszcze po południu. Umieszczono go w ko-mórcie obok kuchni, gdzie Jupp wiązał mu drutem ręce. NNach dem Appel...1 – zakończył. Nie bardzo wiedziałem co to ma oznaczać, chociaż wyglądało to tak, jakby miał mi jeszcze wiele do powiedzenia, tylko teraz nie ma na to czasu, bo zaczyna się apel. Blokowy wypędzał już z bloku ociągających się „Ruskich” na dziedziniec pomiędzy blokami, gdzie Jupp ustawiał ich w szeregach. Zoba-czyłem Grapatina. Na piersiach miał mosiężną tabliczkę na znak że ma dzisiaj służbę. Na wszelki wypadek wsuną-łem się głębiej między szeregi „Ruskich”. Zaczął się apel. Jasiński złożył Grapatinowi raport, ale

1. Po apelu...

346.

temu widać było za mało, bo począł przechodzić przed sze-regami przeliczając sam stan bloku. Zatrzymał się przede mną, przewiercając mnie na wylot swoimi oczami, po czym rąbnął mnie z całej siły w twarz. Raz, drugi, trzeci. Bił mnie raz lewą, raz prawą pięścią. Głowa moja latała to w jedną, to w drugą stronę. W ustach poczułem znany smak krwi. Dał mi wreszcie spokój. W głowie mi szumiało Słyszałem jeszcze, jak na odchodnym wyzywał mnie. Za-spokojony, liczył więźniów dalej.

Apel dobiegał końca. Teraz wszyscy, cały obóz, utar-tym zwyczajem w takich okolicznościach, udaliśmy się przed kuchnię tworząc duży czworobok, pośrodku którego stała szubienica. Sta nałem możliwie najbliżej komórki z której miał być wyprowadzony Edek. Po pewnym czasie drzwi od komórki otworzyły się, ukazał się w nich Edek. Na-stała zupełna cisza. Słysać było tylko skrzyp żwiru pod butami idącego w kierunku szubienicy Edka-skazańca i podą-żającego w ślad za nim Juppa-kata. W miejscu gdzie staną-łem, otworzyło się przejście. Wysunąłem się do pierwszego szeregu, pragnąc, by mnie Edek zobaczył. Szedł wyprosto-wany, blady, o twarzy jakby lekko obrzmiałej. Oczyma szukał znajomych postaci. Byłem pewny, że pragnie mnie dostrzec. Ja stałem tuż, prawie że otarł się o mnie. Wystarczyło tylko szepnąć: – Edek!... – Ale i na to nie mogłem się zdobyć w tej chwili. Stałem jak sparaliżowany! Ta okropna bezsilność! Edek minął mnie, nie zauważając. Zo-baczyłem teraz jego wyprostowane plecy i ręce wykręczone do tyłu, związane drutem. Dzieło Juppa, podążającego za nim truchcikiem. Edek śmiało wstąpił na podium, po czym od razu stanął na taborecie ustawionym pod szubienicą. Pętla dotykała jego głowy. Rozległa się komenda: Achtung! – i po chwili w zupełnej ciszy, wysunął się jeden z esesmanów z grupy stojącej od strony wartowni. Z kartki trzymanej w ręku zaczął czytać wyrok w języku niemieckim. W tym momen-cie Edek stojąc na taborecie poszukał głową otworu pętli i odbiwszy się mocno nogami, zawisł. Dotrzymał słowa Żywy nie odda się w ręce kata!... Esesmani nie pozwolili jednak-na taką demonstrację. Podnieśli krzyk, a lagerkapo w porę się zorientował. Złapał Edka wpół, postawił na ta-borecie, rozluźnił pętlę, Niemiec skończył czytanie wyroku w języku niemieckim i zaczął czytać w języku polskim. Czytał szybko i niewyraźnie. Spieszył się. Edek odczekał

347.

aż skończy. W momencie zupełnej ciszy krzyknął nagle zdławionym głosem: – Niech żyje Polsk... – Ale nie skoń-czył Jupp nagle poderwał taboret, pętla tym razem zacis-nęła się mocno. Ciało Edka wyprężyło się konwulsyjnie, po czym zawisło bezwładnie, głowa opadła na bok. Już nie żył. Ciało, lekko huśtając się na grubym postronku, powoli okręcało się w koło. Promienie zachodzącego słońca odbi-jały krwawe refleksy na masywnym czarnym zbiorniku.

Nie mogłem oderwać oczu od tego widoku. Żeby nie szczękać zębami, zacisnąłem je aż do bólu. Obóz stał nieporuszony.

Milczący tłum tysięcy więźniów zamazywał się w zapa-
dającym mroku. Panowała martwa cisza. Grupa esesma-
nów wycofała się w kierunku wyjścia z obozu. – Czapki
zdjąć!! – rozległa się nagle niespodziewanie polska ko-
menda od strony czworoboku, gdzie był ustawiony blok 4.
Zdawało mi się, że był to głos Tadka P. Cały obóz oddawał
chołd zmarłemu. Wtem któryś z wycofujących się esesma-
nów ryknął głośno: Alles raus! Wegtreten! – Danisz
i Jupp darli się teraz zawzięcie: – Raus! Raus! – W jednej
chwili plac przed kuchnią opustoszał. Został tylko Edek!...
Płakałem z bezsilności i bólu. Nikt się nie dziwił. Usia-
dłem na buksie. „Ruscy” poklepywali mnie, starając się
pocieszyć– Schreiber! trzymaj się! Za wszystko zapła-
cą. Obok mnie ktoś szlochał. To Jankiel. Jak śmiesz-
nie wyglądał ten stary, tak nam oddany, pocziwy Żyd za-
lany łzami. Ktoś podał mi kubek. Wypiłem duszkiem.
Alkohol uspokoił mnie nieco, ale ogarnęła mnie bezgrani-
czna pustka... W drzwiach bloku ukazał się goniec z bloku
z głównej schreibstuby. Przyszedł po mnie. Mam z nim pójść.

W pierwszej chwili przeraziłem się. Byłem pewny, że wzywają mnie na
blockfuhrerstubę. A więc i mój koniec W drodze goniec uspokoił mnie, że w bloku
2 nie ma żadnego esesmana. Są tylko lageraltester Danisz, Jupp, raportschreiber
Gosk i chcą mi coś przekazać. W głównej schreibstubie rzeczywiście byli tylko ci
trzej. Stanolem nieśmiało w drzwiach, rozglądając się bojaźliwie po sztubie.
Podejdz bliżej – miękko powiedział Kazek Gosk.– Nie bój się! Ja ciągle jednak
obawiałem się, że to jakaś prowokacja. Komm! Kommen Sie! Keine Angst, Schreiber!
– dodał Jupp łagodnie. Danisz odezwał się do mnie po polsku:

348.

– Ten Edek to był twój przyjaciel... to był porządny chłop! Nie zdradził
nikogo!... – mówił krótkimi zdaniami robiąc pauzy. – Lagerkapo wiązał mu ręce...
Edek prosił żeby oddać tobie tę kartkę... i jak ci Bóg da żywym wrócić do
domu... masz ją oddać jego ojcu!... – mówiąc to podał mi kartkę złożoną w mały
pakiecik. – A teraz idź na blok, nikomu nic nie mów, bo nam tego nie było wolno
zrobić. Edek był dobry Kamerad! – zakończył, powstając z tabo-retu. Nawet im żal
było Edka.

W bloku w obecności Jankiela i fryzjera sprawdziłem zawartość zawiniątka. Na
karteczce były nazwiska Edka i Mali i ich numery obozowe: Edward Galiński nr 531
Mali Zimetbaum nr 19 880, a w złożonym papierku kępka włosów: krótkie Edka i
zwiniete w pukiel o złotym kolorze

– Mally. Tym razem rozbeczeliśmy się wszyscy troje. A potem wypiliśmy. Niewiele
mi to pomogło. Znowu za-władnęła mną ta nie dająca się opisać pustka.

„Ruscy” cicho nucili: – Zawtra wojna...

Następnego dnia mała Słowaczka – lauf erka – z pła-czem opowiadała mi o
egzekucji Mali. Mała podobnie jak i Edek postanowiła nie dopuścić do wykonania
wyroku przez esesmanów. Będąc już na podium szubienicy, w czasie odczytywania
wyroku podcięła sobie żyły za wczasu przygotowaną żyłką – ale podobnie jak
Edkowi nie po-zwolono jej w ten sposób umrzeć. Dосkoczył do niej rap-portfiihrer
Taube, którego spoliczkowała zakrwawionymi dłońmi. Rozwścieczeni esesmani prawie
zadeptali ją noga-mi na oczach całego kobiecego obozu.

Wyrok został wykonany, ale nie tak, jak tego wymagają przepisy. Zmarła w drodze
do krematorium, wieziona na małym wózku przez więźniarki, które nie były w
stanie| oszczędzić jej nawet tych cierpień. Jedną z nich była mała Słowaczka.
Teraz płakała, wycierając łzy rękawem .Nie znalazłem słów, żeby ją pocieszyć.

Rozdział XC

W Warszawie trwało powstanie. Niewiele o nim wie-dzieliśmy. Esesmani, których
znaliśmy bliżej, ci z którymi miałem powiązania natury handlowej, starali się
nie mó-wić wiele na ten temat. Nawet Schneider, zwykle rozmowny nabrał wody w

usta. Do obozu przenikały jednak różne

349.

nie sprawdzone wieści. Na bloku Jurka zebrania odbywały się regularnie. Nie uczestniczyłem w nich, byłem jednak dość dokładnie poinformowany przez jednego z uczestników o tematach narad. Padały tam wielkie słowa, jak powstanie, ofensywa, Sikorski, Lublin, Londyn, partyzantka, organizacja.. Słuchając tego, myślałem o krematoriach gazowaniu, selekcjach, rozwałkach, terrorze i bezsilności, denuncjacji... Nie! Daleki byłem od politykowania. Od śmierci Edka zobojętniałem na wszystko. Poddawałem się biernie losowi i czekałem, co mi on przyniesie. Elżunia, z którą widywałem się prawie co dzień, wypytywała mnie o ten dziwny stan. Starła się mnie wyrwać z tego marazmu. Była mi bratem i siostrą. Jedyne w rozmowie z nią znajdowałem jakieś ukojenie. Obopólna sympatia pozbawiona była wszelkich erotycznych pierwiastków. Pod jej wpływem powoli wracałem do normy. Otrząsnąłem się z apatii, a wraz z powracającą energią budziła się we mnie nienawiść. Teraz chęć zemsty była we mnie uczuciem najsilniejszym. Byle przeżyć, to już ja im odpłacę! Nienawidziłem ich. Na widok mundurów SS nie odczuwałem już strachu jak dawniej, tylko nieskończoną nienawiść.

Wobec blockfuhrerów zachowywałem się bezczelnie. Już nie stawałem na baczność i nie zdejmowałem przed nimi czapki. O dziwo, jakoś mi to uchodziło i nie zwracali na to uwagi. Jedyne Grapatina unikałem. Ten by mi nie przepuścił.

Któregoś wieczoru wywołał mnie z bloku Jasiński. W jego pokoju oczekiwał mnie rapportfuhrer Wolf. Blokowy dyskretnie się ulotnił. Od czasu jak pracowałem na komandzie, nie miałem z nim kontaktów. Stałem swobodnie obok stołu, trzymając w jednej ręce zapalonego papierosa, drugą miałem w kieszeni, a na głowie czapkę. Przypatrywał mi się swoimi jasnoniebieskimi oczami. Schludny, wygolony, poważny, o inteligentnej, sympatycznej twarzy. Milczał. Ja też! Jakim cudem został rapportfuhrerem-myślałem, przypominając sobie jego zachowanie wobec więźniów. Nigdy nie widziałem, by kogokolwiek uderzył, nawet głosu nie podnosił. W klapie miał wstążeczkę. Dopiero teraz to zauważyłem. Jednak się czymś zasłużył pomyślałem zjadliwie. Musiał coś zauważyć w moim spojrzeniu, bo nie spuszczał ze mnie wzroku, poprawił

350.

wstążeczkę nerwowym ruchem swych długich i delikatnych palców. Mówił powoli, tak bym go zrozumiał:

– Ich fahre zum Urlaub... nach Hause. Sie müssen etwas firmich organisieren, verstehen Sie?1 – Sięgnął po teczkę. Cztery butelki spirytusu. Dwie grube esesmańskie kiełbasy. Papierosy. Nigdy naraz tyle tego nie przywoził. Widać chce zawieźć sporo prezentów rodzinie. – Also, tek komme morgen abends!... gut?2 – W myślach już obliczyłem sobie, ile zarobię na tej transakcji, gdy usłyszałem, że potrzebuje również ubrania. Nowego, cywilnego ubrania I butów też. Wyszedł szybko, nim zdołałem ochłonąć. Tego dotychczas nie było. Czyżby chciał zdezerterować?...

Czasu miałem niewiele. Papierosy i jedną kiełbasę, zo-stawiłem dla siebie. Resztę poutykałem na sobie i pobiegłem do Karola. Karol nie miał nic. Ale wprowadził mnie do sonderkommanda. Tam była giełda. W bloku panował szum jak w ulu. Wielojęzyczny gwar, śmiech, kłótnie, rozmowy, pijane okrzyki, przepychanie. Zapach smażonej przez kogoś cebuli mieszał się z wonią obieranej na sąsiedniej

buksie pomarańczy. Na piecu suszyły się ubrania przez cały dzień padał deszcz – wydzielające mdły odór. Niezwykle elegancki kommandopfleger rozsiewał wokół swej drobnej postaci zapach paryskich perfum. Karol rozmawiał z schreiberem. Wysoki, szczupły, smagły, w okularach w rogowej oprawie, w oficerkach i bryczesach. Podo-bny byłby do mnie, gdyby nie te grube szkła na nosie. Uśmiechnąłem się na wspomnienie, że kiedyś za namową Dina nabiłem w butelkę majstra, podając się właśnie za niego. Teraz schreiber wskazywał w kąt bloku, gdzie miałem załatwić transakcję. Bez pomocy Karola nic bym tu nie wskórał. Wdrapywałem się ostrożnie na buksę, uważając, by nie wypadły mi butelki. Na górze przywitały mnie nieufne spojrzenia. Zwłaszcza ten młody, rozebrany do połowy, ukazujący potężny tors o muskularnych i niezwykle owłosionych ramionach, szacował mnie długo wypukłymi oczami.

W samym kącie, tuż pod okapem dachu, siedzieli

1 Jadę na urlop... do domu. Musi pan co nieco dla mnie zdo-być, rozumie pan?

2 A więc przyjdę jutro wieczorem!... dobrze?

351.

dwóch skulonych starych Żydów. Jeden z nich, o żółtym nie ogolonym zarostcie, przerwał na chwilę swoje zajęcie. Jakimś szpikulcem wydłubywał ze złotych koronek gips czy też ułamane zęby. Spojrzał na mnie krótko, po czym skubał dalej. Okruchy gipsu przyskały dookoła, odbijały się od talerzyków małej wagi wiszącej na wbitym w belki gwoździu, wydając słaby metaliczny dźwięk.

Na puchowej, pokrytej wzorzystym atłasem kołdrze, we wgłębieniu utworzonym ciężarem złota, leżała kupka monet, obrączek, pierścionków, zębów, broszek, łańcuszków. Nad tą garścią kruszcu siedział w kucki okropnie chudy i pomarszczony starzec, wpatrzony teraz we mnie jednym okiem. Drugie, chociaż też wycelowane we mnie, zasłonięte było lupą. Karol, który wdrapał się za mną, tłumaczył im coś po żydowsku.

No? Pokaż, co masz – zwrócił się do mnie atleta po polsku. Tamci dwaj, jak się zorientowałem, byli Holendrami. Wyciągnąłem z kieszeni butelkę. Na razie jedną. Ciężką łapą ujął flaszkę, potrząsnął nią kilkakrotnie, spojrzał pod światło migotliwej świecy.

Das ist Wasser! Woda! Scheiss!... – powiedział wzgardliwie. Zły już, wyrwałem mu butelkę i jednym ude-żeniem odbiłem korek.

Zobacz! wypij, jeśli to woda! Czysty spirytus! – zachwalałem swój towar.

No, nie denerwuj się. Pożartować nie wolno? Już płacę- Sięgnął owłosioną ręką do miejsca, gdzie leżało złoto zaczerpnął pełną garścią i w rezultacie położył mi na kolanach kawał szczęki łącznie z protezą. – Ciężko teraz rzekł usprawiedliwiająco. – Transportów nie ma, Kanada" c'est fini...1 – zakonkludował z prawdziwym bólem. Wściekły, cisnąłem zębami w kupkę, aż zabrzęczało.

Zdziwiony starzec przestał oglądać pierścionek trzy-many tuż przy lupie. Targowałem się zawzięcie. W rezultacie sprzedałem wszystko. Za kiełbasę dostałem platynowy zegarek wysadzany kamieniami. Prawie cała „kupka” powędrowała do mojej kieszeni. Inna rzecz, że były to prze-ważnie zęby... zęby! zęby! A to hieny ci z sonder! Transportów nie ma!... Ciężko teraz! „Kanada” się skończyła!

1.to skończone...

352.

Hieny! Nawet na myśl mi nie przyszło, że jedno z tych zębów mogły być Edka. Blokowy wycygał zegarek. Resztę zabrał Wolf. Z ubraniem nie było kłopotu.

Zarobiłem papierosy i kiełbasę.

Ostatnio wróciłem na wikt obozowy. Paczek już nie otrzymywałem, jak wszyscy zresztą.

Ód blokowego dowiedziałem się, że Wolf wrócił z urlo-pu. Był w żałobie. Nie zastał ani domu, ani rodziny. Miasto było całkowicie zbombardowane. Natknąłem się na niego w bramie naszego bloku, wracając od Edka F. z bloku 1 Zrobiłem mu miejsce, żeby mógł przejść. Zatrzymał mnie – Bist du verriickt!?! – mówił zduszonym głosem. Spoj-rzałem zdziwiony. Był pijany. – Mutze ab! – rozkazał. Sięgnąłem po czapkę. – Lass das... – skrzywił się co pewnie miało oznaczać gorzki śmiech. – Lass das. .Alles Scheisse... Alles kaputt... Verflucht Donnerwetter! -za-klął, zataczając się. – Weg! Weg! J – Nawet nie wiem czy mnie poznał.

Rozdział XCI

Wyła syrena. Przeciagle, długo, na alarm lotniczy. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła jedenasta. Codziennie o tej porze przelatywały alianckie samoloty. Balony zaporowe wznosiły się wysoko w górę, napływała sztuczna mgła. Ale samolotów na ogół nie było widać. Czasem sły-szało się z dala jakieś brzęczenie, czasem słabe, bardzo odległe detonacje. Serca obozowiczów rozpierała radość. Rosła nadzieja. Nawet tragiczny koniec powstania warsza-wskiego nie załamywał teraz wiary w zwycięstwo. Front wschodni, chociaż osłabł teraz w swoim pochodzie, nie był już tak daleki. Walki toczyły się podobno na lini Sanu Wisły i Bugu. Tak przynajmniej mówili ci, których teraz masowo przywożono po kapitulacji Warszawy. Dziwne to były transporty. Większość kobiet, z którymi rozmawiałem, nie chciała sobie zdać sprawy z faktu, że są więźniami

1 Tyś zwariował!?!... Zdejm czapkę!... Zostaw to... zostaw to Wszystko to gówno... Wszystko przegrane... Do stu piorunów Precz! Precz!

353.

obozu koncentracyjnego. Wierzyły święcie, że są interno-Hwane z obozu w Pruszkowie tylko czasowo i że jako nie biorące udziału w powstaniu będą specjalnie traktowane. Oburzone były z powodu warunków, na jakie były zdane w kobiecym obozie. Po krótkim tam pobycie wywożono je w głąb Rzeszy.

W transportach z Warszawy przywożono wiele dzieci.

Na FKL utworzono specjalny blok dziecięcy. W tym celu odstąpiono im jeden z murowanych bloków. Dziedziniec obok tego bloku otoczono maleńkim parkanikiem, a wśród dzieci uwijała się pielęgniarka w białym fartuszk. Jasno-włosa, młoda, ładna, zalotna. Inna niż Sylwia, Halinka czy Elzunia. Na tych było znać piętno obozu. Wanda była pusta, beztroska, cyniczna, zepsuta. Nic wartościowego. Ale podobała mi się. Inaczej niż tamte. Ta mnie podnieca-cała. Wiedziała o tym. Tym bardziej się wdzięczyła. Wymy-kałem się cichaczem z bloku Elżuni na blok Wandy, gdzie czekały mnie zmysłowe emocje. Na razie niewinne, w miarę upływu czasu coraz śmielsze. Aż doszliśmy do momentu, w którym musiałem okazać się w pełni mężczyzną. Moje doświadczenia w tym kierunku były właściwie mierne. . Właściwie nijakie. Ale przecież nie mogłem dać tego poznać po sobie. Wanda przejęła inicjatywę. Za dzie-cięcym blokiem był barak, który wydawał mi się prawie pusty. Na pryczach bez sienników, wśród brudu, jakichś szmat i porzuconych koców leżały dziesiątki trupów i ko-nających. Nie cofnęliśmy się. Trzymając się za ręce, szuka-liśmy odpowiedniego miejsca. Chyba tu. Złączeni uścis-kiem całowaliśmy się namiętnie, teraz tylko wsunąć się na tę buksę. Spojrzałem tam i... otrzeźwiałem.

Patrzyły na mnie okrągłe, szkliste oczy. Oczy te dosłownie wychodziły z orbit, olbrzymie, pełne przerażającej grozy. Z piersi wydobywał się charkot. Kobieta konała. Wanda wpiła się we mnie, trudno było uwolnić się z tego uścisku. – Chodź stąd! Chodź!... – szarpnąłem się ku wyjściu. – Teraz! – Tak, teraz! Tu nie można... – doda-

łem już spokojniej. Popatrzyła na mnie jak na wariata. Następnego dnia jednak pobiegłem do niej. Szydziła ze mnie. Żeby się choć w części zrehabilitować, obiecałem, że znajdę odpowiednie miejsce. Ostatecznie, cóż w tym złego. inni to robią, jeśli tylko mają okazję. Byle tylko nie tam, gdzie umierają. To było okropne, wczoraj. Uciekaj! Idzie ten gruby blockfuhrer! – szepnęła

354.

nagle. Obejrzałem się. Był w odległości może trzydziestu metrów. Poznałem go. Stary, dobroduszny Ślązak. Nie da-lej jak wczoraj pił wódkę z Chamkiem, głośno wymyślając na swą pierońską służbę w SS. Nie było się go co obawiać. Obrócony doń plecami roz-mawiałem dalej. Wanda jednak nie spuszczała go z oka. Słuchaj, on idzie tutaj! – mówiła zdenerwowana. – Nie bój się! Ja go dobrze znam! – uspokajałem pewny siebie. – Pewnie chce papierosa. – Słyszałem już jego ciężkie kroki za plecami. – Pierunie! Ty ślepy albo głuchy – syknął wściekły – A ty, kurwo, nie mogłaś go ostrzec, że ida... – i trzasnął ją trzymanym w rękę kijem. Nim zamachnął się drugi raz Wandy już nie było. – Pierunie, czapka zdej. – Zamiast zdjąć czapkę patrzyłem zdziwiony na jego nalana, czerwoną z pasji gębę. Bił mnie teraz kijem po głowie, zasłaniałem się ręką. Nic nie rozumiałem. Co mu się stało?! – Pierunie, ja cie zabija! Ty ślepy czy co? – Bił ibił Rękę, którą się zasłaniałem, miałem już tak potłuczoną, że z popękanej skóry tryskała krew. – Mandel! Nie widzisz, ciulu – wskazał mi oczami na lagerstrasse, gdzie stała w rozkroku Mandel z jakąś drugą aufseherin przypatrując się tej scenie. – Pierunie, uciekaj ze... – Teraz już zrozumiałem. Prysnałem w jednej chwili w kierunku waschraumu, płosząc dekujące się tam muzul-manki, wystraszone widokiem uciekającego więźnia.! Parę guzów na głowie było niczym w porównaniu z ręką. Żebym chociaż miał na sobie marynarkę, która godziłaby uderzenia. A tak lewe przedramię miałem zbite na kotlet – jedna krwawa rana. – Ci ci się stało? – pytał Chamek. Nie miałem co ukrywać. Opowiedziałem mu o wypadku. – Zaraz powiem szefowi, to już on go ustawi! – Daj spokój – odpowiedziałem. – To moja wina. Głupio się zachowałem. Inna rzecz – pomyślałem – mógł mnie tak nie prać. – A tobie też ktoś dołożył? – spytałem Chamka. dostrze-gając dopiero teraz jego pokiereszowaną twarz. Jakby się golił drutem kolczastym. – Ach! – machnął z rezygnacją ręką – Wera mnie tak urządziła. Wszystkie baby to kurwy! – zawyrokował

355.

W bloku za małym przepierzeniem z desek było coś w rodzaju gabinetu zabiegowego. Chorych wprowadzie je-szcze na bloku nie było, ale w tym małym ambulatorium urzędowała już dr Węgierska. Rękę co prawda umyłem, ale trzeba było jednak to jakoś zawinać. Bałem się tam pójść, żeby nie natknąć się na Elżunię. Cóż ja jej powiem? Było nie było, udałem się tam w końcu, mylnie sądząc, iż Elżu-nia wyszła do Hanki. Owszem, była u niej, ale zdażyła już wrócić. Zajęła się mną tak troskliwie, że zaczynałem mieć wyrzuty sumienia. Przecież nie mogłem się jej przyznać do flirtu z Wandą. Chamek chodził niepokieszony. Ambicja jednak nie po-zwolila mu nawet pokazać się w bloku „narzeczonej”. Cierpiał, wzdychał i popijał, topiąc swój smutek w wódce. Nie wytrzymał. Napisał list. Cały wierszowany. Nafasze-rowany okropnymi miłosnymi wyznaniem. Dał mi go przeczytać. Z trudem hamowałem się, żeby nie ryknąć na cały głos. W dodatku miałem zanieść ten list z upominkiem obiektowi jego westchnień. Nie mogłem odmówić. Chamek był wobec mnie naprawdę bardzo koleżeński. Nic z tego. Upominek wraz z nie czytany wierszem wyleciał całkiem prozaicznie przez okno pokoju Jugosłowianki. Moja wzniosła misja skończyła się na zbieraniu roz-szarpanych smakołyków. Chamek obiecał popełnić samobój-stwo. Skończyło się na upiciu. Marian był niepokieszony. Pod różnymi pretekstami przychodził z Oświęcimia na FKL, by zobaczyć się z Sonią Piękną wiedenka po pobycie na kwarantannie wbrew ogólnemu

mniemaniu nie została zwolniona. Po miesięcznym pobycie w więzieniu wiedeńskim powróciła do obozu. wprost do karnej kompanii. Znałem blokową, toteż namówiłem ją do umożliwienia im spotkania. Mieli pecha – nakryła ich Mandelka. Marian zdołał uciec. Sonia oberwała, ale nie wydała jego numeru. Teraz, żeby jej nie narażać i samemu nie być roz-poznanym, przestał przychodzić na FKL, ale przysyłał grypsy. Karna kompania pracowała teraz w obrębie rewiru, porządkując tereny między blokami. Załatwił to nasz scharfuthrer. Miały tu względny spokój. Na uporządkowanym placu odbywał się koncert dla... chorych. Słuchało go kilka aufseherin i funkcyjnych więźniarek. Śpiewała Maja, wysoka, przystojna warszawianka, kole-

356.

żanka Elżuni. Wypatrywałem Soni, dla której miałem gryps od Mariana. Pracowała w pewnym oddaleniu, gdzie nie mogłem podejść, nie zwróciwszy na siebie uwagi eses-manek lub kapówek. Po ostatnich przykrych doświadczeniach też byłem ostrożniejszy. Dawałem jej znaki, by się zbliżyła. Udając, że kopie łopata dawno już skopaną ziemię, podeszła pod blok. Stąd już mogłem podać jej gryps. Podziękowała słabym uśmiechem. Jakaż ona wymizerowana! Mimo ciepła trzęsła się z zimna, okryta tylko pasiastą suknią, mocno już wypłowiała od deszczu i słońca. Odalając się ciągnęła za sobą oblepione gliną duże drewniaki na swych smukłych i zgrabnych nogach. Miałem jeszcze jeden gryps do oddania. Od Wojtka dla Jadzi. Wojtek i Jadzia byli zatrudnieni na rewirze cygańskiego obozu. Niedługo przed jego likwidacją cały personel rewirowy został nagle wypisany do swoich macierzystych obozów. Kobiety powróciły na FKL, między nimi Jadź-ka, mężczyźni zaś do męskiego na odcinku B. Dr men-gele postarał się, by niektórzy trafili do karnej kompanii między innymi dr Diem, będący dotychczas na cygańskim obozie naczelnym lekarzem, jak i Wojtek, główny schreiber. Wojtek nie miał teraz możliwości widywać się ze swoją żoną – bo z Jadzią związany był już słowem – toteż korzystał z moich usług, gdyż znałem ich dobrze oboje. Jako pracującemu na FKL nie było dla mnie większym problemem utrzymywać ich łączność listowną. Jadzia była wiecznie zapłakana, a i Wojtek zdawał się być bardzo przygnębiony, gdyż obawiał się wywiezienia w głąb Rzeszy, dokąd od pewnego czasu coraz częściej wysyłano transporty więźniów z naszego obozu. A to oznaczało już całkowite zerwanie kontaktu z ukochaną.

Rozdział XCII

W obozie tymczasem panowała dziwna atmosfera nie-pokoju, podniecenia i oczekiwania czegoś, co miało przynieść wielkie zmiany. Cisza przed burzą. Po olbrzymich transportach Żydów węgierskich i ich likwidacji krematoria pracowały teraz na znacznie zmniejszonych obrotach. Transporty przychodziły obecnie rzadko. Selekcjonowano też teraz bardziej tolerancyjnie, skutkiem czego stan obozu znacznie się powiększył. Coraz częściej więc wysy-

357.

łano transporty do innych obozów położonych w głębi Niemiec. W zbombardowanych Niemczech potrzeba było rąk do pracy.

Któregoś wieczoru zostałem wyczytany jako jeden z więźniów mających zgłosić się natychmiast w bloku waschraumowym, gdzie szykowano transport na wyjazd do obozu koncentracyjnego we Flossenburgu. W waschraumie zgromadziło się już około tysiąca więźniów, przeważnie „Ruskich”. Było też trochę Żydów różnej narodowości i byli Polacy. Z Oświęcimia nie miałem zamiaru wyjechać. Kazek Gosk okazał się łaskawy i skreślił mnie jeżdżać. Na moje miejsce podał numer lci Mayera. Tym razem razem pojechał. O jednego szpicla mniej w obozie. W ogóle „gorliwców” prześladował teraz pech. Lagerkapo Jupp zo-przejechany przez parowy walec ubijający główną ulicę obozową. W beznadziejnym stanie odwieziono go na

rewir. Nie było słyhać już jego ujadania w obozie. Danisz, straciwszy drogiego przyjaciela w tak dziwnych okolicznościach, stracił rezon, stając się wcale łagodnym. Nawet Bednarek się zmienił. W bloku karnej kompanii odbywały się teraz mecze bokserskie pod szanownym patronatem

pana blokowego. Boks według wszelkich sportowych za-sad. Bednarek chyba poczuł się znowu Polakiem, bo za-wzięcie dopingował polskich bokserów, Małeckiego lub Antka Czortka, dotychczasowego „pensjonariusza” karnej kompanii i oznaczonego czerwonym punktem na plecach jako fluchtverdachtig. Jednego ranka nie zbudziło się kilku zielonych ver-bre-scherów poczęstowanych wódką ubiegłego wieczoru. Otruli się spirytusem przyniesionym przez „Ruskich” z Zerleger-steribe.. Schneider, ten pijaczyna, plotkarz i kombinator, teraz już niemal otwarcie sprzyjający więźniom (głównie za zęby), przyniósł wiadomość o śmierci niektórych pecho-wych kapów, którzy przed paru miesiącami zgłosili się do-browolnie do oddziałów Dirlwangerera. Zginęli na polu chwały. rozszarpani przez miny. Mało tego, cała kompania wartowników SS złożona z własowców zdezerterowała, zabierając broń i amunicję.

Ostatnio w koszarach SS zarządzono ostre pogotowie, zauważono bowiem podejrzone ruchy na terenach przy-obozowych, jakichś ciemnych typów skradających się nocą pod samą dużą postenkietę. Mieli to być partyzanci lub dywersanci ze zrzutów alianckich. Lotem błyskawicy wia-

358.

domości te rozeszły się po obozie. Nic też dziwnego, że pa-nował stan napięcia i oczekiwania.

Do tych wszystkich wiadomości doszła jeszcze jedna. Obóz ma być zlikwidowany. W każdym razie zaprzestali jego dalszej rozbudowy. „Meksyk” – olbrzymi nowy odcinek obozowy – przestał nagle istnieć. Z kilkunastu tysięcy Żydówek węgierskich zamieszkujących tam w opłakanych warunkach część przeniesiono do drugiego kobiecego obozu utworzonego w Oświęcimiu I. Część wysłano w transportach do innych obozów w głąb Rzeszy, resztę zaś, nie nadająca się już do pracy, została zlikwidowana w komorach gazowych.

Znajdujący się w naszym najbliższym sąsiedztwie daw-ny obóz cygański przeniesiono na lager przejściowy. Coraz liczniejsze transporty przechodziły tam dwu-, trzydniową kwarantannę przed wyjazdem do Reichu.

Z FKL odchodziły też liczne transporty, jak i z obozu głównego w Oświęcimiu. Nic więc dziwnego, że poczęto snuć domysły o likwidacji obozu, tym bardziej że front wschodni dawno przekroczył już linię Sanu. Z myślą o wy-jeździe do innego obozu więźniowie powoli pogodzili się. Ale były też i inne domysły. Zaczęliśmy obawiać się, że być może nas kiedyś w ogóle zlikwidować. To byłoby prostsze niż transportowanie – kłopotliwe zresztą – w głąb Rzeszy. Jednego dnia rozeszła się wieść, niewiarygodna wprost, że przyjechało kino i będzie wyświetlany film dla więźniów. Projekcja miała odbyć się w saunie, tuż obok krematorium' IV. Lageraltester Danisz kazał blokowym wybrać po kilkadziesiąciu więźniów z każdego bloku god-nych obejrzenia tej niecodziennej rozrywki.

Oczywiście znalazłem się wśród szczęśliwców i maszerowałem „z pie-śnią na ustach” wraz z innymi więźniami w kierunku las-ku, gdzie mieściła się sauna. Gdy weszliśmy w głąb krema-torium IV – bo żeby dostać się do sauny, trzeba! było przejść obok niego – okropna myśl przyszła mi do głowy. Przecież mogą nas teraz łatwo zlikwidować. Rozglądałem się trwożnie dookoła. Nie! Co za niedorzeczna myśl. Obok siedł z rękami w kieszeni Schneider przyjaźnie rozmawia-jący z blokowym. W ogóle blockfuhrerów było zaledwie trzech albo czterech, bez pistoletów maszynowych, jedynie z boczną bronią u pasa.

Krematorium wyglądało niewinnie, z komina nie wy-chodził nawet jeden dymek, doły spaleniskowe znajdujące

359.

się po obu stronach szosy, zasłonięte ażurową już teraz laszyną, świadczyły o dawnym ich nieużywaniu. Przed samą sauną powstało małe zamieszanie. Mimo że drzwi były szeroko otwarte, część więźniów jakby ociągała się z wejściem do wnętrza. Byłem wśród tych ostatnich, których Danisz w końcu wpędził do środka. Na wszelki wypadek stanąłem sobie koło drzwi. Cywil w

tyrolskim kapeluszu obsługiwał projektor, obok niego rozsiedli się esesmani. Zaczęła się projekcja. Jakiś film z Marią Rock. Niewiele widziałem, bo zasłaniaли mi stojący przede mną, tekstu też nie rozumiałem. Lekka muzyka działała na mnie jakoś denerwująco, tym bardziej że ciągle mi się wydawało iż słyszę warkot samochodów dochodzący z zewnątrz. W momentach kiedy na ekranie Maria Rock tańcząc ukaazywała swe kształtne uda, na sali wzmagali się szmer uznania, cmokanie i ciężkie westchnienia. Reakcja podobna, jaką słyszało się przed wojną w drugorzędnym kinie. Tu może bardziej jaskrawa, tak że któryś ze zdenerwowanych blockfuhrerów gromko krzyknął: – Ruhe da! – Podniesiony gwar posłusznie ucichł. Z ekranu znów płynęła czysta i niczym nie zmacona sentymentalna piosenka, chwytna dla ucha. Nogi mnie już porządnie bolały, bo starając się coś zobaczyć, musiałem stawać na palcach. Cukierkowaty film zrobił na mnie przygnębiające wrażenie. Z niecierpliwością czekałem końca projekcji pełnej pięknych kobiet, wytwornych panów i wspaniałych górskich plenerów. Wreszcie koniec. Na dworze zrobiło się już szaro. Po effektenlagrze kręcili się więźniowie, omijając olbrzymie góry różnorakiego sprzętu i ubrań tu zgromadzonych, sięgające wyżej dachów parterowych baraków. W milczeniu ustawialiśmy się piątkami. Przed bramą wejściową na teren krematorium stał lagerführer Schwarz z szefem krematorium Mohlem. – Miitzen ab! Augen rechts! – Maszerowaliśmy przed nimi wyprężeni. – Loos! Loos! Schnell-los-poganiał Mohl. – Im Laufschrift marsch! – Obok krematorium IV minęła nas kolumna sonderkommando. Nocna zmiana. W głębi dziedzińca stało auto Czerwonego Krzyża. Zakręciwszy pod kątem prostym na drogę biegnącą do naszego obozu, obejrzałem się w bok. W oddali za sauną, w lasu oddzielającym krematorium III od IV stał tłum ludzi z tobołkami w ręku, dzieci, kobiety i mężczyźni. Było ich tyle, że nikt nie mógł się dać do przodu i zapadał z głębi w gąszczu i zapadał z głębi w gąszczu i zapadał z głębi w gąszczu. Kazano im czekać, aż wybiegniemy z tere-

360.

nu, który do nich wyłącznie należał. Ginęli bez świadków Sonder przecież się nie liczyło.

Wieczorem słodkawy mdlący dym, tak dobrze nam znany, wciskał się szparami do baraku, w którym leżałem.

Nieznosna melodia usłyszana w kinie przyczepiła się do mnie, nie dając zasnąć. Leżałem w ubraniu. Buty miałem pod ręką. Oczekiwałem czegoś, co może stać się jeszcze dziś w nocy. Jakiś blockführer kręcił się koło bloku. Pogwizdywał znaną melodię. Pewnie był też w „kinie z nami.

Noc jednak upłynęła spokojnie. Rano jak zwykle poszedłem z komandem do planierunku.

Rozdział XCIII

Tego dnia nie udało mi się wejść na kobiecy obóz. Chcąc przynajmniej z daleka zobaczyć Elżunię, kręciłem się w pobliżu drutów. Część naszego komanda pracowała teraz na rampie, dowożąc lorami żwir z niedalekiego wykopiska. Popołudnie było dość senne, bezwietrzne i wcale ciepłe jak na początek października. Nagle doszła nas głucho detonacja. Spojrzeliśmy w kierunku lasu, skąd rozległy się dalsze wybuchy i strzały karabinowe. Nad lasem uniósł się słup dymu, bynajmniej nie z komina krematorium. W pierwszej chwili myślałem, że to niespodziewany nalot. Kule ze świstem przelatowały nad rampą. Bezładna strzelanina wzmagiła się z każdą chwilą. Uzbrojeni esesmani pędzili na motocyklach i rowerach główną ulicą wzdłuż rampy. Z pobliskiej wartowni wyskoczył kusztokający Perschel i wykrzyknąwszy coś do nas, wsiadł na swój rower, kierując się co sił w stronę krematoriów. Znowu jakaś zabłąkana kula bzyknęła mi nad głową. Wskoczyłem do stojącej pustej lory. Inni zrobili podobnie. Z biciem serca oczekiwałem, co będzie dalej, obserwując ukradkiem teren. Czyżby partyzantka, o której ostatnio było coraz głośniejsze, podeszła pod sam obóz?

Jak to dobrze, że sprawiłem sobie takie wygodne buty, wysokie, sznurowane, o podwójnej żelówce, bryczesy i cywilną marynarkę o cienkich i łatwo zmywalnych czerwonych sztrajfach. Czuję, że „to” musi się stać. Byłem na „to” przygotowany, teraz tylko przeczekać tę strzelaninę pod osłoną żelaznych lor i jak wtargnąć do obozu....

361.

Ach, że Edek nie dożył tej wspaniałej chwili. Tymczasem strzelanina jakoś jakby przycichła, wyraźnie dalała się w kierunku Harmęż. Od strony Oświęcimia jechała obozowa feuerwacha. Paliło się czwarte krematorium. Strzałów już nie było słychać. Widocznie partyzanci, skończywszy swoje zadanie, wycofali się. Więc nie było to jeszcze „to”, na co oczekiwałem z dnia na dzień. Rozczarowany, gramoliłem się niezdarnie ze swego ukrycia. Kapo zwoływał swoich ludzi. Kommandofuhrer zarządził zbiórkę. Nie brakowało nikogo. Wracając do obozu wiedzieliśmy już z grubsza, co było powodem strzelaniny. Bunt w krematorium IV i II. Karol z „Kanady” miał rację mówiąc mi kiedyś, że sonder przygotowuje się do akcji. Liczyli się z tym, że SS zechce ich pewnego dnia wszystkich zlikwidować. Odszukałem Karola. Był niezwykle przygnębiony. Twierdził, że stało się tak na skutek zdrady. Ktoś z załogi IV krematorium usiłował zadenuncjować przygotowania sonder, przeto nie wypadało im inaczej, jak rozpocząć bunt bez porozumienia się nawet z innymi załogami krematoriów. Okazało się to tragiczne w skutkach. Kto nie zginął w trakcie ucieczki, ten zginął na dziedzińcu IV krematorium rozstrzelany natychmiast po stłumieniu buntu. Obsługa krematoriów III i V, nie biorąca udziału w buncie, spalała ich właśnie teraz w piecach. Kilku pozostawiono przy życiu dla wiadomych potrzeb Politische. Jeśli zaczną sypać, zginie jeszcze wielu więźniów- Uciekajmy! – szeptał Karol niemal błagalnie. Nie myślałem już o ucieczce. Zważyłem też w uwolnienie z obozu przez partyzantów. Oswoiłem się za to z myślą wyjazdu do innego obozu. Niemal codziennie odchodziły teraz transporty. Lada dzień mogłem i ja wyjechać. Postanowiłem pożegnać się z Elżunią. Podarowałem jej maleńki złoty zegarek i tabliczkę czekolady, którą przyniósł mi Karol. Na pożegnanie pocałowała mnie „po siostrzanemu” w policzek. Elżunia spodziewała się też wkrótce wyjechać z transportem. Czy też kiedy zobaczę ją jeszcze? – myślałem, wracając z kobiecego obozu. Nazajutrz nie poszedłem do pracy. Byłem na liście transportowej, jak wielu innych. Edek Ferenc, Józek Waśko, Jurek Baran. Zbyszek Baranowski jeszcze raz się wyreklamował. Ja już nawet nie starałem się o to, tym bardziej

362.

że z Oświęcimia przyprowadzono na dawny cygański obóz setki starych więźniów, wśród nich Mariana M., Julka K, Jędrka W., Ludwika K., moich dobrych i bliskich kolegów Ze swej skrytki wyciągnąłem swoje skarby: portret Mali, zdjęcie siostry, ostatni od niej list, złożoną kartkę z włósamiami Edka i Mali, laurki od Haliny i grypsy od Elżuni oraz jeden z grypsów od Edka przysłany mi z bunkra, którego przez przeoczenie dotychczas nie zniszczyłem. Wszystkie grypsy i laurki spaliłem, resztę zaofiarował się Julek K. przechować w swoim portfelu. Z wartościowych rzeczy posiadałem jedynie swój własny zegarek, na noszenie którego dostałem zezwolenie jeszcze kiedyś, gdy byłem blockschreiberem. Marian z Julkiem przygotowali się nieco lepiej na wyjazd. Mieli ze sobą spory karton po margarynie wypełniony wiktuałami, margaryną, cukrem, esesmańską kiełbasą. Karton posiadał podwójne dno. Tam ukryto parę drobiazgów ze złota i portfel Julka, do którego Marian dołożył jeszcze zdjęcie Soni, podarowane mu kiedyś po jej powtórnym przyjeździe z Wiednia do obozu. Podczas kąpieli i dezynfekcji w saunieomalże nie utraciłem swoich doskonałych butów, mających w moich marzeniach służyć mi w partyzantce. Dzięki Dawidowi z „Kanady”, który nie wiadomo skąd się nagle tu znalazł, odzyskałem buty, bryczesy natomiast przepadły. Żeby mi tę stratę powetować, wystarał się o doskonały wełniany płaszcz, ciepłą bieliznę i niezłe ubranie. Kuchnia wydała nam po bochenku chleba, kawałku margaryny i kiełbasy. W końcu ustawiono nas setkami na śródnicowej. Na rampie stał już przygotowany pociąg towarowy. Załadowanie trwało długo. Wreszcie niebywale ciasno stłoczeni, tak że trudno było się nawet obrócić, znaleźliśmy się w wagonie. Po pewnym czasie weszło dwu postów. Teraz stłoczono nas jeszcze bardziej, bo środek wagonu miał pozostać wolny dla konwojentów. Nim pociąg ruszył, zdażyłem wydlubać maleńką dziurkę w ścianie. Wagon nasz znajdował się akurat naprzeciw kobiecego rewiru. Kilka więźniarek w białych kitlach stojących obok jednego z bloków cierpliwie czekało na odjazd pociągu. Starałem się wzrokiem odszukać małą sylwetkę Elżuni, ale wśród zapadającego szybko zmierzchu trudno było coś rozróżnić. Do wagonu wszedł jakiś scharfuhrer, dokładnie jeszcze raz nas przeliczył, po czym kazał postom zasunąć drzwi. Powolutku, metr za metrem, opuszczaliśmy rampę

Przez otwór w deskach nie było już na co patrzeć. Na dwo-rze panowały ciemności. Pociąg nabierał rozpędu. Na za-kręcie koła piszczały niemiłosiernie. Podobnie jak cztery i pół roku temu, kiedy tu przyjechałem. Żegnaj, Oświęcimiu! Przeżyłem cię... Ale co będzie da-lej? Koła wagonu stukwały równomiernie. Wszyscy milczeli. Pewnie myśleli o tym samym, co ja przed chwilą: – Co bę-dzie dalej?...

Rozdział XCIV

Jeden z postenów, rozwalony na całą długość środko-kowej części wagonu, spał w najlepsze. Drugi, siedząc na ta-borecie, walczył ze snem, ale czuwał. Dyndająca u sufitu kolejowa latarka rzucała nikłe światło na stojących po obu stronach wagonu więźniów. Prowizoryczne odrutowanie, mające nas oddzielać od pomieszczenia dla konwojentów, nie dawało żadnego oparcia. Nogi bolały już niemiłosier-nie. Do wydłubanej wczoraj dziurki włożyłem scyzoryk. Trzymając się go ręką miałem złudzenie, że opieram się na nim. Pragnienie dokuczało coraz więcej. Powieki ciążyły jak ołów. Tak samo płaszcz, ciepły co prawda, zdawał się teraz ważyć tonę. Bolały mnie plecy i kłuło pod łopatką. Przypomniał mi się stehbunkier. Ale nawet tam jakoś so-bie radziłem. Przynajmniej były nocniki, na których mo-głem sobie usiąść. Wątpliwe oparcie na scyzoryku nie przynosiło żadnej ulgi. Pociąg mijał jakieś osiedla i miasta, niestety nie udało się nam nigdy odczytać ich nazwy. Orientowaliśmy się jedynie, że jesteśmy w Niemczech, ale dokąd jechaliśmy, nie mieliśmy pojęcia. Posteni milczeli. Niektórym żołądki zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Radzono sobie różnymi sposobami. Smród, jaki powstał, wprawił w zły humor postów. Stali się teraz dokuczliwi, złośliwi, za lada powodem tłukąc nas kolbami swych kara-binów. Nie pozwolili już teraz nawet korzystać z wąskiej szpary w drzwiach wagonu. Tak minęły dwadzieścia cztery godziny od naszego wyjazdu z Oświęcimia. Na dworze panowała znowu noc. Koła pędzącego wciąż pociągu stukwały rytmicznie na spojeniach szyn. Staliśmy już od dłuższego czasu na jakiejś stacji. Przez wywiercony otwór widziałem coś, jakby biegające sylwetki ludzi, a raczej tylko błakające się niewielkie światełka

latarek przeciwlotniczych. Z daleka dał się słyszeć jęk sy-reny alarmowej. Za chwilę powietrze drżało od wyciasetek syren, dających znać o zbliżającym się nalocie. Posteni podskoczyli do drzwi i rozsunawszy je szerzej, wyglądali z ciekawością i niepokojem w czerń nocy. Na niebie krzy-żowały się światła reflektorów. Gdzieś daleko rozszalał się ogień artylerii przeciwlotniczej. Poprzez jazgot działek do-latywał od czasu do czasu głuchy odgłos wybuchów bomb. Zrobiło się jasno jak w dzień. W górze ukazały się wolno opadające choinki, rzucające oślepiające światło, przy którym ruchome, jasne smugi reflektorów nawet zbladły. Te-raz już wyraźnie było słychać potężny huk setek lecących nad nami bombowców, tak potężny, że ogień artylerii przeciwlotniczej strzelającej obecnie w najbliższym są-siedztwie wydawał się jedynie wściekłym, acz niegroźnym jazgotem. Po blaszanym dachu naszego wagonu bębniły nieustannie odłamki szrapneli. Olbrzymia detonacja tar-gnęła powietrzem. Jedna, druga, trzecia. Wszystkie w jed-nakowym odstępnie czasu. Pęd powietrza odrzucił postów od drzwi aż po druty naszego prymitywnego ogrodzenia. Wagon podskoczył na szynach, zdawało się, że rozleci się na kawałki. Nagle wszystko ucichło. Biała, jaskrawa poś-świata ustępowała migotliwej czerwieni. Łuny pożarów zbombardowanego miasta otoczyły nas zwartym kręgiem. Posteni szeptali coś między sobą. Padło słowo Berlin. A więc byliśmy w Berlinie! W stolicy „niezwycięzonych! hitlerowskich Niemiec. Na widok palących się wokół bu-dynków rozpierała nas radość, rosła otucha. Zapomnie-liśmy nawet o niesamowitym zmęczeniu, które tak dotkli-wie odczuwaliśmy do tej pory. Nastawiliśmy uszu, bo posteni mówili teraz o obozie do którego jechaliśmy. Oranienburg! Zatem jesteśmy już prawie u kresu podróży. Ktoś z więźniów wdał się z poste-nami w rozmowę i, o dziwo, otrzymał odpowiedź nawet zupełnie grzeczną. Za godzinę najdalej będziemy na miejs-cu! Minęło jednak jeszcze sporo czasu, nim ruszyliśmy. Pociąg włókł się okropnie, co chwila stawał, parę razy nawet najwyraźniej jechaliśmy do tyłu. Zdawało nam się, że minęło parę godzin. Zmęczenie dawało nam

się znowu we znaki ze zdwojoną siłą. Oranienburg wprawdzie miał złą sławę, ale pragnęliśmy już być na miejscu. Stanęliśmy w końcu na jakiejś bocznicy. Nic teraz nie widzieliśmy, bo posteni wyszedłszy zasunęli szczelnie drzwi wagonu

365.

Gdzieś z przodu pociągu dolatywały nas wściekłe wrzaski komend i ujadanie psów. Tam z przodu odbywało się wyładowywanie. Podjechaliśmy znowu kilkadziesiąt metrów. Teraz na pewno kolej na nas.

Ktoś z zewnątrz szarpnął mocno drzwi, które nagle rozsunęły się z obu stron. Ostre światło reflektorów oślepiło nas zupełnie. Staliśmy stłoczeni w drzwiach wagonu, trzymając swoje zawiniątka, niezdecydowani, co robić. Wtem ryknął ktoś tuż przy samym wagonie: – Loos! Aussteigen! – Jakiś więzień, widocznie funkcyjny – można to było sądzić po olbrzymim kij, którym nader umiejętnie się posługiwał – podskoczył do wagonu wrzeszcząc: – Alle Packete bleiben hier! – Zrobił się niesamowity tumult, gdyż część więźniów posłusznie zawróciła, chcąc złożyć w wagonie swoje paczki, inni zaś, popędzani przez jakiegoś esesmana, czym prędzej umykali spod zasięgu jego ręki, skacząc na głowy zawracających. Trzymając kurczowo swoją paczkę z oświęcimskimi wiktuałami, oczekiwałem odpowiedniego momentu, żeby wyskoczyć z wagonu i nie być uderzonym przez esesmana, a również nie stracić tej odrobiny jedzenia, którą miałem w zawiniątku. Za starym więźniem byłem, by dać się nabrać rozkazowi kapo. Podobnie zachowywali się moi przyjaciele: Jurk, Marian, Ludwik, Andrzej. Wyskoczyłem z wagonu w momencie, który wydawał mi się najodpowiedniejszy. Kapo zaabsorbowany wydzieraniem komuś paczki nie zdążył już zająć się mną. Przebiegłem kilkanaście metrów wśród szpaleru ustawionych w dwu rzędach esesmanów. kopiających, podstawiających nogi, wymachujących kijami. Oślepiony ponownie tym piekielnym reflektorem, ale wiedziony jakimś zwierzęcym instynktem, unikałem uderzeń. Skacząc jak zając, robiąc uniki przed drągami, wy dostałem się wreszcie z zasięgu reflektora. Przede mną ukazała się szeroko otwarta olbrzymia brama jakiejś hali. Jeszcze parę metrów... i w tym momencie otrzymałem piekielny cios czymś twardym prosto w twarz. Siła uderzenia rzuciła mnie w tył. Straciłem równowagę i byłbym upadł gdyby ponowne mocne uderzenie, tym razem w plecy nie poderwało mnie znowu do przodu. Ale już po kroku

1. Nuże, wysiadać!
2. Wszystkie pakunki zostaną tutaj!

366.

potknąłem się o podstawioną mi nogę. Runąłem do przodu. Biegnący za mną więzień w ostatniej chwili przeskoczył mnie, nim rzucił się na mnie poszczuty przez esesmana pies. Warcząc groźnie, ciągnął za poję płaszcz. Usłyszałem nad głową znowu świst pejcza. Jakimś nadludzikiem wysiłkiem zerwałem się z klęczek, dając susa ku przodowi. Z tyłu zaskowyczał pies. Widocznie moje nagłe szarpnięcie wbiło mu ostrą kolczatkę w kark.

Doleciały mnie jeszcze przekleństwa i ponowny świst pejcza, ale już byłem poza jego zasięgiem, w drzwiach wielkiej hali fabrycznej. Jakiś kapo popychając mnie do szeregu spojrział na mnie dziwnie. Pod wpływem tego spojrzenia przycisnąłem mocniej zawiniątko, którego mimo wszystko nie puściłem. Drugą ręką usiłowałem obetrzeć sobie nos. Krew!?!... Dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że przed chwilą dostałem drągiem w usta. Nagle uczułem tępy, nieznośny ból. Pociągnąłem dłońią

po ustach. Wargi i nos były niewątpliwie opuchnięte i czułem, że puchną mi nadal. Dłoń zakrwawiona, jej zewnętrzna strona z wyraźną siną pręgą. Poruszyłem palcami. Całe. Tylko przy zginaniu bołą. Widocznie w ostatniej chwili zdążyłem się nią zasłonić przed uderzeniem. Ręka złagodziła cios. Może dlatego mi nie wyleciały zęby. Językiem wyraźnie wyczuwałem, że są – wszystkie, tylko mocno się ruszają, zwłaszcza te górne na samym przodzie. Splunałem. Krew! chole-ra! Zwróciłem się do stojącego obok mnie – Ty! Jak wyglądam? – Spojrzał na mnie zdziwiony, bo zamiast słów usłyszał niezrozumiały bełkot. Domyślił się jednak: Ale cię urządzili! – Powiedział z litością. Wyciągając z kieszeni płaszcz chusteczkę, szukałem wzrokiem swoich. Stali w drugim rzędzie o parę kroków przede mną. Przysunąłem się do nich: – Co ci jest? – zapytał zawsze troskliwy Ludwik, widząc, że trzymam chusteczkę przy ustach. Mówić nie mogłem, więc odjąłem chusteczkę. Ach! Ale cię urządzili! – Z litości nad samym sobą pociągnąłem nosem i połknąłem przy tym kawał skrzepłej krwi. Zrobiło mi się słabo. Ludwik, znający niemiecki, zapytał kapo, czy nie mógłbym pójść do waschraumu trochę się obmyć. Był to ten sam kapo, który tak przedtem spojrzał na mnie badawczo. Myślałem wówczas, że chce mi zabrać moją paczkę z żywnością. – Ja! ja, gehe – rzekł nawet dość łagodnie, wskazując umywalnię znajdującą się naprzeciw. Zimna jak lód woda

367.

otrzeźwiła mnie nieco. Ktoś podał mi kawałek lusterka. Czarnosine wargi miałem wywinięte, a szczególnie górną do tego stopnia, że dotykała niemal nosa, również o-brzmiałego. Z oczu pozostały tylko wąskie szparki. Wyglądałem jak maskara. Opuchlizna rozprzestrzeniała się na całą twarz. Głowa dosłownie pękała mi z bólu. Zęby co prawda miałem całe, ale przy poruszaniu językiem bałem się, że mi powylatują, tak słabo trzymały się dziąseł. Cholera! Ale mnie urządzili! Mój pierwszy chrzest w Oranienburgu.

Rozdział XCV

Apel! Wbrew pozorom apel odbył się szybko i bezboleśnie. Dowiedzieliśmy się w końcu, gdzie się znajdujemy. Nim przyjedziemy do obozu Oranienburg, znajdującego się zaledwie o paręset metrów stąd. mamy przejść tu na tej sali kwarantannę. Był to jeden z hangarów lotniczych zakładów Heinkla, tymczasowo przystosowany na nasze przybycie. Połowę hali zajmowało kilkaset trzypiętrowych łóżek. W każdym łóżku siennik i po dwa koce. Było nas około dwu tysięcy, wypadało więc na łóżko po dwie osoby. Ze względu na panujące w hali zimno i małą ilość koców spanie we dwóch nie było jeszcze najgorsze. O wiele gorzej było ze mną. Obolała twarz puchła ciągle, dostałem dreszczy, pewnie miałem gorączkę. Mimo bólu zmęczenie wzięło górę. Zasnąłem. Rano czułem się już nieco lepiej, a po upływie dwóch dni twarz skłęsała, wargi zaczęły się goić i zęby jakby się teraz mniej ruszały. Wracąłem do zdrowia, a wraz z nim wracał apetyt. Do pracy nie wychodziliśmy w ogóle, w związku z czym całymi godzinami, w przerwach między nalotami, wylegiwaliśmy się na swych wyrkach, plotkując i zajadając nasze szczupłe zapasy. Wstrętne jedzenie, jakie otrzymywaliśmy, nie wystarczało na zaspokojenie głodu. Zaczęli tedy niektórzy przehandlowywać przemycone z Oświęcimia drobiazgi ze złota, nabywane chętnie przez funkcyjnych, okradających nas nielitościwie z naszych i tak minimalnych porcji. Kapowie doszli jednak szybko do przekonania, że handel nie popłaca, toteż zarządzili apel, w czasie którego każdy z nas przeszedł dokładną rewizję. Obłowili się solidnie my zaś zaczęliśmy głodować. Przed ich chciwymi

368.

argusowymi oczami nie uchwalał się też Mariana i Julka karton po margarynie o podwójnym dnie, gdzie były ukryte nasze oświęcimskie pamiątki i kilka wyrobów ze złota, trzymany na czarnej godzinie. Zwrócono nam tylko nasze osobiste rzeczy, między innymi zegarki: Julka i mój na które mieliśmy zezwolenie od władz obozu oświęcimskiego. Julek sprzedał wkrótce swój zegarek. Dostał kawałek chleba, parę papierosów i kilka misek zupy. Podzielił się tym z nami po koleżeńsku. Kapo, ten sam, który odnosił się do mnie dość przyjaźnie, gdy chodziłem z obolałą gębą, zwrócił uwagę na mój zegarek. Zegarek marki „Lan-co” nie był wiele wart, jednakże ten „na Heinklu” przedstawiał pewną wartość, toteż targowałem się długo, by wyciągnąć zeń jak najwięcej jedzenia. Jednorazowo otrzymałem pół bochenka chleba i trochę grubej machorki, do końca zaś naszego pobytu na kwarantannie miałem dostawać dodatkowo miskę zupy ze ślimaków. W rzeczywistości otrzymałem parę razy dolewkę bodaj trzy miski ślimaków, śmierdzących i okropnie słonych. Popijając je obficie ziółkami lub po prostu wodą. można było trochę oszukać głód, wypełniając tym świństwem żołądek. Mimo że „na Heinklu” nie pracowaliśmy, mieliśmy tu życie wcale urozmaicone. Dzień w dzień było parę nalotów. W nocy również. Na odgłos syreny zwiastującej nalot wybiegaliśmy z hali do nędznego sosnowego lasu znajdującego się opodal. Wiedzieliśmy już, że w najbliższym sąsiedztwie znajduje się lotnisko. Narazeni więc byliśmy na zbombardowanie, czego z utęsknieniem oczekiwaliśmy tak nam obrzydła ta wielka, przewiewna i zimna hala, samoloty alianckie jakoś mijały „Heinkla”. Czasem zdarzało się, że bomby spadały gdzieś w pobliżu, nasza hala jednak stała wciąż nietknięta. W czasie nocnych nalotów obserwowaliśmy łuny nad Berlinem. Im większe one były, tym bardziej rosła nasza radość i nadzieja na rychły koniec wojny. Któregoś dnia podczas dziennego nalotu odłamek spadającego szrapnela rozwalił komuś głowę. Od tego czasu wybiegaliśmy zawsze do lasu z miskami na głowach, które jeszcze dodatkowo przykrywaliśmy złożonymi kocami, co miało nas chronić przed często padającymi na las odłamkami pocisków artylerii przeciwlotniczej. Gęsto ustawione w okolicy działa artylerii hałasowały potwornie, a spadające z nieba ostre

369.

kawałki stali wydawały przejmujący dźwięk jakby tysięcy grających skrzypiec. W czasie pogodnych dni siedzieliśmy całymi godzinami w lasu. Naloty były tak częste, że niejednokrotnie zaledwie odwołano jeden nalot, był już następny. Popołudnia były zwykle spokojne. Wtedy na niebie ukazywały się samoloty niemieckie. Szczególnie jeden samolot startujący z pobliskiego lotniska zwrócił naszą uwagę. Osiągnąwszy znaczną wysokość, niespodziewanie odczepił spod skrzydeł drugi, o wiele mniejszy samolot o krótkich i bardzo szerokich skrzydłach. Samolot ten, niezwykle zwrotny i szybki, utrzymywał się przez parę minut w powietrzu, doknując szeregu ewolucji, po czym ostro pikował w kierunku lotniska. Najciekawsze było to, że pojazd ten latając nie wydawał żadnego dźwięku, był więc przypuszczalnie bez motoru. Wszystkowiedzący Ludwik stwierdził, że jest to nowy rodzaj pocisku V, kierowany falami radiowymi. Nawet tu w obozie przebąkiwano coś o nowej fantastycznej broni niemieckiej, mającej wkrótce rozstrzygnąć losy tej wojny. Jednego dnia spadło kilka ciężkich bomb w odległości zaledwie kilkuset metrów od naszego lasu, właśnie tam, gdzie było lotnisko. Olbrzymi czarny słup dymu długo unosił się w powietrzu. Jednak już po południu z tego samego lotniska startowały znowu niemieckie myśliwce. Flegmatyczny i zawsze rzeczowy Jędrzek, pewnie najmocniej odczuwający spośród nas głód, rzekł, wolno przełykając ślinę: – Mogliby wreszcie nam rzucić parę kiełbas zamiast tych ustawicznych bombardowań... Nim nas alianckie bomby rozniosą, z głodu zdechniemy – dorzucił podciągając wymownie opadające mu wciąż spodnie, nie mające się teraz na czym trzymać, bo okrągłe kształty, jakie wywiózł z Oświęcimia, dawno już stracił. – No, kto teraz liczytuje? – denerwował się Ludwik, zapalony brydzysta, trzymając w garści małe pasjansowe karty cudem ocalałe podczas ostatniej rewizji. W czasie nalotu, opierając się o wątle sosenki, grywaliśmy w karty, korzystając z tego, że Niemcy siedzieli teraz w schronach przeciwlotniczych. – Pas – roześmiał się Julek, bo właśnie syrena odwoływała nalot. – Dokończymy w czasie następnego nalotu. Chodźmy! Może zdążymy w końcu zjeść te ślimaki-Bo nalot przerwał nam wydawanie obiadu.

Rozdział XCVI

Przyjechali „kupcy”, handlarze żywym towarem-jak przezwaaliśmy przedstawiciele firm niemieckich werbu-jących fachowców do pracy w filialnych obozach koncen-tracyjnych, utworzonych przy różnych fabrykach i kopal-niach. Nie pchaliśmy się. Nigdy nie wiadomo, gdzie człowiek może wylądować. Naszą dewizą obozową było: nie być pierwszym, ale i nie ostatnim. Kilka grup złożonych z Ukil-kudziesięciu więźniów już odjechało ze swymi opieku-nami-pracodawcami. Należało się w końcu zdecydować za jakiego fachowca najlepiej będzie się podać. – Ach żeby tak potrzebowali studniarzy – wzdychał Edek F. który w Birkenau miał właśnie komando brunnenbohre-rów, złożone z siedmiu ludzi. Dobre komando...! Istał się cud. Właśnie jakiś cywil naradziwszy się przed chwilą z naszym lagerfuhrerem, esesmanem w randze oberscha-fuhrera, najwyraźniej w świecie zwywał do występowania z szeregu studniarzy: – Wer ist Brunnenbohrer? Austreten! Loos! – Edek, nie wierząc własnym uszom, wystąpił pierwszy, niepewnie oglądając się na nasz szereg, w któr-rym staliśmy. – Wernoch! Ist niemand da?1 – Nie namy-ślając się już więcej, runęliśmy ławą, dołączając do samot-nie stojącego Edka. Zapisano nasze numery. Tu w Ora-nienburgu byliśmy milionowcami. Ponad 113 000. Zz ty-dzień mamy wyjechać! Byliśmy przekonani, że studniarze to dobry zawód. Będziemy pracować albo gdzieś w mająt-kach ziemskich, gdzie oczywiście będzie można łatwo coś zdobyć do jedzenia, albo w najgorszym razie w zbombar-dowanych miastach, co też wydawało nam się nie najgor-sze. Pełni jak najlepszych nadziei, zasnęliśmy spokojnie tego wieczora. Następnego dnia Edek dostał okropnych boleści. Za-niesiono go do rewiru w Oranienburgu, tam wycięto mu wyrostek robaczkowy, mocno już zaropiały. Co za pech, obleciał nas strach, bo prócz jednego Edka nikt z nas prze-cież nie znał się na kopaniu studni.

1 Kto kopie studnie? Wystąpić! Już!... Kto jeszcze! Nie ma nikogo?

Po południu jak zwykle staliśmy na przeglądzie. Wyso-ki szczupły, o miłej powierzchowności, w tyrolskim kape-lusiku. ze znaczkiem partyjnym w klapie „kupiec” poszu-kiwał elektryków. Potrzebował ich sześćdziesięciu. Zapo-trzebowanie było pilne, jeszcze dzisiaj odjazd. Pierwszy zgłosił się mechanik z prawdziwego zdarzenia, inżynier, stary więzień Oświęcimia. Po krótkiej rozmowie z cywilem sam zaczął wybierać elektryków. Werbował całą starą wiarę. Zgłosiliśmy się też. Marian, Jędrrek, Ludwik, Cze-siek ,Wojtek. Niedoszli brunnenbohrerzy, za to doskonali elektrycy”. Znowu zapisano nasze numery i kazano ustawić się przed schodkami prowadzącymi do kantorka, w którym rozsiadł się nasz „kupiec”. Przed jego oblicze miał się sta-wić każdy po kolei. Zgłoszeń było za dużo, więc postano-wił nas preselekcjonować. Egzaminował każdego z facho-wych wiadomości. Nim przyszła kolej na nas, zdążyliśmy się już dowiedzieć, kto to zacytował. Był inżynierem. Nazywał się Siemers. Hitlerowiec, werbował nas do fa-bryki Philipsa. Przyszła kolej i na mnie. Egzamin odbywał się na szczęście w obecności naszego inżyniera, co dawało mi pewne szanse, gdyż znaliśmy się dobrze. – Beruf? – Elektryk! – Wie alt sind Sie? – Dreiundzwanzig! – Be-ruf vor dem Krieg? – Schiller. – Wieder Schiller?1 – po-kręcił głową Siemers, widać mający już pewne wątpliwo-ści co do naszych kwalifikacji. Zadał mi jeszcze parę py-tań, po czym zanotowawszy coś, kazał odejść. W drzwiach mijałem się z następnym kandydatem. Cała nasza paczka została zakwalifikowana do wyjazdu. Byliśmy tak samo dobrymi elektrykami, jak i studnia-rzami co prawda, ale instynkt mówił, że lepiej być fachow-cem w dziedzinie elektryczności, tym bardziej że inżynier Siemers odnosił się do nas raczej przyjaźnie i traktował nas po ludzku. Z zachowania się jego wyraźnie było widać, że potrzebuje nas do konkretnej pracy, a nie na wykańcza-nie. Pragnęliśmy wyjechać jak najprędzej, żeby przypadkiem nie wykryło się, iż zgłosiliśmy się również jako dobrzy specjaliści do kopania studni. Następnego ranka opuszczają-

liśmy wielką i nieprzytulną halę „Heinkla”, żegnani

1. Zawód? – Ile pan ma lat? – Dwadzieścia trzy! – Zawód wojną? – Uczeń. – Znowu uczeń?

372.

zazdrosnymi spojrzeniami tych, którzy odpadli podczas egzaminu. Skrupulatny Julek odnotował w swoim notesi-ku: – 14 listopada 1944 – wymarsz do Sachsenhausen.

Jak na połowę listopada było wcale ciepło. Maszerowa-liśmy dziarsko w piątkach ulicami jakiegoś miasteczka. Przechodnie odwracali się od nas ze wstrętem, demonstra-cyjnie zatykając sobie nosy. Na pewno nie było nas czuć wodą kolońską. Wśród szpaleru drzew po obu stronach ulicy bawiły się dzieci, zbierając opadłe z drzew liście. Na nasz widok czułe matki w popłochu zabierały je. Starsze obrzucały nas kasztanami. Nieco dalej kilkunastu wyrostków z opaskami Hitlerjugend zabawiało się musztrą. Gdy nasza kolumna zbliżyła się do nich, przerwali swoje zajęcia. Towarzyszyli nam teraz, biegnąc wokół naszej kolumny jak ogary, od-grażając się i wyzywając.

Co odważniejsi podbiegli bliżej, by spluć, lub wy-krzywając się nienawistnie obrzucali nas kamieniami, pa-tykami, kasztanami, czym tylko się dało. Posteni z pobła-żliwym uśmiechem przyzwalali na igraszki młodzieży. Wszystkowiedzący Ludwik szepnął: – Idziemy przez mia-steczko olimpijskie. Ot, co pozostało po pięknych igrzys-kach!... – dorzucił, uchylając się gwałtownie przed ka-mieniem rzuconym przez jednego z młodzieńców.

– Ruhe da! – wrzasnął posten. Maszerowaliśmy dalej w milczeniu schludnymi ulicami ładnego miasteczka. Wkrótce przekroczyliśmy wielką bramę obozu Sachsen-hausen. Po kąpieli i odwszeniu skierowano nas do baraku, gdzie mieliśmy oczekiwać na dalszy wyjazd do fabryki Philipsa.

Pierwszy dzień kwarantanny spędziliśmy na swoim bloku, właściwie nic nie robiąc. Drewniany barak, z okna-mi, czysty i ciepły, niczym nie przypominał okropnych ba-raków w Birkenau. Z naszego bloku ustawionego wraz z innymi półkolem dobrze było widać okrągły plac apel-wy, wokół którego biegła ulica. Ulicę tę bez przerwy prze-mierzała ostrym marszem karna kompania. Śpiewali i ma-szerowali całymi kilometrami, krążąc w koło setki, tysiące razy, obuci w nowiuteńkie buty, które podobno zmieniane im codziennie. Karna kompania pracowała bowiem dla potrzeb wojska. Rozbijała po prostu nowe i twarde skó-rzane buty, by waleczni żołnierze nie porobili sobie odcis-ków i nie poobcierali stóp, cofając się na wszystkich fron-

373.

tach. Następnego dnia miałem okazję naocznie się przeko-nać o skutkach ustawicznych bombardowań stolicy Rzeszy – Berlina.

Dzień był paskudny, typowy dla późnej jesieni. Padał deszcz ze śniegiem, wilgotny silny wiatr przenikał na wskroś. Od rana pracowałem na jakimś kanale czy odno-dze Sprewy przy wywożeniu gruzu z przycumowanych tam berlinek. Praca była ciężka i niebezpieczna, prowa-dzona im Laufschrift, przy akompaniamencie wrzasku ka-pów i ujadaniu esesmańskich psów. Z berlinki przerzu-ona była niezbyt szeroka deska, po której należało przeje-chać taczkami solidnie napełnionymi gruzem. Jedyłą sa-tysfakcją w tej pracy był fakt, że woziliśmy szczątki zbom-bardowanego Berlina. Sądząc po ilości nalotów na to mia-sto, roboty nie zabraknie do końca wojny. Na szczęście by-łem „elektrykiem” i już za dwa dni kończy się nasza kwa-rantanna – pocieszałem się, bo przy tego rodzaju pracy i w takich warunkach prędko bym się wykończył. Do obozu wróciłem zupełnie przemoknięty i trzęsący się z zi-mna. Na noc przemoczone ubranie należało złożyć ładnie w kostkę obok łóżka. Oczywiście do rana nie wyschło i do pracy poszedłem w mokrych łachach.

Był lekki mroziak. Ubranie zeszytniało, pokaleczone od gruzu dłonie zgrabiały z zimna, żelazne uchwyty prze-ładowanych taczek wymykały się z rąk. Przy przejściu

po wąskiej desce w każdej chwili groziło ześlizgnięcie się i kąpiel w kanale, co równało się śmierci.

Byle wytrzymać do fajerantu! Jutro już wyjeżdżamy z tego przeklętego obozu, gdzie wprawdzie nie bito tak, jak to było przyjęte w Oświęcimiu, ale za to wykańczano pracą ponad siły. Nie wszyscy jednak z naszej grupy opuścili Sachsenhausen. Wojtek, nasz najmłodszy kolega z Ja-rosławia, został tu z niewiadomych powodów zatrzymany. Był w rozpaczy i nic nie pomogły nasze pocieszenia. Popłakując, żegnał nas tak, jakbyśmy nie mieli go już nigdy zobaczyć. Spodziewał się rozwałki.

Rozdział XCVII

Na zachód jechaliśmy wprost luksusowo, bo pociągiem osobowym, co dawało nam złudzenie, że już nie jesteśmy więźniami. Konwojenci traktowali nas dobrze, pozwolili

374

nawet zapalić. Szkoda tylko, że nie było co. Jeden z po-stów, starszy już wiekiem, kończył swoje cygaro. Niedopa-łek upuścił na podłogę, wyjątkowo nie rozgniatając go bu-tem, jak to było w zwyczaju złośliwych esesmanów. Uda-wał teraz, że patrzy z zainteresowaniem na migające za oknem zabudowania przedmieść wielkiego Hanoweru przez który już od dłuższego czasu przejeżdżaliśmy. Nim zdażyłem się schylić, już inna ręka porwała łakomy kasek. Musiałem zadowolić się petem podanym przez Mariana. Mocno zaciągnąłem się i oddałem go Julkowi, ten po jed-nym hańsucie oddał Jędrkowi, który parząc sobie wargi usiłował wykorzystać peta do maksimum. Wtedy to posta-nowiłem, że będę robił cygarniczki, gdyż szkoda marno-wać nawet taki ośliniony kawałeczek. Pociąg mknął gęsto zabudowaną równiną. Po drodze minęliśmy parę transpor-tów ciężkiej broni i wojska zdążającego na wschód.

Na horyzoncie ukazały się jakieś góry. Nim jednak do nich dojechaliśmy, zatrzymaliśmy się w malowniczym Minden, którego panorama z licznymi wieżami kościołów przypominała nasz Kraków. Minąwszy Minden i ujecha-wszy zaledwie parę kilometrów, zatrzymaliśmy się prawie że u stóp stromych i zalesionych gór. Wyładowano nas na dworcu towarowym małej miejsciny o dziwnej nazwie Porta-Westfalica. Zdziwienie nasze było jeszcze większe gdy ujrzeliśmy to ciche miasteczko, rozciągnięte po obu brzegach rzeki na stokach stromych wzgórz zabudowa-nych typowymi letniskowymi domami, bez śladu jakichkol-wiek obiektów przemysłowych. Gdzież tu fabryka Phillip-sa, w której mieliśmy pracować? Minąwszy ładny wiszący most łączący obie części mia-steczka podzielone spławna i szeroką Wezerą, pieliśmy się w górę ulicą obsadzoną starymi drzewami, po czym skręci-wszy w wąską uliczkę, stanęliśmy przed dużym drewnia-nym budynkiem, wyglądem swym przypominającym starą bóżnicę, z tą tylko różnicą, że okolony był parkanem z kok-czastego drutu, 2 wieżami wartowniczymi po rogach. Czyżby to miał być nasz obóz koncentracyjny? Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń z bramy budynku wysy-pała się grupa funkcyjnych z opaskami na rękawach. Wśród nich najbardziej wyróżniał się krzykliwy więzień z rudą, niemal czerwoną czupryną i bindą lageraltester na granatowej kurtce. Ściemniało się już, więc szybko nas przeliczono, po czym wpędzono do wnętrza dziwnego bu-

375.

dynku. Tu ustawiono nas znowu piątkami i jak zwykle w takich razach pouczone nas, zugańców, o regulaminie obozowym. Z ciekawością rozglądałem się po obszernej sali teatralnej, bo co do tego nie było wątpliwości, przero-bionej na mały obóz koncentracyjny. Sklepienie bardzo wysokiej sali ze śladami jakichś malowideł opierało się na ozdobnym belkowaniu podpartym ciężkimi słupami, mają-cymi imitować greckie kolumny. Rzędy tych kolumn od-gradzały środek sali, czyli plac apelowy, od szeregów czte-ropiętrowych łózek rozlokowanych po obu stronach wzdłuż ścian o kilkumetrowych oknach przysłoniętych blaszanymi okiennicami i mocno odrutowanymi, co miało stanowić wątpliwą ochronę przed ewentualną ucieczką. Na łózkach leżeli bądź siedzieli więźniowie o dziwnie

ostrzyżonych głowach, przypatrujący się nam z zaciekawieniem, ale i bez cienia przyjaźni. Na podwyższeniu okolonym balustradą – pewnie dawna scena teatru – znajdowała się przybudówka sklecona z desek, wyglądająca jak żydowska kuczka, z otworem okiennym, obecnie przymkniętym drewnianą okiennicą. U samej góry wisiał duży zegar wskazujący teraz godzinę osiemnastą. Po przeciwnej stronie sali były duże dwie przybudówki oddzielone od siebie zapasowym wyjściem na tyły budynku, prawdopodobnie do ubikacji i waschraumu. W budzie po prawej była kuchnia i magazyn żywnościowy, czego nietrudno było się domyślić po licznych skrzyniach i beczkach stojących opodal i buchającej parze przy każdym otwarciu drzwi tego pomieszczenia. Sądząc po lepiej zasłanych łóżkach stojących w pobliżu kuchni, zajmowane one były przez prominentów, bowiem w tym kącie było najcieplej. Sala nie była ogrzewana, toteż zimno w niej było jak na dworze. Nas umieszczono na ścianie północnej, właśnie tam, gdzie było najchłodniej. Uprzednio jeszcze ostrzyżono nam dziwacznie głowy, w ten sposób, że przez sam środek przejechano maszynką od czoła aż po kark, skutkiem czego powstawała ścieżka, którą ktoś dowcipnie nazwał lausesestrasse¹, co zresztą, jak wkrótce przekonaliśmy się, miało swoje uzasadnienie, bo nie brakło tu insektów w rodzaju wszy, pcheł i pluskiew. Rozgościliśmy się na górnych łóżkach na czwartym piętrze, po dwóch na jednym wyrku.

1 Droga dla wszy

376.

Liczyliśmy na to, że tu w górze będzie nieco cieplej i trochę mniej pcheł, poza tym z góry łatwiej dostrzec ewentualne niebezpieczeństwo, przed którym w porę można by się za-bezpieczyć. Spanie na samej górze, jak się potem okazało miało i swoje złe strony, gdyż na skutek stałego wyziębienia organizmu pęcherze odmawiały posłuszeństwa, co zmuszało do częstego biegania do ubikacji mieszczącej się w podwórzu, dosłownie co pół godziny. Żeby szczęście było pełne, nie wolno było do ubikacji wychodzić podczas nocy w ubraniu i obuwiu, które należało zostawić przy wyjściu z sali, co było podyktowane bezpieczeństwem gdyby komuś przyszła ochota zbiec z obozu.

Jeszcze tego samego wieczoru omal nie straciłem swoich cennych butów, dotychczas z powodzeniem ochraniających przed łapczywymi oczyma kapów. Wracając boso z ubikacji, stwierdziłem, że gdzieś zniknęły. Stałem zrozpaczony i wściekły, rozglądając się bezradnie wokoło Jakiś wynędzniały więzień leżący na najbliższym łóżku wskazywał mi ręką na przybudówkę znajdującą się naprzeciw kuchni. Zaglądając tam przez okno, zobaczyłem, że był to warsztat szewski. Pośrodku siedział na zydlu kapo i w najlepsze przymierzał sobie moje buty. Nad nim stał drugi kapo, który zauważywszy mnie za szybą, dał znak żebym wszedł do środka. Siedzący kapo o przebiegłej lisiej twarzy zapytał mnie przymilnie: – Sind das deine Schuhe? Prima! – chwalił demon-strując je na swoich chudych nogach. – Ab heute sind^ das meine Schuhe, nicht wahr?...1 – zwrócił się do mnie z fałszywym uśmiechem i nutą groźby w głosie. Nie słysząc żadnej odpowiedzi, sięgnął do półki, na której leżało sporo drewniaków, i podając mi jeden z nich, rzekł: – Nimni das! Diese Holzschuhe sind die besten hier... – Trafił jednak na mój stanowczy opór. Zmienił wtedy taktykę, ! Ach, du dummer Mensch! Ich will kaufen... viel zigaret ten, viel Brot und etwas zu essen...2 – Mach keinen Spass! – przerwał mu ten drugi Lass das! – dorzucił biorąc w ręce moje buty, z których

1 Czy to twoje buty? Doskonałe!... Od dzisiaj to moje buty nieprawda?

2 Weź to! Te drewniaki są tutaj najlepsze... Ach, ty głupi czło-wieku! Chcę kupić... wiele papierosów, wiele chleba i coś do| jedzenia...

377.

szewc zdażył się już wyzuć. – Nehmen Sie das und gehen sie ruhig schla fen1.

Zmykałem czym prędzej, zdumiony wspaniałomyślnością kapów. W Oświęcimiu, znalazłszy się w podobnej sytuacji, można było życie stracić. Stanowczo nie miałem szczęścia do kapów-szewców. Kiedyś przed paru laty kłopoty z kapo Grónke, teraz z tym złodziejem. Moi koledzy już spali. Nim jednak zmorzył mnie sen, czułem gwałtowne parcie na pęcherz. Tym razem pobiegłem bosy, zostawiając cenne buty w łóżku.

Z moimi butami to był dopiero początek kłopotów, jak się okazało. Już następnego dnia ten sam kapo, który wczoraj tak wstawiał się za mną u szewca, zaproponował mi kupno atrakcyjnych butów; on jest uczciwy i zapłaci mi za nie dobrze, a szewc to stary oszust i złodziej. Nie uległem i tym razem. Żeby sobie jednak go zbyt nie zrażać, powiedziałem, że się namyślę. Swoją drogą, na wszelki wypadek, wysmarowałem swoje piękne sznurowane żółte buty jakąś czarną mazią znalezioną w pracy, żeby nie rzucały się tak w oczy. Butom to wyszło nawet na korzyść, bo nie przepuszczały wody. A z wodą, śniegiem i błotem miałem teraz ciągle do czynienia, bowiem przydzielono mnie do transportkolony. której większość dnia pracy wypadała pod gołym niebem, w jesienno-zimowej szarudze. Tym samym rozwiały się moje złudzenia o czystej, lekkiej pracy w zakładach Philipsa.

Lager w Porta-Westfalica był filią obozu Neuengamme, toż zmieniono nam numerację, tym razem na pięcio-cyfrową, ponad 66 260. Jako nowy Zugang byliśmy też od-powiednio traktowani przez władze obozowe. Podobnie ustosunkowali się do nas współwięźniowie, w których skład wchodziły różne narodowości. Większość stanowili mieszkańcy Ukrainy, gdzieś znad Donu wywiezieni przymusowo lub też zgłaszający się dobrowolnie do pracy w Niemczech. Za różne przewinienia, jak sabotaże, kra-dżeże, nieróbstwo czy ucieczki z miejsca pracy, zostali ukarani czasowym pobytem w obozie koncentracyjnym, Nie byli oni więźniami politycznymi w odróżnieniu od mniejszości składającej się z Polaków, Duńczyków, Holen-

1 Nie rób kawałów!... Zostaw to!... Niech pan weźmie i idzie spokojnie spać.

378.

drów, Francuzów, Norwegów, kilku Rosjan i jednego Szwajcara. Ze względu na swą przewagę liczebną jak i bezwzględne i brutalne zachowanie się wobec słabszych w szczególności Duńczyków, którym wykradali paczki otrzymywane z Czerwonego Krzyża, faworyzowani byli przez grupę funkcyjnych Niemców, podobnie jak oni nie uznających prawa własności. Nieliczni Rosjanie przywie-zieni razem z nami z Oświęcimia nie chcieli mieć nic wspólnego z tą rozpanoszoną bandą, terroryzująca słabszych i wycieńczonych, ale kulturalnych Duńczyków. Postrzelony lageraltester, mający duże poczucie swoistego humo-ru, łaskawie patrzył na wybryki tej nie zdyscyplinowanej hordy. Nie lubił wychodzić ze swojej budy mieszczącej się na scenie.

Wieczorami spraszał do siebie gości i pił z nimi wódkę nie wiadomo skąd i za co zorganizowaną. W wypadkach gdy na sali było za głośno, zwłaszcza w momentach zbiorowych napadów na bogatych w wiktuały Duńczyków otwierała się z trzaskiem okiennica, a w kwadracie okna ukazywała się groteskowa postać naszego lageraltestera w rozchełstanej koszuli, ze spiczastą myką na głowie, za-kończoną pomponem, o starczej i niesłychanie po-marszczonej twarzy porośniętej nie ogolonym rudym zarostem, spośród którego wyrastał długi, haczykowaty nos sięgający bezzębnych ust, wydających nieartykułowane dźwięki mające uciszyć panujący rozgwar na sali.

– Ruhe da! – jedynie ten okrzyk zdawał się być zrozumiałym, jednakże najczęściej był bezskuteczny. Podskaki-wał wtedy w oknie jak kukiełka poruszana przez pijanego animatora. Walił kijem w obudówkę drewnianej budy, a jeśli i to nie pomagało, zatrząskiwał nagle okiennice, by za chwilę znów się pojawić, tym razem z dzwonkiem w ręce, którym potrzasał gwałtownie. W takich momentach komiczna

jego postać do złudzenia przypominała kłowna cyrkowego. Jeśli jednak i dzwonek nie pomagał, wysyłał wtedy swych gości, którzy wpadali na salę z kijami, zaprowadzając jaki taki porządek. Zwykle na pobożowiskach zostawały resztki rozszarpanej paczki, a wśród tych śmieci poturbo-wany, na wpół żywy Duńczyk. „Rudy” wygrażał jeszcze przez chwilę, po czym zwoławszy kompanów, zamykał z trzaskiem drewniane okiennice. Przedstawienie było skończone. Jednakże w ciągu każdego wieczoru podobna scena miała miejsce jeszcze parę razy. Ponieważ „przed-

379.

stawienia” odbywały się w budynku miejskiego teatru, przeto zwariowany nasz obóz przeżywaliśmy „cyrkiem”. W ciągu najbliższych tygodni zdążyliśmy się przystosować do życia w tym „cyrku”.

Rozdział XCVIII

W chwili gdy przeciągły skowyt syreny alarmowej odwoływał przelot alianckich eskadr, rozległ się nieznośny głos dzwonka oznajmiający porę wstawania. W tym samym czasie puszczono w ruch wentylator znajdujący się pośrodku sklepienia „cyrku”, który głośnym swym war-czeniem pomagał budzić zaspanych więźniów. Czteropiętrowe łóżka zaroily się od pospiesznie ubiera-jących się więźniów. Na wpół ubrani biegliśmy do wasch-raumu.. Z otwartych drzwi na dziedziniec buchała para. Na dworze panował siarczysty mróz. W umywalni jak zwykle prócz oświęcimiaków nie było nikogo. Władze obozowe tolerowały brud i niechlujstwo. Led-wie zdążyliśmy wrócić i zasłać łóżka, już stubendienści wyganiali wszystkich na podwórko, skąd dopiero pojedynczo fwpuszczano z powrotem do sali, gdzie otrzymywało się śniadanie składające się z miski na szczęście gorących ziółek lub kawy zbożowej. Tak pokrzepieni, po godzinnym wystawaniu na mrozie, ustawialiśmy się do apelu. Po ode-braniu apelu przez oberscharfuhrera zarządzano arbeits-kommando, po czym otwierano główne wyjście, za którym oczekiwali nas konwojenci.

Wychodziliśmy piątkami trzymając się za ręce – taki był rozkaz – na uliczkę przed teatrem, bardzo stromo spadającą do głównej ulicy. W zupełnych ciemnościach trudno było ustać, tym bardziej że ziemię pokrywała war-stwa zlodowaciałego śniegu. Na dany znak ruszyliśmy w dół, dreptając w milczeniu jeden obok drugiego. Czarne sylwetki domów odbijały się niewyraźnie na tle lekko różowego nieba na wschodzie, skąd dał przenikliwy, ostry wiatr, zacinając prosto w nasze twarze. Skręciwszy w prawo znaleźliśmy się na najgorszym odcinku trasy, gdzie wiatr hulał do woli, ze zdwojoną siłą, na otwartej przestrzeni wąskiej, nie więcej jak kilometrowej szerokości doliny rzeki Wezery. Nad brzegiem jak zwykle zatrzymaliśmy się, żeby podzielić się na małe grupki i przejść

380.

przez most. Trwało to bardzo długo, nim wszyscy dostali się na drugi brzeg. Skuleni, zmarznięci na kość, zbiliśmy się w niewielkie stadka, żeby w ten sposób choć trochę ogrzać się własnymi ciałami i osłonić od przenikliwego wiatru. Rozjaśniało się szybko. Fioletowe góry, rozciąga-jące się wzdłuż przeciwległego brzegu, na tle różowieją-cego nieba zdawały się z każdą chwilą nabierać głębszego kolorytu, przechodząc w ciemny granat. Światła lamp od-bijały się migotliwym odblaskiem w pomarszczonej wia-trem wodzie, rozbłyskiwały na stoku stromej i skalistej góry wzdłuż trasy kolejki linowej – windy – sięgającej do połowy wysokości grzbietu olbrzyma kryjącego w swym wnętrzu dziewięć kondygnacji fabryki Philipsa, przy któ-rej montażu pracowaliśmy. Po przeciwległej stronie Brema-bergu, na stożkowatej górze, uwieńczonej olbrzymią ka-mienną statua na samym szczycie, niewidzialne jeszcze z dołu promienie wschodzącego słońca zapaliły jaskrawą czerwienią kamień. Czerwona poświata ześlizgiwała się szybko w dół, pełzała po starym bukowym lesie, by rozbły-snąć nagle dziesiątkami jaskrawych punkcików w szybach okien uszpionych willi, położonych niżej. Widok był tak urzekający, że pozwalał przez chwilę zapomnieć o głodzie i chłodzie.

– Los! weiter! – Weszliśmy na rytmicznie uginający się most. Wilgotny, a zarazem lodowaty wiatr przenika i do szpiku kości, złowrogo świstał w olinowaniu mostu. W dole szumiała ciemna woda. Płynące po niej kry z trzaskiem roz-bijały się o burty przycumowanych u brzegu berlinek, otulo-nych tumanami porwanej wiatrem mgły parującego lodu. Pod wiaduktem sunął powoli długi wał towarowego pociągu załadowanego ciężką bronią wszelkiego kalibru. Pociąg zda-żał na zachód. – Będzie ofensywa – szepnął podniecony Ludwik. Rzeczywiście już od paru dni szły na zachód po-dobne pociągi, co wskazywałoby na jakąś większą koncen-trację wojsk w tym rejonie. Jeszcze kilkadziesiąt metrów i już byliśmy u stóp Bremsbergu. Ruch panował tu nieopi-sany. Pociągi wąskotorowe wjeżdżały tunelem w głąb góry, skąd inne, załadowane odłamkami skał, wyłaniały się w kłębach pary. Kilkudziesięciu robotników mozoliło się nad wciągnięciem do tunelu wielkich jak kamienice zbiorników. Inni montowali olbrzymi kompresor, mający wkrótce wtłaczać gorące powietrze do sztolni. Praca trwała nieprzerwanie dzień i noc. Można tu było

381.

spotkać przedstawicieli różnych narodowości, podbitych i będących w osi. Najwięcej jednak pracowało Niemców, przeważnie żołnierzy ściągniętych z frontu do budowy walącego się w gruzy przemysłu Rzeszy. Zdemobilizowani wojskowi chętnie tu pracowali, często ponad siły, by tylko jak najdłużej uchronić się przed powrotem na pola bitew. Przy wejściu do sztolni, zabrawszy ze sobą swoje koman-da, kapowie udawali się na miejsce pracy. Duża część po-zostawała na zewnątrz przy przeładunku materiałów bu-dowlanych, robotach ziemnych czy budowie dróg, część natomiast zagłębiała się w licznych i nieskończenie dłu-gich korytarzach budującej się fabryki syntetycznej ben-zyny, gdzie pracowali ramię w ramię z cywilami wszelkich nacji.

Tymczasem my, „fachowcy” od Philipsa, udawaliśmy się do sztolni, mieszczącej się na wysokości jakichś 150 do 200 metrów, mniej więcej w połowie wysokości góry. Po-nieważ było już zupełnie widno, żebyśmy więc nie tracili czasu czekając na powrót windy (rodzaj platformy na ko-łach umieszczonej na szynach i ciągniętej za pomocą stalo-wej liny – gdy jedna platforma zjeżdżała w dół, drugą wciągano do góry), kazano nam wspinać się po bardzo stromym i śliskim zboczu. Gimnastykę tę uprawialiśmy często, toteż mieliśmy już zaprawę, jak i też byliśmy do niej odpowiednio przygotowani. Na swoje buty miałem nałożone specjalnie zrobione paski nabite gęsto gwoździa-mi, co uniemożliwiała ześlizgiwanie się.

Mimo mrozu w połowie trasy było już nam gorąco, gdy zaś stanęliśmy na samej górze, koszula lepiła się od potu. Było tu coś w rodzaju obszernego tarasu, z którego przez wykuty w skale kilkumetrowy otwór wchodziło się do sztolni. Z tarasu rozciągał się przepiękny widok na prze-łom Wezery, lśniącej teraz w słońcu srebrną wstęgą wijącą się od gór ku płaskiej równinie, na której w odległości za-ledwie paru kilometrów leżało stare miasto Minden, uko-ronowane licznymi wieżycami kościołów. Gdzieś daleko na linii horyzontu, gdzie błękit pogodnego nieba zlewał się z jednolitą płaszczyzną pokrytą śniegiem, gęsto znaczoną ciemnymi plamami miasteczek i osiedli, przecięty prosta linią kanału, leżał Hanower.

Nie czas jednak było podziwiać piękne widoki, bo oto windą wjechał kapo wraz z majstrem. Weszliśmy do pierwszego korytarza sztolni. Tu po przeliczeniu rozdzie-

382.

lono nas do roboty. Windą obsługującą wszystkie kondyg-nacje fabryki zajechaliśmy na czwarte piętro do działu wyrobu lamp radiowych, gdzie mieliśmy poustawiać cięż-kie, kilkotonowe maszyny, wczoraj tu przez nas z trudem przetransportowane z odległego dworca towarowego. Transportkolona, do

której należałem, składała się z dzie-sięciu ludzi łącznie z kapo, młodym Holendrem o pozornie miłej i inteligentnej twarzy, choć w gruncie rzeczy był to głupiec, złośliwy, uparty i tchórzliwy. Pomocnikiem jego był Zygmunt, w Oświęcimiu porządny chłopak, tu upo-dabniający się do swego szefa. Drugim vorarbeiterem był Kazik, warszawiak, niezwy-kle chudy i wysoki, o zawadiackim nosie długim jak trąba słońca, bardzo koleżeński, pogodny, odważny i sprytny słowem – morus, jakich mało. Z robotą uwinęliśmy się szybko. Mieliśmy już wprawę. Zresztą w obecności maj-stra musieliśmy pracować rzetelnie. W sztolni ziąb pano-wał piwniczny, tak że mimo mrozu lepiej było już praco-wać na powietrzu, tym bardziej że dzień zapowiadał się pogodny i spodziewaliśmy się nalotu, co będzie dla nas okazją do zorganizowania czegoś do jedzenia i palenia. Chodziło teraz tylko o to, żeby spławić Holendra. Poszło stosunkowo łatwo, gdyż ten wolał się obijać w korytarzach sztolni lub po prostu grzał się w jakimś kącie, gdzie był zainstalowany piecyk elektryczny. Z Bremsbergu zjechaliśmy kolejką w dół, skąd było około kilometra do dworca towarowego. Mieliśmy wyłado-wać z wagonów ciężkie maszyny, które ostatnio przycho-dziły w coraz większej ilości ze zdemontowanej fabryki Philipsa w Holandii. Niemcy obawiali się, że Holandia może stać się wkrótce terenem objętym walkami, spieszyli się więc. Inżynier Siemens był już na miejscu. Maszyny były pre-cyzyjne, kazał nam więc obchodzić się z nimi bardzo ostro-żnie. Ostatnio zauważył, że przychodzą uszkodzone. Kole-jarze zwalali winę na nas, my twierdziliśmy, że maszyny przychodzą już uszkodzone w transporcie. Prawda była pośrodku. Wiedzieliśmy, że kolejarze kradną niektóre częś-ci, zwłaszcza opornice z nikieliny, na które my też polowa-liśmy. Odbiorcą nikieliny był nasz oberkapo, stary i cwany złodziej. Mając kontakty z ludnością miasteczka, po małej przeróbce upłynniał nikielinę w postaci grzejników, za to otrzymywał wódkę, my zaś od niego po papierosie.

383.

Koło południa załadowaliśmy dużą platformę, do któ-rej zaprzęgli się Włosi, by przeciągnąć ją pod Bremsberg. Włosi, byli żołnierze osi Rzym-Berlin, pracowali teraz pospołu z nami, więźniami, w transportkolonie. Jeśli Niemcy nie mieli z nich wielkich korzyści na froncie, to tu-taj – żadnych. Przeklinali Mussoliniego i Hitlera, a przymusową pracę wyraźnie sabotowali. Wspólna nie-dola zbliżyła nas do siebie. Rozumieliśmy się. Wiedzieliś-my, że minie parę godzin, nim pojedą z maszynami pod stok Bremsbergu, do windy, gdzie ich zlużujemy, odpoczą-wszy sobie przez ten czas solidnie.

Rozdział XCIX

Syreny oznajmiały nalot jak zwykle punktualnie. Bie-gliśmy wtedy do jednej z grot u stóp skalnego masywu, gdzie chroniła się podczas nalotu wystraszona ludność miasteczka, obładowana walizkami, kocami, koszykami z prowiantem i rozwrzeszczanymi dziećmi. Drżąc ze stra-chu o pozostawione w mieście mienie i domy wystawione na cel alianckich lotników, wciskali się jak najgłębiej w ciemne labirynty skalnych rozpadlin, kuląc się za każ-dym głośniejszym wybuchem bomb. Wtedy Kazio stosował swą wypróbowaną metodę psychologiczną. Odważnie sto-jąc u wylotu grotu relacjonował, mocno przesadzając, sku-ki nalotu, gdy tymczasem my, zmieszani z tłumem, robiąc żałosne miny, dawaliśmy się poznać jako biedni, wygłod-niali więźniowie. Trzeba przyznać, że kobiety na ogół w takich chwilach dostrzegały naszą niedolę, toteż nieje-den z nas dostawał coś do jedzenia. Czasem nawet uzbie-rało się parę papierosów, skrycie podawanych przez starych Niemców. Ale nie zawsze udało nam się skruszyć ich Herca. Bywało, że znalazł się wśród Niemców jakiś młody i odważny „bohater”, który psuł nam całą robotę. Wyczu-waliśmy wtedy wśród uchodźców pewną wrogość i trzeba było rej terować. Postępowaliśmy wówczas bez skrupułów, radykalnie, nie robiąc sobie żadnych wyrzutów z tego, że po prostu kradniemy. Gdy tylko udało się komuś zwędzić coś do je-dzenia, na dany znak znikaliśmy jak kamfora. Z grotu prowadziło wąskie i kręte przejście, widać utworzone w litej skale przez naturę, kilkusetmetrowe

384.

długości, którego wylot znajdował się w jednym z wielkich korytarzy budującej

się fabryki syntetycznej benzyny, Stamtąd podobnym przejściem, tylko że jeszcze dłuższym i prowadzącym wciąż pod górę, dostawaliśmy się do naj-niższej kondygnacji fabryki Philipsa.

Zdobytym prowiantem dzieliliśmy się solidnie, po czym windą wjeżdżaliśmy na najwyższe piętro, skąd wydostawaliśmy się na taras u wejścia do fabryki. Jeśli już było po nalocie – a najczęściej tak bywało – zjeżdżaliśmy jak gdyby nigdy nic na dół, gdzie oczekiwała już nas załadowana maszynami platforma. Niemiec obsługujący windę na stok Bremsbergu był wyjątkowo złośliwym człowiekiem.

Na wyraźne żądanie inżyniera Siemersa, pragnącego z naszej pracy wycisnąć jak największe korzyści dla przedsięwzięcia, któremu służył, windziarz obowiązany był niezależnie od sprzętu przewozić i nas, byśmy na darmo nie trwonili na górską wspinaczkę swych sił tak potrzebnych do ciężkiej pracy dla dobra Rzeszy. Wtedy niepocieszony windziarz, mający swe stanowisko na górze, skąd doskonale widział, kto wsiada na platformę kolejki uprzyjemniał nam jazdę do góry to przyspieszając, to nagle hamując, skutkiem czego w trakcie takiej jazdy traciło się równowagę i zlatywało z platformy na stromy stok usłany kamieniami i pokryty lodem, co wcale nie należało do przyjemności. Pusta platforma wjeżdżała do góry, a my zdani byliśmy na własne nogi i umiejętność wspinaczki.

Postanowiliśmy odegrać się na kawalarzu. Któregoś dnia była gęsta mgła, pokrywająca wszystko dookoła wilgotną chmurą. Wymarzona okazja do zemsty. Podwójnej bo braliśmy też pod uwagę naszego kapo, który w przypływie nadmiernej gorliwości popędzał nas, kazawszy załadować platformę windy nadmierną ilością tym razem drewnianych regałów.

Naładowaliśmy tego dużą, kilkumetrowej wysokości piramidę. Holender, dumny ze swego dzieła, uczeplił się za ładowaną platformę, dając znak robotnikowi obsługującemu sygnalizator, by ten zawiadomił górę, iż można ruszyć. Mniej więcej w połowie wysokości wyciągu była rozciągnięta stalowa lina z jakimś przewodem przecinającym trasę w poprzek na niezbyt wielkiej wysokości, wystarczającej jednak, by stanąć na przeszkodzie za wysoko naładowanej regałami platformie. Właśnie na to liczyliśmy. Głupi

385.

kapo był zbyt zajęty trzymaniem rozhuśtanej piramidy, by zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa zaczepienia jej o przeszkodę, o której zapomniał. Winda ruszyła i już po sekundzie zniknęła ze swym ładunkiem we mgle, a my, niby nic, jednak pełni wewnętrznego napięcia, oczekiwaliliśmy skutków naszej zemsty.

Najpierw poleciały drobne kamienie, później cała lawina głazów. Uskoczyliśmy za betonowe, masywne ściany

kompresora. Niemiec obsługujący sygnalizator wyskoczył ze swej drewnianej budki, ostrzegając głośnym: –

Achtung! – robotników spawających opodal szyny kolej-

ki. Za głazami posypały się z traskiem łamanego drzewa regały. Wreszcie opadły ostatnie żalosne szczątki solidnie

zbudowanych regałów, grzęznąc w błocie u stóp Brems-

bergu. A brzęczek sygnalizatora buczał bez przerwy. To zdenerwowany windziarz widać zapytywał, co się stało,

ujrzawszy na górze pustą platformę. Drugi poważny wypadek w parę dni potem był już dziełem przypadku po większej części, po trosze winę ponosił windziarz, który chciał jak zwykle nam dokuczyć. Na

platformę władowaliście kilkanaście butli ze sprężonym tlenem. Ułożyliśmy je jedna na drugiej i umocnili kołkami, żeby nie rozsypywały się w trakcie transportu. Ponieważ na platformie pozostało jeszcze sporo miejsca, przeto nieco już ułaskawiony Holender zezwolił nam zająć na niej wolne miejsca. Na sygnał winda powoli ruszyła, jak zwykle kiedy był na niej ładunek. W połowie była mijanka. Było to miejsce, gdzie winda jadąca w górę mijała się z platformą zjeżdżającą w dół. Pech chciał, że jedna z butli zawadziła swym końcem o platformę zjeżdżającą w dół, przez co dokładnie ułożone butle obruszyły się do tego stopnia, że po większej części opierały się teraz jedynie na naszych nogach. Tymczasem windziarz nie dojrzał leżących płasko na platformie butli, sądząc, że został nabrany, gdyż widział tylko nas stojących na windzie, postanowił nas starym zwyczajem z niej postrzącać, szarpiąc teraz nielitościwie. Z satysfakcją patrzył, jak jeden po drugim, tracąc równowagę, zlatywaliśmy z

platformy. Ale teraz stało się to co można było przewidzieć. Nadłamane kołki nie wytrzymały ciężaru, skutkiem czego butle jedna po drugiej runęły w dół stromizny. Głośnym krzykiem ostrzeżliśmy robotników pracujących u stóp Bremsbergu. Butle niczym torpedy sunęły w bryzgach lodu i śniegu. Byliśmy przeko-

386.

nani, że na dole eksplodują jak bomby. Tymczasem wylądowały łagodnie, przyhamowując w błocie, o kilkadziesiąt metrów od placu, u wejścia do sztolni, gdzie grząska maź rozdeptywana setkami nóg robotników nawet w silny mróz nigdy nie zamarzała.

O wypadku dowiedział się oczywiście inżynier Siemens Oberwało się windziarzowi. Nawet Holender stanął po naszej stronie. Od tej pory jeździliśmy windą, ile tylko dusza zapragnęła. Nawet w pojedynkę, żeby odegrać się na złośliwym Niemcu.

Rozdział C

Mijały dni i tygodnie. Przywykliśmy już do „cyrku jak i ciężkiej pracy w transporcie. Brak odpowiedniej ilości pożywienia przy jego bezwartościowości, stałe marzenie podczas pracy ponad siły bez względu na pogodę w mróz, śnieg czy deszcz, przyczyniały się do powolnej, acz stałej utraty sił. Mimo że zewnętrznie swym wyglądem odróżnialiśmy się od reszty mieszkańców „cyrku”, ubrania nasze, podniszczone, ale schludne, kryły już tylko skórę i kości, tak byliśmy chudzi. Ale trzymaliśmy się jeszcze starając się nie poddać złemu losowi.

Podczas jednego z większych nalotów przeziębilem się tym razem solidnie. Pech chciał, że właśnie wtedy byłem bez butów, bo oddałem je do reperacji. Mróz był tęgi, a nas wygnano z „cyrku” do bukowego lasu, gdzie mieliśmy spokojnie przeczekać nalot. Nic by w tym nie było strasznego, gdyby nie fakt, że byłem tylko w skarpetkach, gdyż kapo szewców nie chciał mi wydać butów. Zmarzłem tak strasznie, że już nie czułem nóg. Litościwy Marian usiadł na gładzie, których tu było wiele, i z pełnym poświęceniem użyczył mi najcieplejszego miejsca, jakie posiadał. Po prostu rozpiął spodnie i wsadził tam moje zmarznięte nogi w ten sposób ratując je przed odmrożeniem. Po odwołaniu nalotu szewc pod presją moich przyjaciół wydał mi w końcu buty, każąc sobie zapłacić za reperację papierosa-mi. Na szczęście miałem parę w zapasie; zarobione za cy-garniczki, których kilka udało mi się ostatnio sprzedać Resztę dołożyli koledzy.

W nocy dostałem dreszczy, czułem, że rozbiera mnie gorączka. Dokuczliwy kaszel dosłownie rozrywał mi płu-

387.

ca. Z przerażeniem stwierdziłem, że spluwam krwią. Rano zgłosiłem się jako chory. Na rewir nie przyjęto mnie, bo miałem za małą temperaturę, zaledwie 38,5. Może i dobrze się stało. Izba szumnie nazwana rewirem, granicząca z ubikacją, była typową wykańczalnią ludzi. Tu dogorywali biedni Duńczycy i Holendrzy mający durchfal. Oni dostawali paczki. Ponieważ zwykle podczas nocy ginęły im, zjadali je na siłę jednorazowo, co równało się śmierci. Odwykli od tłuszczu organizm nie wytrzymywał tej próby. Przy życiu zostawali ci, którym paczki ginęły. Ot, perfidia losu!

Poszedłem do pracy. Zadekowałem się w sztolni już ogrzewanej od paru dni. Przyczepił się jednak Holender, sekundował mu Zygmunt. Nie wierzyli, że jestem napradę chory, i zmuszali mnie do pracy. Los zemścił się na kapo. W jednym ze słabo oświetlonych korytarzy dostał od kogoś w szczękę tak, że stracił zęby. Podejrzywałem Julka. Obojętne zresztą, kto to uczynił. Holendrowi to otworzyło wreszcie oczy. Zmienił się radykalnie, patrząc teraz przez palce na naszą pracę. Po paru dniach odpoczynku w sztolni przyszedłem jako tako do siebie. Pracowałem teraz przy ustawianiu maszyn na miejscach, które wyznaczył inżynier, mieszkaniec mia-steczka, starszy już wiekiem emeryt, z braku kadr powołany z powrotem do swego fachu. Pocięszny to był facet. Początkowo odnosił się do nas bezwzględnie, z czasem zła-godniał, ale gderał, denerwując się o byle co. Rozpolityko-wany, musiał się przed kimś wygadać. Kazek, znający do-brze niemiecki, był jego interlokutorem. W dyskusji zapo-minał, że rozmawia z więźniem. Co dzień przynosił świeże wiadomości zasłyszane z radia niemieckiego lub wyczytane z

gazet. Chętnie się, że wkrótce Niemcy zwyciężą. W odpowiedzi Kazek przekazywał mu najnowsze wiadomości z BBC. Naszym informatorem był cywil. Polak z Warszawy, zatrudniony tu przy montażu maszyn. Staruszek pieklił się wtedy, groził, że doniesie władzom, nigdy jednak tego nie zrobił. Po pewnym czasie tak się do nas przyzwyczaił, że gdy któregoś brakło, pytał, co się z nim stało, czy aby nie chory. Naiwność jego i dobre w gruncie rzeczy serce odpowiednio wykorzystywaliśmy. Jeden z nas po prostu chował się gdzieś, a staruszek natychmiast zauważał, że nie ma go. – Co się z nim stało? – pytał zaniepokojony. Mówiliśmy wtedy, że zachorował albo zasłabł

388.

z głodu itp. Wówczas niby to przez zapomnienie zostawiał na blacie zawiniątko ze swoim drugim śniadaniem. Swych ulubionych cygar też nie dopalał. Należały do nas. Do rąk jednak nigdy nikomu nic nie dał. Może się bał, a może miał się mimo wszystko za coś lepszego od nas.

Na IV piętrze pracowało kilkadziesiąt niemieckich dziewcząt w nawijalni cewek. Gotowe cewki poukładane w dużych skrzyniach, stanowiących wielki ciężar, musiały przenosić do windy, skąd już transportowaliśmy je dalej. Na IV piętro my, więźniowie, nie mieliśmy wstępu. Nasz staruszek, nie zważając na surowy zakaz, zaangażował nas do tej roboty w wielkiej tajemnicy. Dziewczęta rewanżowały się nam zostawiając 10-litrowy termos pełen zupy. Zabieraliśmy go do windy, a bezręki windziarz – z pocho-dzenia Chorwat, były żołnierz Wehrmachtu, który stracił rękę na wschodnim froncie – też nam życzliwy, zatrzymywał windę między piętrami, gdzie mogliśmy bezpiecznie zaspokoić głód.

Któregoś marcowego dnia zupy było wyjątkowo dużo. Powodem tego był nalot, jaki miał miejsce poprzedniego dnia. Syreny jak zwykle oznajmiały nalot o oznaczonej porze, w samo południe.

Wyjątkowo ciepły i słoneczny dzień wygnał nas pod jakimś pretekstem z ponurych sztolni na taras u wejścia do fabryki. Tu właśnie zastał nas nalot. Samotny posten sterujący w swej bocianówce tuż nad przepaścią, usłyszawszy daleki szum motorów samolotów, przezornie zszedł ze swego stanowiska. Maszyny nadlatywały z zachodu na wielkiej wysokości. Prawie nie było ich widać, znaczyły tylko niebo białymi krechami. Artyleria przeciwlotnicza milczała zaczajona, nie chcąc na próżno zdradzać swych stanowisk. Przelot trwał już kilkanaście minut. Niebo porysowane było tysiącem srebrnych linii. Rozedrgane hukiem motorów wiosenne powietrze biło falami o skaliste nawisy nad nami, raz po raz stracając lawinę kamieni, które, zdawałoby się, bezszelestnie spadały na taras, grożąc w każdej chwili zmiażdżeniem. Nie zwracaliśmy na to uwagi, pochłonięci wspaniałym widokiem potęgi powietrznej alian-tów. Jakiś niemiecki samolot przemknął nisko nad wstęgą Wezery, tak nisko, że widzieliśmy go z góry. Srebrne alianckie myśliwce, szybkie i zwrotne, zataczały teraz koła nad Minden. Za chwilę zniknęły, pozostawiające owalny jaskrawobiały krąg unoszący się nad roz-płaszczono-

389.

nym po obu stronach rzeki miastem. I nagle zaczęło się piekło. Setki, tysiące białych dymków szrapneli upstrzyło w jednej chwili regularnie porysowane niebieskie sklepienie. Równocześnie rozszalała się istna zawierucha ognia zapory przeciwlotniczej. Bombowce jakby czekały na tę chwilę. Część ciężkich maszyn lecących dotąd spokojnie nurkowała teraz przez wiszącą nad miastem nieruchomą obręcz, zrzucając swój śmiercionośny ładunek na fabryki, domy, kościoły, wszystko, co znajdowało się w mieście. Ciężkie czarne chmury zasłoniły całkowicie rozlatujący się w gruzy stary gród. Tu i ówdzie pokazywały się czerne języki ognia. Ciężkie i głośnie wybuchy bomb, których detonacje wielokrotniały grzbiety gór odbijając je echem, powodowały obrywanie się skał, sypiących się gradem w dół na nasze miasteczko, jakby i natura szła w su-kurs lotnikom siejącym wokół zniszczenie. Zza góry, na której szczycie wznosiła się potężna statua, wyłoniły się nagle myśliwce, ostrzeliwując z broni pokładowej dworzec towarowy i zatłoczone wejście do sztolni u stóp Bremsbergu. Trwało to ułamek sekundy, bo oto nad nami przeleciał trafiony samolot, wlokąc za sobą smugę dymu i ognia. Po chwili na niebie ukazały się dwa białe parasole spadochronów, chwiejąc się nieregularnie na wietrze górskiego przesmyku. Jeden opadał szybko w niewielkiej od nas odległości, prosto do

Wezery. Widać było, jak skoczek re-guluje linki spadochronu, chcąc widać uniknąć przymuso-wej kąpieli w rzece. Daremny był jego trud. Gdzieś bardzo blisko zaterkotał ciężki karabin maszynowy. Biała czapa spadochronu zniknęła z pola widzenia, kryjąc się za drze-wami rosnącymi na łagodnym w tym miejscu stoku. Nagle strzelanina ucichła. Z góry sypały się tylko jeszcze drobne kamyki, z trzaskiem rozbijające się o płaszczyznę tarasu, na którym staliśmy. Gdyby nie płonące i spowite w dymy i Minden, nic nie świadczyłoby o tragedii, jaka przed chwilą miała miejsce tu, w tym cichym górskim ustroniu.

Zupy mieliśmy nazajutrz pod dostatkiem. Kilka dziewcząt

z drugiej zmiany, dojeżdżających do pracy z niedalekiego Minden, zginęło podczas bombardowania. Niemal każda z dziewcząt straciła kogoś, a jeśli nawet nie straciła, to pozostała bez dachu nad głową. Nic też dziwnego, że nie miały apetytu. Na IV piętrze panowała teraz żałoba. Te zapłakane dziewczyny miały na pewno już dosyć wojny. Współczuliśmy im, bo one okazywały nam serce. Chociaż

390.

w głębi duszy tliła się iskierka zadowolenia. Niech wiedzą czym pachnie wojna, kiedy leje się krew... własna.

Rozdział C1

Wśród nas, oświęcimiaków, zapanowało wielkie rozgo-ryczenie. Nie dość, że pracowaliśmy każdej niedzieli, za-powiedziano nam, że jutro, to jest w Wielkanoc, też pójdziemy do roboty. Rano jak zwykle zbudził nas szum wentylatora i donośny dzwonek. O dziwo, ku naszej uciechu do pracy nie wyszliśmy, nawet nie zarządzono arbeits-kommando.

Scharf i ihrer biegł podenerwowany tam i z powrotem w końcu długo konferował z „Rudym”, który jakoś spo-ważniawszy, ogłosił niespodziewanie ścisłą bettruhe. Wspięliśmy się więc na swoje łóżka komentując dziwne zach-chowanie się naszych władz. Tak minęły może ze dwie go-dziny. W pewnym momencie doleciał nas niecodzienny ha-łas z zewnątrz, coś jakby wzmożony do potęgi ruch ulicz-ny. Co to mogło być? Nastawiliśmy uszu. Najwyraźniej było słychać motory dziesiątek aut. Później głośno dudniły po bruku koła konnych pojazdów, w końcu dał się słyszeć wyraźny gwar setek ludzi maszerujących ulicą w sąsiedz-twie „cyrku”. „Rudy”, wyszedłszy na zewnątrz wraz z scharfuhrerem, długo nie wracał. Kapowie, uchylwszy główną bramę, wyglądali zaciekawieni. Ludwik, nie mo-gąc oprzeć się pokusie, doszlusował do kapów. Wrócił po chwili niezwykle podniecony, z gorączkowymi wypiekami na twarzy. Przez moment nie był w stanie wypowiedzieć słowa, wreszcie wydusił z siebie jednym tchem: – To uciekinierzy...! Całe tłumy niemieckich uciekinierów! Starcy, kobiety, dzieci... Obładowani dobytkiem, pieszo wozami, furgonetkami, czym tylko kto może, wałą całą szerokością ulicy... Uciekają...! Słyszycie! Uciekają tak jak my w 1939 roku!... Amerykanie zajęli Bielefeld!. Za dwie, trzy godziny będą tu!... Kochani! Jesteśmy wol-ni!...

Łzy ciurkiem ciekły mi po zapadłych i gorejących poli-czkach. Wierzyć się nie chciało. Tak bez żadnych zapowie-dzi, nagle. Amerykanie o pięćdziesiąt kilometrów zaledwie od naszego obozu. To chyba niemożliwe? Wrócił „Rudy z scharfuhrerem. Apel!

391.

– Obóz będzie ewakuowany! – ogłosił spokojnie lagerfuhrer. – Kuchnia wyda suchy prowiant. Teraz wszyscy na łóżka i nie wolno się ruszać. W razie zbiórki każdy zabiera swój koc i miskę. Czekać spokojnie na dal-sze rozkazy. Brak dyscypliny będzie karany śmiercią.

Gdy tylko wyszedł. „Rudy” zebrawszy kapów udał się do swojej budy. Z wysokości swoich czteropiętrowych łó-żek obserwowaliśmy, jak po chwili udali się do kuchni, skąd zaczęli wynosić cichaczem prowiant, chowając go pod marynarki. A więc to tak wygląda wydawanie nam su-chego prowiantu! Naraz na łózkach po przeciwległej stro-nie rozległy się jęki ograbianych z paczek Duńczyków. Walka była nierówna. Tamtych było dziesięć razy więcej. Ale to, co zdobyli, było kroplą w morzu dla zdziczałego, bezwzględnego i wiecznie głodnego tłumu. Przyczaili się teraz, bo oto obsługa kuchni zaczęła wytaczać beczki i skrzynie z

prowiantem. Wtedy rzucili się jak szarańcza. W mgnieniu oka beczki zostały rozbite, a zawartość ich rozszarpana i natychmiast pożarta na miejscu. Pozostały jedynie krwawe ślady buraczków na podłodze i walające się tu i ówdzie strzępy zgniłej kapusty i brukwi, też skrzętnie wylizywanej przez zgłodniałych więźniów.

Z magazynu kuchennego wytaczano dalsze beczki. Jedna z nich, widać solidnie zbudowana, stawiała opór, ale w końcu i ona rozleciała się. Ślimaki! Julek nie wytrzymał. Jednym skokiem był już na dole i z miską w rękę torował sobie wśród skłębionych ciał drogę do rozerwanej beczki. Za nim skoczył Jędrrek. Wrócili z pełnymi miskami, nie- możliwie utytlani, poszarpani i pobici, ale triumfujący. Nim ktokolwiek z nas zdołał się ruszyć, zachęcony po-wodzeniem tych dwóch, na salę wpadło z impetem kilku kapów, młóćąc niesamowicie dragami i czym który miał rabusiów. Niewiele by to pomogło, gdyby nie esesmani. Kilka strzałów w powietrze oddanych przez wściekłego scharfuhrera przywróciło porządek. Teraz dopiero resztę z ocalałych zapasów przetoczono przez całą długość „cyr-ku” i wystawiono na zewnątrz baraku. Z wydawaniem bielizny i ubrań kłopotu nie było. To nie był atrakcyjny to-war, tym bardziej że nie różnił się niczym od tego, co po- siadaliśmy. Był tak samo podarty, brudny i zawszony. Przebierając słone ślimaki, oczekiwaliśmy na dalsze wypadki. W oczekiwaniu minął cały dzień, a za nim nerwowa,

392.

nie przespana noc. Rano wyprowadzono nas piątkami na ulicę pustą i wymarłą. Prócz nas nie było nikogo. Dopiero przed mostem ujrzeliśmy jakichś wojskowych. Po obu stronach mostu, tam gdzie były przejścia dla pieszych, co parę metrów stały skrzynie połączone ze sobą drutem. Dy-namit! Zatem Amerykanie muszą być już tuż, tuż. Pod Bremsbergiem panowała cisza. Wszelka praca ustała. Nie było też nikogo tam widać. Na dworcu stał długi towarowy pociąg, do którego nas załadowano. Ruszyliśmy na-tychmiast. Tym razem na wschód. Nastawialiśmy uszu, czy nie usłyszymy za sobą huku wysadzanego mostu, ale prócz stuku kół pociągu nic więcej nie było słycać.

...A byliśmy już tak blisko szczęścia. Na zakręcie po raz ostatni ujrzeliśmy oddalające się szybko góry, siniejące w mgłę wiosennego poranka. Na jednym ze szczytów roz-poznaliśmy teraz widoczną statwę.

Tam niżej był nasz znienawidzony obóz. A gdzie teraz będzie? I czy nie gorszy jeszcze? – zapytałem się w duchu. – Już chyba niedługo... Ale czy wytrzymam do końca... Jak zwykle w takich chwilach zdawałem się na Opatrz-ność. Zacząłem się gorliwie modlić.

Rozdział CII

Byliśmy już piąty dzień w podróży. Nie mieliśmy poję-cia, gdzie nas wieziono. Niektóre miejscowości mijaliśmy kilkakrotnie, co nasuwało nam przypuszczenie, że kra-żymy po prostu w kółko. Orientację utrudniał fakt, że przeważnie podróżowaliśmy nocą, kiedy było nieco bez-pieczniej. Ze spaniem jakoś radziliśmy sobie. Z koców po-robiliśmy coś w rodzaju hamaków, przytroczywszy ich końce do wystających ze ścian wagonu haków zakończo-nych kółkami, służących do przywiązywania bydła. Dzięki kilku takim łóżkom, zawieszonym w ciasnym wagonie, na podłodze było luźniej, co umożliwiało siedzenie, a nawet leżenie tym, którzy z braku większej ilości uchwytów nie mogli poradzić sobie tak jak my. Konwojenci nie zwracali na nas uwagi, zajęci swoimi myślami, żując ostatnie ka-wałki chleba z kończących się zapasów. Od pięciu dni pra-wie nie jedliśmy. Na dzień dostawaliśmy trochę kawy -jeśli postój był dłuższy i było ją gdzie ugotować – oraz po kromce chleba. Mogło tego być najwyżej 5 dkg. Nic też

393.

dziwnego, że widok żujących chleb esesmanów przyprawiał nas o mdłości. Zatrzymaliśmy się w jakiejś małej miejscowości koło Brunszwiku. Po okropnym noclegu w na pół zrujnowanym budynku, gdzie nie było mowy o spaniu o powodu insek-tów, które nas z miejsca oblażyły, wczesnym rankiem, w po-godny, ciepły wiosenny dzień, uszeregowani w długą kolu-mnę, maszerowaliśmy piechotą polną drogą wśród ziele-niejących już pól i łąk. Przed południem znaleźliśmy się na obszernej łące, gdzie pasło się stado krów, w pobliżu jakie-goś folwarku. Trochę

dalej rysowały się zabudowania fabryczne, sądząc po wysokim kominie górującym nad płaskimi budynkami. W pewnym momencie czoło kolumny zatrzymało się. Esesmani, spoglądając z niepokojem w górę, pilnie nasłuchiwali.

Leciały jak zwykle wysoko, szykiem trójkowym, zostawiając za sobą charakterystyczne białe smugi, długo utrzymujące się w powietrzu. Padł rozkaz, żeby rozpierzchnąć się po całej łące i paść nieruchomo na ziemię, Wtulony w młodziutką, delikatną zielenią trawy, gdzieś gdzie upstrzoną rozkwitłymi stokrotkami, z przyjemnością oddawałem się przypadkowemu odpoczynkowi. Nad naszymi głowami zafurczały jękliwie lecące ukosem bomby. Spadły niedaleko, właśnie tam, gdzie była fabryka. Gęsty dym zasłonił ją całkowicie. Wystraszone hukami rozrywających się bomb krowy rozbiegły się w popłochu po całej łące, cwałując z podniesionymi ogonami prosto na nas. – Tyle mięsa! Nie mogli trafić w stado zamiast w tę głupią fabrykę? – pomyślałem, a w pustym żołądku aż mnie

skręciło z głodu.

Już dawno uspokoiło się w powietrzu, a my ciągle jeszcze leżeliśmy. Zbombardowana fabryka dopalała się na naszych oczach. Ruszyliśmy dalej. W pustym polu stała wąskotorowa kolejka. Dieslowska lokomotywa. Kilkadziesiąt dużych, pojemnych lor. Władowani do tych głębokich żelaznych wagoników, nic nie widzieliśmy prócz chmurzącego się nieba. Zresztą było nam wszystko jedno, gdzie nas teraz wiozą. Było tylko tam dano nam coś wypić ciepłego i zjeść. Zaczął padać deszcz. Pędzono nas teraz przez błoto, grząskie i ciężkie jak ołów, do niewielkiego, bo zaledwie kilkunastobarakowego obozu otoczonego prowizorycznym parkanem. Na rogach stały rozkręczone wieże strażnicze. Na bramie napis: „Arbeitslager Schandelach”. W niewiel-

394.

kiej odległości od obozu jakaś fabryka. W obozie błoto, ponuro. Węszyłem jak ogar, bo z kuchni dolatywał zapach gotowanej strawy. Apel! Deszcz rozpadał się na dobre. Dali wreszcie po kawałku chleba i odrobinę cienkiej, cuchnącej zgniłą brukwią zupy. Ale i to pokrzepia. Wpuścili nas w końcu do bloku. Teraz zapaliliby się. Rozłupałem drewnianą cygarniczkę. Szklęm zeszkobałem delikatnie warstwę przesiąkniętą nikotyną. Julek miał bibułki, każdy pociągnął po kilka razy. Mocne to było, aż w głowie się zakręciło.

Rozwiesiliśmy mokre ubrania. Może przeschną trochę do rana. Spać było trudno. Tu na odmianę gryzły pluskwy.

Mimo nazwy „Arbeitslager” nikt do pracy nie chodził ani nawet nikt do niej nie przymuszał. Niektórzy co prawda pracowali, ale to byli nieliczni szczęśliwcy zatrudnieni w kuchni. Potrzebowano też czasem ludzi do przeniesienia w tragach brukwi lub marchwi z kopców znajdujących się poza obozem, a w najbliższym sąsiedztwie fabryki, która okazała się nieczynną teraz kopalnią oleju skalnego czy ziemnego.

Żeby trafić do tego komanda, trzeba było wyglądać jako tako, trzeba było mieć trochę siły, by podołać noszeniu ciężkich trag, no i należało mieć dużo szczęścia, żeby przejść przez surową selekcję czynioną przez kapów.

Marian i Julek jakoś dostali się, ja odpadłem w eliminacji. Nie zrezygnowałem jednak i kiedy komando było już ustawione do wymarszu, niepostrzeżenie – zdawało mi się – przyłączyłem się do wybrańców losu. Kapo poznał mnie 1 od razu. Dawno nie byłem tak obity. Upadłem w błoto, z trudem usiłując powstać. I wtedy kapo zwrócił się do mnie zdziwiony: – Ach, das bist du?... Und du hast noch die Stiefel? – Teraz i ja go poznałem. Był to ten sam, który chciał jeszcze w Porta-Westfalica kupić ode mnie buty, podczas gdy szewc próbował mi je ukraść. – Komn zu mir nach dem Appef – dorzucił obiecująco, po czym odmaszerował ze swoim komandem.

Wyczyściwszy elegancko buty, prowizorycznie je tylko zasznurowawszy, poszedłem pod blok, gdzie mieszkali kapowie. Okno było otwarte, ze środka dochodziły liczne

1 Ach, to ty jesteś?... I jeszcze masz cholewy?

2 Przyjdź do mnie po apelu

głosy zebranych w pokoju kapów. Zdjąwszy z nóg buty, podszedłem nieśmiało do okna. W środku było ciemnawo i szaro od dymu papierosowego. Zaróżowiony kapo długo Bglądał buty, kiwając z niezadowolaniem głową. Po chwili wręczył mi pół paczki machorki i kawał chleba. Na mojej twarzy widocznie malowało się zdziwienie, więc dodał mi jeszcze dwie prymki pachnące śliwkami. Jak się drobnu-tko pokraje i dobrze wysuszy, będzie można je wypalić. Kapo obiecał mi jeszcze co dnia dawać miskę zupy, po czym oddalił się w głąb ciemnego pokoju. Przypomnia-wszy sobie jednak, że ma mi przecież dać gumowe buty, gdy ja tymczasem chowałem za pazuchę ofiarowany mi przed chwilą chleb, zawołał mnie, bym zbliżył się do okna.

Odwrociłem głowę, skąd doleciał mnie głos. i... w tym mo-mencie dostałem silny cios między oczy. Odskokczyłem od okna, a za mną poleciały dwa gumowe buty. Jeszcze dobrze zamroczony od nagłego uderzenia, złapałem gumiaki i czym prędzej uciekłem, by nie oberwać więcej. Dopiero w swoim baraku spostrzegłem, że oba gumiaki są z lewej nogi. Na szczęście były duże, tak że nauczyłem się w nich chodzić.

Rozdział CLII

10 kwietnia, korzystając z prawdziwie wiosennego dnia, wylegliśmy przed blok na wyschnięty od słońca pla-cyk. Przed nami były druty, przy drutach w narożniku bo-cianówka, na bocianówce stary posten przy karabinie ma-

szynowym. Rozumiał po polsku, bo nadśluchiwał, o czym rozmawiamy, i od czasu do czasu wtrącał swoje uwagi. – Pieruna! Ale robactwa to macie! – Słoneczko grzało niczego sobie, więc rozebraliśmy się do połowy, ukazując niesamowicie chude torsy powleczone opryszczoną od ukąszeń insektów bladą skórę. Julek i Marian, którzy poprzedniego dnia zdobyli – w podobny sposób jak w Porta-Westfalica i w indentychnych okolicznościach – trochę solonych rybek, zajęci byli ich oczyszczaniem. Ponieważ wody nie było, rybki otrzepywało się z grubej soli, po czym Wycierało się je o spodnie, i już nadawały się do jedzenia razem z głowami. To nic, że sól zgrzytała w zębach. Za to W ustach czuło się konkretny smak, a pusty żołądek bodaj trochę dało się oszukać. Pokrajana drobno prymka po-deschła, można było zapalić.

Motyl, niezawodny zwiastun prawdziwej wiosny, krą-żył nad naszymi głowami już od dłuższego czasu. Zniechę-cony w końcu widocznie naszym tak różnym od zapachu kwiatów odorem, uleciał przez druty w poszukiwaniu pra-wdziwego nektaru. Głośnym nawoływaniem poszukiwano lageraltestera – Lageraltester nach vorne! – rozlegało się między bara-kami. Na polnej drodze tuż za drutami ukazał się dziwny pochód. Gdy się zbliżył, można było zobaczyć wozy zała-dowane dobytkiem. Wyglądało to na przeprowadzkę. Ale po paru minutach pojawiły się znowu naładowane furgony, jeden za drugim, cała kawalkada. Na jednym z wozów siedział jakiś żołnierz z obandażowaną głową. Nasz posten niespokojnie kręcił się na swojej wieży. Ktoś odważniejs;zy zapytał, co się dzieje, dlaczego tak w popłochu uciekają. Odpowiedź, jaką usłyszeliśmy, przeszła nasze najśmielsze oczekiwania. Amerykanie są stąd o piętnaście kilometrów zaledwie. Lada chwila możemy być wolni.

Tymczasem w obozie zarządzono apel. Mamy być ewa-kuowani, czekamy tylko na rozkaz wymarszu. Esesmanów nie było nigdzie widać, nawet bocianówki stały teraz pu-ste. Nikt z obozu jednak nie uciekał. Po co, skoro Amery-kanie są tuż, tuż. Część więźniów rzuciła się na kuchnię. Ale w kuchni nic nie było. Z magazynu wywleczono kilka beczek. Rozbite zostały w jednej chwili. Rybki! Julek jak zwykle włączył się do akcji. Omal nie skończyło się to dla niego tragicznie. Kapo, z elegancko wyczyszczonymi moimi butami na nogach, zwoływał cichaczem swoje komando. Przez nie strzeżoną bramę wyszliśmy poza teren obozu. Naszym celem była fabryka, a raczej marchew i brukiew zgroma-dzona tam w kopcach. Można było brać, ile tylko dusza za-pragnęła. Kapo, zdarłszy demonstracyjnie swoją opaskę-wskazując na swój czerwony trójkąt nawoływał do za-władnięcia fabryką i przekazania jej w imieniu więźniów -aliantom, którzy lada moment mogą tu być. Komicznie wyglądał ten wypasiony kapo agitujący teraz wynędzniałych więźniów, jeszcze wczoraj bitych przez nie-go, czego najlepszym dowodem były krwawe pręgi na moim grzbiecie. Kapo gadał, a ja napychałem spodnie i koszulę dużą pastewną

marchwią, myśląc jedynie o zaspokojeniu głodu i o niczym więcej. Po chwili kapo już nie miał do kogo mówić, bowiem wszyscy, opchawszy się marchwią,

397.

wracali do nie strzeżonego obozu. Po drodze spotkałem oddział niemieckich żołnierzy z Wehrmachtu. Spoceni, umorusani, z przewieszonymi bluzami na karabinach, niektórzy nawet bez broni, szli ostrym marszem na połud-dniowy zachód w ślad za uciekinierami, nie zwracając naj-mniejszej uwagi na nas. Obóz tymczasem szykował się do wymarszu. Ni stąd, ni zowąd znaleźli się znowu esesmani, którzy otoczywszy nas, łagodnie, acz stanowczo wyprowa-dzili z obozu, kierując nas tam, gdzie dotąd wszyscy ucie-kali. Wyszędłszy na małe wzniesienie, znaleźliśmy się w pobliżu lasu, do którego prowadziła nasza droga. Za sobą usłyszeliśmy głucho dudnienie artylerii. Przez las prowadziła jednotorowa linia kolejowa. Na małym nasypie stał towarowy pociąg umajony gałęziami sośniny, na pola-nie zaś biwakowało kilkuset więźniów spędzonych tu z ko-palni soli czy saletry, jak po chwili dowiedzieliśmy się. Byli to w większości ci sami, którzy razem z nami opuścili Porta-Westfalica.

--Niebawem, gdy tylko się ściemniło, załadowano nas do wagonów i pociąg ruszył. Już drugi raz umknęliśmy przed aliantami. Na drugi dzień byliśmy na dworcu w Magde-burgu. Na stacji niesamowity popłoch. Wśród nieustan-nych nalotów przerażona ludność bombardowanego mia-sta opuszczała swoje domostwa, starając się dostać do ja-kiegokolwiek pociągu, który by wywiózł ich w bezpieczne miejsce. Przypatrywaliśmy się temu obojętnie, gryząc mar-chew, jedyne pożywienie, jakie posiadaliśmy. Tego dnia nie dostaliśmy w ogóle nic do jedzenia. Jak to dobrze, że udało się nam zrobić zapas tej marchwi, od której bolały już dżiąsła, ale która gasiła nieco pragnienie i przytępiała uczucie głodu. Z każdym dniem ubywało nam sił. Jedzenia prawie nie dostawaliśmy, bo cóż znaczyła mała kromeczka chleba na całą dobę. Marchew też się kończyła. Na jakimś postoju w lesie udało się w końcu Marianowi zdobyć nieco solo-nych rybek. Ponieważ niemal w każdym wagonie ktoś umierał, a i w naszym były trupy, zezwolono przenieść je w jedno miejsce, gdzie miano je zagrzebać. W jednym z ostatnich wagonów był magazyn żywnościowy. Trupono-sze,przechodząc obok tego wagonu, w pewnym momencie rzucili się na rabunek. Nie powstrzymała ich strzelanina ani bicie. Marian co prawda dowlókl się do nas ledwie żywy, umknąwszy pod wagonami z pola bitwy, ale za to

398.

obładowany zdobyczą. Był tak obity, że pokryte grubymi kryształami soli rybki pod wpływem uderzeń pałkami i kolbami głęboko powrzymały mu się w ciało. Nieco po-krzepieni, ułożyliśmy się w swoich „hamakach", podając sobie z ust do ust skręta, niczym fajkę pokoju.

W nocy ruszyliśmy dalej. Dokąd?... To już nas nie inte-resowało. Czekaliśmy jedynie poranka, by gdzieś na po-stoju dostać miskę zbożowej kawy, która ugasiłaby bodaj trochę okropne pragnienie, a gęste fusy ze spodu kotła na-pełniłyby grające z głodu kiszki. Staliśmy na węzłowej sta-cji w Stendal. Liczne tory zapełnione były tu szczelnie to-warowymi pociągami. Obok nas stał pociąg, na którego platformach sterczały różnego kalibru działa, zamasko-wane siatkami i żółto-zielonymi płachtami. Sąsiedztwo ra-czej niemiłe ze względu na ustawiczne naloty. Na szczęścił pociąg ten wkrótce odjechał, a na jego miejsce zajechał nowy, tym razem z wagonami bydlęcymi zapełnionymi więźniami. Transport z Oranieburga. Tak samo jak my nie wiedzieli, dokąd ich wiozą. Byli w o wiele lepszych nastro-jach. Lepiej też wyglądali. W porównaniu z nimi byliśmy mużułmanami. Mieli więcej szczęścia niż my. Na którejś ze stacji podczas bombardowania został rozbity pociąg, znaj-dujący się w ich sąsiedztwie, zapełniony tytoniem, papie-rosami, cygarami, wódką, brakło tylko chleba. Obłowili się. Teraz proponowali nam handel wymienny. Nie posia-daliśmy nic prócz kilku marchwi, ocalałych dotychczas tylko dzięki naszym krwawiącym dżiąsłom. Ku naszej ra-dości marchew okazała się dobrym towarem do wymiany. Mieliśmy teraz przynajmniej co palić.

Ze Stendal wyjechaliśmy wśród niesamowitej strzela-niny. To artyleria przeciwlotnicza tak hałasowała.

Po południu wjechaliśmy na przedmieścia Wittenberge wśród czarnych dymów pożarów

po niedawnym nalocie W powietrzu brzęczały myśliwce, ostrzeliwujące z broni pokładowej stanowiska artylerii. Za rzeką grzmiały ciężkie działa. Powoli przejechaliśmy przez długi żelazny most łączący przedmieścia z centrum miasta, a przerzucony przez szeroką Łabę. Miasto płonęło. Strzelanina wznosiła się. W okolicach widocznego jeszcze mostu rozterkotały się karabiny maszynowe. Od czasu do czasu słychać było nawet pojedyncze strzały. W pewnym momencie olbrzymia detonacja wstrząsnęła powietrzem. Posteni, dotychczas zdenerwo-

399.

wani do ostatnich granic, jakby odetchnęli. Z ich szeptów można było wywnioskować, że most wyleciał w powietrze. Rzeką stanowiła teraz naturalną zaporę przed następującymi wojskami aliantów. Po raz trzeci zdołaliśmy ujść w ostatniej chwili Amerykanom.

Rozdział CIV

Zimny i mglisty poranek zastał nas w sosnowym lesie. Kazano zabrać z wagonów wszystko, co posiadaliśmy. Wszystko, to znaczy koce będące już w strzępach i miski, jeżeli ktoś je jeszcze posiadał. Ustawiono nas piątkami i przeliczono razem ze zmarłymi, których należało zabrać ze sobą. Otoczonych przez postów z psami na linewkach, pędzono nas ku otwartej przestrzeni, widocznej na krańcu lasu. A więc koniec pięciodniowego podróŜowania. Chwała Bogu! Nie ma to jak obóz! Przynajmniej dadzą coś zjeść! Po paruset metrach stanęliśmy przed odrutowanym czworobokiem lagru. Obóz przypominał swoim wyglądem początki Birkenau z lat 1941-42, z tą różnicą, że zamiast błota był tu grząski piasek. Kilkanaście niskich i płaskich muro-wanych baraków zamieszkiwały tysiące niezmiernie wy-biedzonych więźniów różnych narodowości. Przeważali Rosjanie. Nikt tu nie pracował, ale jak wkrótce przekonaliśmy się, nikt też prawie nic nie jadł. Kuchnia co prawda była jak najbardziej na chodzie i nawet raz dziennie wyda-wała strawę, ale odbywało się to w taki sposób, że jedli tylko ci, którzy mieli jeszcze dość sił i sprytu, by dostać się do kotła w czasie wydawania posiłku.

Chorzy i słabi odpadali, skazani na śmierć głodową. Trup padał gęsto, a pod jednym z baraków, gdzie je magazynowano, widziało się wciąż rosnącą stertę szkieletów sięgającą dachu, w której buszowały szczury. Władze nie interesowały się zupełnie tym, co działo się w obozie. Pozostawili nas samym sobie. Strzeżono tylko, by nikt z obozu nie uciekł. Po rogach odrutowanego lagru stały wieże strażnicze, w których czuwali esesmani uzbrojeni w karabiny maszynowe. Po paru dniach w tym obozie zmuŜłmianieliśmy, upodabiając się do reszty jego mieszkańców. Ludwika trawiła gorączka. Leżał na pryczy z krwistymi wypiekami na zapadniętych policzkach, mamrocząc słabym głosem o bliskim

400.

juŜ końcu wojny i powrocie do swojej ukochanej żony Jędrak, oberwany i opuszczony do ostatnich granic, ma-rzył głośno o jedzeniu, czochrając się ustawicznie po owrzodzonym ciele. Ja z pasją naszywałem od wewnątrz pasiaka duże łaty oddarte z koca, imitujące przepastne kieszenie. Oczywiście wyobraźni wypełniałem je w nie wiadomo jaki sposób zdobytym chlebem. Julek i Marian udali się pod kuchnię, polując na dogodny moment, w którym mogliby coś ukraść do jedzenia. Nie udało się im. Wrócili poturbowani, nie zdobywszy niczego. Dowiedzieli się jednak, że kapowie zbierają do rolwagi silnych ludzi, którzy by przywieźli z za obozu marchew, brukiew, a nawet kartofle dla potrzeb kuchni. Trzeba było jakoś przyprowadzić się do porządku, by zrobić dobre wrażenie na kapach. Wypucowani jako tako, powlekliśmy się na plac zbiórki. Szczęśliwym trafem Marian i ja dostaliśmy się do rolwagi. Umówiliśmy się, że wracając z pełną rolwągą będziemy starali się przejechać najbliŜiej bloków, tak by czekający teraz Jędrak, Ludwik, Czesiek i Julek mogli szybko pozbierać kartofle, które będziemy starali się' porzucić z wozu.

Obładowani marchwią, pchając pełną kartofli rolwągę jechaliśmy przez obóz, zdążając do kuchni. Poprzedzało nas kilku kapów, torujących drogami przejście wśród se-tek wygłodniałych więźniów, starających się uszczknąć z wypełnionej

kopiasto rolwagi bodaj jednego kartofla. Za węglem ostatniego bloku, już niedaleko kuchni stali zaczajeni koledzy. Na dany znak zaczęliśmy z Maria-nem zrzucać z wozu całymi garściami kartofle. Kapowie zorientowawszy się, zaczęli nas okładać drągami. Nie zważając na ciosy stracaliśmy je w dalszym ciągu. Nasi koledzy szybko je zbierali, pakując za koszulę, wypełniając no-gawki i kieszenie. Teraz i my zrobiliśmy to samo, korzystając z niesamowitego tumultu. „Ruscy”, dotychczas obserwowujący nas z pewnego oddalenia, w jednej chwili rzucili się na rolwę z krzykiem. Nim kapowie z pomocą kucharki opanowali sytuacji uciekliśmy obławowani. Klucząc między blokami, dostaliśmy się w końcu na nasz barak. Ziemiaki zmagazynowaliśmy na swej pryczy, strzegąc ich jak oka w głowie. Śmierć głodowa już nam teraz nie groziła. Jeszcze tego samego dnia udało nam się zdobyć wiadro pełne wody, ukradzione przez Julka z obozowej

401.

kuchni. Na ogniu rozpalonym w wykopanym pod blokiem dołku ugotowaliśmy obrane z łupin kartofle. Po raz pierwszy od wielu dni byliśmy najedzeni. Obierkami wypełniłem opróżnione kieszenie swojego pasiaka. Przydały się wkrótce. Bo cóż znaczyło te paręnaście kilo ziemniaków dla wygłodniałych do ostatnich granic pięciu więźniów.

Wytrzepując łupiny do wiadra wody z takim trudem zdobytej nie zauważyłem, że wraz z obierkami wpadł tam kawałek mydła, jaki miałem ukryty w zakamarkach pasia-ka. Koledzy dziwili się, że gotująca się zupa miała pełno piany na wierzchu. Zbierając ją skrętnie, domyśliłem się w końcu, że to moje rozgotowane mydło. Na szczęście był to mały kawałeczek, którym oszczędnie gospodarowałem. Oczywiście nie zdradziłem się z tym faktem przed kolegami. „Zupa” śmierdziała mydlinami, mimo to połowę zawartości wiadra zjedliśmy. Resztę wspaniałomyślnie oddaliśmy muzułmanom, którym aż oczy wychodziły na widok nas – zjadających się. Ale na tym zapasy się wyczerpały. Przed nami znowu było widmo głodu. Podczas jednego z apelów, wybierano znowu chętnych i zdolnych do pracy. Bojąc się, że możemy być rozpoznani jako złodzieje kartofli, z uczuciem strachu, jednak zgłosiliśmy się całą piątką. Sądziliśmy, że pójdziemy zaraz do pracy. Tymczasem przeniesiono nas do odległego o kilka-set metrów obozu, o którego istnieniu wiedzieliśmy, myśleliśmy jednak, że są to koszary SS. Na bramie wejściowej był napis „Arbeitslager Webe-lin”. Obóz był mały, kilka zaledwie baraków, wcale przyzwoitych, z oknami i łózkami wewnątrz. W porównaniu z poprzednim ten obóz wydawał się komfortowy. Była nawet umywalnia z kurkami, z których płynęła czysta woda. Być może, że ta obfitość wody stała się przyczyną mojej biegunki. Odwodniony organizm łaknął wody, toteż piłem ją bez opamiętania, gasząc ustawiczne pragnienie. Nie głodowaliśmy tutaj jak w poprzednim obozie. Do pracy wychodziliśmy niedaleko, właśnie tam, gdzie przed dwoma czy trzema dniami ładowaliśmy na rolwę ziemniaki, dzięki którym nie zgineliśmy z głodu. Teraz likwidowaliśmy kopce brukwi, marchwi pastewnej i kartofli, ładując je do podstawionych tu towarowych wagonów. Nasze łóżka wypełnione były ziemniakami. Po pracy przyrzadzaliśmy je na różne sposoby. Ponieważ miałem durchfal, przypiekałem je na węgiel. Niewiele mi to jednak po-

402.

mogło. Biegunka męczyła mnie okropnie. Opadałem z sił w dodatku zauważyłem, że opuchły mi bardzo nogi, do tego stopnia, iż musiałem przeciąć nożem cholewki, bo obrzmiałe łydki już nie mieściły się w nich. Prawdziwe przerażenie ogarnęło mnie nazajutrz, kiedy zauważyłem, że normalny durchfal przemienił się w krwawą biegunkę. To już był koniec! Mogłem wytrzymać najwyżej jeszcze trzy, cztery dni maksimum, co wiedziałem z doświadczenia, obserwując kiedyś jeszcze w Oświęcimiu durchfalowców. Jedynym ratunkiem mogła być jeszcze ścisła głódówka i węgiel, bo o żadnych lekach nie było w tych warunkach nawet mowy. Dwa dni postu i wielkie ilości na węgiel spalonego chleba zrobiły swoje. Krwawa biegunka ustąpiła, ale nogi miałem nadal opuchnięte jak baniaki. Z trudem je dźwigałem, tak byłem osłabiony. Do pracy nie poszedłem. Chowałem się pod łóżko, wiedząc, czym to grozi w razie odkrycia. Udało się. W ciągu dnia poczułem wyraźną poprawę. Wieczorem nawet zjadłem trochę kartofli upieczonych na blasze żelaznego piecyka.

Tej nocy jakoś nie mogliśmy usnąć. Z dala grzmiała artyleria. Nad ciemnym horyzontem błdziły światła re-flektorów. Rano nie wyszliśmy do pracy. W południe uszykowano nas do wymarszu z obozu. Żelazny zapas kartofli rozdzie-liliśmy między siebie. Na parę dni starczy. Nie uszliśmy daleko. W sosnowym lesie stał długi pociąg towarowy. Było to to samo miejsce, w którym dwa tygodnie temu wy-ładowano nas po pięciodniowej podróży. Kilkadziesiąt by-dlęcych wagonów było już załadowanych więźniami z po-przedniego obozu. Nas wpakowano do jednego z wyjąt-kowo dużych wagonów w pobliżu lokomotywy. Zaraz urządziliśmy się, zawieszając „hamaki” w poprzek wago-nu. Środek jak zwykle zajmowali esesmani. Było ich dwóch. Jeden starszy i tęgi o pocziwej gębie bawarskiego chłopca, drugi młodszy, ponury i złośliwy. Widać było, że tych dwóch nie lubi się. Siedzieli na długiej ławce, tarasu-jacej otwarte drzwi wagonu. Pod ławką leżał pies, do którego ten młodszy czule przemawiał, podtykając mu pod nos surowe mięso. Miał tego pełne wiadro. Na prośbę jednego z nas, by dał nam kawałek ochłapa, warknął jak zły pies, nie przestając karmić przeżartego już pupi-la, ze wstrętem odwracającego głowę od podtykanego mu mięsiwa.

403.

W końcu psu zaczęło się odbijać, po czym wyrzygał się. Musieliśmy po nim sprzątnąć. Bawarczyk z odrazą i nie ukrywaną nienawiścią spoglądał na swego kolegę i prze-karmionego psa. Gdy tylko się ściemniło, pociąg ruszył. Zasnęliśmy szybko, zmęczeni poprzednią nie przespaną nocą

Rozdział CV

Obudził nas chłód poranku. Ku niezmiernemu zdziwie-niu spostrzegliśmy, że stoimy w tym samym lasku, gdzie wieczorem nas załadowano. Teraz kazano wysiadać. Po chwili byliśmy z powrotem w dużym obozie, tak przy-po-minającym Birkenau. Lager był przepełniony. Od czasu jak przeniesiono nas do arbeitslagru, przybyły tysiące wię-źniów spędzonych tu z różnych stron. Większość koczo-wała na obszernym polu rozciągającym się od baraków aż do szosy odgródzonej od obozu drucianym parkanem, Niektórzy gromadzili się wokół ognisk, które wolno było zapalić, inni wałęsali się dużymi grupkami, polując na nie-licznych więźniów przyprawionych tej nocy z jakiegoś obozu, gdzie zostali obdarowani paczkami Czerwonego Krzyża, na ich zgubę – niestety. Bo jeśli nie oddał ktoś paczki dobrowolnie, zabierano mu ją siłą. Ci, którzy zdążyli je spożyć, znaleźli ciche, zdawałoby się, schronienie w latrynach, męczeni biegunką, co zresztą nie przeszka-dzało im dalej konsumować resztek tłustości zawartych w paczkach. Oszalała z głodu banda wpadała do latryn, gdzie po krótkiej bezpardonowej walce, zdobywszy nie do-jedzone resztki, topiła nieszczęśników w dołach kloacz-nych. Byli też tacy, którzy zadowalali się ludzką padliną, walając się niemal na każdym kroku. Właśnie w tej chwili kapowie prowadzili „kanibala” do sterty trupów, z których jeden, pozbawiony pośladek, stał się ofiarą lu-dożercy. Po chwili jego zwłoki leżały obok trupa z wycię-tymi pośladekami. Jeden z więźniów ścigał już z niego do-bre jeszcze buty. W obozie panowało bezprawie. Kapowie, załatwiwszy ludożercę, zniknęli gdzieś, esesmanom zaś stojącym na swych wieżach obojętne było, co działo się w łaggrze. Ognisk paliło się coraz więcej. Łatwo było się domyślić, skąd więźniowie biorą podpałkę. Poszliśmy w ślad za nimi.

404.

W mgnieniu oka rozebraliśmy jedną z buks na opuszczo-nym bloku. Wyszukawszy sobie ustronne miejsce w najda-lej wysuniętym odcinku obozu, rozpaliliśmy ogień. Zapach pieczonych kartofli zwabił tłumy, otaczające nas teraz cia-snym pierścieniem. Krążyli wokół jak zgłodniałe szakale, oczekując stosownego momentu, by rzucić się na nas. Uzbrojeni w potężne szczapy z odłupanych desek, broni-liśmy dzielnie dostępu do naszych zapasów. Drażni, któ-rymi operowaliśmy bezwzględnie, wzbudzały respekt. Już kilku odważniej szych z rozwalonymi głowami wycofało się z otoczenia. W pewnym momencie rzucili się na nas z wrzaskiem. Płonącymi żagwiami odparliśmy zwycięsko atak. Poparzeni i potłuczeni, widać zrezygnowali w końcu, bo wycofywali się teraz grupkami, szukając gdzie indziej łatwiejszej zdobyczy. Kilku ocalałych więźniów, tych z paczkami, znalazło bezpieczne schronienie przy naszym ognisku. Widząc, że gotujemy w wiadrze wodę,

zapropo-nowali wymianę. Objedzeni tłustościami, mieli teraz okropne pragnienie. Za miskę gotowanej gorącej wody można było dostać wszystko, czego dusza zapragnęła. Tak też w niedługim czasie, zaopatrując się tylko w wodę – co nie było rzeczą łatwą i bezpieczną – mieliśmy masło, smalec, konserwy mięsne i rybne i dziesiątki amerykańskich pa-pierosów. Zaczęła się uczta. Nie zważając na ciągle jeszcze rozstrojony żołądek, próbowałem wszystkiego. Przestałem jeść dopiero wtedy, gdy poczułem, że zbiera mi się na wymioty.

Wreszcie i inni koledzy „spasowali”. Poukładaliśmy się wtedy wokół dogasającego ogniska najedzeni jak nigdy dotąd, paląc mocne prawdziwe papie-rosy, od których w głowie się kręciło. Słońce grzało przyje-mnie w plecy, od popiołu ogniska biło falami ciepłe powie-trze. Zdrzemnąłem się. Obudziło mnie dziwne poruszenie w obozie: – Idą! Idą!... Więźniów prowadzą!...

Na szosie, za drutami obozu, maszerował oddział pa-siaków. Zbliżywszy się na odległość jakichś stu metrów, nie bez zdziwienia stwierdziliśmy, że są to kobiety. Widać było, jak wprowadzano je do arbeitslagru. Niedługo potem pokazali się w obozie kapowie nawołujący więźniów do zbiórki obok wyjścia z lagru. W bramie stał scharfuhrer w otoczeniu większej grupy esesmanów. Ogłosił, że kto chce i czuje się na siłach, może być odtransportowany do odległego o parę kilometrów obozu, gdzie są lepsze wa-

405.

runki niż tu, bowiem lager ten jest pod opieką Między-narodowego Czerwonego Krzyża. Raczej niech zdecydują się zdrowi i silni, bo dostać się tam można tylko piechotą. Zgłosiło się około czterech tysięcy ludzi. My zdecydo-waliśmy się pozostać. Tak nakazywała nam intuicja i stare obozowe doświadczenie. Jeżeli o parę kilometrów stąd jest Czerwony Krzyż, to będzie i tu niebawem – rozumowaliśmy – po cóż więc iść piechotą przez lasy, w dodatku z eskortą uzbrojonych esesmanów. Pozostaliśmy.

Było południe. Zrobiło się zupełnie ciepło. Wokół pano-wała niczym nie zmacona senna cisza. Nagle powietrzem targnęła głośna detonacja. Na skraju lasu, w miejscu skąd wychodziła szosa, wznosił się słup ognia i dymu. Jakieś skulone postacie umykały wzdłuż lasu. Spomiędzy drzew, tam gdzie ukazywała się nitka drogi, z szumem motorów wyłoniły się dwa duże pojazdy. O Boże! Czołgi! Schowani za niewielką wyniosłością gruntu, przy naszym ognisku drżąc na całym cieple, obserwowaliśmy, jak szybko zbliżały się jadące teraz wzdłuż drutów naszego obozu. Z rucho-myh wieżyczek sterczały wycelowane w naszą stronę lufy działek. Ale co to? Najbliższa bocianówka pusta? Posten w pośpiechu złazi po drabince. Jest bez broni. Teraz pędzi ku najbliższemu zagajnikowi, aż się za nim kurzy. Pojazdy zwolniły biegu. To nie czołgi! To duże auta pancerne. Otwierają się klapy wieżyczek. W otworach pojawiają się wychyleni do połowy żołnierze i kiwają zdjętymi z głów hełmami. Po bokach stalowych pancerzy wymalowane wielkie białe gwiazdy. Amerykanie!!! Biegniemy co sił do drutów. Wzruszenie zapiera dech w krtani. Z ust tysiąca

na wpół żywych ludzi wydziera się okrzyk szczęścia – Hura! Hurra! Wiwat! Wolność! – Ktoś szarpie gołymi rękami kolczaste druty ogrodzenia. Po szosie mkną małe terenowe wozy ze znakami Czerwonego Krzyża. Skręcają w polną drogę i wala teraz prosto w bramę obozu, która już nie istnieje.auta zatrzymują się przed pierwszym barakiem, przed którym leży sterta trupów, a na samym wierzchu ost-tnia ofiara obozu i głodu, kanibal – ludożerca. Do dżipów nie można się docisnąć. Jeden z oficerów stojąc na masce motoru stara się coś mówić. Nic z tego. Rozkrzyczany tłum oszalałych ze szczęścia więźniów napiera, omal nie zdusi siedzących w autach żołnierzy. Biorą się na sposób. Rozrzucają szeroko pomarańcze, czekoladę, papierosy, jakieś puszki z jedzeniem. W kurzu rozdeptanej

406.

tysiącem nóg ziemi i piasku wre teraz walka o dary, dzięki czemu koło aut rozluźniło się nieco. Jeden z więźniów, znający angielski, tłumaczy, co mówi oficer: – Jesteście wolni! Ale wojna jeszcze trwa. Tu jest granica frontu. Pozostańcie w obozie aż do nadejścia regularnej armii. Tak będzie bezpieczniej. Wokół po lasach pełno Niemców, Armia jest już pięć kilometrów stąd, w Ludwigslust. Zaopiekuje się wami Czerwony Krzyż... Gdzie tu jest szpital? Gdzie leżą chorzy? – zapytał na zakończenie. Więzień będący tłumaczem wskazał na barak

i stertę trupów sięga- jąca dachu. Oficer odwrócił się we wskazanym kierunku, – Good heaven! – złapał się za głowę. – This is terrible!1
– dodał cicho. Inni pstrykali teraz aparatami. Wkrótce wszyscy odjechali. Na szosie ukazała się kolumna zmotoryzowanych wojsk, ubezpieczona szybkimi i zwrotnymi motocyklami. Terkot karabinów maszynowych odbijał się wielokrotnym echem wśród otaczających nas lasów. Tym-czasem więźniowie rzucili się na magazyny żywnościowe znajdujące się w wagonach stojących na bocznicę kolejowej między oboma obozami. Wracali obładowani chlebem, mąką, cukrem, konserwami. Należało i nam zrobić zapasy. Nigdy nie wiadomo, co jeszcze może być. Byliśmy co pra-wda wolni, ale nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy, co to oznacza. Wojna jeszcze trwała, czego najlepszym dowo-dem była strzelanina w najbliższej okolicy. Nasz los. jesz-cze nie był pewny. A nuż Niemcy wróca? Nie pozostaje nic innego jak zaopatrzyć się w żywność, dużo żywności, a wieczorem, jak się uspokoi, dotrzeć do Ludwigslustu, gdzie są Amerykanie. Tam już będziemy bezpieczni.

Omał mnie nie stratowano. Za wszelką cenę chciałem zdobyć cukier. W jednym z wagonów było go pod dostat-kiem. Mieliśmy już wszystko oprócz cukru. Porwany la-winą pchających się do wagonów więźniów, dostałem się wbrew mojej woli do wagonu z mąką. W tumanach białego pyłu nic nie było widać. Na wpół uduszony, cudem wydo-stałem się z tego młyna mokry od potu. Żeby z czymś wró-cić, podniosłem z ziemi parę walających się bochenków chleba. Po drodze spotkałem więźnia targającego w koszuli zastępującej worek większą ilość grysikowego cukru. Nawet nie chciał słyszeć o jakiejkolwiek zamianie. Byłem

1 Wielkie nieba!... To straszne!

407.

od niego silniejszy. Bronił cukru zaciekłe, ale zdołałem nim napełnić swoją czapkę, bo nic innego nie miałem. W czasie tarמושenia koszula się podarła, a cukier wysy- pał. Więzień, usiadłszy na ziemi, chudymi rękami zgarniał rozsypany cukier w jedną kupkę. Położyłem obok boche- nki chleba, już mi niepotrzebne. Byliśmy kwita. Więzień patrzył na mnie nienawistnym okiem, odepchnawszy lek- ceważaco chleb, i bynajmniej nie wydawał się podzielać mego zdania. Nim doszedłem do bramy obozu, część cukru zjadłem, resztę wysypał mi poszkodowany, podbiegłszy niepostrzeżenie z tyłu.

Koledzy już czekali na mnie. Przypomniawszy sobie o kobietach przyprowadzonych tu rano, postanowili odwiedzić je w arbeitslagrze. Może są tam jakieś znajome z Oświęcimia? W barakach esesmańskich przylegających do arbeitslagru znaleźliśmy czystą bieliznę i sporo mydła. To nasunęło nam myśl o przyprowadzeniu swego wyglądu do jakiego takiego porządku. Pozbyłem się też wreszcie

niewygodnych gumiaków. Nasz blok teraz zamieszkiwały więźniarki. Znajomych nie znaleźliśmy. Były to oświęci- mianki ostatnio przebywające w Ravensbruck, przeważnie kobiety starsze i mało zaradne. Obdarowaliśmy je swoimi zapasami, za co odpłaciły nam zagrzaniem wody potrzeb-nej do kąpieli.

Umyci, ogoleni, syci, zmieniwszy zawszoną bieliznę, nagle poczuliśmy się po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jak ludzie.

Rozdział CVI

Na szosie biegnącej tuż za drutami, od dłuższego czasu puste, pojawił się patrol amerykański. Dżip jechał bardzo powoli. Obok szli bacznie rozglądając się wokoło żołnierze z gotowymi do strzału pistoletami. Raptownie zatrzymali się, po czym kryjąc się za rosnące przy drodze drzewa, od- dali serię strzałów z automatów, kierując ogień w stronę zagajnika znajdującego się w przerwie między dwoma od- cinkami lasu. W odpowiedzi bzyknęło ze świstem kilka pocisków nad naszymi głowami, po czym zapanowała cisza, przerywana od czasu do czasu odległymi wystrzałami karabinów maszynowych. Oparci o pnie drzew ruszali bez przerwy szczękami żując gumę, co nam wydawało się

408.

jakieś śmieszne i mało poważne w tak niebezpiecznej chwili. Z łoskotem

przemknęło kilka czołgów obwieszonych żołnierzami. Pozdrawiali nas machając pistoletami i obrzucając paczkami papierosów, gumą do żucia, czekoladą. Dopiero teraz żołnierze stojący przy drzewach zwrócili na nas uwagę. Siedzący w willysie przy kierownicy żołnierz krzyknął do nas wesoło: – Hallo, boys!! – po czym zapytał o coś, czego nawet Czesiek nie zrozumiał, mimo że coś niecoś znał angielski. To nas ośmieliło. Rzuciliśmy się ku drutom. Julek wy dostał się pierwszy. Przerąbawszy skądś przyniesioną siekierą wyłom w parkanie, skoczył do willysa. Płacząc, ścisnął i obcałowywał zaskoczonego tym wylewem radości kierowcę. – Niech żyje Ameryka! Niech żyje wolność! – wołaliśmy, zalewając się łzami niepo hamowanej radości.

– To wy Polacy? – przemówił najczystsza polszczy-zną żołnierz amerykański, oswobadzając się z uścisków Julka. – Ja też Polak! Hallo! – zwrócił się do rosnącego Mulata szczerzącego w uśmiechu do nas białe zęby. – Po'-lish! – mówił wskazując na nas – concentration! – Cza-rny, nie przestając się uśmiechać, ujął małego Cześka, po czym uniósł go jak piórko w górę – Polish! Concentration – mówił poważnie – German kaputt! Hitler kaputt!.. Nie chcieliśmy w to uwierzyć. Polak wyjaśnił wszystko. – Tak! Hitler nie żyje już od dwóch dni... Berlin zajęty przez wojska radzieckie... Teraz Rosjanie są o parę kilometrów j stąd. Na tym odcinku frontu Wehrmacht składa nam broń. SS kryje się po lasach. Jest ich tu pełno... – Jakby na po-twierdzenie tych słów jeden z żołnierzy obserwujący przez cały czas teren, zauważywszy jakiś ruch pod lasem, złożył się w jednej chwili, oddając długą serię z automatu w ślad za znikającymi w gęstym lesie Niemcami.

Na szosie wychodzącej z lasu rozciągającego się po wschodniej stronie horyzontu ukazało się kilka osobo-wych aut oznakowanych białymi płachtami. Dwoch motocyklistów z oznakami MP na hełmach, ustawivszy w poprzek drogi motor, zastąpiło im drogę. Auta posłusznie zatrzymały się. Za szybą czarnego BMW znajdującego się na przedzie kolumny siedziało kilku oficerów Wehrmachtu. Motocyklista, robiąc wymowny gest trzymanym w ręku pistoletem, kazał im wysiadać. Oficerowie, posłusznie wysiadłszy, obcią gali swoje eleganckie i nieskazitelnie czyste

409.

mundury. Stukając obcasami, wyprężeni na baczność, salutowali. Amerykanin wzruszył lekceważąco ramionami i nie przerywając żucia gumy rozkazał im poodpinać pasy, przy których była boczna broń. Wyraźnie polowali na pi-stolety. Zachęceni przez naszego Polaka, zaczęliśmy rewizję. Jeden z oficerów, czerwony z oburzenia, warknął przez

zęby, gdy się doń zbliżyłem: – Weg mit den schmutzigen Handen! Ich bin deutscher Offizier! – wyszarpywał się, szukając wzrokiem ratunku u amerykańskich żołnierzy.

Amerykanin zuł spokojnie gumę, wtykając sobie za pasek już drugi odebrany Niemcom rewolwer. Jeden z oficerów

miał u boku piękny inkrustowany kordzik. Gdy usiłowa-łem mu go odpiąć, zostałem brutalnie odepchnięty. Nim zdążył doskoczyć do niego Amerykanin, ktoś z naszych trzasnął oficera w czerwoną gębę, aż zleciały mu wy- tworne cwikiery. Więźniarki, które dotychczas spokojnie stały z boku i przypatrywały się tej scenie, jakby czekały

"na ten moment. Z histerycznym wrzaskiem i piskiem rzu-ciły się na oficerów, zdzierając im dystynkcje, drapiąc, plując i kopiać. – Jak rozpoznacie kogoś z SS, dawać go tu do rowu! – śmiejąc się rzekł żołnierz, ubawiony widokiem oszalałych z nienawiści kobiet.

Gdyby nie żołnierze z MP, którzy strzelili w powietrze, kobiety rozdarłyby oficerów na strzępy. Rewidowaliśmy teraz wnętrza wozów. Z tyłu na bagażnikach przytroczone były wielkie kufry i okurzone walizy. Jednym cięciem zdobytego przed chwilą kordzika przerwałem grube sznury. Ale walizy były zamknięte na klucz, a ze zmaltretowanymi oficerami nie można się było dogadać, zresztą ostentacyjnie nas ignorowali. Podchodziłem więc od walizy do walizy i ostrym kordzikiem rozpruwałem skórzane pokrycia. Tylko w jednej był ukryty maleńki pistolet, poza tym zawartość walizek stanowiły jedynie poskładane duże arkusze map sztabowych. Zatem w niewolę oddali się oficerowie sztabowi. Pewnie jakieś wysokie rangą szyszki, którym kazano w końcu wsiąść do aut i odjechać w stronę Lu-dwigslustu pod eskortą MP na motocyklach. Na szosie pozostały tylko

dziesiątki walających się map niemieckich i kilka waliz, wśród których grzebały jeszcze więźniarki.

1 Precz z brudnymi rękami! Jestem niemieckim oficerem!

410.

Od strony Ludwigslustu szedł drogą samotny piechur. Na kiju przerzuconym przez ramię dyndało małe zawiniątko. Staliśmy pod przydrożnym drzewem rozmawiając z polskim Amerykaninem. Radził nam jak najprędzej udać się do Ludwigslustu, skąd może mielibyśmy okazję dostać się jakimś alianckim wozem poza sferę frontową, to jest na drugą stronę Łaby, odległej o parędziesiąt kilometrów stąd. Piechur mijając nas grzecznie pozdrowił: – Guten Tag! – Skromnie ubrany, robił wrażenie tubylca powracającego do domu. Zapytany, skąd się tu wziął i dokąd idzie, odpowiedział spokojnie, że mieszka tu niedaleko i wraca do swojej wsi. Wydawało nam się to trochę dziwne, toteż zaczęliśmy go rewidować. Tymczasem zaciekawione kobiety otoczyły nas kołem, przypatrując się badawczo posępnej twarzy barczystego i wielkiego wzrostem przybysza. Nagle któraś z kobiet wykrzyknęła piskliwie: – To nasz lagerfiihrer!! – Jak na komendę kobiety rzuciły się na Niemca. Ten, pobladły z wrażenia, usiłował się im wyrwać, ale było już za późno. Przywołany przez nas Amerykanin, wbiwszy mu pistolet między łopatki, poprowadził z podniesionymi do góry rękami do stojącego opodal willysa. Natychmiast powieziono go do Ludwigs^ lustu.

Ze wschodu nadjechało teraz kilka wozów zaprzęgniętych w konie, krytych brezentem, robiących wrażenie cygańskiego taboru. Amerykanie, oddaleni teraz od nas z pol kilometra, przepuścili furgony, które zbliżywszy się, na-brały szybkości mijając nas w pełnym galopie, nie zatrzymały się na nasze wezwanie. Zdążyłem uwiesić się ostatniego wozu, naładowanego, jak się okazało, po brzegi wojskowym chlebem. Biegłem za furgonem, trzymając się go jedną ręką, drugą zrzucałem chleb. Woźnica z zjadłości!) walił batogiem, którego rzemień od czasu do czasu dosięgwał mnie, sprawiając dotkliwy, piekący ból. Opuchnięte i umęczone nogi odmówiły mi w końcu posłuszeństwa, ba-łem się jednak oderwać od furmanki, która pędziła teraz z zawrotną szybkością na złamanie karku. Furman smagał zawzięcie biczem raz konie, raz mnie. Wychyliwszy się mocno, dosięgnął kijem mojej uczeponiej wozu ręki, W jednej chwili odpadłem od furgonu, koziołkując do pobliskiego rowu. Furman, trzasnąwszy z bicia, żegnał mnie szyderczym śmiechem. Kuśtykając i przeklinając Niemca i swoją głupotę, wracałem do swoich. Chleba na

411.

drodze już nie było. Wyzbierały go szybko i skrzętnie więźniarki. Marian, Julek, Czesiek oczekiwali mnie przed murowa- nym domkiem, tak zawsze intrygującym nas, gdy jeszcze nie tak dawno pracowaliśmy w jego sąsiedztwie. Ktoś już tu był przed nami, bowiem izby przedstawiały żalosny wi- dok. Ocalały jedynie wiszące na ścianach liczne jelenie rogi, dziwnym trafem nie tknięte przez nieznaną wan- dali. Po drabince weszliśmy na strych. W kadziach bajco- wały się duże półcie jakiegoś mięsiwa. Nie braliśmy tego, bo w kacie znaleźliśmy parę wypchanych konserwami wojskowych tornistrów. Schodząc na dół natknęliśmy się przypadkowo na wejście do piwnicy. Przy pomocy znale- zionej na górze świecy odkryliśmy kilka dużych skrzyń

wyładowanych kryształami, porcelaną i srebrem stoło- wym. Zabraliśmy tyle, ile dało się unieść. Zanieśliśmy to wszystko kobietom zamieszkującym barak. Niezmiernie uradowane piękną stołową zastawą, obiecywały w re-|wanżu zrobić wspaniałą kolację. Propozycja była nęcąca, ale pomni wskazówek amerykańskiego żołnierza, by przed wieczorem dotrzeć do miasta, ulotniliśmy się pod pretek- stem przyniesienia jeszcze jakichś drobiazgów, ponoć znajdujących się w tajemniczym domu.

Mijając duży obóz zauważyliśmy, że kuchnia pracuje całą parą, a po obozie kręca się uzbrojeni w karabiny

z białymi opaskami na rękawach, więźniowie. Zorganizowali się więc i czekają teraz na przyjazd Czerwonego Krzyża. Przyspieszyliśmy kroku, by jak najprędzej zosta-

wić za sobą puste już teraz postenkiety i długie szpalery kolczastych drutów naszego ostatniego koncentracyjnego obozu. Byliśmy wolni. Mogliśmy iść, gdzie

nas tylko oczy poniosą. Co za wspaniałe uczucie. Radość rozpierała nasze serca. Przed oczyma roztaczał się piękny w swej krasie kolorowy świat, dotychczas niedostępny i niedostrzegalny. Skośne promienie zachodzącego słońca różowiły szeregi ukwieconych koron przydrożnych jabłoni, tworząc nad naszymi głowami pachnący wiosną, delikatny, utkany z płatków kwiecia woal. Słowa pieśni same cisnęły się nam na usta. Witaj, majowa jutrzeńko!... Niezapomniany dzień naszej wolności. Drugiego maja. Ubawione naszym widokiem patrole amerykańskie, mijające nas co chwila, pozdrawiały nas przyjaźnie i wesoło, obrzucając słodyczami i papierosami. – Hallo, boys!

412.

Hallo, concentration! – Już się ściemniało, gdy znaleźliśmy się w willowej dzielnicy przedmieścia Ludwigslustu. Cisza. Ani jednej żywej duszy. Ale oto przed nami ukazuje się niespodziewanie dziwna postać jakiegoś wysokiego mężczyzny. Cały ubrany na czarno, z melonikiem na czubku głowy. Głęboko osadzone oczy, zapadnięte policzki uwydatniające wystające kości, w bezzębnych ustach ogromne cygaro, w ręku laseczka, a na gołych cienkich jak patyki nogach – za ciasne lakierki. Można by powiedzieć: elegant, gdyby nie szerokie i za krótkie spodnie, sięgające zaledwie żyłastych łydek, i rękawy obszernej marynarki, i z której wystawały wielkie łapska o dłoniach jak łopaty, Szedł szeroko, zataczając się na całą szerokość jezdni. Gestami starał się nas patrzeć. Wyjawszy wreszcie z ust zgasłe już cygaro, wykrzyknął: – Podoźdítie! Poczkaítie! – Wytwornym ruchem uchylił melonika, ukazując ostrzyżoną głowę z potężnym guzem i ciemną pręgą wzdłuż czoszczki. – Zdravstwuítie, riebiata! Dobry dzień wam! – .., Ależ to jeden z tych więźniów, którzy jeszcze tego ranka tak zawzięcie polowali na paczki i na nas, strzegących naj większego wówczas skarbu, kartofli...! Ta rozbita głowa świadczyła dobitnie o naszej bojowej postawie w obronie własnej i ciężko zdobytego żarcia! Chyba nas nie poznał, bo serdecznie zapraszał na poczęstunek do swojej willi, którą był zajął od południa, opuściwszy obóz. Zresztą, czy teraz to było istotne? On miał wszystko, co pozostawili uciekający Niemcy, łącznie z willą, do której tak serdecznie zapraszał na przyjęcie, a nam też niczego nie było brak. Jednakże naszym celem było dotarcie jak najszybciej do Łaby, skąd już świat cały stał przed nami otworem. To – też uściskawszy się jak najlepsi przyjaciele, podziękowali liśmy mu za dobre chęci, po czym ruszyliśmy w głąb miasta, przyśpieszając kroku, gdyż słońce już dawno zaszło i zapadały nieprzeniknione ciemności. Do centrum dotarliśmy po omacku, kierując się jedynie słuchem, stamtąd bowiem dolatywał nas jednostajny szum motorów i ruch wielotysięcznego tłumu.

Rozdział CVII

– Halt! Hande hoch! – Stanęliśmy jak wryci, zamarli z przerażenia. Niemcy! Rażące światło reflektora ślizgało

413.

się powoli po naszych drżących z wrażenia postaciach. – Ah! Concentration! – Odetchnęliśmy z niewysłowioną ulgą, pojawiwszy, że są to Amerykanie. Zdolności językowe Cześka okazały się teraz zbawieniem. Z trudem, bo z trudem, ale dogadał się jakoś z MP. Radzili nam wrócić do obozu, bo tu możemy zginać w tym tłumie oddających się do niewoli Niemców. A widok tego był zaiste fascynujący. Wśród szpaleru Niemców ustawionych po obu stronach szerokiej szosy stali rozstawieni amerykańscy żołnierze, od

czasu do czasu rzucający jakieś niezrozumiałe okrzyki. Ja – sno oświetloną reflektorami jezdnią płynął nie kończący się strumień pojazdów wszelkiego kalibru, począwszy od okazałych stalowych czołgów, aut pancernych, olbrzymich dział – od największych do najmniejszych, sprzężonych po kilka naraz. Wszystkie te pojazdy oblepione były nie-mieckimi żołnierzami różnych broni. Wśród jazgotu setek gąsienic i brzęczenia szyb opuszczonych kamieniczek trzęsła się ziemia, a z nią pokryty kamiennymi kostkami mały rynek, czy też placyk, na którym oczekiwaliśmy dogodnej chwili do włączenia się w ten potok oddających się w nie-I wolę Niemców. Bo innego wyjścia nie mieliśmy. Tylko tą szosą, którą ciągnęła pokonana armia,

mogliśmy dostać się do Łaby, odległej o przeszło pięćdziesiąt kilometrów stąd Hna południowy zachód.

Zatrzymani jeszcze parę razy przez patrole MP, wydo- staliśmy się w końcu z miasta i korzystając z ciemności włączyliśmy się w nurt płynącej rzeki pieszych i zmotoryzowanych żołnierzy niemieckich. Nie było to rozsądne ani bezpieczne. Na szczęście Niemcy byli zbyt zajęci swoim losem, by mogło im przyjść do głowy, iż obok nich maszeru- je czterech więźniów w pasiakach obozowych. Na wszelki wypadek porozumiewaliśmy się ze sobą szeptem albo nie rozmawialiśmy w ogóle. Oczy powoli przyzwyczajały się do panujących wokoło ciemności. Po obu stronach prze- pełnionej sprzętem wojennym i ludźmi szosy rozciągał się nieskończony las. Nad wierzchołkami wysokich drzew mi-

słabym światłem nieliczne gwiazdy, a wśród nich od północy do południa znaczyła niebo Droga Mleczna, której blask spływający nikłą poświatą na ziemię pozwalał coścoś widzieć w tej nieprzeniknionej czerni. Zrobiło się zimno, wyładowane prowiantem tornistry wrzynały się rzemieniami w obolałe ramiona, umęczone marszem nogi zaczynały odmawiać posłuszeństwa. A obok nas tysiące

414.

Niemców na swych tankach, tankietkach, samochodach pancernych, autach osobowych, motocyklach. Oni jechali do niewoli. My piechotą drałowaliśmy ku wolności. Nawet teraz byli górą. Diabli nas brali, tym bardziej że co chwila musieliśmy schodzić im z drogi, by nie dać się rozjechać pojazdom.

Gdy wyszliśmy wreszcie z lasu, owionęła nas wilgotna, zimna i przenikliwa mgła. Ale lżej było iść, bo szosa opu- stoszała nagle. Około północy dotarliśmy do małej leśni- czówki na skraju znowu rozpoczynającego się lasu. Może tu przenocujemy? Nic z tego! W stodołach pełno uchodźców, że palca nie wciśniesz. To samo w leśniczówce. Nawet pragnienia nie było czym ugasić. W studni ani kropli wody. Spuszczone w głąb otworu wiadro uderzyło o suche dno. Julek zaczął się awanturować. Dostaliśmy garnu- szek surowego mleka, po czym ruszyliśmy dalej. Mleko ugasiło nieco pragnienie, ale skutki jego wypicia odczu- liśmy wkrótce. Żołądek, obciążony nadmiernym cało- dziennym obżeraniem się, odmawiał posłuszeństwa. Na mnie odbiło się to najbardziej. Dopiero co przeszedłem cię- żki durchfal, a teraz to przekłute mleko wykańczało mnie, Więcej przesiadywałem w przydrożnych rowach, niż ma- szero wałem. Moi towarzysze wściekali się na mnie, bo w takim tempie nie mogliśmy ująć daleko. W dodatku by- liśmy już potwornie zmęczeni. Gdyby nie wilgoć i zim no, walnęlibyśmy się w krzaki i tak przespali do rana.

Idąc powoli krok za krokiem wydostaliśmy się ponow- nie z lasu. Tu było nieco jaśniej. Przed nami rysowały się niewyraźnie jakieś zabudowania. Przy słabym, ledwie za- rzającym się ognisku poruszały się jakieś cienie. Niemcy?.., Amerykanie?... Zaspane, zmęczone oczy niewiele już widziały. Już nam było wszystko jedno. W rowie stało oso- bowe auto. W aucie nikogo. Całe, nie zniszczone. Pewnie brakło benzyny, więc zrzuciono je z szosy, by nie zawadzało. Rozłokowaliśmy się na miękkich siedzeniach. Ach, jak przyjemnie odpocząć! Wnet szyby zaszły parą. Zrobiło się nawet ciepło. Zmorzył nas sen. Niespokojny, męczący, gdyż rozgrzane ciała piekielnie swędziały, a roje wszy przypuściły nagły atak na miejsca najmniej dostępne do poskrobania się ręką. A niech to diabli!... O spaniu nie było już mowy. Mało tego! Zrobiło się ciasno, bo każdy ' z nas zaczął się czochrać i kręcić. Jakiś demon zła w nas

415.

wstąpił, do tego stopnia, że po raz pierwszy od niepamięt- nych czasów zaczęliśmy się między sobą kłócić, nie wia- domo nawet, z jakiego powodu. Jeden drugiemu zawadzał, jeden drugiego popychał, każdy starał się dla siebie wy- walczyć jak najwięcej miejsca; stałem się chyba najbar- dziej z wszystkich dokuczliwy, nieznośny.

Tymczasem na dworze noc powoli ustępowała sinemu świtowi. Przez przetarte szyby auta widać było wyraźnie składającą się z gotowym do strzału pistoletem sylwetkę. Amerykanin! Czesiek odkręcił szybę i wystawiwszy swą ostrzyżoną głowę, pisnął słabym, wystraszonym głosikiem: – That we are here, boys from concentration camp... Polish...1 – dodał już pewniej, widząc ubawienie na twarzy żołnierza, który przywoływał teraz dwu następnych, ubez- pieczających go z

pewnej odległości. Mieliśmy wyjątkowe szczęście. Wszyscy okazali się pochodzenia polskiego. Po-sadzili nas przy ognisku, nakryli ciepłymi derkami, napoili gorącą, mocną kawą. Później dano nam wspaniałe śniada-nie. Zaraz potem pobiegłem do rowu. Oba rowy, po jednej i drugiej stronie pustej jeszcze szosy, pełne były, jak okiem sięgnąć, różnorakiej broni. Najwięcej granatów i pancer-faustów. O Boże! Toż ja w nocy mogłem dwadzieścia razy wylecieć w powietrze, korzystając z przydrożnych rowów jak każdy przyzwoity piechur. W lesie było już bezpiecznie. Gdy wróciłem, dostałem od domyślnych żołnierzy pa-stylki, które, jak później się okazało, były zbawienne. Da-rowano nam też ciepłą bieliznę, a po solidnym umyciu się obsypano obficie jakimś proszkiem – DDT – radykalnym ponoć środkiem przeciw insektom.

Tak zaczął się drugi dzień naszej wolności, pamiętny dzień trzeciego maja. Na szosie pojawili się pierwsi Niemcy. Tego dnia przeważali piesi, było też trochę aut, taborów i rowerzystów. Staliśmy z żołnierzami w poprzek jezdni wypatrując wśród Wehrmachtu esesowców. Olbrzymi Murzyn stojący obok mnie niecierpliwie wyczekiwał, aż wyłowimy jakiegoś, poprzysiągł sobie bowiem z miejsca każ-dego zastrzelić, nasłuchawszy się naszych opowiadań, przetłumaczonych mu przez towarzyszy broni. Od czasu do czasu spoglądał czule na moją mizerną sylwetkę i nie przerywając żucia gumy walił kolbą pistoletu każdego le-

1 Jesteśmy tutaj, chłopcy z obozu koncentracyjnego... Polacy...

416.

piej wyglądającego Niemca, który nawinał mu się pod rękę. Syczał wtedy, wysuwając w przód wystającą, wydatną szczękę: – Concentration camp!... – I buch go jeszcze raz przez plecy!

Pojazdów, prócz furgonów, nie przepuszczaliśmy żadnych. Do niewoli można iść piechotą. Obok na łące rosła dla nas sterta rowerów. Teraz role się odменя. Trzeba było nam jeszcze porządnych obszernych plecaków, bo tornistry nie mogły już pomieścić wiktuałów, którymi nas obdarowano. Zabieraliśmy więc Niemcom plecaki i przy sposobności rekwirowaliśmy im żywność, nie wiadomo zresztą po co. Nie było SS, mściliśmy się więc na Wehrmachcie bodaj w ten sposób.

...Szedł prosto na mnie kulejąc, obdarty i boso. Na kiju wisiało małe zawiniątko i wojskowe buty. W rękę trzymał kawałek chleba, który ogryzał idąc. W przypływie złości wytrąciłem mu chleb z ręki i wyrwałem kij wraz z butami i zawiniątkiem. – Ty gówniarzu!... – Był bardzo młody, mógł mieć najwyżej szesnaście lat. Spojrzał na mnie swoimi wodnistymi bladoniebieskimi oczami, wymizerowany i wy-lękniony jak obity bezpański kundel. Nagle zatrzęsała mu się pokryta rzadkim, nie golonym jeszcze jasnym zarostem broda, a po zakurzonych pyłem policzkach spłynęły dzie-cięce łzy. Szlochając poczłapał dalej, skulony, z opusz-czoną głową, zostawiając na asfalcie wilgotne ślady bo-sych i okrwawionych stóp. Patrzyłem przez chwilę na te opuchnięte i zakrwawione nogi, na zgięte i wątłe, wstrząsane płaczem plecy nieletniego wehrmachtowca i nagle coś we mnie się załamało.

Uczucie złości minęło, pojawiło się zażenowanie. – El Du!... – wyrwało mi się ze zduszonej krtani w nagłym przypływie litości. Skulił się jeszcze bardziej, jakby oczekiwał razów, nie zatrzymał się jednak. Po-derwałem z rowu jeden z zarekwirowanych naładowanych plecaków, wziąłem zawiniątko z butami leżące na drodze i wołając – Du...du... – dopędziłem utykającego chłopca. Nie było mi łatwo biec, miałem wciąż jeszcze opuchnięte nogi. Spojrzał na mnie z takim wyrazem oczu, że omal i ja się nie rozplakałem.

Postąpiłem chyba dobrze? – myślałem wracając. Mu-rzyn przypatrywał mi się badawczo, łypiąc białkami czar-nych jak węgiel oczu. Co on sobie w tej chwili o mnie my-sli? Najprawdopodobniej, że jestem pomyłony! Tym bardziej że już w następnym momencie bezpardonowo

417.

ściągałem z roweru jakiegoś Niemca. Był to damski rower, Niemiec być może też go komuś zarekwirował, może nawet w dramatyczniejszych okolicznościach... Rower ten zatrzymałem dla siebie i na nim odbyłem dalszą kilkudniową podróż, w którą niebawem ruszyliśmy całą czwórką.

Młodego wehrmachtowca już nie zobaczyłem. Może go ktoś przyjął na jakąś furmankę. Minęliśmy za to paru Niemców pozbawionych rowerów. Ścigały nas ich

groźby i przekleństwa.

Wesoło i z animuszem pedałowaliśmy dalej.

Rozdział CVIII

– Hej! Gdzie wam tak spieszo? – zawołał ktoś, gdy mijaliśmy duży furgon kryty budą i zaprzęgnięty w ciężkie meklemburskie konie. – Ludwik!... – Az cygańskiej budy wychylił się zaspany Jędek. Straciliśmy ich z oczu jeszcze wczoraj rano, kiedy tylko wyprowadzono nas z po-ciągu do dużego obozu. Okazało się, że oni uciekli przez druty, zobaczywszy opuszczających swe bocianówki eses-manów. Zarekwirowali wóz i teraz, nie śpiesząc się udawali się na mleczną kurację do Danii, jak z powagą twierdzili. Na samą myśl o mleku dostawałem skurczu żołądka. Pożegnaliśmy się, spodziewając się ich zastać wkrótce w punkcie zbiorczym nad Łabą. Parę kilometrów dalej szosa rozwidłała się. Powinniśmy skręcić na południe, ale tam stało MP, skierowując nas na zachód, natomiast Niemców właśnie na południe.

Wieczorem dotarliśmy do jakiejś sporej wsi. Przenocował nas bauer w swoim młynie. Błagał tylko, byśmy nie palili, bo spłonąłby mu wiatrak wraz z dziesiątkami worków mąki służących nam teraz za posłanie. Powiedziawszy: – Gute Nacht! – zamknął nas w wiatraku, nie przewidując, że może będziemy musieli wychodzić w ciągu nocy. Jego wina! Wszelkie ślady zatarliśmy. Kiedyś je odkryje i powie: – Die polnischen Schweine...

Do Łaby jakoś nie mogliśmy dotrzeć, ani tego dnia, ani następnego. Na szczęście początek maja był piękny, słone-

1 Dobranoc!

418.

czny i ciepły. Siły nam wracały z każdym dniem, z każdą godziną. Nie spieszyliśmy się, a podróż rowerami traktowaliśmy jako wspaniałą krajoznawczą wycieczkę. Mówiąc inaczej, bładziliśmy nie mogąc trafić na właściwą drogę. Ale nie przejmowaliśmy się tym zbyt. Okolice były ładne, słabo zaludnione, zatem spokojne. Gdyby nie dalekie grzmoty artyleryjskie, można by mieć złudzenie, że nie ma wojny.

Trzeciego dnia dotarliśmy wreszcie na właściwy trakt... Dzień był nieszczególny, siąpiła mżawka. Tysiące ludzi, pojazdów wszelkiego rodzaju, broni różnego kalibru zajmowało główną drogę wysadzaną dużymi drzewami, puszczającymi zielone, młode listowie. Droga ta prowadziła prosto jak strzełił na niewielkie wzniesienie, gdzie rozwidłała się w trzech kierunkach.

Po obu stronach wzgórza rozciągały się na wielkiej przestrzeni jakieś pola czy łąki, zajęte teraz przez gromadzony tu sprzęt wojenny pokonanego wroga.

Największy ścisk panował obok usytuowanego tuż przy szosie obozu jeńców francuskich, którzy grasowali wśród Niemców udających się do niewoli. Łupem ich padały głównie osobowe auta oficerów niemieckich, którym zrywano dystynkcje. Poszukiwali esesmanów i biada takiemu, jeśli go odkryto.

Z trudem przeciskaliśmy się przez ten tłum, wyszukując bodaj najmniejsze przerwy między ciasno zbitymi je-den obok drugiego pojazdami, między którymi przesmyki-waliśmy się zręcznie, narażeni w każdej chwili na zgniecenie gąsienicami czołgów czy innego ciężkiego sprzętu wojennego.

W tym najmniej odpowiednim miejscu spadł mi łań-cuch. Ponieważ przeciskałem się na swym rowerze ostatni, moi koledzy jadący z przodu nawet nie zauważyli, że zostałem w tyle. Usiłowałem ich dogonić, ale pechowy łań-! cuch ciągle ześlizgiwał się z trybów, opóźniając dostatecznie moją pogoń za przyjaciółmi, gdyż musiałem teraz ro-wer prowadzić. Łudziłem się jeszcze, że czekają na mnie w miejscu, gdzie było rozwidlenie drogi, ale tam nie było nawet mowy o zatrzymaniu się. Amerykanie kierujący ruchem na skrzyżowaniu dróg szybko i sprawnie segregowali nie kończący się pochód, Jeńcy niemieccy udawali się w prawo, ludność cywilna i uchodźcy w lewo, byli zaś więźniowie obozów koncentra-

419.

cyjnych i jenieckich skierowani zostali prosto, drogą wiodącą do małego miasteczka, gdzie był punkt zborny. W rynku tłumy więźniów z różnych obozów. Byli też oświęcimiaczy, ale zapytani, czy nie widzieli moich kolegów, nie mogli

mi dać wystarczającej odpowiedzi. Radzili pozostać w miasteczku, a przyjaciele na pewno sami się znajdują. Mała miejscina z tłumami pasiaków na jej ulicach za bardzo przypominała obóz, bym mógł posadzać moich kolegów o pozostanie tu. Moje zdanie podzielał również sympatyczny oświecimiak, z którym od dłuższej chwili rozmawiałem. Tadek nawet przypominał sobie trzech obładowanych plecakami rowerzystów, którzy pokręciwszy się jakiś czas po rynku, odjechali w niewiadomym kierunku. Dowiedziawszy się od tubylców o najkrótszej drodze prowadzącej do Łaby, ofiarował się towarzyszyć mi w poszukiwaniu przyjaciół, na co chętnie przystałem. Jechaliśmy jakimiś bocznymi i pustymi drogami wśród lasów, zagajników i małych osiedli. Niewątpliwie zbliżaliśmy się do Łaby, niestety, musieliśmy pomyśleć o noclegu, bo wieczór szybko zapadał w ten pochmurny i dżdżysty dzień.

Przenocowaliśmy w jakiejś szkole, wśród tłumu leżących pokotem na podłogach ludzi.

Nazajutrz rano, niezbyt wyspani i pogryzieni tym razem przez pchły, ruszyliśmy dalej. Wypogodziło się. W majowym słońcu świat jakby nabrał rumieńców, mieniąc się różnymi kolorami kwitnących łąk i krzewów. Byliśmy w doskonałym nastroju, bo wyczuwaliśmy bliskość wielkiej rzeki, celu naszej podróży. W południe natknęliśmy się na opuszczony i zniszczony tabor niemieckich wojsk, znajdujący się na skraju wsi rozłożonej wzdłuż prawego brzegu Łaby. Jak okiem sięgnąć, koczowały tu pod gołym niebem tysiące ludzi oczekujących przeprawy na drugi brzeg. W czasie działań wojennych most został zniszczony. Alianci zbudowali obok prowizoryczny na pontonach, nie-stety, nie przepuszczali przezeń nikogo. Julek, Marian i Czesiek byli tu na pewno, tylko jak ich znaleźć wśród tego tłumu... Dzień minął, a ja nie natrafiłem nawet na najmniejszy ich ślad.

W nocy nie zmrzyłem oka. Stodoła, gdzie znaleźliśmy Uchronienie, była miejscem, które upodobały sobie parki oddające się bezceremonialnie miłości. Nie byli to więźniowie. Zbyt wyczerpani byliśmy fizycznie, by myśleć

420.

o tych sprawach. Uspokoilo się dopiero nad ranem. Skoro świt obudziła nas muzyka. „Koczowisko” było radiofonizowane. W przerwach między nadawaniem muzyki ogłaszano komunikaty. Zapowiedziano, że na drugą stronę Łaby nie przejdzie nikt, natomiast władze alianckie utworzyły szereg punktów zbornych po tej stronie rzeki, gdzie jest zapewniona wszelka opieka, i tam należy się udać. W tym też celu uruchomiono transport, żeby ułatwić szybko i sprawnie dostanie się do tychże punktów. A więc powróć tam, skąd – zadawszy sobie tyle trudu, by się tu dostać – przyjechaliśmy.

Zrezygnowaliśmy, już mieliśmy wsiadać do jednego z podstawionych dużych aut ciężarowych, gdy niespodziewanie zobaczyłem Mariana. Julek, Marian i Czesiek zainstalowali się w na wpół rozwalonej zagrodzie chłopskiej. Przyjęli nas uroczyście do swego grona po uprzedniej kąpieli w ciepłej wodzie, zmianie bielizny i po dokładnym odwszeniu. Postanowiliśmy tak długo czekać nad Łabą, dopóki Amerykanie nie zdecydują się przepuścić nas na drugą stronę. Z plandek ściągniętych z porzuconych niemieckich taborów zbudowaliśmy wspaniałą namiot, na którego szczycie powiewała biało-czerwona chorągiewka, a nad wejściem widniała tekturowa tabliczka z napisem w języku polskim: „Tu mieszka pięciu chłopców z Oświęcimia”, i angielskim: „Here are living five boys KL Auschwitz”, skomponowanym przez naszego poliglotę, Czeska.

Przed namiotem płonęło ognisko. Z rondła dolatywał zapach pieczonej przeze mnie kury. Nikt jej nawet nie tknął, tak była niesmaczna.

Wcześniej poukładaliśmy się na swych wygodnych leżących w przestronnym namiocie. Szum padającego od dłuższego czasu drobnego deszczu działał usypiająco. Zapadła noc.

Rano zerwaliśmy się, nagle wyrwani z głębokiego, zdrowego snu. Słabe poranne słońce przebijało się przez pełzające nad łąkami mgły. Nad niewidoczną rzeką rozszalała się strzelanina. Jakiś niesamowity wrzask tysięcy gardzieli zagłuszał nadawany przez megafony komunikat w języku angielskim. Nad naszymi głowami rozpryskiwały się z sykiem rakiety.

Wybiegliśmy przed namiot, by zorientować się, co się dzieje. Pierwszy zrozumiał Czesiek: – Chłopcy! –

wrzeszczał rozentuzjasmowany – Niemcy podpisały bezwzględna kapitulację!... Wojna skończona!... Hurr!... Niech żyje wolność!... Niech żyje pokój!... –

Płacząc rzuciliśmy się sobie w objęcia.

SŁOWNICZEK

W książce tej znalazły się elementy tzw. Lagersprache, gwary obozowej, która zawierała w sobie wpływy i naleciałości wielu języków – w Oświęcimiu znajdowali się bowiem więźniowie wielu narodowości – i stąd obecność w tej gwarze wyrażen i zwrotów błędnych z punktu widzenia zarówno poprawnej polszczyzny, jak i niemieckiej. Także język esesmanów zawierał pewne uproszczenia, co było spowodowane koniecznością stworzenia komunikatywnego, a więc najprostszego pod względem fonetycznym, fleksyjnym i składniowym, języka, którym porozumiewano się w obozie.

Wyrażenia i zwroty niemieckie wyróżniono kursywą i zamieszczono ich tłumaczenie w formie przypisów u dołu kolumny, natomiast elementy powtarzające się i charakterystyczne dla Lagersprache znalazły się w Słowniczku.

Abbruchkommando Monowitz – drużyna robocza do wyburzania budynków w Monowicach
Abgang – „ubytek”, więzień wypisany ze stanu obozu na skutek – najczęściej – zgonu lub przeniesienia do innego obozu

Abschnitt – odcinek obozu

Arbeitsdienst – więzień pracujący w dziale zatrudnienia

Arbeitseinsatz – biuro przydziału pracy

Arbeitskommando – drużyna robocza

Arbeitskriegsgefangenenlager – obóz pracy dla jeńców wojennych

Arbeitslager – obóz pracy

Aufraumungskommando – „drużyna pracy uprzątająca”, w tym wypadku – segregująca rzeczy przywiezione przez Żydów skierowanych do komór gazowych; pracowała na odcinku obozu zwanym popularnie wśród więźniów „Kanada”

Aufseherin (aufseherinka, aufseherka) – nadzorczy, esesmanka

Aussen – na zewnątrz obozu

Aussenkommando – drużyna wychodząca do pracy poza obóz

Ausweis – legitymacja, dowód tożsamości

Avo – mączka stanowiąca jeden ze składników zupy obozowej

Bademeister – kąpielowy

Baderaum – pomieszczenie z natryskami; „łazienka”

Bauer – wieśniak

Bauleitung – drużyna robocza kierownictwa budowy

Bekleidungskammer – skład odzieży obozowej

Bettruhe – wypoczynek w łóżku; pora snu

Binda – opaska więźnia funkcyjnego, noszona na rękawie

Blockaltester (blokowy) – więzień kierujący blokiem

Blockfuhrer – esesman nadzorujący więźniów danego bloku

Blockfuhrerstube (Blockfuhrerstube) – barak esesmanów przy bramie wejściowej do obozu; wartownia

Blockszpera (Blocksperr) – zakaz opuszczania bloków mieszkalnych; wprowadzano ten zakaz przeważnie wtedy, gdy władze obozowe chciały wykonywać pewne czynności bez świadków ze strony uwięzionych w obozie, np. egzekucje większych rozmiarów, selekcje itp.

Bocianówka – wieża strażnicza

Brotkamera – magazyn chlebowy

Brunnenbohrer – studniarz; praca w komandzie brunnenbohrerów polegała na wierceniu i naprawianiu studni

Buksa – prycza zbita z desek, na której najczęściej spało kilku więźniów

Buna – nazwa oświęcimskiego zakładu IGF, od nazwy sztucznego kauczuku; Buna-Werke był to podobóz obozu oświęcimskiego w Monowicach

Czarny trójkąt – oznaczał elementy społeczne, osadzone w obozie np. za włóczęgostwo, nierząd, sutenerstwo

Czerwony punkt – byli nim oznaczeni więźniowie podejrzani o ucieczkę

Czerwony trójkąt – oznaczał więźniów politycznych

Dachdecker – dekarz; pokrywacz dachów Dauernd SK – trwały pobyt w karnej kompanii DAW (Deutsche Ausrüstungswerke) – Niemieckie Zakłady Wyposażenia

(wojskowego), pracujące dla niemieckich sił zbrojnych Dietkuchnia (Diatkiiche) – kuchnia dietetyczna Dirlewangera oddziały – specjalne oddziały wojskowe, złożone

z więźniów kryminalnych-Niemców; od nazwiska dowódcy -Dirlewanger

Dolmetscher – tłumacz

Durchfal (Durchfall) – biegunka głodowa; krwawa biegunka

Effektenkammer – magazyn rzeczy odebranych nowo przybyłym

do obozu więźniom Effektenlager („Kanada”) – odcinek obozu, gdzie znajdowały się magazyny rzeczy odebranych nowo przybyłym więźniom Efingera – więźniarka pracująca w drużynie roboczej Effingera, esesmana kierującego magazynem mienia zagazowanych Entlausung – odwszenie

Erkennungsdienst – służba rozpoznawcza, komórka wchodząca w skład oddziału politycznego; także komando, w którym więźniowie zajmowali się fotografowaniem nowo przybyłych do obozu więźniów

Erziehungskompanie – tzw. kompania

wychowawcza; miała jeszcze gorszą sławę wśród więźniów niż SK – karna kompania

Familienlager – obóz, w którym przebywały całe rodziny

Feuerwacha (Feuerwache) – obozowa straż pożarna Fertner (Pfortner) – odźwierny

FKL (Frauenkonzentrationslager) – obóz kobiecy

Fluchtverdachtig – podejrzany o ucieczkę

Generalgouvernement – Generalne Gubernatorstwo (GG); jednostka administracyjno-polityczna utworzona przez okupacyjne władze niemieckie z części ziem nie

włączonych do Rzeszy, ze „stolicą” w Krakowie

Haftling – więzień

Hakenkreuz – swastyka

Harmenze-Schule – „Harmęże-Szkoła”; nazwa drużyny roboczej pracującej na terenie wsi Harmęże

Hauptscharfuhrer – stopień podoficerski SS, odpowiednik w przybliżeniu sierżanta

sztabowego

Herzschlag – udar serca

Hilfspfleger – pomocniczy pracownik szpitala obozowego; pomocnik sanitariusza

Hilfsschreiber – pomocnik pisarza

HKB (Haftlingskrankenbau Birkenau) Abschnitt II B – szpital dla więźniów w

Brzezince, odcinek II B

IG-Farbenindustrie (Industrie-Gesellschaft Farbenindustrie) –

największy hitlerowski koncern chemiczny, zatrudniający więźniów w swoich zakładach

Im Laufschrift – biegiem; zasada im Lager immer im Laufschrift (w obozie zawsze biegiem) oznaczała obowiązek wykonywania w biegu wszelkiej pracy wymagającej poruszania się

Industriehof – nazwany później Bauhof, wydzielony teren obozu oświęcimskiego przy bocznicy kolejowej, przeznaczony na wyładowywanie i skład materiałów budowlanych

„Kanada” – zob. Effektenlager

Kapo – określenie przyjęte najpierw w Dachau, zapożyczone od robotników włoskich i oznaczające „szefa” (po włosku dosł.: głowa) drużyny roboczej; dla większych grup istniała funkcja „starszego kapo”, czyli oberkapo; mniejszą dowodził vorarbei-ter (przewodnik); funkcje te sprawowali więźniowie

Kartoffelbunker – kopiec na ziemniaki

Kiesgrube – żwirownia

Koenigsgraben – Rów Królewski, przy którego kopaniu pracowali więźniowie karnej kompanii w bardzo ciężkich warunkach

Komando (Kommando) – drużyna robocza

Kommandofuhrer – esesman kierujący drużyną roboczą

Kommandopfleger – sanitariusz przydzielony do drużyny roboczej

Kommandoschreiber – pisarz w drużynie roboczej

Krankenbau – szpital obozowy

Krankenbau Kriegsgefangenenlager – szpital obozu jeńców

Kratze – świerzb

Lager – obóz

Lagerarzt – lekarz obozu, esesman

Lageraltester – więzień sprawujący funkcję oboźnego, starszy obozu; najwyższa funkcja w hierarchii więźniarskiej

Lagerfiihrer – kierownik obozu więźniów; oficer SS

Lagerkapo – kapo obozu; więzień bezpośrednio podlegający starszemu obozu – lageraltesterowi

Lagerkomendant (Lagerkommandant) – komendant obozu; najwyższy zwierzchnik w hierarchii władz obozowych
Lagersperra (Lagersperre) – zamknięcie obozu; w tym czasie nie wolno było więźniom wychodzić z pomieszczeń mieszkalnych
Lagerstrasse – główna ulica obozowa
Leichenhala (Leichenkeller) – kostnica obozowa

Leichentrager – więzień przenoszący zwłoki, pracownik obozowej kostnicy Laufer (Lauferin) – goniec (gończyni) Lausenkontrolle – szukanie wszy
„Meksyk” – nie wykończony odcinek obozowy w Brzezince; więźniowie bytowali tam w szczególnie ciężkich warunkach
MP (Military Police) – Policja Wojskowa
Muzułman – wyczerpany pracą i zagłodzony więzień, w stanie całkowitego wyniszczenia organizmu; muzułmana cechowało zamieranie także pod względem psychicznym
Nachtruhe – cisza nocna Nachtwacha (Nachtwache) – dyżurny nocny Neubau – „Nowe Budownictwo”; nowo budowany odcinek obozowy w obozie macierzystym
Nierenentzündung – zapalenie nerek
|
Oberaufseherin – starsza nadzorczyńni SS
Oberkapo – zob. kapo
Oberscharfuhrer – stopień SS, odpowiednik w przybliżeniu starszego sierżanta
Obersturmbannfuhrer – stopień oficerski SS, odpowiednik w przybliżeniu podpułkownika
Obersturmfuhrer – stopień oficerski SS, odpowiednik w przybliżeniu porucznika
Ortskommandantura (Ortskommandatur) – garnizon niemiecki
Passierschein – przepustka
Pferdestall – baraki dla więźniów, budowane na wzór stajni dla koni
Pfleger – sanitariusz, pracownik obozowego szpitala; więzień
Pipel – młody chłopiec, więzień, spełniający funkcje służącego; w początkowym okresie mianem tym określano homoseksualistów
Planierung – drużyna robocza niwelująca teren
Politische Abteilung – Oddział Polityczny, człon komendantury obozu podległy Urzędowi Bezpieczeństwa Rzeszy; obozowe gestapo
Post (Posten) – esesman z oddziałów wartowniczych, pilnujący

więźniów przy pracy lub pełniący wartę na wieży strażniczej
Postenkietta (Postenkette) – wieża strażnicza
Postenkietta Wielka (Grosse Postenkette) – duży łańcuch straży, obejmujący tereny bezpośrednio otaczające obóz, funkcjonujący w czasie dnia roboczego
Postzensurstelle – miejsce kontroli poczty
„Puff-Mutti” – zarządzająca domem publicznym
Rapportfuhrer (Rapportfuhrerin) – raportowy (raportowa), prowadzący apele, odpowiedzialny za stan liczebny więźniów: zwykle esesman w stopniu odpowiadającym starszemu podoficerowi
Rapportschreiber – więzień funkcyjny: pisarz raportowy
Reichsdeutsch – obywatel Rzeszy, rdzenny Niemiec
Reiniger – sprzątający
Rentgenraum – pomieszczenie zaopatrzone w aparat rentgenowski
Rewir – szpital obozowy
Rolwaga (Rollwagen) – wóz, platforma
Rottenfuhrer – stopień podoficerski SS, odpowiednik w przybliżeniu kaprała
Sanitatsdienst – służba sanitarna
Scharfiihrer – stopień podoficerski SS, odpowiednik w przybliżeniu sierżanta
Schmerztabletta (Schmerztablette) – tabletki przeciwbólowa
Schonungsblock – blok teoretycznie dla tzw. „rekonwalescentów”
Schreiber – pisarz blokowy; więzień
Schreibstuba (Schreibstube) – kancelaria obozowa; biuro
Schutzhaftling – więzień obozu koncentracyjnego podlegający tzw. aresztowi ochronnemu
SDG (Sanitatsdienstgehilfe – esesman służby sanitarnej SK (Strafkompanie) – karna kompania
Sonderkommando – drużyna specjalna, zatrudniona przy komorach gazowych i krematoriach

SS-rewir (SS-Revier) – szpital SS
Stabsgebäude – budynek kierownictwa obozu
Stammlager – obóz macierzysty, mieszczący się w budynkach koszar wojskowych
Stehbunker (Stehbunker) – bunkier więzienny, w którym można było tylko stać
Stehzela – więzienna cela do stania
Strafe – kara
Strassenbau – drużyna robocza budująca drogi
Stubendienst (sztubowy) salowy; porządkowy
Sturmbannfuhrer – stopień oficerski SS, odpowiednik w przybliżeniu majora
Szpryca (szpilowanie) – wstrzykiwanie więźniom fenolu za pomocą długiej igły wbijanej w klatkę piersiową ofiary, bezpośrednio do komory sercowej
Sztrajfy – pasy malowane czerwoną farbą na ubraniach cywilnych tych więźniów, którzy nie mieli pasiaków
Sztuba (Stube) – sala
Sztubowy – zob. Stubendienst Szturman (Sturmmann) – w SS odpowiednik w przybliżeniu starszego szeregowca
Theatergebäude – budynek teatru Torwacha (Torwache) – strażnik w bramie
Totenbuch – księga zmarłych Totenmeldung – zgłoszenie zgonu
Tragi – nosze żelazne, specjalnie zaprojektowane przez firmę Topf, do przenoszenia zwłok Transportkolona (Transportkolonne) – kolumna transportowa TWL (Truppenwirtschaftslager) – magazyn gospodarczy oddziałów SS
Unterkapo – więzień funkcyjny w drużynie roboczej podlegający kapo

Wrocław, 21 stycznia 1966 r.